

SANDRA  
BARNEDA



*Ziemia Kobiet*



Odkryły swoją przeszłość, zrozumiały  
teraźniejszość, nakreśliły przyszłość

SANDRA  
BARNEDA

*Ziemia Kobiet*

przełożyli  
Joanna Ostrowska  
Grzegorz Ostrowski

Warszawskie Wydawnictwo Literackie  
MUZA SA

Tytuł oryginału: *La Tierra de las Mujeres*

Projekt okładki: *Izabella Marcinowska*

Redakcja: *Sławomira Gibka*

Redaktor prowadzący: *Aleksandra Janecka*

Redakcja techniczna: *Karolina Bendykowska*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Danuta Kownacka*

Zdjęcia wykorzystane na okładce

© zoranm/iStockphoto.com

© Catherine Lane/iStockphoto.com

© Sandra Barneda, 2014

© Penguin Random House Grupo Editorial S.A., 2014

All rights reserved

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2016

© for the Polish translation by Joanna Ostrowska  
and Grzegorz Ostrowski

ISBN 978-83-287-0254-7

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2016

Wydanie I

*Odkryły swoją przeszłość,  
zrozumiały swoją terażniejszość,  
nakreśliły swoją przyszłość.  
Moim przodkom*

*Zmarszczki są czymś, czego nie da się opisać,  
co pochodzi z duszy.*

Simone de Beauvoir

*Kto nie potrafi wyc, ten nie odnajdzie swojego stada.[1]*

Clarissa Pinkola Estés

*A jednak się kręci*

Galileusz

## Spis treści

I  
II  
III  
IV  
V  
VI  
VII  
VIII  
IX  
X  
XI  
XII  
Przypisy

# I

Podmuch huraganowego wiatru pchnął je na ziemię tak nagle, że nie zdążyły nic zrobić, by uchronić się przed upadkiem.

– Wszystko w porządku?

Dziewczynki popatrzyły na matkę bez słowa, tylko ich szeroko otwarte oczy wyrażały niezadowolenie. Mała Adele uniosła ubłoconą dłoń. Kate wyskoczyła żwawo z bajora i dała upust wściekłości, wykrzykując pod adresem opętańczego wiatru litanię inwektyw. Przy okazji zaatakowała matkę, kolejny raz dając jej do zrozumienia, że jest tu wbrew własnej woli.

– Wszystko jest do dupy, dobrze o tym wiesz!

Nie było to odpowiednie miejsce na kłótnię z Kate. Galę zmęczyła długa podróż i miała po dziurki w nosie wysłuchiwanie utyskiwań córki, która narzekała na wszystko, odkąd wyleciały z Nowego Jorku. Może nie był to wymarzony początek, ale nie chciała przyznać, że pobyt w tej zapadłej dziurze rozpoczyna pod złą wróżbą. Podniosła się, z godnością wygładziła sukienkę pochłapaną błotem, chwyciła walizkę i ruszyła pod wiatr. Oczywiście miały za dużo bagażu, w dodatku walizki niezbyt się nadawały do ciągnięcia po nieutwardzonych drogach i były zbyt eleganckie na to miejsce zalatujące gnojówką. Dziewczynki nie od razu zareagowały, ale widząc, że matka się oddala i zostawia je w szczerym polu, ruszyły za nią. Kate wzięła w końcu walizkę siostry – ta mała zawsze potrafiła wydobyć z niej wszystko, co najlepsze. To była słaba strona Kate: nie mogła patrzeć, jak Adele cierpi.

Szły teraz wyasfaltowaną dwukierunkową szosą, po której z dużą prędkością mknęły samochody.

– Kate, nie zostawiaj siostry i uważaj na samochody. Słyszaaaalaaaas?

Wiatr zagłuszył daremne protesty Kate. Na nic zdała się długa lista argumentów, które wysunęła, żeby nie przyjeżdżać tu z siostrą i matką, nie porzucać przyjaciółek, domu, swojego pokoju i Gotham Girls. To ostatnie bolało ją najbardziej – ledwo zdążyła się pożegnać z koleżankami, które zostawiała na lodzie na cały tydzień. „Tylko jeden tydzień, mamol!” Nie będzie z nimi na najbliższym meczu Roller Derby Junior League, a jeśli pobyt w tym parszywym miejscu się przedłuży... zwieje!

Kate była ścigaczką, jedną z zawodniczek zdobywających punkty. Była potrzebna w drużynie. Gwiazda, którą miała na kasku, znaczyła dla niej tyle, że jest liderką, a liderka... nigdy nie opuszcza swojego zespołu! Matka nie interesowała się roller derby, nie rozumiała tego brutalnego, brzydkiego według niej sportu, w którym kobiety jeżdżą na wrotkach po owalnym torze i rozpychają się, walcząc łokciami, żeby uniemożliwić przeciwniczce dotarcie do mety. Adele bawił widok ścigającej się siostry, ale nie lubiła niektórych z jej koleżanek, bo wyglądały jak wściekłe psy. Kate uwielbiała swoje wrotki, dlatego czuła rozgoryczenie z powodu nagłego wyjazdu, który wyglądał jak ucieczka. Porzucenie drużyny było niewybaczalne. Widok tego niegościnnego, nieprzyjaznego miejsca tylko pogłębił jej frustrację.

Adele wyczuwała wściekłość Kate, bo ta bezwiednie ścisnęła jej rękę aż do bólu. Chociaż podziwiała siostrę, nie mogła zrozumieć, dlaczego ciągle kłóci się z matką. Sama też nie była przekonana do tej wyprawy, nie bardzo wiedziała, co robią tak daleko od domu, ale uważała się za skautkę, a skauci... nie wymiękają z byle powodu! Nie należała do żadnego zastępu, mimo to marzyła, że zdobędzie sprawność odkrywcy, odkryje nowe miejsca, ukryte skarby i dziwne zwierzęta. Żyła w świecie fantazji i patrzyła na wszystko przez pryzmat swojej bujnej wyobraźni. Albo pogrążała się w marzeniach, albo pożerała kolejną książkę o nieznanach planetach.

Gala przystanęła, żeby zaczekać na córki. Były tak różne, a jednocześnie tak bardzo

podobne do niej. Miała wątpliwości, czy dobrze zrobiła, zabierając dziewczynki ze sobą, zamiast zostawić je z Frederickiem. To niegościnne miejsce, z wyludnionymi ulicami i starymi domami z kamienia o pozamykanych oknach robiącymi wrażenie na pół opuszczonych... Dokąd je przywiozła? Tym razem upór zaprowadził ją za daleko. Frederick mówił, żeby jechała sama i dała dziewczynom spokój, ale zdecydowanie odmówiła – nie chciała zostawiać ich z mężem, który zatrudniłby opiekunki, bo sam nigdy nie miał czasu dla córek. Wyszła za pracoholika, który nie zamierzał się leczyć. Praca była dla niego najważniejsza, na drugim miejscu stawiał swoje ciało, na trzecim – córki, na czwartym – żonę. Dbał o nią i kochał ją w łóżku. Jednak czasami Gala miała dość Pana Bardziej-niż-Doskonałego i jego kazań o etyce i moralności. Mógł sobie być doktorem Frederickiem Donovanem, ale ona należała do rodziny Marlboroughów: pochodziła z Bostonu, była bogata i od dziecka przyzwyczajona, żeby rządzić, a nie słuchać poleceń.

– Co teraz? – spytała Kate po angielsku.

Gala popatrzyła na córki, które odpoczywały, siedząc na walizkach. Kate nadal nie chciała rozmawiać z nią po hiszpańsku, w języku dziadka. Podróż stanowiła doskonałą okazję, żeby trochę go poćwiczyć!

– Teraz poszukamy domu Xatartów, gdzie mieszkała moja cioteczna babcia.

Gala powiedziała to zaczepnym tonem, z jak najlepszym akcentem i bez cienia wątpliwości w głosie. Niebo przybrało czerwonopomarańczowy kolor, jakby chciało zapowiedzieć to, co miało nastąpić. Chociaż Kate prawie wyprowadziła ją z równowagi, Gala tylko westchnęła głęboko i pozwoliła, żeby cała jej złość odleciała z wiatrem. Nie dostrzegając niczego pięknego w tiulach jedwabistej mgły ozdabiających niebo, nie widziała piękna ziemi, która miała coś z niej samej, choć była tak odległa i nieznana.

La Muga! Ziemia, na której urodził się jej ojciec...

Adele pociągnęła ją za rękę, wskazując jakiś dom w oddali, za wysoką bramą. Płytki ceramiczne, zatopione w murze, tworzyły napis „Can Xatart”. Wszystkie trzy podeszły bliżej tak szybko, na ile pozwalał wiatr. Kate postawiła walizkę na środku drogi i ruszyła pędem, żeby być pierwsza. Uczepiła się bramy i wsunęła nos między pręty, chcąc zobaczyć, jak straszna czeka ją rzeczywistość. Ujrzała tylko ogród, ściany częściowo okryte powojem, a na końcu drewniane, stoczone przez robactwo drzwi, które prowadziły do domu. Dotarły na miejsce! Adele puściła rękę matki i z otwartą buzią przyglądała się nowemu światu, który czekał, żeby go odkryć. Jej siostra natomiast nie mogła uwierzyć własnym oczom na widok tego, w co się wpakowały. Podobnie jak matka: Gala była tak bardzo przygnębiona, że Kate, zerknąwszy na nią kątem oka, spuściła głowę i postanowiła chwilowo powstrzymać się od narzekania.

„Kto chciałby kupić taką rozwalającą się chałupę z kamieni?”, przyszło jej natychmiast do głowy i wiedziała, że matka myśli o tym samym. Czy to było warte tyle pieniędzy? Kate nie znała się na domach, nic jej nie obchodziło, ale zaczynała podejrzewać, że tydzień nie wystarczy, aby pozbyć się kłopotów związanych ze spadkiem po ciotecznej babce, o której nigdy wcześniej nie słyszała. Ani o Amelii Xatart, ani o tym miejscu, ani nawet o dziadku, który zmarł, kiedy jej matka miała zaledwie pięć lat.

Kate weszła do środka, walcząc z sennością. Czowała, jak narasta w niej bunt przeciwko przebywaniu w tym miejscu. Dom wydał się jej straszny: był zbyt wielki, żeby zwiedzać go o tej porze. Nie zamierzała go oglądać, a tym bardziej siadać na którymś ze wstrętnych krzeseł, żeby coś zjeść. Miały zresztą tylko kilka kanapek kupionych na lotnisku. Była przybita, przytłoczona szkaradną rzeczywistością.

Adele pochłonęła swoją kanapkę, a chwilę później padła ze zmęczenia. Pierwotne instynkty góraj! Kate poszła z siostrą spać, nie żegnając się z matką ani nie życząc jej dobrej



nocy. Nie zrobiła jej piekła, nie musiała – to miejsce bardzo je przypominało.

Gala została na parterze, siedziała w sfatygowanym fotelu z uszami i w świetle starego kaganka patrzyła przed siebie nieruchomym wzrokiem, skurczona z zimna i wrażenia, jakie zrobiło na niej to miejsce. Nie wiedziała, ile czasu tak spędziła, wstrzymując oddech, dopiero silny ból szczęki wyrwał ją z tego stanu oszołomienia. Pod wpływem nagromadzonego napięcia z całej siły zaciskała zęby.

– *What the hell am I doing here?*[2]

Tak to jest, gdy człowiek kieruje się znakami i zapomina o żelaznej logice. Nikt przy zdrowych zmysłach nie podjąłby tak szybkiej decyzji i w niespełna czterdzieści osiem godzin nie wyjechałby z dwiema córkami z Nowego Jorku do miejsca zwanego La Muga – dziury na wschodzie Hiszpanii, przy granicy z Francją, liczącej niecałe trzy setki mieszkańców. Za sprawą niespodziewanego telefonu uległa sugestii związanej z datą dwunastego grudnia dwa tysiące dwunastego roku.

W dniu, w którym go odebrała, wstała z łóżka z dziwnym przeczuciem, że spotka ją coś dobrego. Nie zrezygnowała z rutynowych czynności, robiła dokładnie to samo, co poprzedniego dnia i dzień wcześniej, i jeszcze wcześniej. Miała jednak wrażenie, że coś się zmieniło; czuła przyływ nowej energii, jakby na coś czekała. Od dziecka była przesądna i kierowała się znakami. Nic nie mogła na to poradzić, choć częściej na tym traciła, niż zyskiwała. Na szczęście chwile, kiedy opuszczała ją jasność myślenia, były na tyle rzadkie, że inni brali je za drobne dziwactwa, którymi nie należało się martwić. Tym razem jednak może posunęła się za daleko, odczytując te znaki jako zapowiedź pomyślnych zmian.

Po południu, kiedy właśnie wybierała się do szkoły po dziewczynki, zadzwonił telefon. Odczekała kilka dzwonek, aż włączyła się automatyczna sekretarka.

– Dzień dobry... yyy... Mówi Robert Riudaneu, praaaw... nik Amelii Xatart. Muszę... yyy... skontaktować się z Galą Marlborough Xatart w związku z... yyy... jej cioteczną babką. Ona... zmarła... yyy... a pani Marlborough jest jej najbliższą krewną. Proszę...

– Halo? Och... Dzień dobry... Tak, tak... Tu Gala Marlborough.

W pierwszej minucie rozmowa ocierała się o surrealizm. Gala niewiele rozumiała z tego, co prawnik próbował jej powiedzieć po angielsku. Mówił z dziwnym akcentem, a zdenerwowanie utrudniało mu formułowanie myśli. Jego słowa były dla Gali niejasne, dopóki nie doznała olśnienia.

– Może woli pan, żebyśmy rozmawiali po hiszpańsku? Mówię w tym języku i doskonale go rozumiem.

Gala uczyła się hiszpańskiego od dziecka i chociaż zdradzał ją akcent, mogła prowadzić konwersację bez najmniejszych problemów. Kiedy wreszcie zaczęła pojmować, o co chodzi, poczuła, że planety wchodzą w koniunkcję, a przyływ energii, którego doświadczyła w pierwszych godzinach dnia, znajduje uzasadnienie. Amelia Xatart, cioteczna babka, o której istnieniu Gala nawet nie wiedziała, zmarła kilka dni wcześniej, zostawiwszy zapieczętowany testament. Okazało się, że Gala jest jej najbliższą krewną w linii prostej. Jak to możliwe? Poczuła, że ten telefon otwiera przed nią jakieś drzwi.

Po śmierci ojca, kiedy była mała, jej matka postanowiła pochować razem z mężem wszystkie swoje wspomnienia. Gala z trudem wyciągnęła z niej, że pochodził z małej wioski i że porzucił wszystko dla miłości. Czasami czuła wyrzuty sumienia, że nie pytała częściej o ojca. Jednak z tego, co mówiła matka, wynikało, że nie miał żadnych żyjących krewnych. Była tylko jakaś wieś. Nic więcej! Ten telefon wszystko zmieniał. Czyżby była dziedziczką?

Od urodzenia cieszyła się przywilejami: należała do jednej z najstarszych rodzin w Bostonie, była spadkobierczynią Marlboroughów, arystokratką z jednego z nielicznych

klanów, które mimo upływu lat potrafiły zachować swoje trzy „P” – pozycję, prestiż i posiadłości. Marlboroughowie cieszyli się poważaniem, budzili respekt, ale przede wszystkim byli bajecznie bogaci. Ona zaś miała odziedziczyć cały majątek swojej matki, Julianne Marlborough. Wprawdzie wychodząc za mąż za Fredericka wbrew woli matriarchini, zerwała z żelazną zasadą rodu – zawieraniem małżeństw z rozsądku – ale koniec końców, jej matka zrobiła to samo, bo poślubiła wieśniaka i w ten sposób ściągnęła na siebie pogardę znacznej części rodziny. Julianne wzięła udział w ceremonii ślubnej córki, ale na tym się skończyło. W dniu, w którym Gala zawarła związek małżeński, postanowiła, że nikt nie będzie kierował jej życiem: ani rodzina Marlboroughów, ani jej mąż Frederick Donovan, słynny chirurg plastyczny. Z czasem jednak dostrzegła drobny błąd w swoim rozumowaniu: wychodząc za mąż, niczego nie zmieniła, bo nadal była zależna. Zależała od męża finansowo, tak jak wcześniej od matki. Dlatego kiedy Adele skończyła pięć lat, Gala uparła się, że otworzy własny biznes, będzie pracować na swój rachunek, objawi światu talent. Przedstawiła Frederickowi kilka pomysłów: od cukierni z herbaciarnią po ekscentryczny prywatny klub dla kobiet, w którym mogłyby dyskutować, brać udział w różnych kursach, wymieniać się książkami i dzielić uwagami z innymi gospodyniami domowymi, rozpaczliwie próbującymi sprawić, żeby ich życie nie ograniczało się do wychowywania dzieci. Ciągłe odmowy Fredericka zamiast zniechęcić Galę, uczyniły ją silniejszą. Skończyła Wydział Sztuki i Humanistyki na prestiżowym Uniwersytecie Harvarda i chociaż nigdy nie wykorzystała w praktyce zdobytej wiedzy, to przecież ją posiadała i nie wątpiła, że znajdzie sposób, aby podzielić się nią ze światem mimo sprzeciwów Pana Bardziej-niż-Doskonałego.

Tamten telefon sprawił, że pograżyła się w marzeniach. To był jeden z tych dni, kiedy GPS udowodnił swoją przydatność. Sciskając kierownicę i błędząc myślami daleko, nie miała pojęcia, po jakim czasie ani w jaki sposób dotarła do Brearley School, spóźniona ponad dziesięć minut. Kate i Adele już na nią czekały, każda w innym nastroju – zgodnie ze swoim charakterem. Adele nadal entuzjasmowała się lekcjami teatru: odkryła potęgę oratorstwa i cieszyła się, że może się przebierać. Kate myślała tylko o Gotham Girls i roller derby, sporcie, który miał niewiele wspólnego z Brearley Girl. Zgodę na jego uprawianie otrzymała w nagrodę za to, że należy do grona najlepszych uczennic w klasie. Kate była inteligentna, a do tego niepodobna do innych dziewcząt. Niestety z obu tych cech wynikały pewne problemy.

Spóźnione dotarły na 211 East 49th Street, do Instytutu Cervantesa w Nowym Jorku, co prawda oddalonego od szkoły tylko o dziesięć minut jazdy samochodem, ale w Wielkim Jabłku ruch uliczny jest nieznośny, nie mówiąc o tym, że został stworzony wyłącznie dla ludzi zamożnych i odważnych. Chociaż Gala nie przejawiała wielkiego talentu jako kierowca, w każdy poniedziałek wytrwale woziła dziewczynki na lekcje hiszpańskiego. Sama w poniedziałkowe popołudnia oddawała się zgłębianiu tajników fotografii w International Center of Photography na 6th Avenue pod numerem 1133, niespełna piętnaście minut na piechotę przez Midtown West. To były jej popołudnia ze sztuką, kawą i bajglami. Uwielbiała bajgle z makiem, twarogiem i wędzonym łososiem! Bardzo lubiła poniedziałkowe popołudnia, a to uznała za szczególnie przyjemne.

Wysadziła dziewczynki, sama zaś weszła do Bagel Shop. Musiała przemyśleć poranną rozmowę i zdecydować, czy stawia się na spotkanie na drugim końcu świata dwunastego dnia dwunastego miesiąca dwa tysiące dwunastego roku o godzinie dwunastej. Wymówienie tej daty, nawet tylko w myślach, powodowało przyspieszenie tętna. Jej ciałem od stóp do głów wstrząsał silny dreszcz. Ten telefon mógł odmienić jej życie. Musiała tylko zdobyć się na odwagę i pójść za głosem intuicji. „Nawet ślepy odczytałby ten znak!” Dwunasty dwunastego dwa tysiące dwunastego o dwunastej. Dziewięć dni przed złowieszczym końcem świata przepowiedzianym

przez Majów. Jaśniej nie było można. Następna taka okrągła data wypadnie dopiero za czterdzieści lat. Wszystko wydawało się układać w coś na kształt spirali bez końca i bez sensu, ale Gala czuła, że w tym dniu jej życie może się radykalnie zmienić. „Wreszcie osiągnę niezależność i będę dysponowała własnymi pieniędzmi na zrobienie tego, co chcę!” Z powodu nadmiaru emocji i zamętu w głowie miała wrażenie, że jej mózg zaraz eksploduje. Była święcie przekonana, że nie zadzwoniono by do niej, gdyby nie chodziło o pokaźną sumę, i że załatwienie formalności zajmie nie więcej niż tydzień. To pozwoli jej wrócić na czas, żeby spędzić święta w domu. Czuła, że musi to zrobić, nie pytając nikogo o zgodę, nawet nie prosząc o radę, ani nikomu o niczym nie wspominając.

– Frederickowi... niezbędne minimum! Mojej matce... Lepiej, żeby nie wiedziała!  
– szepnęła.

Czuła, że serce wali jej tak mocno, jakby zaraz miało pęknąć. Naszła ją nieprzeparta ochota, żeby zmoknąć na deszczu, przejść się bosą po Central Parku, zrobić placek ze śliwkami z rodzynkami i orzechami i zjeść od razu całą porcję. Podobnie jak jej mała Adele, ona też zawsze marzyła o znalezieniu skarbu. Ciekawe, że ten skarb... właśnie zapukał do jej drzwi!

Sprawdziła godzinę na komórce: za dwadzieścia szósta dziesiątego grudnia dwa tysiące dwunastego roku. Zaczęło się odliczanie, żeby wszystko ogarnąć i zdążyć na spotkanie z prawnikiem, którego nazwiska nawet nie zanotowała. Otworzyła aplikację Google Earth, którą Kate zainstalowała jej w telefonie, żeby podpatrzeć – to właściwe słowo – wieś z daleka. Nie знаła nazwy ulicy, żadnego adresu, tylko nazwę miejsciny: La Muga. „Ile to kilometrów stąd? Gdzie jest najbliższe lotnisko? Jak dojedziemy na miejsce?” Znowu sprawdziła czas – minęło zaledwie kilka minut. Punktualnie o szóstej, już trochę spokojniejsza, postanowiła, że spotka się z prawnikiem. Głowa pękała jej od nadmiaru pytań i wątpliwości. Musi potwierdzić, że przybędzie na spotkanie, dzięki temu wzmocni swoją determinację i nie zmieni decyzji. Musi powiedzieć córkom, że wyjeżdżają, aby pomóc matce w szukaniu skarbu, i że jeszcze tego wieczoru mają spakować walizki. „Może lepiej to przyjmą, jeśli powiem, że chodzi o grę!” Zamknęła Google Earth, zanim znalazła wieś, bo pomyślała, że lepiej nie sugerować się wyglądem tego miejsca. W końcu nie zamierzała tam zostawać, jechała wyłącznie po skarb, po pieniądze... Po spadek po ciotecznej babce!

Wykorzystała czas, jaki jej pozostał do odebrania dziewczynek, na wynotowanie wszystkiego, co powinna zrobić przed wyjazdem.

1. Paszport? „W porządku, latem byliśmy na Malediwach”.
2. Bilety lotnicze i hotel. Zadzwonić do biura podróży – wszystko załatwią. „Jakie jest najbliższe lotnisko? Madryt?”
3. Zadzwonić do dyrektorki Brearley School i poprosić o zgodę na nieobecność dziewczynek i ich powrót po świętach Bożego Narodzenia. „Śmierć członka rodziny to bardziej niż wystarczający powód”.
4. Walizki. „Co zabrać? Nie ma czasu na długie zastanawianie. Sprawdź pogodę i spakować jak najwięcej rzeczy”.
5. Szczepienia? Na chwilę przestało jej bić serce. Zawahała się, czy podróż do Hiszpanii wymaga jakichkolwiek szczepień. Strach zniknął po kilku sekundach – tyle czasu potrzebowała, żeby skorygować swój błąd: choć leży o rzut beretem od Afryki... Hiszpania to mimo wszystko Europa.

6. Frederick...

Nie miała ochoty teraz się z tym mierzyć, zwłaszcza nie wyobrażała sobie chwili, kiedy oznajmi mężowi, że wyjeżdża na tydzień z córkami, aby odebrać spadek po nieznannej krewnej.

Miała jeszcze trochę czasu, postanowiła więc zająć się drugim punktem: zadzwonić do

biura podróży i poprosić o zarezerwowanie biletów. Rozmowa trwała zaledwie pięć minut, Gala nie miała dużo czasu. Na szczęście Nathaly, do której zwróciła się o pomoc, w lot wszystko pojęła. Punkt szósta – no dobrze, szósta dwie, jeśli chcemy być dokładni – musiała wyrzucić wszystko z torby, żeby znaleźć karteczkę, na której zapisała numer telefonu do adwokata ciotecznej babki. Szybko się z tym uporała, wystukała numer i niecierpliwie czekała na połączenie, odchrząkując, żeby głos jej nie zawiódł już na początku rozmowy.

– Dzwoni Gala Marlborough. Byłam umówiona z...

Nie pamiętała nazwiska adwokata. Zrobiło jej się wstyd z powodu tego niedopatrzenia, ale zanim poczuła gorąco ogarniające ją w takich sytuacjach, głos po drugiej stronie rozwiązał jej wątpliwości.

– Robert Riudaneu. To ja, pani Marlborough. Rozmawialiśmy niespełna trzy godziny temu o testamencie pani ciotecznej babki, Amelii Xatart.

Połączenie trwało niecałe dwadzieścia minut. Wystarczająco długo, żeby zorientowała się w sytuacji i pozbyła napięcia. Młody człowiek wydawał się doskonale znać swój fach i wszystko już zaplanował. Może także zorganizować podróż, nie musiałaby się więc niczym martwić.

– Kłopot polega na tym, że nie przyjadę sama. Będą mi towarzyszyć moje dwie córki, Katherine i Adele.

Nie mogła uwierzyć, że cioteczna babka wszystko wcześniej załatwiła. Nie ulegało wątpliwości, że wiedziała o jej istnieniu, a nawet darzyła ją pewnym szacunkiem i taktownie podeszła do sprawy. Gala nie była pewna, czy powinna się zdać na nieznanego. W końcu postanowiła przyjąć ofertę, ale tylko połowicznie. Ona (czyli Nathaly) zajmie się biletami, a pan Riudaneu wynajęciem samochodu z kierowcą, który odbierze je z lotniska i zawiezie do wsi La Muga.

– Chce pan powiedzieć, że jest wskazane, abym zatrzymała się w tym domu?

– Taka była wola pani babki. Chociaż... jak pani sobie życzy; nikt pani do niczego nie zmusza.

Na pewno najwygodniej byłoby im w hotelu z czterema lub więcej gwiazdkami. Ale taki wybór jej zdaniem źle wróżył i byłby wielką niegrzecznością wobec uprzejmości babci, która okazała jej taką szczodrość. Znow wzięła górę jej skłonność do wiary w przesady – pomyślała, że woli znosić niewygodny niż sprzeciwić się woli zmarłej.

– Postanowione! Będziemy spały w domu. Przynajmniej pierwszej nocy. Jeśli dziewczynki – to była zawsze dobra wymówka – nie będą się tam czuły źle, zostaniemy na cały tydzień.

– Tydzień?

Gala wyczuła zaskoczenie w głosie Riudaneu, postanowiła jednak wzmocnić pewność siebie i zapanować nad wątpliwościami, dlatego nie dała prawnikowi sposobności do wygłoszenia opinii na temat długości ich pobytu.

– Tak, tydzień.

Pan Riudaneu właściwie odczytał oschłą odpowiedź i powstrzymał się od komentarza. Zanim odłożył słuchawkę, przekazał jeszcze jedną informację. Z powodów zawodowych nie będzie mógł odebrać ich osobiście. Sumitował się długo, z uprzejmością, którą wykazał w czasie całej rozmowy, aż Galę znużyły jego tłumaczenia. Mieli się spotkać w sąsiedniej miejscowości, Pereladzie, dwunastego dnia dwunastego miesiąca dwa tysiące dwunastego roku o dwunastej w południe. Przy pożegnaniu życzył miłej podróży, jej i córkom: „Katherine i Adele”. Zdziwiło ją, że pamięta ich imiona. Ten człowiek zdecydowanie był profesjonalistą.

Przygotowania do podróży przebiegły szybko i gładko. Dużo trudniej było za to wyprawić się z domu z dwiema córkami, zachowując przy tym spokój. Opłacało się jednak

stracić panowanie nad sobą, żeby postawić na swoim. Gala była jedną z Marlboroughów, więc nawet pożar w mieszkaniu nie wyprowadziłby jej z równowagi. Jednak tamtego wieczoru cisnęła pizzą w Pana Bardziej-niż-Doskonałego. Tak! Jedli pepperoni z dodatkową mozzarellą, bo był poniedziałek, dzień pizzy. Frederick miał zwyczaj, że tego dnia nigdzie nie wyjeżdżał, dzięki czemu mieli szansę na wspólną kolację przynajmniej raz w tygodniu. Zanim mąż wrócił do domu, przeprowadziła rozmowę z Kate i Adele. Zabrała je do salonu, kazała im usiąść na jednej z kanap, sama zajęła miejsce na białej otomanie naprzeciwko i w milczeniu czekała, aż przyjdzie jej do głowy najbardziej odpowiednie zdanie, żeby ogłosić bombową wiadomość. Dziewczynki patrzyły na nią wyczekująco. Tym razem Gala postawiła na szczerość i zwięzłość.

– Jedziemy na tydzień do Hiszpanii. Same, bez ojca. Lecimy jutro, wczesnym popołudniem. Jakies pytania, zanim zaczniecie się pakować?

– Zwariowałaś? Ja nigdzie nie jadę!!!

Kate żuła gumę; kiedy usłyszała nowinę, o mały włos jej nie połknęła. Ona też jako pierwsza odpowiedziała matce. Aż krzyknęła, tak ją przeraziła ta wiadomość. Nie mogła opuścić pierwszego wyścigu w systemie play-off! To by było, jakby upiec ciasto, a potem nie spróbować nawet okruszka; albo pójść na plażę i się nie wykąpać. Kate wyrzuciła z siebie wiązanek obelg, mnóstwo próśb i zaklęć, bo nie chciała, żeby jej życie legło w gruzach. Opuścić wyścig finałowej rundy Roller Derby League znaczyło tyle, co porzucić jej Gothams w najgorszym momencie! Lamenty córki nie robiły na Gali najmniejszego wrażenia. Ten diabelski sport ją opętał!

Adele milczała, wołała się przyglądać. Zapowiadała się prawdziwa burza. Matka i starsza córka wdały się w nerwową dyskusję, zakończoną w momencie, gdy bezsilna Kate zamknęła się w swoim pokoju, trzasnąwszy drzwiami. Adele uważnie obserwowała całą scenę i postanowiła, że wszystkie pytania, z wyjątkiem jednego, zostawi na czas podróży.

– Mamo, gdzie jest Hiszpania?

Gala delikatnie pogładziła córkę po twarzy, popatrzyła jej czule w oczy i głęboko westchnęła.

– Nie tak daleko, Del, nie tak daleko.

Adele miała problemy z usytuowaniem różnych państw na mapie świata. Choć w Instytucie Cervantesa do znudzenia powtarzano jej, gdzie położona jest Hiszpania, żyła we własnym świecie rządzącym się swoimi prawami, co czasami oznaczało, że zapamiętywała nie podstawowe informacje, lecz te najbardziej skomplikowane. Odpowiedź Gali trochę ją uspokoiła. Im dalej, tym dla niej lepiej, więcej rzeczy do odkrycia. Zanim poszła do swojego pokoju, odwróciła się do matki i z figlarnym, a jednocześnie słodkim uśmiechem uniosła prawą dłoń, wysuwając palce wskazujący, środkowy i serdeczny.

– *Be prepared, mom*[3].

Gala odpowiedziała na jej pozdrowienie, uderzając lewą dłonią w serce i powtarzając słowa *Be prepared!* – jedno ze skautowych zawołań: żeby zawsze być gotowym do odkrywania.

Nathaly oddzwoniła z informacją, że znalazła tylko jedno połączenie, pozwalające im dotrzeć na spotkanie dwunastego dwunastego dwa tysiące dwunastego roku o dwunastej. Był to lot o ósmej rano z lądowaniem w Barcelonie o północy z jedenastego na dwunastego grudnia dwa tysiące dwunastego.

– Ach, to wspaniale!

Znowu ta data, jedyna możliwa. Gala miała pewność, że powinna wsiąść do tego samolotu i że chociaż podróż będzie długa i ciężka, wszystko pójdzie jak po maśle.

Po rozmowie z Nathaly weszła do pokoju Kate, żeby pomóc jej spakować walizkę, której jej nastoletnia córka nawet nie wyjęła z szafy. Dziewczynka leżała na łóżku ze skrzyżowanymi rękami, na uszach miała słuchawki, których głośność ustawiła na cały regulator. Kiedy brakuje

czasu na dyskusje czy negocjacje, najlepiej jest przejąć inicjatywę. Dorastająca dziewczyna najbardziej nie cierpi, gdy ktoś decyduje za nią, które ciuchy ma włożyć do walizki. Niespełna dwie minuty po tym, jak Gala przystąpiła do pakowania, Kate skoczyła, żeby wyrwać matce z rąk szary sweter z gigantyczną bożonarodzeniową choinką na środku, który od roku leżał w szafie z nieoderwaną metką. Kiedy babcia Julianne podarowała go jej na poprzednią Gwiazdkę, niewiele brakowało, a wnuczka porwałaby go na strzępy. Wóz albo przewóz. Kate wiedziała, że przegra, nie była pełnoletnia i nawet gdyby poprosiła ojca, nie pozwoliłby jej zostać. Kiedy nie jesteś w stanie pokonać wroga, najlepiej przyłączyć się do niego i udawać przyjaciela. Najdelikatniej jak potrafiła zabrała matce sweter z choinką i poprosiła, żeby wyszła z pokoju.

– Sama to zrobię, mamó.

Gala wycofała się, usatysfakcjonowana zwycięstwem. Córka wbrew swojej woli układała w stos spodnie, pulowery, T-shirty... „Wrotki?” Nie mogła skontrolować, co Kate postanowi włożyć do walizki. Zresztą to jej walizka, sama będzie ją dźwigać.

Z kolei Adele, jako kandydatka na skautkę, doskonale wiedziała, co trzeba zabrać. Jej walizka była praktycznie gotowa: wszystko starannie poskładane i porządnie ułożone w środku. Kiedy dziewczynka chciała, stawiała się niezwykle pedantyczna, skrupulatna jak jej ojciec chirurg. Wzięła ze sobą trzy ostatnie części *Opowieści z Narnii*. To był jej mały skarb.

– Wiem, mamó, to tylko tydzień...

Każda córka była zakręcona na punkcie swojego hobby. Gala nie mogła ich jednak ganić, przecież niemal siłą zabierała je do miasteczka, która nie miała nic wspólnego z rodzinnym Nowym Jorkiem. Spojrzała na zegarek, do powrotu Fredericka zostało niewiele czasu. Co spakować? Ciepłe rzeczy, możliwie wygodne. Mało sztywne, najlepiej dżinsowe.

– Wyjeżdżamy na wakacje?

Gala nie cierpiała tego wyrażającego wyższość tonu, którym Pan Bardziej-niż-Doskonały zawsze zadawał pytania. Wybiła godzina prawdy i choć sporo ją to kosztowało, przełknęła ślinę i szybko streściła mężowi całą historię: telefon plus zmarła cioteczna babka plus spadek plus podróż plus pieniądze plus powrót do domu. Prosta sprawa, załatwiana trochę na łapu-capu, ale prosta. Minęło kilka sekund, zanim Frederick zareagował na ten ciąg faktów i decyzji. Pięć sekund, po czym... wybuchnął głośnym śmiechem.

– Żartujesz sobie ze mnie?

Nie znosił planów, które go zaskakiwały, a tym bardziej niespodziewanych wyjazdów. Ponieważ Gala nie zareagowała, zdał sobie sprawę, że jego żona nie żartuje, mówiąc o podróży plus spadku plus pieniądzech plus powrocie do domu. Przecież to nie takie proste! Gala nie była głupia, tyle że miała poważne problemy z organizacją, a czas był dla niej czymś względnym.

– Tylko tydzień?

Znowu ten irytujący ton. Gala poczuła, że jej policzki pokrywają się rumieńcem; nie zносиła ironii Fredericka. Próbował ją przekonać, żeby odstąpiła od tego pomysłu. Nie dlatego, żeby jej pomóc, lecz z braku zaufania do zdolności analitycznych żony. Upierał się, że ktoś może załatwić formalności na odległość; na pewno Gala nie musi być przy tym obecna.

– Nie łatwiej byłoby przez Skype’a?

Cały ten szal pakowania walizek Pan Bardziej-niż-Doskonały wziął za żart, chwilowe wariactwo. Miał jednak świadomość, że kiedy jego żona się uprze, nie ustąpi; choćby wiedziała, że jeśli nie zahamuje, rozbije samochód o latarnię, nie wciśnie hamulca, tylko po to, żeby postawić na swoim. Rozsiadł się w fotelu i zaczął przygotowania do kąpieli. Nic ani nikt nie mógł mu przeszkodzić we wzięciu prysznica po powrocie z pracy. Zbyt uporządkowany, małostkowy i hedonistyczny – taki był Pan Bardziej-niż-Doskonały. Rozebrał się przed nią

bardzo wolno, rzucając jej jedna po drugiej części garderoby, które z siebie zdejmował. Choć Gala próbowała, nie mogła się powstrzymać od zerkania kątem oka na idealnie wyrzeźbione ciało męża. Była na siebie wściekła, ale zawsze dawała się schwytać w jego sieci, wiedział, jak trafić w jej słabe punkty i obudzić w niej uległość. Usiłowała przekonać samą siebie, że powinna przerwać tę scenę. Nie miała czasu do stracenia. Dziewczynki mogły wejść w każdej chwili. Przede wszystkim jednak przez całą tę bieganię i stres miała ubranie mokre od potu i brzydko pachniała. Odsunęła, jak mogła najdalej, głowę Fredericka, którego język próbował pozbawić ją kontroli nad własnym libido.

– Nie teraz, proszę.

Jej głos był niemal niesłyszalny. Spuściła głowę i przełknęła ślinę. Mąż ukląkł przed nią, wziął jej twarz w dłonie i zmusił, żeby na niego spojrzała. Żeby zobaczyła jego nagie ciało, w pełni naprężone i gotowe do natarcia. Delektował się tym, uwielbiał być panem każdej sytuacji, tym bardziej gdy chodziło o seks. Gala wstała, próbując się wyzwolić spod jego uroku. Frederick zatrzymał ją siłą i pchnął od tyłu. Nie zdołała powstrzymać ruchu bioder, które zakołysały się z rozkoszy. Jej ciało reagowało zawsze, niezależnie od woli, i choć tego pragnęła, równocześnie chciała, aby przestał, świadoma, że znów ma nad nią władzę. W zaledwie pięć sekund rozebrał ją, zaprowadził pod prysznic i rozsunął jej nogi. Woda płynęła wartkim strumieniem, a ona stała tam, unieruchomiona. Uwielbiał zakrywać dłonią jej usta, żeby go gryzła. Gala tak naprawdę szukała czułości, jednak jego brutalność w seksie odbierała jej rozum. Nie potrafiła nie rozkoszować się tą dzikością, zniewoleniem, udziałem w zwierzęcej zabawie. Słyszała, jak Frederick dyszy. Nie przestali, dopóki nie skończył, przygniatając ją do ściany i niemal łamiąc jej zebro. Sekundę później ją puścił; odzyskała wolność, ale jej godność sięgnęła rymsztoka. Wyszła spod prysznic, mokra, nie patrząc na niego, powstrzymując odruchy wymiotne. Frederick potrzebował perwersji, żeby funkcjonować, ona zaś tęskniła za czułością, uwodzeniem, erotyzmem innym niż pornografia, wszystkim tym, co zniknęło w ciągu zaledwie roku ich wspólnego życia. Ubrała się w pierwszy ciuch, jaki wpadł jej w ręce, i jak gdyby nigdy nic dalej pakowała walizkę, próbując przywrócić czar utracony w wyniku agresji, na którą przyzwoliła.

Pizza z pepperoni i dodatkową mozzarellą wylądowała na twarzy Fredericka w następstwie ciągu zdarzeń, gdy w końcu Gala wybuchła, ostatecznie tracąc nad sobą panowanie. To nie była zwykła kolacja, upływała w atmosferze bardziej niż napiętej. Kate protestowała i błagała ojca, żeby nie dopuścił do podróży. Frederick wzmacniał poczucie winy Galii ironicznymi docinkami i raniącymi uwagami na temat jej decyzji, która – jak wiele innych – miała wszelkie zadatki na to, żeby zakończyć się gigantyczną katastrofą.

– Jesteś jak zwykle mistrzynią pozytywnego myślenia.

Katastrofą podobną do tej, która nastąpiła, kiedy zdecydowała się nauczyć piec ciasta i fundowała im odtąd niejadalne desery. Albo kiedy postanowiła zacząć uprawiać sport, kupiła cały zestaw do joggingu i zapisała się do ekskluzywnego klubu dla biegaczy, a niespełna tydzień później rzuciła w kąt adidas i nigdy więcej nie przekroczyła granic Central Parku. Bieganie było zbyt dynamiczne, więc spróbowała sił w kilku innych dyscyplinach, takich jak pilates, joga i medytacja, trening uważności, a nawet pole dance, bo jej przyjaciółki mówiły, że jest najlepszy na mięśnie brzucha. Fakt, nie była zbyt wytrwała w postanowieniach, ale działo się tak dlatego, że po prostu nie znalazła dotąd niczego, co odpowiadałoby jej statusowi matki, bogatej pani domu, żony wielce poważanego chirurga, który szanował wszystko oprócz niej. Nie znosiła, kiedy Frederick ośmieszał ją w obecności dziewczynek. On, Pan Bardziej-niż-Doskonały, który rzadko pojawiał się w domu, ale uważał, że jest idealny. Była trochę znudzona życiem. Nie ulegało wątpliwości, że jeśli nie chce skończyć jak jej matka, uzależniona od operacji

plastycznych i bezsensownych zakupów, musi znaleźć sobie coś więcej niż oglądanie fotografii w International Center. Podróż mogła oznaczać wyzwolenie i możliwość założenia dowolnego interesu bez konieczności wysłuchiwania kazań męża albo matki. Gala była przekonana, że to jest WŁAŚNIE TA podróż. Nie zawsze dwa plus dwa daje cztery, ale kiedyś musi jej się udać, tak wynikało choćby ze zwykłego rachunku prawdopodobieństwa.

– Masz zajebiste życie. Czego więcej chcesz?

Dokładnie w tym momencie, jakby to był odruch bezwarunkowy, chwyciła kawałek pizzy pepperoni z dodatkową porcją mozzarelli, który został na stole, podrzuciła go kilka razy niczym neapolitański mistrz kuchni, zamachnęła się i cisnęła nim z całej siły. Trafiła Fredericka prosto w twarz; kawałki pepperoni i mozzarelli rozprysły się dookoła jak po eksplozji pocisku. Adele przestała przeżuwać, Kate parsknęła śmiechem i zakłęła. Frederick nie zdążył strząsnąć z siebie plasterków kielbasy, bo Gala wylała na niego wszystkie płyny, jakie znalazła na stole. Najpierw chlusnęła winem z kieliszka, potem coca-colą Kate, a skończyła na koktajlu jagodowym, który piła Adele.

– Co ty, do cholery, robisz?! Zwariowałaś?!

– Zabierasz nas na lotnisko za niecałe pięć godzin. Więc... lepiej weź prysznic.

Gala wyszła z salonu na drżących nogach i nawet nie obejrzała się za siebie, zdecydowana skończyć pakowanie walizki. Nie zamienili już z Frederickiem ani słowa. Zawiózł je na lotnisko, ucałował dziewczynki, po czym odszedł bez pożegnania, nie omieszkawszy wcześniej rzucić jej spojrzenia pełnego dezaprobaty i wyższości. Gala poczuła się bezradna, bardziej niepewna niż zwykle. Kusiło ją, żeby zadzwonić do matki i o wszystkim jej opowiedzieć, ale lekarstwo mogło się okazać gorsze od choroby. Od kiedy jej kochana mamusia poznała swojego trenera osobistego, ostatecznie straciła kontakt z ziemią. Teraz nie dało się z nią rozmawiać, chyba że chodziło o jej piąty ślub, lakiery do paznokci czy cudowne działanie kwasu salicylowego.

Podróż była długa, a finał gorszy, niż Gala się spodziewała. Na miejscu zdołała zasnąć na dwie godziny i choć powinna wcześniej wstać, nie mogła się ruszyć z tego okropnego, ponadstuletniego fotela w oplakany stan. Wszystko w tym domu było reliktem przeszłości, nowoczesność wywalono stąd na zbity pysk, a może po prostu nigdy nie dotarła do tego miejsca ukrytego przed światem. Oczy piekły ją ze zmęczenia, nie była w stanie trzeźwo myśleć. Wszystko wydawało jej się nierealne: telefon, podróż, ten dom...

Może to był tylko sen, a teraz śni we śnie? Powieki jej ciążyły; spróbowała się podnieść, chciała rzucić okiem na dziewczynki, ale fotel był jak mięsożerna roślina, która w końcu ją pochłonęła.

– Mamusiu... Mamo?

Dobiegający z bardzo daleka głos wyrwał ją z otchłani ciemności. Gala najpierw otworzyła oczy, potem zamknęła usta, a na koniec otarła ślinę, która z nich wyciekła. Na widok Adele podskoczyła. Gdzie my, do diabła, jesteśmy?, to była jej pierwsza myśl, zanim umysł w przeblýsku świadomości nie wyprowadził jej na właściwą drogę: telefon, spadek, podróż, pieniądze, dom.

– Gdzie jest twoja siostra?

Kate spała głęboko, nawet nie zdjęła butów, tak była wyczerpana podróżą. Gala wspięła się na pierwsze piętro i nie bardzo zwracając uwagę na szczegóły otoczenia, weszła do łazienki. Musiała wziąć prysznic, zanim samochód, którym przyjechały do wsi, zawiezie je na spotkanie z panem Riudaneu. Musiała się ogarnąć i przygotować do przyjęcia dobrej nowiny: zostanie oficjalnie jedyną spadkobierczynią Amelii Xatart. „Czym zajmowała się moja cioteczna babka? Ziemia? Bydło?” Gala nie miała pojęcia o pracy na wsi, była mieszcuchem, jej najbardziej



wiejski wyczyn to wizyta na ranczo: jazda konno i biesiadowanie przy suto zastawionym stole. Przez dłuższą chwilę spuszczała wodę, w końcu zrezygnowała z marzenia o ciepłej kąpieli i postanowiła się tylko obmyć. Nie obeszła jeszcze domu, ale intuicyjnie wyczuwała, że potrzeba tu czegoś więcej niż doprowadzenia go do stanu używalności... Należało go zburzyć i zacząć budowę od nowa.

Dziewczynki ubrały się i czekały na nią, złamawszy obietnicę, że nie będą niczego dotykać. To miejsce było jak grota Ali Baby i czterdziestu rozbójników! Tysiące przedmiotów, dziesiątki obrazów na każdej ścianie i mnóstwo książek. Nawet Kate, która nadal marsowo ściągała brwi, nabrała ochoty, żeby trochę pomyszkować. Zaczęła od obejrzenia starego bojlera; nienawidziła czytania instrukcji obsługi, za to uwielbiała składanie i rozbieranie różnych urządzeń. Bawiła się ich częściami jak klockami lego, a jednym z jej ulubionych zajęć było nadawanie im cech ludzkich. Zdziwił ją ten ciekawy przedmiot podłączony grubym gumowym kablem nie do instalacji gazowej, lecz do olbrzymiej metalowej zatyczki na czymś w rodzaju cylindrycznej pomarańczowej bańki. Nigdy nie widziała niczego podobnego, było jednak dla niej jasne, że to jakiś prehistoryczny akumulator. Należało go doładować albo wymienić, jeśli chciały mieć ciepłą wodę. Wprawdzie Adele radziła, żeby niczego nie dotykać, ale Kate zauważyła, że obok stoi inny pomarańczowy cylinder, bez kabla. Próbowała go przesunąć, jednak ledwo zdołała go ruszyć – był cięższy, niż się spodziewała. Stwierdziła, że wąż jest wystarczająco długi i nie ma potrzeby przenoszenia butli. Musiała tylko zdjąć zatyczkę z jednej i założyć na drugą... Zabrała się do tego w pośpiechu, przygryzając wargi z podniecenia i czując na sobie lodowaty wzrok siostrzyczki. Już miała sprawdzić, czy jej wyczyn przyniósł jakiś efekt...

– Niech ci do głowy nie przyjdzie, żeby tego dotykać! To może być niebezpieczne. Tutaj wszystko jest stare i przy pierwszej okazji... możemy wylecieć w powietrze.

Kate spojrzała na matkę wyzywająco i bez mrugnięcia okiem odkręciła kran, na którym trzymała dłoń. Odgłos działającego bojlera wywołał na jej twarzy lekki uśmiech. Wyciągnęła rękę w stronę wody, nie odrywając wzroku od matki.

– Masz zamiar zachowywać się tak przez cały tydzień?

Poczuła, że woda zmienia temperaturę, co sprawiło jej prawdziwą satysfakcję. Dalej patrzyła na matkę, nie zakręcając kranu. Rozpierała ją duma; czasem jej się wydawało, że Gala nigdy nie zaznała tego uczucia.

– Kate!!! Słyszałaś? Proszę zakręcić kran! Zakręć ten cholerny kran!

Zakręciła go tak szybko, jak się dało. Kamień i upływ czasu naraziły na szwank uszczelki. Nie wybrała sobie tego miejsca na pobyt, nie zamierzała tu zostać, żeby mieszkać jak żebraczka, bez ciepłej wody, ogrzewania i jedzenia.

– Ciepła woda już jest... Doprowadź do porządku resztę albo zabierz mnie do hotelu, gdzie da się żyć. Ten dom się rozpada!

Kate miała rację, ale Gala nie chciała dać córce satysfakcji. Nawet gdyby dom się walił, nie zrobiłaby afrontu zmarłej. Pomyślała, że spędzenie kilku dni bez luksusów będzie dla dziewczynek dobrą lekcją życia. Za bardzo przywykły do dobrobytu, dostatku, do tego, że mają wszystko w zasięgu ręki. „Co złego w tym, że przez tydzień pomieszkają w wiejskich warunkach?” Dostrzegła szansę, żeby zbliżyć się do córek, pobyc z nimi trochę bez najnowszej technologii, lepiej je poznać, doświadczyć razem przeżyć podobnych do tych z obozu na Fire Island, jednym z ulubionych miejsc Adele.

Kate miała na ten temat inne zdanie: szła z ręką wyciągniętą do góry i komórką w dłoni, bezskutecznie szukając zasięgu. To miejsce przerosło jej najgorsze wyobrażenia. Za to Adele przyglądała się wszystkiemu po obu stronach drogi, patrzyła na stare domy, ciekawa, kto w nich mieszka i jacy to ludzie. „Czy są tam dzieci, z którymi można by się pobawić?”

Uderzenie dzwonu na ogromnej wieży obwieściło godzinę, o której zgodnie z umową ktoś miał po nie przyjechać: jedenastą rano. Przechodząc przez placyk zauważyły coś, co wyglądało na niewielki sklep spożywczy. Adele podbiegła, żeby sprawdzić, co jest za szybą. Przylepiła do witryny twarz, osłaniając ją malutkimi dłońmi, żeby lepiej widzieć. W środku, na wprost starego pieca, siedziała staruszka o krótkich siwych włosach, która robiła coś na szydełku. Ciekawość zwyciężyła, więc korzystając z tego, że mama została z tyłu, dziewczynka otworzyła drzwi i weszła do sklepu. Staruszka zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów. Adele zrobiła to samo, ale nie z tak srogą miną jak tamta. Nigdy nie widziała tylu zmarszczek naraz, ta kobieta musiała być bardzo stara. W kącie, oparta o ścianę, stała antyczna laska z rzeźbionego drewna. Staruszka przerwała swoje zajęcie, zdjęła okulary, odsłaniając badawcze, zimne spojrzenie niebieskich oczu. Adele uśmiechnęła się do niej, a kobieta powitała ją lekkim skinieniem głowy.

– *Vols alguna cosa, nena?*[4]

Adele nie zrozumiała ani jednego słowa. Staruszka nie miała zębów! Kiedy mówiła, usta zawijały się jej do środka. Widziała coś takiego na filmach, ale nigdy na żywo. Poczula lekki strach. Kiedy usłyszała ten głos, dobiegający jakby z zaświatów, odruchowo odskoczyła do tyłu i wpadła na półkę, zrzucając na podłogę kilka pudełek z herbatnikami. Akurat w tym momencie weszły Kate i Gala, więc były świadkami całej sceny. Poustawiały towary, najszybciej jak mogły, przepaszając wielokrotnie staruszkę, która, nieruchoma w swoim fotelu, z pewnym rozbawieniem śledziła zmagania nowo przybyłych. Ani Kate, ani Gala nie mogły pohamować ciekawości i nie rozejrzeć się dookoła. Miejsce to wyglądałoby jak olbrzymia spiżarnia w domowej piwnicy, gdyby nie staruszka siedząca w rogu, przed żelaznym piecem z olbrzymią mosiężną rurą, za niewielką ladą, na której stała przedpotopowa kasa. „Bez tej kasy nikt by nie powiedział, że to sklep”. Kate podobało się to urządzenie, ale podejrzewała, że jest ono jedyną rzeczą nie na sprzedaż. Miejscowi musieli robić tu zakupy i choć nie było to wymarzone miejsce, na pewno dało się tu wygodnie i szybko zaopatrzyć w podstawowe artykuły spożywcze.

– Dzień dobry... Odwozicie zakupy do domu?

Adele już miała powiedzieć matce, że ta kobieta mówi innym językiem, kiedy – ku jej zdziwieniu – staruszka... odpowiedziała! Dziewczynka zamarła z rozdziawionymi ustami.

– Tutaj ludzie sami zabierają to, co kupują.

Powiedziała to tonem znacznie bardziej oschłym, niż kiedy przemówiła do Adele. Wydawało się, że pytanie Gali sprawiło jej przykrość, bo nie spojrzawszy na nią, włożyła z powrotem okulary i wróciła do szydełkowania.

Zza zasłony, niczym królik z kapelusza, wyskoczył mężczyzna o zwichrzonych włosach, dopinając koszulę.

– Niech pani nie zwraca uwagi na moją matkę. Nie lubi wizyt. Jeśli pani chce, sam mogę podrzucić zakupy.

Gala podziękowała uprzejmie i przedstawiła się, nie patrząc na staruszkę.

– Jestem Gala Marlborough, mieszkam w domu Amelii Xatart. Była... moją cioteczną babką.

Kobieta wypuściła szydełko z rąk. Uniosła głowę i w milczeniu oglądała każdy por na zaczerwienionej twarzy Gali, jakby chciała odnaleźć jakiś szczegół, znak, znamię, cokolwiek, co wydałoby się jej znajome. Zaciśnęła usta, wciągając je do środka, przez co wyglądała na jeszcze starszą. Gala zaczęła wkładać produkty do wiklinowego koszyka pod baczynym spojrzeniem staruszki, która nie odezwała się ani słowem, nie uśmiechała się i nie spuszczała z niej oczu. Ta niewychowana prostaczka, patrząca na nią wyzywająco, sprawiała, że Gala, cała spięta, musiała się powstrzymywać, żeby nie rzucić pod jej adresem jakiegoś niegrzecznego komentarza. Kate wykorzystała chwilę nieuwagi matki, żeby dołożyć czekoladę i kilka opakowań herbatników.

Adele – trzy pudełka płatków. Były jej nałogiem! We trzy napełniły trzy kosze produktami, które uznały za potrzebne, żeby przeżyć tydzień. Kiedy przyszło do płacenia, Gala zdała sobie sprawę, że nie wymieniła pieniędzy i że oprócz dolarów ma jedynie karty.

– U nas nie można płacić kartą, przyjmujemy tylko gotówkę. Ale niech się pani nie martwi. Zapłaci pani, kiedy przywiozę zakupy. O której pani pasuje?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, nie potrafiła wyliczyć, ile czasu może zająć odczytanie testamentu. To był jej pierwszy raz, a wiadomo, że za pierwszym razem człowiek jest trochę skołowany. Umówiła się na trzynastą. Zanim wyszła, skorzystała z okazji i zapytała sprzedawcę, czy zna jakąś złotą rączkę, kogoś, kto sprawdziłby bojler, piec i centralne ogrzewanie.

– Ogrzewanie? Chyba kaloryfer elektryczny, ale żeby gaz... Gaz nie dotarł jeszcze do tej wsi, proszę pani.

Kate wyszła, trzaskając drzwiami. Wiedziała, co to oznacza: że zostaną w tych kamiennych murach przez cały tydzień.

– Amat na pewno pani pomoże. Dobrze wie, jak działa ten dom. Proszę się nie martwić, uprzedzę go, że pani już przyjechała.

Gala zamyśliła się nad słowami „już przyjechała”. Co ten człowiek chciał przez to powiedzieć? Nazywał się Pau. Był synem Úrsuli, zwanej Piękną, staruszki o zachrypniętym głosie i złych manierach, niezbyt przyjaźnie nastawionej do przyjezdnych.

Gala wyszła ze sklepu, podziękowawszy Pauowi za uprzejmość, ale czuła pokusę, żeby zmierzyć się jeszcze kiedyś z Úrsulą. Adele miała na ten temat inne zdanie. Spodobała się jej ta zapyziała staruszka, w dodatku przed wyjściem dostała od niej cukierki... Czegóż więcej mogła chcieć! Wymieniły mrugnięcia okiem i pożegnały się porozumiewawczym uśmiechem. Skoro miała tu spędzić cały tydzień, lepiej zacząć szukać przyjaciół, bo nic nie wskazywało na to, że jej naburmuszona siostra będzie dobrą towarzyszką. Úrsula nie wyglądała na czarownicę z bajki o królownie Śnieżce; Adele była przekonana, że należy ona do tych dobrodusznych – dobrych czarownic wsi.

Kate zajęła już miejsce z tyłu samochodu. Adele usiadła obok i poczęstowała ją cukierkami, bardziej z grzeczności niż z chęci podzielenia się nimi. To był jej pierwszy skarb na tej ziemi i przeczuwała, że nie ostatni.

– Czy wszyscy prawnicy tak mieszkają?

Gala była równie zaskoczona jak jej córki. Po dwudziestu minutach jazdy stanęli przed wielką żelazną bramą, która otworzyła się sekundę po zatrzymaniu samochodu. Za nią ciągnęła się długa aleja, wysadzona majestatycznymi sosnami. Daleko im było do sekwoi z parku Wellington, jednak jazda pod nimi robiła wrażenie. Serce Gali zaczęło bić przyspieszonym rytmem. To była bez wątpienia dobra wróżba: taką drogą mogła dojść tylko do dużego spadku. Na jej końcu stał duży kamienny dom o wielkich drzwiach z litego drewna, z łukowatym gankiem, na który prowadziły trzy wysokie stopnie.

Kiedy wysiadły z samochodu, na spotkanie wybiegły im dwa duże psy. Tylko Gala się wystraszyła; dziewczynki, bardziej odważne, zaczęły się z nimi bawić, każda ze swoim. Pierwszy raz od przyjazdu Gala widziała Kate uśmiechniętą. Kiedy córka skończyła trzynaście lat, zrobiła się trudna we współżyciu, w miarę dojrzewania stawała się coraz bardziej drażliwa.

Siostry chciały zostać jeszcze przez chwilę w ogrodzie. Matka weszła do środka, przecięła ogromny salon ze średniowiecznym paleniskiem i wspięła się po olbrzymich schodach wyłożonych czerwonym dywanem, nad którymi wisiały obrazy. „Czy tu każdy sprawia sobie portret?” Bez wątpienia było to miejsce z innej epoki, nie z XXI wieku, w którym, jeśli tylko zechcesz, nawet fotografie cyfrowe ulegają samozniszczeniu pięć sekund po tym, jak je obejrzysz. Gala niczego nie krytykowała, nie próbowała nawet znaleźć określenia najtrafniej

oddającego wygląd tego miejsca. Po prostu nie trawiła scenerii, które przypominały dekoracje filmowe. A najbardziej dziwiło ją to, że mieszkali w nich ludzie! „Może trochę przesadzam? W końcu amisyse również żyją jak w przeszłości, ale to przecież nadal są Stany Zjednoczone”. Kiedy rzeczywistość ją przerastała, Gala miała zwyczaj wypowiadać swoje myśli, medytować, słuchając własnego głosu. Wydawało się jej, że w ten sposób łatwiej znajduje rozwiązanie zagmatwanych spraw. Na widok tych ścian naszała ją refleksja na temat różnych rodzajów patriotyzmu. W przeciwieństwie do Fredericka nigdy nie traktowała flagi jako sztandaru, ale będąc tak daleko od tego, do czego przywykła, potrzebowała jakiegoś punktu zaczepienia: bardziej niż kiedykolwiek poczuła się Amerykanką.

Kierowca zostawił ją samą w sali o powierzchni proporcjonalnej do wielkości domu. Czekala, siedząc na jednym z dwudziestu krzeseł otaczających stół. Kolejne pomieszczenie z kominkiem. „Ile tu może być pokoi? Wszystkie mają kominki?” Stare narzędzia do orania wraz z fotografiami nieboszczyków ozdabiały ściany. Nie lubiła zdjęć zmarłych, co pozostawało w sprzeczności z jej zainteresowaniem fotografią i marzeniami, żeby robić portrety. Należy jednak przyjmować życie z jego nielogicznościami, niemożliwymi do odszyfrowania przesłaniami i ścianami pełnymi obrazów ludzi, którzy już nie żyją.

– Pani Marlborough! Dotarła pani bardzo punktualnie na nasze spotkanie. Jak podróż? Długa? A dom? Odpoczęłyście? Pewnie nie bardzo...

Dlaczego zadawał tyle pytań? Pan Riudaneu wyglądał na bardziej zdenerwowanego niż ona. Zamiast oddychać normalnie i podejść w milczeniu, wołał ją przytłoczyć swoją gadaniną, ryzykując utratę tchu. Gala skoncentrowała się na powitaniu. Wyciągnęła rękę, tak jak nauczyła ją matka, i obdarzyła go grzecznym, szerokim, ale krótkotrwałym uśmiechem. Riudaneu spojrzał na wiszący na ścianie zegar, który wskazywał za dwadzieścia dwunastą. Usiadł cztery krzesła dalej niż Gala i położył na stole dwie ciężkie teczki z aktami.

– Czekamy na notariusza, bez niego nie mogę przystąpić do odczytania testamentu. A... Amat przyjdzie w połowie.

– Amat? – To imię było jej znane...

Adele i Kate obeszły ogród z dwoma psami, które służyły im za przewodników. Rezydencja otoczona była polami, które porastały niskie drzewka o poskręcanych pniach.

– Po co trzymają te drzewka, skoro obumarły?

Kate spojrzała na siostrę z rozbawieniem. Adele była bardzo odważna, ale zbyt mała, żeby zrozumieć, że drzewka nie obumarły i że wyrosną z nich winogrona.

– A jeśli wykaże się cierpliwość i włoży dużo pracy i wysiłku... będzie z nich znakomite wino!

Obie się odwróciły, żeby zobaczyć, skąd dobiega głos. Jakaś kobieta w chustce na głowie odpoczywała na ławce na wprost winnicy. Miała dłonie grubo wysmarowane kremem. Obok niej stał wiklinowy kosz z parą uszu, wypełniony mnóstwem kremów, a dalej leżały zmęczone bieganiami dwa psy, z wywalonymi na wierzch jęzorami. Najwyraźniej uznały spacer za zakończony.

– Cześć! Mam na imię Adele.

Adele zawzięła się, żeby zawrzeć z kimś przyjaźń, a z braku dzieci... nie miała nic przeciwko dorosłym. Kate była trochę bardziej mrukliwa; nie tylko się nie przedstawiła, ale na znak niezadowolenia z całej siły kopnęła butem w ziemię, wzniesając wielki tuman kurzu.

– A ja Teresa. Teresa Forgas, z winiarni Forgas. Zajmujemy się tutaj produkcją wina, wiesz?

Adele była zachwycona nową znajomą, psami i kremami. Niewiele myśląc, usiadła obok kobiety i kazała nałożyć sobie na rękę trochę kremu, który zaczęła rozsmarowywać. Uwielbiała

się kremować! Kiedy dorosnie, kupi wszystkie kremy dostępne w sprzedaży i będzie je sobie wmasowywać w stopy, dłonie, nogi i twarz. Tak jak robiła to mama, a także i ona, kiedy tylko mogła.

Kate wykorzystała chwilę nieuwagi siostry i uciekła, tracąc pouczający wykład o kosmetykach, które interesowały ją tyle co zeszłoroczny śnieg. Nie zastanawiając się długo, wkroczyła do średniowiecznego domu z kamienia i obeszła go, jakby był jej własnością. Wbiegła i zbiegła po schodach, ale nikogo nie spotkała.

– Halo!

Bawiła się z echem, mając nadzieję, że odpowiedzą jej nie tylko ściany. Weszła do dużej sali z dwiema olbrzymimi kanapami i telewizorem z epoki człowieka z Cro-Magnon. „Czyżby plazma nie dotarła jeszcze do tego kraju?” Rozwaliła się na kanapie, nie zdejmując tenisówek, i włączyła telewizor, ale po niespełna dziesięciu minutach przeszła na tryb off. Oprócz roller derby i nadawania urządzeniom cech osobowych Kate uwielbiała spać. Była śpiochem i mistrzynią w zasypianiu w najmniej odpowiednich miejscach: któregoś dnia udało się jej to zrobić na stojąco w Museum of Modern Art, w czasie kiedy matka podziwiała te nieładne obrazy, które eksperci postanowili nazwać... dziełami sztuki? „Sztuka to graffiti, na ulicy!” Zawsze powtarzała to matce, aby zapamiętała sobie, że w przeciwieństwie do niej, ona nie jest fanką muzeów. Nie miała jednak nic do powiedzenia, bo była tylko małą dziewczynką uzależnioną od rodziców.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam... Nie jestem jedyną spadkobierczynią? Kazał mi pan przelecieć Atlantyk, aby powiedzieć, że przypadła mi w udziale tylko jedna trzecia własności?

Gala o mało nie straciła panowania nad sobą. Testament był niedorzeczny, a jej cioteczna babka okazała się niegodziwą kobietą, która chciała podrwać sobie z zaświatów.

– Żeby zostać jedyną spadkobierczynią, muszę znaleźć autora jakiegoś obrazu? Kpi pan sobie ze mnie, prawda?

– Jest dokładnie tak, jak przeczytałem. Takie było życzenie Amelii. Jako jedynej krewnej z mocy prawa przysługuje pani zachówek, ale jeśli chce pani dostać cały spadek, to znaczy dwie trzecie, które pozostają do swobodnego rozdysponowania, musi pani zwrócić *Morze* temu, kto namalował ten obraz.

Wyglądało to na jakiś koszmar, ale babka rzeczywiście zorganizowała ten idiotyczny bieg z przeszkodami, żeby uczynić ją jedyną spadkobierczynią, to znaczy żeby przypadły jej w udziale wszystkie dobra. Galę ogarnęła wściekłość, że uwierzyła w pomyślne znaki i przyjechała z tak daleka. Było jasne, że nie może wrócić do domu bez spadku i że prawnik nie powie jej, jak on jest duży, dopóki nie wybierze jednej z dwóch możliwości: gra lub zachówek. Frederick na pewno upokarzałby ją przez lata, gdyby się dowiedział o jej klęsce, nie pozostawało jej więc nic innego, jak spróbować wygrać tę partię.

– A kto jest autorem? Jak się nazywa?

Riudaneu wzruszył ramionami i wygiął w dół kąciki ust. Nie miał zielonego pojęcia. Przypomniał jej tylko, że testament mówi nie o pieniądzach, ale o dobrach: o domu i szopie, której miała odziedziczyć jedynie połowę.

– Dlaczego połowę? Nawet jeśli znajdę tego tajemniczego malarza?

Tak głosił testament. W tym momencie do sali wpadł młody, niespełna czterdziestoletni mężczyzna z czerwonymi plamami na skórze, cały zlany potem.

– *Ja heu començat, oi? No passa res. Ja li vaig dir al Vicent que fèssiu, que fèssiu...*[5]

Jakim językiem mówi ten nieokrzesany człowiek? Uznała za oznakę złych manier to, że wszedł tak nieoczekiwanie, przerwał czytanie testamentu, nie przedstawiając się i bez słowa wytłumaczenia, i że mówi językiem, którego ona nie rozumie. Wyglądał na niedomytego, dłonie

miał poplamione czymś, co wyglądało na farbę, i brudne paznokcie. Odraza, jaką poczuła, była na tyle duża, że wołała uniknąć kontaktu fizycznego podczas prezentacji.

– Jestem Amat Falgons, współnik Amelii Xatart, a... teraz pani. Chciałem panią poznać!  
Witamy!

Wspólnik? Co to miało znaczyć? Gala nie zamierzała wchodzić z tym człowiekiem w styczność bliższą niż ta, która wynikała z faktu, że wtargnął do tego pokoju, a tym bardziej być jego współniczką w czymkolwiek. Nagła poprawa manier nie mogła zmienić fatalnego pierwszego wrażenia, jakie sprawił niestosownym pojawieniem się podczas odczytywania testamentu: spóźniony i niechlujnie odziany.

Riudaneu czytał dalej. Fragment o szopie, który, jak się wydawało, dotyczył ich obojga: byli udziałowcami, po połowie, szopy i tego, co się w niej znajduje, oraz firmy o nazwie VellAntic.

– Może mi pan powiedzieć, co to za Vell... hmm...

– VellAntic to firma, którą założyła Amelia i która zajmuje się restauracją starych mebli. Prawdziwych perełek pochodzących stąd i z całej Europy. Kupujemy, naprawiamy i sprzedajemy. Możemy też tylko naprawić, ale muszą to być egzemplarze przedstawiające jakąś wartość, w przeciwnym razie... polecamy klientom dobrych stolarzy artystycznych.

– Antykwariusze, tak?

W miarę jak zapoznawała się z testamentem, z każdą jego linijką czuła coraz większe rozczarowanie. Marzyła o rachunku bieżącym z dużą sumą pieniędzy, o domu podobnym do tego, w którym właśnie przebywała, i innych korzyściach kojarzonych z wiejskim luksusem. Dostała coś, co było tego przeciwieństwem: dom, w którym jest mnóstwo kurzu, za to mało światła, oraz szopę wypełnioną starymi meblami. Czuła się zbyt otumaniona, żeby to wszystko przetrwać i jednocześnie silić się na serdeczność. Pozwoliła Riudaneu dokończyć show, choć prawdę mówiąc, niewiele zostało do dodania. Po zakończeniu odczytywania niechętnie potwierdziła podpisem zgodę, zabrała swoją kopię i opuściła dom niemal bez pożegnania. Miała do wyboru: albo wyjść i zacząć krzyczeć, albo udusić kogoś z tych mężczyzn o szorstkich, dużych dłoniach.

– Kate! Adeeele! Kaaate!

Pierwsza pojawiła się Adele. Pachniała mieszaniną wonnych kosmetyków, które dostała od kobiety z ławki i obficie wtarła je sobie w skórę. Gali nie chciało się zastanawiać, dlaczego jej córka wydziela tę dziwną mieszankę zapachów, mającą niewiele wspólnego z otoczeniem. Musiała wynieść się stąd jak najszybciej, nie miała siły na dalsze zgadywanki. Nigdzie nie było widać Kate, nic też nie wskazywało, żeby usłyszała wołania matki. Już miała cisnąć jakieś przekleństwo, kiedy córka wyszła z domu razem z nieuprzejmym mężczyzną, zgodnie z testamentem – nowym współnikiem Gali. Kate miała potargane włosy i odcisnięte ślady na twarzy.

– Usnęła na kanapie. To pora posiłku... Chcecie, żebym zaprosił was do restauracji w La Mudze?

Adele, szybsza niż matka, krzyknęła żywiołowe i nieznoszące sprzeciwu „Tak!”. Gala zwinęła dłonie w pięści, starając się pohamować złość. Zacisnęła szczęki i zrobiła najlepszą z min, na jakie było ją stać, żeby potwierdzić przyjęcie zaproszenia.

– Czy to oznacza zgodę?

Nie dość, że niedomyty, ten mężczyzna nie mógł być bardziej impertynencki, ale ze względu na okoliczności Gala nie powinna go zrażać. Nie chciała zostać niczyją współniczką, tym bardziej jego, zamierzała więc sprzedać swoją część, a on musiał ją od niej kupić za jak najwyższą cenę.

– Tak, ale jak sądzę, przed jedzeniem zechce się pan trochę obmyć...

To była niegrzeczna uwaga, jednak Gala nie mogła się powstrzymać. Spoglądała na jego dłonie; wiedziała, że jeśli z nim usiądzie przy jednym stole i będzie musiała na nie patrzeć, odruchy wymiotne ma jak w banku.

Amat obejrzał swoje ręce i z uśmiechem, po którym widać było, że spotkał go afront, bez słowa przeprosin przyznał jej rację.

– W La Mudze, pani Marlborough, żyjemy z ziemi i brudzimy sobie ręce!

Kiedy skończył mówić, gwizdnął głośno. Kilkanaście sekund później pojawił się piękny koń szarej maści. Amat wskoczył na niego i zniknął, rzuciwszy przedtem Gali wyzywające spojrzenie.

Wszystkie trzy zamurowało na widok tej zaskakującej sceny. Siwek, który pojawił się znikąd! Kate uśmiechnęła się po raz drugi tego dnia i wsiadła do samochodu. Adele, zanim poszła w jej ślady, wyciągnęła rękę i pomachała kobiecie, która nie tylko podarowała jej mnóstwo kremów, ale w dodatku wyjawiała pewną tajemnicę: ta ziemia jest Ziemią Kobiet. Adele, której ciekawość sięgnęła zenitu w chwili, gdy zawołała ją matka, zdążyła tylko zapytać:

– Dlaczego tak się nazywa?

– Zrozumiesz, jeśli staniesz się jedną z nich. Nie wszystko jest takie, na jakie wygląda; czasami nie ma tego, co się wydaje, że jest, a to, co jest, objawia się nielicznym.

Według Adele kobieta mówiła zaszyfrowanym językiem, dziewczynka niczego nie rozumiała. Za to podobało jej się, że ta ziemia ma nazwę. Ziemia Kobiet! Mała odkrywczyni nie była w stanie sobie wyobrazić, jak wielki sekret kryje miejsce, które dopiero się przed nimi otwierało. Na tej płodnej ziemi nic nie mąciło cyklu zasiewów, bo przestrzegano zasad ustalonych przez matkę naturę. Teresa wiedziała o tym. Pierwszą z licznych tajemnic tego miejsca postanowiła się podzielić z najmłodszą z trzech kobiet – z Adele.

Dziewczynka niewiele rozumiała, ale ekscytował ją sam fakt istnienia sekretu. Może to jakieś magiczne miejsce pełne dziwnych zwierząt, dziwnych kobiet i pomarszczonych drzew? Tak czy inaczej, teraz i ona poznała tę tajemnicę, a jako odkrywczyni musiała sprawdzić, co tu oznacza bycie kobietą. Pochłonięta myślami i przejęta opuściła szybę samochodu, wysunęła rękę i zanim zjechały z alei wysadzanej drzewami, pozdrowiła wiatr zawołaniem skautów: *Always, always be prepared!*[6]

## II

Ziemia Kobiet? Co za bzdura!!!

Adele nie umiała długo utrzymać języka za zębami. Zbyt trudno było jej zachować tajemnicę, milczeć i prowadzić poszukiwania bez niczyjej pomocy. Próbowwała przekonać siostrę, że to miejsce jest szczególne, ale nie wzbudziła w niej zainteresowania. Kate bowiem uważała je za nieprzyjazne, zamieszkane przez szorstkich ludzi o cierpkim uśmiechu, witających się na odległość. Sama zaprzątnięta była szukaniem czegoś zupełnie innego. Musiała za wszelką cenę znaleźć zasięg, żeby porozmawiać z Gotham Girls i dowiedzieć się, czy wygrały i czy jej wyjazd nie przeszkodził im w wejściu do finału. Kate okazywała ten rodzaj wyniosłości, który upewnia otoczenie, że środek świata przechodzi przez jej pępek. W szkole z nikim się nie przyjaźniła, bo zdaniem koleżanek była dziwna, przekraczała obowiązujące granice i miała szczególne upodobania. Początkowo cierpiała z tego powodu, potem zrozumiała, że brak akceptacji przez innych świadczy o jej przynależności do swego rodzaju elity społecznej: grupy ludzi wyjątkowych. Była dumna z tego, że nie jest taka jak inni, że wyróżnia się z tłumu. Adele podziwiała siostrę, ale nie rozumiała stanu, w jakim się ona ostatnio znajdowała. Kiedy ktoś próbował nawiązać z nią bliższe relacje, Kate zachowywała się jak jeżozwierz: kłuła, raniąc z zewnątrz i od środka.

– Jesteś odkrywczynią, Adele, skautką, ale któregoś dnia zrozumiesz, że lepiej ci się ułoży w życiu, jeśli będziesz samotnym jeźdźcem.

Adele, co prawda, nie znała się na jeźdźcach i życiu, ale uważała za niezbyt rozsądne skręcanie papierosa, gdy w pobliżu była mama. Matki mają bardzo dobrze rozwinięte zmysły i potrafią wyczuć na kilometr każdy wybryk, a już na pewno zapach tytoniu.

– I co z tego, że mnie nakryje?

Kate było wszystko jedno. Nikt jej przecież nie pytał o zgodę na przyjazd do wsi, gdzie jedyną atrakcją stanowiły jakiś absurdalny spadek, tajemniczy obraz i mieszkańcy, którzy uparli się, żeby z daleka witać ludzi.

– Wiesz co? Mogłabym uciec w tej chwili i wrócić do domu, ale nie robię tego, bo nie chcę zostawiać cię samej z mamą. Jest jakaś dziwna, ma obsesję na punkcie tego przekłętego obrazu. A to miejsce... nudzi mnie, Adele! Hmm... Wiedziałaś, że tu się urodził dziadek?

Adele rysowała na piasku znaki nieskończoności palcem wskazującym prawej ręki, podczas gdy siostra przekazywała jej wszystko, co wiedziała o dziadku Romanie. Było tego niewiele: bardzo przystojny, bezrolny wieśniak rozkochał w sobie babcię Julianne, kiedy spędzała wakacje w Europie. Wbrew rodzinie Marlboroughów Julianne wyszła za niego za mąż i zabrała go do Bostonu.

– Kiedy mama miała pięć lat, dziadek umarł na atak serca. Wtedy babcia zwariowała i już nigdy więcej o nim nie mówiono. Koniec pieśni!

Kate opowiadała siostrze historię dziadka Romana setki razy, potrafiła ją powtórzyć co do przecinka. Nie chciała słuchać o tej Ziemi Kobiet, ale w rzeczywistości oszukiwała samą siebie, bo wszystko, co związane z dziadkiem, zawsze bardzo ją interesowało. Była jednak zbyt dumna, żeby przyznać, że chce się dowiedzieć więcej o nim, o jego życiu i... o tej wsi?

– Możemy popytać, pewnie ktoś znał... hmm... dziadka! – wypaliła Adele, puszczając do siostry oko.

Kate była zajęta zapalaniem papierosa, którego tak źle skręciła, że rozpadł się przy pierwszym zaciągnięciu. Kawalek bibułki został jej w kąciku ust, reszta w strzępkach uleciała w powietrze. Adele parsknęła śmiechem. Kate posłała siostrze mordercze spojrzenie, ale zaraz



poszła w jej ślady. Czasami miała wrażenie, że to jedyna istota na świecie, która ją rozumie. Wstała z ławki, strzepnęła resztki tytoniu, uschniętym źdźbłem trzciny, które znalazła po drodze, narysowała na ziemi poziomą kreskę, przyjęła pozycję startową, puściła oko do Adele i na raz, dwa, trzy ruszyła ile tchu w piersiach. Biegła, dopóki starczyło jej powietrza w płucach, po drodze o mało nie zgubiła adidasa. Udała, że zwycięsko dociera do mety, jakby brała udział w wyścigu, zwolniła i pochyliła się, żeby uniknąć hiperwentylacji. Po chwili dogoniła ją Adele, z trzcina w dłoni i gotowym wynikiem.

– Sześćdziesiąt siedem! Wytrzymałaś sześćdziesiąt siedem!

Z powodu niedotlenienia Kate nie była w stanie się odwrócić, żeby spojrzeć na siostrę. Powoli dochodziła do siebie, kiedy przejmujący dźwięk, dużo głośniejszy od zwykłego klaksonu, znowu pozbawił ją tchu i niemal przyprawił o zawał serca.

– *Neeeneees, neenes... Auuu, fora d'aquí!!![7]*

Kobieta na zielonym traktorze o olbrzymich kołach ogłuszyła je przenikliwym odgłosem klaksonu swojego toczącego się potwora. Zatrzymała się tuż przed nimi, wyrzucając z siebie niezrozumiałe słowa, skierowane pod adresem niebios i dziewczynek. Tomasa zwana Bogaczką była krzepką kobietą, miała kwadratową twarz i małe niebieskie oczka. Stała przed siostrami, zdjęła słomkowy kapeluszek i strzepnęła nim kurz z tydek. „Kolejna szpetna staruszka!”, pomyślała Kate.

– Panienki, jesteście na terenie prywatnym. Wiedziałyście o tym?

Kate popatrzyła na nią wyzywająco i zanim odpowiedziała, rozejrzała się dookoła. Skoncentrowana na biegu, nie zauważyła, że minęła ogrodzenie i znalazła się w gigantycznym hangarze z ustawionymi jedna na drugiej setkami, a może nawet tysiącami skrzynek pełnych owoców i warzyw.

Tomasa nie wiedziała, kim są te małe intruzki, miała za to bogate doświadczenie, jeśli chodzi o drobnych złodziejasków. Adele postanowiła się przedstawić, zanim siostra narazi je na nieprzyjemności ze strony tej kobiety o wielkich dłoniach i zabłoconych butach.

– Jesteśmy Adele i Kate Donovan Marlborough, córki Gali Marlborough, jedynej spadkobierczynie swojej nieznannej cioci, która nie pamiętam, jak się nazywa.

Powiedziała to bardzo głośno, z najlepszym akcentem, na jaki ją było stać, wyprostowana, obserwując spod oka kobietę sierżanta.

– Amelia Xatart?

Obie potwierdziły skinieniem głowy, czekając na reakcję. Była identyczna jak u staruszki ze sklepu spożywczego i tej drugiej, u której jadły z nowym współnikiem mamy. Wszystkie kobiety zachowały się tak samo: otwarte usta, głębokie westchnienie, żabi wytrzeszcz oczu i opadnięte ręce. Pięć sekund później – zapewne tyle czasu potrzebował mózg, żeby przyjść do siebie po wstrząsie – mówiły:

– A więc... Gala... przyjechała do La Mugi...

– Przyjechała po pieniądze i jak tylko je dostanie... wynosimy się stąd! – rzuciła Kate, świadomie dobierając słowa.

Nagła słodycz w głosie kobiety jej nie zwiódła i nie zmiękczyła, dziewczynka nadal miała się na baczności. Staruszka wbiła w nią ostre spojrzenie i niespodziewanie wybuchnęła śmiechem, aż z ust pociekła jej ślina. Rechotała tak przez kilkadziesiąt sekund, a one nie rozumiały, co ją tak rozbawiło. Nie wiedziały, jak się zachować. Tomasa wciąż się śmiała, coraz głośniejsze, aż w końcu raptownie zamilkła.

– A co robicie na mojej ziemi?

Nie było to uprzejme ani przyjazne. Nie zaproponowała im oczywiście, żeby wzięły sobie po jabłku z tysięcy, które leżały w setkach skrzynek ustawionych jedna na drugiej. Długim

kościwym palcem, prostym jak strzała, pokazała im drogę do wyjścia z prywatnej posesji i ostrzegła, żeby jej nie nachodziły, chyba że zostaną zaproszone.

– Jesteśmy dziećmi, proszę pani, nie wampirami. Nie widzi pani?

Kate lubiła odpowiadać na ataki zdaniem bez sensu, żeby zawsze mieć ostatnie słowo. Wzięła siostrę za rękę i wyszła, powstrzymując się od nawymyślania temu bykowi w kobiecej skórze.

Maszerowały pospiesznie jedną z niewyafaltowanych dróg wsi. Były tam zaledwie dwie ulice o twardej nawierzchni, obie prowadziły na główny plac, przy którym królował stary kościół, zawsze zamknięty, ilekroć tamtędy przechodziły, chociaż jego dzwony biły co pół godziny. „Kto mieszka tam na górze?” Adele nie chciała odejść, nie wspiąwszy się uprzednio na dzwonnice i nie pociągnąwszy za sznur. Kiedy wróci do Nowego Jorku, będzie mogła opowiedzieć koleżankom, że udawała Tomka Sawyera w małej wsi, w której nie było dzieci, tylko sami starcy. Uwielbiała Sawyera i jego przyjaciela Huckleberry’ego Finna!

Kate ciągnęła siostrę, która szła tyłem, wyobrażając sobie, jak stoi na szczycie dzwonnicy. Były już spóźnione, nie miała ochoty na kolejne starcie z matką. Mijały na pół zrujnowane domy, wyglądające na porzucone, niemal wszystkie z opuszczonymi żaluzjami. Śpiew ptaków prawie umilkł, za to wiatr zaczynał wściekle wyć. Była pewna, że dojdą tędy do szopy ciotecznej babki mamy, świątyni starych mebli. Chociaż należała to osób, które święcie wierzą, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, nie miała ochoty sprawdzać tego w tym momencie. Rozglądała się, próbując znaleźć jakąś wskazówkę, rozpoznać słup elektryczny, kamień albo drzwi. Ale wiejski krajobraz był wszędzie taki sam, co nie pomagało w orientacji. Wydawał się znajomy, bo w każdym miejscu wyglądał identycznie. Nadal nie miała zasięgu, ale i tak na niewiele by się jej przydał; aplikacja OnTheRoad na pewno nie byłaby w stanie odnaleźć tego zapadłego zakątka, ukrytego i w gruncie rzeczy nic nieznaczącego dla rozwoju ludzkości. Tak przynajmniej sądziła Kate. „Co by się stało, gdyby ta wieś przestała istnieć?”

Adele szła za siostrą, nie mogąc złapać tchu; miała ochotę zwolnić i dokładniej zbadać teren. To, że się spóźnią, nie było aż tak ważne. Przecież niewiele mogło, a raczej nic nie mogło im się przydarzyć na tej ziemi, gdzie gdyby nie wiatr, nie poruszałyby się nawet liście na drzewach.

Kate, bliska rozpaczy, rozpoznała wreszcie dwa szerokie żółte pasy namalowane poziomo na murze, wskazujące – o ile dobrze zapamiętała – że za rogiem jest wejście do szopy.

Gala nawet nie zauważyła, że wróciły, tak była pochłonięta rozmową z Amatem. Chciała jak najszybciej pozbyć się nędznej graciarni, ale miała problem z nowym współnikiem, wieśniakiem o brudnych rękach, który okazał się zarozumiałym uparciuchem. Nie dało się przemówić mu do rozsądku, żeby ustąpił i odkupił jej część firmy. Przez cały ranek przeprowadzała z nim inwentaryzację, tracąc opanowanie i powściągliwość, przynależne dobrze wychowanej kobiecie z wyższych sfer. Była nawet o krok od nawymyślania mu „od brudnych koszul” i powiedzenia, żeby zatrzymał sobie jej część interesu i zostawił ją w spokoju. Amat odmawiał kategorycznie zapłacenia choćby jednego euro za VellAntic.

– Jeśli nie chcesz swojej części, to mi ją oddaj i... JUŻ! Zrozumiałaś?

Jak można zrozumieć podobną bzdurę? Była właścicielką połowy tego miejsca i nie miała zamiaru dawać nikomu w prezencie nawet kłębka kurzu. Musiał ją od niej odkupić, bo tak się robi w Nowym Jorku i wszędzie na świecie! Amat przez cały ranek powtarzał uparcie jak osioł: „Ani jednego euro!”. Potrzebowała innej strategii. „Zamiast mu podarować swoją część, zorganizuję licytację i sprawa załatwiona!” Licytacja? Czasami wystarczy jedno magiczne słowo, żeby zobaczyć wszystko w nowym świetle. Licytacja mogła skrócić jej męki, bo jeśli ten gbur nie zechce odkupić jej połowy, będą musieli podzielić dobra ruchome i ona sprzeda swoje temu, kto

da więcej.

– Jak sobie chcesz, ale... nikt niczego od ciebie nie kupi.

Jak może być tak bezczelny i apodyktyczny? Wierzyła w sukces: nawet gdyby mieszkańcy wsi nie zechcieli niczego nabyć, w końcu on sam by wszystko kupił. Jeśli rzeczywiście tak bardzo kochał jej cioteczną babkę, sprzedaż za marne pieniądze owocu wielu lat pracy zostałaby uznana przez miejscowych za afront. Gała uśmiechnęła się złośliwie i pogratulowała sobie w duchu doskonałego planu. W milczeniu zadziwiająco spokojnie powróciła do spisywania przedmiotów.

Amat patrzył na nią podejrzliwie, niczego nie rozumiejąc; nie wierzył w tę jej nagłą uprzejmość. Uderzyło go, że niewielka różnica pokoleniowa może tak bardzo oddalić od siebie przedstawicieli tego samego gatunku. Ubóstwiał Amelię Xatart, zawdzięczał jej prawie wszystko i nie mógł uwierzyć, że jej najbliższa krewna posiada cechy, których stara Xatart nienawidziła u ludzi: lekkomyślność, brak wrażliwości i niesamowity egoizm. Nie osądzał jej, Gała i jej brak więzi z tą ziemią budziły w nim po prostu zdziwienie. Był pewien, że Amelia krzyczy z wściekłości gdzieś w innej galaktyce i wali łaską z głową lwa w asteroidy. Zdawał sobie sprawę, że właśnie woli tej kobiety zawdzięczał powrót na właściwą drogę w życiu. W wieku dwudziestu siedmiu lat rozchorował się z powodu zawodu miłosnego. Musiał wrócić do La Mugi, z licencjatem z chemii, dwiema walizkami oraz mnóstwem fotografii budzących fale wspomnień, nadających się tylko do spalania. Odszedł stąd dla miłości, uczucia, do którego podchodził z przykładną nabożnością, przekonany, że trzeba mu się poddać. Ale jak wielcy mistycy, których w pewnym momencie opuszcza wiara, tak i on ją utracił, gdy został pobity, skopany i porzucony, zanim zdążył poczuć, że coś się zaczyna. Tak upadł na duchu, że zamilkł. Czuł, że dusza ucieka z jego poturbowanego, śmiertelnie poranionego ciała. Przez wiele miesięcy był trupem bez życia, nieobecną istotą, która straciła wszelkie złudzenia. Jego matka Nalda, nazywana Czerwoną, rozpaczliwie szukała uzdrowicieli, psychologów i pięknych kobiet, kogoś, kto mógłby zdjąć z niego tę klątwę. Próbowala go uzdrowić, sięgając po najbardziej kontrowersyjne metody. Chodziła nawet do różnych przewodników duchowych, ale nikt nie znalazł sposobu na przywrócenie Amata do życia. Nigdy by nie przypuszczała, że jej wielka przyjaciółka Amelia Xatart znajdzie cudowny lek: „Dużo papieru ściernego i litry politory!”.

Godzinami Amat czyścił meble papierem ściernym, tygodniami w milczeniu zdrapywał warstwy lakieru i czuł, że jego ból, jego chroniczny smutek powoli ustępuje. Czuł, że żyje w dziwnej symbiozie z zabytkami przeszłości. Godzinami naprawiał je cierpliwie i pieczołowicie, przywracając im dawny blask. Wydawało mu się, że te stare graty, dla większości ludzi pozbawione duszy, wzbudzają w nim chęć walki i oczyszczają jego wnętrze. Przez sześć miesięcy Amelię i Amata łączyły krótkie zdania i długie godziny milczenia. Przez sześć miesięcy nie opuścił ani jednego dnia w pracy, nie spóźnił się nawet o minutę. O ósmej rano pukał do drzwi szopy i po nieśmiałym powitaniu szedł do swojego kąta, gdzie pracował bez wytchnienia do obiadu. Po południu – identyczny rytuał. Czerwona Nalda nie mogła uwierzyć, że jej syn odnalazł sens życia w najmniej oczekiwanym sposobie – dzięki starym meblom! Będąc chemikiem z wykształcenia, eksperymentował, wymyślał różne mikstury, dziwne smarowidła i pigmenty ziemne, które rozślawiły VellAntic jako jedyny w swoim rodzaju przybytek, gdzie do każdego mebla dorabiano duszę. Ludzie różnych narodowości i z różnych krajów przyjeżdżali do warsztatu, żeby podziwiać to wypracowane piękno, bili się o meble, dzięki którym leczyli stare rany, a wokół firmy narastało coraz więcej legend. VellAntic rósł jak na drożdżach, klienci ściągali tu jak do Lourdes, żeby znaleźć dla siebie mebel: sekretkę, etażerkę, szafę ścienną, stół, krzesło czy schodki. Musieli zdobyć lek, który uzdrowiłby ich chore dusze, uwolnił ich od trosk i od zwiędłych emocji. Amelia i Amat próbowali powstrzymać rozprzestrzenianie się wiary

w uzdrawiającą moc mebli, ale legenda szybko się rozchodziła, przekraczając góry, rzeki i granice. Amelia doceniła osiągnięcia Amata i z mądrą pokorą zaproponowała mu, żeby został jej współnikiem. Był to początek przyjaźni, czegoś w rodzaju miłości między matką a synem, o którą Czerwona Nalda nigdy nie była zazdrosna. Jej syn zmartwychwstał, narodził się na nowo. Cierpienie zmieniło go w wyjątkowo wrażliwego człowieka.

– Słuchasz mnie? Eeeooo... – Gala próbowała skupić na sobie rozproszoną uwagę Amata.  
– Nie mógłbyś wydrukować całego spisu? W ten sposób szybciej by nam poszło z podziałem.

Żadne z tych słów nie zostało wypowiedziane ostrym tonem. Żeby to osiągnąć, musiała hamować złość, szczypiąc się w skórę. Była nadal miła, ugodowa i – czemuż by nie – uwodzicielska, na tyle, na ile dało się taką być przy tym topornym mężczyźnie.

Amat patrzył na Galę, starając się ją przejrzeć: z wyglądu do złudzenia przypominała swoją cioteczną babkę. Jednak podobieństwo fizyczne do Amelii Xatart było ironią losu, i to w złym guście, bo mimo wysiłków nie potrafił doszukać się w tej kobiecie jakiegokolwiek zalety. Miał ochotę się poddać i uznać za pokonanego, ale pamiętając, jak wiele zawdzięcza Amelii, nie uległ pokusie i skupił uwagę na właściwym celu: chciał wzbudzić w Gali zainteresowanie, żeby ta zarozumiała bogaczka z kosmopolitycznego miasta poczuła szacunek dla swoich przodków, a przede wszystkim dla pracy babki, wielkiej Amelii Xatart. Musiał tylko dotrzeć do duszy tej upartej burżujki, o ile w ogóle ją miała, i spróbować ją naprawić.

Po drugiej stronie sterty drewna i złomu przed owalnym, łuszczącym się lustrem klęczała Adele. Patrzyła na swoje odbicie w milczeniu, z nadzieją, że spotka ją coś magicznego. Była przekonana, że to miejsce jest zaczarowane, zamieszkane przez niezwykle niewidzialne istoty, gnomy, które nocą pomagały Amatowi i zmarłej babci jej matki w naprawianiu mebli. Widziała kiedyś w telewizji film dokumentalny o malutkich istotach, które wspierają ludzi będących w największej potrzebie. Trzeba tylko w nie wierzyć i je wezwać.

Kate zmęczyło słuchanie rojeń siostry, miała dosyć wygłupiania się po drugiej stronie lustra, żeby ściągnąć Adele na ziemię. Niezadowolona i znudzona, klapnęła na wielki, zniszczony skórzany fotel, z nadzieją, że czas zacznie płynąć szybciej.

Adele tkwiła nadal przed lustrem, pogrążona w myślach, przekonana, że w końcu coś się wydarzy, że to tylko kwestia cierpliwości i głębokiej koncentracji. Zamknęła oczy, zacisnęła pięści i pomyślała życzenie...

– Pragnę, pragnę, pragnę... Pragnę...

Zanim wypowiedziała magiczne słowa, usłyszała:

– *Què fas?*[8]

Nie miała odwagi otworzyć oczu. Nie rozumiała, co do niej mówią. Znowu ten dziwny język... Jeszcze mocniej zacisnęła pięści i żarliwie powtarzała życzenie. Coraz wyraźniej czuła czyjąś obecność, wciąż nie wiedziała, co to takiego, ale chciała nawiązać z tym głosem kontakt. Nie otwierając oczu i nie rozluźniając pięści, wciągnęła powietrze i wypaliła prosto z mostu:

– Nie rozumiem cię, nie wiem, co mówisz, nie znam twojego języka. Nie jestem stąd. Nazywam się Adele, a ty? Rozumiesz mnie? Halo? Jesteś tam?

Zapadła cisza. Spodziewała się jakiejś odpowiedzi, ale ta nie nadeszła. Siedziała jeszcze chwilę z zamkniętymi oczami, po czym opuściła dłonie i nie bez lęku uniosła powieki. Obawiała się, że spłoszyła zjawę, mówiąc zbyt głośno. Ku swojemu zdumieniu odkryła, że za lustrem stoi chłopczyk o wąskich wargach i wielkich, zielonych tęczówkach, okrągłych niczym kule bilardowe, i patrzy na nią jak skamieniały. Kiedy zobaczył, że Adele otwiera oczy, na jego twarzy pojawił się delikatny uśmiech. Zamrugał kilka razy, podniósł prawą rękę i bez słowa pomachał jej na powitanie. Dziewczynka wysunęła lewą rękę i powtórzyła jego gest, jakby w lustrzanym odbiciu. Przez kilka minut naśladowali wzajemnie swoje miny, unosili brwi i palce,

aż w końcu chłopczyk zakończył tę zaimprovizowaną zabawę, wyszedł zza lustra i nieśmiało zbliżył się do Adele.

– Jestem Marc. Co tu robisz?

– Przyjechałam z mamą i siostrą. A ty?

Rozemocjonowana Adele wiedziała, że w końcu znalazła przyjaciela, drugiego odkrywcę zaginionych planet i dziwnych istot. Zanim odezwała się do Marca, zamknęła oczy i jeszcze raz mocno zacisnęła pięści. „Dziękuję!” Poszło tak łatwo i szybko: niewidzialni przyjaciele zesłali jej nowego kolegę, towarzysza przygód, który nie tylko mówi tutejszym językiem, lecz także ma tyle samo lat co ona i może opowiedzieć jej o tajemnicach wsi.

Marc był wnukiem Czerwonej Naldy, bratankiem Amata; mieszkał z rodzicami w starym domu dziadków.

– Widziałaś kiedyś krowę?

Adele zaprzeczyła ruchem głowy; nie widziała też kur znoszących jajka, ale słyszała za to, jak pieją.

– Kury nie pieją... Pieją koguty!

Adele nie mogła ukryć rumieńca. Niewiele wiedziała o zwierzętach, tylko tyle, ile nauczyła się w szkole. No i jej przyjaciółka Marié miała psa i kota: Jeffriego i Raffiego. Marc zdawał się dobrze znać na krowach, świniach, kogutach, kurach, koniach... Nawet na myszach!

– Mój ojciec łapie je w pułapki. Kładzie do środka ser, ale nie wie, że ja je psuję, żeby myszy w nich nie umierały. Nie lubię, gdy zwierzęta umierają... Nawet świnie!

– Oglądałeś *Ratatouille*?

Marc entuzjastycznie potwierdził. To był jeden z jego ulubionych filmów. Poza tym, że kochał zwierzęta, uwielbiał siedzieć w kuchni: wyrabiać ciasta i mieszać składniki.

– Lubisz gotować? – zapytał.

– Bardzo lubię muffinki czekoladowe. Umiesz je robić?

Marc otworzył szeroko oczy, które wyrażały zdumienie i gotowość podjęcia nowego wyzwania. Nigdy nie słyszał o takich ciastkach, ale obiecał nowej koleżance, że zrobią je razem, z pomocą Agnès, u której pobiera nauki. Ta przyjaciółka jego babci, zwana Czarodziejką, była kucharką i właścicielką restauracji „La Muga”. Urzeczona Adele słuchała chłopca z otwartą buzią. Usiedli na starych skrzynkach i zapominając o bożym świecie, opowiedzieli sobie o swoim życiu. Marc był jedynakiem, ulubionym wnukiem swojej babci i w zasadzie jedynym dzieckiem we wsi. Tak naprawdę było tam więcej dzieci, ale starszych, i zawsze go ignorowały. Miał natomiast przyjaciół w pobliskim Figueres i jeśli mama mu pozwalała, spędzał popołudnie u któregoś z nich. Przede wszystkim jednak lubił biegać po wsi i odkrywać nowe zakamarki. Adele słuchała go z przejęciem, od jakiegoś czasu miała wrażenie, że serce bije jej jak szalone i że ma łaskotki w żołądku. Chciała opowiedzieć nowemu koledze mnóstwo rzeczy, ale czuła, że język odmawia jej posłuszeństwa. „Co się ze mną dzieje?” Speszyło ją, że nagle zaczęła się jąkać i nieskładnie mówić. Marc nie zwracał jednak uwagi na takie drobiazgi, tylko z dumą opowiadał o La Mudze, jej mieszkańcach i cudach tej ziemi. Nie zastanawiając się długo, złapał Adele za rękę i wyciągnął ją z szopy.

Po stu metrach zatrzymali się na skraju obsianego pola, na wprost ośnieżonego szczytu Canigó. Marc skrzyżował ręce na piersiach, wziął długi i głęboki wdech i opróżnił płuca, jakby spuszczał ich zawartość po niewidzialnej powietrznej zjeżdźalni.

– Czujesz?

Adele nie wiedziała, co powinna czuć, ale z zapalem raz po raz wciągała i wypuszczała powietrze, patrząc na pole i góry pokryte śniegiem. Robiła to tak gwałtownie i z taką częstotliwością, że o mały włos nie zemdlała. Musiała usiąść, tak bardzo kręciło jej się w głowie.

– Wszystko w porządku?

Marc przysiadł obok i cierpliwie czekał, aż koleżanka dojdzie do siebie. Ktoś nieprzyzwyczajony do czystego powietrza może się nim zachłysnąć, jeśli przesadzi, a było oczywiste, że Adele za bardzo się rozpędziła.

– To tak, jakbyś napiła się mleka prosto od krowy. Za pierwszym razem masz... sraczkę, wiesz? Ale potem organizm się przyzwyczaja.

– Pileś mleko prosto od krowy?

Marc skinął głową i opowiedział o swoim pierwszym razie. Adele była zbyt oszołomiona, żeby słuchać z uwagą, na jaką zasługiwała ta historia. Próbowała się skoncentrować i włożyła w to tyle wysiłku, że nie słyszała siostry nawołującej ją z daleka.

Kiedy Kate obudziła się z drzemki wywołanej nudą i zobaczyła, że nie ma przy niej Adele, rzuciła się na poszukiwanie. Doskonale знаła jej odkrywcze zapędy, ale wiedziała też, że młodsza siostra nie potrafi sama wrócić do punktu wyjścia. Uspokoila się, gdy zobaczyła, że dziewczynka siedzi na skraju pola obok jakiegoś chłopca, ale jednocześnie wpadła w złość wywołaną zazdrością, że Adele potrafi się bez niej obejść. Rozładowała wściekłość, krzyząc:

– Adeeele! Aadeeele! Deeel!

Marc odwrócił się, żeby powitać Kate, po czym dalej tłumaczył nowej koleżance, jak to jest z czystym powietrzem, krowim mlekiem i odchodami zwierząt używanymi jako nawóz.

– Głupia dziewczyna! – wrzasnęła Kate i kopnęła kamyk, nie odpowiadając na powitanie Marca.

Odwróciła się do nich plecami i rozejrzała po dziedzińcu. Przy drzwiach szopy, pod daszkiem z eternitu stał niebiesko-biały łazik, który miał chyba z kilkadziesiąt lat. Przypominał samochody ze starych amerykańskich filmów, które lubiła jej matka. Rękawem kurtki puchowej Kate przetarła brudną przednią szybę, żeby zajrzeć do środka. Auto nie prezentowało się najgorzej, ale była pewna, że przestało jeździć lata temu i stało jak mebel w oczekiwaniu na odrestaurowanie i sprzedanie w charakterze okazu muzealnego.

– *T'agrada?*[9]

Kate wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć, kto do niej mówi. To była chyba kolejna staruszka. Chyba, bo wełniana, o dwa numery za duża czapka, domowej produkcji nauszni i wielkie okulary w czarnej oprawce nadawały kobiecie bardziej wygląd Marsjanki niż miejscowej wieśniaczki. Była to Czerwona Nalda, opatulona w nieodłączne czerwone palto i wełnianą czapkę. Nalda posiadała całą kolekcję nakryć głowy i choć niektóre były bezkształtne, nosiła je, bo stanowiły część historii, jej własnej i wczesnych doświadczeń dziewiarskich. Czapkę, którą teraz miała na sobie, wydziergała jako jedną z pierwszych, kiedy nie opanowała jeszcze do końca robienia oczek i nie umiała trafić z rozmiarem. Niemniej to nakrycie należało do jej ulubionych, bo przetrwało, tak jak ona. Kobieta była dzieckiem hiszpańskiej wojny domowej, przeszła przez Pireneje ze swoimi młodszymi braćmi i przed dwa lata przebywała w obozie dla uchodźców, czekając, aż wojna się skończy, i prosząc Boga, żeby nie zabili jej rodziców. Miała szczęście tylko w połowie: ocalała jej matka.

– Przepraszam, to z przyzwyczajenia. Pytałam, czy ci się podoba...

Kate nawet nie drgnęła. Zastanawiała się, czy odpowiedzieć tej dziwnej babci o krótkowzrocznym, żywym spojrzeniu.

– To land rover santana sto dziewięć. Prawdziwa perełka z lat siedemdziesiątych, produkowana głównie tutaj, wiedziałas o tym? Unikatowa maszyna!

– Na pewno! Przestali ją produkować sto lat temu!

Nalda pominęła milczeniem komentarz Kate i ku zdziwieniu dziewczynki rzuciła jej kluczyki, żeby otworzyła auto. Kate złapała je w locie, ale nie od razu wykonała polecenie

ekscentrycznej staruszki.

– Otwieraj, do cholery! Wieje coraz mocniej, można zamarznąć na śmierć.

Uznała zaproszenie za interesujące – poszpera w środku tego rupiecia i kto wie, może przy odrobinie szczęścia usłyszy jego warkot.

Wsiadły, każda w innym celu, ale gotowe dzielić ograniczoną przestrzeń.

– Nazywam się Nalda, a ty, dziecko?

Staruszka ściągnęła bezkształtną czapę, przyglądała włosy i spuściwszy okulary na czubek nosa, zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów. Kate odwzajemniła spojrzenie, żałując, że wsiadła do land rovera, bo sytuacja zmuszała ją do rozmowy z tą szorstką w obejściu babcią o czarnych, źle ufarbowanych włosach.

– Nie musisz odpowiadać ani prowadzić ze mną rozmowy. Chciałam się schować przed zimnem, a ty obejrzeć samochód z bliska. Więc... niech każda zajmie się swoim... – rzuciła Nalda.

Kate położyła dłonie na kierownicy i patrząc przed siebie, wypowiedziała swoje imię. Nie oczekiwała żadnego komentarza, ale nie mogła powstrzymać przed nim Naldy, która wcale nie straciła ochoty na rozmowę.

– Należał do Amelii, wiedziałaś? Hmm... ciotecznej babki twojej mamy.

– Nieboszczki.

Nalda zamilkła, poprawiła okulary na nosie i podpatrując dziewczynkę niczym szpieg, zabawiła się w dedukowanie: ma nie więcej niż czternaście lat, jest zła z powodu tej wyprawy, wściekła na cały świat, niezwykle wyniosła i dumna, ale rokuje nadzieje, bo wygląda na wrażliwą i bardzo inteligentną. Czerwona od razu rozpoznawała niespokojne dusze, które chcą wszystko zrozumieć, a ponieważ im to nie wychodzi, buntują się przeciwko całej ludzkości. Wiedziała, że dziewczynka siedząca obok niej ma właśnie taki charakter: jest wojownicza, uparta i spragniona wiedzy. Podczas gdy kobieta obserwowała Kate ukradkiem i zastanawiała się, jak do niej dotrzeć, ta wyobrażała sobie, że prowadzi terenówkę i ucieka z tej wioszczyny do domu, gdzie czekają na nią Gotham Girls. Marzyła o tym, żeby prowadzić, ale brakowało jej jeszcze trzydziestu miesięcy do ukończenia szesnastu lat, niezbędnych do wyrobienia prawa jazdy. Czas niekiedy płynie bardzo wolno, jak płynął Kate podczas ostatnich dni i jak będzie płynąć podczas tych, które musiały minąć, zanim ojciec kupi jej samochód. Matka się sprzeciwiała, ale tata jej to obiecał. „Będą dobre stopnie – będzie samochód”. Ich stosunki były oparte na układach i choć rzadko widywała ojca i nieczęsto z nim rozmawiała, podziwiała go, bo wydawał się robić to, na co miał ochotę.

– Ty... nie możesz już prowadzić, prawda? – rzuciła Kate.

To było podłe z jej strony. Zdała sobie z tego sprawę, kiedy usłyszała własne słowa, ale zbytnio się tym nie przejęła. W końcu Nalda naprzykrzała jej się swoją obecnością i badawczym spojrzeniem.

– Jestem stara, ale nadal wolna – odparła stanowczym głosem.

Ta odpowiedź zbiła Kate z tropu na kilka sekund. W sposobie bycia kobiety i jej surrealistycznej replice odnalazła samą siebie. Ona też lubiła ostro się odciąć i na pytanie odpowiedzieć pytaniem. Pierwszy raz popatrzyły sobie w oczy i to, co początkowo przypominało walkę kogutów, zakończyło się wybuchem śmiechu. Kiedy uzdrawiający chichot rozładował napięcie, które powstało, kiedy się sobie przedstawiały, Nalda zachęciła dziewczynkę, żeby uruchomiła silnik i zamieniła się z nią miejscami. Kate nie kazała sobie tego dwa razy powtarzać. Trochę wrażeń w tej cichej wiosce nie zaszkodzi. Jednak po trzech próbach zdołała wydobyć z auta jedynie słaby warkot, który szybko przygasł.

– Do takich relikwii należy podchodzić jak do starych ludzi, z czułością... No dalej, land

roverze! *Au, vaaa!*

Kilka lekkich klepnięć w tablicę rozdzielczą, pieszczotliwe muśnięcie kierownicy, łagodne obrócenie kluczyka i oto rozległ się ryk lwa wzywający do... przeczesania dżungli! Rozemocjonowana Kate uderzyła dłonią w schowek.

– Super!

Zanim wyjechały na otwartą przestrzeń, land rover na chwilę się zatrzymał: Marc i Adele wsiedli do środka, dołączając do wyprawy.

– *On anem, àvia?*

– *A fer un volt i ensenyar a les nenes les terres de La Muga*[10].

Nalda spojrzała w lusterko wsteczne na Adele i przedstawiła się, choć mała była już doskonale poinformowana, bo Marc opisał jej szczegółowo swoje drzewo genealogiczne, poświęcając najwięcej miejsca – jakżeby inaczej – życiu i perypetiom swojej babci, Czerwonej. Ciekawość dziewczynki wzbudził zwłaszcza język, którym się posługiwali; nie miała nic przeciwko niemu, było jej po prostu przykro, że go nie rozumie i że nie może się w nim komunikować. Jeśli chce być wielką odkrywczynią, musi się nauczyć jak najwięcej obcych języków.

– I tylko tutaj tak mówicie?

Był to kolejny z uszczypliwych komentarzy Kate. Nalda, która bardzo emocjonalnie podchodziła do tej sprawy, gwałtownie zatrzymała samochód i spojrzała jej w oczy.

– To nie jest temat do żartów, panienko. Jeśli chcesz poznać historię, mogę ci ją opowiedzieć, ale nie życzę sobie żadnych kpín. Niektórzy z nas wiele wycierpieli, żeby zachować ten język i naszą kulturę. Zrozumiałaś?

Adele nie wiedziała, czy lepiej wstrzymać oddech, czy przełknąć ślinę, czy też znieruchomieć na kilka sekund. Kate wystraszyła się, widząc przekrwione oczy Naldy i czując wściekłość w jej głosie. Nie spodziewała się takiej reakcji na zwykłą uwagę na temat języka regionalnego. Zaniemówiła i tylko skinęła głową.

Czerwona ruszyła z miejsca w milczeniu. Marc szepnął Adele do ucha, że to nic osobistego, że jego babcia zawsze się wkurza, kiedy mowa o polityce albo kiedy słucha wiadomości. Oglądała je każdego ranka, po zrobieniu śniadania dziadkowi Vicentemu i ojcu chłopca, zanim wyprowadziła krowy. Miała wtedy chwilę oddechu, ale był to zarazem czas udreki. Bo oglądając dziennik, wściekała się w samotności. Potem wymieniała opinie z mieszkańcami wsi podczas gry w karty albo na jednym z kilkunastu forów, na których się aktywnie udzielała. Chociaż należała do kobiet pielęgnujących tradycje, serfowanie po internecie było jej nałogiem. Ten wynalazek okazał się błogosławieństwem dla osoby tak niespokojnej duchem i żadnej wiedzy. W dalszym ciągu Czerwona nie rozumiała, skąd się bierze ten informacyjny bezmiar, jak to możliwe, że robi „klik!” i wchodzi na nową stronę, ale była tym zafascynowana. Ona zafascynowana, a jej mąż i dzieci – zaniepokojeni ogromnym nabożeństwem, jakie żywiła do świętego Google’a, który sprawił, że od lat w każdej rozmowie oddawała mu cześć i uciekała się do jego pomocy.

Marca z kolei bawiło to, że jest wnukiem kobiety uzależnionej od komputera. W całej klasie tylko on miał nowoczesną babcie, która korzysta z poczty elektronicznej, loguje się na forach, a nawet czatuje z nieznanymi. Był z niej bardzo dumny. Dla Naldy upływ czasu wyznaczały jedynie zmarszczki i odejścia drogich jej ludzi, z którymi nie mogła już gawędzić przy kominku i chrupać prażonych migdałów. La Muga niewiele się zmieniała niezależnie od mijających lat. Ta wieś, w starożytności osada rzymska, potrafiła się skutecznie bronić przed nowymi obyczajami, świadczącymi o braku szacunku dla historii.

Skręciwszy z głównej drogi – jedynej asfaltowej – samochód ostro zahamował, bo niemal



wpadli na jadącego konno Jowa. Nalda opuściła szybę, poprawiła okulary na nosie i pozdrowiła go, nie mogąc ukryć niezyczliwego grymasu. John Winter, przez wszystkich we wsi nazywany Jowem, od dziesięciu lat pracował dla Cecylii przy hodowli koni, a w wolnych chwilach uwodził biedną chlebobawczynię, zwaną Ślepą. Było tajemnicą poliszynela, że oboje mieli się ku sobie, odkąd mąż Ślepej porzucił ją dla innej i wyjechał. Cecilia musiała znaleźć jakiś sposób, żeby utrzymać dom i ziemię. We właściwym momencie pojawił się przystojny cudzoziemiec o krzepkiej budowie ciała, prosząc o wydzierżawienie mu ziemi dla jego kłaczy. „Początek końca!”, zawyrokowała Nalda, ale dla Cecylii było to wybawienie.

– *Voleu anar a veure els cavalls?*[11]

– Babciu, po hiszpańsku.

– *Òndia*, tak. Chcecie zobaczyć konie Cecylii?

Obie siostry potwierdziły skinieniem głowy. Adele bycie amazonką wydało się ekscytującym doświadczeniem. Jow grzecznie uklonił się Naldzie. Był pierwszym człowiekiem we wsi, któremu przy powitaniu twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. „Musiałyśmy dopiero trafić na cudzoziemca!”, pomyślała Kate.

– Nie ufaj, dziecko, ludziom, którzy się miło uśmiechają. Szorstkość na początku drapie, ale jest twarda, mocna, trwała. Rozumiesz? – rzuciła Czerwona jakby na swoją obronę.

W tej krainie kontrastów, smaganej huraganowymi wiatrami, o równinach pokrytych polami uprawnymi, z zarysem Pirenejów w tle, życzliwy stosunek do innych nie należał do dóbr powszechnych. Mieszkańcy przypominali wiatr, byli nieprzewidywalni jak on, przywykli do życia na ziemi, gdzie ludzie zatrzymują się na jakiś czas i wyjeżdżają, ale tylko nieliczni wybrani zostają przyjęci na stałe.

– To ziemia wybiera miejscowych, my tylko akceptujemy porządek rzeczy.

Kate i Adele słuchały słów Naldy, ale niewiele z nich rozumiały. Całą wieś otaczał nimb tajemnicy. Mieszkańcy pojawiali się jak grzyby po deszczu, w najmniej oczekiwanym momencie, żeby zaraz rozpląnąć się bez śladu. Kate przestała słuchać wyjaśnień staruszki i skupiła się na krajobrazie. Pierwszy raz, od kiedy przyjechały, patrzyła na to miejsce z zainteresowaniem. Cisza, chmury, którym wiatr zapewniał nieskończoność, zieleń zabarwiona brązem pól uprawnych i złotem słoneczników żebrzących do słońca o swój moment chwały, kamiennych domów, które kryją w sobie tajemnice historii, i ogromnych głazów przydrożnych, których nikt nie ma odwagi ruszyć, zbeczcześcić, pewnie dlatego że są stare i święte. To miejsce było jej obce, nie oferowało żadnych rozrywek, wypełniała je cisza, jednak miało coś w sobie albo coś z niego emanowało, bo siedząc na fotelu pasażera starej terenówki, trzęsąc się na drodze wysypanej żwirem i słysząc w tle gderliwy głos Naldy, pierwszy raz poczuła błogość, spokój, wyciszenie i ochotę, żeby wciągnąć do płuc zapach tej ziemi. To wrażenie trwało zaledwie pół minuty – tyle czasu było jej trzeba, żeby otrząsnąć się z dziwnego zauroczenia i ponownie wzniecić w sobie potrzebę opuszczenia tego średniowiecznego otoczenia i powrotu do domu.

Kiedy droga się skończyła, Nalda zatrzymała land rovera. Cała czwórka wysiadła i ruszyła w pole. Stara Nalda szła powoli, ale pewnym krokiem, mocno stawiając stopy. Adele i Marc pobiegli przodem; Kate towarzyszył tuman kurzu, który wzniecała, powłócząc nogami. Wyciągnęła komórkę – raczej odruchowo niż z nadzieją, że cokolwiek osiągnie – żeby jeszcze raz sprawdzić zasięg. Bingo! Dla magii nie ma rzeczy niemożliwych, zawsze potrafi coś zaskoczyć. Jak to się stało, że na środku tej równiny porośniętej polnymi chwastami i topolami zasadzonymi w szeregu, jest zasięg? Nie zastanawiając się nad odpowiedzią, Kate stanęła w miejscu niczym jedno z tych drzew i zaczęła odsłuchiwać pocztę głosową. Miała trzy nowe wiadomości. „Któraś musi być od Gotham!” Adele krzyczała do niej z daleka, żeby się pospieszyła, ale Kate zakryła dłonią ucho, żeby odizolować się od świata i lepiej słyszeć.

Pierwsza wiadomość: Gotham Girls wygrały! Bez niej, z problemami, ale na szczęście przeszły do finału. Jessy, którą wszyscy nazywali Jersey, krzyczała do telefonu rozemocjonowana, a Kate z radości skakała po polu. Nalda skorzystała z okazji, żeby zaczerpnąć powietrza. Nagranie trwało tylko dwie minuty, ale reakcja Kate była tak żywiołowa, że wszyscy mieszkańcy tego kawałka ziemi dowiedzieli się o zwycięstwie Gotham Girls. Minimalną różnicą wygrały z Cleveland Rock Stars i pierwszy raz w historii zakwalifikowały się do eliminacji.

Szczęśliwa z wygranej, Kate odsłuchiwała następną wiadomość: od taty!

– Cześć, Kate! Jak tam wasza przygoda w tej dalekiej krainie? Twoja matka mówiła mi o kłopotach z zasięgiem... Musisz jak najszybciej do mnie zadzwonić. To nie do pomyślenia, żebyście spędziły Boże Narodzenie w tej zapadłej wsi. Ucałuj ode mnie siostrę! Wasz tata kocha was obie!

Spędzić tu Boże Narodzenie? Z pewnością chodziło o jakieś cholerne nieporozumienie między ojcem a matką. Nienawidziła tej chwili. Unosiła się na szczycie fali, świętując zwycięstwo, a ta wiadomość znowu zepchnęła ją na dno piekieł. Nadal była małą dziewczynką, nie ponosiła odpowiedzialności za nikogo, a już na pewno nie za swoją matkę i za tę przekłętą podróż. Wystarczy, że zajmuje się siostrą i nie umiera z obrzydzenia na widok tyłu pól i starców. Wściekła, że o niczym nie wiedziała, przerwała odsłuchiwanie wiadomości od babci Julianne, która tak jak ojciec chciała wykorzystać ją do skontaktowania się z matką. Nalda podeszła bliżej i próbowała uspokoić dziewczynkę, która niczym spłoszony żreback, wierzgając, ogałacała z liści wszystkie mijane rośliny. „Co mam powiedzieć tej babci, która bardziej nadaje się do psychiatryka niż do doglądania kur?” Kate nie zamierzała zostawać w tym cholernym miejscu dłużej niż uzgodniony tydzień. Bez względu na to, co zamierza jej matka, ona się stąd wynosi.

– Gdyby była pani w moim wieku i mieszkała tam, gdzie ja, czułaby się tak samo.

Adele i Marc dotarli już na brzeg rzeczki, siedzieli w kucki i licytowali się, kto znajdzie więcej kijanek. Świat zmienił oblicze dla Adele; od kiedy poznała Marca, to miejsce stało się jednym wielkim parkiem rozrywki. Patrzyła na nowego kolegę, który trzymał rękę zanurzoną w lodowatej wodzie, żeby złowić kijankę, i poczuła żal, że tak mało czasu pozostało do wyjazdu. Po co się spieszyć z powrotem? W końcu lekcje i tak ruszą dopiero po świętach... Marc odwrócił się do niej, rozentuzjasmowany, żeby pokazać stworzonko, które właśnie złapał i trzymał uwięzione w zaciśniętej dłoni. Zdał sobie sprawę, że jego nowa przyjaciółka jest smutna, ale zamiast pytać, wołał ją rozbawić, podrzucając kijankę. Adele aż podskoczyła ze strachu i mało brakowało, a zażyłaby zimowej kąpieli, gdyby nie Kate, która chwyciła ją i pomogła odzyskać równowagę. Dziewczynka nie zdążyła ochłonąć ze strachu, a już siostra zaczęła się nad nią wytrząsać, żeby przy okazji wyładować nagromadzoną złość.

Wszyscy czworo przeszli przez mostek zbudowany z kamieni i cienkich desek i ruszyli na przełaj przez pole. Niewiele dzieliło ich od miejsca, które Nalda upodobała sobie, kiedy była młoda, a teraz lubił je także Marc. Co tam mogło być ciekawego? Kate nie miała nastroju, żeby kontynuować spacer, ale Adele nalegała, by dotrzeć do celu.

– Daleko jeszcze? – zapytała Kate, wydymając usta.

– Nie powiesz mi, że w twoim wieku tak łatwo się poddajesz...

Kate wyczuła zaczepkę w głosie Naldy, więc pozostałą część drogi pokonała bez słowa. Wiedziała, że jest w mniejszości, dlatego wołała znów spróbować szczęścia z zasięgiem, żeby zadzwonić do Jersey. Złapała go, ku swojemu zdumieniu, ale nie było jej dane porozmawiać z przyjaciółką – limit na karcie został wyczerpany. Zrobiło jej się zimno w stopy i dłonie. Popatrzyła na Naldę, ale stwierdziła, że ta nie ma zamiaru przystanąć ani zawrócić. Na środku zaoranego pola rosła gigantyczna samotna sosna, której pień zdawał się sięgać nieba, a korona była tak gęsta, że deszcz nie docierał przez nią do ziemi. Adele i Marc doszli do drzewa pierwszy

i zamiast się przed nim zatrzymać, zaczęli się na nie wspinać, nie czekając na Kate. Kiedy ta zobaczyła wyczyn spragnionej przygód siostry, podbiegła szybko, żeby zapobiec nieszczęściu. Chciała skłonić Adele, żeby zeszła na dół i zamiast łązić po drzewach, zajęła się raczej łapaniem robaków. Dopiero kiedy dotarła do potężnego pnia, zauważyła szczelki z deszczulek przybitych gwoździami i linę do trzymania po obu stronach. To właśnie wtedy Marc i jej siostra weszli na górę. Nie zastanawiając się ani nie oglądając za siebie, Kate zrobiła to samo.

Na końcu drabinki ujrzała drewnianą chatkę, ukrytą wśród gałęzi i igliwia. Marc pokazywał Adele widoki, niesamowitą równinę pól otoczonych szarawymi, skalistymi górami, na której przycupnęły maleńkie osady, stare jak osiadający na nich latami kurz. Kate oglądała wnętrze chatki. Były tam dwa pojedyncze materace, mała kuchenka i zapasy wystarczające na kilka dni. W kącie stał wspianały teleskop służący do podglądania planet i liczenia gwiazd. Musiała przyznać, że zawsze marzyła o domku na drzewie, to odkrycie ją zaskoczyło. Marc wyjaśnił, że jego dziadek, Vicente, zbudował tę chatkę dla babci, która od kiedy przybyła do wsi, zabiegała, żeby nikt nigdy nie ściął tej starej pinii. Dziadek Marca zapobiegł katastrofie: przekonał własnego dziadka do pomysłu zbudowania domku i ożenku z ukochaną. Tu na górze Vicente i Nalda obiecali sobie dożgonną miłość i spędzili część miesiąca miodowego. Okoliczne ziemie były plądrowane przez nacjonalistów i stały się schronieniem dla republikanów uciekających do Francji przez pobliskie przejście graniczne. Po ślubie młodzi nie mieli pieniędzy na podróżowanie, musieli ciężko pracować, żeby mieć co jeść. Dziadek Vicente nie spał prawie cały tydzień, żeby zbudować tę chatkę. Z czasem ją udoskonalił i wyposażył we wszystko, co niezbędne, żeby można było spędzić tu kilka dni.

– A łazienka? – zainteresowała się Adele.

I ona, i Kate czuły, że czegoś tu brakuje, ale Marc nie przywiązywał do tego większej wagi. W latach młodości jego dziadków nawet w domach nie było ustępów, ludzie załatwiali swoje potrzeby na parterze, tam gdzie trzymali zwierzęta. Jako pierwsza we wsi łazienkę urządziła sobie rodzina Brugatów. Przez ich dom przewinęła się wtedy procesja ludzi, którzy chcieli zobaczyć, jak będzie wyglądała przyszłość. Nikomu nie pozwolono skorzystać z toalety, można było tylko patrzeć. Brugatowie, zamożni, ale skąpi, zgodzili się na pielgrzymkę do sedesu, żeby po raz kolejny pokazać, że są najbogatszą i najpotężniejszą rodziną w La Mudze.

Słyszac gwizdnięcie, Marc przerwał wyjaśnienia i wyszedł z domku. U stóp drzewa stała babcia Nalda. Adele pomachała do niej entuzjastycznie z jednego z okien. Nie wyobrażały sobie, że ta osiemdziesięcioletnia staruszka może wejść na górę. Nie zrobiła tego tak jak oni, po szczeblach, ale na platformie zawieszanej na linach, którą Marc spuścił na dół, kręcąc korbą. Nalda ulokowała swój zadek na czymś w rodzaju huśtawki, ponownie gwizdnęła i mocno chwyciła dłońmi za sznury. Marc z pomocą obu sióstr bez większych problemów wciągnął babcię na mały podest zrobiony z deseczek. Kate pomogła jej wstać i razem weszły do chatki, a za nimi Marc i Adele, rozbawieni całą sytuacją. Pomimo nalegań wnuka Nalda nie była tu od ośmiu miesięcy. Kiedy podeszły wiek idzie w parze z lenistwem, dawne marzenia znikają, a bezruch staje się rutyną.

Staruszka zachęciła dzieci, żeby usiadły, sama zaś włączyła maszynkę, zagrzała mleko na kakao i wyjęła z minispizarni paczkę okrągłych herbatników i tabliczkę czekolady.

– To żaden kłopot, to rytuał, prawda, Marcu? – zastrzegła.

Chłopczyk potwierdził skinieniem głowy. On i babcia spędzili w tej chatce wiele poranków i wieczorów, czytając, oglądając z wysoka otoczenie albo robiąc sobie sjęstę. Niewielu szczęśliwców miało klucz do tego azylu dla samotników i odkrywców. Wielu chciałoby popatrzeć stąd na równinę, ale tylko nieliczni dostąpili tego zaszczytu. Brugatowie nigdy nie zostali zaproszeni, z wyjątkiem Franciski zwanej Świętą, kuzynki Tomasy, z bocznej linii

Brugatów, biednej i nieszczęśliwej, bo skończyła jako służąca swojej krewnej, Bogaczki. Nalda szanowała Brugatów, ale jak mawiała: „Niepohamowaną ambicję lepiej trzymać na dystans”. Ta rodzina popierała nacjonalistów, skupowała domy, żerując na ludzkim nieszczęściu; składała się z osób, które łączyła nie miłość, a jedynie chęć gromadzenia gruntów. Władza i pieniądze za każdą cenę. Nalda splunęła, jakby chciała wyrazić dezaprobatę, a Marc powtórzył ten gest, oczekując, że na znak szacunku dla babci jego goście zrobią to samo.

Kate i Adele popatrzyły na siebie. Zrozumienie powodu nagłej ciszy i wyczekujących spojrzeń Naldy i Marca zajęło im trochę czasu. Adele splunęła jako pierwsza, rozbawiona Kate poszła w jej ślady. Rodzice nie pochwaliliby takiego zachowania, a już na pewno nie zachęcaliby do takich sposobów okazywania szacunku i dobrych manier. Dzięki tak obcym obyczajom mieszkańcy wsi zaczęli budzić ciekawość Kate.

– Czyżbyście jeszcze jadali palcami?

Nalda przyjęła ten komentarz z zadowoleniem. Udało jej się sprawić, że dziewczynka powoli zaczynała się otwierać, choć na razie tylko po to, żeby zakpić sobie z innych. Kate nadal okazywała wyniosłość charakterystyczną dla osób, które uważają się za lepsze od innych, wolą oceniać niż próbować zrozumieć. Ona i jej siostra należały jednak do rodziny Xatartów, były częścią tego miejsca, choć wiele jeszcze musiało się zdarzyć, żeby to sobie uświadomiły. Czerwona z rozbawieniem popatrzyła na starszą dziewczynkę. Nie odpowiadając na zaczepkę, podała jej filiżankę ciepłego kakao i pięć herbatników. Cała czwórka ochoczo przystąpiła do pałaszowania słodkości. Kate i Nalda prawie się nie odzywały, w przeciwieństwie do Adele i Marca, którzy chichotali i snuli zabawne marzenia.

Gala od dłuższego czasu szukała córek, rozpytywała we wsi, czy ktoś je widział. Miała wrażenie, że pochłonęła je tutejsza czerwonawa, wilgotna ziemia. Nie należała do osób łatwo wpadających w panikę, ale wydawało się jej, że tak daleko od domu i w tak prymitywnym otoczeniu musi czyhać mnóstwo zagrożeń. Kiedy masz problemy z orientacją i poruszaniem się, obcy budzą w tobie dodatkowy strach i mniej im ufasz. Takie uczucie ogarniało ją w podróży, kiedy w przypływie chęci odkrywania świata wychodziła poza szlaki dla turystów, żeby poznać życie autochtonów. W tej wsi było akurat na odwrót, wydawało się, że jest tu więcej obcych niż miejscowych. Zbliżała się pora obiadu, wokół restauracji „La Muga” przybywało samochodów. Wraz z upływem lat Agnès zyskiwała coraz większą sławę dzięki swojej kuchni, potrafiła bowiem wydobyć prawdziwe smaki tej ziemi.

Gala skręciła w jedną z uliczek i znalazła się przed posiadłością, największą, jaką do tej pory widziała we wsi. Musiała to być siedziba jakiegoś starego rodu, częściowo w ruinie, z przepiękną wieżyczką z cementu i białego kamienia zamienioną w gołębnik. „Szkoda, że moja cioteczna babcia nie miała takiego domu!” Wokół rozciągał się rozległy teren pokryty nieskoszoną trawą, na którym odpoczywało co najmniej piętnaście koni. Popijały wodę i potrząsały grzywami. Jow pozdrowił Galę z uśmiechem, nie przestając szcztokować klaczy o błyszczącym, srebrzystym umaszczeniu. Amerykanka oparła dłonie o betonowy mur, przechyliła się nad nim i zapytała, czy spotkał jej córki. Spokojnym głosem, z cudzoziemskim akcentem odparł, że widział je w starym, niebiesko-białym land roverze prowadzonym przez Czerwoną Naldę. Jakaś staruszka porwała jej córki? Ta myśl jednak uleciała, zanim Gala zdążyła ją sformułować, ale wciąż była niespokojna: osiemdziesięcioletnia babcia za kierownicą mogła przecież spowodować wypadek na szosie. Podziękowawszy stajennemu za informację, najszybciej jak mogła wróciła do szopy.

Amata nie poruszyła wiadomości o wycieczce matki land roverem wyładowanym dziećmi. Zdziwiło go tylko, że pojechała samochodem Amelii Xatart, a nie własnym. Poza tym Nalda miała zwyczaj robić takie wypadki, sama albo z kimś. Spojrzał na zegar z kukułką stojący na

starej skrzyni – była już za piętnaście piąta. Najdalej za pół godziny matka i dzieci wrócą, i po sprawie! To wyjaśnienie zamiast uspokoić Galę, zdenerwowało ją jeszcze bardziej, oczekiwała bowiem, że mężczyzna przynajmniej spróbuje ustalić miejsce pobytu Naldy, swojego bratanka i jej córek. Powinien się do czegoś poczuwać, w końcu to jego niewinna jak baranek mamusia zabrała bez uprzedzenia dwie nieletnie, a to – przynajmniej w Stanach Zjednoczonych – było poważnym przestępstwem! Zanosilo się na ostrą kłótnię, kiedy zadzwoniła komórka.

*Oppa Gangnam style / Gangnam style / Op, op, op, op / Oppa Gangnam style / Gangnam style / Op, op, op, op / Oppa Gangnam style / Eh, sexy lady / Op, op, op, op / Oppa Gangnam style.*

Gala spojrziała na Amata, zdziwiona, że nie odbiera. Mogła to być przecież jego matka, która się zgubiła lub przebiła oponę, albo jedna z jej córek dzwoniła z prośbą o pomoc. Oboje czekali na reakcję, ona – jego, on – jej, aż w końcu zapadła cisza. Jednak po niespełna minucie znowu zabrzmiała ta sama melodia.

*Oppa Gangnam style / Gangnam style / Op, op, op, op / Oppa Gangnam style / Gangnam style / Op, op, op, op / Oppa Gangnam style / Eh, sexy lady / Op, op, op, op / Oppa Gangnam style.*

Gala zareagowała z opóźnieniem, a kiedy to zrobiła, była czerwona ze wstydu, nie tylko dlatego, że nie rozpoznała dzwonka własnego telefonu, lecz także ze względu na tę cholerną piosenkę ściągniętą przez Adele, której wykonawca tańczy tak, jakby jechał na koniu.

– Frederick!

Widząc, że dzwoni jej mąż, przerwała rozmowę z Amatem, sygnalizując otwartą dłonią „stop” albo „ciąg dalszy nastąpi”, i szybko odebrała telefon.

Z tonu Fredericka wywnioskowała, że jest rozdrażniony. Fakt – minęły trzy dni od przyjazdu, a ona nawet nie pomyślała, żeby poszukać zasięgu albo znaleźć budkę telefoniczną i porozmawiać z mężem. Zaraz po przyjeździe wysłała mu króciutką wiadomość przez WhatsAppa, i tyle. Pan Bardziej-niż-Doskonały – raczej urażony niż zaniepokojony – poddał żonę cynicznemu przesłuchaniu tylko po to, żeby wyciągnąć z niej upragnione wyznanie: „Przykro mi, spieszyłam sprawę!”. Ponieważ nie osiągnął celu, aby się zemścić, wyznał Gali, że „niechący” złamał umowę: opowiedział jej matce, że jego piękna żona pojechała z dziećmi do rodzinnej wsi dziadka Romana. Mało brakowało, a trzeba by było zawieźć Julianne do szpitala z powodu silnego napadu lękowego wywołanego nie tylko wyskokiem córki, lecz także lawiną zapiekłych wspomnień, które eksplodowały niespodziewanie po latach skrywania. Wyparcie ich miało ją uchronić przed obłędem po niepowetowanej stracie.

Gala niemal cisnęła telefonem o ścianę szopy; nie znosiła, kiedy Frederick naruszał jej prywatność, żeby odzyskać kontrolę. Poczula w przetyku silne ukłucie zdrady, nie była w stanie zapanować nad serią obelg, które wytrysnęły z jej ust. Po części powodowała nią bezsilność: uświadomiła sobie, że jest w tym samym punkcie co w dniu, gdy przybyła do La Mugi, bez spadku, za to z zagadką, którą nikt się nie przejmował i w której rozwiązaniu nikt nie zamierzał jej pomóc. Frederick nadal był na linii, dawał jej odczuć swoją wyższość i znowu przeholował: przestrzegł, żeby przypadkiem nie przyszło jej do głowy zostać tam na Boże Narodzenie.

A cóż takiego by się stało? Czy on nie mógłby raz zrobić czegoś dla rodziny? Co złego było w spędzeniu świąt z bliskimi w egzotycznej, zapadłej dziurze? Frederick ciągle miał jakieś zjazdy koleżeńskie, nigdy nie odpuścił nawet głupiej operacji piersi, żeby obejrzeć mecz córki, uczestniczyć we wspólnej wycieczce czy romantycznej kolacji z żoną. Kiedy ma się kontrolę nad rodziną, niepotrzebne są poświęcenia, bo to pozostali muszą się podporządkować. Na tym polegała jego filozofia, ta sama, którą lata temu zauroczył Galę, a która teraz wywoływała u niej mdłości. Czuła, że ściska się jej żołądek, a głowa za chwilę eksploduje. Nie potrafiła na

poczekaniu wymyślić wystarczająco ciętej riposty, która byłaby w stanie przerwać ulubioną rozrywkę jej kochanego mężusia: upokarzanie żony! „Absurdalna podróż... nędzny spadek... nagła i prostacka emancypacja jego rozpieszczonej małżonki...” Wszystko po to, żeby pozostawić nienaruszone status quo i mieć poczucie zadowolenia. Świat powinien kręcić się wokół jego potrzeb, a było oczywiste, że ta nowa sytuacja nie uspokajała go ani niczego mu nie dawała. Wyczerpawszy zasób obelg, Gala wołała nie artykułować – nie wiadomo który to już raz – swojej potrzeby niezależności i nie tłumaczyć się z tej podróży. Nie chciała nawet dzielić się z nim dziwnymi wrażeniami z tej ziemi, na której przecież – o czym on i matka może zapomnieli – przyszedł na świat jej ojciec. Frederick pożegnał się krótkim, oschłym komunikatem:

– Za cztery dni czekam na ciebie na lotnisku Kennedy’ego, słyszysz?

Gala powstrzymała się od odpowiedzi i rozłączyła rozmowę, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. Kiedy już wiadomo, że przegrało się bitwę, należy zrobić wszystko, żeby uniknąć kolejnego cierpienia, ostatniego pchnięcia szpadą. Gdy tak stała oparta o starą sekretkę, znowu była małą bezradną dziewczynką, doświadczoną wcześniej przez los utratą ojca i brakiem schronienia, gdzie mogłaby utulić swój żal. Niezdolna do przełknięcia śliny, pogładziła delikatnie szyję, żeby łagodnie pozbyć się nowej guli w gardle, a może otwartej rany, wzmacniającej w niej niską samoocenę.

Amat, który nie uronił ani jednego słowa z rozmowy, w każdym westchnieniu Gali wyczuwał jej ogromne przygnębienie. Potrafił od razu rozpoznać, kiedy pokłady smutku biorą we władanie czyjeś ciało. Ta kobieta miała smutek wypisany na twarzy, i to od dłuższego czasu. Wybrał jednak milczenie zamiast próby pocieszania; zranione zwierzę jest zdolne zabić tego, kto próbuje mu pomóc. Ignorując jej obecność i zaistniałą sytuację, wciąż woskował osiemnastowieczną komodę.

Gala stała długo z opuszczoną głową, jak gipsowa figurka, pograżona w myślach. Powoli wracała do rzeczywistości, wreszcie odzyskała energię na tyle, że mogła podjąć przerwana rozmowę z Amatem.

– Nawet nie zadzwonisz do matki, żeby zapytać, dokąd zabrała moje córki?

– Zrobiłem to, ale nie odpowiada.

Nie mając sił na kolejny atak, usiadła, wyczerpana, i czekała, aż męczyzna skończy pracę i okaże jej trochę współczucia. Amat zrozumiał, o co jej chodzi; obiecał, że pomoże w poszukiwaniach, kiedy skończy nakładać wosk na komodę.

– Jeśli ci pomogę... szybciej skończymy, prawda?

Nie przepuścił okazji, żeby umazać wypielęgnowane dłonie Gali. Miał nadzieję, że ten delikatny ruch ręki trzymającej szmatkę w jakiś sposób pomoże pokonać smutek, którym – jak wyczuł – była przepełniona. Tak właśnie zrobiła z nim Amelia Xatart; może teraz on, zgodnie z zasadą bumeranga, powinien odplacić za przysługę i uzdrowić tę ciężko zranioną kobietę. Pozwoliła sobie pokierować, ale nie zamierzała zapomnieć o licytacji. Powiesiła już ogłoszenie na tablicy korkowej przy sklepie spożywczym, żeby dotrzeć do wszystkich mieszkańców wsi. Uprzedziła prawnika Roberta Riudaneu, który obiecał rozpuścić informację w sąsiednich miejscowościach. Zamierzała też sama trochę pojeździć po okolicy, żeby powiadomić mieszkańców o organizowanej aukcji mebli po okazjnych cenach. Amat miał jeszcze czas, żeby uniknąć nieszczęścia: mógł odkupić jej część za przyzwoitą cenę i pomóc w odnalezieniu autora przekłętą obrazu.

– *Morza?* Nie mam pojęcia, kto to jest, wiem tylko tyle, że twoja cioteczna babka upodobała sobie tę marną kopię *Kobiety w oknie* Dalego.

Amat popatrzył na nią, chcąc się upewnić, że Gala nie ma pojęcia, kim był Salvador Dalí. Jednak ku jego zdziwieniu okazało się, że nie tylko o nim słyszała, ale nawet interesowała się

jego życiem i twórczością.

– Dlatego nazywam się Gala, wiedziałeś o tym? Ojciec wybrał mi imię na jego cześć i...

Amat przekonał się wkrótce, że Amerykanka nie darzy szczególnym podziwem dzieł Dalego, widziała kilka jego obrazów w Museum of Modern Art, i tyle. Ciekawości wystarczyło jej tylko na ustalenie, skąd wzięła się ta Gala, kim była i... na tym koniec. Reszta jej wiedzy ograniczała się do informacji o życiu i twórczości artysty słynnego na całym świecie, jej zdaniem trochę zbyt stukniętego, którego obrazy wprost ociekają seksualnością i frustracją. Amat zaproponował, żeby zwiedziła z nim okolice uwielbiane przez malarza, do którego jej ojciec miał tak nabożny stosunek. Za sprawą szmatki i wosku zdołał ugłaskać burżujkę i uzyskać obietnicę, że odwiedzi dom Dalego i Gali w Portlligat. Ruszenie się ze wsi dobrze by zrobiło jej i dziewczynom. Zobaczyłyby, co tu jest jeszcze do obejrzenia oprócz kilku domów z kamienia, w połowie zbudowanych, w połowie zburzonych – zależy jak się na nie patrzy.

Hałaśliwe wtargnięcie tryskającej entuzjazmem i podekscytowanej Adele sprawiło, że przysł ulotny czar chwili sam na sam. Gala rzuciła szmatkę i pospieszyła, żeby uściskać młodszą córkę. Dziewczynka przypominała brykającego jelonka, kiedy opowiadała szybko i chaotycznie o swoich przeżyciach: land roverze, łące, rzeczce, kijankach, wysokiej pinii, chatce, herbatnikach i kakao z mlekiem. Gala popatrzyła na Kate, nie rozumiejąc nawet części z tego, o czym rozprawiała Adele. We czwórkę w budce na prastarym drzewie? Na widok babci w wełnianej czapce i w gigantycznych okularach doszła do wniosku, że wyobraźnia młodszej córki z każdym dniem coraz bardziej zaczyna ją niepokoić. Ku jej zdziwieniu Kate przyłączyła się do Adele, dodając kolejne szczegóły przygody, takie jak teleskop, to, że Nalda pozwoliła jej poprowadzić rovera i że gdyby nie ona, Adele wpadłaby do rzeki. Gala patrzyła na staruszkę, jakby miała ochotę ją za to wszystko udusić, za to, że zabrała dziewczynki bez jej zgody, ale powstrzymała się, widząc ich radość. Adele cały czas biegała po szopie i machała rączkami jak motyl. Kate też była bardziej odprężona, jak na nią: stała z rękami w kieszeniach i ze skrzyżowanymi nogami.

– Mamo, czy mogę pójść do Naldy i Marca, żeby piec muffinki?

W pierwszym odruchu Gala chciała powiedzieć „nie”, ale jej młodsza córka była tak zachwycona, że nie potrafiła odmówić.

– A ty, Kate, idziesz z nimi, czy jedziesz ze mną na wycieczkę?

Skoro ta stara terenówka należała do jej ciotecznej babki, mogła nią dysponować do woli. Miała okazać się przydatna zwłaszcza tego popołudnia, do rozwieszania w sąsiednich miejscowościach ogłoszeń o aukcji mebli. Kate uznała propozycję matki za interesującą. Amat ostrzegł, że nie można ufać starymu autu i że jeśli Gala woli lepszy samochód, może wziąć jego. Zdecydowała się na starego gruchota, uniesiona ambicją, a poza tym nie chciała zawdzięczać czegokolwiek wrogowi. Pomyślała też, że na tych nieutwardzonych drogach lepszy będzie samochód przypominający traktor niż sportowe auto, była bowiem przekonana, że takie właśnie ma Amat.

Wyjechały, kiedy słońce już zachodziło, zabierając ze sobą obraz *Morze* i dziesięć ogłoszeń, wypisanych grubym czarnym flamastrem. Kate nie traciła nadziei, że gdzieś po drodze złapie zasięg, a później przekona matkę, żeby jak najszybciej wróciły do domu.

Od wielu miesięcy Gala i Kate nie miały okazji pobyć ze sobą, a teraz siedziały razem zamknięte w metalowym pudle o powierzchni niespełna dwóch metrów kwadratowych. W samochodzie, który wydawał odgłosy świadczące o jego zaawansowanym wieku i którego rura wydechowa głośno domagała się przeglądu, Gala zdała sobie sprawę, jak niewiele wie o Kate. Nie pamiętała, kiedy pękła nić cichego porozumienia, która je wcześniej łączyła. Niegdyś rozumiały się bez słów, teraz patrzyły na siebie, nie czując żadnej więzi, poza tym, że były matką i córką. Na tym polega dorastanie? Ile lat to trwa? Nikt jej nie mówił, że tak trudno jest być

matką, nawet jej własna rodzicielka, która wszystko załatwiała przez służbę i nie dawała nic z siebie. Ona obiecała sobie kiedyś, że nie będzie naśladować matki, ale przegrała, jeśli chodzi o próbę utrzymania bliskich relacji z Kate. Córka przestała ją szanować, a ona wołała się tym nie przejmować, żeby nie musieć stawiać czoła porywczej nastolatce. Nie dostrzegając konsekwencji, więc przepaść między nimi zamieniła się z czasem w niemożliwy do przeskoczenia rów.

Przez całą drogę Kate sprawdzała, czy komórka matki ma zasięg; chciała porozmawiać z Jersey, obiecać jej, że wróci do domu i weźmie udział w eliminacjach. Gala rozwiesiła ogłoszenia, teraz, pogrążona w myślach, jechała po piaszczystych drogach oświetlonych jedynie reflektorami land rovera.

Zadzwoiła Adele. Rozemocjonowana, zaczęła wyrzucać z siebie słowa jak z karabinu maszynowego: ma przyjaciela, upiekła muffinki i prosi matkę, żeby pozwoliła jej zostać u Czerwonej Naldy, bo chce pójść na wieczór filmowy przy kominku w domu Falgonsów. Galę zaskoczyła prośba córki. Wszystko działo się zbyt szybko. Nie bardzo wiedziała, co ma zrobić... W końcu będzie niedaleko... Sama zaś może skorzystać z okazji, żeby zbliżyć się do Kate, spędzić z nią wieczór, sprawić, żeby poczuła się ważna. Jej dorastająca córka, choć udawała twardzielkę, w gruncie rzeczy była jeszcze dzieckiem. Nalda wzięła słuchawkę od Adele, żeby uspokoić Galę i powiedzieć, że zadba o dziewczynkę i będzie się nią opiekować, a rano na pewno odwiezie ją do Can Xatart. Gala uznała, że nie ma wyjścia, nie mogła się sprzeciwić, była zmuszona przystać na życzenie Adele. Tak też zrobiła. Rozłączyła się i zerknęła na Kate, żeby nie przeoczyć jej reakcji, ale ta nie zamieniwszy słowa z matką, złapała komórkę, by pogadać z Jersey przez WhatsAppa.

Nagle skończyła, a może to brak zasięgu przerwał rozmowę, i obie jechały w milczeniu, czując panujące między nimi napięcie. Niewiele widziały przez szyby, za to wyraźnie słyszały odgłos kół miażdżących żwir na drodze. Dookoła tylko gęsty las, żadnego domu w polu widzenia. Kate była pewna, że matka zablądziła, ale nie potrafiła powiedzieć tego na głos. Sama zresztą też nie miała pojęcia, gdzie są. Te gościńce przypominały drogi labiryntu, które prowadzą donikąd.

– Jest zasięg?

Kate podświetliła ekran i stwierdziła, że znów są odcięte od świata. W dodatku się zgubiły. Nie zdążyła unieść głowy, kiedy Gala skręciła gwałtownie kierownicą i chociaż z całej siły wcisnęła pedał hamulca, wypadła z drogi, pakując oba przednie koła do rowu zarośniętego chwastami i wypełnionego błotem. Kate popatrzyła na matkę z nadzieją, że dodanie gazu rozwiąże problem. Niczego jednak nie dało: ugrzęzły na pustkowiu, bez zasięgu. Gala wysiadła z samochodu, obawiając się najgorszego. Gwałtowny skręt kierownicą nie był spowodowany spotkaniem z jelonkiem, lecz przedziurawieniem jednej z tylnych opon. Otworzyła klapę bagażnika i krzyknęła z wściekłości w stronę rozgwieżdżonego nieba: nie miała podnośnika, zapasowego koła ani zielonego pojęcia, gdzie się znajdują. Oczyma wyobraźni ujrzała pełen satysfakcji uśmiech Fredericka. Bezwiednie osunęła się na kolana przed samochodem, zacisnęła pięści, a w nich zgarnięte palcami błoto, niszcząc lakier na paznokciach. Otworzyła dłonie, wypuściła mokrą ziemię i wpadła w niepokojący trans, jakby opętał ją duch Scarlett O'Hary.

– Nie pokonacie mnie, ani ty, ani ta ziemia. Słyszałeś? Ani ty, ani ta ziemia mnie nie pokonacie. Słyszaaaaleś?



### III

Bezsensowność: stan czuwania, niemożność zaśnięcia. Gala wciąż pamięta dokładną definicję tego słowa. Sześć miesięcy po śmierci ojca przeżyła głęboki kryzys, przejawiający się właśnie bezsensownością, wywołany tym, że nie potrafiła przetrwać i opłakać straty. Była małą dziewczynką, a cierpiała jak dorosła osoba. Mało brakowało, a ta bezsensowność, o której istnieniu dotąd nawet nie słyszała, przeszłaby w niepokojący stan chroniczny. Wraz z odkryciem, że ludzie umierają, dotarło do niej, że mogą też żyć przez wiele dni bez snu i że nie udaje im się zasnąć, nawet jeśli bardzo tego chcą.

Śmierć: koniec życia... albo coś w tym rodzaju.

Nigdy nie mogła zapamiętać dokładnej definicji słowa „śmierć”. Tak naprawdę nadal nie rozumiała, jak to jest, że nie ma życia bez śmierci ani śmierci bez życia. Zdaniem Fredericka powinna się pogodzić z tym, że przedwczesny zgon ojca doprowadził u niej do zatrzymania rozwoju dojrzałego myślenia. Miała czterdzieści lat, a pod niektórymi względami sprawiała wrażenie, jakby umysłowo pozostała na poziomie piętnastu! Przekonała się o tym kilkakrotnie, zwłaszcza w sytuacjach, z których nie mogła znaleźć wyjścia.

Kolejny raz uświadomiła to sobie sześć godzin temu, po przebicium opony na drodze wyjeżdżonej przez wozy konne, na pustkowiu, bez zasięgu. Nie miała odwagi wysiąść z samochodu i iść po ciemku. W ciągu tych kilku godzin niewiele się zmieniło. Siedziały z Kate w środku starego land rovera, okryte brudnym kocem chroniącym je przed zimnem, obwiniając się nawzajem o to, że muszą spędzić tu noc, zdane na czyjaś ewentualną pomoc. Kate obstawała, żeby zaryzykować i wyruszyć na poszukiwanie cywilizacji. Na pewno w odległości mniejszej niż pięć kilometrów znajdą dom, w którym zaoferują im schronienie, jedzenie i łóżko... albo chociaż telefon! W przeciwieństwie do córki Gala wolała postąpić zgodnie z zasadą: w przypadku wątpliwości, lepiej nie robić nic. Kiedy marzły im palce, uruchamiała silnik i włączała ogrzewanie. Tym sposobem mogły wytrzymać całą noc, a o świcie – jeśli nie przejedzie tędy żaden samochód – ruszyć piechotą na poszukiwanie cywilizacji.

– Nie wcześniej! Zrozumiałas? Spróbuj się trochę przespać.

Jednak Kate, zamiast okazać posłuszeństwo swojej rodzicielce, wyszła z samochodu i puściła się biegiem przed siebie. Od dzieciństwa spała przy zapalonym świetle, bo bała się ciemności; do tej pory nie miała okazji wystawić na próbę odwagi swojego serca. Ukrywała to przed matką, choć ta o wszystkim wiedziała, ale nigdy o tym nie mówiła. Dlatego Gala nie ruszyła się z samochodu. Zaczęła odliczać, przekonana, że zanim upłynie sześćdziesiąt sekund, jej córka wróci do land rovera. Zrobiła to po czterdziestu pięciu, trzaskając głośno drzwiami i miotając obelgi. Obie podgrzewały atmosferę: klóciły się i wyładowywały jedna na drugiej swoje frustracje.

– Nie waż mi się więcej sprzeciwiać, rozumiano?

– Mam w nosie, co sobie myślisz, mam w nosie twoje życie i twoich nieboszczyków!

Kate wiedziała doskonale, że przeholowała, ale była wściekła, bo miała już dość przebywania w zamknięciu z osobą, której nienawidziła najbardziej na świecie: ze swoją matką! Już od jakiegoś czasu czuła, że ją od niej odrzuca; nie mogła się doczekać pełnoletności, żeby wyjechać na studia i stracić ją z oczu. Dlatego zawsze, kiedy przyszło im spędzić razem więcej niż godzinę, dochodziło do awantur. Mało brakowało, a Gala straciłaby panowanie nad sobą; żeby nie spoliczkować córki, wyszła z samochodu i ruszyła przed siebie. Czuła, jak łyżki rozładują jej frustrację, nogi sztywnieją przy każdym kroku, a bezsilność zaburza rytm serca. W takich chwilach przychodziło jej na myśl wypowiedziane przez Fredericka zdanie

o czterdziestoletniej kobiecie, która ma umysł na poziomie piętnastolatki. Ta sytuacja ją przerastała, nie potrafiła dostrzec rozwiązania, które on by znalazł bez dramatyzowania, bez gniewu. „To twoja córka jest dzieckiem, nie ty!”. Pan Bardziej-niż-Doskonały był władczy nie tylko w czynach, lecz także w słowach, w przeciwieństwie do niej – jej brakowało zdecydowania i poczucia własnej wartości. Przez dłuższą chwilę szła przed siebie w ciemnościach. Nie czuła strachu, bo temu, kto się boi samotności, zawsze towarzyszą myśli, nawet jeśli są to myśli dręczące. Kate nie znosiła ciemności, a matka osamotnienia, opuszczenia, poczucia, że nie może się niczego uczepić. Ogarnięta nagłą paniką, zawróciła niepewnym krokiem, po omacku.

– Kaaate?

Nikt nie odpowiedział. „Na pewno włączyła muzykę na cały regulator!” Krzyknęła jeszcze raz, ale nie uzyskała odpowiedzi. Zaczęła podejrzewać, że córka postanowiła odplącić jej za tę ucieczkę, dręcząc ją brakiem odzewu.

– Mamo? Maaamoo!

Za zakrętem drogi zobaczyła światła awaryjne i córkę stojącą z uniesionymi rękami dwa kroki przed samochodem. Nie zważając na wielkie kamienie i doły, rzuciła się biegiem, z desperacją zającą, który nie chce dać się upolować. Córka i matka przyłgnęły do siebie w niemy uścisku zmoczonym łzami. Stały tak dobrą chwilę, aż w końcu odkryły na nowo, kim są: dwiema zagubionymi duszami, sfrustrowanymi, pełnymi żalu, ale połączonymi silną więzią, którą zwą miłością.

Wsiadły do rovera. Gala uruchomiła silnik, włączyła ogrzewanie i przykryła córkę kocem. Już od ponad roku Kate nie opierała tak głowy na jej ramieniu. Delikatnie przesunęła dłonią po jej włosach, głaskała ją w milczeniu, dopóki nie poczuła, że urywany szloch ustępuje stopniowo miejsca głębokiemu oddechowi. Kate zasnęła oparta o tę, która zapewniała jej poczucie bezpieczeństwa. Gala, która nie mogła zasnąć, zamknęła oczy, żeby nacieszyć się tą bliskością. Życie dało jej kuksańca i przywiodło aż tutaj: zagubiona wieś, jazda z córką rozklekotaną terenówką, noc, niewłaściwa droga, przebita opona, unieruchomione auto i ponad siedem godzin czekania na jakikolwiek samochód, kogoś, kto mógłby przyjść im z pomocą. Życie doprowadziło ją do tej ekstremalnej sytuacji, żeby je znowu połączyć, przypomnieć, kim dla siebie są. Bo cała reszta... właściwie się nie liczy...

Życie wygląda zupełnie inaczej, kiedy po długiej bezsennej nocy na bezludziu wracasz do domu, i to na zielonym traktorze. Kate i Gala trzymały się siodelka kierowcy, na którym siedziała ich wybawicielka i nowa bohaterka: Tomasa Bogaczka. Kobieta znalazła je w połowie drogi między jej polami a szopą, gdzie trzymała traktor, żeby nie niszczał pod gołym niebem. Tomasa miała swoje przyzwyczajenia, jej życiem rządziła rutyna: we wtorki i czwartki wyjeżdżała traktorem o wpół do szóstej rano, w pozostałe dni zajmowała się firmą, urzędując w biurze razem z najmłodszą ze swoich dzieci, córką Consol. Obaj synowie pracowali w polu – to oni brudzili sobie ręce, w końcu od tego byli mężczyznami! Ją spotkało to przez przypadek: jako jedynaczka nie miała wyboru. Musiała obrabiać pole i zajmować się rodzinnym interesem. Stała się twardsza, latami znosiła kpiny i drwiące komentarze, których nie szczędził jej nawet ojciec. To były inne czasy – zadaniem kobiety było noszenie spódnicy i rodzenie dzieci. Tomasa podołała wszystkim obowiązkom, ale rzadko zakładała spódnicę. Wyszła za Jaimego, który dopóki żył, udzielał wszystkim duchowego wsparcia. Ona była twarda jak gład, gdy chodziło o interesy, ale gubiła się w labiryncie uczuć. Z powodu jej niezdolności do empatii dla cudzego cierpienia i braku współczucia mówiono, że ma serce z korka – nawet jeśli wbijesz w nie mnóstwo pinezek, prawie nie widać dziur. Tylko kuzynka Francisca, nazywana Świętą, wierzyła w dobroć Tomasy i nie dała o niej powiedzieć złego słowa. Bogaczka nie lubiła obcych, rezerwa przeszkadzała jej w nawiązywaniu bliższych kontaktów i gdyby nie to, że wcześniej poznała dziewczynkę, nie

zatrzymałaby traktora i nie jechałaby teraz z nimi z powrotem do La Mugi. Ale Brugatowie zawsze troszczyli się o to, co powiedzą o nich inni, a nieudzielenie komuś pomocy nie przynosi chwały, jest wręcz nieprzyzwoite. Tomasa nie miała innego wyjścia, jak zejść z traktora, a ponieważ starego rovera nie dało się ruszyć z miejsca, musiała odwieźć je do domu.

Kate myślała o Adele. Nie bała się o nią, wiedziała, że Marc i Nalda zajmą się siostrą. Na jej miejscu mała na pewno byłaby zachwycona. Jako odkrywczynie z bujną wyobraźnią widziałyby w Tomasie rycerza, który spieszy im na ratunek na żelaznym smoku, okiełznanym po niebezpiecznej walce. Na myśl o Adele nie mogła powstrzymać uśmiechu. Matka obserwowała ją pogodnie. Burza przeszła, między nimi zapanował spokój. Patrzyły na siebie w dawno zapomniany sposób, i to dawało im pokrzepienie. Z wysokości, która zawsze pozwala zobaczyć więcej, Gala widziała, jak pierwsze promienie wschodzącego słońca budzą uśpiony jeszcze krajobraz, pokryty skorupką lodu, pozostałością po mroźnej nocy. Minęły zaledwie kilka samochodów, hałas traktora zagłuszał ciszę tego pejzażu pełnego kontrastów, złożonego z równin i gór, zieleni, szarości i ośnieżonych prześwitów. Gala obserwowała drogę; zaczynała rozumieć złożoność tej krainy, zamieszkaną przez ludzi tak powściągliwych, jakby byli strażnikami jakiejś tajemnicy odziedziczonej po przodkach.

Kate spojrzała w niebo i zobaczyła balon, unoszący się wysoko. „Jak to miejsce wygląda z nieba?” Ekscytowały ją momenty poprzedzające lądowanie, kiedy wielki ptak opada, traci wysokość i widzi ziemię, która wyłania się z mgły niczym wielkie puzzle złożone z kolorowych łatek o różnej fakturze. Dostrzeżenie ludzi z tej wysokości jest niemożliwe; widać jedynie ziemię, jej kolory i rzeźbę terenu. Tak jakby z góry łatwiej było ustalić logiczną hierarchię ważności: ziemia, morze, szczyty... Odkąd to odkryła, wiedziała, że jeśli kiedykolwiek przyjdzie jej podjąć jakąś ważną decyzję, wsiądzie do samolotu, z notatnikiem i ołówkiem w rękę, i będzie się zastanawiała tak długo, aż znajdzie odpowiedź.

– Podobają ci się balony, dziewczynko?

Tomasa zauważyła zafascynowanie Kate statkiem powietrznym. Ta przyznała się, że nigdy jeszcze nie leciała balonem, a Gala, że cierpi na zawroty głowy, na co Tomasa zareagowała donośnym śmiechem. Nie była kobietą strachliwą, a jeśli już odczuwała jakieś lęki, szybko się ich pozbywała, żeby nie opadły jej jak kleszcze psa i nie wyssały z niej krwi i życia.

– Nie boisz się śmierci? – rzuciła zaczepnie Kate.

Dawno temu Tomasa stanęła twarzą w twarz ze śmiercią i zaakceptowała ją jako towarzyszkę podróży. Przed trzema laty owdowiała i nawet nie płakała po odejściu Jaimego. Nie zwykła opłakiwać zmarłych, należała do tych, którzy żegnają ich bez łez, oddają cześć życiu, jakie wiedli, i zachowują o nich wspomnienia.

– Wiesz co, mała? Jestem już za stara, żeby bawić się ze śmiercią w chowanego.

Gala miała ochotę zapytać, czy brak lęku przed Czarną Damą to efekt przeżytych lat, czy też może ma związek z tą ziemią. Nigdy nie umiała rozmawiać o takich rzeczach ze swoją matką, nawet nie wypowiadała słowa „śmierć”. Ta przymusowa gra w tabu sprawiła, że nieświadomie odczuwała paniczny strach przed odejściem z tego świata. „Czy Kate i Adele boją się śmierci?” Nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Siedząc na traktorze, uświadomiła sobie, jak rzadko o tym rozmawiały, a jeśli już, to zachowywała się jak Houdini, mistrz ucieczek. Kate była wystarczająco dorosła, żeby stawiać sobie pytania egzystencjalne o życie i jego sens. Zdumiało ją, że córka pyta o śmierć jakąś Meridę Waleczną, a nigdy nie zapytała o to jej. Z pewnością dotąd nie czuła takiej potrzeby, bo chyba Gala by coś zauważyła – tego rodzaju lęki są wypisane na ludzkich twarzach.

Tomasa zatrzymała traktor przez bramą domu Xatartów. Gala i Kate podziękowały jej za trud, który sobie zadała, na co staruszka odpowiedziała skrzywieniem ust, mającym wyrażać

zadowolenie.

– Jest jeszcze wcześniej, najlepiej odpocznijcie. Dam znać Naldzie albo Amatowi, żeby się wami zajęli.

Protesty Amerykanki zagłuszył warkot silnika. Tomasa pożegnała się uniesieniem olbrzymiej dłoni, nie zwracając uwagi na słowa sprzeciwu Gali. Jako szefowa była przyzwyczajona do rządzenia, inni musieli jej słuchać.

Kate uznała drzemkę za dobry pomysł, była zmordowana i marzyła tylko o przyłożeniu głowy do poduszki. Kiedy wkładała klucz do kłódki, żeby zdjąć łańcuch przepleciony przez pręty ogrodzenia, zauważyła worek związany sznurkiem na podwójny supeł. Popatrzyła na matkę zdziwiona. Poszukały noża i otworzyły tobolek, żeby wyjaśnić tajemnicę.

W środku było mnóstwo wspaniałych przysmaków: kompoty z różnych owoców, wielki szklany słoje z czymś, co wyglądało na domowy rosół, magdalenki, herbatniki, sześć jaj i dwie butelki mleka.

– Kto to mógł zostawić? – zapytała Kate.

Ze sznurka zwisał pęczek gałązek z białymi kulkami, związany czerwoną wstążeczką, z bilecikami, który zawierał dziwną wiadomość: „Proszę przyjąć ten woreczek mocy. Witamy!”. Kate i Gala nie zdołały się doszukać w tekście niczego więcej poza dosłownym znaczeniem słów. Czy chodziło o prezent powitalny? Od całej wsi czy od jakiejś jednej osoby? Co znaczyło „woreczek mocy”?

Kate odwróciła się na pięcie, pocałowała matkę w policzek, potem lekko niczym duch wspięła się po schodach i padła na pierwsze z brzegu łóżko. Gala po wszystkich przejściach wolała odpocząć w fotelu z uszami. Minęły trzy dni od chwili, kiedy pierwszy raz w nim usiadła, i miała dziwne wrażenie, że w obecności tego starego mebla wreszcie stała się kobietą. Niemal niczego nie zdołała jeszcze załatwić, wciąż była w punkcie wyjścia i nic nie zapowiadało, że w ciągu najbliższych dni nastąpi jakiś przełom, za to zaczęła postrzegać swoje życie z nowej perspektywy. Miała wrażenie, że ściany opowiadają szeptem jakieś historie, wykorzystują okazję, żeby wcisnąć się między jej świadomość a sen. Od kiedy tu przyjechała, słyszała głos, który nie pochodził z zewnątrz ani nie należał do jej wewnętrznego „ja” – grał na jej emocjach i sprawiał, że dużo myślała o ojcu. Westchnęła głęboko. Zgodnie z panującą tu modą także w tym domu na ścianach wisiały fotografie zmarłych. Dotąd nie chciała ich oglądać z szacunku połączonego z obawą, że rozpozna na nich siebie. W końcu ona też należała do rodu Xatartów, mimo że jej matka odnosiła się do tego nazwiska z pogardą i postanowiła, że Marlboroughowie nie ustąpią pola zwykłej chłopskiej rodzinie. Xatartowie! Gala nie miała wątpliwości, co znaczy być i zachowywać się jak jedna z Marlboroughów, ale Xatartowie? To tak, jakby stała przed olbrzymim białym płótnem i nie była w stanie nałożyć na nie farby, ani nawet stworzyć faktury. Niewiele wiedziała o ojcu, tylko tyle, że dla miłości porzucił to, co najbardziej ukochał: La Mugę. Román Xatart miał krzepką budowę ciała, przenikliwe spojrzenie i szeroki uśmiech; odszedł zbyt wcześnie, żeby zostawić jakikolwiek ślad w życiu córki. Jednak z powodów niezależnych od jej woli, bardziej finansowych niż uczuciowych, przybyła do miejsca najbardziej ukochanego przez ojca. Gdyby nie umarł, kiedy miała zaledwie pięć lat, na pewno i ona by je uwielbiała, może nawet spędziłaby tu wiele letnich wakacji. Jednak wzbraniała się przed rozpoczęciem śledztwa, przed wykorzystaniem pobytu, żeby lepiej poznać ojca. Nie chciała rozdrapywać tej bolesnej rany powstałej po stracie – do tego przeżywanego w całkowitej samotności – i w końcu zdołała ją głęboko ukryć. Jeśli prawdą jest, że zmarli wracają do świata żywych, niekoniecznie muszą przybierać postać ludzką, mogą też się pojawiać jako gęsta mgła. Gala nigdy nie wierzyła w duchy, ale wiedziała, skąd wzięła się jej wizja białego płótna. Kiedy zmarli, nadal w jakiś sposób obecni w naszych myślach, postanawiają zapukać do twoich drzwi,

towarzyszą ci, dopóki im nie odpowiesz, czuwają, tkając tiulową zasłonę, która odbarwia i wypacza widzenie rzeczywistości. Nie ulegało wątpliwości, że ciągle miała objawy związane ze zmianą strefy czasowej, przeklętym jet lag, ale problemem była dla niej przede wszystkim dusza wzburzona tym, że duch jej ojca przebudził się z letargu.

Przetarła oczy i głęboko westchnęła. Umysł płatał jej figle, wystawiał na próbę rozsądek i testował, czy naprawdę ma ochotę zejść do piekieł. Czuła się jak ktoś, kto odkrył, że fundamenty jego życia nie są tak solidne, jak uważał.

Przygnębiona podniosła się, żeby uciec przed tym głosem i nie musieć mu odpowiadać, nie czuć niczyjej obecności, materialnej czy niematerialnej. Zdecydowała, że nadszedł moment, aby przyjrzeć się dokładniej temu, co ma dostać w spadku. Zaczęła od kuchni, połączonej gigantycznym łukiem z kamienia i betonu z salonem, gdzie znajdowały się fotele i kamienny kominek. Jej cioteczna babka gromadziła nie tylko meble, lecz także wiekowe naczynia, przybory kuchenne i stare rondle, które zamiast stać na ogniu, zalegały w kufrach i pokrywały się kurzem. Gala była zbyt zmęczona, żeby zacząć je selekcjonować według klucza: śmieci albo skrzynia. Szperanie po szafkach rozbudziło w niej ciekawość, która zawiodła ją na drugie piętro, na imponujący strych. Przestrzeń pomiędzy podłogą a sufitem i belkami dachowymi, umieszczonymi na wysokości ponad czterech metrów, wypełniało mnóstwo kartonowych pudeł i starych gratów. Istny groch z kapustą, niemożliwy do ogarnięcia. Życie Xatartów w skrzyniach. Usiadła na bujanym fotelu ze szlachetnego drewna, z pierwszym pudłem, na jakie się natknęła. Były ich całe stosy, a poza tym stare książki i czasopisma, albumy ze zdjęciami, walizki z materiału zamykane na metalowe sprzączki. Strych wyglądał niczym brookliński Williamsburg Flea Market, ale zamiast w East River Park znajdował się na przepastnym wiejskim poddaszu, nad starym domem w zapadłej dziurze. „Kate na pewno zabierze stąd walizkę pełną rzeczy w stylu vintage!” Jej starsza córka nie lubiła się stroić, ale miała głowę do interesów, a sprzedaż tego zbioru była łatwym sposobem na zarobienie kilku setek albo i tysięcy dolarów.

Zapaliła złoisty kinkiet z abażurem z podniszczonego złotego materiału, co stworzyło wystarczająco intymny nastrój, żeby grzebać w „bebechach” zmarłej i nie mieć wrażenia, że ekshumuje się jej zwłoki. Zerwała taśmę z kartonu tak ostrożnie, jakby otwierała kopertę, żeby przeczytać list adresowany do kogoś innego. Powalane kurzem palce niczym pnącza wślizgnęły się do środka w poszukiwaniu pierwszego skarbu. Stare księgi rachunkowe, dwie teczki z fakturami z ubiegłego stulecia, srebrna ramka bez fotografii, luźne kartki wypełnione cyframi i niezbyt interesujące. Zajęło jej to sporo czasu: zamiast kopać doły w ziemi w poszukiwaniu skarbu, otwierała dziesiątki pudeł, które rozbebeszała, polując na coś, co wzbudziłoby jej zainteresowanie. Zaczęła przerzucać zawartość szuflad starej sekretery: ołówki, długopisy, gumki, poźółkłe, częściowo zapisane lub czyste kartki, mnóstwo kopert, znaczki... Słusznie wydedukowała, że to miejsce przez lata stanowiło prywatny gabinet jej ciotecznej babki. Tu pisała listy, tu zaprowadzała porządek w swojej głowie i w interesach. Gala nie bardzo wiedziała, dlaczego tak desperacko grzebie w tych szufladach, ale czuła, że nie spocznie, dopóki nie znajdzie skarbu. I... bingo! W końcu trafiła na coś ciekawego, czego niestety nie dało się otworzyć: gruby zeszyt zamknięty na kłódkę. Mogła to być księga rachunkowa, której szukała, dlatego powinna uważać, kiedy będzie forsować zamek. Po nieudanych próbach najpierw odnalezienia klucza, a potem wyłamania kłódki zrezygnowała, z obawy, że zniszczy to, co jest w środku. Była pewna, że w VellAntic znajdzie odpowiednie narzędzie, żeby pokonać przeklęty zamek. Aby sprawdzić tajemniczą zawartość księgi, musiała tylko poczekać kilka godzin, aż Amat sobie pójdzie.

Zdjęła buty i na palcach zeszła na pierwsze piętro, do niewielkiego, centralnie położonego holu, gdzie naliczyła pięć par drzwi: cztery prowadziły do pokoi, jedno do łazienki. Cztery były

zamknięte, otwierała je ostrożnie po kolei, jakby chodziło o zabawę polegającą na znalezieniu właściwego przejścia, aż wreszcie odkryła Kate, śpiącą w butach na kanapie. Wahała się, czy jej ich nie zdjąć i nie położyć córki do łóżka, gdzie byłoby jej wygodniej, ale nie chciała ryzykować, że ją obudzi. Dla siebie wybrała sąsiedni pokój, jedyny, który z jakichś dziwnych powodów nie miał okien, i tam się położyła, żeby nabrać sił. Spodobała jej się niezwykłość tego pomieszczenia; poczuła tu błogi spokój. Nie wiedziała, że w tego rodzaju ślepych sypialniach faktycznie jest coś mistycznego, bo korzystano z nich podczas porodów. Panowało przekonanie, że brak kontaktu ze światem zewnętrznym gwarantuje sterylne warunki podczas rozwiązywania i chroni noworodka przed bakteriami, które mogłyby mu zaszkodzić.

Kate obudził ostry dźwięk dzwonka. Dziewczynka tej nocy nie spała tak twardo jak matka. Chwiejnym krokiem zeszła na parter, przekonana, że pod bramą stoi jej siostra. Ku wielkiemu zdziwieniu zobaczyła nieznaną starszą kobietę (kolejna babcia!) z długim siwym warkoczem, ubraną jak zakonna nowicjuszka, w towarzystwie siedemnastoletniej dziewczyny. Trzymały słynny obraz *Morze*. Przywitały Kate z uśmiechem na twarzy, co było czymś niezwykłym we wsi, której mieszkańcy od początku tego uśmiechu im skąpili.

– Cześć! Jestem Francisca, a to moja cioteczna wnuczka Joana. Przyniosłyśmy obraz, który został w land roverze.

Po chwili zmagania z kłódką od ogrodzenia Kate wpuściła gości do zaniedbanego ogrodu, pełnego dogorywających roślin, które rozpaczliwie domagały się ratunku. Wniosła obraz do środka i oparła go o ścianę w pierwszym niezagraconym kącie, jaki znalazła. Biegiem wróciła do kobiet, które ze skrzyżowanymi ramionami czekały w tym samym miejscu. Francisca zapytała o Galę, która wciąż spała w pokoju bez okien. Kate krzyknęła, żeby powiadomić matkę o przybyciu gości. Po dłuższej chwili Gała wysunęła głowę przez okienko łazienki, miała potargane włosy i zapuchnięte oczy. Powitała kobiety ruchem ręki, po czym, przerażona, zniknęła, żeby się umyć w ekspresowym tempie i odzyskać utracony glamour. W tym domu o tak prymitywnym stylu życia trudno jej było utrzymać odpowiedni wygląd. Kate zabawiała tymczasem gości rozmową o zimnie i uciążliwym huraganowym wietrze.

– Tramontana, nazywa się tra-mon-ta-na, to jeden ze skarbów tej ziemi.

Joana wyjaśniła szczegółowo, na czym polegają lecznicze właściwości wiatru, który wielu uważało za wytwór szatana. Tylko miejscowi doceniają jego moc, potrzebują go, żeby swoją siłą oczyścić i uzdrowił umysły. Kate patrzyła ze zdziwieniem na dziewczynę o krótkich włosach i wielkich niebieskich oczach. Wyglądała jak młodsza wersja Czerwonej Naldy. Miała na sobie ubranie w jaskrawych kolorach bijących po oczach, uszyte z dziwnych tkanin. To, co mówiła, świadczyło raczej o egzaltacji niż o dogłębnej wiedzy.

Kiedy dziewczyny wymieniały spostrzeżenia na temat wiatru, Francisca, zwana Świętą, przechadzała się po ogrodzie, ubolewając nad jego stanem. Wielka Amelia Xatart słynęła z tego, że dbała i troszczyła się o swoje rośliny. Francisca złapała się za głowę na samą myśl o tym, jak zmarła musi lamentować w niebie nad tak potwornym zaniedbaniem.

– *Amelia, això t'ho arreglo jo de seguida. No et preocupis!*[12]

Francisca przywitała Galę, przedstawiając się jako kuzynka Tomasy. Poprosiła o wiadro i narzędzia ogrodnicze, i żwawo przystąpiła do wymiatania suchych liści z patio. Gała nie знаła się na roślinach; uwielbiała orchidee, ale nigdy nie zakwitły jej po raz drugi. W każdą rocznicę ślubu Frederick dawał jej w prezencie orchideę, co roku inną, a Gała za każdym razem powtarzała rytuał, dzięki któremu po odcięciu łodygi kwiat miał ponownie zakwitnąć. Do tej pory wszystkie próby kończyły się niepowodzeniem, ale była pewna, że kiedyś w końcu jej się uda. Pomyślała, że warto podejrzeć Franciscę przy pracach ogrodowych, kto wie, może odkryje jakąś sztuczkę, dzięki której stanie się cud. Ale teraz musi wypić mocną kawę i coś przegryźć,

jeśli ma dotrzeć do końca dnia i nie opaść z sił.

– Umiesz jeździć na wrotkach? Jestem Gotham Girl i walczę w Roller Derby League.

– A co to takiego?

Wyglądało na to, że Kate dobrze się dogaduje z Joaną, która choć o kilka lat starsza, była ciekawa dziewczynki przybyłej z Nowego Jorku. Joana uwielbiała to miasto, ojciec obiecał opłacić jej podróż, kiedy skończy osiemnaście lat. Chciała być aktorką, marzyła o nauce w Actors Studio, szkole gwiazd, z której wyszli Brando, Monroe, Newman. Warunki fizyczne raczej jej nie pomagały, ale chciała to móc. Kate patrzyła na nią rozbawiona; sama nigdy nie myślała o tym, żeby zostać aktorką. W przeciwieństwie do Adele, która była zafascynowana szkolnym kółkiem teatralnym. Ona wolała doskonalić technikę jazdy na wrotkach i na razie nie zastanawiała się nad przyszłością.

– Moi rodzice są bardzo bogaci, nie spieszy mi się do pracy i zarabiania na życie – stwierdziła.

Amerykanka sprawiała wrażenie zarozumiałej pannicy, ale Joana nie zraziła się tym – nawet jej się spodobała taka fanfaronada. Patrzyła na Kate, próbując sobie wyobrazić, jak ona żyje w Nowym Jorku, czy zna sławnych ludzi, ile musicali obejrzała na żywo, jak wygląda jej szkoła, czego się uczy i co znaczy być Gotham Girl. Joana urodziła się w tej wsi i pochodziła z rodziny Brugatów, ale nie chciała spędzić tu całego życia. Była stworzona, żeby odnieść sukces i zwiedzać świat.

– Wiesz, że śpiewam? I stepuję, bo wszyscy wielcy umieli stepować.

Nie czekając na reakcję Kate, zaczęła wybijać stopami takt, żeby dać małą próbkę swojego talentu. Piaszczyste podłoże i buty sportowe tłumiły odgłos kroków, ale ona tego nawet nie zauważyła, nie miało to dla niej znaczenia. Kate patrzyła na nią z pewną rezerwą. Nic ich nie łączyło, ale wolała towarzystwo Joany niż przebywanie z matką i sto jeden starszuchami. Pomyślała nawet, że problemy dziewczyny z wysławianiem się mogą oznaczać, że jest trochę opóźniona w rozwoju, bo Joana nie mówiła zbyt płynnie.

– Dlaczego masz kłopoty z wymawianiem słów?

– Rzadko używam hiszpańskiego. Na ogół rozmawiam po katalońsku. To mój język ojczysty, tak jak twoim jest angielski.

Język ojczysty? Kate nie rozumiała zbyt dobrze, do czego odnosi się to wyrażenie. Czyżby język ojca był ważniejszy niż język matki? Czy oboje nie mówią tym samym językiem? Nie bardzo wiedziała, który jest jej: matka władała doskonałą angielszczyzną, ale zależało jej, żeby nauczyły się hiszpańskiego i mówiły językiem dziadka Romana. Kate zaczynała jednak wątpić, czy dziadek posługiwał się hiszpańskim, czy tym drugim, nieznanym językiem.

– Katalońskim, nazywa się kataloński. Chcesz się przejść? Znam miejsce, gdzie będziesz mogła pojeździć na wrotkach.

Kate nie była zbyt przekonana do tego pomysłu, ale na dźwięk słowa „wrotki” wszystkie jej wątpliwości zniknęły. Wypiła duszkiem szklankę soku pomarańczowego wyciśniętego przez matkę i umywszy się byle jak, zniknęła z kanapką w jednej i wrotkami w drugiej ręce.

– O wpół do trzeciej w restauracji, słyszysz mnie? Nie spóźnij się i uważaj na siebie!

Kate odwróciła się do matki i zamykając bramę, pożegnała ją śmiesznym grymasem ust i skautowskim pozdrowieniem Adele.

Gala nie wiedziała, dlaczego jej córka wyrosła na dzikuskę, a nie na żywiołową i radosną istotę. Kate dojrzała, ale nadal zachowywała się jak mała dziewczynka, a nie jak kobieta, która dba o swój wygląd i chce zrobić wrażenie na chłopcach. Nie traciła czasu na zastanawianie się, co na siebie włożyć, nie malowała paznokci, pragnęła jedynie być wolna i cieszyć się swobodą niezbędną do tego, żeby robić ze swoim życiem to, na co ma ochotę. Była jeszcze dzieckiem, ale

zbliżał się czas, kiedy powinna zacząć się zachowywać jak panna z dobrego domu, bo z takiego przecież pochodziła. Była jedną z Marlboroughów. Czyżby nie obchodziło jej to, co powiedzą inni?

Gala weszła do domu. Minutę później pojawiła się z tajemniczym obrazem, który postawiła na krześle. Francisca uklękła i zabrała się do pielienia, miała niewiele czasu, jeśli chciała skończyć przed obiadem. Agnès zaprosiła je do „La Mugi”, Czarodziejce zaś nie można było odmówić, a już na pewno, gdy chodziło o jedzenie. Zorganizowała małe przyjęcie na cześć przyjezdnych, żeby spróbowały miejscowych smaków.

Gala patrzyła, jak Francisca delikatnie okopuje rośliny, i delectowała się drugą tego dnia kawą i zimowym słońcem, które zawsze cieszy. Popijając kawę, przyglądała się obrazowi. Zauważyła rzucane z ukosa spojrzenia Franciski. Czy ona wie o czymś, co mogłoby mi pomóc? Amat powiedział, że to nieudolna kopia *Kobiety w oknie*. Obraz nie miał sygnatury ani żadnej adnotacji, która pozwoliłaby na identyfikację autora. Gala wyczuła, że jeśli zapyta wprost, otrzyma wymijającą odpowiedź, spróbowała więc zrobić to okrężną drogą.

– Czy moja cioteczna babcia kolekcjonowała dzieła sztuki?

Francisca, zajęta skopywaniem ziemi pod nawóz, raptownie znieruchomiała, potem otrzepała dłonie i popatrzyła łagodnie na Galę, która z niecierpliwością czekała na odpowiedź.

– Amelia była niezwykłą kobietą, kochała cię, choć prawie ciebie nie знаła. Wiedziałaś o tym?

Odpowiedź zaskoczyła Galę. Wprawdzie cisnęło się jej na usta mnóstwo pytań, wołała jednak się powstrzymać i skupić na tym, na czym jej naprawdę zależało: na spadku. Nie jest łatwo podążać w obranym kierunku, jeśli oponent obrał odwrotny, a wyglądało na to, że Franciski nie obchodzi spadek, za to ważny jest dla niej ogród i przywrócenie pamięci o Amelii Xatart. Gala nie chciała słuchać opowieści o ciotecznej babce ani o ojcu, prowadziły więc dialog głuchych: każda rozwijała swój temat, przez co nadal znajdowały się w punkcie wyjścia. „Dlaczego tak trudno jest się dowiedzieć czegokolwiek o tym cholernym obrazie?” Gala coraz wyraźniej widziała, jak bardzo uparci i hermetyczni są miejscowi ludzie; przekonała się już, że jeśli nie chcą o czymś rozmawiać, potrafią być szorstcy i nieprzystępni, a wtedy nie ma sposobu, żeby cokolwiek z nich wydobyć.

– Widziałaś zdjęcia swojej babci?

Gala wreszcie dała się wciągnąć w rozmowę narzuconą przez Franciskę. Nie mogła postąpić inaczej, w końcu starsza kobieta była jej gościem i pracowała w jej ogrodzie. Zaprzeczyła ruchem głowy – nie przyjrzała się żadnej fotografii wielkiej Xatart, choć kilka godzin temu zrobiłaby to, gdyby nie zmęczenie. No i co z tego? Czy babka wyglądała jakoś szczególnie? Francisca się uparła, że musi je obejrzeć, aby zrozumieć wiele rzeczy.

– Zdjęcia pokazują więcej niż to, czym są. Nie wiedziałaś o tym?

Gala przyznała, że rano przeszukała pudła na poddaszu, ale znalazła tylko dokumenty księgowo. Nie napomknęła o swoim wielkim odkryciu: czymś, co wyglądało na dziennik zamknięty na kłódkę. Nie uznała za stosowne o nim wspomnieć, żeby uniknąć oceniania jej albo krytykowania za to, że śmiała przeczytać osobiste zapiski zmarłej. Umierała z ciekawości, żeby poznać zawartość zeszytu, wcześniej jednak musiała się spotkać z Amatem. W pudłach znalazła kilka czarno-białych fotografii, ale nie zwróciła na nie uwagi, bo były stare, przedstawiały ludzi z innej epoki, na pewno już nieżyjących, którzy budzili w niej raczej niechęć niż zainteresowanie. Przed laty przeczytała gdzieś, że niektóre plemiona wierzą, iż w każdej fotografii człowieka zostaje część jego duszy. Sama nie była zabobonna, ale akurat w ten przesąd wierzyła. Nie było takich wiele, tylko te, które uważała za uzasadnione, dawała im wiarę, jakby zależało od tego jej życie. Jeśli chodzi o fotografie, a zwłaszcza zdjęcia zmarłych, sądziła, że należy je palić,



pozbywać się ich, aby dusza – jak twierdzili członkowie starych plemion – wróciła do zmarłego i aby mógł odpoczywać w pokoju. Dlatego nie rozumiała tutejszego zwyczaju wieszania wizerunków zmarłych, niczym obrazów świętych. I właśnie z tego powodu nie miała fotografii ojca, wyrzuciła wszystkie poza jedną. Musiała przyznać, że zdjęcie uśmiechniętego taty w Central Parku, trzymającego ją na rękach, traktowała jak skarb. Nosiła je zawsze przy sobie, w portfelu, zniszczone przekładaniem i oglądaniem go ukradkiem, kiedy szukała skrawka duszy ojca, która wciąż była na tej fotografii. Nikt o tym nie wiedział: ani matka, ani Frederick, ani córki. To był jej mały sekret, najbardziej intymna sprawa, najbardziej namacalny dowód jej samotności: wyjmowała zdjęcie, na którym jest ojciec i ona jako małe dziecko, i szukała zawartych w nim wzruszeń, tej uchwyconej chwili niemożliwej do odzyskania.

– Tutaj szanujemy zmarłych. Są częścią naszej kultury i nas samych. Jeśli nie znasz swoich zmarłych, nie znasz siebie.

Francisca zakończyła pierwszy etap prac ogrodowych, odetchnęła świeżym powietrzem i wyprostowała plecy. Gdyby nie zachowywała niezbędnej ostrożności, w tym wieku byle dolegliwość mogła ją skazać na leżenie w łóżku przez co najmniej tydzień. Wytarła dłonie w mały fartuszek, który zawsze nosiła na spódnicy, i usiadła obok Gali, żeby pogrzać się na słońcu. Obie kobiety milczały przez długą chwilę, wystawiając twarze na muśnięcia promieni. Francisca je uwielbiała, ani myślała przejmować się ostrzeżeniami przed rakotwórczymi skutkami opalania, od dziecka miała zwyczaj siadać na pół godziny, żeby dostarczyć organizmowi witaminy D, tak jak zalecała jej babka. Francisca ledwo umiała czytać i pisać, ale nie musiała tego robić, bo Czerwona czytała jej wszystko, co trzeba, a kuzynka Tomasa brała na siebie pisanie. Ona wolała słuchać przyrody, uczyć się od niej, zwłaszcza od kwiatów. Kiedy jej mąż, Josep Impotent, popełnił samobójstwo, nie poszła do klasztoru, odkryła za to magię roślin.

Gala nie miała odwagi zapytać o powody ani sposób, w jaki mąż Franciszki odebrał sobie życie, ale Święta potrafiła wyczytać w jej spojrzeniu, że właśnie o to chodzi.

– Nieważne, minęło dużo czasu i już nie boli. Zawarłam pokój ze swoimi zmarłymi, ty powinnaś zrobić to samo.

Gala i Francisca, osłaniając dłońmi oczy, popatrzyły na siebie spod przymrużonych powiek i połączyły się myślami. Czasami nie trzeba słów, żeby się zrozumieć, a te dwie kobiety doskonale zdawały sobie sprawę, że temat jest zbyt bolesny i delikatny, żeby można było zamienić myśli w słowa. Gala poczuła nagłą potrzebę porozmawiania o ojcu, żeby zapełnić wiedzą pustkę, jaką zostawił. Ale nie miała pojęcia, jak zacząć, co zrobić i co powiedzieć, żeby zburzyć ten niewidzialny mur, który przez lata sumiennie budowała, chroniąc się przed samozniszczeniem. Za to Francisca otworzyła się przed nią, opowiedziała ze szczegółami swoją historię, o tym, jak dzięki głębokiej miłości była w stanie zrozumieć wielkie cierpienie. Jej mąż Josep, brat Pięknej Úrsuli... Gala gubiła się w imionach i przydomkach.

– Tej ze sklepu we wsi, wiesz? Ma syna o imieniu Pau...

Gali natychmiast stanął przed oczami obraz kobiety o przenikliwym spojrzeniu i mało przyjaznym wyrazie twarzy, mistrzyni robótek szydełkowych. Kiedy Francisca uznała, że Gala kojarzy Úrsulę, ciągnęła dalej swoją opowieść. Wolała skorzystać z tej chwili intymności i opowiedzieć otwarcie o wszystkim, zanim zrobi to ktoś inny, przeinaczając fakty. Uwielbiała La Muge, ale jak w każdej wsi, tak i tu plotki rozchodziły się szybciej niż woda płynąca w pobliskiej rzece. Wszyscy wiedzieli wszystko o życiu innych, ale tylko nielicznym zdarzało się sprawdzać informacje, pozostałym brakowało odwagi, żeby to zrobić, lub kierowała nimi potrzeba tworzenia opowieści, legend czy wywoływania skandali. Bez tego wszystkiego żadne miasteczko nie miałoby swoich korzeni. Gdyby nie ta historia, o Francisce mówiono by, że należy do jednego z najlepszych rodów, a tak została tylko ubogą, zbrukaną skandalem krewną

Brugatów.

– No cóż, byłam dziewczynką, kiedy wydano mnie za Josepa, bo... kiedyś ludzie rzadko brali ślub z miłości.

Dopiero co osiągnęła pełnoletność i niewiele wiedziała o życiu. On był znacznie starszy, o dziesięć lat, i nie miał ochoty na ślub. Ale na wsi mężczyźni, podobnie zresztą jak kobiety, musieli rygorystycznie spełniać swoje role i niewielu miało odwagę przeciwstawić się oczekiwaniom społecznym. Josep zawsze był bardzo miły dla Świętej, pokochał ją na swój sposób, ale żeby być szczęśliwym, potrzebował czegoś więcej. Jako handlarz, właściciel jedyne sklepu we wsi, musiał jeździć do Barcelony, żeby rozmówić się z dostawcami. Brugatowie i ich krewni milczeli, gdy poruszano ten temat, ale wiedzieli, że Josep korzysta wtedy z okazji, żeby spuścić ze smyczy swoje demony.

– Nie był szczęśliwy, wiesz? Nigdy mi nic nie mówił, ale ja to wiedziałam.

Gala mogła sobie wyobrazić, co kobieta ma na myśli, ale wolała zachować milczenie i słuchać, żeby nie popełnić gafy jakimś niefortunnym komentarzem. Francisca wstała z krzesła, zrobiła kilka kroków. Popatrzyła w niebo i wyszeptwała w swoim języku coś, czego Gala nie potrafiła odszyfrować, a co przypominało modlitwę, prośbę, mantrę skierowaną do siebie i jej zmarłego męża. Widziała, jak łagodny wyraz twarzy Świętej się zmienia, skóra marszczy, nabiega krwią pod wpływem wspomnień, które wbijają się w nią niczym małe sztyleciki, sprawiając, że ze skaleczonych miejsc sączy się cierpienie. „Powinnam jej przerwać? Dlaczego opowiada nieznajomej osobie o tak intymnych sprawach?” Gala dobrze wiedziała, co wypada powiedzieć, a czego nie, znała się zwłaszcza na utrzymywaniu pozorów za wszelką cenę. Wychowała się w rodzinie, w której najważniejsze było tworzenie nieprzemakalnej osłony przed deszczem tego, co powiedzą ludzie. Uczono ją, żeby okazywała niewzruszoność nawet na statku tonącym jak Titanic. Rodzina Marlboroughów przypominała orkiestrę ze słynnego transatlantyku: w każdej sytuacji była gotowa grać dalej, jakby to, co się dzieje wokół, jej nie dotyczyło. Dlatego choć rozumiała historię Franciski, nie mogła się uwolnić od uczucia skrepowania – Święta wyznawała swoje sekrety osobie bądź co bądź nieznajomej.

– Napiałabyś się herbaty, kawy albo soku pomarańczowego? Mam magdalenki... tutejsze.

Francisca zgodziła się na herbatę i jedno ciastko. „Na pewno to Agnès Czarodziejka przysłała woreczek mocy. Czy Francisca coś o nim wie?” W głowie Gali aż huczało od pytań, ale była zbyt ciekawa historii Josepa i Franciski, dlatego postanowiła na razie zostawić ten temat w spokoju i skoncentrować się na tym, co zamierzała jej wyznać Święta. Kobiety weszły do dawnych stajni, gdzie dwadzieścia lat wcześniej Amelia Xatart urządziła kuchnię z jadalnią i salon z kominkiem. Francisca zatrzymała się w drzwiach na znak szacunku i zanim przekroczyła próg, wymruczała kolejną modlitwę. Gala wolała o nic nie pytać i przemilczeć ten ewidentny rytuał. Nie chciała ryzykować zmiany tematu rozmowy; choć Francisca wyglądała na osobę w pełni władz umysłowych, miała w końcu około siedemdziesiątki.

Kiedy herbata została już zaparzona i podana w filiżankach, Święta usiadła w fotelu z uszami, wypila mały łyżeczek i ze wzrokiem utkwionym w pływających liściach, wróciła do swojej opowieści.

– Minęło ponad czterdzieści lat, jestem już stara, ale kiedy to się wydarzyło, byłam w kwiecie wieku.

Oczy Franciski zwilgotniały. Siedząca przy niej Gala ścisnęła ją mocno za rękę na znak współczucia i pocieszenia. Urok, łagodny wyraz twarzy i aksamitny głos Świętej sprawiły, że Gala poczuła skurcz w żołądku. Francisca otarła łzę i spojrzała w niebo, kiwając potakująco głową. Z czasem zrozumiała, dlaczego mąż powiesił się na powrozie do wiązania koni. Z czasem zrozumiała jego cierpienie i mękę, jaką była świadomość braku akceptacji. Miał niespełna

trzydzieści pięć lat, całe życie przed sobą i żoną, która o niego dbała i go kochała, choć nie wypełnił małżeńskiego obowiązku. Ale zachłysnął się szczęściem, padł ofiarą zakazanej miłości, takiej jak ta łącząca Romea i Julię, o której opowiedziała jej Nalda.

– Tyle że w ich przypadku chodziło o dwie rodziny, które się śmiertelnie nienawidziły. W przypadku Josepa – o miłość do drugiego mężczyzny, o grzech i przestępstwo karalne. Gdyby mi o tym powiedział, może jeszcze by żył...

Francisca opłakała jego śmierć; przez lata oddawała mu pośmiertny hołd, broniąc jego dobrego imienia przed wszystkimi, a zwłaszcza przed jego siostrą Úrsulą, która zamiast czcić pamięć o bracie, rozpowiadała o nim zmyślane historie, nazywając go impotentem albo zbrojcem. Skandal był przedmiotem plotek; przez wiele kolejnych lat, kiedy Francisca przechodziła obok grupki osób, zapadała cisza. Gdy straciła dom i sklep, kuzynka Bogaczka przygarnęła ją w wiejskiej rezydencji Brugatów. Nikt nigdy nie odważył się zadawać jej pytań, każdy tworzył sobie własną historię, ale wszyscy jej współczuli. Od tamtego czasu wołają na nią Święta.

– Nie zostałam zakonnicą, bo to ksiądz ze wsi zmusił Josepa do ożenku, chociaż wiedział, że ma inne skłonności...

Gala wyczuła złość ogarniającą Franciscę, gdy ta mocno ścisnęła jej dłoń, prawie miażdżąc palce. Święta nie wyszła powtórnie za męża, nie miała potomstwa, tylko siostrzeńców kuzynki, których uwielbiała. Poświęciła się pracy w ogrodzie i oddała we władanie kwiatom. Mocno wierzyła w uduchowanie świata roślin. Była mistrzynią w sporządzaniu olejków kwiatowych, od lat produkowała je do celów leczniczych. Gala miała ochotę porozmawiać z Franciscą o swoich orchideach i problemach z utrzymaniem ich przy życiu, ale zrezygnowała, bo i tak zabrała zbyt dużo czasu tej kobiecie, nadużyła jej zaufania, a poza tym musiała się przyszykować do obiadu. Przy pożegnaniu Francisca ujęła twarz Gali w dłonie i pocałowała ją w oba policzki z czułością, którą Amerykanka poczuła w całym ciele. Nie wypuszczając twarzy z rąk, staruszka popatrzyła na nią z niezrozumiałą miłością w oczach, potem pogładziła ją po włosach i wypaliła:

– Ta ziemia wybiera sobie kobiety, wiesz? Uwierz, a wszystko będzie dobrze!

Zaraz po pożegnaniu z Franciscą Gala usłyszała dźwięk przypominający dzwonek telefonu. „Jest telefon w tym domu?” Wsłuchując się w ten odgłos, poszła jego śladem, aż znalazła antyczny aparat w kolorze szpitalnej zieleni, ukryty pod starymi czasopismami. Rzuciła się na niego, żeby szybko odebrać, zanim połączenie zostanie przerwane.

– Halo?

Dzwoniła Czerwona Nalda z informacją, że Adele ma się doskonale, jest zdrowa i dobrze się bawi z Markiem, który tego ranka służył jej za przewodnika po fermie mleczarskiej. Wydawało się, że w tej wsi ściany domów mówią albo mają wbudowane minikamery, bo wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich: Nalda przypomniła jej o obiedzie u Agnès i zapytała, czy Święta już wyszła.

– Jest trochę powolna, wiesz? Ma wiele zalet, ale punktualność do nich nie należy, a Agnès będzie złorzeczyć, jeśli usiądziemy do stołu z opóźnieniem.

Ona, Amat, Marc i Adele mieli pojechać razem, a po drodze zabrać Kate i Joaną. Nalegania Gali na powrót córek do domu, żeby się umyły i przebrały, zanim wyruszą do „La Mugi”, pozostały bez odpowiedzi. Nikt nie chciał słuchać, co ona ma do powiedzenia, za to od razu wytknięto jej przesadną dbałość o pozory i udawanie.

– Tu nie ubranie jest ważne, wiesz?

Wiesz? Dlaczego te kobiety kończyły każde zdanie pytaniem, skoro nigdy nie oczekiwały odpowiedzi i zawsze robiły to, na co miały ochotę... Gala zaprotestowała, próbowała narzucić

swoją wolę jako matka i osoba odpowiedzialna za dwie nieletnie córki. Na próżno. Tu obowiązywało inne prawo, więc albo się dostosujesz, albo cię zmiażdżą jak walcem drogowym.

– Wiejskie prawa bardzo się różnią od tych w mieście, wiesz?

Nie! Nie wiedziała i wołała nie wiedzieć. Poczwała nagłą chęć, żeby się zbuntować. Jęknęła coś bez sensu, zanim odłożyła słuchawkę, i dwukrotnie tupnęła nogą z bezsilności. Czy miała obowiązek iść na ten obiad? Nikt nie będzie kontrolował jej życia, a już na pewno nie jakieś babcie, które wcale nie były takie niewinne i nieszkodliwe; wręcz przeciwnie, według niej były napastliwymi manipulatkami. Zamiast posłać je wszystkie do diabła, odkręciła wodę i wzięła długi, pokrzepiający prysznic, niespiesznie, bez towarzystwa marudzących córek.

Kate założyła wrotki, przebiegła kilka razy sprintem przed Joaną i wykonała parę ślizgów. Z pośpiechu i nadmiaru emocji zapomniała zabrać ze sobą ochraniaczy: nakolanników, nałokietników i kasku. Wszystko to przywiozła z Nowego Jorku. „Gotham Girl nigdy nie zapomina o stroju!” Joana, oparta o barierkę, w o wiele za dużych okularach przeciwsłonecznych, obserwowała jazdę Kate. Nie przepadała za bieganiem, ale lubiła ryzyko. Każdy wyczyn, który wiązał się z nabieraniem prędkości, wszystko jedno jaki, budził jej podziw. Nie rozumiała za bardzo, co zabawnego może być w szybkiej jeździe z jednego końca boiska na drugi, ale patrzyła na Kate z ciekawością, czekając, aż ta się zmęczy i opowie jej coś o Manhattanie. Jednak minęło dużo czasu, zanim Kate zdjęła wrotki; od wielu dni nie czuła adrenaliny, toteż przez dłuższą chwilę krążyła jak w transie z właściwą rollerkom energią. Jeździć, czuć się lekką, jakby wrotki przestały dotykać asfaltu, ostro zahamować, a potem znów szukać tych samych emocji, i jeszcze raz. Musi pilnie trenować, jeśli chce być w formie w czasie eliminacji i pierwszy raz w historii Gotham Girls wygrać ligę krajową. Joana nie bardzo rozumiała, na czym polega ten sport. Z opowieści Kate wynikało, że chodzi o coś w rodzaju rugby, tylko na wrotkach. Nie była to zbyt kobieca dyscyplina, niemniej dziewczyna już teraz została wierną fanką roller derby. Miała pewność, że dodatkowa wiedza na temat miasta zaowocuje, kiedy tam wreszcie zamieszka, dzięki niej szybciej się zasymiluje z otoczeniem. Któregoś lata poznała kilku Amerykanów, którzy opowiadali, że Nowy Jork to jedno z miast najtrudniejszych do życia, bo jest bardzo drogi i pełen desperatów o władniętych ambicją urzeczywistnienia swoich marzeń. Dla Joany nie stanowiło to przeszkody, tylko jej uzmysłowiło, że przed wyjazdem do Nowego Jorku powinna się odpowiednio przygotować. Od lat studiowała ulice miasta, modne bary, ubierała się jak nowojorscy *streetstylers*. Kate była jeszcze dzieckiem, nie umiała docenić tego stylu, ale Joana miała pewność, że jej spódnica i grube rajstopy są dla Amerykanki czymś co najmniej naturalnym.

Spocona Kate zakończyła popisy ostrym hamowaniem, a przypadkowa publiczność oklaskała jej ostatni pozorowany zwód. Dziewczynie nigdy nie przeszkadzało, że ludzie na nią patrzą, przeciwnie, należała do osób, które czują się dowartościowane, kiedy inni biją im brawa. Która mogła być godzina? Ile czasu tu spędziły? Nie chciała się spóźnić na obiad; po takim wysiłku czuła w brzuchu burczenie głodnego lwa, którego należało szybko nakarmić.

Joana była szczęśliwa z przyjazdu gości, pomyślała nawet o szlifowaniu angielskiego, ale ponieważ słabo знаła ten język, Amerykanka zdecydowała, że łatwiej dogadają się po hiszpańsku.

– *No problem, as you like it!*[13]

Po drodze do restauracji Joana zasypała Kate pytaniami.

– Ile musicali obejrzałaś? Lubisz Woody’ego Allena? Byłaś w Cadaqués? Gdyby Allen znał to miejsce, na pewno nakręciłby tu film.

Zarzucała ją imionami i szczegółowymi informacjami dotyczącymi mieszkańców wsi. Mówiła za szybko i nie zostawiała czasu na odpowiedź ani na zapamiętanie tego, co wyjaśniała.

– U Cecylii jest klacz, która niedługo będzie rodzić. Pójdiesz na przyjęcie?  
– Jakie przyjęcie?  
– Przyjęcie na cześć źrebaka; zawsze gdy rodzi się kolejny, Cecilia wydaje przyjęcie i przychodzi cała wieś. Jest bardzo fajnie!

Mówiła bezładnie, z nieodłącznym szerokim uśmiechem i gestykulując. Kate nie rozumiała większości z tego, o czym nowa koleżanka jej opowiadała, ale uznała, że jest ona całkiem zabawna. Wyglądała na taką, która odważy się na wszystko i – podobnie jak Kate – złamie obowiązujące normy. Należała do szczęśliwców, którzy mieli wstęp do chatki na drzewie, też po kryjomu paliła papierosy, słuchała tych samych zespołów. Znała Spotify! Kate nie mogła uwierzyć, że w tej wsi oddalonej od nowoczesności jest osoba, która wie o istnieniu jednego z najbardziej fascynujących wynalazków ostatnich czasów: o Spotify, nieograniczonej składnicy muzyki w sieci, pozwalającej za stałą opłatą słuchać ulubionych artystów. Kate poprosiła o dostęp, kiedy skończyła jedenaście lat, i od tamtego czasu nie mogła żyć bez swojego iPhone'a i słuchawek.

– Masz iPhone'a? Uuuu la, la!

Joana była pod wrażeniem ilości gadżetów ostatniej generacji, które posiadała Kate. Sama miała zaledwie smartfona, z tych najprostszych, i perłę w koronie: MacBooka Air, którego rodzice sprezentowali jej na siedemnaste urodziny. Na Boże Narodzenie poprosiła o iPada, ale nie wiedziała, czy go dostanie, bo oblała trzy przedmioty. Kate z kolei była wzorową uczennicą, jeśli chodzi o stopnie, ale jej zachowanie w klasie pozostawiało wiele do życzenia. Ona i siostra chodziły do Brearley School, jednej z najbardziej prestiżowych szkół w Nowym Jorku.

– Słyszałaś o niej?

Joana zaprzeczyła ruchem głowy, spragniona informacji na ten temat. Jej szkoła znajdowała się w Figueres; nie miała o niej zbyt wiele do powiedzenia. Kate natomiast mogła przez całe popołudnie opowiadać, co znaczy być Brearley Girl, o tym, czego nienawidziła w szkolnym haśle *By Truth and Toil* i w śpiewaniu co tydzień *The Linden Tree*.

– Grasz na pianinie? – zapytała.

Kate zapomniała, że jej nowa przyjaciółka ma zainteresowania artystyczne, i wspomniała o Franzu Schubercie. Joana natychmiast złapała ją za rękę i puściła się biegiem w stronę swojego domu, prosząc, żeby zagrała jej coś na pianinie. Kate nie była żadnym cudownym dzieckiem, ale ponieważ uczyła się grać od najmłodszych lat, bez trudu mogła zrobić wrażenie na każdym ignorancie w tej dziedzinie sztuki. Zatrzymała się gwałtownie, kiedy zobaczyła, do czyjej posiadłości ma wejść: Can Brugat. Nie była do końca pewna, czy może przekroczyć bramę, bo wprawdzie Joana gorąco ją zapraszała, ale Tomasa Bogaczka, jej babcia, zabroniła Kate wstępu. Gdyby chodziło o tereny wojskowe, wszystko byłoby jasne, ale ponieważ chodziło o małą wieś, Kate się wahała, czy może przyjąć zaproszenie. Joana nie rozumiała, dlaczego Amerykanka nie chce wejść do środka. Co prawda jej babcie otaczała zła sława, jednak nigdy nie zabroniłaby wstępu przyjaciółce wnuczki, a przecież Kate była jej nową przyjaciółką. Wyciągnęła rękę do Kate i przeszła przez bramę.

Chociaż nie miały zbyt dużo czasu ani na wątpliwości, ani na pianino, Joana uparła się, żeby Kate zagrała jej coś przed obiadem. Uznała, że goszczenie w domu kogoś z Nowego Jorku, kto w dodatku mieszka w dzielnicy Upper Side na Manhattanie, doda jej splendoru. Zbliżała się pora obiadu i jej ojciec na pewno będzie w domu. Chciała mu przedstawić Kate i przy okazji przypomnieć umowę, jaką zawarli kilka lat wcześniej. Pomagała w rodzinnej firmie w zamian za możliwość studiowania w Nowym Jorku. Wiedziała, że bliscy wątpią w jej talent, ale w życiu wielkich gwiazd mnóstwo było ludzi, którzy nigdy nie wierzyli w ich sukces. Ona miała potencjał, żeby zostać gwiazdą – wystarczyło, że pójdzie za głosem swojego serca, nie zważając

na to, co myślą inni.

Kate wyciągnęła rękę i wskazała na coś za plecami Joany, a ta uśmiechnęła się rozbawiona.

– Nie chciałabym zranić twojego ego, ale nie pierwszy raz ktoś mierzy do mnie z pistoletu.

Kate spojrzała na nią, niczego nie rozumiejąc. Joana powtórzyła to samo zdanie, tym razem po angielsku i trochę głośniej, jakby kogoś naśladowała.

– Kojarzysz? – zapytała.

Kate zaprzeczyła, a Joana złapała się za głowę. Jak przyjaciółka mogła nie rozpoznać jednego z kultowych zdań z *Pulp Fiction* Tarantina? W ten sposób Kate odkryła kolejną pasję koleżanki, która z zamiłowaniem wplatała do rozmowy słynne cytaty z filmów, niemające związku z tematem, i kazała zgadywać, skąd pochodzą. Sama też lubiła tę grę, choć nie bawiła się w nią często. Rozbawiona wyzwaniem zmieniła kierunek swojego palca i uniosła go w stronę nieba. Zaczekała, aż Joana powiedzie za nim wzrokiem, i dopiero wtedy wypowiedziała swoją kwestię:

– Gdy palec wskazuje niebo, tylko głupiec patrzy na palec.

– *Amelia!*

Joana od razu odgadła odpowiedź. Pochwaliła Kate za jej refleks; wyczuwała, że trafiła na godną przeciwniczkę, niełatwą do pokonania. Jednak zanim wypowiedziała kolejny cytat, usłyszały wołanie ojca Joany, który nie rozumiał, co dziewczynki robią przy bramie, jedna na podwórku, druga na zewnątrz. Joana podbiegła, żeby się z nim przywitać. Kate nawet nie ruszyła się z miejsca. W *Czystej krwi*, serialu, który oglądała po kryjomu przed rodzicami, wampiry nie mogą wejść do domu bez zaproszenia. I nieważne, że zaprasza ją przyjaciółka, bo musi zrobić to jeszcze właścicielka tego miejsca: doña Tomasa, bohaterka z traktora.

Joana zostawiła koleżankę na chwilę, uznawszy, że niczego nie wskóra, i weszła do domu, żeby się przebrać. Kate czekała, siedząc na wielkim cementowym słupku. Skorzystała z okazji, żeby sprawdzić telefon i zapalić papierosa. Nie miała pojęcia, czy we wsi, tak jak w Nowym Jorku, wszyscy są przeciwnikami palenia tytoniu, na wszelki wypadek wołała więc zaciągnąć się kilka razy w samotności, żeby nie wysłuchiwać kazań. „Gdzie jest Adele?”, pomyślała.

Adele siedziała z Markiem w oborze. Brodziła w krowim łajnie w gumiakach, o trzy numery za dużych, i próbowała podłączyć kubek dojarki elektrycznej do krowiego wymienia. Marc i jego dziadek pokazali jej, jak to najlepiej zrobić, ale kucanie pod krową było zbyt wielkim przeżyciem, żeby mogła trafić za pierwszym razem. Vicente pomógł jej jednym krótkim ruchem; wymię zniknęło w przezroczystym, rurkowatym naczynku. Na polecenie dziadka Marc włączył zielony przycisk uruchamiający dojenie. Podpiętych było tylko kilkanaście krów. Zwykle dojono je o szóstej rano, ale Marc nalegał, żeby pokazać przyjaciółce, jak to się robi. Oboje z rozbawieniem obserwowali, jak plastikowe rurki wypełniają się mlekiem, które płynie do wielkiej metalowej bańki, chroniącej je przed bakteriami.

– Chcesz zobaczyć, jak doję bez maszyny?

Adele kiwnęła głową z szerokim uśmiechem na twarzy. Żałowała, że nie ma z nią Kate i nie może uwiecznić tej sceny na zdjęciu! Na pewno Brearley Girls nie uwierzą, że siedziała pod krową i dotykała jej wymion. Marc poprosił dziadka, żeby pokazał, jak to robiono, zanim nastąpi dojarki. Vicente przyniósł dwa drewniane stołeczki, przypominające trochę dawne podnóżki, i ustawił je dokładnie przy boku krowy. Zachęcił Adele, żeby usiadła na jednym z nich. Zobaczyła z bliska, jak staruszek delikatnie muska różowe wymiona Aurelii (wszystkie krowy miały imiona), potem je rozciąga i wprawnymi ruchami przypominającymi układ

choreograficzny sprawia, że zaczyna z nich tryskać mleko. Zdawało się, że są strunami harfy, a dziadek Vicente wygrywa coś białym płynem, wpadającym do plastikowego wiadra. Adele była pod wielkim wrażeniem, ale choć próbowała ciągnąć sutek rączką, brakowało jej wprawy i odpowiedniej techniki, żeby wydusić z niego mleko.

– Podoba ci się?

Marc był szczęśliwy, mogąc pokazać przyjaciółce zakamarki wsi i wszystko, co się w niej działo. Dziadek Vicente zakończył przedstawienie i wlał zawartość kubła do metalowej bańki. Jeśli nie chcieli się narazić na kazanie Naldy, musieli wracać do domu.

– Już nie przeszkadza mi zapach tej wsi.

– Jaki zapach? Gówna?

Adele zachichotała, słysząc to słowo. Była w takim wieku, że na niektóre wyrazy reagowała natychmiastowym śmiechem. Marc zrozumiał, o co chodzi, i zaczął powtarzać: „Gówno! Gówno! Gówno!”, żeby Adele nie przestała się śmiać. Dzieci szły przed Vicentem, skacząc jak żrebaki. Starzec lubił patrzeć na roześmianego, radosnego wnuka. Marc był wyjątkowo wrażliwym dzieckiem, a odmienność zwykle oznacza cierpienie. On sam nie odstawał od otoczenia, za to od ponad pięćdziesięciu lat mieszkał z Czerwoną, która próbowała lekceważyć konwenanse. Uwielbiał ją, podobała mu się jej przebojowość, odwaga, brak konformizmu, wiedza z książek, które pochłaniała, ale widział też z bliska, jak ludzie starają się stłamsić wszelką odmienność. Dopóki dopisywało mu zdrowie, wykrzesywał z siebie brutalną siłę i bił się z każdym, kto pozwolił sobie na choćby najbardziej niewinny żart dotyczący jego żony. Nalda była jedyna w swoim rodzaju i inni podzielali to zdanie. Różnica polegała na tym, że Vicentemu, który ciągle kochał ją jak pierwszego dnia, uciążliwy charakter Czerwonej nie tylko nie przeszkadzał, ale wywoływał u niego wybuchy śmiechu, u innych zaś – wysypkę na skórze.

Zanim weszli do domu, Marc przywołał ruchem ręki dziadka, który został z tyłu. Na starość trzeba się pogodzić z tym, że nie możesz już biegać i wszyscy muszą na ciebie czekać. Vicente go sporo kosztowało pogodzenie się z koniecznością zmniejszenia tempa, bycia ostatnim zamiast pierwszym, a zwłaszcza z koniecznością rezygnacji z rąbania drewna, jednej z prac, które sprawiały mu największą przyjemność. Dzięki niej utrzymywał formę, z której zawsze był dumny, choć nigdy nie dawał tego po sobie poznać.

Nalda siedziała w swoim ulubionym kącie, gdzie zwykle czytała i wycinała. Uwielbiała lekturę gazet i wycinanie artykułów, które ją zainteresowały. Porządkowała je według tematów, czasami według autorów, ale nikt nie miał pojęcia, co z nimi robi, nikt też nie śmiał jej powiedzieć, że ich kolekcjonowanie jest absurdalne. To było jej hobby; wszyscy jakieś mamy i nikt nie powinien osądzać naszych zamiłowań. Vicente szanował dziwactwa żony, zostawiał ją samą w chwilach, z których czerpała największą przyjemność, w porze wiadomości telewizyjnych albo kiedy serfowała po internecie. Nikt nie mógł jej wtedy przeszkadzać...

– *Aaaviiiii... Telèeeefoon!*[14]

Nalda mruknęła coś pod nosem i zmięła „Vanguardię”, pomstując na dzwonek, który rozległ się w nieodpowiednim momencie. Cała wieś wiedziała, że godzinę przed obiadem spędza na czytaniu i wycinaniu i że nie wolno jej wtedy przeszkadzać. Kto czekał po drugiej stronie linii?

– *Sí? Què vols ara?*[15]

To była Teresa, zwana Drugą. Dzwoniła oburzona, bo nie zaproszono jej na obiad u Agnès, podobnie jak Úrsuli i Cecilii. Teresa uznała to za wyraz lekceważenia ze strony Czarodziejki, także wobec nowej. Nalda była pewna, że Piękna, znana z przemożnej potrzeby rozsiewania plotek, za bardzo namieszła.

– *No és una reunió oficial! L’Agnès ha convidat a unes cuantes a dinar, saps?*[16]

Teresa łatwo się obrażała i wszystko brała do siebie. Osiadła we wsi jako ostatnia. Wyszła za Alfonsa jako jego druga żona. Przyjechała z Barcelony, więc niełatwo jej było się zaadaptować. Upływ lat nie uleczył jej z kompleksów, nadal czuła się ostatnią. Wszyscy mówili na nią Druga; darzyli ją szacunkiem, nie znosili jednak, kiedy zaczynała marudzić, że jest wykluczana. Nalda próbowała jej wytłumaczyć, że nie chodzi o żadne oficjalne spotkanie, że brakuje jeszcze kilku dni do pełni księżyca, że to po prostu zwykły obiad, więc jeśli chce, może przyjść, bo Agnès nie zamyka przed nikim drzwi. Upłynęło trochę czasu, zanim Teresa dała się przekonać, bo jej przyjaciółka Úrsula, specjalistka od wydobywania z ludzi tego, co najgorsze, nafaszerowała ją mnóstwem kłamstw i bezpodstawnych podejrzeń.

– *No, no, si a mi no em va bé apropar-m'hi. Tinc a les quatre una neteja de cutis a Figueres*[17].

Úrsula chciała skłonić Teresę do wykonania tego telefonu, żeby Czarodziejka poczuła się zmuszona zaprosić Piękną. Nalda doskonale знаła wybiegi Úrsuli; wiedziała też, jak uparta jest Agnès. Druga uspokoiła się trochę w trakcie rozmowy i postanowiła nie iść na obiad, podobnie jak Cecilia, która wolała zjeść z Jowem. W małych miasteczkach zawsze trzeba się ze wszystkiego tłumaczyć, nawet bez powodu, Nalda musiała więc coś wymyślić, żeby uspokoić Teresę i nie musieć dzwonić do Agnès tylko dlatego, że Úrsula wyczynia, co się jej żywnie podoba.

Po odłożeniu słuchawki zdała sobie sprawę, że czas wychodzić. Zawołała dzieci, które przeszukiwały strych, pocałowała męża, który wolał zjeść w domu i zrobić sobie sjęstę. Dziadek Vicente miał swoje nawyki, jadał poza domem wyłącznie w niedziele, kiedy do wsi przyjeżdżały dzieci i wnuki. W pozostałe dni, jeśli nie było pogrzebu, ślubu ani nie świętowano narodzin, zostawał w domu, zjadał, co mu przygotowała Nalda, i drzemał na sofie przy rozpalonym kominku.

Układał właśnie polana, kiedy Marc dał mu buziaka z takim impetem, że o mało nie powalił go na podłogę. Adele poszła w ślady przyjaciela. Dziewczynka lubiła dawać całusy, a w tej wsi wszyscy woleli dostawać buziaka niż ścisnąć dłoń. Zupełnie inaczej niż w jej rodzinie.

– Umiesz rozpalać w kominku?

Adele zaprzeczyła ruchem głowy i zrobiła minę mówiącą, że chce się nauczyć, kiedy tylko będzie okazja. Uwielbiała ogniska, a dobra skautka powinna być przygotowana do rozniecania ognia w każdej chwili. Marc obiecał, że jej pokaże, jak to się robi; dziadek Vicente był mistrzem w rozpalaniu w kominku i wiedział wszystko o ogniu.

– W domu Xatartów jest kominek, prawda?

Adele znów przytaknęła ruchem głowy. Tyle że nigdy w nim nie napaliły, bo nie mają drewna. Marc nie widział w tym żadnego problemu, wujek Amat mógł z nimi pojechać, kupić i przywieźć opał. Zima bez drewna opałowego w tej wsi jest jak Empordà bez tramontany.

Nalda i dzieci wyszły z domu, wsiadły do samochodu babci, gigantycznego czerwonego jeepa. Czerwona była miłośniczką samochodów, dlatego dziadek Vicente, który ją bardzo kochał, spełnił jej zachciankę i подарował na urodziny jeepa wranglera unlimited 2,8 crd polar auto. Marc uwielbiał samochody; na razie nie mógł sam prowadzić, więc zbierał ich modele, które składali z ojcem i z wujkiem Amatem. Babcia Nalda rzadko jeździła po szosie, za to często po wsi i nie potrzebowała tak dużego auta, ale dziadek Vicente uparł się je kupić, żeby uszczęśliwić żonę. Marc cieszył się, że w jego rodzinie jedni uszczęśliwiają drugich. Uwielbiał patrzeć, jak każdego ranka na stole nakrytym do śniadania ojciec kładzie kwiatek dla mamy, a matka uśmiecha się na jego widok po przebudzeniu i wkłada go do wody. Wujek Amat często ścisnął dziadków i zawsze kiedy mógł, pomagał na farmie jego ojcu i dziadkowi Vicentemu. Któregoś



dnia zaskoczył go prezentem w postaci roweru. Istniał tylko jeden taki model na świecie, bo wujek sam go złożył z części od innych i zamienił w prawdziwą perełkę na kółkach. Adele nie mogła się doczekać, kiedy go zobaczy; na pewno był vintage – tak jej siostra nazywała stare i piękne rzeczy.

Po niespełna pięciu minutach dotarli do restauracji „La Muga”, zaparkowali w ogrodzie posiadłości i weszli, kierując się zapachem wybornego jedzenia. Stół stał już przygotowany w jednym z salonów przeznaczonych na wyjątkowe uroczystości. Jacinto, mąż Agnès, przyjął ich z otwartymi ramionami wielkoluda: był najwyższym mężczyzną we wsi, miał ponad dwa metry wzrostu, dlatego wszyscy nazywali go Olbrzymem. Adele trochę się wystraszyła, ale szybko odzyskała spokój, kiedy zobaczyła, jak serdecznie traktuje tego pana sosną jej przyjaciela. Matka i siostra jeszcze nie przyjechały. Dziewczynka bardzo chciała je zobaczyć i opowiedzieć im o wszystkim, co robiła z Naldą, Markiem i dziadkiem Vicentem. Ta wieś, na pozór malutka, okazała się studnią bez dna, jeśli chodzi o to, co można tu robić i odkryć. Od kiedy Adele przyjechała, nawet nie miała czasu, żeby zajrzeć do *Opowieści z Narnii*. Marc zaliczył tę książkę do grubych; do takich lektur zmuszano go w szkole, sam wołał czytać komiksy.

– Ja lubię superbohaterów, wiesz? – powiedział.

– Łucja Pevensie jest superbohaterką. Najlepszą!

– A kto to taki? Nie znam – zdziwił się.

Adele nie mogła uwierzyć, że jej towarzysz przygód nie wie nic o Narnii ani o Łucji Mężnej, najmłodszej z rodzeństwa Pevensie, przewodniczce i wybawicielce, która leczyła każdą ranę za pomocą eliksiru z soku kwiatowego z magicznej buteleczki. Marc wysłuchał uważnie pełnego pasji opisu Narnii, przygód Łucji i innych postaci: Białej Czarownicy, Aslana... Niewiele zrozumiał z tego, co opowiadała Adele, ale zaczęło go to ciekawić. Jego przyjaciółka pożerała książki, dla niej liczyła się nie grubość, lecz opisana w środku przygoda. Marc był fanem Supermana, podobnie jak wcześniej dziadek Vicente, ojciec i wujek Amat. Uważał Supermana za najlepszego i najpotężniejszego ze wszystkich superbohaterów, a dzięki dziadkowi miał szczęście być posiadaczem olbrzymiej kolekcji starych komiksów. Oryginalnych! Żaden z jego szkolnych kolegów nie miał takiej. Przychodzili do niego do domu i spędzali popołudnia na lekturze przy podwieczorku: mleku z nesquikiem i magdalenkach, które Marc piekł z pomocą Agnès. On był za nesquikiem, jak cała jego rodzina...

– Cola cao to nie to samo, wiesz? – stwierdził.

Adele nie rozumiała ani słowa z tego, o czym mówił. Musiało być chyba podobnie jak u niej w domu z coca-colą i pepsi. Kate wołała coca-colę, co oznaczało zerwanie z rodzinną tradycją picia pepsi. Jej na razie było wszystko jedno, dali jej spróbować coli tylko raz i chciało jej się po niej wymiotować.

– Wiesz, że jeśli wrzucisz do niej kawałek mięsa, to zniknie?

Adele słyszała o tym od kolegi z klasy, ale zawsze sądziła, że to wymysł, bajka, która ma niewiele wspólnego z rzeczywistością.

– To absolutna prawda. Sam kiedyś spróbowałem.

Do rozmowy włączyła się nagle Kate, zalatująca tytoniem, z chupa chupsem w ustach. Adele rzuciła się jej w ramiona z takim impetem, że siostra wylądowała na ziemi. Obie za sobą przepadały, ale starsza z dziewczynek nie zawsze okazywała swoją miłość. Była szczęśliwa, widząc, że Adele jest wesoła jak mały skrzacik; doskonale wiedziała, co oznaczają jej zaróżowione policzki i oczy ogromne jak pomarańcze. Taka twarz wyrażała prawdziwe szczęście, jak w poniedziałki, kiedy w domu była pizza i wspólne oglądanie filmów.

Marc przywitał się z Joaną, a ta poczęstowała jego i Adele lizakami.

– Dobrze jest być dużym, bo wtedy można sobie kupić to, co się chce.

– A mama? – spytała Kate.

Adele wzruszyła ramionami, bardziej zainteresowana odwijaniem chupa chupsa z papierka niż pytaniem siostry.

Gala się spóźniała, bo przesadziła z ubiorem. Czasami traciła umiar i za bardzo się stroiła; teraz zapomniała, że jest w małej wsi, i wyszła z domu wyelegantowana, jakby miała zjeść obiad w Białym Domu. Zajrzała do „La Mugi” i na widok tamtejszej klienteli zdała sobie sprawę, że jeśli szybko się nie przebierze, będzie wśród nich wyglądać jak bożonarodzeniowa choinka. Uciekła, przerażona. Amat zobaczył z daleka, jak biegnie ubrana niczym druhna na ślubie. „Co, u licha?...” Widząc, jaki wybrała strój, postanowił sam się przebrać. Pracował cały ranek i wydzielał z siebie typowy smród skunksa.

Tomasa i Francisca przyjechali razem i natychmiast poszli do kuchni, żeby przywitać się z Agnès i Naldą, które stały tam z kieliszkami wina w rękach. Tomasa uniosła brew na widok Naldy, bo się spodziewała, że ta z wiekiem zacznie kontrolować swoją słabość do alkoholu. Czerwona z uśmiechem uniosła kieliszek; w czasie takich spotkań chętnie próbowała nowego wina. Agnès odwróciła się, żeby je przywitać, ale tylko na chwilę, bo to był bardzo ważny moment i całą uwagę musiała poświęcić garnkom. Nie lubiła, żeby ktokolwiek kręcił się po jej kuchni, ale z tymi kobietami żyła w przyjaźni od zawsze, a okazje do spotkań przy kuchennym piecu nie zdarzały się często.

Tomasa pierwsza wspomniała o Gali. Wszystkie się już z nią zetknęły i wszystkie – oprócz Bogaczki – oceniły ją pozytywnie.

– *No ho tinc clar jo... No sembla pas com l'Amelia*[18].

Agnès poznała Galę pierwszego dnia, kiedy Amat przyprowadził ją i dziewczynki na obiad. Gala była jedną z Xatartów! Agnès nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości, a z tych czterech kobiet to ona w największym stopniu posiadała dar sięgania wzrokiem głębiej niż zewnętrzne pozory. Tym właśnie, a także czarami przy kuchni, zasłużyła sobie na przydomek Czarodziejka.

Nalda traciła ostrość widzenia, kiedy miała w pobliżu coś dobrego do zjedzenia. Tym bardziej że sama nie przepadała za gotowaniem. Ponieważ była smakoszką, tak duża ilość wybornych dań sprawiała, że nic innego do niej nie docierało. Bardziej niż przyjezdna liczyły się dla niej przysmaki przygotowane przez Agnès. Francisca wtrąciła jedynie, że czas pokaże...

– *No en tenim pas gaire de temps... No marxaven d'aquí a una setmana?*[19]

Co chciała powiedzieć, podkreślając, że nie mają zbyt dużo czasu? Rozmawiały tak, jakby knuły jakiś spisek. Czy wiązało się to z obecnością Gali?

Agnès wyrzuciła je z kuchni, mówiąc, że dzieci od dłuższej chwili siedzą same przy stole, a Gala i Amat też już na pewno przyszli.

Jak za sprawą magicznej sztuczki tych dwoje wpadło na siebie w drzwiach restauracji. Sprawiali wrażenie, jakby zamienili się rolami: Amat przypominał wyglądem chłopaka z miasta, a ona dziewczynę ze wsi. Od czasu ślubu brata Amat nigdy nie miał do czynienia z krawatem, tego dnia jednak postanowił go założyć, ale węzeł wyszedł mu niezdarnie. Gala z kolei wyciągnęła dzinsy, koszulę w kratę i kowbojki – doskonały zestaw dla teksańskiej poganiaczki bydła. Oboje popatrzyli na siebie w milczeniu i nie mogli powstrzymać uśmiechu. Amat otworzył drzwi, Gala weszła bez słowa, walcząc z pokusą, żeby poprawić mu krawat.

Wszyscy rozsiedli się wokół stołu, żartując i czekając niecierpliwie na potrawy przygotowane przez Agnès na cześć nowo przybyłych. Kelnerzy zaczęli roznosić półmiski; wyglądało to jak prezentacja wyrobów gastronomicznych i bogactw tego regionu: anchois, rozmaite wędliny, pomidory z cebulką z Figueres, grillowane warzywa, ślimaki, chleb natarty świeżymi pomidorami... To były zaledwie przystawki. Tego popołudnia Agnès zaprezentowała

całe bogactwo miejscowej kuchni. Goście najedli się do syta, napili i nacieszyli różnorodnością kolorów, smaków i wrażeń, a wszystko to w czasie jednego posiłku.

Galę ogarnął jakiś dziwny niepokój, wywołany nieznanym jej dotychczas wrażeniem: poczuciem, że jest częścią czegoś, jakiegoś miejsca... Jakiejś ziemi? Przy akompaniamencie wybuchu śmiechu zdołała zawiązać Amatowi węzeł windsorski, co prawda na niespełna pół godziny, bo krawat zabrała Joana, uznawszy ten dodatek za bardzo trendy.

W połowie posiłku Nalda została bez wina, zarekwirowanego jej przez Tomasę przy cichym przyzwoleniu Agnès. Francisca obiecała dziewczynkom, że opowie im o leczniczych tajemnicach wsi: jak wąchać lawendę, jak rozpoznać tymianek, laur, rozmaryn, rumianek i wszystkie rośliny jadalne. Amat nieśmiało zaprosił Galę na wycieczkę do Cadaqués i zwiedzenie domu Dalego w Portlligat. To nie była nowa propozycja, ale przy winie wszystko wydaje się zdarzać pierwszy raz. Gala, oczarowana jedzeniem i dobrym trunkiem, nie umiała odmówić. Obiad upłynął w atmosferze potwierdzającej, że życie składa się z krótkich chwil, dzięki którym nabiera ono smaku. Na pozór nie zaszło nic ważnego, bo wszystko rozgrywało się tam, gdzie nie sięga rozum, gdzie z niewidzialnej nici łączącej dusze powstaje delikatna tkanina. Nie zdając sobie nawet z tego sprawy, Kate, Adele i Gala zasiadły do swojego krosna...

## IV

Droga Galu...

Gala musiała przeczytać te słowa kilka razy, aby do niej dotarło, że zeszyt, który otworzyła z takim trudem, jest przeznaczony dla niej. Jak to możliwe? Był zamknięty na kłódkę, a pożółkły papier nasączono atramentem wiele lat wcześniej. „Musiałam się pomylić!”

Droga Galu Xatart Marlborough (nawet jeśli Twoja matka zmieni kolejność nazwisk, dla mnie zawsze tak było i będzie, najpierw Xatart, potem Marlborough)!

Zamknęła stary zeszyt i mocno przycisnęła go do piersi. Jak to możliwe, że został napisany właśnie dla niej? Skąd cioteczna babcia wiedziała, że ona go znajdzie i otworzy? Szybko zamknęła drzwi od strychu i usiadła z podwiniętymi nogami na drewnianym fotelu na biegunach, który stał się jednym z jej ulubionych miejsc w tym domu. Kate i Adele zrobiły sobie sjęstę, więc jeśli dobrze wyliczyła, miała jakieś dwie godziny tylko dla siebie, zanim pójdzie do VellAntic, żeby przygotować aukcję mebli. Bujała się przez kilka minut, kontemlowała olbrzymie mansardowe poddasze o kamiennych ścianach i drewnianych belkach stropowych, obserwowała, jak smużka oślepiającego białawego światła wciska się przez jedyne okno w suficie. Poczwała w piersi ciepło wydzielane przez notatnik, przez ten niby-list, który, jak się wydawało, cioteczna babka napisała z jej powodu, dla niej. Wahała się, czy go otworzyć, zrobiła to, nie patrząc, badała palcami każdą stronę, nie mając odwagi opuścić głowy... Wiedziała, że nie po to przebyła taki kawał drogi, żeby się teraz wycofać. Jakaś jej częśćka żądała, by czytała dalej. A jeśli potem będzie tego żałować? Co takiego mogło w nim być, żeby musiała się bać? Odrzuciła wątpliwości i przystąpiła do lektury.

17 listopada 1977

Droga Galu Xatart Marlborough (nawet jeśli Twoja matka zmieni kolejność nazwisk, dla mnie zawsze tak było i będzie, najpierw Xatart, potem Marlborough)!

Być może to, co postanowiłam zrobić, będzie jedną z najtrudniejszych rzeczy w moim życiu. Pisać do dziewczynki (masz teraz pięć lat), żeby przeczytała to, kiedy będzie kobietą, a ja nieboszczką. Szalony pomysł, prawda? Jeśli siedzisz i czytasz ten tekst, a ja odeszłam już z tego świata, proszę o jedno: nie przerywaj w połowie! Jeśli zdecydujesz się zacząć czytać, dotrwaj do końca. Cóż może się stać, jeśli tak zrobisz? Nic... Sprawisz przyjemność zmarłej, która pewnego dnia postanowiła do Ciebie napisać.

Gala ponownie zamknęła zeszyt. O co, do licha, chodziło? Ma pertraktować ze zmarłą? Notatnik był dość gruby, dlaczego miałaby czuć się zobligowana do przeczytania go w całości? Nie chciała się do niczego zobowiązywać, nie znała zawartości, a od wczesnego dzieciństwa uczono ją, żeby dobrze obejrzała cukierek, zanim włoży go do buzi. Mocno rozbijała fotel. To nie jest sprawiedliwe. Na czym niby ma polegać ta wymiana? Co sama na tym zyska? Jeśli zacznie czytać i w połowie porzuci lekturę, kto się o tym dowie? Rozbawiły ją własne wątpliwości – przecież było jasne, że nie podejmie żadnego zobowiązania. Ma prawo. Kim była ta kobieta, żeby stawiać jej jakieś warunki zza grobu? Zatrzymała nagle fotel, podkuliła nogę i gwałtownym ruchem otworzyła zeszyt, jakby chciała pokazać, że to ona kontroluje sytuację i sama decyduje o swoim życiu. Wyzywająco wykrzywiając usta, ze wzrokiem wbitym w zeszyt coraz szybciej go kartkowała, jakby bawiła się ilustrowaną książeczką, której kartki, szybko przewracane od tyłu, tworzą animację. Nagle, pod wpływem impulsu wstała z fotela, różnym krokiem podeszła do starej komody, otworzyła szufladę, w której znalazła notatnik, włożyła go tam i zamknęła ją z takim impetem, że niemal przycięła sobie palce. Kilkakrotnie obeszła

poddasze, trzymając się pod boki. Zawracała nerwowo, nie mogła przestać patrzeć na szufladę, choć bardzo się starała. Ogarnęło ją podniecenie, złość na zmarłą. W głębi duszy była wściekła na cały świat, bo zaczynała doświadczać emocji jak wtedy, gdy nie kontrolowała sytuacji i inni za nią decydowali. To uczucie towarzyszyło jej od dzieciństwa. Rozpoznawała je, ponieważ zaciskała wtedy pięści tak mocno, że paznokcie wbite z całej siły w dłoń raniły ją mniej lub bardziej, zależnie od stopnia jej bezsilności.

Co powinna zrobić? Kiedy minął bunt przeciwko woli zmarłej, otworzyła dłonie, rozluźniła mięśnie pleców i opadła na bujany fotel, niezdolna zapomnieć o przeklętym dzienniku. „Że też musiałam go znaleźć!” Położyła rękę na piersi i spróbowała uspokoić oddech. Zamknęła oczy, mimo to nie była w stanie pozbyć się obrazu zeszytu. Ciekawość zawsze sprowadzała Galę na złą drogę, jak zresztą połowę ludzkości. Kiedyś w Bostonie jako mała dziewczynka o mało się nie utopiła – ukradli z kuzynem Edwardem uniwersytecką łódź, bo chcieli przeżyć to ekscytujące doświadczenie, jakim jest wiosłowanie. Przygoda skończyła się po niespełna dwóch godzinach na środku rzeki Charles. Trzeba było ratować dwójkę wyczerpanych, umierających z zimna i ze strachu dzieciaków, które o mały włos nie wpadły do wody. Ciekawość! Ta sama, która znowu doprowadziła ją do szuflady, do zeszytu, i kazała kontynuować lekturę. Nie upłynęło dwadzieścia sekund, a Gala otwierała dziennik na pierwszej stronie i zachłannym wzrokiem szukała miejsca, w którym skończyła.

Mija tydzień od dnia, kiedy zmarł Twój ojciec, tydzień podczas którego nie zaznałam pociechy po tak ogromnej stracie. Od powrotu z Bostonu, gdzie dotarłam za późno, żeby wziąć udział w pogrzebie, nie wychodzę z domu. Stał się moim schronieniem, moją świątynią łez. W tym zamknięciu zrozumiałam, że rozsądek najlepiej wyraża się w przebłyskach szaleństwa. Dlatego do Ciebie piszę, dlatego siedzę na tym starym krześle, żeby wyspowiadać się przed moją jedyną żyjącą krewną, którą jesteś Ty, moja malutka Galu.

Zawsze brałam odpowiedzialność za swoje życie i dźwigałam każdy ciężar bez słowa skargi. My, Xatartowie, umiemy zachować zimną krew i mamy twardą skórę, zmieniamy ją jak salamandry i dajemy sobie radę w każdej, nawet najtrudniejszej sytuacji. Ale to spadło na mnie za wcześnie; nie jest mi łatwo pogodzić się ze śmiercią Twojego ojca. Miał zaledwie trzydzieści pięć lat i długie życie przed sobą! Myślę, że los skazał nas na rozstanie, bo żyliśmy w kłamstwie, dlatego zawsze wydzierał mi go z ramion.

Nie wiem, ile lat życia mi jeszcze zostało, mam nadzieję, że dociągnę co najmniej do osiemdziesiątki. Wiesz, że wszystkie kobiety z tej rodziny dożywają takiego wieku? Wszystkie z wyjątkiem mojej siostry. Tę historię opowiem Ci później. Właściwie to nie miałabym nic przeciwko temu, żeby śmierć zamiast mitrzyć czas, zabrała mnie ze sobą. Od kiedy umarł Twój ojciec, straciłam szacunek dla życia. Moja babcia, która była niezwykle małowówna, mawiała: *A la vida, respecte, nena!*[20] Czy Ty, dziecko, je szanujesz?

Dziwnie się czuję, mówiąc do Ciebie z przeszłości; jak trudno jest przemawiać na kartkach papieru...

Mam teraz pięćdziesiąt trzy lata, nie wyszłam za mąż i nie sądzę, żebym to jeszcze uczyniła. Kochać, kochałam, i mam nadzieję, że jeszcze kiedyś pokocham, ale zbyt długo byłam sama, żeby móc teraz ofiarować swój czas mężczyźnie. Nie przejmuj się tym, moje dziecko... Może zmieni coś perspektywa wolności, którą od niedawna się cieszymy, i kiedyś będzie można żyć we dwoje bez podporządkowywania jednej płci drugiej, ale na razie taka planeta nie istnieje. W tym kraju prawa zdobywa się za cenę wielu cierpień. Dorastaliśmy w czasach wojny; podzieliła ona Hiszpanię, zantagonizowała rodzeństwa i całe rodziny, których członkowie nawzajem się zabijali. Moja należała do przegranych, zapłaciła za to utratą ziemi i ubóstwem. Zabrano nam wszystko oprócz domu, tego domu, który kiedyś odziedziczysz. Nic Cię to

wszystko nie obchodzi, prawda? Zanim umrę, na pewno nie postawisz stopy na tej ziemi, może nawet nie będziesz o niej wiedzieć. Twoja kochana matka zadba o to, żeby zatrzeć najmniejszy ślad po Twoim ojcu i oczywiście po mnie...

Gala przestała oddychać. Te słowa tak ją zszokowały, że zapomniała nawet o wciąganiu powietrza. Głowa wprost jej pękała od natłoku pytań, ale mózg był zbyt zajęty przetrawianiem, przekładaniem przeczytanego tekstu na realne, prawdziwe fakty. Krew odpłynęła jej z twarzy; poruszyła nogą, zdrętwiała od niewłaściwej pozycji; poczuła ból w palcach, bo wbiła je mocno w dziennik, który dopiero co zaczęła czytać. Nie panowała nad swoją wolą, pragnęła zamknąć zeszyt na zawsze, żeby uniknąć katastrofy, jaką byłoby poznanie ciemnej strony własnego życia, odkrycie tajemnicy, wyciągnięcie czegoś, co przez lata leżało głęboko ukryte. „Co to ma wspólnego z moją matką?” Zamrugowała kilka razy, żeby zwilżyć gałki oczne, i czytała dalej.

Nie chcę pisać pod wpływem urazy czy nienawiści. Nie chcę! Ale czasami tak trudno jest zachować do kogoś szacunek... W mojej rodzinie matka to wierzchołek góry, filar, o który można się oprzeć, podpora, siła, stabilność. Tu już dawno odkryliśmy, że ziemią rządzą kobiety i że to je trzeba przede wszystkim szanować. Dlatego wybac mi, jeśli w którymś momencie uchybię Twojej matce. Nie chcę tego robić, ale rana wciąż krwawi i na tych pierwszych stronach może mi się wyrwać jakieś złe słowo pod jej adresem.

Mam mętlik w głowie; tak naprawdę to nie wiem, czy któregoś dnia odczytasz te słowa, ale pisanie mnie uspokaja. To będzie nasz mały sekret! Opowiadam głupstwa, przecież Ty nawet nie wiesz o moim istnieniu... Tylko raz Cię objęłam, w sposób, który pamięta się na wieki. Ty ledwo na mnie spojrzałaś, ale zarzuciłaś mi ramionka na szyję i przez chwilę mogłam poczuć Twoje ciepło. Sprawilo mi to wielką przyjemność! Jak dobrze było Cię czuć! Wiem, że już się nie zobaczymy, że Twoja matka przemilczy moje istnienie. Nie oceniam jej decyzji, bo wystarczająco cierpi po stracie osoby, którą kochała najbardziej, jednak nie mogę sprawić, żeby to mnie nie bolało. Przez wiele lat ustępowałam w imię dobra, a zbierałam same cięgi. Jeden dramat po drugim... Kłamstwa zbyt daleko zaszły w tej rodzinie, w życiu Twojego ojca i moim; nie chcę, żeby kłamstwem stała się także część Twojej historii.

Postanowiłam do Ciebie napisać, żebyś nie zapomniała o ojcu ani o mnie, ani o rodzinie, która jest również Twoją rodziną. Jakie to trudne! Jak ciężko to wyrazić... Po tak długim czasie przemilczeń nawet właściwe słowa gdzieś się pochowały.

Nie wiem, czy w momencie, gdy je przeczytasz, będziesz matką... Zapytasz, co to ma do rzeczy? Zasycha mi w gardle i przyspiesza mi puls, kiedy spowiadam się temu papierowi, który chwilami mam ochotę zniszczyć. Żeby go ogień pochłonął, żebym przerwała szaleństwo, jakim jest pisanie do małej dziewczynki po to, żeby w przyszłości – już jako kobieta – przeczytała moje wyznania. Wiele kosztuje mnie ujawnienie, kim jestem, kim zawsze byłam. Zmuszono mnie, żebym milczała dla dobra Twojego ojca.

Posłuchaj...

Kiedy miałam piętnaście lat, kraj nadal krwawił nienawiścią. Był podzielony na nacjonalistów i czerwonych. Nic z tego nie rozumiałam, powtarzałam tylko to, co mówiono w domu: „Od nacjonalistów... trzymać się z daleka!”. Zabrali dziadka i rozstrzelali go w pobliżu przejścia granicznego, bo pomagał uciekinierom przedostać się do Francji. Ojciec zmarł w czasie wojny, tego samego dnia matka postradała zmysły. Mnie i moją starszą siostrę wychowała babcia; była silną kobietą, z charakterem, i małomówną.

Kiedy skończyła się wojna domowa, którą przegraliśmy – z czasem zrozumiałam, że przegrali wszyscy – zaczęły się prześladowania, wzajemne oskarżenia sąsiadów, zdrady dla własnych korzyści. Europa dogorywała niszczona wojną światową, wiele osób przekraczało granicę, żeby uciec przed Hitlerem i ukryć się w naszych górach i na naszych polach. Żołnierze

nacjonalistów przez jakiś czas stacjonowali w Empordà, gdzie urządzali polowania na uciekinierów i karali śmiercią tych, którzy dawali schronienie intelektualistom, Żydom, homoseksualistom albo czerwonym. Babcia dźwigała wprawdzie brzemie nienawiści po stracie syna i męża, ale najważniejsze byłyśmy dla niej ja i moja siostra Marta. Zaczynała się starzeć, a potrzebowała pieniędzy, żeby utrzymać wnuczki. Jedyнным sposobem, jaki znalazła, było wypełnienie domu „mordercami”, przyjęcie na kilka miesięcy pod swój dach żołnierzy Franco. Ciekawe, jak w przyszłości oceni go historia? Przygotowywała im posiłki, słała łóżka, dzięki temu mogła nakarmić wnuczki i mieć nadzieję na odzyskanie kawałka sadu.

Marta miała dwadzieścia lat. Niemal od dziecka kochała się w naszym stajennym. Wojna wszystko zmieniła, wyobrażasz to sobie? Przedtem nie do pomyślenia było, żeby moja siostra wyszła za Damià, chłopca, który wyprowadzał konie na pastwisko, szczotkował je, czyścił i karmił. Pochodził z chłopskiej rodziny z Cabanes, pobliskiej wioski. Dziadek Lluc wynajął go jeszcze jako dzieciaka do doglądania stajni, bo sam doczekał się tylko jednego syna i potrzebował go na polu. Babcia Adelaida miała problemy z zajściem w ciążę. Zanim urodziła mojego ojca, cztery razy poroniła; wszyscy uważali, że nie może mieć dzieci. Tak więc Damià trafił do nas jako mały chłopiec; on i moja siostra natychmiast zapalili do siebie miłością. Skrzętnie to ukrywali, ale i tak wszyscy wiedzieli, choć nikt o tym głośno nie mówił. Nawet Marta... Była to beznadziejna miłość – ojciec i tak zmusiłby ją do poślubienia kogoś z naszej wsi, z podobnej albo lepszej rodziny. Mogli liczyć tylko na cud. Dla nich cudem okazała się ta przeklęta wojna.... I to, że młodsza siostra, to znaczy ja, zakochała się w nacjonalście, po kryjomu straciła z nim dziewictwo i zrzędzeniem drapieżnego losu zaszła w ciążę. Ten żołnierz, Enrique (nigdy nie zapomnę jego imienia), odszedł wraz z wojskiem, z bolącym sercem, bo zakochał się w nieodpowiedniej dziewczynie.

Miłość...

Myślę o nim każdego dnia. Przez wiele lat żywiłam nadzieję, że po mnie wróci. Ale to wymagało wielkiego poświęcenia, a Enrique miał zaledwie dwadzieścia jeden lat i całe życie przed sobą.

Jego wyjazd ucieszył babcię i moją siostrę, mnie kosztował wiele łez.

Co się stało z moją ciążą? Otóż...

W tamtych czasach, mimo że to my z siostrą uczyłyśmy mieszkańców wsi pisać i czytać, nie miałyśmy pojęcia o wielu rzeczach, zwłaszcza o seksie. Nie wiedziałam, że jestem w ciąży do dnia, kiedy babcia zamknęła mnie w kuchni, podniosła mi spódnice i odkryła małe wybrzuszenie, które zaczynało się rysować nad biodrami. Nigdy nie zapomnę, jak z ogniem w oczach zadała mi pytanie: *De qui és?*[21] Nie potrafiłam odpowiedzieć, bo nie rozumiałam pytania. Byłam dziewczynką, spałam z ukochanym zaledwie dwa razy. Skąd miałam wiedzieć, że jestem w ciąży?

Babcia potrząsnęła mną kilka razy. Wreszcie rozplakałam się, nie odpowiedziawszy, ogarnięta paniką. Z niedowierzaniem przyjąłam wiadomość, że w moim łonie rozwija się dziecko.

– *De quant? Qui és? El conec? Vols parlar, dimoni?*[22]

Kłęcząc przed nią ze spuszczoną głową, w końcu zrozumiałam. Przed oczami miałam obraz żołnierza o błyszczącym spojrzeniem, jedynego mężczyzny, z którym byłam.

– Enrique! – wykrzyczałam jego imię, szlochając jak obłąkana. – Enrique! Enrique! Enrique!

– *Shhh, calla, boja, que vols que ens senti algú?*[23]

Babcia była bystra, szybko rozwiązała zagadkę. Od razu się zorientowała, że Enrique to żołnierz. Nacjonalista! Złapała się za głowę i popukała dłonią w skroń, jakby szukała pomysłu,

jak stawić czoło tej sytuacji. Aborcja niosła ze sobą ryzyko, zresztą i tak nie wchodziła w rachubę. Babcia była osobą religijną, nigdy by sobie tego nie darowała.

– *Ningú no pot assabentar-se d'això, em sents? Ningú! Haurem de buscar una solució a tot aquest merder!*[24]

Była bardzo zdenerwowana. Mógł wybuchnąć wielki skandal, dlatego wołała, żeby nikt o tym nie wiedział. Przez kilka dni prawie się do mnie nie odzywała, nawet nie spojrzała mi w oczy. Zamknęła mnie w domu. Nie chciała, żeby ktokolwiek coś zauważył – nikt nie powinien się zorientować, że jestem w ciąży. Tydzień później zawołała mnie do saloniku i posadziła przy stole, pod którym stawialiśmy naczynie z rozżarzoną węglą. Byłam wystraszona. Przez cały tydzień rozmyślałam, co ze mną będzie. Wiedziałam, że w tych okolicznościach babcia Adelaida jest zdolna do wszystkiego. Trąc bez przerwy dłoń, przedstawiła mi plan, który ukuła, żeby wyjść ze ślepego zaułka, jakim była moja ciąża. Wysłuchałam jej, nie mrugnawszy okiem, zmusiły mnie do tego dopiero łzy. Nie dała mi wyboru, musiałam oddać dziecko, wyrzec się go i udawać chorą, żeby uniknąć kontaktu z ludźmi. Przekonała mnie, że to jedyny sposób, żebym w przyszłości mogła wyjść za mąż, miała godne życie i nie była nieszczęśliwa.

– *En aquesta família, ja he patit prou, em sents?*[25] – zakończyła.

Wiele razy myślałam o tej rozmowie. Tylekroć żalowałam, że posłuchałam babci, ale... Czy mogłam dokonać innego wyboru? Byłam dzieckiem! Z zewnątrz wszystko wygląda inaczej, tymczasem życie stawia cię na rozstajach dróg i zmusza do podejmowania błyskawicznych decyzji. W moim przypadku niezupełnie tak było, musiałam po prostu ściśle trzymać się planu, który dotyczył całej rodziny, również mojej siostry Marty. Babcia, jak już pisałam, należała do osób bardzo religijnych i miała dobre serce. Choć nosiłam w brzuchu dziecko nacjonalisty, było to jednak dziecko i powinno pozostać w rodzinie. Szukała sposobu i znalazła go w osobach mojej siostry i jej ukochanego Damià. Porozmawiała najpierw z nią, przedstawiła jej sytuację, oszczędzając szczegółów dotyczących frankistowskiego żołnierza (Marta nigdy się nie dowiedziała, kim jest ojciec dziecka). Jej mała siostrzyczka Amelia zaszła w ciążę, a ponieważ ma dopiero piętnaście lat, nie może być matką.

– *Jo sé que tu has intentat quedar-te més d'una vegada. A mi ningú no m'enganya, inclús sé que has tingut algun avortament*[26] – dodała na zakończenie.

To prawda, Marta bardzo chciała zająć się ciążą, żeby wziąć ślub z Damià. Honor był ważniejszy niż pochodzenie, a oni się kochali i pragnęli być razem. Babcia Adelaida wiedziała, że próbowali – bez powodzenia. Siostra wdała się w nią: była wąska w biodrach i niezbyt płodna. Moja ciąża rozwiązywała problem.

– *Què vol que faci, àvia?*[27]

Marta wysłuchiwała słów babci bardzo uważnie. Zostanie matką dziecka, które nosi w łonie jej młodsza siostra (czyli ja); od tej chwili ma udawać, że jest w ciąży, a zaraz po rozwiązaniu wyjdzie za mąż. Jednak ani Damià, ani nikt inny nie może znać prawdy. Warunkiem było, że jej ukochany będzie żył w przekonaniu, że dziecko jest jego i tylko jego.

– *Les mentides tenen les potes molt curtes, saps? Només ho podem saber les tres: tu, la germana, tu i jo*[28].

Babcia podjęła decyzję za nas obie, czym na zawsze zmieniła bieg naszego życia. Przez kilka miesięcy nikogo nie widywałam, zamknięta na strychu, gdzie wstawiono mi łóżko i biurko.

Gala oderwała wzrok od zeszytu i rozejrzała się po strychu. Po tym miejscu, w którym jej cioteczna babka była – jak pisała – więziona podczas... ciąży? Musiała odetchnąć, zaczerpnąć świeżego powietrza, żeby przetrwać tę historię, którą własnoręcznie spisała dla niej nieboszczka. Dlaczego jest tak ważna? Dokąd to wszystko zmierza?

Nagle oczy zaszły jej mgłą, wszystko wokół zawirowało, w płucach zabrakło jej



powietrza. Poczula, że ma spocone dłonie, a serce bije jej coraz mocniej. Ogarnęło ją złe przeczucie, strach, że dowie się więcej, niż jest gotowa znieść. Ale siła przyciągania, z jaką działał na nią ten zeszyt, przeważyla. Wróciła do lektury...

Byłam bliska szaleństwa, zamknięta na strychu, gdzie żyłam jak więzień. Czułam, jak moje ciało się zmienia, jak pod okiem siostry i babci rozwija się we mnie nowe życie. Marta wykazała duży talent, skrupulatnie udając ciążę. Poszła na mszę, opowiedziała księdzu o dziecku, które nosi w łonie, i to on przekonał babcię, że trzeba pożenić tych dwoje. Damià bardzo się cieszył: miał mieć potomka i po tak długim czasie mógł poślubić kobietę, którą kochał. Babcia jednak postawiła jeden warunek: małżeństwo miało zostać zawarte dopiero po rozwiązaniu. W tamtych czasach dużo noworodków umierało podczas porodu. Ksiądz się zgodził, narzeczeni też.

Żeby oszczędzić parze napiętnowania przez mieszkańców wsi, do czasu narodzin Damià miał się trzymać z dala od narzeczonej. Przyjął ten warunek, choć go nie rozumiał, i na siedem miesięcy wrócił do swojej wioski Cabanes. Młodzi nie rozstawali się od dzieciństwa, dlatego bardzo cierpieli z powodu przymusowego rozdzielenia. Codziennie pisali do siebie listy miłosne. Marta kłamała, opisując szczegółowo przebieg ciąży. Czasami w nocy słyszałam jej płacz: z tęsknoty za ukochanym i ze względu na całą tę mistyfikację.

Wydawało się, że godzina rozwiązania nigdy nie nadejdzie, ale w końcu wybiła. Wody płodowe odeszły mi pod czujnymi spojrzzeniami babci i siostry. Ryczałam jak wystraszona lwica. Nie wezwały lekarza ani akuszerki, kobiety wydawały dzieci na świat w domu, w ślepyim pokoju, jedynym, który nie miał okien. Tu urodziła się matka mojej babci, babcia, ojciec, moja siostra i ja. Tu powinien przyjść na świat następny Xatart, tylko z pomocą babci i Marty. Poród nie był zbyt skomplikowany, jedynie dwie godziny krzyków i parcia. Zaraz po odcięciu pępowiny i zaszyciu krocza babcia zabrała mnie z zakrwawionego łóżka i położyła w nim moją siostrę. Niebawem mieli się tu zjawić ksiądz i Damià, żeby para mogła od razu wziąć ślub i uniknąć jeszcze większej hańby.

Po wyjściu z pokoju nawet nie miałam czasu, żeby zrozumieć, co się stało. Babcia zamknęła drzwi, a mnie odesłała na strych; miałam nadal udawać, że jestem chora, tak jak przez ostatnie miesiące. Zbroczona krwią ciekącą mi po nogach i zapłakana położyłam się do łóżka i zemdlałam. Dopiero po pięciu dniach przestałam majaczyć, mogłam wstać i wrócić do życia. Czas upływał mi między snem a udręką na jawie. Błagałam babcię, żeby przyniosła mi mojego syna albo moją córkę. Żeby pozwolili mi przez kilka minut potrzymać dziecko na rękach. A ona kazała mi się zamknąć, dała jakiś lek w płynie na uspokojenie.

Powoli dochodziłam do siebie. Nie byłam jednak tą samą dziewczyną. W ślepyim pokoju, w którym przyszłam na świat, w jednej chwili stałam się kobietą. Któregoś dnia zeszałam po schodach, szukając siostry, smutna, pogodzona ze swoim przeklętym losem. Ale babcia dopracowała swój plan w najdrobniejszych szczegółach: Marta i Damià zamieszkali w domku należącym do Brugatów, w zamian za co stajenny miał obrabiać ich pole i doglądać koni. Tyle że stary Emilio Brugat, człowiek o niezaspokojonych ambicjach, zażądał od babci o wiele więcej: chciał położyć łapę na naszych czterech koniach, które wypożyczaliśmy do prac polowych.

Babcia nie pozwoliła mi zobaczyć dziecka przez kilka miesięcy, do czasu aż nabrała pewności, że mój ból wygasł, wtopił się w moje trzewia, przestał grozić utratą zmysłów i ujawnieniem prawdy. Przez te wszystkie miesiące żyłam jak zjawa, wychodziłam z domu tylko po to, żeby nakarmić kury albo wyprowadzić czyjeś krowy na pastwisko. Babcia dbała o mnie, wycierała mi zapłakane oczy, ale nigdy o tym nie rozmawiałyśmy. Wszystko okryła zasłona milczenia. I tak w milczeniu, nie roniąc ani jednej łzy, zobaczyłam swojego syna. Chłopca! Śliczne niemowlę o imieniu Román!

„Moja... bab... cia?”

Do Gali nie docierał jeszcze sens tego, co właśnie przeczytała. Wiedziała, że to proste równanie, jak dwa dodać dwa równa się cztery, ale przeżyła szok. Była w stanie, w którym łatwo dostać napadu paniki, niepokoju, paraliżu czy tiku nerwowego. U niej pojawiło się bezustanne drganie prawej powieki. Zdarzało jej się to w rozstrzygających momentach życia, na przykład wtedy, kiedy powiedziała Fredericowi: Tak, chcę! Ogarnęło ją odrętwienie, musiała się skoncentrować na oddychaniu, nie poruszając ani jednym mięśniem, żeby nie pogarszać sytuacji.

Adele weszła na strych, rozglądając się po nim uważnie jak królik, który właśnie wylazł z nory. Była tu pierwszy raz. Oparła głowę o framugę drzwi i z radością stwierdziła, że znalazła coś cennego niczym skarb Tutanchamona. Urwała w połowie słowa „maa...” i końcowe „mo” wymówiła z przydechem, zachwycona swoim odkryciem. Gala nawet nie zauważyła obecności córki, pogrążona w myślach, siedziała w bujanym fotelu, niemal nie oddychając, z otwartym zeszytem na kolanach. Adele weszła na palcach, nie mogła przepuścić okazji, żeby nie zajrzeć do otwartych pudeł i nie przekopać ich zawartości. Usiadła na podłodze i zajęła się starymi fotografiami, odłożonymi na bok przez matkę. W przeciwieństwie do Gali, w Adele stare czarno-białe fotografie wzbudzały ogromną ciekawość – wydawało jej się, że należą do zupełnie innego świata niż ten, który zna. Zdjęcia, podobnie jak filmy wideo, pokazują życie, które minęło i nigdy już nie wróci. Dokładnie przyglądała się ubraniom, fryzynom, miejscom, budynkom, przedmiotom. Uwielbiała wyobrazać sobie uchwycony moment, zgadywać, kto jest kim w danej scenie: mąż i żona, przyjęcie rodzinne, posiłek na polu, kąpiel w rzece, narodziny dziecka... W przeciwieństwie do filmów wideo, fotografia to utrwalony na kliszy moment, niczym zastygła niema scenka, dostarczający dość informacji, żeby puścić wodze fantazji. Adele znakomicie się bawiła; znalazła pudło, w którym były setki zdjęć ułożonych w stosy, nie w albumach, tylko luzem jedno na drugim, na pierwszy rzut oka bez żadnego porządku. Oglądała je kolejno, zaspokajając swoją nienasyconą ciekawość epoki, którą знаła tylko z filmów. Kiedy obróciła jedną z fotografii, większą od pozostałych, poczuła, że oczy wychodzą jej z orbit. Był to portret kobiety o falowanych włosach średniej długości, nakrytych małym toczkiem. Adele odsunęła zdjęcie, żeby spojrzeć na nie z daleka. Ta kobieta wyglądała identycznie jak jej matka! Zerwała się z miejsca i podekscytowana podbiegła do Gali, żeby pokazać jej dziwne znalezisko. Gala w dalszym ciągu siedziała jak skamieniała, trawiając przeczytaną właśnie historię. Adele musiała kilka razy potrząsnąć jej ramieniem, żeby wreszcie zareagowała.

– Widzisz?

Gala nie zrozumiała. Potrzebowała kilku sekund, żeby skupić wzrok na zdjęciu trzymanym przez Adele. „O co w tym wszystkim chodzi?” Zmarszczyła czoło. Na widok portretu szeroko otworzyła oczy z niedowierzania.

– To ty, ale z innej epoki. Prawda, że podobna?

Kobieta na zdjęciu, o wydatnych wargach i smutnym, głębokim spojrzeniu, była do niej ładząco podobna. Musiała być mniej więcej w tym wieku, co Gala obecnie, rok w tę czy w tę, choć ze starymi fotografiami nigdy nie wiadomo... Faktem jest, że były jak dwie krople wody, tyle że dzielił je czas.

– Kto to może być? Myślisz, że to cioteczna babcia?

Adele zamieniła się w istny automat do zadawania pytań, a Gala w maszynę do ich przemilczania. Kate, która właśnie skończyła sjęstę, nie mogła uwierzyć własnym oczom. Gdyby jej matka związała włosy, zrobiła sobie fale i przedziałek z boku, gdyby włożyła toczek i pozowała półprofilem... wyglądałaby identycznie jak kobieta z portretu trzymanego przez Adele. Dziewczynka zakryła usta, żeby jej reakcja na ten zabawny zbieg okoliczności nie była zbyt głośna, ale odkrycie faktycznie zrobiło na niej wrażenie.

– Dlaczego jesteś taka podobna do tej pani? Czy może istnieć tak duże podobieństwo pomiędzy dalekimi krewnymi?

Gala była zbyt oszołomiona, żeby odpowiedzieć córkom, ujawniając prawdę, którą właśnie poznała. Słynna cioteczna babcia Amelia Xatart okazała się jej babcią! Matką jej ojca, po której najprawdopodobniej odziedziczyła większość genów decydujących o wyglądzie zewnętrznym. Jednym szarpnięciem wyrwała fotografię z rąk Adele, włożyła ją do zeszytu jako zakładkę, jakby nie miała większego znaczenia, i poprosiła dziewczynki, żeby wyszły.

– Co czytałaś? Coś się stało?

Kate dostrzegła tajemniczy zeszyt, a to nagłe milczenie kazało jej podejrzewać, że matka coś przed nimi ukrywa. Nie cierpiała, kiedy ona nie mówiła jej wszystkiego; nie była już małą dziewczynką jak Adele i nie dawała się tak łatwo oszukać.

Gala w milczeniu przygotowała córkom podwieczorek. Kiedy wyszły do ogrodu, ujrzały kolejny worek oparty o ogrodzenie, związany taką samą czerwoną wstążeczką, z gałązką z białymi kulkami i małą wizytówką. Kate i Adele przeniosły go z trudem do kuchni, gdzie matka przecięła wstążkę, więc mogły zajrzeć do środka. Worek był znacznie cięższy niż poprzedni!

Znalazły w nim cztery butelki wina i piątą, która wyglądała na szampana o nazwie Cava Brut Nature Forgas. Od kiedy zeszyły ze strychu, Gala była niezbyt rozmowna, wydawało się, że wszystko jej zubożało, jakby błądziła myślami gdzieś daleko. Nawet nie zauważyła wizytówki. To Kate odczepiła ją od wstążki i przeczytała:

– „Przyjmij ten woreczek mocy, wypełniony tym, co daje winorośl. Witaj!”

Mieszkańcy wsi dziwnie się zachowywali: podrzucali tajemnicze worki z prezentami i nie chcieli się ujawnić. Kate była trochę skołowana, za to Adele zachwycona nową zagadką, jaką stanowiły woreczki mocy. „Kto je wysłał? Czy pochodzą od tej samej osoby?” Miała pewność, że Marc jej pomoże i jako sprawna skautka zaskoczy siostrę i matkę, rozwiązując tajemnicę.

Rozległ się dzwonek do drzwi; Kate pobiegła zobaczyć, kto przyszedł. Byli to Czerwona Nalda, jej syn Amat i wnuczek Marc. Umówili się, że razem przygotowują wszystko do licytacji mebli, którą Gala organizowała następnego dnia. Kate otworzyła im bramę i zaprosiła do środka. Przechodząc obok dziewczynki, Nalda klepnęła ją lekko po plecach.

– I co? Kotek zapomniał języka w gębie? A przywitać się?

Kate odpowiedziała mruknięciem. Amat się uśmiechnął, a Marc wykrzywił zabawnie twarz, na co dziewczynka pokazała mu język. Nie miała ochoty iść do szopy, żeby przestawiać stare meble. Mierzył ją ten plan, ale alternatywa – odkrywanie tego, co już odkryte – wydała się jej jeszcze gorsza. Z kolei Adele powitała Marca szerokim uśmiechem i lekkim rumieńcem na twarzy, a chłopiec zareagował podobnym ogniem na policzkach. Oboje wbiegli na piętro, gdzie były pokoje, ale próba wejścia na strych zakończyła się niepowodzeniem. Był zamknięty! Gala zabrała ze sobą klucz. Adele chciała pokazać przyjacielowi portret kobiety, która wyglądała jak jej matka. Opowiedziała mu o nim przy schodach, gdzie schowali się przed resztą w kącie, który wybrali na kryjówkę. Marca nie zaskoczyły rewelacje przyjaciółki; babcia Nalda mówiła mu już wcześniej, że matka Adele jest bardzo podobna do Xatart. Dziewczynkę zdziwiło, że Marc podchodzi do tego tak beztrasko.

– Poznałeś ją?

– Kogo?

– Tę... Xatart.

Marc odparł, że nie tylko ją poznał, lecz także że przyjaźniła się z jego babcią. On sam nie widział podobieństwa do Gali – pani Xatart była staruszką z mnóstwem fałdek i zmarszczek. Jednak od czasu kiedy przyjechały, jego babcia powtarzała w kółko: „Wykapana Amelia!

Wy-ka-pa-na!”). Przywykli, że mówi o tym co pięć minut. Pamiętał, że pani Xatart była kobietą o przenikliwym spojrzeniu, bardzo oszczędną w słowach.

– Oszczędną w słowach?

Czyli niepodobną do jego babci, która ciągle wygłasza jakieś mowy. Xatart należała do osób, które słuchają, długo milczą i odpowiadają bardzo krótko. Była koścista, szczupła, dużo wyższa od jego babci. Miała siwe, układające się w fale włosy, zawsze nosiła wielkie okulary w brązowej szylkretowej oprawce. Zaciekawiona Adele chciała usłyszeć coś jeszcze o ciotecznej babci mamy, ale Marc nie wiedział nic więcej.

– Jeśli chcesz szczegółów... zapytaj moją babcię, ona na pewno wszystko ci opowie.

Zbiegli po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz, na odgłos okrzyku wojennego, który wujek Amat wydawał zawsze, kiedy Marc miał się pojawić w czasie krótszym niż dziesięć sekund, jeśli nie chciał dostać bury. Nalda przygotowała dla dzieci plan B: pójdą do Cecylii, obejrzą ciężarną klacz, wrócą do domu, napalą w kominku i siedząc przy ogniu z filiżanką gorącej czekolady, będą opowiadać różne historie. Adele i Marc podnieśli ręce rozemocjonowani, natomiast Kate spuściła głowę, prychając z niezadowolaniem. Gala podziękowała Naldzie za to, że zadaje sobie tyle trudu, ale ta nie chciała nawet słuchać. Obiecała swojej przyjaciółce Amelii Xatart, że zajmie się jej krewnymi, jakby byli jej własną rodziną, i zamierzała dotrzymać słowa.

Podzielili się na dwie grupy, każda ruszyła w przeciwnym kierunku. Amat i Gala prawie nie zamienili ze sobą słowa podczas drogi. Pod nieobecność córek Gala zamknęła się w sobie i odreagowywała przeżyty wstrząs. Amat przyglądał się jej z bezpiecznej odległości; nie odrywał od niej wzroku. Chociaż był pewien, że coś się z nią dzieje, wołał nie pytać i zachować milczenie. Niemal na siebie nie patrząc, w ciągu dwóch godzin poprzestawiali meble. Nie dało się porozstawiać wszystkiego, było za dużo gratów. Musieli wykorzystać teren przed szopą, jeśli nie chcieli, żeby stały jedne na drugich. Spór zaczął się przy numerowaniu i wyznaczaniu ceny każdego z mebli. Amatowi krajało się serce, kiedy Gala obniżała umówione kwoty o ponad połowę. Podzielili szopę na dwie części linią narysowaną białą kredą na podłodze. Po stronie bliższej drzwi stały meble Gali, od środka w głąb – meble Amata. Niby proste, ale w miarę jak Gala obniżała ceny, rozmawiali coraz bardziej podniesionymi głosami. Ta kobieta była gotowa sprzedać za bezcen prawdziwe okazy muzealne i setki godzin pracy. Nie ulegało wątpliwości, że niewiele do niej dotarło w ciągu ostatnich dni, zrobiła się nawet jeszcze gorsza. Amat, bezsilny wobec kompletnego braku wrażliwości współpracownicy, usiadł na antycznym taborecie i w starym notesie zapisywał nowe ceny wyznaczone przez Galę. Robił to z taką wściekłością, że złamał trzy ołówki. Kiedy wszystko zostało już ponumerowane i oznaczone etykietkami, Amerykanka zwróciła się do niego z pytaniem, wyrażającym wyniosłą pogardę, ile mu wyszło razem. Przez kilka sekund Amat nie odrywał wzroku od notesu i liczył na kalkulatorze, zanim udzielił odpowiedzi.

– Trzyście tysięcy pięćset euro! Zadowolona?

Gala nawet nie raczyła odpowiedzieć, zajęta przeliczaniem euro na dolary. Niecałe szesnaście tysięcy to nie był majątek, ale wystarczało, żeby zacząć myśleć o własnym biznesie.

Amat patrzył na nią, próbując znaleźć jakąś szczelinę, rysę w pokrywie lodowej, z powodu której najdrobniejsza oznaka uczuć tej kobiety nie mogła się wydostać na zewnątrz. To nie był najlepszy moment na takie próby – kiedy widzisz narastającą w kimś wściekłość, lepiej odejść, żebyś i ty nie oberwał. Zaciśnął palce na brzegu stołka, powstrzymując się przed rzuceniem jakiejś obelgi, której mógłby potem żałować. Oddychał nierówno, nie był w stanie napełnić płuc jednym haustem powietrza. Postanowił odejść, uznać tę kobietę za beznadziejny przypadek i zostawić w spokoju. Zebrał w milczeniu swoje rzeczy, szykując się do wyjścia.

Kiedy otwierał wrota szopy, usłyszał delikatny głos Gali i jej cichy protest.

– Co mówiłaś? – zapytał, nie odwracając się, z jedną nogą zastygłą między „w środku” i „na zewnątrz”, już w kurtce i szaliku. Marzył, żeby nie musieć więcej oglądać tej kobiety bez serca.

– Dokąd idziesz?

Nie miał odpowiedzi na to pytanie. Dokąd idzie? Musiał wyładować wściekłość, uwolnić się od smutku, jaki wzbudzała w nim niemożność zapobiegnięcia okrutnej grabieży najcenniejszych perełek Amelii Xatart, której zamierzała dopuścić się Gala.

– Muszę popatrzeć na morze.

Gala usłyszała poważny głos Amata wibrujący zza jego pleców. Wiedziała, że sprawiła mu przykrość, ale przecież to nie było jej życie ani jej rzeczy, chciała tylko wszystko załatwić i wyjechać, zanim jej świat jeszcze bardziej się zawali. Już sam pomysł pojechania nad morze podziałał na nią uspokajająco. Uwielbiała patrzeć na bezkresny błękit i słuchać szumu fal. Zimą lubiła siadać w Battery Park i oglądać morze, a latem, kiedy upał zaczynał dawać się we znaki i asfalt Wielkiego Jabłka dymić, nadchodził czas Coney Island, na Brooklynie. Najchętniej jeździła tam sama, przechadzała się po słynnej promenadzie, słuchała, jak przy każdym kroku pod jej stopami trzeszcza deski, obserwowała całujące się albo trzymające za ręce pary, wspominała miłe momenty z dzieciństwa, kupowała sobie różową chmurę waty cukrowej i zjadała ją na ławce, patrzyła, jak obraca się diabelski młyn, i kontemplowała morze przy akompaniamencie przebojów roku, puszcanych z marnej jakości jarmarcznych głośników. Na kilka godzin odnajdowała radość lat, kiedy była małą dziewczynką, zapominała o przeszkodach i w samotności wracała do utraconych marzeń.

– Zabierzesz mnie?

Amat nie spodziewał się tego pytania. Odrzucenie wymuszonego towarzystwa oznaczałoby brak szacunku, a o to posądzony być nie chciał, choć miał ku temu aż nadto powodów. Gwałtownym ruchem ręki dał Gali do zrozumienia, że ma iść za nim. Wbrew sobie odwrócił się i pomógł jej zamknąć wrota i założyć kłódkę w odpowiednim miejscu. Amerykanka wydawała się niezdarą, była w niej jakaś nieporadność.

Ruszył żwawo uliczkami wsi, Gala nie była w stanie dotrzymać mu kroku, co jakiś czas musiała podbiegać. Miała ochotę posłać do wszystkich diabłów tego człowieka o topornych dłoniach, ale powstrzymała ją nagła chęć zobaczenia morza. Doszli do jego domu, czterokrotnie większego od domu Amelii Xatart. Stał pośrodku okazałego dziedzińca pokrytego żwirem, piaskiem i polnymi kwiatami. Amat musnął dłonią mijany krzaczek lawendy, urwał gałązkę, żeby sprawdzić, czy trochę uspokoi go jej zapach. Był wściekły na tę kobietę, nie chciał jej ze sobą zabierać, ale obiecał zmarłej współpracownicy, że się nią zajmie i zaopiekuje. *Deus est ardentem com em porta boig, no?*[29] Nie mógł się powstrzymać, żeby nie powiedzieć tego głośno. Gala nastawiła ucha, ale nie zrozumiała ani jednego słowa.

Kiedy doszli do małej pokrytej azbestem wiaty, Gala zobaczyła olbrzymiego ciemnozielonego quada. Zatrzymała się raptownie i bez słowa zawróciła.

– Dokąd idziesz?

– Do domu.

– Chyba nie boisz się wsiąść na quada?

– To nie kwestia strachu, tylko ostrożności. Przypominam ci, że jestem matką dwóch małych córek.

Amat nie mógł się powstrzymać od śmiechu, słysząc tak mało przekonujący komentarz. Zasłanianie się córkami było najbardziej infantylnym sposobem na ukrycie strachu.

– To NIE strach, jasne?

Amat rzucił w jej stronę kurtkę motocyklową, należąca do bratowej, jego wzrok mówił: „No, śmiało!”. Widok tej kobiety z lodu, którą nagle ogarnęła panika, sprawił, że serce przestało mu walić jak oszalałe, a wściekłość opadała. Nie przestając się śmiać, włożył kask i uruchomił silnik. Odwrócił głowę i czekał, aż Gala przyjmie jego wyzwanie. Pomyślał, że zgoda na przejażdżkę była najlepszą decyzją, jaką Amerykanka podjęła przez cały ten czas. Gala złapała go w pasie, początkowo zachowywała ostrożną odległość między ich ciałami, ale zapomniała o tym, gdy tylko ruszyli. Chociaż jechali dość wolno, przywarła do Amata, mocno go obejmując, a jej dłonie zamieniły się w szpony. Zanim dotarli do głównej drogi, minęli dom Cecilii. Na podwórzu zobaczyli dziewczynki szczotkujące z Jowem konie. Wbrew protestom Gali Amat zahamował, żeby je pozdrowić. Kate i Adele potrzebowały kilkunastu sekund, żeby rozpoznać osoby w kaskach. Wybiegły na spotkanie i stanęły przed niskim betonowym murem, otaczającym teren. Kate podziwiała quada, ale była zdziwiona pomysłem wycieczki.

– Jedziemy... coś pilnie załatwić do... Perelady. Potrzebne mi... żeby zacząć jutro licytację.

Kate wyczuła ze słów matki, że coś tu śmierdzi. Wiedziała, że mama kłamie, jednak nie potrafiła dociec, co leży u podstaw tej niespodziewanej wyprawy. Adele pożegnała ich szerokim uśmiechem i niczym się nie przejmując, pobiegła dalej szczotkować końską grzywę. Niezbyt ją interesowało życie dorosłych, bo niewiele z niego rozumiała, była jeszcze za mała, żeby odszyfrować stosowane przez nich kody. Kate natomiast rozumiała już więcej, choć dopiero debiutowała w używaniu i odczytywaniu znaków wysyłanych przez dorosłych. Adele w zamysleniu obserwowała siostrę, wiedząc, że próbuje rozszyfrować matkę. Śmiała się w duchu, widząc, jak Kate zaciska zęby, intensywnie myśląc. „Dlaczego tak bardzo jej zależy, żeby się dowiedzieć, gdzie tak naprawdę mama jedzie z Amatem?”

Kate, przywołana do porządku przez Naldę, wróciła ze świata domysłów do rzeczywistości. Pomagała Cecilii w przygotowaniu karmy dla zwierząt. Cecilia miała niewielką farmę: świnię, kury, konie, psy... Nie było tego dużo, ale w porze karmienia ona i Jow mieli niezły kołowrót. W tym czasie liczyła się każda pomoc. Nalda zaś uwielbiała konie! Musiała zrezygnować z jeżdżenia wierzchem ze względu na uraz pleców po upadku. Niewiele brakowało, żeby została sparaliżowana. Z czasem przełamała strach i jeszcze bardziej pokochała te zwierzęta – wyglądały na silne, ale w środku były takie delikatne. Jej syn Amat też miał słabość do koni; pomagał Jowowi w ich doглядaniu, w zamian za to mógł na nich jeździć. Amat i Jow dobrze się dogadywali. Za to Czerwona zgrzytała zębami, patrząc na postępowanie swojej przyjaciółki, Ślepej Cecilii, poczciwej kobiety, której nadmierna dobroć sprawiła, że mąż porzucił ją dla innej i doprowadził do ruiny, a panem domu został... niemiecki stajenny! Tajemnicą poliszynela było, że młodszy o dwadzieścia lat Jow dzieli łożę ze swoją chlebobawczynią. Nalda nie mogła zrozumieć przyjaciółki, ale widząc, że jest ona w siódmym niebie, nie chciała niszczyć jej szczęścia. Cecilia była ślepa z miłości! Ten niemiecki kowboj, lubiący chodzić bez koszulki, żeby wszyscy widzieli, jak świetnie jest zbudowany, zawrócił jej w głowie. Nalda musiała przyznać, że ma ciało, które nawet w niej burzyło krew, ale żeby Niemiec? Choćby był ostatnim mężczyzną na ziemi! Francisca zawsze krytykowała ją za tę nieprzejednaną postawę. Nie rozumiała, jak ta nieustępliwa obrończyni swobód mogła się stać aż tak nietolerancyjna. Nalda zawsze powtarzała to samo: *Ja sóc massa vella jo per canviar a aquestes alçades, i als alemanys... ni aigua!*[30]

Cecilia wiedziała, jak wiele kosztuje przyjaciółkę przychodzenie na farmę, żeby jej pomóc. Za obcowanie z Jowem Nalda płaciła nocnym atakiem kolki. Cecilia nie traciła jednak nadziei, że Czerwona z czasem zmieni swoje podejście do Niemca.

– *Què me'n dius del Xilder?*

– *De qui? Del Schindler vols dir?*

– *Sí, això mateix... No era alemany i va lluitar contra Hitler?*[31]

Zawsze kończyło się sprzeczką o ten przykład. Nigdy nie rozmawiały wprost o Jowie ani o tym, co czuje do niego Cecilia. To typowe dla małych miasteczek, gdzie ludzie nie mówią niczego wprost, prawie wszystko traktując jak temat tabu. Imię „Jow” było w ich rozmowach zakazane, Cecilia zawsze przywoływała Xildera, kiedy miała na myśli swojego ukochanego i chciała zaprotestować przeciwko odrzuceniu go przez Naldę. Jej przyjaciółka nie była zresztą wyjątkiem. W całej wsi początkowo patrzono na mężczyznę złym okiem, potem ludzie się przyzwyczaili, pojawiły się inne plotki i ten temat przestał być poruszany podczas spotkań towarzyskich. Jedynie Úrsula, zwana Piękną, przez prawie rok wracała do tej intrygi przy kartach. Zazdrość też jest sportem narodowym, a ona od zawsze uprawiała go jak nikt inny.

– A ty, co chcesz robić, gdy będziesz dorosła? – zapytała Cecilia Kate.

Przyglądały się, jak konie skubią siano z beli i paszę, którą wyłożyły im w miejscu wyznaczonym na karmienie. Tutejsze dziko rosnące trawy były zbyt treściwe dla delikatnych końskich żołądków, należało je neutralizować sianem i obrokiem.

Siedząca na beli Kate nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Prawdą było, że chociaż wielokroć zadawała sobie to pytanie, nie potrafiła się na nic zdecydować.

– Myślę, że chcę zarabiać pieniądze, żeby nie musieć mieszkać z rodzicami, no i być niezależna.

Cecilia, odziana w wiejski strój, ale odznaczająca się wrodzoną elegancją, dostrzegła młodość w tej pałacej potrzebie niezależności. Popatrzyła na dziewczynkę z wielką czułością i ujęła jej dłoń, żeby ją pogłaskać. Kate spojrzała na nią zdziwiona, ale pozwoliła na tę babciną pieszczotę.

– Kiedy będziesz dorosła i zaczniesz żyć bez parasola ochronnego tych, którzy cię kochają... zrozumiesz, że to – wolną ręką pokazała wokół – nie będzie oznaczało niezależności.

Kate odsunęła dłoń Cecylii; niewiele zrozumiała z jej słów, nie miała zresztą ochoty dłużej jej słuchać. Pobiegła powitać Joaną, która właśnie przyjechała motorowerem, żeby zobaczyć żrebną klacz Doritę. Adele wyszła tymczasem od psów, ze szczeniakiem na rękach i wyrazem twarzy, który mówił: „Jest mój!”, co zaniepokoiło jej siostrę. Adele miała niewiele wad; jedną z nich był upór. Kiedy coś sobie postanowiła, kiedy czegoś chciała, była zdolna do wszystkiego, zanim zdecydowała się na odwrót. Teraz biegła ze szczeniakiem w ramionach wprost na siostrę. Joana rzuciła się pierwsza, żeby go potarosić. Kate celowo zrezygnowała z kontaktu z psiakiem, żeby okazać siłę ducha. Chociaż tego nie lubiła, czasami musiała zachować się jak starsza siostra, hamować swoją postrzeloną małą siostrzyczkę. Za Adele pojawili się Jow i Marc, uśmiechnięci za sprawą układu, jaki właśnie zawarli w stajni. Czyżby cała trójka była w zмовie? Wszyscy wiedzieli, że dziewczynka nie może zatrzymać tego szczeniaka! Adele przyklękła przed siostrą i zaczęła dokazywać z psem, zanosząc się przy tym beztróskim śmiechem. Kate poszukała wzrokiem pomocy u Cecylii, która oklaskiwała tę scenę z wysokości beli siana. Dlaczego nikt nie patrzy na to tak jak ona? W przyływie zdrowego rozsądku, nie zważając na całą resztę, Kate przybrała najbardziej poważny wyraz twarzy, na jaki ją było stać, i podjęła próbę zaprowadzenia porządku.

– Wiesz, że nie możesz go zatrzymać, prawda?

– Dlaczego nie? Jow mi go podarował, a Nalda powiedziała, że pójdzie z nami do weterynarza. To labrador retriever, wiesz? Cynamonowy. Jow powiedział, że ten jest najgrzeczniejszy.

Kate uklękła przed siostrą, której już zaczęły płynąć łzy, i głaszcząc szczeniaka, tłumaczyła, że nie może przyjąć tego prezentu, bo za dwa dni wracają do domu. Adele nie chciała

wyjeżdżać z La Mugi, rozstawać się z Markiem ani z dobrymi wiejskimi babciami. Ani z Bostonem!

– Boston? Już go nazwałaś?

– Taaak, Boston!

Kate nie wiedziała, jak wybrnąć z tej sytuacji, nie chciała sprawić bólu siostrze fantastce, która już ułożyła całą historię o sobie i o Bostonie... I żyli długo i szczęśliwie.

Joanie bardzo się to imię spodobało. Uznała je za najbardziej trendy na świecie. „Dlaczego mi nie przyszło do głowy, żeby nazwać psa Manhattan?”. Była przekonana, że z Bostona wyrośnie wspaniałe zwierzę.

– Dobrze się znam na psach, wiesz?

Joana również była fantastką, wszystko wiedziała i na wszystkim się znała, wystarczyło, że o tym przeczytała, i już! Są dwa rodzaje ludzi. Ci, którzy potrzebują całego życia, aby się czegoś nauczyć, a w końcu dochodzą do wniosku, że... nic z tego! I ci, którzy są mistrzami we wszystkim, choć inni uważają ich za beznadziejnych. Joana należała do tych drugich: nie wykazywała szczególnych talentów, ale sądziła, że jest inaczej, i jak dotąd nikt nie miał odwagi wyprowadzić jej z błędu. Kate nie chciała być pierwsza, więc tylko obdarzyła uśmiechem nową przyjaciółkę, wielką znawczynię psów. Uznawszy się za pokonaną, wzięła szczeniaka na ręce i naśladując scenę z *Króla Lwa*, w obecności wszystkich nadała mu imię.

– Witaj w rodzinie, Bostonie!

– Znasz Boston? – zapytała Gala.

Amat pokręcił głową, upijając łyk gorącej czekolady.

Kiedy Gala zapanowała nad strachem, miniwyprawa quadem pośród szpalerów drzew orzechowych, kasztanowców i pól kukurydzy okazała się cudownym przeżyciem. Tutejsze krajobrazy coraz bardziej zaczynały przyciągać jej spojrzenie. Patrząc na nie, czuła, że jest ich częścią, ogarniał ją błogi spokój, jakby czerpała z nich siły do życia. Milczeli przez całą drogę do Empuriabrava. Nie było to wprawdzie najładniejsze miejsce w okolicy, ale leżało najbliżej plaży i Amat uznał, że Amerykanka na pewno uzna je za malownicze. Ukryta Wenecja! Gala zdumiała się na widok kanałów oraz gigantycznych domów z kamienia i marmuru z własnymi przystaniami. Na pewno ta okolica była bardziej urokliwa niż Fisher Island w Miami, ulubione miejsce jej matki, wyspa milionerów. Julianne od dwudziestu lat mieszkała w Miami, na piętnastym piętrze wieżowca z widokiem na morze, gdzie miała wszelakie luksusy i prawie żadnych zmartwień. Ale mimo że w pełni korzystała z życia, wciąż pragnęła czegoś nowego, a od kiedy przyjechała tam pierwszy raz, marzyła o posiadaniu domu za ponad trzy miliony dolarów i własnym miejscu do cumowania. Bardzo skromna ta pani Marlborough! Galę przerażało Miami, jej ulubionym miastem był Boston, jednak ostatecznie wylądowała w Nowym Jorku, częściowo za sprawą swojej buntowniczej natury, częściowo idąc za głosem serca.

– Nie znam ani Bostonu, ani Miami, ani Nowego Jorku.

Amat zakochany był w Europie i w południowo-wschodniej Azji, od kultury jankeskiej wolał się trzymać z daleka. Gala patrzyła na niego, poirytowana, zapewne szukał z nią zwady, ale rozumiała, dlaczego tak powiedział. Ameryka to fabryka snów, buduje i niszczy z prędkością światła. Celem jest konsumpcja, która wymaga hołdowania wszelakim nowościom. Wszystko obraca się wokół zysku, ludzie rzadko prowadzą głębokie rozmowy, najczęściej ograniczając się do kurtuazyjnej wymiany zdań. Sposób bycia Amata był tak toporny, że Gala rozumiała, że może mu się nie podobać jej „kulturalny” kraj.

Chociaż mieli różne poglądy, pierwszy raz rozmawiali spokojnie i nie o zyskach ze sprzedaży antyków. Pierwszy raz patrzyli na siebie bez urazy i uprzedzeń. Tego wieczoru Amat zdał sobie sprawę, że lubi, gdy Gala się uśmiecha, bo wtedy jej pełen napięcia wyraz twarzy



łagodnieje, spojrzenie staje się pogodne. Czuł pokusę, żeby jej o tym powiedzieć, ale uznał, że byłby to brak szacunku wobec zamężnej kobiety. Gala zrozumiała spojrzenie Amata, ten błysk pożądania, którego była obiektem. Oblała się rumieńcem. W małżeństwie pożądanie zbyt szybko wygasa, zbyt szybko zaczyna go brakować... Tęskniła za spojrzeniami żeglującymi między nieśmiałością a gwałtownością pierwszych porywów uczucia. Popijali czekoladę i patrzyli na wzburzone morze z przeszklonej kawiarni na plaży, z obskurnymi krzesłami i stołami, telewizorem nastawionym na cały regulator, zapachem smażeniny, którym przechodzą włosy, a nawet bielizna. Nie! Amat nie zabrał jej w żadne ekskluzywne miejsce, pełne luksusów czy choćby zabytkowe, ale ta kafejka miała swój urok. Niezbyt nawykły do spotkań z kobietami, przyprowadził ją tu, gdzie sam przychodził, żeby popatrzeć na morze. Kiedy mijała pora obiadu, to miejsce się wyludniało, a on bardziej niż przepych cenił sobie możliwość popatrzenia w samotności na bezkresne wody.

Gala nie potrafiła uporać się z wewnętrznym zamętem. W głowie miała chaos, który lada moment groził wybuchem; szukała odpowiedzi na wiele pytań, próbowała złagodzić szok wywołany odkryciem sprzed zaledwie kilku godzin. Jeśli Amelia Xatart faktycznie była jej babcią, jeśli ta historia jest prawdziwa... Jakaś jej część czuła się zagubiona, dziwnie pusta, a przez to bardzo bezbronna.

Amat w milczeniu obserwował tę porywczą kobietę, która rozsypywała się na jego oczach z powodu jakichś gnębiących ją obaw. Nie miał pewności, czy powinien się wtrącać, od dawna nie był w zażyłych stosunkach z kobietami, nie licząc matki i Amelii Xatart.

– Jeśli potrafię ci w czymś pomóc... możesz na mnie liczyć.

Powiedział to, nieśmiało zachęcając, żeby otworzyła się przed nieznanym należącym do innego świata. Gala podziękowała za wsparcie, ale nawet nie spojrzała na Amata. Nie mogła, ponieważ nie wiedziała, jak rozsupłać węzeł, który ścisnął jej żołądek.

Ciężką atmosferę przerwał nagle dzwonek jej komórki. Minęło kilka sekund, zanim zareagowała. Widząc, że dzwoni Frederick, pospiesznie odebrała połączenie i wstała od stołu. Mówiła po angielsku, więc Amat niewiele rozumiał, ale z jej ruchów wyczytał, że to prywatna rozmowa. Matka? Mąż? Obserwował ją z daleka. Odważnie wyszła bez kurtki z tej śmierdzącej szklarni i spacerowała po wilgotnym piasku. Podbiegł do niej i zarzucił jej na ramiona swoją ramoneskę, żeby się nie przeziębila. Ta kobieta budziła w nim wściekłość, a zarazem tkliwość. Uczucia, które zaczynały w nim kiełkować, wprawiały go w zakłopotanie. Od chwili kiedy ją poznał, pociągały go jej arystokratyczne maniery, wysoko uniesiona bródka i zadarty nos. Od dawna żadnej kobiecie nie udało się przebić przez pancerz, który latami tak starannie budował. Wiedział, że nie może liczyć nawet na jeden pocałunek, a zrozumiał, że jest stracony, kiedy wracając do baru, usłyszał, jak Gala krzyczy: „Fredericku, dość!”. Poczł się tak, jakby ktoś wbił mu nóż w plecy. Wiedział, że to uczucie zazdrości zaprawionej pragnieniem czegoś zakazanego i nieosiągalnego chce uwięzić jego duszę. Od pierwszej chwili, kiedy ujrzał tę kobietę, przypuszczał, że może ona zburzyć jego spokój, poprowadzić drogą, którą po tym, jak opuściła go Laura, obiecał sobie już nigdy nie podążać. Przypomniały mu się słowa Amelii, jego matki i innych mądrych kobiet ze wsi, że wkrótce znów zapagnie kobiety. Dlaczego właśnie ta nieznośna, nierozsądna i dumna Amerykanka? Siedząc w barze, widział, jak Gala nieporadnie chodzi po piasku, wymachuje rękami (na pewno się kłócili), marszczy czoło; widział filigranową sylwetkę, która aż się prosiła, żeby wziąć ją w ramiona. Amat nie dociekał, skąd biorą się takie emocje jak bezradność, co jest źródłem sprzecznych uczuć, tej walki między namiętnością a niechęcią. „Jeszcze tylko kilka dni i będzie po wszystkim!” Próbował się wyrwać ze szponów pożądania. To prawda, że zostało już tylko kilka dni do wyjazdu Amerykanki z La Mugi, to prawda, że uczucie, które zaczyna w nim kiełkować, jest absurdalnym urojeniem, wynikiem

silnej potrzeby bycia kochanym. Powiedziała mu to kiedyś Amelia: kiedy odwracasz się plecami do miłości, nie zdajesz sobie sprawy z ryzyka, że w każdej chwili może dopaść cię zatruta strzała, która wyróci twoje życie do góry nogami. On już raz umarł z miłości, a zmartwychwstając, obiecał sobie, że już nigdy powtórnie dla niej nie umrze... Długo pracował nad tym, żeby kontrolować uczucia, unikać sytuacji, w których górę biorą emocje, kierować się wyłącznie rozumem. Przez wiele lat był w tym mistrzem, a teraz niewiele brakowało, żeby przekroczył niebezpieczną granicę.

Gala klóciła się z Frederickiem; musiała wyładować na mężu całą złość. Nie mogła znieść tego, że podczas każdej rozmowy drwi z jej podróży. Nie chciała opowiadać mu o swojej własnie odkrytej babci, nie chciała się przyznać, że jest jej smutno, bo nie pamięta niczego, co miałyby związek z ojcem, bo straciła szansę poznania jego matki. Frederick był chirurgiem od wszystkiego, także od uczuć. Używał lancetu do wycinania tego, co mu przeszkadza, a nadmierny sentymentalizm uważał za cechę nieudaczników, ludzi, którzy zasłaniają się wykrętnymi usprawiedliwieniami, żeby nie musieli zaakceptować własnej niekompetencji. Pan Bardziej-niż-Doskonały żył sukcesami i dla sukcesów, pozory były najważniejsze, a cała reszta po prostu odrażająca. Gala czuła, że dzieli ich nie tylko odległość mierzona w kilometrach, lecz także dystans, który powstawał między nimi przez lata. Słyszac, jak mąż opowiada o swoich dwóch operacjach, jak ekscytuje się własnym egocentryzmem, miała ogromną ochotę wrzucić komórkę do morza, utopić w nim jego erudycyjne popisy.

Nic takiego jednak nie zrobiła. Jak zwykle puszczała mimo uszu słowa Fredericka, wydawała z siebie stosowne dźwięki, aby myślał, że go słucha i... na tym koniec. Nie zapytał o dziewczynki, chciał tylko wiedzieć, czy przyjeżdżają na Boże Narodzenie, żeby zamówić Świętego Mikołaja: *HO, HO, HO! He's coming to town...!*[32] Gala zdusiła wybuch sarkastycznego śmiechu. Przerwała połączenie i zanim jej kończyny zamieniły się w kawałki lodu, pobiegła do baru szklarni, gdzie czekała na nią kolejna filiżanka gorącej, świeżo podanej czekolady.

Wypili słodki napój, przyglądając się, jak zmierzcha. W tych stronach noce są jasne, niebo mocno rozgwieżdżone, a nad wszystkim czuwa księżyc.

– Na co umarła?

Pytanie zaskoczyło Amata. Gala pierwszy raz zapytała o Amelię Xatart, do tej pory była zainteresowana wyłącznie szybkim pozbyciem się jej majątku.

– Przez ostatnie dwa lata ciężko chorowała, ale nie to ją zabiło. Przyczyną śmierci była ostra niewydolność układu oddechowego. Nie rzuciła palenia, choć wiedziała, że to ją wykończy.

Szamani tej ziemi mówią, że płuca to narząd, w którym gromadzą się smutki. Amelia, chociaż bardzo kochana przez otoczenie, nie miała możliwości cieszyć się tymi, których darzyła najgłębszą miłością. Zawsze nosiła w sobie ogromny smutek, ale nauczyła się z nim żyć. Nie zrezygnowała jednak z fajki i z papierosów z ustnikiem. Nawet kiedy była już bardzo chora, czekała do zmierzchu, żeby zaciągnąć się kilka razy przed pójściem do łóżka. To była jej zgubna namiętność, a jednocześnie jej azyl, jedyny moment, kiedy pozwalała sobie na chwilę melancholii. Gala oczami wyobraźni ujrzała kobietę w naszyjniku i kolczykach z pereł, z fajką pasującą do ubioru. Amelia musiała być wielką strojnisią, bo choć pochodziła z ludu, nosiła się elegancko.

– Na wsi ludzie potrafią zachować klasę, wiesz? – powiedział Amat, jakby czytał jej w myślach.

Gala uśmiechnęła się, wiedziała, że właśnie zraniła dumę Amata, ale nie mogła sobie wyobrazić haute couture na wsi. Zaczynała jednak dostrzegać, że ma mnóstwo uprzedzeń, była gotowa je skorygować, jeśli ktoś udowodni, że ona się myli.

Podróż powrotna quadem przebiegła w głębokim milczeniu. Po drodze minęli zaledwie trzy samochody. Cała ziemia ich. Tylko silnik pojazdu, światło reflektora i gwiazdy rozjaśniające drogę. W odległości niespełna pięciuset metrów... La Muga! Łatwo ją było rozpoznać po dzwonnicy oświetlonego kościoła. „Czy są tam bociany?” Wieś już spała, mieszkańcy wstawali tu o świcie i kładli się spać, kiedy zapadał zmierzch, zgodnie z cyklami przyrody. Gala walczyła z zimnem, mocno trzymając się Amata w pasie, schowana za jego plecami, do których przywarła. Przez chwilę pożałowała, że wzięła ze sobą dziewczynki; gdyby zostały z ojcem, mogłyby teraz poprosić Amata, żeby zabrał ją na kolację do jakiegoś malowniczego miejsca i pomógł rozpalić w kominku w domu babci. Lubiła ciepło ognia. W jej bostońskim domu babcia zimą kazała codziennie palić w kominku. Przesiadwała przy nim skulona, owinięta białym wełnianym kocem, czytała bajki i słuchała, jak trzaskają polana. Amat zatrzymał quada na niewielkim nasypie, blisko domu. Wdzięczna za przejażdżkę i za czas, jaki jego matka poświęciła jej córkom, zaprosiła go na kolację. Bez zastanowienia odrzucił propozycję. Zbyt długo byli razem, musi zapanować nad swoim stanem emocjonalnym, fizycznym i intelektualnym.

Kiedy Gala przekroczyła bramę, jakiś szczeniak zaczął ją szarpać za nogawki džinsów. Adele wyskoczyła z domu, wołając Bostona – nie chciała, żeby matka zobaczyła go od razu po powrocie. Ale nie zawsze dzieje się tak, jak planujemy... Tak też było tym razem! Gala patrzyła na młodszą córkę, czekała na wyjaśnienia z nadzieją, że ta bez jej zgody nie postanowiła założyć schroniska dla zwierząt, a to nie jest jego pierwszy podopieczny. Znała ten wyraz smutnych oczu, który Adele opanowała do perfekcji, naśladowując kota ze *Shreka*. Tym razem ta amatorska sztuczka nie zadziałała.

Nalda wysunęła głowę na zewnątrz, od razu wyczuła nosem nadciągającą burzę. Aby jej zapobiec, zaprosiła wszystkich do środka, żeby schronili się przed zimnem. Tramontana uderzała z całych sił, lodowata noc nie zachęcała do oglądania gwiazd.

Gala weszła do domu, poruszona wstrząsającą wiadomością o adoptowaniu szczeniaka. Kate i Joana grały w coś przed płonącym kominkiem. Marc, Adele i Nalda podali placek drożdżowy z orzechami i rodzynkami oraz gorącą czekoladę. Gala opadła ciężko na krzesło w kuchni i przyglądała się dokazującemu pieskowi. Spojrzała na Czerwoną, która siedziała ze spuszczonego wzrokiem. Wszyscy czekali, aż Gala wypowie się na temat nowego członka rodziny. Popatrzyła na szczeniaka, potem kątem oka na Amata, który z trudem powstrzymywał wybuch śmiechu, żeby jeszcze bardziej nie pogorszyć sytuacji. Co one zrobią z tym psiakiem? Nie mogą go zabrać do Nowego Jorku! Jest zbyt młody! A szczepienia? Paszport? Co to za wariactwo?

Adele usiadła przy niej. Czekając na najgorsze, modliła się w duchu, żeby jakaś leśna wróżka skłoniła matkę do zmiany decyzji i przyjęcia Bostona do rodziny. Wszyscy, prócz Joany i Kate, które siedziały na kanapie, otoczyli stół, żeby usłyszeć, co powie Gala. Nie było łatwo odmówić ośmioletniej dziewczynce, która nie miała pojęcia o formalnościach i o tym, jak bardzo skomplikuje im to życie. Zaczęła więc najspokojniej, jak potrafiła...

– Jest śliczny, ale wiesz... nie możemy go zabrać. Jest bardzo mały!

– Babcia Nalda mówi, że ma trzy miesiące i wszystkie szczepienia. Jutro wyrobimy mu paszport!

Babcia Nalda? Wyglądało na to, że Adele odrobiła lekcje i zawczasu przygotowała się do odparcia ewentualnych argumentów. I najwyraźniej znalazła współniczkę... Babcie Naldę! Która unikała wzroku Gali.

– Kochanie, wyjeżdżamy za dwa dni. To wszystko dzieje się tak szybko...

– Zapytaliśmy, ile może kosztować bilet do Nowego Jorku dla Bostona, i... powiedzieli nam, że dwieście pięćdziesiąt euro!

Gala przełknęła ślinę. Musiała obejść tę pułapkę i w ciągu niespełna minuty znaleźć solidny argument, żeby nie zgodzić się na zabranie tego... Jak mu tam? Bostona? Głęboko odetchnęła. Nie była w stanie odmówić szczęścia swojej córce. Wzięła psiaka na rękę i wśród jego liźnięć oraz westchnień ulgi wszystkich pozostałych, postawiła jeden warunek:

– Twój ojciec! Jeśli on się sprzeciwi... żadnego Bostona! Zgoda?

Adele popatrzyła na siostrę, a ta puściła do niej oko. To była dla Kate bułka z masłem. Ojciec miał wobec niej dług wdzięczności za niejedną przysługę, dziewczynka doskonale wiedziała, jak go przekonać, żeby pozwolił zabrać psa do domu.

Po wybuchu radości, wywołanym zaakceptowaniem nowego przybysza, Nalda, Marc, Amat i Joana rozeszli się do domów.

Boston! Gala była zachwycona imieniem, które córka wybrała dla psa. Uwielbiała zwierzęta, ale jej matka nie cierpiała „pchlarzy”, więc... nigdy żadnego nie miała. Wyglądało na to, że szczeniak od razu przyzwyczaił się do tego domu. Domu, do którego powoli wracało życie. Dziewczynki dopiły czekoladę i poszły do swoich pokoi. Adele zapytała, czy może zabrać Bostona na górę, a Kate wstawiła się za młodszą siostrą. Gala była zbyt zmęczona, żeby dyskutować z córkami. Zanim usiadła w fotelu z uszami (zaczynała traktować go jak swój własny), przypomniała sobie o dzienniku babci i bez wahania weszła po niego na strych.

Dorzuciła kilka polan i pogrzebała w kominku, żeby ogień nie wygasł. Przykryła się miękkim szarym kocem i pociągnęła łyk naparu z orchidei, które Nalda przyniosła jej od Franciski. W tej wsi wszyscy przesadnie okazywali jej względy, jakby chcieli, żeby się tu dobrze czuła i żeby niczego jej nie brakowało. Napar z jej ulubionych kwiatów miał wyśmienity smak. Zgodnie z tym, co Święta powiedziała Naldzie, rozjaśniał umysł i otwierał duszę.

Po raz kolejny zdumiało ją jej zadziwiające podobieństwo do wizerunku młodej babci z fotografii. Trudno jej było zaakceptować fakt, że kobieta, o której istnieniu jeszcze tydzień temu nie wiedziała, może być kimś tak ważnym w jej życiu. Myślała o niej przez cały dzień, o wszystkim, przez co musiała przejść, odkąd została matką i zmuszono ją, żeby oddała siostrze własnego syna – ojca Gali! Ta historia nadawała się na powieść albo serial filmowy. Różnica polegała na tym, że w tym wypadku chodziło o jej życie, życie jej rodziny... Otworzyła stary zeszyt, pospiesznie odszukała miejsce, w którym skończyła, i oddała się lekturze. Nie zauważyła, że Kate uchyliła drzwi i bacznie się jej przygląda...

Tamtego dnia, kiedy zobaczyłam syna... Romana, zrozumiałam, że można otrzeć łzy, zanim jeszcze zaczną płynąć. Rzadko tak bywa, żeby pragnienie i ból spotkały się w jednym miejscu; tak jak księżyc i słońce nie zostały stworzone, żeby ich drogi się zeszły, tylko po to, żeby się nigdy nie zetknęły. Kiedy jednak dochodzi do spotkania, doznajesz jakby zaćmienia duszy. Opanowuje cię potworne uczucie beznadziei i jeśli nie jesteś w stanie wypłakać tego bólu, pęka ci serce. Płakałam w domu, kiedy nikt nie widział. Nauczyłam się udawać, że kocham go jak siostrzeńca. Marta nie miała więcej dzieci, a Damià darzył go wielką ojcowską miłością. Uwielbiałam Romana, rozpieszczałam go, jak mogłam, ale zawsze pod czujnym okiem babci Adelaidy, która pilnowała, żebym nie wyszła ze swojej roli, i codziennie mi przypominała, że matką tego dziecka jest moja siostra.

Kiedy Román miał zaledwie kilka lat, siostra i jej mąż wyprowadzili się ze wsi. Ja jeździłam wtedy po pchlich targach na południu Francji, spotykałam się z Antoine'em Rousselem, antykwariuszem z Perpignan, i powoli stawałam miłośniczką staroci. Raz babcia pozwoliła mi pojechać z Naldą na targi antyków do Tuluzy, gdzie Antoine miał stoisko i mnóstwo przyjaciół. Nie podejrzewałam, że za tym nieoczekiwanym dla mnie prezentem kryje się podstęp: chodziło o to, żeby nie było mnie podczas wyjazdu Romana. Damià zaproponowano pracę zarządcy na farmie w Jerez, miał tam dobrze zarabiać i wreszcie przestać być „biednym

stajennym” ze wsi. Marta pojechała za nim z zamkniętymi oczami, czuła potrzebę opuszczenia La Mugi i pozbycia się widoku siostry, nieustannie przypominającego, że syn, którego tak kocha, nie jest jej dzieckiem. Uzgodniły z babcią, że nic mi wcześniej nie powiedzą i że Marta skorzysta z mojej wyprawy do Tuluzy, aby ode mnie uciec. Plan został zrealizowany perfekcyjnie – niczego nie podejrzewałam do czasu powrotu do wsi. Babcia Adelaida czekała na mnie w bujanym fotelu na wprost kominka, robiła coś na szydełku. Zdziwiło mnie, że jeszcze nie śpi, była już bowiem ciemna noc, a babcia chodziła spać zaraz po zachodzie słońca. Poczułam dreszcze, lodowaty prąd, kiedy przeszłam przez salon i wyciągnęłam ręce w kierunku płomieni. Wiedziałam, że coś się stało, ale nie miałam odwagi zapytać ze strachu, że dotyczy to Romana... Bardzo chciałam go zobaczyć, nigdy nie rozstawałam się z nim na tak długo...

– *Se n'han anat... Han marxat a viure a Jerez*[33].

Wyrzuciła to z siebie nagle, bez żadnego wstępu, nawet nie oderwała wzroku od ognia, nie zrobiła przerwy, żeby nabrać powietrza, nie przestała szydełkować. Poczułam jakby uderzenie pięścią prosto w tchawicę, zaczęłam się dusić, nie mogłam złapać tchu. Nie byłam w stanie uwierzyć, że babcia pozwoliła im wyjechać, że nie dała mi nawet szansy na pożegnanie, moje pożegnanie, ostatnie spojrzenie, pieszczotę... Na nic. Opadłam na kolana, oparłam się o fotel na biegunach, czułam, że mój żołądek kurczy się do rozmiaru kulki do gry. Skąd tyle okrucieństwa? Czy to pchnięcie szpadą było konieczne? Babcia wszystko mi wytłumaczyła. Mówiła o wielkiej okazji, jaką była ta praca, o tym, że Marta musiała się ode mnie oddalić, że to będzie najlepsze dla Romana... Mój umysł potrzebował trochę czasu, żeby to wszystko przyswoić, ale w końcu tak się stało. Serce jednak nigdy nie pojęło tego nagłego wyjazdu, tak okrutnie uknutego za moimi plecami. Czyż nie zasłużyłam na to, żeby się przynajmniej pożegnać?

– *El que has de fer és casar-te, que ja va sent hora, i tenir els teus propis fills*[34].

Nie dodała nic więcej. Nigdy nie wróciła do tej rozmowy. Nigdy mi nie powiedziała, gdzie młodzi zamieszkali, a oni nie zadzwonili ani razu, żeby zapytać, co u nas słychać, i powiedzieć, czy Román jest szczęśliwy w tym nowym życiu. Przez wiele tygodni, miesięcy zadawałam sobie pytanie, czy mój syn za mną tęskni, planowałam, że go odnajdę i porwę, żeby zostać z nim już na zawsze. Życie w La Mudze stało się dla mnie nieznośne, nie mogłam wybaczyć babci, że ukryła przede mną ich wyjazd. Wszystkie dziewczyny po kolei wychodziły za mąż, na mnie zaczęto patrzeć krzywym okiem. Zasady na wsi są bardzo proste: kobiety – dom i dzieci! Cała reszta nie ma znaczenia. Czerwona Nalda widziała, że cierpię, podejrzewała, że spotkało mnie coś potwornego, ale nigdy o nic nie pytała. Wyszła za Vicentego i nieźle im się powodziło: mieli wiele krów, produkowali dużo mleka. Zanim nastąpiła Wspólnota Europejska, całe wsie utrzymywały się ze sprzedaży mleka, wiedziałas o tym? Potem wszystko się zmieniło, jak zawsze na korzyść bogatych.

W przyprawie desperacji któregoś wieczoru poszłam do Naldy i poprosiłam, żeby mi pożyczyła starą, białą furgonetkę. Postanowiłam uciec z La Mugi, wyjechać z Antoine'em do Perpignan. Nie byłam w nim zakochana, ale on we mnie tak. Uszczęśliwiał mnie, jak potrafił. Pomogła mi Czerwona, z którą byłam w zmwowie; opisywała mi później w listach, co słychać we wsi i czy babcia ma się dobrze. Tej samej nocy wyjechałam z La Mugi z małą walizką, przekonana, że już nigdy tam nie wrócę. Ta wieś dała mi życie, ale także zabrała to, co najbardziej kochałam. Nie mogłam tu zostać, nie rozpamiętując utraty Romana. To były lata pięćdziesiąte, nad Hiszpanią zalegały ciemności, natomiast w powojennej Francji, gdzie nastąpiła Czwarta Republika, odbudowywano kraj, który rozkwitał jako światowe mocarstwo. Tam pierwszy raz spróbowałam chleba żytniego, zakochałam się w winnicach Langwedocji, przywykłam do jedzenia sera i picia wina o każdej porze dnia. Mijały lata, powoli zapominałam

o życiu w La Mudze. Podróżowaliśmy z Antoine'em po Francji, objeżdżając targowiska i szukając perełek, które nadawały się do naprawy. Antoine nauczył mnie wszystkiego, co wiem o antykach. Wysłałabym za niego, wiesz? Jednak z powodu przekonań politycznych nigdy nie chciał mnie poślubić, a los sprawił, że musiałam go opuścić, kiedy najmniej się tego spodziewałam.

Sześć lat po moim wyjeździe zadzwoniła Nalda. Ledwo była w stanie mówić, brakowało jej tchu. Pewnie pędziła po schodach, żeby do mnie zadzwonić, zaraz po tym, jak otrzymała wiadomość. Moja siostra i Damià mieli wypadek, jadąca z naprzeciwka ciężarówka nagle zmieniła pas i czołowo zderzyła się z ich samochodem. Kompletna masakra, oboje zginęli na miejscu. Ten telefon był niczym cios w serce, myślałam tylko o Romanie. Czy on też zginął? Nalda rozwodziła się nad szczegółami, szlochała, nie pozwalała zapytać o Romana. Ta niepewność była nie do zniesienia, przerwałam jej i błagalnym krzykiem zapytałam o chłopca. Uspokoila mnie – do dziś nie wie, jak bardzo. Román został w Jerez, miał trening piłkarski i urodziny szkolnego kolegi. Nie rozumiałam nic więcej z tego, co mówiła Nalda, nawet nie przypominam sobie, jak zakończyła się ta rozmowa. Pamiętam za to doskonale, że moje serce pompowało krew z siłą wybuchającego wulkanu. Znowu czyjaś tragedia przerodziła się w szczęście dla innych. W tym przypadku... dla mnie!

Antoine nie pojechał ze mną, ale rozumiał mój pośpiech. Chociaż od początku znał moją tajemnicę, nigdy nie kiwnął palcem, żeby mi pomóc. Później nie widzieliśmy się przez całe lata, ale pisaliśmy do siebie listy i rozmawialiśmy przez telefon. Po roku się ożenił, wbrew własnym zasadom, ale to małżeństwo nie trwało długo. Nie chowam do niego za to urazy, zrobił, co musiał: usiłował przetrwać po nieodwzajemnionej miłości. Ja z kolei musiałam wrócić do domu, do La Mugi.

To była krótka podróż, ale wiele mnie kosztowała. Wsiadłam z pociągu w Portbou, minęły dwa dni, zanim dotarłam do swojej wsi. Chciałam uniknąć bycia z babcią sam na sam, chciałam uniknąć jej wzroku wyrażającego niezadowolenie. Byłam dorosłą, prawie trzydziestoletnią kobietą, która mogła sama o sobie decydować. Wybrałam opiekę nad swoim synem. Los zechciał mi go zwrócić, a ja nie zamierzałam odrzucać tego szczęścia. Byłam przekonana, że zaczyna się dla nas nowe życie, w którym nie będzie już miejsca na cierpienie.

Wrócić do La Mugi, wdychać zapach pól, czuć czystość powietrza, widzieć smugi światła przedzierające się przez chmury rozciągane silnym wiatrem i zamieniane w długie tiulowe welony. Wrócić do domu... Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo tęskniłam za tą ziemią do chwili, aż znowu ją zobaczyłam i poczułam pod stopami. Jakaś furgonetka podrzuciła mnie do Castelló d'Empúries. Zostawiłam walizkę w sklepie mięsny w Castelló, wkrótce miałam po nią wrócić. Pozostałe trzy i pół kilometra przeszłam pieszo. To rozum wznosi mury obronne, chroniące przed cierpieniem, znieczula emocje, gasi wspomnienia; moim sposobem, żeby to wszystko odzyskać, był powrót do korzeni: oddychanie, dotykanie, doświadczanie tej ziemi na nowo. Dotarłam do domu godzinę przed zmierzchem, nikt na mnie nie czekał. Nalda nie miała ode mnie wiadomości od czasu naszej rozmowy telefonicznej... W Can Xatart paliło się światło; nie śmiałam przycisnąć dzwonka.

Gala czuła, jak skręcają się jej wnętrzności, czuła, że zaraz zwymiotuje. To było życie babci, jej pragnienia, strzępki żalu, nienawiści, miłości, nieszczęścia, składające się na egzystencję, o której dotąd nie wiedziała. Z każdym przeczytanym słowem czuła, że coś się w niej zmienia, coś przekształca w jej wnętrzu. To było jak odnalezienie części łańcucha DNA, przez tyle lat zagrzebanej, pokrytej błotem i kłamstwami. Ten zeszyt wciąż budził w niej sprzeczne emocje; musiała czytać dalej, choć każdy wers, każdy akapit przerażały ją, bała się tego, co może w nich znaleźć. Postanowiła zamknąć dziennik, powieki jej opadały, organizm

domagał się snu. Musiało być późno, powinna odpocząć, przespać kilka godzin, bo czekał ją ciężki dzień: licytacja mebli! Jej przedostatni dzień w La Mudze. Ten tydzień minął zbyt szybko. Dopiero zaczynała rozumieć, oczyszczać z kurzu historię, własną ukrytą historię... Czy powinna teraz wracać do domu?

## V

Poddać się po pierwszej oznace przegranej nie było w jej stylu, ale zważywszy na niewielką liczbę osób, które zjrzały dotychczas na licytację mebli, miała ochotę uciec, a wcześniej spalić te wszystkie graty w gigantycznym ognisku. Kate i Adele stały za ladą, czekając na klientów, i umierały z nudów. Dobrze że Adele, jak zwykle przewidująca i gotowa wprowadzić w życie plan B, zabrała swoje *Opowieści z Narnii*. Nie zwracała uwagi na otoczenie, jakby to wszystko jej nie dotyczyło. W głębi duszy jednak cieszyła się, że nikt nie chce kupić mebli. Marc powiedział, że jego wujek jest przeciwny licytacji, bo to ujma po tylu latach ciężkiej pracy. Kate przez cały ranek nosiła się z zamiarem porozmawiania z matką, ale ta chyba jej unikała, a od poprzedniego dnia sprawiała wrażenie, jakby miała jakieś zmartwienie. Kate wyczuwała, że coś się z nią dzieje, i że cokolwiek to jest, dotyczy w jakiś sposób także i jej. „Czyżby rozważała przesunięcie powrotu?” Diabli ją brali na samą myśl o takiej możliwości, chociaż wydawała się mało prawdopodobna. Matka coś jej obiecała, ona z kolei obiecała Gotham Girls... Obietnica to obietnica!

Za dwie godziny była umówiona z Joaną, która chciała ją zapoznać z częścią swojej paczki. W sąsiednim miasteczku, Castelló d'Empúries, miał się odbyć mecz piłki nożnej. Wielu ze znajomych Joany grało w miejscowej drużynie; to była doskonała okazja, żeby ich spotkać. Kate nie miała wielkiej ochoty na nawiązywanie znajomości, ale zrobiłaby wszystko, żeby tylko opuścić to nudne miejsce... Poza tym chciała w tajemnicy przed matką pojeździć motorowerem Joany, która obiecała, że da jej poprowadzić.

Amat jeszcze nie przyszedł. Była dopiero jedenasta trzydzieści. Za wcześnie na przechadzkę. „Na wsi przede wszystkim się pracuje, dopiero po zebraniu plonów można poleniuchować”. Gala nie posłuchała rady Amata, żeby się nie przemęczać i zacząć w południe. Pomyślała, że to obłudna sugestia, podstęp, żeby mniej sprzedać, dlatego postanowiła zacząć punktualnie o dziewiątej. Najwyżej do dwunastej będzie nerwowo obgryzać paznokcie.

Pierwsza przysłała Agnès. Zawsze skora do pomocy, postanowiła wpaść z kilkoma termosami z mlekiem, kawą, świeżo wyciśniętym sokiem pomarańczowym i ciastkami, żeby uprzyjemnić im poranek. Cukier odstrasza smutki, choć jego działanie jest krótkotrwałe i niezbyt zdrowe. „Każdemu miła osłoda!” Agnès była najbardziej powściągliwa ze wszystkich babć. Jej ciało skurczyło się po tym, jak lekarz zmusił ją do rygorystycznej diety, od której straciła ponad trzydzieści kilogramów wagi i dużą część swojej osobowości. Dla dobra jej i jej zdrowia kompletnie zmienił dietę starszej pani i zakazał różnych produktów, między innymi słodczy. Wykorzystywała więc wizyty gości i imprezy do zaprezentowania swoich nowych pomysłów kulinarnych. Nauczyła się jeść oczami, patrzyła, z jaką przyjemnością inni pakują sobie do ust jej smakołyki. Komunikowała się z ludźmi za pośrednictwem swoich potraw, wystarczyło, że spojrzała na kogoś, i od razu wiedziała, co powinien zjeść. Była czarodziejką gastronomii, jej restauracja zawdzięczała sławę cudownym rękóm kucharki. Nikt nie wychodził stamtąd bez uczucia szczęścia w żołądku. Ze wszystkich babć ona najrzadziej wpadała w tarapaty i prowadziła najbardziej tradycyjny styl życia. Odziedziczyła interes po rodzicach i razem ze swoim Jacintem uczyniła z małej restauracyjki jeden z najbardziej znanych lokali w tych stronach. Tworzyli dziwną parę: on wysoki i smukły, ona niska i gruba, do czasu, aż schudła. Stanowili żywy przykład zasady, zgodnie z którą przeciwne bieguny się przyciągają: oboje byli takimi biegunami, w każdym tego słowa znaczeniu. Cała wieś, nawet Nalda i Vicente, zazdrościła im, że są tak samo, a nawet bardziej w sobie zakochani niż na początku. Ona mawiała, że tajemnica polega na tym, żeby wiedzieć, jak utrzymać ciepło w żołądku. „Wszystko,



co się ochładza, ulega w końcu zniszczeniu”. Nazywano ją Czarodziejką, bo oprócz umiejętności przyrządzania magicznych mikstur kulinarnych знаła się na miłości i wiedziała, jak podtrzymać żar. Mówiła mało, za to dużo widziała. Nie miała z nikim zatargów, z wyjątkiem Pięknej, której nie mogła wybaczyć, że obmawiała swojego rodzzonego brata, Josepa Impotentę, aby podstępem odebrać wdowie po nim, biednej Francisce, sklep spożywczy. Agnès uważała, że rodzina jest święta, i cokolwiek by się działo, musi w niej zostać. Od czasu tamtego strasznego wydarzenia spotykały się z Úrsulą tylko wtedy, kiedy nie można było tego uniknąć. Na co dzień starały się nie mieć kontaktów, przynajmniej tak robiła Agnès, bo Úrsula wciąż wchodziła jej w drogę i prowokowała ją, kiedy tylko miała sposobność. Była specjalistką od prowokowania. Za młodu pomagała jej w tym uroda, a kiedy ta przestała zapierać dech w piersiach, zastąpiły ją podstępne sztuczki. Stała się największą miejscową intrygantką, żyła plotkami i dla plotek, a sklep zamieniła w swoją bazę. Przychodziła tam cała wieś, tam mieszkańcy mogli liczyć na przegląd najważniejszych wydarzeń, dowiadywali się o wszystkim na miejscu. La Muga nie miała własnego tygodnika z lokalnymi wiadomościami, najlepiej było pójść do sklepu i porozmawiać z Úrsulą. Agnès należała do nielicznych osób, które od kiedy Piękna dostała sklep, nie przestąpiły jego progu. Przestrzegała tego bezwzględnie i nawet kiedy zabrakło jej mleka, wołała nie zjeść śniadania niż złamać postanowienie.

Agnès od razu podeszła do Gali, żeby z nią porozmawiać, udając zainteresowanie jakimś meblem. Przy każdym pytaniu Gala czuła się coraz mniej kompetentna, żeby udzielić jej odpowiedzi. O antykach wiedziała niewiele, a raczej nic, a mistrz (Amat) jeszcze nie przyszedł. Agnès zatrzymała się przy obudowie kominka z drewna orzechowego w stylu Alfonsa XII. Poglądziła błyszczącą powierzchnię, czując pod palcami, jak perfekcyjnie została odnowiona. Każdy centymetr przywoływał obraz jej dobrej przyjaciółki Amelii Xatart, pracującej przy renowacji antyku.

– Wiesz, że ten kominek jest ostatnią rzeczą, którą naprawiła twoja cioteczna babcia?

„Babcia”. Gala nie odważyła się tego wymówić głośno, ale sprostowała w myśli: „Babcia, nie cioteczna babcia”. Ten drobny niuans zmienił wszystko w tak znaczący sposób, że kiedy Agnès powiedziała, że to ostatni przedmiot naprawiony przez jej babcię, zaciekało ją, jak ona to robiła. Według Agnès Amelia potrafiła godzinami siedzieć na niskim stołeczku i polerować papierem ściernym, oczyszczać z pyłu albo po prostu przyglądać się „skaleczeniom mebli”. Była niecierpliwa i surowa dla innych, ale do mebli miała zupełnie inne podejście. Lubiła je głaskać, pieścić, przywracać im życie. Mawiała, że w każdym człowieku jest odrobina magii, trzeba tylko zrobić jej trochę miejsca.

– Ja próbuję tego z jedzeniem, Amelia próbowała z meblami...

Sprzęty, akcesoria... wszystko zasługiwało na naprawę. Była zwolenniczką wyrzucania mebli bez historii, produkowanych taśmowo, ale inne, te stworzone przez rzemieślnika własnymi rękami kosztem wielu godzin pracy, według Amelii należało ratować, bo miały duszę.

– Wierysz w istnienie duszy?

Gala nie wiedziała, co odrzec. Zanim wylądowała w tej wsi, jej życie wyglądało na poukładane, choć nie cieszyła się w rodzinie zbyt wielkim autorytetem. W tej jednak chwili nie była w stanie odpowiedzieć kategorycznie na żadne pytanie. Dusza? To załatwiałoby duchowością, wskazywało na osobę biegłą w naukach nieempirycznych. Ona była wyznawczynią praktycyzmu i tego, co można udowodnić, teraz jednak nie potrafiła odpowiedzieć Agnès. Poprzedniej nocy wypila napar z orchidei, przygotowany przez Franciskę, nie wierząc w jego skuteczność, wbrew logice, bez powodu. Nic się nie wyklarowało, jej dusza nadal była nieobecna, nie wykazywała dostatecznie oczywistych oznak istnienia, żeby dało się ją dostrzec. Teraz jednak Gala zupełnie inaczej odbierała wszystko, co miało jakkolwiek związek z jej niedawno odkrytą babcią.

Popatrzyła na kominek i bez zastanowienia przyczepiła nalepkę „Sprzedane”, ku zaskoczeniu Agnès, która ukradkiem się uśmiechnęła. Chociaż mogło to wyglądać dziwnie, nie chciała się pozbyć ostatniej rzeczy, nad którą pracowała Amelia. Jaki sens miało to, co właśnie zrobiła? Poczula drżenie nóg, strach, że nie potrafi już kontrolować własnych reakcji... Oparła się o starą drabinkę biblioteczną z drewna sosnowego, żeby odzyskać normalny oddech. Patrzyła na szopę, robiąc w myślach przegląd jej zawartości, która miała zostać sprzedana. Poczula lekki zawrót głowy i gorzki smak na podniebieniu. Agnès podała jej szklankę wody i kawałek ciasta.

– Trochę cukru, tego właśnie potrzebujesz, kochana, żeby znowu poczuć się jak nowo narodzona.

Gala nie zdążyła jeszcze dojść do siebie, kiedy rozległ się natarczywy dzwonek jej komórki. Znowu ta przeklęta melodia do „końskiego” tańca. Adele się roześmiała, Kate zdziwiła. Nie przypuszczała, że matka jest tak nowoczesna, jeśli chodzi o upodobania muzyczne, nie wiedziała, że to za sprawą siostry przynębiający utwór „Stay” Lisy Loeb, której jedynym osiągnięciem był przebój z lat dziewięćdziesiątych, zastąpiła „końska piosenka”, objawienie roku! Gala nie wyszła jeszcze ze stanu oszołomienia, a jej rozbawione córki już naśladowały elementy choreografii znanej na całym świecie. Po kilku taktach zdołała zlokalizować telefon w jednej z wewnętrznych kieszeni kurtki. Zmierzyła rozbawione córki wzrokiem zdolnym rozerwać każdego na strzępy; na szczęście do tego nie doszło.

Jej matka! Dała sobie dwie sekundy na decyzję, czy odebrać, czy pozwolić, żeby nieszczęsna melodia wybrzmiała do końca. Wolą się jakoś przygotować do tej rozmowy, poskładać historię babci na nowo, przetrwać ją jeszcze raz, skończyć czytanie dziennika. Jak miała jej powiedzieć, że ta krewna była w rzeczywistości matką jej ojca? Nie czuła się na siłach, żeby to wszystko wyjaśnić, dlatego pozwoliła telefonowi dzwonić. Jednak kiedy Julianne czegoś chciała, potrafiła być strasznie uparta. Wyczerpała cierpliwość córki, której nie pozostało nic innego jak nacisnąć zielony klawisz. Obiecała sobie, że rozmowa będzie dotyczyła spraw nieistotnych i banalnych. „Matkom też nie należy mówić wszystkiego...”

– Cześć! Mamooo... Och.... Tak, tak! Wszystko w porządku... Frederick...?

Nie było łatwo zachować spokój. Julianne potrafiła wyprowadzić córkę z równowagi w rekordowo krótkim czasie i wyciągnąć z niej wszystko. Zaczęła od ataku: co, do diaska, robi w tej wiosce zapomnianej przez świat? I to z jej wnuczkami! Coś tam zgubiła? Rozmawiała z Frederickiem, który opowiedział jej o ostatniej sprzeczce z żoną. Julianne znała córkę, wyczuwała, że jest ona bliska zrobienia głupstwa: zostania tam na Boże Narodzenie.

– Zwariowałaś? A my? Na głowę upadłaś? Wiesz, co straciłaś w tym mieście?

Gala próbowała jej przerwać, wcisnąć jedno zdanie, pojedyncze słowo, ale zdołała wydać z siebie tylko kilka onomatopei bez siły przebiccia i znaczenia na tle przemowy o uczciwości, powadze i przyzwoitości wygłoszonej, a częściowo wykrzyczanej przez matkę. Rzadko słyszała ją tak zirytowaną. Julianne była ekspertką od ukrywania się pod warstwą wazeliny, żeby problemy, nieszczęścia czy niewygodne wydarzenia jak najszybciej zniknęły z jej życia. Nigdy się nie złościła, załatwiała wszystko małymi dawkami ironii i... po sprawie! Co jej się stało? Jakie miało dla niej znaczenie, czy Gala zostanie tu na święta? Nie przywiązywała wagi do uroczystości kościelnych, tym bardziej rodzinnych, wyglądało jednak na to, że w tym roku przeprosiła się z tradycją pieczonego indyka i purée z ziemniaków. Gala odczekała, aż matka skończy pomstować na wszystko i wszystkich i opanuje nerwy; dopiero wtedy oznajmiła jej, że przeczytała dziennik Amelii Xatart.

– Czyj?

Kiedy Julianne usłyszała imię „Amelia”, raptem zamilkła, po czym zapytała o nią tonem jak najbardziej zbliżonym do obojętnego. Gala nie dała się zwieść fałszywej intonacji, wiedziała,

że coś musiało zajść między matką a tą kobietą. Nie cierpiała, kiedy Julianne przemawiała głosem człowieka, który zadziera nosa, a podbródek kieruje gdzieś w przestrzeń galaktyczną, jakby rozmowa jej nie dotyczyła.

– Doskonale wiesz, kim ona jest, bo kiedy umarł tata, przyjechała do Bostonu i podobno z tobą rozmawiała. Czy tak było, mammo?

Julianne starała się nadal udawać obojętność, bełkocząc coś, żeby nie rozmawiać o przeszłości, którą unicestwiła dawno temu. Gala przechadzała się po szopie, uważnie obserwowana przez córki, które nie rozumiały, o czym mówi ich matka. Po co tyle się rozwodzić nad daleką krewną, w dodatku zmarłą? Gala obiecała sobie, że nie powie im prawdy, nie ujawni tego, co niedawno odkryła. Nie mogła jednak przerwać tej rozmowy, nie zapytawszy matki, nie upewniwszy się, czy ta iskierka intuicji prowadzi ją w dobrym kierunku. Serce biło jej mocniej, miała jednak nadzieję, że dzieje się tak bez powodu. Szorstkie „Mamo! Mamo! Posłuchaj mnie!” sprawiło, że falset Julianne zamilkł i w słuchawce zapadła cisza. Po kilku sekundach przerwy Gala wypaliła, oczekując zaprzeczenia:

– Czy wiedziałaś, że Amelia była moją babcią?

Brak odpowiedzi i cisza zdawały się sugerować, że pytanie musi pokonać tysiące kilometrów dzielących matkę i córkę, zanim zostanie usłyszane. Gala powtórzyła je – zawarta w nim wątpliwość odbiła się echem, jakby każda głoska uderzała w pamięć jej matki, która raptem nabrała wody w usta. Gala czuła bicie serca nawet w koniuszkach palców, zimny pot spływał jej po czole. Potrzebowała odpowiedzi, zaprzeczenia, które uratowałyby jej naruszone status quo. Nalegała, ale Julianne nie odpowiadała. Sprawdzała, czy nie straciła zasięgu – w tej wsi było to bardzo prawdopodobne. Przyszli Amat i Nalda. Czekali w milczeniu na zakończenie rozmowy, prowadzonej – jak na ich gust – zbyt podniesionym głosem. Adele widziała błysk pioruna, brakowało już tylko grzmotu, żeby burza dopadła ich wszystkich. Wyczuwała, że coś złego dzieje się między matką a babcią. Kate podeszła bliżej, przygotowana na najgorsze. Czy dobrze usłyszała? Zmarła miałaby być babcią jej matki?

Gala nie zauważyła podchodzącej córki, nie widziała nikogo, potrzebowała odpowiedzi, która nie nadchodziła.

– Maaamooooo, proszę... Słuchasz mnie? Nie wiedziałaś, że...

– Tak! I co z tego?

Odpowiedź była krótka, szorstka, miążdżąca, zimna, prowokacyjna. To „I co z tego?” rozbrzmiewało we wnętrzu Gali, jakby ktoś walił w jej żołądku w bęben. „I co z tego?” Jak matka mogła odpowiedzieć jej z taką butą, jak mogła się przyznać bez mrugnienia okiem, że ukrywała przed nią istnienie babci, że uniemożliwiała jej poznanie prawdy? Gala nie mogła wyjść ze zdumienia, nie mogła uwierzyć, że jej matka kłamała dla własnej wygody! Dorastała w przekonaniu, że babcia ze strony ojca zmarła, że w tej wsi, w La Mudze, nie ma już żadnego żyjącego krewnego. Kiedy dowiedziała się o istnieniu jakiejś ciotecznej babci, odebrała to jak małą zdradę, ale... w końcu była to dalsza rodzina, Julianne nie musiała wiedzieć o jej istnieniu. Ale babcia? Matka jej ojca? Jak Julianne mogła tak bardzo wpłynąć na życie Gali, na jej los, tylko dlatego, że w swoim męczącym egoizmie postanowiła pogrzebać wraz ze zmarłym mężem wszystko inne? Gala była jak ogłuszona, nie potrafiła ułożyć odpowiedzi, która dorównałaby odpowiedzi matki.

– Kochanie, proszę. Przestań się roztkliwiać i wracaj do domu. Czeka na ciebie twoja prawdziwa rodzina.

„Moja prawdziwa rodzina?” Wściekłość zalała pojedyncze myśli, które zdołała logicznie sformułować. Nie mogła uwierzyć, że matka rości sobie prawo do kontrolowania jej życia tylko dlatego, że jej to życie dała. Była taka sama jak Frederick! Wszyscy decydowali za nią, tak

wyglądała jej egzystencja: na opak, pełna kłamstw i zawołowanych prawd, które co chwilę odkrywała. Miała ochotę wybuchnąć nagromadzoną złością, ale nie mogła znaleźć trafnej odpowiedzi. Miała ochotę rąbnąć matkę w twarz i zostawić obolałą z powodu zranionej dumy. Musiała się zbuntować przeciwko temu, co zostało już postanowione, dlatego w odruchu samoafirmacji zdecydowała, że zostanie w La Mudze na Boże Narodzenie, sylwestra i wszystkie inne święta obchodzone w tej wsi, która była również jej wsią. Chciała powitać Nowy Rok zgodnie z miejscową tradycją; miała nadzieję, że będzie lepszy niż końcówka starego. Nie pozwoliła matce na protesty ani na raniące uszczypliwości. Powtórzyła kilkakrotnie podniesionym głosem, nie pozostawiając miejsca na wątpliwości, że nie powinni spodziewać się na Boże Narodzenie ani jej, ani dziewczynek. Jest panią swojego życia, podejmuje takie decyzje, jakie chce! Rozłączyła się z sercem w gardle, drżącymi dłońmi, czując na sobie spojrzenie szeroko otwartych oczu Kate. Jej starsza córka wpadła we wściekłość, uświadomiwszy sobie, co właśnie usłyszała: w nagłym napadzie niezależności matka pociągnęła je za sobą do studni bez dna. Kate nie mogła i nie chciała zaakceptować tej nowej rzeczywistości. Modliła się, liczyła każdą sekundę tego przekłętego tygodnia, żeby wrócić do domu i do normalnego życia. Miała w nosie pochodzenie matki, zmarłą, niedawno odkrytą babcię i całą tę wiochę pełną starców. Złożyła obietnicę Gotham Girls i ani matka, ani nikt inny nie mogą jej przeszkodzić we wzięciu udziału w eliminacjach.

– Mamo, obietnica jest obietnicą... Jutro wracamy do domu!

Gala wysłuchała córkę, po czym ostrym tonem kazała jej się zamknąć. Zrobi to, co każe matka, bo jako mała dziewczynka musi jej słuchać. Gotham Girls i cała ta cholerna Roller Derby League nie są na tyle ważne, żeby wracać do Nowego Jorku w środku Bożego Narodzenia.

– A bilety? Co zrobisz z biletami?

– Wymienimy je albo kupimy inne, ale nie ruszymy się stąd aż do Nowego Roku. Słyszałaś? Czy to jest dla ciebie wystarczająco jasne?

Kate, czerwona z wściekłości i ze łzami w oczach, złapała kurtkę i wypadła z szopy, roztrzając meble, które znalazły się na jej drodze. Musiała stamtąd wyjść, wypłakać się po kryjomu, jak mała dziewczynka. Musiała opowiedzieć o tym, co zaszło, Joanie, jedynej powiernicze, którą tu miała, i pomyśleć, jak się stąd ulotnić.

Adele nie dała po sobie poznać, że decyzja matki bardzo ją ucieszyła. Po scenie, jaką zrobiła siostra, wolała się nie wypowiadać i pokazać, że jest posłuszna. Spuściła głowę i udawała, że czyta, aby ukryć emocje, radość, jaką poczuła na wieść o tym, że zostają w La Mudze na święta. Podniosła głowę nad książki i poszukała wzrokiem Marca, ale go nie dostrzegła. Wiedziała, że jej przyjaciel będzie bardzo zadowolony, mieli jeszcze razem wiele do odkrycia.

Nalda i Amat czekali, aż emocje opadną i Gala zejdzie na ziemię. W głębi duszy każde z nich ucieszyło się z decyzji przedłużenia o kilka dni pobytu dziewczynek i Gali we wsi, choć w przypadku Amata była to mieszanina niepokoju i zadowolenia. Spojrzał w niebo i pomyślał o Amelii, na pewno promieniejącej z radości na swojej planecie. Jej wnuczka zaczynała się budzić, stawać dojrzałym człowiekiem, czerpiąc siły z przynależności do tego wiejskiego rodu

– XATARTÓW!

Gdyby tak została mocno uderzona piłką, straciła przytomność i dzięki temu opuściła to piekło! Kate nie mogła dojść do siebie po tym, jak dowiedziała się, że musi spędzić Boże Narodzenie we wsi, zamiast wrócić do domu. Siedziała na metalowych stopniach, otoczona starszymi od niej, krzykliwymi dziewczynami, i patrzyła nieobecny wzrokiem na kilku zawodników grających w piłkę nożną, z których każdy marzył, że kiedyś zostanie gwiazdą i wyjedzie z tego grajdołu. Joana spoglądała zatroskana na przyjaciółkę, nie bardzo rozumiejąc, co ją tak martwi. Sama starała się dostrzegać pozytywne strony każdego życiowego zakrętu.

Wiedziała, że dla Kate pozostanie kilka dni dłużej w La Mudze to spora komplikacja, wierzyła jednak, że znajdzie się jakiś sposób, żeby nowa przyjaciółka wyszła ze stanu przygnębienia. W głębi duszy była zadowolona, bo przed przeprowadzką do Nowego Jorku będzie mogła dowiedzieć się czegoś więcej o tym mieście.

– *Are you talking to me, eh? Eh?*[35]

Joana puściła oko do przyjaciółki, wykrzywiła usta i patrzyła na nią w nadziei, że przyłączy się do zabawy i zwróci w końcu uwagę na ray-bany w kolorze fosforyzującej zieleni, które sobie kupiła na jej cześć. Była pewna, że są supertrendy, bo tak twierdziła jedna blogerka, superznawczyni najnowszych tendencji w modzie. Kate patrzyła na nią, nie reagując. Wzdychała, przeklinała swojego pecha i pragnęła, żeby piorun zabrał ją z tego świata. Czuła się najniezwyklejszą osobą na ziemi i mimo wysiłków Joany nikt ani nic nie mogło pomóc jej przejść na jasną stronę rzeczywistości. Powiedziała o tym Jersey przez telefon i obie popłakały razem, choć dzieliły je tysiące kilometrów. Tylko Jersey i Gotham Girls były w stanie zrozumieć jej mękę, jej dramat, jej nagły brak chęci do życia. Kate była w wieku dorastania, każde niezwykle wydarzenie powodowało zmiany emocji przypominające jazdę olbrzymią kolejką górską: wściekłość, gniew, smutek, bezsilność, przygnębienie, pragnienie zemsty...

Joana obserwowała przyjaciółkę i choć bardzo się starała ją zrozumieć, musiała przyznać, że nie potrafi. Uważała, że wszystkie Amerykanki są jak te z *Seksu w wielkim mieście*, i była bardziej niż przygotowana, żeby nadawać na tych samych falach, używać tych samych kremów, lakierów do paznokci, butów... Marni, Louis Vuitton, Armani, Ermenegildo Zegna... Ale Kate nie pasowała do tego kodu. Joana nie dostrzegała w jej oczach niekontrolowanych emocji na dźwięk magicznego słowa „Gucci”. Zdezorientowana, przeglądała w myślach zawartość swojego podręcznika *Jak przeżyć w Nowym Jorku*, nie znajdowała jednak żadnej subkultury, do której mogłaby zaliczyć Kate. Była ona mało kobieca, niezrozumiała, grała w rugby na wrotkach, nie miała zdeklarowanych narzeczonych ani teczek wypchanych fotografiami idoli. Można by podejrzewać, że Kate podobają się dziewczyny, ale kuzynka Maria z Barcelony powiedziała Joanie, że lesbijki też są bardzo kobiece i trzeba zacząć żegnać się z mitem, że lesbijka to babochłop. Pod wpływem tej opinii Joana postanowiła nie zajmować się seksualnością Kate. „Kogo to obchodzi? Co to ma do rzeczy?” Chociaż nie posiadała klucza do świata Amerykanki, wiedziała, że potrzebuje jeszcze tylko trochę czasu, żeby do niego wejść. Była przekonana, że życie dało jej szansę: dzięki Kate pozna sporą część nowojorskiej młodzieży. W końcu *Seks w wielkim mieście* to serial z końca lat dziewięćdziesiątych, trochę już przebrzmiały w porównaniu z tym, co jest w tej chwili trendy i *fancy*.

Spojrzała w niebo, aby podziękować aniołowi (wierzyła raczej w anioły niż w bogów i boginie), który wpadł na pomysł, żeby zatrzymać jej towarzyszkę jeszcze na kilka dni...

W trakcie tej modlitwy Kate wbiła w nią oczy pełne łez. Przyjaciółka była jej potrzebna do realizacji planu, który właśnie uknuła, żeby uciec i wrócić do Nowego Jorku.

– Joano, potrzebuję twojej pomocy. Chcę stąd prysnąć, wyjechać.

Łupina od pestki słonecznika niemal przedziurawiła krtań Joany. Na szczęście skończyło się na strachu, zdołała ją z wysiłkiem wykrztusić i wypluć. Kiedy doszła do siebie, była gotowa wysłuchać wariackiego planu przyjaciółki.

– Chcę pojechać na lotnisko i wykorzystać bilet powrotny do domu. Potrzebne mi są pieniądze i musisz mi powiedzieć, jak tam dojechać. Wylot jest jutro po południu, ale mogę spędzić noc na lotnisku.

– Tom Hanks w *Terminalu* nawet tam zamieszkał!

Kate uważała ten plan za doskonały, jednak dla Joany oznaczał, że jeśli zdecyduje się pomóc, sama zostanie w La Mudze na zawsze. Kiedy jej rodzice się dowiedzą, że brała udział

w tej ucieczce, nie pojedzie do Nowego Jorku, nie będzie studiować w Actors Studio, nici z jej kariery aktorskiej. Choć miała o Kate jak najlepsze zdanie, nie czuła do niej aż tyle sympatii, żeby w taki sposób rzucać na szalę swoje marzenia. Kate wróci do domu, a ona straci wszystko. Wyjaśniła to, jak umiała, starając się zbytnio nie zranić przyjaciółki. Chciała pomóc, ale nie mogła się narażać. Musiała zostać aktorką i odnieść sukces na Broadwayu, nie mogła ryzykować, że straci życiową szansę, o którą od lat walczyła.

Kate aż złapała się za głowę: że też musiała trafić na jedyną wariatkę we wsi, która marzy o podboju Ameryki. Było oczywiste, że jej pomoc i współudział w spisku prędzej czy później wyjdą na jaw, a wtedy czeka ją reprimenda. Wiedziała, że Joana ma rację, ale swoje przemożne pragnienie powrotu do domu stawiała wyżej niż czyjekolwiek marzenia o sukcesie. Musiała przekonać Joannę, żeby ją poinstruowała i pożyczyła jej pieniądze, ale nie wiedziała, jak to zrobić. Dopiero... Bingo!

– A jeśli ci powiem, że mój tata jest przyjacielem dyrektora Actors Studio i Roberta de Niro? Jeżeli mi pomożesz, obiecuję ci, że ojciec pomoże tobie. Wiesz, że on chce, żebym wróciła do domu na święta?

Kate udało się skupić na sobie całą uwagę przyjaciółki. Joana zdjęła nawet z wrażenia ray-bany w kolorze fosforyzującej zieleni, żeby nie uronić najdrobniejszego szczegółu. Rozpromieniła się, kiedy usłyszała o Actors Studio i Robercie de Niro, serce niemal wyskoczyło jej z piersi na myśl o perspektywie zjedzenia obiadu albo kolacji z jednym ze swoich ulubionych aktorów. Jej oczy wypełniły się łzami ze wzruszenia wywołanego poczuciem, że jest szczęściarą, bo dostała od życia taki prezent. Widząc przesadzoną reakcję Joany, Kate o mały włos nie przyznała się do kłamstwa. Było jej głupio, że obiecała coś, czego nie mogła spełnić. Nie podobało jej się to, uważała, że nie jest w porządku, ale wyobraziła sobie swojego ukochanego Yodę, jak mówi: „Żyj chwilą, nie myśl, czuj, korzystaj z instynktu, poczuj siłę”. Instykt mówił jej zaś, że powinna kontynuować tę farsę, aż po jej ostateczne konsekwencje, bo tylko tak może dołączyć do swoich Gotham Girls.

Joana się zamyśliła, pokusa była wielka niczym noga słoniowa. Przeczynała, że decyzja, którą teraz podejmie, może na zawsze zmienić jej życie. Kate uszanowała milczenie przyjaciółki; nie pozostawało nic innego, jak dać jej czas na zastanowienie, czy chce pomóc w tej ucieczce, czy nie. Joana musiała przemyśleć za i przeciw, zgodnie ze swoim rytuałem „życiowych rozstajnych dróg”. Szybko znalazła w torbie długopis i papier, narysowała linię pionową, a na górze poziomą i oznaczyła jedną kolumnę znakiem „+”, drugą znakiem „-”. Nie podnosząc głowy, z wysuniętym końcem języka zaczęła notować plusy i minusy udzielenia pomocy Kate, która denerwowała się i wołała nie patrzeć na papier, żeby nie widzieć, która kolumna wygrywa. Trwało to już dziesięć minut. „Dlaczego ona tyle pisze?” Z każdą upływającą minutą Kate miała coraz większą ochotę przeczytać niekończącą się listę za i przeciw. Temat nie wymagał zbyt głębokich analiz, ale Joana nadal zapełniała kartkę. Żeby nie podrzeć tej absurdalnej listy na drobne kawałeczki i nie nakrzyczeć na przyjaciółkę, Kate zaczęła skręcać papierosa. Ponieważ jej to nie wychodziło, postanowiła zainteresować się meczem. Sporo wysiłku kosztowało ją skupienie uwagi na piłce. W końcu zauważyła, że jeden z przedstawionych jej wcześniej chłopców nie odrywa od niej wzroku. Nie była do końca pewna, czy to na nią patrzy, jednak ta gra zaczęła ją bawić i wciągać. Nie był zbyt zręczny, lepiej biegał, niż kopał piłkę; wydawał się trochę niezgrabny, niezdarny, a mimo to zabawny. Nie znała jego imienia miała ochotę je poznać. Kate lubiła się podobać, pod warunkiem że istniała niepewność, która dodawała całej sytuacji uroku. Nie znosiła wulgarnych komentarzy, komplementów rodem z placu budowy ani romantycznych SMS-ów z wyznaniem miłosnymi. Lubiała dwuznaczność, to, co się intuicyjnie wyczuwa, ale czego nie wiadomo na pewno. Posiadanie chłopaka po to, żeby chodzić z nim za

rękę po Central Parku, wydawało się jej straszonym nudziarstwem.

– Już mam!

Kate popatrzyła na przyjaciółkę, oczekując konkretnej odpowiedzi, a nie informacji o tym, że zakończyła spisywanie absurdałnej listy. Musiała wiedzieć, czy Joana jest gotowa jej pomóc.

– Zrobię to, ale musimy się pospieszyć. Powinnaś wyjechać dziś po południu, żeby nikt nie zaczął niczego podejrzewać, zanim będziesz daleko. Narysuję ci plan, żebyś w każdej chwili wiedziała, gdzie jesteś, zapiszę kilka przydatnych telefonów, gdyby ci się coś stało. Nie zapomnij paszportu i biletu lotniczego. No i będziesz musiała wyjechać w tym, co masz na sobie, żeby nikt się niczego nie domyślił. Przygotuję ci na drogę torbę z jedzeniem, napojami i słodyczami.

– A pieniądze?

Joana miała schowane około dwustu euro w gotówce, połowa tej sumy w zupełności wystarczy, żeby przyjaciółka dotarła cała i zdrowa na lotnisko El Prat i wsiadła do samolotu lecącego bezpośrednio do Nowego Jorku. Gdyby tak mogła jej towarzyszyć! Drogę z La Mugi do Nowego Jorku Joana mogła pokonać z zamkniętymi oczami. Planowała tę podróż setki razy, od lat odtwarzała w myślach chwilę, kiedy wsiada do pociągu jadącego na lotnisko, dojeżdża na El Prat i wchodzi do samolotu, którym leci wprost do sławy. Czowała zdrową zazdrość, ale wiedziała, że jej moment jeszcze nie nadszedł; ona uczyni to, nie kryjąc się, z pożegnaniem w wielkim stylu. Chciała zrobić jak Dalí i Gala. To samo! A potem w cadillacu z opuszczanym dachem (zamiast czarnego kupiłaby sobie różowy jak cukierek) wrócić do wsi, gdzie przyjęto by ją jak gwiazdę, którą przecież była.

– Joaaaanaaa!

Nieświadomie pograżyła się w marzeniach, zapominając o potrzebach Kate. Musiały odgrywać przed wszystkimi komedię, zachowywać się normalnie, a kiedy mecz dobiegnie końca, pożegnać graczy i szybko wracać do La Mugi. Miały mnóstwo na głowie przed podróżą. Ledwo zdążyły ustalić kilka szczegółów, kiedy sędzia odgwizdał koniec spotkania. Joana i Kate jako jedyne spośród miejscowych kibiców biły brawo. Ich drużyna przegrała dużą liczbą bramek, ale tylko one o tym nie wiedziały; okazywały entuzjazm graniczący z euforią, podekscytowane operacją „powrót do NY”.

Chłopak, który niby miał się przyglądać Kate, nieśmiało podszedł do dziewczyn z czterema kolegami, żeby zaprosić je na coś do picia w miasteczku. Joana natychmiast odrzuciła propozycję, nie dając Kate czasu na wypowiedzenie choćby jednego słowa. Już szły w stronę motoroweru. Amerykanka zapytała o imię piłkarza.

– Aleix.

– Aleix?

– To jak Alec po angielsku, wiesz? Alec Baldwin, ale Aleix Camprodon.

Obie uśmiechnęły się jednocześnie, po czym natychmiast zniknęły na drodze rozdzielającej pola i prowadzącej do La Mugi. Rozstały się po ustaleniu ostatnich detali, ze szczególnym naciskiem na konieczność udawania, że wszystko jest w normie. Kate wpadła do domu, żeby zabrać paszport, bilet i – nie mogła nic na to poradzić – szczoteczkę do zębów. Jedną z nielicznych cech, które odziedziczyła po ojcu, była pedantyczna dbałość o stan jamy ustnej. Musiała myć zęby po każdym posiłku, a ponieważ nie wiedziała, czy będzie mogła kupić sobie nową, wołała się zabezpieczyć.

Gala była milcząca, poranek skończył się absolutną klęską. Jedyna osoba, która w ogóle chciała coś kupić, zainteresowała się starą sekretarą, ale liczyła, że utarguje lepszą cenę, jednak ku zdziwieniu Amata to właśnie Amerykanka zareagowała oburzeniem na propozycję obniżki. Naprawdę nikt nie chciał niczego kupić? Gala podejrzewała, że cała wieś jest w zмовie

z Amatem. Nalda usiłowała ją przekonać, że to nie tak, ale ona nie była w stanie zrozumieć, dlaczego nie mogą sprzedać mebli po tak niskich cenach.

Marc i Adele mieli się zająć przygotowaniem przed obiadem wielkiego rozkładanego stołu na piknik. Ustawili wokół niego osiem krzeseł i przynieśli z restauracji olbrzymi obrus, który pożyczyła im Agnès. Amat zamówił u niej skromny catering, wiedział, że dzień będzie długi, wołał spędzić go przyjemnie, organizując małe rodzinne przyjęcie.

Punktualnie o drugiej Jacinto i Agnès przyjechali furgonetką i rozstawili na stole mnóstwo potraw na ciepło i na zimno, butelki wina, piwo i inne napoje. Również o drugiej zaczęli się schodzić ciekawscy, skuszeni bardziej możliwością wypicia szklaneczki wina niż zakupem antyków. Gala pierwsza rzuciła się na jedzenie: konieczność podejmowania decyzji i nuda zaostriły jej apetyt. Adele i Marc szybko się objedli przysmakami Agnès. Po spędzeniu części poranka w domku na drzewie, gdzie dzielili się swoimi sekretami, takimi jak należąca do Marca kolekcja kart z dinozaurami i zwierzętami prehistorycznymi, musieli odnowić zapasy energii. Adele była niezwykle podekscytowana perspektywą spędzenia tu świąt, chciała znowu pogotować z Markiem i Agnès tutejsze specjały, zwłaszcza popiec ciasta. Marc mógłby robić cokolwiek, byle tylko być blisko Adele. W rodzinie zaczęto podejrzewać, że malucha w końcu trafiła strzała Amora. Od przyjazdu Amerykanki nie chciał widzieć żadnego ze swoich kolegów, nie życzył sobie nawet, żeby przyjechali do La Mugi poznać jego nową przyjaciółkę. Pragnął jej tylko dla siebie i cały dzień, od chwili kiedy się obudził aż do pójścia spać, spędzał albo z nią, albo mówiąc o niej. Wszyscy patrzyli rozbawieni, jak w Marcu buzuje adrenalina, jak chłopiec nieświadomie doświadcza słodczy pierwszych niewinnych uniesień miłosnych. Mieli pewność, że z dziewczynką dzieje się to samo, bo z odpowiedniej odległości można było nad nimi zobaczyć świetlistą otoczkę, coś jakby delikatną bańkę, chroniącą czystość ich uczucia.

Gala była jedną z nielicznych osób, jeśli nie jedyną, które nie zdawały sobie sprawy z tego, co przeżywa jej młodsza córka. Sama przechodziła przemianę, a bardzo trudno wyłowić cokolwiek przez matczyne superfiltr, zwykle wyłapujący wszystko z prędkością światła, kiedy jest on zanieczyszczony. Od kilku miesięcy jej radar nie działał, nie tylko w odniesieniu do córek, ale generalnie do całego jej życia. Kiedy ktoś, kto czuje się niepewnie, nabiera trudnych do zweryfikowania podejrzeń, zarówno jego samoocena, jak i same podstawy egzystencji ulegają poważnej erozji. Upływający czas nie wypełnił swoich zobowiązań wobec niej tak jak wobec innych ludzi: zawsze uważała, że daje on doświadczenie i poczucie bezpieczeństwa, tymczasem z nią było na odwrót. Im więcej miała lat, tym mniej pewnie się czuła i spędzała mniej czasu, patrząc na siebie w lustrze. Wyobraźmy sobie, że ktoś postanowił zapuścić włosy i nie może się doczekać aż urosną, aż tu nagle widzi, że ma już loki do pasa! Podobnie Gala nagle sobie uświadomiła, jak bardzo się zmieniła.

Któregoś dnia, na pozór nieróżniącego się niczym od innych, zerknęła w lustro i zdała sobie sprawę, że nie potrafi wytrzymać własnego spojrzenia. Jakby nie mogła znieść widoku odbicia, czyli samej siebie. Jak to możliwe? Wyszła z łazienki, starając się nie przypisywać temu wielkiego znaczenia, ale musiała wrócić, z filiżanką kawy w rękę, i ponownie na siebie spojrzeć. Wytrzymała przed lustrem wystarczająco długo, żeby dostrzec własną kruchość; pierwszy raz zdała sobie sprawę z istnienia dziury, małej próżni, która od jakiegoś czasu dzieliła z nią egzystencję. Nie chodziło o bycie szczęśliwą albo nieszczęśliwą, ale o głębsze uczucie, które nazywa się... Spełnieniem? Nigdy wcześniej o tym nie myślała. Kiedy pojawia się taka dziura, wszystko ulega zmianie, a jeśli owa metamorfoza nie pochodzi z twojego wnętrza, zalewa cię coś wyrafinowanego, a jednocześnie perwersyjnego, co zwie się melancholią, i niszczy nawet twoje DNA.

Gala nie była świadoma tego niebezpieczeństwa, ale zaczynała postrzegać swój stan,



jakby patrzyła na jedwabnika w trakcie przepoczwarczenia, przekształcania w coś innego niż to, czym jest. Przeobrażenia się nie wybiera, jest ono przymusowo w kalkulowane w naszą egzystencję, tak samo jak życie i śmierć, i tak jak nie możemy uciec od śmierci, tak nie uciekniemy od przemian. Niektóre z nich przetykasz łatwo jak kaszkę z mlekiem, inne mogą ci przedziurawić żołądek.

Tego, co Gala czuła od kilku miesięcy, nie można było nazwać bólem, chodziło raczej o ostre pieczenie w żołądku. Nie wszystko trawiła jednakowo i choć cierpiała z tego powodu, uparła się, żeby jeść te same rzeczy co zawsze. Agnès dostrzegła to już pierwszego dnia, kiedy ją poznała, ale chciała się upewnić przed postawieniem diagnozy. Nabrała pewności, widząc, jak pochłania potrawę, sama i na stojąco. Jednak nie tylko pożywienie było powodem jej złego samopoczucia, nie pospieszne gryzienie ani ilość. Wszystko zależało od przyjemności czerpanej z jedzenia. Gala nie wiedziała, że coś takiego w ogóle istnieje, nie rozumiała tego, nie potrafiła się cieszyć tym, co jadła, i choć przez wiele lat jej organizm to wytrzymał, w końcu zaczął uzewnętrzniać ów brak. Tak jak witamin, Gala potrzebowała dawki przyjemności, radości w każdej minucie dnia, od chwili kiedy wstawała z łóżka, do momentu kiedy kładła się spać. Ale czy ona w ogóle wie, co to takiego jest?

Nalda podeszła do Czarodziejki z talerzem *mongetes* i *botifarra*[36]. Kiedy jedzenie przygotowywała jej przyjaciółka, Czerwona odstawiała swoje warzywka i bezsolne potrawy. Próbowwała przeżuwać, ale nie potrafiła się powstrzymać od łapczywego pochłaniania smakołyków, opanowana żądzą przyjemności, jaką daje jedzenie. Nie zdążyła jeszcze przełknąć jednego kęsa, a już miała w ustach kolejny. Wiedziała, że Agnès postawiła Gali diagnozę. Była tego pewna, bo w takich wypadkach Czarodziejka pozwalała sobie na małą nagrodę: coś słodkiego. Teraz ukroiła małeńki trójkącik ciasta marchewkowego i właśnie miała wbić w niego zęby. Obie babcie odeszły od stołu z talerzami w dłoni, żeby porozmawiać.

– *No en té ni idea de gaudir, saps?*

– *N'estàs segura?*[37]

Agnès przytaknęła stanowczym ruchem głowy i wzięła do ust podwójną porcję ciasta. Nalda otworzyła szeroko oczy i potwierdziła, że rozumie powagę sytuacji. Gala musiała poznać znaczenie odczuwania przyjemności, żeby porzucić wewnętrzne zmagania, cierpienie, zamęt, tak zgubny dla niej i dla jej otoczenia. Nie ma bardziej destrukcyjnej broni niż negacja witalności. Gala jeszcze nie osiągnęła tego stadium, to nie była diagnoza jej stanu. Ona miała problem z filtrem, ze słuchaniem, z przepuszczaniem sygnałów z otoczenia i przemianą swoich emocji.

– *Jo la veig molt fràgil, saps?*[38]

Czerwona czuła niepokój, nie miała do Gali zaufania. Czasami po prostu się przegrywa, trzeba przyjąć naukę i zrezygnować z buntu. Nie mogła sobie pozwolić na utratę własnej energii, nie miała jej w nadmiarze... Po przerwie KRAĞ znowu ruszał, nie ze względu na jakąś konkretną sprawę czy czyjś rozkaz, tylko raczej dlatego, że tak chciał los. Nalda się opierała, to, że Gala jest wnuczką założycielki, nie stanowiło dla niej wystarczającego argumentu – Amerykanka musiała zobaczyć więcej, uwierzyć. Wiedziała, że mówiąc to, zdradza swoją wielką przyjaciółkę Amelię, lecz przecież KRAĞ był czymś świętym i nie należało pokazywać go byle komu. Agnès zdawała sobie sprawę, że będzie trudno zebrać je wszystkie, a jeszcze trudniej przekonać. Jednak była pewna, że Gala jest wystarczającym powodem, żeby zwołać spotkanie. Ta ziemia należała również do niej, Czerwona wiedziała o tym w głębi duszy, tyle że matczyiny strach mącił jej klarowność umysłu. Czarodziejka – podobnie jak Nalda – wyczuwała, że serce Amata zaczęło bić na nowo, że wychodzi ze stanu zamrożenia. Jednak w przeciwieństwie do przyjaciółki, która próbowała oddalić burzę, Agnès była przekonana, że kwiat i tak w końcu zakwitnie. „Mniszek lekarski nigdy nie zawodzi”. Ktoś, przed kim się otwiera i ulatuje w postaci

puchowych aniołków gotowych spełniać marzenia, jest istotą pobłogosławioną przez miłość, niezależnie od swojego stanu. Amat należał do takich szczęśliwców; w końcu przekleństwo przestało działać, a dobra magia miłości zaczynała przynosić efekty. Dla Naldy rozmowa o tym była równie ciężka do zniesienia jak pusty talerz podczas przyjęcia. Z powodu łakomstwa i niewygodnego tematu zapomniała o manierach i zniknęła, nie czekając, aż Agnès dokończy zdanie.

Kiedy Gala uniosła głowę, zdała sobie sprawę, że ogłoszenie o licytacji zaczyna wreszcie przynosić oczekiwane efekty. Ponad pięćdziesiąt osób chodziło z zainteresowaniem po szopie, ze szklaneczką wina lub piwa w ręku, z zamiarem nabycia jakiegoś mebla. Gala i Amat nie nadążali z obsługiwaniem, Kate pomagała im niechętnie, ale musiała udawać, tak jak jej przykazała Joana. Marc i Adele siedzieli na stołkach za miedzianym kontuarem, niecierpliwie czekając na pierwszą transakcję.

Gala obserwowała Amata, była przekonana, że jest gotów zawyżać ceny tylko po to, żeby nikt niczego nie kupił. Nie ufała mu i kiedy mogła, deptała mu po piętach, żeby podsłuchać, czy przypadkiem nie zmienia wypisanych cen na inne, wyższe. Ale szopa wypełniła się potencjalnymi klientami, którzy chcieli, żeby ich obsłużono, więc Gala nie mogła ciągle chodzić za nim jak cień. Chociaż znajdował się na tyle daleko, że go nie słyszała, nie spuszczała zeń wzroku. Zresztą wcale się z tym nie kryła, celowo robiła to tak bezczelnie, bo chciała dać mu wyraźnie do zrozumienia, że nie darzy go zaufaniem. Ich spojrzenia kilka razy się skrzyżowały. Rozbawiony Amat wiedział, o czym myśli Gala i że ma rację. Każdemu klientowi, który podchodził zainteresowany jakimś meblem, podawał cenę czterokrotnie wyższą od ustalonej. Kate nieświadomie robiła to samo. Ponieważ nie miała ochoty rozmawiać z matką, pytała o cenę Amata. Gra była warta świeczki, chociaż ryzykowna, bo Gala mogła się łatwo zorientować, co wyprawia jej córka.

Úrsula i jej syn Pau nie chcieli przepuścić jednego z najważniejszych wydarzeń roku. Rzadko wywieszali na sklepie tabliczkę z napisem „Zamknięte”, ale tym razem okazja była wyjątkowa. Pau nie interesował się intrygami matki, towarzyszył jej, bo lubił imprezy, poza tym umówił się z kilkoma kolegami z miasta. Był miejscowym wiecznym kawalerem, wszyscy wiedzieli, że ma te same upodobania co jego wujek Josep Impotent. Zdawał sobie sprawę z tego, co jego matka sądzi na ten temat, słyszał, co wygadywała o wuju, dlatego wciąż wymyślał sobie rzekome narzeczone. Co jakiś czas namawiał swoje przyjaciółki, które spotykały się z kobietami, żeby wyświadczyły mu przysługę, zjadając z nim i matką kolację i udając coś więcej niż przyjaźń. Po kilku miesiącach ogłaszał zerwanie i znowu był kawalerem, do czasu kiedy ponownie prosił którąś o pomoc, aby nie wzbudzać podejrzeń. Kiedy z czasem zabrakło przyjaciółek, do których mógł się zwrócić, zaczął wynajmować prostytutki; zamiast za seks, płacił im za kolację z nim i matką. Piękna dostawała w ten sposób lek, który sama aplikowała innym: cała wieś mówiła o tym za jej plecami, nie tyle ją krytykując, ile śmiejąc się z Úrsuli, wszystkich bowiem zdumiewała jej nieświadomość i przechwałki, że syn jest takim donżuanem.

Agnès zobaczyła ją z daleka, jak idzie z laską o rączce w kształcie lwiej głowy, w czarnych skarpetach sięgających powyżej kolan. Ucieszyła się na widok Paua, lubiła tego chłopaka, ale cierpiała ze względu na przedstawienia, jakie odstawiał co dwa miesiące za przyzwoleniem połowy wsi, żeby utrzymać matkę w nieświadomości. Znalazł sposób, żeby żyć i czuć zgodnie z tym, co podpowiadało mu serce. Agnès uważała jednak za niesprawiedliwe, że dusza tak czysta jak ta, którą został obdarzony Pau, nie może się oddać komuś całkowicie. Z daleka wymienili z Czarodziejką porozumiewawcze spojrzenia, w których było zawarte przesłanie. Pau witał się właśnie z jednym ze swoich przyjaciół z miasta. On też należał do ludzi, którzy przechodząc obok mniszka, sprawiali, że jego owoce, przypominające obnażone kły lwa,

zamieniały się we fruwające aniołki. Łatwo to było dostrzec, wystarczyło stanąć w pewnej odległości i przymrużyć oczy, żeby zobaczyć bańki białego światła chroniące czystość miłości. Pau i jego przyjaciel byli pod ochroną, jak Adele, Marc i kilku innych szczęśliwców w tej szopie. Úrsuli brakowało wrażliwości, dlatego nie mogła niczego wychwycić na tej częstotliwości. Zbyt dużo czasu upłynęło, od kiedy postanowiła ją ignorować i nadawać na innej fali. Na szczęście dla jej syna, straciła dar odróżniania teatrzyku od prawdziwej miłości.

– Tylko dwieście pięćdziesiąt euro? Biorę. A okrągły dębowy stół...? Trzysta? Też biorę. Może mi pani podać cenę tej biblioteczki w głębi?

W końcu Gala trafiła na odpowiednich klientów. W czasie niespełna pół godziny bez zastanowienia kupili wszystko, o czego cenę zapytali. Była to para w średnim wieku, która bez przerwy szeptała między sobą i śmiała się, zadowolona z popołudniowych zakupów. Początkową euforię Gali, wywołaną sprzedażem tylu mebli, wyparło wkrótce podejrzenie: z czego oni się tak śmieją? Kim są? Co zrobią z tym wszystkim? Korzystając z tego, że przedłużali swoją wizytę w szopie, próbowała zebrać o nich jakieś informacje. Odkryła, że to antykwariusze z Barcelony, którzy się dowiedzieli, że VellAntic urządza licytację. Wziąwszy ją za cudzoziemkę, wynajętą przez Amata do pomocy w aukcji, otworzyli się przed nią. Nie mogli uwierzyć w ceny mebli, byli przekonani, że Amat postanowił zamknąć VellAntic, żeby wyjechać z La Mugi, tak jak to zrobił, kiedy był młody. A jeśli nie wyjeżdżał, to zapewne śmierć Xatart doprowadziła go do pomieszania zmysłów.

– To była dziwna kobieta, wiesz? Z nikim się nie witała, to on zawsze przyjmował klientów. Ona tylko obserwowała i dawała mu znaki tymi swoimi długimi palcami.

Para najwyraźniej obdarzyła Galę olbrzymim zaufaniem, bo wprost prześcigała się w obraźliwych komentarzach na temat Amelii Xatart, VellAntic i Amata. Wino uderzyło antykwariuszom do głowy i rozwiązało im języki. Gala próbowała to znieść, ale złość skręcała jej wnętrzności. Chociaż z ogromnym wysiłkiem powstrzymywała emocje, pragnąc doprowadzić sprzedaż do końca, po półgodzinie zniewag i szyderstw pod adresem babci nie wytrzymała i unieważniła całą transakcję na jej końcowym etapie. Uważnie obserwowana przez Amata, Adele i Marca, już miała zainkasować opłatę kartą za kupione rzeczy, kiedy nagle wybuchła:

– *Please*, Amat, popraw mnie, jeśli zrobię jakiś błąd językowy, dobrze?

Amat skinął głową, choć nie miał pojęcia, o co jej chodzi.

– Czy można powiedzieć: dlaczego nie wsadzisz sobie w dupę tej karty kredytowej i się stąd nie wyniesiesz?

Znieruchomiał nie tylko Amat, cała szopa zamieniła się na chwilę w kościół. Wszyscy wstrzymali oddech, słysząc to zdanie wypowiedziane nagle i głośno, ile sił w płucach. Gala przyciągnęła uwagę większości obecnych, ale ponieważ antykwariusze nie zareagowali, powtórzyła z tą samą intonacją i równie głośno.

– Zapytałam, dlaczego nie wsadzisz sobie w dupę tej karty kredytowej i się stąd nie wyniesiesz.

Amat zareagował pierwszy. Pod baczny spojrzeniem obecnych z lekkim uśmiechem oddał klientowi kartę kredytową i pokazał parze, żeby opuściła szopę. Mężczyzna wykonał gest, jakby chciał zaprotestować, ale wolał wyjść jak najszybciej, żeby uniknąć dalszych upokorzeń.

– Nie wiem, jak możesz pozwalać pracownicy na podobne poniżanie ludzi. Pewnie musi ci nieźle dogadzać...

Nie skończył zdania, bo lewa pięść Amata trafiła go z całej siły w usta i prawie złamała mu ząb. Natychmiast otoczył ich wianuszek ludzi, kilku z nich udało się rozdzielić przeciwników i zapobiec przykrej bójce... Poturbowany, plujący krwią mężczyzna wyszedł z szopy podtrzymywany przez przyjaciółkę, wzywając pomocy, odprowadzany wzrokiem przez

zgrupowanych.

Kiedy tylko przekroczył próg, Amat sięgnął po plastikową szklaneczkę, napełnił ją znakomitym forgasem i podnosząc dłoń do góry, zachęcił pozostałych, żeby się przyłączyli. Minęła chwila, zanim pierwsza osoba uniosła kieliszek, ale po niej – na zasadzie reakcji łańcuchowej – zrobiła to większość obecnych, czekając na toast. Gala odebrało mowę po tym, co zaszło. Wyłączyła się, jakby strusie schowanie głowy w piasek mogło złagodzić poczucie straszliwego wstydu, jaki odczuwała po scenie, w której odegrała główną rolę. Wszyscy w milczeniu oczekiwali na przemówienie. Adele też chciała unieść swoją szklanekę z lemoniadą, ale Kate powstrzymała ją wzrokiem ciskającym błyskawice.

– Wiem, że ona nie będzie chciała się stuknąć ze mną kieliszkiem, niemniej pragnę wnieść toast za nią, za to, kim nadal jest. Za moją współpracowniczkę, Galę Xatart!

Zebrani wypili, patrząc na nią i nie rozumiejąc nic z tego, co się dzieje. Gala nie miała odwagi podnieść wzroku, a już na pewno wypić ze wszystkimi, jednak było dla niej jasne, że licytację mebli należało na razie uznać za zakończoną.

W przeciwieństwie do siostry, Kate zastanowiło zachowanie matki. Gala pozwoliła, żeby przeszła jej koło nosa transakcja warta ponad sześć tysięcy euro, w dodatku postąpiła po chamsku. Dziewczynka nie rozumiała jej i nie zgadzała się z jej decyzją. Znalazły się tu dla pieniędzy i prawie je zdobyły. Miała ochotę zaprotestować, urządzić scenę, ale się powstrzymała. Nie powinna zwracać na siebie uwagi – nie mogła pozwolić, żeby cokolwiek zepsuło jej plan. Za niespełna dwie godziny opuści tę przeklętą wieś, będzie daleko od matki, która przed chwilą okazała się zdolna do wywołania skandalu w stylu Włochów z New Jersey. Spojrzała na siostrę, która właśnie wznosiła toast z Markiem, i przez chwilę czuła pokusę, żeby wyjawic jej swój plan i oszczędzić zmartwień. Powstrzymało ją jednak wspomnienie groźnie brzmiących słów Joany: „Nawet siostrze! Nikomu!”. Adele odwzajemniła jej spojrzenie i niespodziewanie rzuciła się na nią, objęła mocno i powiedziała, że bardzo ją kocha. Adele czasami tak robiła, ścisnęła i powtarzała, że ją kocha, jednak ten uścisk był szczególny. Chociaż Kate wiedziała, że spotkają się po powrocie do domu, pierwszy raz poczuła strach przed samotną eskapadą. „A jeśli przytrafi mi się coś złego?” Pozwoliła, żeby ta przeklęta myśl odpłynęła, mocno objęła młodszą siostrę, tworząc nieświadomie wokół niej nową bańkę ochronną.

Po czwartym ostrym gwizdzie pociągu, informującym o zbliżającej się stacji, Kate ogłuchła na lewe ucho. Na wszelki wypadek postanowiła zająć miejsce najbliżej drzwi, a nad nim właśnie wisiał głośnik, z którego dochodził przeraźliwy dźwięk kilka minut przed każdą stacją. Pociąg z Figueres do stacji Sants w Barcelonie ruszył niespełna godzinę wcześniej. Joana zapisała jej wszystko na perfekcyjnie wykonanym planie, czytelnym nawet dla niewtajemniczonych. Z jej mapą nawet największy dureń byłby w stanie dotrzeć bez problemu na lotnisko El Prat. Wszystko zostało opisane, krok po kroku, bardzo wyraźnie. Kate miała się tylko trzymać instrukcji w najdrobniejszych szczegółach, a po niespełna trzech godzinach będzie na miejscu.

Pożegnały się tak, jakby Kate jechała na wojnę. Joana uściskała ją ze łzami w oczach, obiecując, że będzie milczeć jak grób.

– Nic nie powiem, nawet jeśli będą mnie torturować. Nie martw się!

Wyściskały się nie dlatego, że Kate miała na to ochotę, raczej z powodu odczuwanej przez Joannę potrzeby dodania przyjaciółce odwagi. Kiedy czekały na pociąg schowane w kącie, kryjąc twarze pod kapeluszami, żeby nikt ich nie rozpoznał, Joana dotąd powtarzała wszystkie etapy podróży do El Prat, aż Amerykanka nauczyła się ich na pamięć. Kate chciała być już w pociągu i zakończyć te sceny o dużej dozie dramatyzmu, bo zamiast nie rzucać się w oczy, z powodu wylewności i nienaturalnego zachowania Joany znalazły się w centrum uwagi

pasażerów czekających na peronie.

Kate musiała przyznać, że jest zdenerwowana. Pierwszy raz oddalała się od matki bez jej pozwolenia, na dodatek w obcym kraju. Nie czuła strachu, raczej coś w rodzaju milczącego szacunku dla własnej zuchwałości. W końcu była świeżo upieczoną nastolatką, a jej największą dotąd wyprawę stanowiły tygodniowe kolonie w Kay West, zorganizowane przez szkołę, która zadbała o wszystkie wygody.

Zaczęło do niej docierać, że podróżuje sama, bez niczyjej wiedzy, nie licząc jednej osoby, która obiecała niczego nie zdradzić nawet pod groźbą tortur. Pasażerowie, którzy byli, bądź co bądź, zwykłymi obywatelami, nagle wydali jej się groźnymi istotami. Strach wykorzystuje każdą słabość, żeby wcisnąć się do środka, a kiedy już to zrobi, potrafi zamienić zwyczajną sytuację w scenerię zbrodni. Kate zrozumiała, że w środku się boi, bo serce zaczęło jej mocniej bić i miała ochotę wybuchnąć płaczem, ale nie mogła urządzić scen. Mężczyzna siedzący naprzeciwko, który z nudów nie spuszczał z niej wzroku, przeniósł ją do filmowego horroru, gdzie ona mogła być następną ofiarą. Miał na sobie puchową kurtkę z kapturem, w uszach słuchawki; ręce trzymał w kieszeniach. Żuł gumę i poruszał lewą nogą w rytm muzyki. Kate musiała obmyślić jakiś plan, na wypadek gdyby postanowił wyciągnąć z kieszeni nóż i zadźgać ją na miejscu. Najbardziej bezpodstawne przypuszczenia, jak to, które przyszło jej do głowy, dla większości ludzi absurdalne, stają się prawdopodobne, kiedy opanuje cię strach. Po półgodzinie modłów i powstrzymywania się od płaczu pomyślała nawet o zmianie miejsca, ale zrezygnowała, żeby nie prowokować reakcji ze strony potencjalnego zabójcy. Niemal się posikała, kiedy na wysokości Sant Celoni mężczyzna wstał gwałtownie, przeszedł, ocierając się o nią, wcisnął zielony guzik i wysiadł z pociągu.

Kate odetchnęła, spocona ze strachu. Chłopak, pochłonięty muzyką i żuciem gumy, zagapił się i o mały włos nie przeoczył swojej stacji. Koniec horroru! Przez pozostałą część drogi do Sants dochodziła do siebie po tym wstrząsie.

Zgodnie z planem i mapą powinna kupić bilet, z którym miała dojechać bezpośrednio na lotnisko. Na stacji było niewiele osób, kilku turystów z plecakami, siedzących na ziemi i czekających na to, co przyniesie im los, oraz kilka rodzin, które postanowiły spędzić święta poza domem. Z zakupem biletu poszło szybko, obyło się bez pytań. Kate sprawdziła godzinę na ogromnej tablicy z odjazdami i przyjazdami pociągów. Bez trudu odnalazła swój, pierwszy do stacji końcowej na lotnisku El Prat. Peron czwarty, odjazd punktualnie o ósmej. Wołała zaczekać, siedząc na ławce na peronie, niż chodzić po nieciekawym dworcu, gdzie było niewiele sklepów i brakowało atrakcji. Żadnego porównania z nowojorskim Grand Central Terminal, jednym z jej ulubionych miejsc. Uwielbiała jego majestatyczność, lubiła się przyglądać szkieletowi i wnętrzom tego niesamowitego budynku. Joana powiedziała, że to największa stacja kolejowa w Barcelonie, jednak jej wydała się drugiej albo nawet trzeciej kategorii. Nie mogła uwierzyć, że nie ma tu bezpłatnego internetu bezprzewodowego ani uniwersalnych ładowarek do telefonów komórkowych; jedynie dwa sklepy z odzieżą, cztery restauracje, mała księgarnia, sklep z pamiątkami i jakimiś przekąskami. To ma być dworzec główny? Obserwując to miejsce, zaczynała rozumieć, dlaczego Nowy Jork jest uważany za jedno z największych i najfajniejszych miast świata. Siedząc na ławce i zjadając chipsy o smaku szynki, które wcisnęła jej Joana jako część prowiantu, poczuła się dziwnie dumna z tego, że jest Amerykanką, a dokładniej obywatelką Stanów Zjednoczonych Ameryki. Pierwszy raz doceniła patriotyzm i ta myśl ją przeraziła. Gdyby urodziła się w latach sześćdziesiątych, brałaby udział w manifestacjach antywojennych, przywiązałaby się półnaga łańcuchem do drzewa, apelując o zakończenie wojny w Wietnamie. Uwielbiała lata sześćdziesiąte! Swoboda seksualna i wolność myśli. Jedną z rzeczy, których nie znosiła u ojca, było jego poczucie wyższości, ta ślepotą, która kazała mu

sądzić, że jest ponad wszystkimi. Zawsze uważała patriotyzm za sposób na reafirmację, by przeciętniacy mogli poczuć się częścią grupy i uznać, że są kimś. Jeśli już miałyby być patriotką, to takie uczucia żywiła do swoich Gotham. Wiedziała, że one nigdy nie zmuszą jej do brania udziału w wojnie ani do umierania za drużynę. A jednak teraz była w stanie zrozumieć, co mogą spowodować samotność i oddalenie od domu. Nigdy nie sądziła, że kiedyś poczuje się Amerykanką. Uśmiechnęła się do własnych myśli i dalej jadła chipsy, obserwując napływających pasażerów, którzy jak ona czekali na pociąg.

Dojazd na lotnisko okazał się znacznie prostszy, niż to sobie wyobrażała. Teraz musiała już tylko zaczekać na samolot – około piętnastu godzin. Miała trochę euro, żeby jakoś zająć ten czas. Nie było tego dużo, ale wystarczało, żeby zjeść sporego hamburgera z dietetyczną colą i frytkami.

Znajdowała się w terminalu A, obsługującym loty międzynarodowe. Postanowiła zbadać teren, zanim napełni żołądek. Miała przed sobą wiele godzin czekania, a mało do roboty. Spacerowała, jakby oglądała sklepy, powłócząc nogami, z rękoma w kieszeniach, zatrzymywała się przy każdej wystawie. Oczywiście najciekawsze było w środku, ale pozostało jej jeszcze dużo czasu do odprawy. Nie chciała wzbudzać podejrzeń – nikt albo prawie nikt nie przyjeżdża na lotnisko piętnaście godzin przed wylotem. Była nieletnia, musiała zachować ostrożność. Joana poradziła jej, żeby zrobiła sobie makijaż w toalecie, bo wyglądając na trochę starszą, nie będzie zwracać na siebie tak bardzo uwagi. Dała Kate torebkę z tanimi kosmetykami – różem i szminką – na wypadek gdyby chciała ściśle trzymać się jej planu. Joana zrobiła z jej ucieczki doskonały scenariusz filmowy; była przekonana, że pominięcie choćby jednego kroku uniemożliwi Amerykance wyjazd z Hiszpanii.

Postępując zgodnie z planem przyjaciółki, Kate weszła do najbliższej toalety i zaczęła przygotowania do przemiany w pełnoletnią dziewczynę. Spojrzała w lustro i ściągnawszy lekko brwi, łagodnym uśmiechem wyraziła aprobatę dla własnej osoby. Miała potargane włosy i własny styl: szerokie spodnie, T-shirt za duży o dwa numery, bluzę z kapturem i pomarańczowym suwakiem oraz różowe conversy z naszywkami z brązowej skóry. Podobała się sobie! Nie była jednak przekonana, czy pomysł z malowaniem jest dobry. Nigdy tego nie robiła, niektóre z jej koleżanek owszem, ale ona nie miała zbyt dużego zaufania do swoich zdolności i nie sądziła, że wyjdzie jej za pierwszym razem. Zauważyła, że przed lustrem obok jakaś dwudziestopięciolatka poprawia sobie makijaż. Popatrzyła na jej plastikową torebkę, w której było pudełeczko z pudrem w kremie, małą gąbeczką i wbudowanym lusterkim, szminka oraz róż. Kolejność użycia kosmetyków wydała jej się oczywista, ale technika już nie. Wzięła do ręki gąbkę i pomyślała, że to powinno być równie łatwe, jak malowanie akwarelą. Musi się skoncentrować na swojej twarzy i umalować ją równomiernie, jak robiła to dziewczyna, która stała obok niej w łazience, i jak widziała na dziesiątkach filmów. To nie mogło być takie trudne. Kolejny krok to róż: dwa lub trzy ruchy pędzelkiem po kościach policzkowych i policzkach... No i usta. Przysunęła się do lustra, żeby trafić i nie wyjechać poza linię. To było jak kolorowanie obrazków, ale trudniejsze. Wysła za daleko! Jak się wytrzeć, żeby nie wyglądać na ćpunkę? Próbowała trzy albo cztery razy, ale tylko pogorszyła efekt: przypominała szopa oblanego farbą. Wyglądała strasznie! Jak to zmienić? Dziewczyna obok przyglądała się z rozbawieniem całej scenie. Widząc, że Kate ma problemy z pomalowaniem ust, nie mogła się powstrzymać od uśmiechu. Amerykanka, chociaż wyglądała zabawnie, była zakłopotana, bo nie wiedziała, jak poprawić makijaż, nie pogarszając sytuacji. Ich spojrzenia się spotkały, Kate skorzystała z okazji i poprosiła dziewczynę wzrokiem, żeby się nad nią zmiłowała, a ta bez namysłu podeszła bliżej.

– Mam ci pomóc?

Kate opuściła ręce, a w jej oczach odmalowało się błaganie. Pozwoliła dziewczynie na wszystko, wierząc, że i tak nie będzie gorzej, niż jest. Odpowiadała twierdząco na każde pytanie zaczynające się od „chcesz trochę...?”. Wszystkie sugestie wołała skwitować krótkim „tak” niż pytać „a co to jest?”. Było jej trochę wstyd, nigdy wcześniej nie malowała twarzy, więc czuła się całkowicie bezbronna. Dziewczyna potraktowała ją bardzo taktownie, zapytała tylko o imię, a po pięciu minutach zwyczajnym „gotowa!” zasygnalizowała, że makijaż jest skończony.

Gotowa, żeby zobaczyć się w lustrze? Kate nie miała pewności, czy chce to zrobić, czy też woli wybiec bez patrzenia na siebie i przejść do następnego punktu planu: jedzenia! Była przekonana, że widok ją przerazi. Jersey malowała sobie paznokcie i usta na różowo, ale Kate zawsze odrzucała propozycje przyjaciółki, że zrobi jej to samo. Wołała ludzi w ich naturalnej postaci; makijaż czynił ich pospolitymi, a nie wyrafinowanymi. Nie lubiła, kiedy matka się malowała. Bardziej podobała się jej, kiedy wychodziła spod prysznic; Kate zawsze mówiła, że Gala jest dużo ładniejsza bez tych wszystkich kosmetyków. Takie rozmowy na ogół kończyły się słowami: „Kiedy będziesz starsza... zmienisz zdanie!” Dlaczego kobiety się malują, a mężczyźni nie? Matka tłumaczyła jej to setki razy, ale ona nie dała się przekonać. „Kiedy będziesz starsza... zmienisz zdanie!”

I oto stała przed lustrem w publicznej toalecie na lotnisku, pierwszy raz doświadczając, jakie to uczucie być umalowaną. Podziękowawszy swojej wybawicielce za benedyktyńską pracę, pogładziła skórę, żeby poczuć pod palcami warstwę kremu, który wszystko maskuje. Jej pryszczki! Jakimś cudem zniknęły! Oczy wydawały się dużo bardziej okrągłe... Przynęła się do lustra, trochę zdezorientowana, szukając swojego poprzedniego „ja”, a nie maski, którą miała na twarzy. Po dłuższych oględzinach doszła do wniosku, że makijaż nie pasuje do jej ubioru. Chyba nie bez powodu nie istnieją Barbie w stylu grunge czy raperskim. Nie miała gwarancji, że z takim wyglądem nie zwróci na siebie większej uwagi. Czuła się, jakby utraciła harmonię, jakby ktoś nagle skierował na nią włączony reflektor. Nie podobała się sobie, to była nie ona, tylko jakieś nowe „ja”, które odebrało jej pewność siebie. Czy powinna inaczej się ruszać, patrzeć, zachowywać? Zerknęła, sprawdzając, czy kobiety wchodzące do środka zwracają na nią uwagę. Zrobiły to tylko dwie, ale spojrzały na nią jak na dłubiące w nosie dziecko. Świadomość, że reszta całkowicie ją zignorowała, na tyle przywróciła jej pewność siebie, że mogła opuścić toaletę i dalej realizować swój plan.

Ledwo wyszła, a już rozdzwoniła się komórka. Czyżby wreszcie trafiła na bezpłatną strefę WiFi? Wyjęła telefon z plecaka i stwierdziła, że ma ponad dwadzieścia wiadomości na WhatsAppie. Nie wiedziała, czy powinna je przeczytać, kontakt ze światem mógł wszystko zepsuć. Joana nic jej o tym nie mówiła i to właśnie ona zapchała telefon wiadomościami. Po co tyle do niej pisała?

Hej, co u ciebie? Dojechałaś do Sants?

Jesteś na lotnisku?

Wszystko w porządku?

Smakowały ci chipsy szynkowe?

Umalowałaś się? Wyślij zdjęcie, please!!!

Joana łamała zasady, nie powinna była do niej pisać ani w ogóle się z nią kontaktować. Tak przynajmniej mówią w filmach, kiedy ktoś chce zniknąć bez śladu. Przyjaciółka nie mogła się jednak powstrzymać, żeby nie pytać co chwilę o jej miejsce pobytu. Kate zastanawiała się, czy ma odpowiedzieć, kiedy zobaczyła ostatnią wiadomość, która dosłownie zwała ją z nóg.

Kate, nie będziesz mogła wejść do samolotu!!!!

Nie masz pozwolenia, żeby lecieć sama... Nie wpadłam na to, wiesz?

Tu już pytają o ciebie...

Wracaj!

Wszystko w porządku?

Zamknęła WhatsAppa, nie przyjmując do wiadomości, że źle sobie to wykalkulowały, że zrobiły głupstwo, że nie pomyślały o najważniejszym szczególe: była nieletnia, a nieletni nie podróżują ani nie wyjeżdżają z kraju bez zgody rodziców. Już miała zadzwonić do ojca, ale przerwała połączenie, zanim usłyszała sygnał. Wiedziała, że choć prawie zawsze może liczyć na jego poparcie, w tym przypadku zmusi ją do powrotu do matki.

Nie chciała rezygnować przy pierwszej przeszkodzie. Musiała się napić coli dietetycznej i usiąść, żeby pomyśleć. Była pewna, że jest jakiś sposób, aby wsiąść do samolotu, i że potrafi go znaleźć. „Dlaczego w lotniskowych kawiarniach jest tak mało stołów?” Nie znalazła wolnego stolika, ale zauważyła wolne krzesła; jako typowa mieszkanka Nowego Jorku uważała za naturalne, że dosiada się do kogoś obcego. Wolą, żeby to była kobieta; zdecydowała się na panią o smutnej twarzy, w wieku jej matki. Nie wyglądała na spragnioną rozmowy. „Doskonała towarzyszka!”

– Mogę?

Kobieta oderwała wzrok od ekranu telefonu komórkowego, zmierzyla ją wzrokiem i bez słowa kiwnęła głową. Kate nie przeszkadzały okazana przez nią niechęć ani perspektywa spędzenia ponad kwadransa w milczeniu. Normalka! Dzielenie stołu nie oznacza, że trzeba rozmawiać – przynajmniej ona tak uważała, chociaż nie wszyscy postępowali zgodnie z tym kodeksem. Ta kobieta była jedną z nich. Kiedy odłożyła komórkę, zaczęła się badawczo przypatrywać dziewczynce, sącząc coś, co wyglądało na... dżin z tonikiem? Kate nie znała się na drinkach, ale na filmach owszem, a cytryna i biały płyn wskazywały, że może chodzić o dżin z tonikiem. Kobieta przyglądała się swojej sąsiadce przez dłuższą chwilę, czekając, aż uniesie głowę albo spojrzy jej prosto w oczy. Tyle że Kate nie nosiła się z takim zamiarem, bo NIE miała najmniejszej ochoty na rozmowę. Dalej unikała jej wzroku, choć nie na wiele się to zdało.

– Podróżujesz sama?

– Tak.

Postarała się, żeby zabrzmiało to możliwie najbardziej niemile, chciała od razu uciąć rozmowę, ale ta pierwsza próba nie przyniosła efektu.

– To tak jak ja... Hmm... Daleko lecisz?

– Do Nowego Jorku.

Skrzyżowała ręce na piersi na znak „nie mam ochoty z tobą rozmawiać” i odwróciła wzrok, dając do zrozumienia: „jesteś strasznie męcząca!”, ale kobieta o smutnych oczach już ją wzięła na cel. Kate zaryzykowała. To było tak jak z dzieleniem taksówki – możesz źle wyjść, dosiadając się do kogoś. Co jakiś czas trafiasz na nudziarza, który ignoruje twoje znaki i wbrew twojej woli wciąga cię do rozmowy.

– Nie boisz się podróżować sama? Odważna jesteś! Ja to robię pierwszy raz.

Nie chciała być przesłuchiwana przez obcą osobę, ale nie wymyśliła alternatywnego planu na spędzenie czasu do chwili, aż wpadnie na pomysł, jak wsiąść do samolotu. Miała przed sobą wiele godzin czekania, nie chciała wracać do La Mugi. Uznała, że w jej sytuacji nie zaszkodzi towarzystwo wariatki, która wygląda, jakby sama uciekła z domu.

Pierwszy raz przyjrzała się kobiecie dokładnie, próbując odgadnąć, jakie prowadzi życie. Lubiła takie obserwacje; Gotham mówiły, że ma dar rozszyfrowywania nieznanomych. Ta smutna kobieta, która nigdy jeszcze nie podróżowała sama i piła, żeby zapomnieć, była dla Kate bardzo czytelnym obiektem. „Albo ją ktoś porzucił, albo jej ktoś umarł, albo popełniła jakieś przestępstwo. Ot i cała historia!” Dokonawszy w myślach tej analizy, zaczęła zadawać nieznanym pytaniom, żeby potwierdzić słuszność swojej oceny.



– Ja wracam do domu, a ty?

– Ja... wyjeżdżam jak najdalej stąd. Albo raczej do miejsca, które pierwsze przyszło mi do głowy. Wszystko jedno! Tak naprawdę nie wiem, dlaczego wyjeżdżam. Jeśli mam być szczerą, to chyba uciekam.

Ucieka? Ta kobieta musiała czytać jej w myślach. Jej myślach! Nieprawdopodobny zbieg okoliczności. Ona też podróżuje sama i jak tamta ucieka, ale od czego? W jej przypadku odpowiedź była jasna: od wstrętnej matki, ale...

– Przed czym ucieka dorosły?

Pierwszy raz zobaczyła, jak nieznajoma się uśmiecha; z twarzą rozjaśnioną na kilka sekund była zupełnie inną kobietą. Pytanie rozbawiło ją na tyle, że zapomniała o swoim nieszczęściu i wypłała za Kate, a może za jej pytanie. Nie odrywając wzroku od szklanki, odpowiedziała, że dorośli mają więcej powodów niż dzieci, żeby uciec, ale nie zawsze sobie na to pozwalają.

– Kiedy jesteś dorosła, pewnego dnia zdajesz sobie sprawę, że... po prostu zostałeś oszukana! Albo co gorsze... sama się oszukiwałaś! Rozumiesz?

Kate nie bardzo rozumiała, ale słuchała uważnie, bo pierwszy raz kobieta w wieku jej matki rozmawiała z nią nie jak z małą dziewczynką, lecz jak z dorosłą osobą. Nie wiedziała, że nieznajoma rozmawia nie tyle z nią, ile ze sobą, w bezsensownym monologu wewnętrznym o tym, po co przyszliśmy na ten świat i czy było warto. Nie zdawała sobie sprawy, że gdyby przysiadła się do niej wcześniej, kobieta kazałaby jej się wynosić, a przy okazji zamówiłaby u kelnera kolejny dzin z tonikiem. Nie miała pojęcia, że nieznajoma nawet nie pamięta, jak się nazywa. Kate nic o niej nie wiedziała, ale słuchała tego, co mówi, cały czas czując wibrującą komórkę. Korzystając z tego, że kobieta przerwała, aby pociągnąć łyk napoju, wyciągnęła telefon z kieszeni i znalazła kilkanaście wiadomości od Joany i... swojej matki! Nieznajoma mówiła dalej, ona jednak straciła wątek, skamieniała na widok nagrania od Gali. Zanim je odsłuchiwała, pomodliła się, żeby Joana nie wyznała wszystkiego i nie zerwała umowy.

– *Kate, where are you?! Where the hell are you?!*[39]

W końcu zdołała sprawić, że matka znów odezwała się do niej po angielsku, ale cała reszta to były bardzo złe wieści. Zaczęto jej szukać; nie sądziła, żeby Joana zbyt długo utrzymała język za zębami. Kobieta naprzeciwno nadal mówiła, nawet nie zdając sobie sprawy, że od dłuższego czasu Kate jej nie słucha. Dziewczynka nienawidziła, kiedy dorośli się rozgadywali i zapominali o innych. Wiedziała, że lepiej wtedy pozwolić im skończyć i nie przerywać. Postanowiła skupić się na sobie i pomyśleć, jak wybrnąć z nieudanej próby ucieczki. Najmądrzej byłoby znaleźć bezpieczne wyjście z tej sytuacji, zastanowić się, jak uniknąć kary z gatunku tych, które zaliczała do „trwających w nieskończoność”.

– No dobrze... Lepiej, żebym już przeszła przez kontrolę, bo jeszcze się rozmyślę... Idziesz?

Kate bardzo by chciała, ale na tym właśnie polegał jej problem: jak przejść przez kontrolę bez zezwolenia? Była wściekła, bo wiedziała, że musi dać za wygraną i zrezygnować z ucieczki.

– Wszystko w porządku?

– Ja też uciekłam.

Wymknęło jej się to, nie chciała tego powiedzieć, jednak słowa same cisnęły się na usta, nie mogła ich powstrzymać. Kobieta usiadła z powrotem na krześle, zdumiona wyznaniem. Próbowała zachować się jak ktoś, kim była: jak matka.

– Ile masz lat?

– Trzynaście.

– Uciekłaś z domu?

– Niezupełnie.

Kate postanowiła powiedzieć nieznajomej całą prawdę. Wszystko było stracone, musiała zwierzyć się komuś, zanim zadzwoni do matki i wysłucha litanii zarzutów. Jej telefon wibrował nieprzerwanie, ale potrzebowała czasu, zanim da znak życia.

– Jak masz na imię?

– Kate.

Obie milczały. Kate była wściekła, a jednocześnie czuła wstyd z powodu tego, co zrobiła. Wiedziała, że matka, ojciec i siostra będą się o nią martwić, jednak w głębi duszy miała to w nosie, skoro ich nie obchodziło jej szczęście. Musiała wrócić do Nowego Jorku, żeby wziąć udział w eliminacjach, i zapomnieć o przekłętym spadku matki. Chciała sama decydować o swoim życiu, nie mogła się pogodzić, że robią to za nią inni.

I ona, i syn tej kobiety byli nastolatkami obrażonymi na świat, którym nikt nie wytłumaczył, że nic nie trwa wiecznie i nie zawsze jest się panem własnego losu. Nikt im nie powiedział, że czasem życie przybiera zupełnie inny obrót i nie jesteśmy w stanie nad tym zapanować, że zamiast się buntować, należy to zaakceptować i cieszyć się tym, co nadejdzie. Kobieta doskonale rozumiała, co się dzieje z Kate, dlatego uszanowała jej milczenie, dała czas, żeby podniosła komórkę, zadzwoniła do matki i powiedziała prawdę. Z całą miłością, jaką z siebie wykrzesala, wyjaśniła dziewczynce, że dorośli bardzo się starają, ale bycie dorosłym jest tak samo skomplikowane jak bycie dzieckiem. Kate słuchała, nie podnosząc wzroku znad pustego kubka po coli. Kobieta opowiedziała jej, że też jest matką, ma dorastającego syna, Yago, który kilka miesięcy temu postanowił, że nie będzie się do niej odzywał.

– Nie zrozumiesz, jak bardzo boli, kiedy dziecko przestaje z tobą rozmawiać...

Kate spojrzała na kobietę i zobaczyła, że ona płacze. Odsłoniła część swojej tajemnicy, powód, dla którego wyjeżdża tak daleko, pierwszy raz sama. Obie znów patrzyły na siebie w milczeniu, ale tym razem serdecznie, jak dwie nieznajome, które wysłuchały swoich zwierzeń. Kobieta spojrzała na zegar, wiedziała, że musi już iść, zbliżała się godzina odprawy. Kate zerknęła na komórkę trzydzieści siedem wiadomości na WhatsAppie. Postanowiła ich nie otwierać, tylko od razu zadzwonić do matki. Dawno już nie czuła tak wielkiej potrzeby usłyszenia jej głosu. Była jeszcze małą dziewczynką. Przeraziła ją myśl, że któregoś dnia jej matka tak jak ta kobieta wyjedzie daleko od niej i zniknie na zawsze. Sygnały w słuchawce rozlegały się w rytmie bicia jej serca, czasu starczyło na zaledwie dwa uderzenia...

– *Mooom...?*

– *Kate... I'm coming, please don't move, ok? Don't move!*[40]

Kobieta odwróciła się, żeby popatrzeć na Kate raz jeszcze, żeby z daleka zobaczyć pojednanie matki z córką; żeby pomarzyć, wyobrazić sobie, że po powrocie zdarzy jej się to samo. Zobaczyła, że dziewczynka ociera łzy i jednocześnie się śmieje. Miłość matki do córki i córki do matki potrafi sprawić coś takiego, a nawet o wiele więcej. Kobietę czekało jeszcze międzylądowanie na lotnisku Barajas, zanim wsiądzie do samolotu na Bali. Będzie miała czas, żeby zapomnieć o całym tym wariactwie. Stojąc u stóp ruchomych schodów, spojrzała na dziewczynkę ostatni raz i w podziękowaniu za spotkanie przesłała jej najpiękniejszy uśmiech, na jaki w jej sytuacji mogła się zdobyć. Minąwszy punkt kontrolny, zdała sobie sprawę, że w czasie prawie dwugodzinnej rozmowy nie powiedziała jej nawet, jak ma na imię. Zatrzymała się raptownie i wymówiła je szeptem, zanim zniknęła w tłumie.

– Alex. Nazywam się Alex.

## VI

Wrócić do domu, w którym przyszedłam na świat, i poczuć się jak córka marnotrawna... Chciałabym! Ale kiedy babcia otworzyła mi drzwi, odwróciła się ode mnie i bez słowa weszła na górę. W ciągu tych lat wyschła, wyrósł jej garb, chodziła wolniej, zachowała jednak to samo ogniste spojrzenie.

Pierwszą noc spędziłam, siedząc w fotelu z uszami – nie miałam odwagi wejść dalej. Czułam się obco w czterech ścianach, które były świadkami moich narodzin. Nikt mnie nie zaprosił, nie wiedziałam, czy jest jakiś wolny pokój, a było za późno, żeby pytać czy przeszukiwać dom. Nie mogłam zasnąć, z trudem koncentrowałam się na uspokojeniu serca bijącego jak szalone, straszliwie podekscytowanego tym, że mój syn jest znowu ze mną, wyobrażaniem sobie, że śpi kilka metrów dalej, potrzebą przytulenia go, spojrzenia mu w oczy, poczucia jego zapachu, obsypania go pocałunkami.

Wszyscy się zmieniliśmy. Minęło zbyt dużo czasu, od kiedy widziałam go ostatni raz przed wyjazdem na targi antyków, zanim wydarto go z mojego życia. Z zamkniętymi oczami próbowałam wyobrazić sobie tego małego mężczyznę. Skończył trzynaście lat, na pewno był już wyrosniętym chłopcem. Tamtej bezsennej nocy dokonałam przeglądu swojego życia, zatrzymałam zegar i spoglądałam za siebie. Oplakiwałam siostrę; do tamtego momentu nawet nie miałam czasu na łzy i ból po jej stracie. Nie przyszło mi to łatwo: nadal nie opuszczało mnie poczucie, że zostałam przez nią zdradzona, bo zabrała Romana daleko ode mnie. Nie potrafiłam jej wybaczyć i przez cały ten czas nie chciałam tego zrobić, ale tamtej nocy, w tym fotelu, pogodzona z jej nieobecnością na wieki, pozwoliłam sobie pogrzebać w jej życiu: poświęcenie dla miłości, kłamstwo, które pociągnęło ją ku katastrofie. Była za młoda, żeby przestać żyć... Czy zaznała szczęścia przez te lata? Mogła być z Damià, ale wychowanie Romana okazało się niełatwe; była matką więźniarką, strażniczką tajemnicy; jeśli ta zostałaby ujawniona, prysnąłby cały czar, odsłaniając jej fałszywe życie, z konieczności budowane na fundamencie z kłamstw. Siedziałam w fotelu z uszami i dziękowałam jej za trud, prosiłam, cicho łkając, aby mi wybaczyła, że zakochałam się w nacjonalistcie, że nieświadoma zagrożenia zaszłam w ciążę w wieku zaledwie piętnastu lat, że nie znalazłam w sobie odwagi, aby stawić czoło okolicznościom, wziąć na siebie odpowiedzialność i zmierzyć się z odrzuceniem przez rodzinę i całą wieś. Poprosiłam Martę, żeby się za mnie modliła, żeby pozwoliła mi powiedzieć Romanowi prawdę, bo musiałam zdławić kłamstwo splamione tragedią, zanim wyrządzi więcej szkód.

Tamtej nocy postanowiłam, że nadeszła pora, aby zmierzyć się z przeznaczeniem i odkryć przed Romanem moją prawdziwą tożsamość. Babcia była już stara, ja powinnam teraz przejąć ster władzy w rodzinie. Z czego będę żyć? Ogarnął mnie strach, że nie podołam, że nie będę potrafiła być podporą. Nie mieliśmy ziemi, jedyną naszą własnością był ten dom i szopa, na pół zrujnowana przez wojnę i dziesięciolecia zaniedbań. W ciągu lat, które spędziłam we Francji, obracałam się w świecie antyków, nauczyłam wyławiać ze stosów śmieci prawdziwe klejnoty. Antoine był szczodry, otworzył przede mną swój sezam Ali Baby, żebym mogła wykorzystać jego wiedzę i zostać jego uczennicą. Tak też się stało. Wprowadził mnie do towarzystwa, poznałam największych inwestorów z branży sztuki, najlepszych konserwatorów, doborowych kupców antyków i wszystkie rynki, na których można było znaleźć nieoszlifowane diamenty, bezcenne okazy. Nauczył mnie szanować upływ czasu, cieszyć się tym, co stare, cenić doświadczenie i znajomość rzemiosła. Podróżowałam z nim do Londynu, objechaliśmy Włochy, zakochałam się we Florencji. Nie zobaczyłam już nigdy więcej tego miasta muzeum, jego

pięknych marmurów i rzeźb. Tamtej nocy marzyłam jednak, że tam wrócę, że pokażę je kiedyś synowi. Gdy dziś o tym myślę, boli mnie, że nigdy go nie poznał, a teraz, kiedy Romana już nie ma, jego brak napędza mnie takim cierpieniem, że mogłabym tam nie wracać, zapomnieć o Florencji, w ogóle nigdzie nie jeździć, mogłabym nawet oddychać jedynie tyle, ile konieczne, żeby tylko przywrócić życie istocie, którą najbardziej ukochałam, a którą najmniej się nacieszyłam: mojemu synowi.

Nie mogę się pogodzić z tym, że straciłam go na zawsze. Traciłam go tyle razy: przez babcię, siostrę, potem przez Twoją matkę i przez miłość, że teraz z trudem dociera do mnie, że śmierć mi go zabrała i nigdy już nie odda. Ciągłe po nim płaczę i wściekam się, że nie powiedziałam mu prawdy, na którą tak bardzo zasługiwał. Wiem, że złość jest złym doradcą, że zżera człowieka, na razie jednak nie potrafię jej przełknąć. Nie przetrzymałam jeszcze ani jego śmierci, ani wszystkich decyzji, które podjęłam dla jego dobra, dla siebie i innych. Nigdy się nie dowiem, czy wtedy po powrocie nie popełniłam błędu, nie robiąc tego, co obiecałam sobie tamtej bezsennej nocy: skończyć z fikcją, przestać udawać i zacząć żyć. Ale los znowu przyparł mnie do ściany, a ja mu ustąpiłam.

Román był jeszcze dzieciakiem, któremu właśnie zaczął się sypać wąs. Chłopcem poranionym, obrażonym na świat, bo ten zabrał mu tych, których najbardziej kochał: rodziców. Do bólu po stracie dochodził fakt, że za jednym zamachem odebrano mu także jego dotychczasowe życie, kolegów, miejsce, w którym chciał nadal mieszkać. Musiał wrócić do La Mugi, niepytany o zdanie. Román, którego wtedy zobaczyłam, był innym Romanem: uciekał przede mną, patrzył na mnie ze wściekłością, odrzucał moje towarzystwo. Długo nie mogłam zrozumieć tej złości do mnie, myślałam, że to naturalny efekt cierpienia po niesprawiedliwej stracie. Częściowo tak właśnie było, ale bolało go również to, że wrócił do miejsca, które musiał porzucić, i które – tak uważał – porzuciło jego. Czy ośmioletnie dziecko może zrozumieć, dlaczego jego wspaniała ciotka nagle przestała się do niego odzywać, odwiedzać go, a nawet dzwonić w dniu urodzin? Wymyślono kolejne kłamstwo, żeby usprawiedliwić moje niespodziewane zniknięcie. „Romanie, ciocia Amelia wyjechała do Francji i nie ma od niej żadnych wiadomości”. Wtedy pierwszy raz w życiu poczuł, że został porzucony. Przeze mnie! Życie znowu ze mnie zakpiło, pokazując pazury – nie miałam odwagi, żeby mu odpowiedzieć. W rezultacie historia Romana i moja to dzieje porzucenia. Co za różnica, czy doszło do niego po urodzeniu, czy gdy miał osiem lat? W jego oczach zobaczyłam wściekłość, cierpienie wywołane opuszczeniem przez kogoś, kogo kochał, kogo uwielbiał. Widziałam w jego oczach, że prawda może tylko wznieść między nami niezniszczalny mur, więc znowu ją przemilczałam. Nie chciałam żyć z dala od jego miłości. Liczyłam na to, że z czasem przebaczy ciotce, która go opuściła, żeby pojechać do Francji za swoim ukochanym, ale nigdy nie wybaczyłby matce, która nawet go nie przytuliła po wydaniu na świat.

Nauczyłam się być matką przebraną za ciotkę i stopniowo zdobywałam jego miłość i zaufanie. Wspominam te lata jako trudne, nie byłam przygotowana na to, żeby się kimkolwiek opiekować, kogokolwiek wychowywać, a tym bardziej walczyć z poranionym nastolatkiem. Dorastanie jest bezustanną walką, okresem, w którym twoim życiem rządzą energia, porywy, brak umiaru i żywiołowość, a inni znoszą to, jak potrafią. Miałam zaledwie dwadzieścia osiem lat, żadnego doświadczenia w prowadzeniu domu i kierowaniu dzieckiem, które przekształca się w młodzieńca. To był jeden z najtrudniejszych momentów mojego życia, bo musiałam też znaleźć sobie jakieś zajęcie, pracę, posadę, która dałaby rodzinie pieniądze, utrzymanie. Brugatowie zaproponowali mi pracę na polu. Tragedia poruszyła La Muge, wszyscy w miarę możliwości się o nas troszczyli. Babcia wzięła na siebie dom, a ja zarabiałam pieniądze, grzebiąc rękami w ziemi. Jedyny mężczyzna, Román, wdawał się w szkole w bójki, zbierał siniaki, ale

w miarę upływu czasu dochodził do siebie. Musiałam przestać być rolniczką, musiałam mierzyć wyżej, jeśli chciałam zapewnić synowi lepszą przyszłość. Nocami zastanawiałam się po ciemku, w którą stronę pójść, myślałam nawet o opuszczeniu La Mugi, ale wywiezienie stąd babci byłoby jak wskazanie jej drogi ku śmierci. Porzuciłam pomysł wyjazdu dla pieniędzy, postanowiłam schować dumę do kieszeni i zadzwonić do Antoine'a. Zaoferowałam mu swoją szopę, swój niewielki kawałek ziemi, na założenie warsztatu, w którym by składano i naprawiano wynajdowane przez niego klejnoty. W Hiszpanii siła robocza kosztowała wtedy grosze, więc zyski mogły być większe. Antoine potrzebował dwóch tygodni na udzielenie mi odpowiedzi, dla mnie były to dwa tygodnie pełne udręki i bezsennych nocy. Czekałam cierpliwie, bo wiedziałam, że to moja szansa. Przyjął ofertę. Był w końcu przede wszystkim handlowcem, dopiero w drugiej kolejności kochankiem, propozycja zaś wyglądała kusząco. Perpignan i La Mugę dzieli zaledwie dwadzieścia kilometrów. Leżą w dwóch różnych państwach, założenie interesów w obu oznaczało szerszą wizję i zostanie pionierem w Hiszpanii, kraju, który tamtego roku przestał być izolowany w Europie i został członkiem ONZ. Antoine zaakceptował propozycję, bo lepiej niż ja dostrzegał możliwości, jakie dawał ten układ. Był liberałem i kobieciarzem, znacznie starszym ode mnie, który zaraz po skończeniu dwudziestu lat i odziedziczeniu rodzinnego biznesu postanowił korzystać z życia, ale przy okazji zbić majątek.

Dzięki cierpliwej wielogodzinnej pracy i pomocy kilku osób ze wsi zdołałam doprowadzić do porządku szopę i zamienić ją w warsztat naprawy mebli. Kiedy Antoine przyjeżdżał, spał w szopie, nigdy nie wszedł do domu. On nie chciał, ja tak, ale babcia się na to nie zgodziła. Po wsi krążyły plotki na nasz temat. Zdaniem księdza, tego samego, który udzielił ślubu mojej siostrze i Damià, żyłam w grzechu. Ja sama już dawno zrezygnowałam z wejścia do królestwa niebieskiego, oddawszy się innym królestwom: ziemi i zwykłych ludzi. Antoine po raz kolejny pomógł mi wydostać się z dołka. Nie byłam jego jedyną kobietą, nigdy go zresztą o to nie prosiłam... W rzeczywistości nie kochałam go na tyle mocno, żeby pragnąć go mieć na wyłączność. Mojej przyjaciółce Naldzie nie przypadł do gustu, ale ciągle mnie pytała, czy wszyscy Francuzi tak otwarcie mówią o seksie jak Antoine. Nalda była antyfrankistką, jak prawie wszyscy tutaj, ale również... frankofilką.

Babcia urwała nagle zapiski, zostawiając w zeszycie kilka czystych stron. Między kartkami Gala znalazła małe zdjęcie Amelii i Romana, stojących w drzwiach domu. Wyteżyła wzrok, wpatrując się w ojca, który musiał być wtedy w wieku Kate. Mieli na sobie odświętne ubrania. „Dokąd się wybierali?” Gala wątpiła, żeby chodziło o pójście na mszę, bo babcia właśnie sama przyznała, że nie była zbyt pobożna. Román miał na sobie wyglansowane buty, ale piłka, którą trzymał pod pachą, zapowiadała, że wkrótce się zakurzą. Po szczegółowych oględzinach ojca, Gala skupiła się na babci. Zaparło jej dech w piersiach, kiedy ponownie stwierdziła, że jest do niej niewiarygodnie podobna. Były jak dwie krople wody, jak ta sama osoba w dwóch różnych epokach. Po jej ciele przebiegł dreszcz. Nigdy wcześniej nie doznała równie dziwnego uczucia rozdwojenia, jak to, które ogarnęło ją na widok tego niezwykle podobieństwa. Amelia stała się jej nagle jeszcze bliższa. Nawet nie знаła tej kobiety, mimo to zaczynała ją coraz lepiej rozumieć. Miała ochotę wejść na strych i przejrzeć inne fotografie, żeby zobaczyć na nich siebie, babcię, odkryć coś więcej niż tylko fizyczne podobieństwo, może jakieś wspólne gesty. Pomyślała o swojej matce i o udręce, jaką musiało być dorastanie własnej córki, przemieniającej się w kobietę, którą odtrąciła i przedwcześnie pogrzebała. Chociaż nie było to żadne usprawiedliwienie, może stąd właśnie wzięła się niemożność nawiązania bliskiej więzi, naturalnej komitywy między matką a córką. Niezwykle podobieństwo fizyczne Gali do babki mogło się stać dla Julianne nie do zniesienia i zrodzić w niej niechęć do własnej córki. W Gali z kolei to odkrycie wywołało przeciwną reakcję: z dnia na dzień czuła, że babcia coraz bardziej ją

interesuje, że gdzieś w podświadomości jest z nią coraz bardziej związana.

Zamknęła zeszyt i odetchnęła głęboko, chcąc poczuć czystość tutejszego powietrza. Popatrzyła na kasztanowce, pozbawione kwiatów i liści, ale rozpościerające gałęzie, jakby chciały sięgnąć nieba. Potęga przyrody i jej widoczny spokój sprawiły, że upajała się wewnętrzną harmonią, której nigdy nie odczuwała w tak świadomy sposób. Ponownie skoncentrowała się na oddechu, a przyjemność, jaką poczuła, wywołała na jej twarzy lekki uśmiech. Chciała zatrzymać tę magiczną chwilę, przedłużyć ją, wyciskać tak długo, aż otrzyma esencję o nowym zapachu. W środku niej coś się przemieniło, jakby jej wnętrzości chciały się rozrosnąć i niczym korzenie połączyć ją z tą ziemią. Wstała z ławki, czuła potrzebę chodzenia, stopienia się z krajobrazem, przejścia tą samą drogą, którą pokonała babcia, kiedy wróciła do syna, ale w odwrotnym kierunku. Z La Mugi do Castelló d'Empúries, zaledwie trzy i pół kilometra.

Kate, która wraz z Adele i Jowem pilnowała koni, zobaczyła, że matka oddała się sama główną ulicą wsi. Niewiele myśląc, pobiegła za nią. Od kiedy Gala przyjechała z lotniska, nie chciała rozmawiać z córką, o nic nie pytała, po prostu wrócili w milczeniu samochodem, ona, jej matka i Amat. Chociaż wydawało jej się to dziwne, Kate tęskniła za nią, chciała wszystko wyjaśnić, wytłumaczyć i jeszcze raz przeprosić za cierpienie, jakiego jej przysporzyła. Nie mogła zapomnieć zaniepokojonej twarzy matki, kiedy spotkały się na lotnisku, ciała zgiętego pod ciężarem bólu niemożliwego do udźwignięcia. Nigdy nie widziała jej tak obnażonej, tak wyraziście okazującej to, co się z nią dzieje. Gala wywodziła się z Marlboroughów, zachowanie form było dla niej najważniejsze. Ale kobieta, która przyjechała po nią na lotnisko, nie przypominała żadnej Marlborough, nie przypominała jej matki.

Gala odwróciła się, usłyszawszy za sobą kroki. Kiedy rozpoznała córkę, nawet na nią nie zaczekała, tylko kontynuowała swój samotny spacer. Zignorowała obecność Kate, która dołączyła do niej w milczeniu. Szły tak przy akompaniamencie własnych kroków, przyglądając się łąkom i polom kukurydzy po obu stronach drogi. Dzień był zimny, ale tak jasny, że przez lornetkę dałoby się zobaczyć domy wiosek rozrzuconych pośród gór. Kate szukała na twarzy matki oznak porozumienia, ale Gala była nadal pogrążona w myślach, a jej spojrzenie błędziło gdzieś po polach. Chociaż milczały i nie zamieniły ze sobą ani jednego słowa, Kate czuła bliskość matki, jakiej nigdy wcześniej nie doznała. Chciała z nią porozmawiać, mimo że nadal była wściekła z powodu konieczności spędzenia świąt z dala od domu.

Tomasa i Francisca zatrąbiły, kiedy przejeżdżały obok nich samochodem. Gala i Kate uniosły ręce na powitanie. Przez tych kilka dni przywykły do powszechnego zwyczaju witania się ze wszystkimi. Życie w wielkim mieście zmusza do zamykania drzwi i izolacji, która każe ci wierzyć, że jesteś niewidoczny dla innych. Nie zwracasz uwagi na sąsiadów z twojego domu, nie mówiąc już o tych z osiedla. W ciągu ostatniego tygodnia mieszkańcy tej i okolicznych wsi, niezależnie od tego, czy je znali, czy nie, zawsze je pozdrawiali, niektórzy nawet przystawali na chwilę, żeby porozmawiać. Ta ziemia zaczęła się do nich przyzwyczajać, budziła w nich chęć, żeby ją odkryć i lepiej poznać.

Przeszły całą trasę, nie zamieniwszy słowa. Kate była pochłonięta myślami, sprawdzała, czy ma zasięg, i usiłowała znaleźć właściwe zdanie, żeby przełamać lody. Galę z kolei ogarnęło coś w rodzaju uniesienia; starała się odtworzyć to, co czuła jej babcia, kiedy szła tą drogą. Przy każdym oddechu próbowała zarejestrować jakieś wrażenie, przyjemne albo niemiłe. Chociaż nie odezwała się do córki, wspólny spacer sprawiał, że była szczęśliwa. Spoglądała na nią ukradkiem, kątem oka. Podobał jej się ten nowo odkryty spokój.

Kate i Adele nie miały okazji porozmawiać z Galą o odkryciu, że zmarła z ciotecznej babci stała się babcią. Adele, znacznie wrażliwsza niż siostra, wolała nie grzebać w tej zabagnionej sprawie, bo czuła, że to nie będzie jedyna rewelacja. Z kolei na Kate wiadomość

wywarła duże wrażenie; od tego czasu inaczej patrzyła na Can Xatart. Ta ziemia była teraz trochę bardziej ziemią jej matki, siostry i jej samej. Odpędzała od siebie tę myśl za każdym razem, kiedy się pojawiała, z obawy, że oddali ją od jej gniazda rodzinnego, domu, Nowego Jorku.

Doszły już do Castelló d'Empúries, miasteczka sąsiadującego z La Muga, ale zatrzymały się dopiero przed imponującym kościołem o majestatycznych drzwiach wejściowych. Przystanęły, żeby przypatrzeć się budowli z pewnej odległości. Gala nigdy nie była pasjonatką architektury, teraz jednak najwyraźniej obudziło się w niej zainteresowanie wszystkim, co stare. Kate zajęła się liczeniem kostek brukowych pokrywających główny plac miasteczka. Po bokach stały domy z podcieniami, pod którymi widać było ogródki kawiarniane pełne ludzi. Nieznajomych, cieszących oczy widokami, chroniących się przed zimnem pod gazowymi piecykami ogrodowymi w kształcie parasoli. Kate rozbawił kontrast między starym a nowoczesnym. Przypominał, że kamienie tych uliczek, świadkowie pojedynków, potajemnych romansów, prześladowań i zabójstw, trwały nietknięte, wytrzymując upływ lat i nie tracąc nic ze swojego dostojeństwa. Zatęskniła nagle za siostrą. Dla Adele każdy krok po tych wąskich, prowadzących to w górę, to w dół zaułkach, typowych dla średniowiecza, i opowieści o księżętach, księżniczkach i zabijakach w rodzaju d'Artagnana na pewno byłby okazją do ułożenia własnej bajki. Rozmyślania o siostrze przerwała jej matka, która niespodziewanie chwyciła ją za rękę i ścisnęła z całej siły, nie odrywając wzroku od kościoła. Kate zapomniała już, jak bardzo pokrzepiająco może podzielać taki gest. Daje poczucie bezpieczeństwa w postaci przyjemnego dreszczu, odbudowuje, wypełnia twoje uszy szeptami, które przypominają, że jesteś jedyna, wyjątkowa. Zapragnęła posunąć się dalej, objąć matkę tu i teraz, ale powstrzymała ją duma przemieszana ze wstydem.

– Masz ochotę na gorącą czekoladę?

Teoria Kate o tym, że matka przechodzi przemianę, zyskiwała coraz mocniejsze podstawy. Każdego dnia spędzonego w La Mudze córka odkrywała w jej zachowaniu niuanse, których wcześniej nie dostrzegała. Teraz, trzymając w dłoniach filiżankę, zdała sobie sprawę, że po tak długim spacerze jest przemarznięta do kości. Zaintrygowana patrzyła, jak Gala wyciąga z torebki zeszyt babci i kładzie go na stole. Nie chciała przerywać milczenia, nie śmiała zadać żadnego niedyskretnego pytania, nie miała pewności, czy burza minęła, czy też są na etapie zbierania się ciężkich, czarnych chmur poprzedzających nadejście ulewy.

Gala utkwiała wzrok w zeszytce. Kartkowała go, aż znalazła fotografię swojego ojca i babci, której przypatrywała się w samotności kilka godzin wcześniej. Bez słowa odwróciła zdjęcie, żeby Kate mogła je obejrzeć. Faktycznie! Jej matka była identyczna z kobietą na fotografii. Jej... prababcią?

Kate, podobnie jak ojciec, obojętnie podchodziła do kwestii pochodzenia. Doktor Frederick zawsze twierdził, że korzenie w większości przypadków służą wyłącznie po to, żeby móc współistnieć z chwastami. Miał dwóch braci, których nie widział od lat, i tylko od czasu do czasu, jeśli sobie akurat o nich przypominał, dzwonił z życzeniami bożonarodzeniowymi. To wszystko. Nawet nie poczuł ani nie wyraził publicznie czy prywatnie bólu po śmierci własnego ojca. Kate nie знаła dziadka, ale była zdziwiona, że Frederick nie uronił nawet jednej wymuszonej łzy. Akurat grała z nim w szachy, kiedy otrzymał tę wiadomość. Zadzwonili do niego na komórkę, zamienił zaledwie kilka słów i się rozłączył. W milczeniu wykonał swój ruch, potem była kolej Kate i tak dotrwali do szacha i mata. Dopiero po zamiatowaniu króla ojciec rzucił: „Twój dziadek nie żyje”. Powiedział to, nie odrywając wzroku od przewróconego białego króla, potem niespodziewanie wstał, lekko westchnął i dodał: „Idę wziąć prysznic. Za godzinę bądź gotowa do wyjścia”.

Pochodzenie, rodzina...

Wydawało się, że w tym miejscu ma to dużo większe znaczenie. Joana, która chodziła za Kate, błagając o wybaczenie zdrady, jaką było złamanie milczenia, powiedziała, że na wsi pielęgnuje się i szanuje koligacje. Babcia Julianne ciągle mówiła o Marlboroughach i przy każdej okazji recytowała ich drzewo genealogiczne, sięgające XVIII wieku. Była to jednak duma wynikająca nie z sentymentów, tylko raczej z przynależności do kasty uprzywilejowanych rodzin, które założyły stolicę Nowej Anglii. To dwa różne sposoby pojmowania szacunku dla rodziny. Joana uwielbiała swoją babcię Tomasę, która co prawda miała porywczą naturę, ale poświęcała i robiła wszystko dla rodziny. Była wielką matriarchinią. W tych stronach od niepamiętnych czasów kobiety rządziły ziemią, podbijały ją i dziedziczyły. Jak twierdziła Joana, zawsze składano im wyrazy oddania i szacunku i – jak to jest w zwyczaju wielu plemion – konsultowano z nimi każdą ważną, rozstrzygającą inicjatywę.

– Któregoś dnia, kiedy dorosnę, też chciałabym należeć do Kręgu staruszek. To tajemnica, wiesz? Moja babcia Tomasa jest jedną z nich...

Kate pamiętała, co Joana opowiadała jej o tych spotkaniach i o mocy kilku babć, które dla niej były właśnie tym – osiemdziesięcioletnimi babciami... Nie potrafiła sobie wyobrazić Julianne na takim spotkaniu, a tym bardziej tego, że miałyby się jej radzić, czy Kate może być roller derby albo czy jej matka ma założyć własny interes. Dziewczynkę zaciekał taki styl życia, oparty na szacunku dla starszych – był sensowniejszy niż posyłanie ich do domu opieki albo ignorowanie.

– Skoro doświadczenie jest brane pod uwagę, kiedy szukasz lepszej pracy... jak może nie mieć znaczenia to, że żyjesz dłużej na ziemi?

Dla Joany sprawa była oczywista, uwielbiała babcię, swoją powierniczkę i największe oparcie w realizacji jej marzenia, żeby wyjechać do Nowego Jorku i odnieść tam sukces. Kate nigdy niczego nie konsultowała z Julianne, bo ta nie miała dla niej czasu, chyba że chodziło o pójście na zakupy, manicure czy sprawdzenie nowej restauracji. Było jasne, że po drugiej stronie oceanu skupiano się w życiu na czymś zupełnie innym, że w Nowym Jorku nie poświęcano zbyt dużo czasu rodzinie, a już na pewno nie rozmowom przy kominku.

– Szkoda, że nie mogłam jej poznać.

Kate zapomniała, że matka nadal trwa w tej samej pozycji; trzymała zdjęcie babci i ojca tak, żeby córka mogła je obejrzyć. Pograżona w myślach, nie zdążyła zwrócić uwagi na szczegóły fotografii, nie licząc niezwykłego podobieństwa kobiety do jej mamy. Nie była pewna, czy powinna dodać cokolwiek do komentarza Gali, czy dalej milczeć. Nie bardzo wiedziała zresztą, co miałyby powiedzieć... Jej matka także nie posunęła się dalej: jeszcze raz rzuciła okiem na fotografię i włożyła ją z powrotem do zeszytu.

– Kate... czy ty mnie kochasz?

Pytanie ją zaskoczyło. Dlaczego miałyby jej nie kochać? Przecież jest jej matką! Nigdy nie zadała sobie takiego pytania i nie rozumiała, dlaczego Gala stawia je teraz. W ich rodzinie nie mówiono o uczuciach, tym bardziej ich nie okazywano, ani publicznie, ani we własnym gronie. Co mogła odpowiedzieć? Nie bardzo wiedziała, co znaczy kochać, była jeszcze małą dziewczynką. Jeśli kochanie oznacza chęć przebywania w towarzystwie matki, opowiadania jej o swoich sprawach i zostania jej dobrą przyjaciółką, odpowiedź musiała brzmieć: nie za bardzo. Czuła się szczęśliwa w towarzystwie swoich przyjaciółek, a matka to matka, kobieta zupełnie do niej niepodobna, której najczęściej nie rozumiała. Miały mało wspólnego, poza tym że były matką i córką. Nie wiedziała jednak, czy może udzielić takiej odpowiedzi, czy też zgodnie z tym, co jej zawsze mówiono, powinna zachować polityczną poprawność. Prawdy nie wolno ukrywać, ale też nie należy do końca jej ujawniać.

– Tak, jesteś moją matką...



Nie wiedziała, co mogłaby dodać. Nie przepadała za tego rodzaju rozmowami. Nigdy takich nie prowadziły, nie rozumiała, dlaczego miałyby teraz zacząć i to na tym średniowiecznym placu z wielkim kościołem, który był świadkiem całej sceny.

– Gdybyś mogła, pojechałabyś do ojca do Nowego Jorku?

Była przygotowana, żeby stawić czoło wymówkom, reprimendzie za próbę ucieczki, ale nie na taką rozmowę. Nie chciała mówić o ojcu i o matce, nie chciała stawać między nimi, a jeszcze mniej wybierać czy ich osądzać. Fakty mówiły same za siebie: było jasne – wystarczyło ją poobserwować – że darzy większym szacunkiem ojca niż matkę. Frederick nie okazywał jej czułości, ale zapewniał swobodę działania.

– Dlaczego nigdy nie chcesz spędzać czasu ze mną?

Kate zaczynała się czuć skrępowana tymi pytaniami. Nie chciała odpowiedzieć, bo wiedziała, że palnie jakieś totalne głupstwo. Że ta rozmowa, zamiast załatwić sprawę, może ją pogorszyć. Ale wyglądało na to, że matka jest gotowa kontynuować przesłuchanie i wyciągnąć z niej odpowiedzi. Czy tak bardzo jej zależało, żeby usłyszeć z ust córki, że jej nie akceptuje?

– Kate! Zamierzasz tak milczeć?

Wiedziała, że nie ma innego wyjścia jak prowadzić dalej tę rozmowę. Było inne rozwiązanie? Nie zastanawiała się, nawet tego nie przetrawiła; po prostu wypaliła:

– Nie chcę być taka jak ty.

Te słowa przeszły serce Gali, porażając je głęboko niepokojem. Co jej córka chciała powiedzieć? Dlaczego ją odpycha? Kate przypominała ją z wyglądu bardziej niż Adele; w miarę jak rosła, podobieństwo stawało się coraz większe. Czy to mogło być powodem odrzucenia? Nie spodziewała się tak miażdżącej, tak krótkiej i zarazem tak kategorycznej odpowiedzi. Czy powinna zapytać ją jeszcze raz, czy zostawić wszystko tak, jak było? Miała świadomość, że rozmowa z dorastającą dziewczyną oznacza narażenie się na usprawiedliwione i nieusprawiedliwione ciosy zadawane bez znieczulenia.

– Być taka jak ja?

Nie mogła się powstrzymać, musiała wiedzieć, co jej starsza córka naprawdę o niej myśli, jak postrzega swoją matkę. I dlaczego nie udaje się im być matką i córką nawet przez jeden dzień.

Kate siedziała z pochyloną głową, nie umiała spojrzeć na Galę i wyładować złości słowami.

– Takim... hmmm... tchórzem.

Czy dobrze usłyszała? Kate powiedziała te słowa szeptem, towarzyszył im odgłos wydychanego nadmiaru powietrza. „Tchórzem? Tak postrzega mnie córka?” Wiedziała, że Kate nie okazuje jej szacunku, ale żeby nazwać ją tchórzem? Wyprowadziło ją to z równowagi; uważała się za kobietę zdecydowaną, przecież miała odwagę polecieć na drugą stronę oceanu tylko po to, żeby załatwić sprawę spadku po jakiejś nieznanym. Tchórzem? Od kilku lat nadawała sens własnemu życiu, mówiąc sobie, że musi założyć interes, pracować na własny rachunek i że nie może wiecznie być bogatą panią domu, która co tydzień chodzi z koleżankami na zakupy i do salonów piękności. Tchórzem? Nie chciała zostać niewolnicą własnego wyglądu i nieraz spierała się o to z Frederickiem, który bardzo chciał położyć ją na stole operacyjnym i dokonać kilku poprawek. Buntowała się przeciwko przemodelowaniu jej zgodnie z gustami małżonka, przeciwko przekształcaniu się w kobietę bardziej z plastiku niż z krwi i kości, taką jak jej matka. Tchórzem?

– Tchórzem?

Kate nie chciała, żeby kiedyś nadeszła ta chwila. Wiedziała, że jej matka też to odkryła, i niemal jej za to nienawidziła. Nie rozumiała jej, nie chciała być taka jak ona, nie chciała

powiedzieć, że straciła do niej szacunek w dniu, kiedy obie wróciły wcześniej do domu i zastały ojca popijającego wino z kobietą, której nigdy wcześniej nie widziały. Kate miała wtedy jedenaście lat, wystarczająco dużo, żeby zrozumieć, że ojciec i ta kobieta nie ograniczyli się do picia wina. Milczenie matki, sposób, w jaki spuściła głowę w odpowiedzi na spontaniczny, dowcipny toast ojca i tamtej kobiety – wszystko to było nieistotne. Nie mogła natomiast wybaczyć Gali, że zmusza ją i siostrę, aby uznały za normalne ciągle podróże Fredericka; to, że kłamie, ukrywając przed córkami prawdę. Wyjazdy służbowe, opuszczanie domowych kolacji świadczyły o tym, że ojciec przebywa z innymi kobietami, ze wszystkimi, z którymi mógł i chciał być, a matka się na to godzi i próbuje łagodzić sytuację kłamstwami, usprawiedliwieniami, patrzaniem w prawo albo w lewo, ale nigdy wprost. Kate wolałaby nie wejść z matką do domu tamtego dnia i nie zobaczyć tak wyraźnie prawdy. Przez jakiś czas nie odzywała się do ojca, znenawidziła go za to, że sypia z innymi, ale stopniowo zaczęła odrzucać także matkę, bo nie rozumiała, dlaczego ta spuszcza głowę i zachowuje obojętność. Wraz z upływem lat Gala zbudowała sobie bowiem wymyślony świat i zmuszała córki, żeby w nim żyły. Kate nienawidziła poniedziałków z pizzą, przymusu siadania przy stole z ojcem i matką i udawania, że są idealną rodziną. Nienawidziła przynależności do rodu, w którym liczyły się przede wszystkim pozory i pieniądze. Dlatego tak ceniła sobie bycie Gotham Girl, czyli całkowitym przeciwieństwem Donovanów i Marlboroughów, i odrzucała wszystko, co miało cokolwiek wspólnego z tą rodziną. Ojca prawie nie widywała, nie rozmawiała z nim, ale on przynajmniej nie udzielał jej życiowych rad. Po prostu się nią nie zajmował... i tyle. Ale matka... jej matka była zwykłym tchórzem!

– Gdzie tata spędzi Boże Narodzenie?

Gala poczuła supeł w żołądku, ucisk w piersi, który uniemożliwiał jej oddychanie. Z trudem przełknęła ślinę, łapała powietrze haustami. To niewinne zdanie skrywało w sobie wszystko, co starsza córka miała do powiedzenia w związku z jej ostatnim pytaniem: „Tchórzem?”. Upokorzenie to bardzo cienka szpila, którą sam się przebijasz, jeśli w porę nie stawisz mu czoła. Chociaż Gala wcale tego nie planowała, nadeszła pora rozmowy o tym, co zawsze chciała zataić, wymazać bez śladu, zignorować, czego nie miała zamiaru roztrząsać. Czy powinna o tym rozmawiać z córką? Nie ulegało wątpliwości, że Kate jest świadoma owego rozbicia, pęknięcia, które w każdej chwili mogło doprowadzić do roztrzaskania się na kawałki wizerunku idealnej rodziny. Nie byli nią od dawna, ale uznali – każde z osobna – że lepiej to przemilczeć, skoro gównu nie wypływało jeszcze na powierzchnię. Czy była tchórzem? Mogłaby uciec się do mnóstwa sofizmatów, żeby Kate przestała uważać ją za tchórze, ale w głębi duszy wiedziała, że córka ma rację, czuła się upokorzona jako kobieta, która dzieli męża z innymi, jest jedną z wielu, a dla dobra rodziny musi udawać, że jest tą jedyną. Co, do cholery, oznacza dobro rodziny? Przekłętą status quo, niepewność, co zrobi bez Fredericka, strach przed samotnym wychowywaniem córek i przed staniem się odbiciem własnej matki, która uczyniła rozgoryczenie swoim nieodłącznym towarzyszem. Przyznanie, że zblądziła, że powinna była pójść drogą w lewo, a nie w prawo, jak wszyscy pokazywali, zaakceptowanie, że jej życie się wali. Gala nie czuła się na to przygotowana, ale też nigdy nie myślała, że przyjęcie z uległością życia, które nie było tym wymarzoną, może spowodować odtrącenie jej przez własną córkę.

Kate nie wiedziała, jak wybrnąć z tej sytuacji. Była tylko nastolatką, nie musiała żyć sprawami dorosłych. Próbowała znaleźć jakieś wyjście, żeby przestać rozmawiać o matce i jej tchórzostwie; musiała to zakończyć za wszelką cenę.

Gala wtuliła głowę w ramiona, czując nagle zimno, jakby ją rozebrano do naga, nie pozwolono na obronę ani usprawiedliwienie i zdecydowanym gestem pokazano, że ma odejść. Przed chwilą zrobiła to jej córka, która siedziała naprzeciw niej w ogródku kawiarni

z czekoladowym kółkiem wokół ust. Gala popatrzyła na nią ukradkiem. Kate ciągle była dzieckiem, ale cierpiała jak dorosła.

– Twój ojciec... ma pracę... wiesz przecież.

Kate uniosła głowę i wściekle spojrzała na matkę, która kolejny raz zmuszała ją do przełknięcia nowego kłamstwa, udawania, że wszystko jest w porządku, uczestniczenia w grze polegającej na budowaniu obrazu rodziny perfekcyjnej dla nich i dla innych. Gala wołała nie odpowiadać córce ze szczerością, która jej się należała. Kate była jeszcze dzieckiem i choć kąsała ostrymi kłami, nie zasługiwała na to, żeby odpłacać jej pięknym za nadobne. Czy zniosłaby wiadomość, że ojciec woli wyjechać z jedną ze swoich kochanek niż być z rodziną? Nie chciała ruszać puszeki Pandory, która głośno domagała się otwarcia i uwolnienia ich wszystkich.

– Mogę pójść obejrzyć kościół?

Obie wiedziały, że Kate nie lubi kościołów ani innych staroci. Obie wiedziały, że szuka pretekstu, żeby zakończyć rozmowę, której nigdy nie powinny były zacząć. Kate wstała i odeszła, nie oglądając się za siebie. Nie chciała odwracać głowy, żeby Gala nie zobaczyła jej oczu pełnych łez. Była tylko dzieckiem, ale nauczyła się rozpoznawać cierpienie w spojrzeniu. Nie mogła znieść widoku przegranej matki, przytłoczonej poczuciem winy, upokorzeniem i kłamstwem, chociaż czuła do niej niechęć. Wolałaby pobiec ulicą i zatrzymać się dopiero w La Mudze, gdzie Joana pokrzepiłaby ją jakąś historyjką o wiejskich babciach. Nie miała jednak innego wyjścia jak przejść pod gigantycznym łukiem zwieńczającym drzwi do kościoła. Zrobiła kilka kroków i niezdecydowana, przystanęła, żeby dojść do siebie po pełnej przemilczeń rozmowie z matką.

– Nie przeżegnasz się?

Odwróciła głowę lekko wystraszona, bo nie wiedziała, kto wyszeptał jej te słowa na ucho. Zobaczyła chłopca, który niezdarnie próbował strzelić bramkę i bezustannie wpatrywał się w nią na stadionie. Stał tuż za nią, z dwiema plastikowymi torbami pełnymi zakupów i szerokim uśmiechem na twarzy. Dyszał ciężko po biegu, który odbył, kiedy z daleka zobaczył, że Kate wchodzi do świątyni.

– To jest tutejsza katedra, wiesz? Katedra Empordà.

Próbowała przypomnieć sobie jego imię, coś podobnego do Aleca, jak Alec Baldwin; miejscowe imiona czasami sprawiały jej kłopoty.

– Chcesz, żebym ci ją pokazał? Znam całą jej historię... Lubię historię, wiesz?

Kate nie miała nic do stracenia i oczywiście nic lepszego do roboty. Chłopak sprawiał wrażenie sympatycznego, bo choć bardzo się starał to ukryć, był strasznie niezdarny. Zaraz na początku pękła mu jedna z toreb i potłukł prawie wszystkie jajka, które były w środku. Kate umierała ze śmiechu, a on – ze wstydu. Próbował jakoś naprawić szkodę, która groziła wyrzuceniem z kościoła za jego zbezczeszczenie.

– Nie śmieję się, za tłuczenie jajek w katedrze mogą nas stąd wyrzucić, wiesz? Pomóż mi, jeśli nie chcesz, żeby nas wygonili!

Kate nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Wyrzucenie z kościoła było jej zdaniem najśmieszniejszą rzeczą pod słońcem, ale niezdarny chłopiec wyglądał na przerażonego sytuacją. Nie znała się na herezjach ani profanacjach, jednak na wszelki wypadek, żeby nie spalili ich na stosie, pożyczyła mu swój plecak, do którego schował pozostałe zakupy z porwanej torby. Szybko opuścili miejsce pobrudzone skorupkami, żółtkiem i białkiem jaj.

Chłopak pociągnął ją w stronę ławek, żeby dojść do siebie po upokorzeniu, otrzeć pot i pozbyć się rumieńców na policzkach. Kate patrzyła na niego, powstrzymując śmiech, ale z czymś w rodzaju czułości. Nowojorscy chłopcy w jego wieku nie przypominali go ani wyglądem, ani zachowaniem, przywodzącym na myśl czasy poprzedzające XXI wiek.

– Nadal chcesz, żebym ci pokazał katedrę?

Aleix zadał to pytanie smutnym głosem, lekko zawstydzony swoją niezdarnością. Nie tryskał werwą, był raczej nieśmiały, kiedy rozmawiał z dziewczynami, czuł, że ma ręce i nogi jak z waty. Chciał zaimponować Kate swoją znajomością historii, zaprezentować się z najlepszej strony, wykazać w dziedzinie, w której czuł się pewnie... Była inna niż dziewczyny, które dotąd spotkał. Od kiedy mu ją przedstawiono, nie przestawał o niej myśleć. Powiedzieli sobie tylko „cześć”, ale od razu mu się spodobała. Czasami nie trzeba rozmawiać, żeby być pewnym, że ktoś ci się podoba; jemu wystarczyło to „cześć”.

– Zgoda!

Widzieli się drugi raz i ten chłopak znów sprawił, że zapomniała o swoich zmartwieniach. Za pierwszym razem była z Joaną, która spisywała nieszczęsną listę, żeby zdecydować, czy pomóc jej w ucieczce, czy nie. Teraz z matką. Weszła do kościoła rozbita, nie mając ochoty na rozmowę ani na zwiedzanie, a pięć minut później ten chłopak zdołał wywołać na jej twarzy uśmiech i sprawić, że złe samopoczucie zniknęło.

– Mówiłeś, że jak się nazywasz?

– Aleix.

– Nie jestem w stanie zapamiętać tutejszych imion...

– A l e i x, Aleix, Al-eix, Aleix!

Powtórzył to dwadzieścia razy, aż wreszcie Kate głośnym „OK!” i gromkim śmiechem dała znać, że już na zawsze zapamięta jego imię. Obeszli całą katedrę, obładowani zakupami.

– To jeden z najważniejszych zabytków gotyku katalońskiego. Budowę rozpoczął hrabia z Empúries, Ponce Czwarty, w tysiąc dwieście sześćdziesiątym pierwszym roku.

Gotyk kataloński? Ponce Czwarty? Kate mało obchodziła ta historia, ale z przyjemnością słuchała Aleiksa. Podobał jej się entuzjazm, jaki okazywał przy każdej informacji, dacie czy nazwie. Przez godzinę opowiadał bez przerwy o sklepieniach, łukach, gargulcach, przyporach, witrażach, wojnach i podbojach. Był jak otwarta księga, zabawiał Kate swoją rozległą wiedzą.

Gala nie ruszyła się z ogródka, czekoladę zastąpiła piwem, a towarzystwo córki zeszytem babci. Próbowwała czytać, ale natłok myśli o tym, co zaszło między nią a Kate, uniemożliwiał jej koncentrację. Od lat wiedziała, że Pan Bardziej-niż-Doskonały rzuca się na wszystkie operowane pacjentki, a przynajmniej na te, na które może. Nigdy o tym nie mówili, ale milcząco uzgodnili pewne zasady. Po incydencie z udziałem Kate przyjęli żelazną regułę: nigdy więcej w domu i zawsze z kobietami obcymi dla rodziny. Gala nauczyła się z tym żyć, czasami nawet potrafiła uwierzyć, że mąż jedzie operować do Los Angeles, podczas gdy w rzeczywistości bzykał inną w Four Seasons. Niekiedy przychodziło jej do głowy, żeby go zostawić, porzucić, zabrać córki i zacząć od nowa. Ale wtedy, tak jak w tym momencie, zalewała ją fala uczuć, których nie była w stanie jasno określić. Jako matka i jedna z Marlboroughów nie czuła się przygotowana na to, że starsza córka będzie na nią patrzeć ze wstrętem i uważać ją za tchórza. Nie była również przygotowana na to, żeby odejść od Pana Bardziej-niż-Doskonałego, przeciwstawić się matce i zacząć być sobą. Kim jest? Tego nie wiedziała... Miała tylko wielką ochotę schować głowę i wymazać to, co się wydarzyło, jak litery na piasku, które można zetrzeć patykami.

Zaczynało się robić późno. Kate nie wychodziła z kościoła, a Gala nie była gotowa, żeby pójść po córkę i spojrzeć jej w oczy. Musiała jeszcze trochę wypić, żeby przelknąć upokorzenie. Powinny wrócić do La Mugi i odebrać Adele, która pewnie już się martwi ich nieobecnością.

– Gala? Pamiętasz mnie?

Zobaczyła przed sobą kobietę nieco po sześćdziesiątce, o świecącej cerze, wyglądającą młodo i nowocześnie. Wydała się jej znajoma, ale nie potrafiła sobie przypomnieć, gdzie ją widziała. Nie pamiętała, żeby się spotkały w La Mudze, i nie sądziła, żeby z nią kiedykolwiek

rozmawiała. Za to kobieta знаła jej imię i sprawiała wrażenie, że wie o niej dużo więcej. Nie pytając o zgodę, bez zaproszenia zajęła miejsce przy stoliku Gali.

– Jestem Teresa, Teresa Forgas, ta od winnic, wiesz? Twój pierwszy dzień tutaj, z Robertem, prawnikiem... Pamiętasz?

Już wiedziała, o kogo chodzi. To była ta kobieta, która wysmarowała Adele kremami i podarowała jej kilka mikstur w dniu odczytania testamentu. Teresa nie przestawała się uśmiechać i mierzyć ją wzrokiem od stóp do głów. Tutejsi mieszkańcy pozwalali sobie na luksus, jakim jest bezpośredniość i niezachowywanie pozorów. Gala miała ochotę wstać z krzesła i zostawić ją w pół słowa, choć z drugiej strony wymówka w postaci nieoczekiwanego towarzystwa pozwalała jej przesunąć w czasie poszukiwania Kate, na które wcale nie miała ochoty.

Teresa była po Úrsuli największą plotkarką w całej wsi. Pytała Galę o wszystko, a celem tego przesłuchania, ukrytego pod maską kurtuazji, było zebranie informacji. Gala z kolei dowiedziała się, że wszyscy mieszkańcy entuzjastycznie przyjęli wiadomość, że zostanie w La Mudze na Boże Narodzenie. Chociaż ten czas zwykle spędza się z rodziną, tej zimy postanowiono zorganizować wielką fiestę z okazji Nowego Roku. Tomasa, najbogatsza i najbardziej skąpa kobieta we wsi, zaproponowała nawet, żeby impreza odbyła się w jej domu, choć tradycyjnie świętowano w restauracji „La Muga”. Gala trochę się martwiła, czy to, że odgrywa w tym wszystkim główną rolę, nie sprawi komuś kłopotu. Nie miała jeszcze czasu, żeby się zastanowić, jak spędzi święta z córkami, z dala od męża i matki, a tu już ktoś to za nią organizował.

– Poza tym niedługo będzie pełnia księżyca, w tym roku ostatnia wypada dwudziestego ósmego. Na wsi pełnia księżyca jest bardzo ważna, wiesz?

Kobieta była prawdziwą trajkotką, nie przestawała mówić nawet dla nabrania oddechu. Ekscytowało ją to, że gawędzi z Galą; powiedziała, że nie mogła znieść myśli o tym, że będzie z nią rozmawiać jako ostatnia.

– Cecilia pewnie nie miała ci wiele do powiedzenia, prawda?

Jakie to miało znaczenie? Jednak dla Drugiej znaczyło bardzo dużo. W La Mudze nazywano ją tak, bo była drugą żoną Alfonsa Forgas, tego od win. Zakochał się w niej ponad dwadzieścia lat wcześniej i choć był żonaty, z miłości porzucił pierwszą żonę, matkę swoich dzieci, i wprowadził do domu Drugą. W La Mudze wybuchł głośny skandal; przez wiele lat Teresa, która pochodziła z miasta, musiała się bardzo starać, żeby ją zaakceptowano. Teraz też nie należała do szczególnie lubianych, ale zdołała sprawić (nie bez trudu i – dla czegoż by o tym nie wspomnieć – nie bez stosowania niegodziwych chwytów), że przyjęto ją do Kręgu. Galę intrygował ów Krąg, o którym już słyszała, ale nikt jej nie powiedział, czym on dokładnie jest. Teresa też niewiele wyjaśniła.

– Nie zwołuje się go już od dawna, ale ta pełnia księżyca może przynieść niespodzianki.

Zaprosiła Galę i córki, żeby odwiedziły piwnice Forgasów i ich winnice. Rodzina jej męża należała do najbardziej znanych w Empordà, dzięki dobrej cawie i młodemu czerwonemu winu. Mieli równie dużo pieniędzy co Brugatowie, ale tradycyjnie to tych ostatnich uważano za bogatych.

Wypiły po kieliszku wina... Gala musiała spróbować forgas. Teresa wykorzystywała każdą okazję do ubicia interesu. Gdyby ta bogata i wpływowa Amerykanka zakochała się w jej winie, mogłaby otworzyć przed nim Stany Zjednoczone. Win Forgas nie produkowano masowo, dlatego rynki zbytu wybierano bardzo starannie, zawsze spośród najlepszych. Gala podziękowała za zaproszenie, kieliszek wina i za butelki, które to najwyraźniej Teresa podrzuciła jej razem z gałązką i woreczkiem mocy. Tutejsi mieszkańcy mieli specyficzny sposób witania ludzi; Gali

zaczynało się podobać takie podejmowanie prezentami. Będzie jej tego brakowało...

– A spadek? Jak ci idzie?

Niedyskretne pytanie Teresy sprawiło, że Gala zaczęła znów myśleć o zapomnianym celu podróży. Zdała sobie sprawę, że od kilku dni jest pochłonięta innymi sprawami i zaniedbuje swoje główne zadanie: spadek po babci. Teresa lubiła co prawda wsadzać nos w cudze sprawy, ale mogła się okazać użyteczna i udzielić jej jakichś informacji o tajemniczym obrazie.

– *Morze?* Hmm... Nie kojarzę... Mówisz, że jest jak obraz Dalego z kobietą w oknie, tak?

Teresa była fatalną aktorką, nie umiała udawać. Gali nie przekonała jej odpowiedź, za to bardzo zdziwiła ją nerwowość, z jaką Druga usiłowała zataić prawdę. Wiedziała coś o obrazie, Gala nie rozumiała, dlaczego to ukrywa. Naciskała, ale osiągnęła tylko tyle, że Teresa uciekła po niespełna pięciu minutach, tłumacząc: „Zrobiło się już późno” i: „Mam nadzieję zobaczyć cię w Can Forgas”.

Gala poszła w stronę kościoła, na nowo zaintrygowana obrazem i otaczającą go tajemnicą. Kim mógł być jego autor? Decyzja o spędzeniu świąt we wsi dawała jej więcej czasu, żeby odnaleźć twórcę *Morza*. Zaczęła podejrzewać, że tkwi w tym jakiś sekret, że babcie mają z tym związek i mogłyby coś powiedzieć na ten temat. Kobięca intuicja czy oczywista prawda? Zanim weszła do kościoła, na jej twarzy pojawił się lekki uśmiech – była skłonna przyjąć tę drugą wersję: oczywista prawda!

Adele czuła się coraz lepiej w tym miejscu. Wieś i jej mieszkańcy byli dla niej tak samo magiczni jak Narnia, z tą różnicą, że tu śnieg leżał tylko w górach i nie pokrywał wszystkiego. Nigdy sobie nie wyobrażała, że może istnieć takie miejsce, a świadomość, że właśnie stąd pochodzili jej prababcia i dziadek, czyniła wszystko jeszcze bardziej ciekawym.

Babcia Nalda powiedziała jej, że kiedy ta ziemia kimś zawładnie, w jego żyłach zaczyna płynąć inna krew. Od tego czasu Adele ciągle oglądała swoją rękę, żeby sprawdzić, czy z jej żyłami nie dzieje się coś dziwnego. Zawsze kiedy to robiła, Boston skakał na nią i lizał ją po skórze.

Marc śmiał się rozbawiony, usiłując trafić w puszki z procy, którą dziadek Vicente zrobił mu z drewna oliwnego i gumki. Dziewczynka próbowała się nauczyć strzelać, ale szło jej tak jak z wędkowaniem. Kiedy ojciec zabierał je na ryby, godzinami czekały, aż któraś skubnie haczyk. Praktyka! Adele miała wiele zalet, jednak nie należała do nich cierpliwość. Dlatego po dziesięciu nieudanych próbach trafienia w puszki podbiegła do nich i jednym ruchem ręki zrzuciła wszystkie na ziemię. Marc z niedowierzaniem przyjął reakcję przyjaciółki, ale niezależnie, co robiła, zawsze to akceptował, bo było śmieszne, zwariowane, bezsensowne, głupie... Bo po prostu robiła to ona. Patrząc, jak Adele się niecierpliwi i po kilka razy ustawia na gałęziach puszki, które ciągle spadają, poczuł ucisk w żołądku. Ile czasu będą mogli jeszcze spędzić razem? Nie zastanawiał się nad tym, od kiedy Gala postanowiła zostać na święta, ale aż zakreśliło mu się w głowie na myśl, że nadejdzie dzień, który będzie ostatnim, i że przyjaciółka wyjedzie z La Mugi, żeby nigdy tu nie wrócić.

Uśmiech zamarł na twarzy Adele na widok Marca, który przez kilka sekund był błądliwy i jakby nieobecny. Jego spojrzenie przybrało odcień smutnej szarości, oczy się zapadły, a usta wygięły w podkówkę. Stała teraz kilka metrów za nim, ze splecionymi dłońmi, nie mając odwagi zapytać, bo bała się odpowiedzi. Nawiązali coś w rodzaju łączności telepatycznej: wystarczyło jedno spojrzenie i już wiedzieli, co dzieje się z drugim. Doszli w tym do takiej wprawy, że czasami przez kilka minut nic nie mówili i nie pamiętali, czy wcześniej rozmawiali, używając słów czy samego umysłu. Adele wstrzymała oddech i spuściła wzrok tylko na kilka sekund, ale w takich odcinkach zatrzymanego czasu mieści się cała wieczność.

– Nauczysz mnie mówić po angielsku?

Marc wiedział, że jego przyjaciółka jest tuż za nim; słyszał, jak tupie lewą nogą, która znieruchomiła nagle, kiedy padło pytanie. Adele była świadoma, że przyjaciel przygotowuje się do pożegnania, że jego pytanie znaczyło: „Jeśli wyjedziesz, ja... odwiedzę cię w twoim kraju!”. Poczuli, że oczy wilgotnieją jej ze wzruszenia, kiedy dotarło do niej, że Marc też nie chce jej stracić i jest gotów pokonać ocean, aby się z nią zobaczyć. Byli w wieku, w którym niemożliwe przybiera barwy możliwego, a marzenia rodzą się bliżej nieba niż ziemi. Podeszła i mocno objęła Marca w pasie; to był odruch, reakcja na wybuch emocji, pokazanie, że są razem i że jest przecież skautką!

– A gdybyśmy zostali rodzeństwem syjamskim?

Boston oparł przednie łapy o dzieci, które nie miały ochoty się rozdzielać. Dziewczynka przytuliła głowę do pleców Marca; doznawała przyjemności podobnej do tej, jakiej doświadczała, jedząc maślany popcorn albo opychając się piankami cukrowymi podczas oglądania filmów wytwórni DreamWorks. Tyle że teraz poczuła ciepło w żołądku, jakby wypła filiżankę rosółu, a policzki zaczerwieniły się jej aż po uszy, jak wtedy kiedy ktoś mówi jej komplement. Marc nie mógł powstrzymać uśmiechu, tak wielką przyjemność sprawił mu ten uścisk.

Stali dłuższą chwilę, sklejeni niczym dwa chropowate pnie, których nie jest w stanie poruszyć nawet najsilniejszy wiatr, uśmiechnięci, połączeni telepatycznie, doświadczając każde po swojemu iskrzenia pierwszej miłości. Tej, o której trudno potem zapomnieć, którą w miarę upływu lat coraz bardziej idealizujemy, tęskniąc za minionym czasem, kiedy to naszym życiem kierowała naiwność. Tamtego popołudnia Adele i Marc – objęci, z rumieńcem budzącego się pożądania – obiecali sobie wieczną miłość, wyznali ją bez słów, jak Romeo i Julia czy miliony dorosłych, którzy kiedyś byli dziećmi. Marc odwrócił głowę, żeby spojrzeć na Adele, i poczuł, że sztywnieje mu intymna część ciała; z trudem oderwał się od dziewczynki i wręczył jej procę dziadka Vicentego, jakby dawał jej bukiet kwiatów.

– To dla mnie?

– Dla ciebie.

Adele nie znalazła słów, które mogłyby wyrazić jej wzruszenie. Miała ochotę skakać i tańczyć, żeby podzielić się swoją radością z całym światem. Pod wpływem impulsu pocałowała Marca w usta i uciekła zawstydzona tym pierwszym buziakiem. Marc rozkoszował się przez kilka sekund jego śladem, niewidocznym rysunkiem, który pozostał mu na wargach. Szczekanie Bostona sprawiło, że czar prysnął, i chłopiec puścił się biegiem za Adele, która była już dalej, niż myślał.

Każdy dorosły obserwujący te dzieci od razu by się domyślił uczucia, jakie je połączyło. Każdy oprócz Gali, która była zbyt pochłonięta pęknięciami w fundamentach jej egzystencji; nie mogła dopuścić do tego, żeby się powiększyły.

Kate szła kilka kroków za Galą. Była wystarczająco dorosła, żeby rozpoznać, kiedy posunęła się za daleko. Rozbuchana duma kazała jej jednak wykluczyć jakąkolwiek próbę usprawiedliwienia czy prośby o wybaczenie. Chociaż nie czuła się komfortowo po rozmowie z matką, to nie do niej należało zakopanie topora wojennego. W końcu była tylko nastolatką, która latami musiała dźwigać ciężar, jaki powinni nosić wyłącznie dorośli. Bawiła się, ścigając własny cień, specjalnie szurała butami, żeby podnosić tumany kurzu. W ten niezdarny sposób próbowała zwrócić na siebie uwagę, nie przyznając otwarcie, że jest jej żal Gali i nie chce, żeby czuła się źle. A także pokazać, że dławią ją wymieszane bezładnie, sprzeczne emocje: od potrzeby objęcia matki, a nawet wypowiedzenia z płaczem nieśmiałego „wybacz mi”, po wściekłość, że ma ją przed sobą, po uczucie, że jest sama i bezbronna, po chęć zniknięcia albo

zażądania od niej przeprosin. Czasami sama Kate nie wiedziała dokładnie, co jej jest, miała w głowie mętlik, jakby przysłoniła ją ogromna czarna chmura, która nie pozwala odczytać stanu, w jakim się znajduje. W takich przypadkach najlepiej zmarszczyć czoło, skrzyżować ręce i zerwać kontakt ze światem. Nie zawsze jej się to udawało, zwłaszcza kiedy przekroczyła jakąś granicę.

Gala szła niczym uskrzydłona, niemal nie dotykając stopami ziemi, zatopiona w dręczących ją myślach. Nie winiła córki. Było jej przykro, że zmusiła ją do życia w fikcji z idealną rodziną w roli głównej. Co się stało z jej wigorem, jej odwagą, jej pragnieniem wolności? Z powodu miłości do córek nie mogła żałować, że wyszła za Fredericka, ale nie znajdowała wyjścia z sytuacji, za którą wyłącznie ona była odpowiedzialna. Frederick? Frederick już na samym początku pokazał karty. Zaledwie po paru miesiącach narzeczeństwa, między dwiema liposukcjami przespał się z najlepszą przyjaciółką Gali. W ten sposób odkryła, że niezdrowe pożądanie nie ma nic wspólnego z pięknem ani z miłością i że Frederick kieruje się właśnie tą zasadą. Może dlatego został chirurgiem plastycznym: z powodu chorej fascynacji kobiecym ciałem i dla... dla władzy! Połączenia dobrze znanego skłonny do ekscesów osobowości. Frederick zawsze był egocentrykiem, karmił się podziwem innych i umacniał swoją władzę dzięki nieokiełznanemu darowi uwodzenia i podporządkowywania sobie ludzi. Gala wpadła w jego szpony, zaakceptowała jego grę w zamian za wymarzoną wolność, którą chciała za wszelką cenę zachować. Musiała uwolnić się od więzów łączących ją z rodem Marlboroughów, zerwać z moralnością tej rodziny i z dominacją matki. Frederick wtargnął do jej życia niczym tajfun i jak przystało na doświadczonego drapieżnika, nie spoczął, póki nie dorwał trudnej zdobyczy. Gala mogła odwołać ślub, mogła zerwać z Frederickiem tego wieczoru, kiedy patrząc mu w oczy, zapytała, czy sypia z Alysso. Nie otrzymała wtedy słownej odpowiedzi, Frederick kolejny raz ją posiadał i zaciągnął do piekła żądy cielesnej. Nie była zakonnicą, ale została nauczona poszanowania dla cnoty, dla przedmałżeńskiej czystości, tymczasem Frederick uosabiał coś wręcz przeciwnego. Postanowiła za niego wyjść, ale nigdy nie przypuszczała, że męczyzna stanie się jej przekleństwem; małżeństwo i złamanie wszystkich zasad niewiele pomogło, uległość wobec matki została zastąpiona uległością wobec męża, którego podniecało wyłącznie poczucie władzy.

Gala nie wiedziała w zasadzie nic o miłości. Kiedy była małą dziewczynką, myśl o tym uczuciu zapierała jej dech w piersiach, sprawiała, że bez przerwy się uśmiechała. Wyrzekła się miłości już wiele lat temu. Zapomniała o czułości, o galanterii spotykanej w bajkach, o szalonym, romantycznym kochanku, który nie widzi świata poza swoją wybranką. Rezygnacja z poszukiwania miłości nie była świadomą decyzją, podobnie jak porzucenie marzeń o badaniu nieznanymi planet i zaginionymi cywilizacji, jakie snuła teraz Adele. Macierzyństwo i stała nieobecność męża sprawiły, że wpadła w studnię wygodę wypełnioną po brzegi błotem tchórzostwa. Przez wszystkie te lata żyła jak w mocy zaklęcia, które usypia pragnienia, nie pozwala marzyć i każe zrezygnować z odkrywania nieznanymi lądów i światów obiecujących lepszą przyszłość. Gala zapomniała, kim jest czy kim chce zostać, po prostu była, aż w końcu stała się tym wszystkim, czym być nie chciała: bogatą kurą domową, wypełniającą swoje nieudane życie luksusowymi dobrami materialnymi, które bynajmniej nie przynosiły jej spokoju, a tylko pogłębiały studnię. W rzeczywistości wcale tak bardzo nie różniła się od swojej matki...

Stała na środku drogi i wzięła głęboki oddech, żeby złość nie zamieniła się w płacz. Spojrzała na pola kukurydzy tańczącej w rytm wiatru, którego gwizd ostrzegał przed nadchodzącą burzą. Patrzyła, jak przyroda jednoczy siły na jej przyjęcie, jak cień wyznacza drogę deszczowi, jak chmury się obejmują, a ziemia otwiera w oczekiwaniu na święconą wodę. Do La Mugi było jeszcze daleko, a do ulewy brakowało kilku minut. Kate złapała matkę za rękę



i zachęcała ją gestem, żeby za nią pobiegła. Na krańcu pola stała mała drewniana wiata, pod którą leżały jakieś worki, idealne miejsce do schronienia się przed deszczem i obserwowania burzy.

Gdy tylko tam dotarły, zaczęły spadać krople, które pospiesznie otwierały niebo przed bogiem deszczu i jego lokajami. Gala i Kate usiadły na workach i dochodziły do siebie po biegu, w oczekiwaniu na spektakl przyrody. Kilka minut później kurtyna wody odgrodziła je od świata. Uwięzione na powierzchni zaledwie jednego metra kwadratowego, obawiały się najgorszego – wścieklej burzy, która zamiast ucichnąć, będzie szalała kilka godzin. Przez ponad trzydzieści minut z zachwytem obserwowały taniec natury, jej siłę i władzę, jaką ma nad człowiekiem.

Gala postanowiła zrzucić ciężący jej balast i zaczęła płakać; ulewa była najwyraźniej zaraźliwa, uwolnienie łez sprawiło, że w jej wnętrzu także rozpętała się burza. Kate zerkała na matkę kątem oka, w milczeniu, nie miała odwagi wykonać najmniejszego ruchu. Instynktownie wyczuła, że to, co bierze za krople wody, w rzeczywistości jest jej własnymi łzami spadającymi na dłoń. Sama także płakała? Wciągnęła brzuch i przestała oddychać, żeby powstrzymać płacz, ale tylko święci potrafią zastopować coś, co już ruszyło z miejsca... Kate płakała po cichu jak Gala, maskowała się przed matką, ukrywała łzy, żeby ta niczego nie zauważyła. Tego popołudnia na powierzchni metra kwadratowego rozszalały się trzy nawałnice naraz. Wszystkie pozostały wierne jednemu z praw przyrody: po burzy zawsze wychodzi słońce.

Brnąc w rozmokłej ziemi, przecięły zalane pola, dotarły do głównej drogi i kontynuowały marsz w stronę wioski. Cieszyło je błoto, zapach, jaki wydziela przyroda po deszczu, oślepiające światło, którym promieniuje niebo po napadzie gniewu. Gala przystanęła i zaczęła na Kate, która ukucnęła, żeby odzyskać but zatopiony w błocku. Matka i córka spojrzały sobie wreszcie w oczy; w milczeniu stały naprzeciwko siebie, aż odzyskały to, co straciły, i stopiły się w mocnym uścisku. Kate uwolniła ostatnie powstrzymywane łzy. Gala pogłaskała dziewczynkę po włosach, wkładając w to całą miłość, jaką ją darzyła i jaką potrafiła okazać.

– Przepraszam, mammo.

– Ciii... – szepnęła Gala aksamitnym głosem. Nie przestając głaskać Kate, poczuła, że częściowo odzyskała siły, że jej nogi zapuściły korzenie, że ta ziemia dała jej odwagę, aby powiosłować w kierunku, który sama obierze. – Ciii – szeptała dalej niczym wiatr, żeby uspokoić córkę, przepędzić żale i poczucie winy. Nadeszły nowe czasy, moment, żeby dać się porwać temu miejscu, żeby żyć, czerpać radość z tego życia i zachowywać się jak rodzina.

– Pomożesz mi upiec indyka?

– Przecież nigdy żadnego nie upiekłaś!

– Może to dobry moment, żeby się nauczyć, co ty na to?

Kate miała na twarzy uśmiech, kiedy matka ocierała jej łzy i całowała ją kilkakrotnie w czoło. Ruszyły dalej, trzymając się za ręce. Nie pamiętały, żeby kiedykolwiek wcześniej tak rozmawiały: o nich samych, o krajobrazie, o górach, o La Mudze, o babci Amelii, o jej siostrze. Wymieniały się zwierzeniami, patrzyły na siebie z odzyskanym podziwem. Kate zdała sobie sprawę, jak bardzo tęskniła za matką, jak bardzo potrzebowała jej wsparcia i czułości... Gala po prostu szła przed siebie, radosna i szczęśliwa, że może zachować na ustach uśmiech, bo od jakiegoś czasu jej się to nie udawało. Zatrzymała się i głęboko odetchnęła, spoglądając w niebo, żeby podziękować bogu deszczu za jego uzdrawiające działanie. Rzeczywistość zaczynała się zmieniać, Gala była przekonana, że na lepsze.

Do tego stopnia złąły się z przyrodą, że Amat nie mógł ich znaleźć. Od ponad godziny jeździł samochodem, wypatrując ich pośród wiatru i burzy. Musiał je natychmiast zawieźć do swojego domu. Podczas poszukiwań ponad sto razy przećwiczył, jak powiedzieć Gali, co się stało, żeby ją uspokoić, a nie wystraszyć. Zahamował tak gwałtownie, że opryskał błotem cały samochód, ale nie zwrócił na to uwagi. Wyskoczył z auta i zaczął czekać, aż Gala będzie blisko, żeby

wygłosić swoją wyuczoną przemowę. Amerykanka spojrzała na niego, nie rozumiejąc, czemu należy przypisać taką gwałtowność i taki pośpiech. Amat poczuł ukłucie w żołądku, miał ochotę ją pocałować; przeklinał los, że musi być posłańcem złych wieści.

– Tylko się nie przestrasz, dobrze?

– Co się stało?

Na widok paniki w oczach Amata strach zablokował Galę tak, że ledwo zdołała wypowiedzieć te słowa. Mężczyzna przełknął ślinę, zrezygnował z wyuczonej przemowy i wyrzucił z siebie:

– Chodzi o Adele... Straciła przytomność i... nie wiemy, co jej jest.

Gala zmieniła się na twarzy, zabrakło jej łez do płaczu, była zbyt przerażona, żeby wyobrazić sobie najgorsze. Dotarli do La Mugi w niespełna pięć minut, minutę później wszyscy byli w pokoju Marca i patrzyli na Adele, która leżała z przymkniętymi oczami i posyłała im słaby uśmiech. Gala uklękła przy łóżku i płacząc, zasypała twarz córki pocałunkami. Kate stała bez ruchu przy drzwiach; umierała ze strachu na samą myśl, że jej siostrze może się przytrafić coś złego.

– To nic takiego. Zwykle omdlenie, proszę pani. Za dużo wrażeń w krótkim czasie. Potrzebuje trochę odpoczynku i... będzie jak nowa!

Lekarz usiłował uspokoić Galę, która trawiona niepokojem, bombardowała go pytaniami: „Czy to coś poważnego? Co się dokładnie stało? Nigdy wcześniej nie zemdlą, wie pan? Jest pan pewien? Co chce pan powiedzieć, mówiąc o odpoczynku?”. Nalda próbowała pośredniczyć między lekarzem a Galą; Amerykanka była gotowa obarczyć całą odpowiedzialnością biednego doktora Garrigę, który od lat mierzył ciśnienie mieszkańcom La Mugi. Zestarzał się jak pozostali, ale był dobrym lekarzem; leczył wszystkie dzieci w wiosce, a jego doświadczenie pozwalało ufać diagnozie, którą postawił.

– Mamo, czuję się dobrze... Jestem tylko trochę zmęczona, nic poza tym.

Czerwona odprowadziła doktora Garrigę do drzwi i podziękowała mu za pomoc. Siedział przy Adele od dwóch godzin, nie zasługiwał na to, jak potraktowała go Gala. Na szczęście lekarz przywykł do nieufności nowo przybyłych, młodych par, które uciekają z wielkich miast i przenoszą się na wieś, a potem drżą z powodu każdej błażej choroby, przerażeni brakiem odpowiedniej opieki zdrowotnej. Gdyby to było coś poważnego, pierwszy zadzwoniłby po karetkę i pojechał z dziewczynką do najbliższego szpitala, ale z wszelkimi infekcjami, spadkami ciśnienia i wirusami radził sobie lepiej niż ktokolwiek inny.

– *Nalda, si torna a quedar-se inconscient... truca'm! Sigui l'hora que sigui, d'acord?*

– *No pateixis que ho faré*[41].

Kate i Gala wróciły do wioski na pół przemoczzone – chociaż udało im się przecześć najgorsze, nie zdołały uniknąć wszystkich następstw burzy. Potrzebowały prysznic i suchych ubrań. Nalda postanowiła przejąć stery i – jak przystało na dobrą gospodynię – przenocować je u siebie w domu; będą jej gośćmi, bez względu na to, co powie Gala. Marc chciał zostać przy Adele, Kate i jej matka miały zająć pokój Amata, a Amat spać na kanapie z Bostonem. Nie mogły powstrzymać uśmiechu na widok niezadowolonej miny mężczyzny, który tak naprawdę stresował się tym, że spędzi noc blisko Amerykanki.

Kiedy minął pierwszy strach, a Adele doszła do siebie po nagłym omdleniu, Kate i Gala poszły wziąć kąpiel, którą starannie sobie przygotowały. Amat i dziadek Vicente rozpalili w kominku, żeby ogrzać salon; zazwyczaj jedli kolację w kuchni, tylko przy wyjątkowych okazjach nakrywali duży stół i palili w zamkowym kominku, jak nazywał go Marc.

Nalda, która nie lubiła kucharzyć, wyjęła z zamrażalnika rosół z kury i miejscową botifarrę. Do tego zielona sałata z pomidorami z własnego warzywnika, opiekany nad ogniem

chleb nasączony oliwą z czosnkiem i mięszem pomidorowym i... do stołu! Dziadek Vicente wyciągnął *porrón*, dzbanek z długim dziobkiem, w którym podał gościom zakazaną, tajemniczą miksturę: dobre wino forgas z wodą sodową.

– Jeśli Teresa się dowie, co wyrabiacie z jej winem...

Gala nie chciała nikogo obrazić, ale zdążyła się już zorientować, że forgas nie należy do win, które miesza się z wodą sodową, tylko do tych podawanych w kryształowej karafce. Jej komentarz nie został odebrany jako obraźliwy, wszyscy zareagowali śmiechem, nie tyle na jej słowa, ile na wiadomość, że zdążyła poznać Teresę.

– Wina Forgasów nie są dobre?

Pytanie wywołało jeszcze większy śmiech; nie zamierzali uwłaczać Drugiej, po prostu wszyscy doskonale znali jej manię wyższości na punkcie win forgas, które choć były całkiem dobre, nie stanowiły aż tak luksusowego produktu, za jaki je uważała. Gala zaczynała rozumieć, że kpiny dotyczą nie tyle wina, ile charakteru Teresy.

– To nie jest zła kobieta, wiesz? Trochę zarozumiała, i tyle.

Dziadek Vicente przez cały wieczór opowiadał nowo przybyłym zabawne historie z życia wsi; jako jedyny z jej mieszkańców nigdy nie opuścił La Mugi i był dumny, że zna tylko ten kawałek ziemi.

– Wielu chwali się, że zwiedziło kilkadziesiąt krajów, ale ledwo znają swoich sąsiadów...

Kate z rozbawieniem słuchała opowieści dziadka Vicentego i Naldy, Marc wymykał się od czasu do czasu, żeby odwiedzić Adele, a Amat korzystał z każdej krótkiej chwili nieuwagi pozostałych, żeby kątem oka zerknąć na Galę. Odkrywał ze strachem, że wszystko w niej jest piękne, i przerażała go niedorzeczność własnego serca, które po długiej beczynności postanowiło wreszcie zabić mocniej, w dodatku dla mężatki, Amerykanki wścieklej na życie. Nalda z uwagą obserwowała syna; już pierwszego dnia dostrzegła w jego oczach oznaki zawstydzenia osoby, która pragnie się zakochać. Do zdjęcia uroku Amat znów wybrał niewłaściwą kobietę, Czerwona zrobiłaby wszystko, byle nie zderzył się dwa razy z tym samym murem. Cenila Galę, ale syn był dla niej najważniejszy. Wyciągnięcie go ze studni rozpaczy po nieodwzajemnionej miłości kosztowało ją dużo potu i łez, nie zamierzała patrzeć, jak znowu się do niej rzuca. Postanowiła przypuścić kontratak, świadoma, że narazi się Amatowi.

– A co u twojego męża? Przyjedzie na święta?

Te dwa pytania sprawiły, że śmiechy umilkły. Nalda poczuła kopnięcie w kostkę od męża za to, że popsowała dobrą atmosferę wścibstwem właściwym innym kobietom ze wsi, ale nie jego żonie. Ona jednak doskonale wiedziała, co robi.

– Jak długo jesteście małżeństwem?

– Piętnaście lat.

– Adele mi powiedziała, że jest znanym chirurgiem, to prawda?

Gala nie miała zbytnej ochoty rozmawiać o Fredericku ani podtrzymywać fikcji w obecności Kate. Próbowwała uciąć temat krótkimi odpowiedziami, jednak Nalda nie dawała za wygraną. Amat i Vicente zaczęli chrząkać i pić więcej wina, niż wypadało. Kate siedziała ze spuszczoną głową, ale uważnie słuchała matki. W niewygodnej sytuacji każdemu włącza się alarm i każdy reaguje, jak potrafi. Dziadek Vicente poszedł po fajkę, Amat dołożył dREW do kominka, Marc pobiegł do Adele, a Kate usiadła na kanapie i włączyła telewizor. Nie zjedli jeszcze deseru ani nie wypili kawy, a Nalda już zdołała sprawić, że czar prysł, a jej syn wrócił do rzeczywistości.

– *Mama, m'acompanyes a la cuina a servir les postres?*[42]

Amat rzucił matce mordercze spojrzenie. Nalda zrozumiała, że już wystarczy, i prezentując najlepszy ze swoich uśmiechów, wstała, żeby pójść za synem. Gdy tylko zamknęły

się drzwi kuchni, mężczyzna wpadł w szal. Nigdy nie widziała go w takim stanie. Miała świadomość, że go zraniła, ale miłość matki sięga dużo dalej, woli wyrzucić krzywdę, by uniknąć większej.

– *Què dimonis et passa, eh? Deixa de fixar-te en ella, m'has entès? Ni far per a tu, ni està per tu, ni ès lliure, em sents?*[43]

Ryk matki może być niczym tajfun, który równa wszystko z ziemią. Faktem jest, że Nalda wypłała dużo wina z wodą sodową, jednak doskonale wiedziała, o czym mówi. Dużo lepiej niż Amat, który przez kilka minut stał oniemiały, zanim doszedł do siebie. Jego matka miała rację: miłość wybiera swoich kochanków. Dawał się ponieść uczuciom, powinien jakoś temu zaradzić, zanim spadnie z obłoków na ziemię. Miał jeszcze czas, żeby zmienić bieg rzeczy, nie zakochać się w niewłaściwej kobiecie, nie przeżywać ponownie nieodwzajemnionej miłości. Pierwsza została zdradzona, ale zakochanie się w Gali – mężatce, Amerykance, kobiecie, która go nie chce – byłoby wbiciem kołka we własne serce.

Przeznaczenie igrało z każdym z nich: Gala musiała zebrać siły przed powrotem do domu i rozmową z Frederickiem, jakiej nigdy wcześniej nie przeprowadzili; Adele odzyskać je, żeby pozostać z Markiem; Kate nacieszyć się tym „przeklętym miejscem”; a Amat zasypać piaskiem ogień, który podsycala Gala. Prawa natury są bardziej złożone, niż się wydaje, i wystawiają na próbę tych, którzy podnoszą przeciw nim bunt, którzy ich nie przestrzegają albo je ignorują.

Pozostaje tylko usiąść i poczekać na bieg wydarzeń... Czyżby Czerwona była tak potężna, że mogła pokonać przeznaczenie?

## VII

Gala nie pamiętała równie starannych przygotowań do świąt jak te w La Mudze. Bez wcześniejszych uzgodnień, wszystkie trzy postanowiły niezależnie od siebie, że to Boże Narodzenie będzie wyjątkowe. Żadna nie wspomniała o nieobecności Fredericka ani babci Julianne, skupiły się na tym, żeby uczcić ten dzień zgodnie z miejscowymi tradycjami.

– Jesteś wierząca?

Joana nie była zbyt religijna, ale reszta wsi tak, więc dwudziestego czwartego grudnia o północy wszyscy szli do kościoła na pasterkę. Kate wiedziała, że tej nocy ludzie modlą się także w jej kraju, bo babcia poszła któregoś roku do Świętego Patryka, ale nie towarzyszyli jej ani matka, ani ojciec. Nie miała nic przeciwko temu, żeby pójść na tę mszę. Zbyt dobrze pamiętała rozmowę z Joaną, która sprawiła, że poważnie przemyślała swoją postawę i próbowała docenić nowych znajomych: Joanę i Aleiksa.

– Zawsze taka jesteś?

Szły kupić ozdoby na choinkę; każdy miał przynieść bombki, łańcuchy i lampki, żeby z sosny rosnącej na głównym placu zrobić najpiękniej ubrane drzewko w okolicy. Ratusz miasteczka Perelada, któremu podlegała La Muga, dostarczał podstawowe rzeczy; reszta należała do mieszkańców. Agnès, która była w tym roku odpowiedzialna za przystrojenie drzewka, poleciła Kate i Joanie, żeby wzbogaciły gigantyczną choinkę o jakiś amerykański akcent. Adele i Marc mieli pomóc Tomasi i Francisce przy szopce. Gala była wdzięczna, że jej córki mają zajęcie. Sama postanowiła wyrzucić dom babki do góry nogami, wysprzątać go i pozbyć się części rzeczy, które z pomocą Naldy chciała podarować potrzebującym.

Wszyscy mieli jakąś misję do wykonania, cała wioska czekała na sygnał do rozpoczęcia Bożego Narodzenia. Jak w każde święta w każdej części świata, do głosu dochodziły wzajemne pretensje, nerwy i emocje. La Muga wrzała od przygotowań, każda z mieszkańek miała coś do załatwienia, biegła uwarzyć pierwszą z trzech kolacji albo zrobić ostatnie zakupy przed pasterką, żeby – *sotto voce* – zasłużyć na miano najelegantszej kobiety roku. La Muga była małą wioską, przestrzeganie tradycji wiązało się tu z rywalizacją i zazdrością. Jak w dużej rodzinie, istniały w niej spięcia, a w tym okresie wybaczenia i pojednania zamiast łagodnieć, jeszcze bardziej się zaostrzały.

– Zawsze taka jesteś?

Joana powtórzyła pytanie, bo Kate odpowiedziała milczeniem. Wykazała dużo cierpliwości wobec Amerykanki, ale nie mogła dużej ścierpieć, że wszystko, co dotyczy La Mugi, uważa za mniej istotne albo wręcz nieważne tylko dlatego, że przyjechała z Nowego Jorku. Ona sama była największą fanką Manhattanu, ale czuła się bardzo dumna, że należy do tej wsi, że jest stąd i że ma taką rodzinę, takich przyjaciół i takich sąsiadów. Straciła do Kate cierpliwość, bo odkąd się poznały, nie usłyszała od niej jednego dobrego słowa o La Mudze i jej mieszkańcach.

– Mam już trochę dosyć tego, że – za przeproszeniem – masz w sobie tyle gówna, wiesz?

Kate i Joana stały niczym posągi, unieruchomione w połowie drogi na drugie piętro w jednym z największych w okolicy sklepów „wszystko za 1 euro”. Zepsuły się schody ruchome i wyjście z mrowiska, w którym utknęły, miało im zająć trochę czasu.

Kate nie wiedziała, jak zareagować. Do tej pory koleżanka nie pokazywała, że ma charakter, po raz pierwszy zgłaszała o coś pretensje i się obrażała. Było oczywiste, że Joana powiedziała „wystarczy!”, bo miała jej dosyć. Co powinna zrobić? Nie wiedziała, od czego zacząć, nie przypuszczała, że jej zachowanie może być obraźliwe dla Joany czy innych. Ona...

tylko wyrażała swoje zdanie!

– Nie ma w tej okolicy nic, co by ci się podobało? Nie ma w twoim życiu nic, co by ci się podobało?

Joanę cechowała ogromna wspaniałomyślność, mogła dużo znieść, ale była też bezkompromisowa i kiedy jej cierpliwość osiągała granicę, kiedy przepelniała się czarna goryczy, szybko ją opróżniała, nie bacząc na wyrządzone szkody. Tego ranka, w połowie zepsutych schodów ruchomych, wypomniała amerykańskiej koleżance o długiej szyi wszystko, co przyszło jej na myśl, bez ogródek i niemal jednym tchem. Kate wysłuchała w milczeniu litanii żalów i skarg, i choć bolało ją to, co mówiła Joana, nie odezwała się ani słowem.

– To, że się mieszka w małej wiosce, nie świadczy o opóźnieniu w rozwoju, wiesz? Może to ty jesteś opóźniona, bo nie dostrzegasz w ludziach ich wnętrza. Wiesz, dlaczego chcę odnieść sukces na Broadwayu? Bo uważam, że będąc tym, kim jestem, dziewczyną ze wsi z tak żyznej i magicznej krainy jak Empordà, mam dużo do zaoferowania. Wiem, że mnie nie cenisz, nie wierzysz, że mam talent, jak zresztą większość tutejszych. Ale oni przynajmniej mnie zachęcają, żebym spełniła swoje marzenie. A jeżeli mi się nie uda, zapewniam cię, że wrócę szczęśliwa w to miejsce, bo kiedy śpię, ono do mnie przemawia, a kiedy męczy mnie jakiś koszmar, posyła wiatr, żeby jego szum dotrzymywał mi towarzystwa. Nie jestem taka jak ty. Ja, kiedy oddycham, jestem wdzięczna; kiedy się do mnie uśmiechają, odwzajemniam uśmiech; kiedy mi pomagają, dziękuję. Odkąd przyjechałaś, chciałam zostać twoją przyjaciółką, bo cię polubiłam, nawet zaryzykowałam swoje marzenia, choć wiedziałam, że mnie oszukujesz. Myślisz, że jestem taka głupia, żeby uwierzyć, że twój tata zna Roberta de Niro? Nie jestem, ale widziałam, jak ci zależy, żeby wrócić do koleżanek i do ojca. Podziękowałaś mi? Ja cię przeprosiłam, że się wygadałam, a ty? Narzekania i pogarda. Wiesz? Nie jesteś taka doskonała, za jaką się uważasz. Jesteś raczej... nieznośna! Powinnaś brać przykład ze swojej siostry...

Joana weszła po schodach, nie oglądając się za siebie. Zostawiła Kate oniemiałą z powodu tego, co usłyszała. Odchodziła ze łzami w oczach, bo powiedziała przyjaciółce wszystko, co o niej sądzi, bo sprawiła jej ból. Jednak nie mogła wytrzymać ani minuty dłużej w jej towarzystwie, nie mogła wysłuchiwać żalów, skarg, pogardliwych uwag o swoim otoczeniu i życiu. Nie zniosłaby, gdyby kolejny raz rzucono jej w twarz, że jest głupia, gdyby śmiano się z niej zamiast z nią. Joana była marzycielką, prostoduszną dziewczyną, która pobudzała innych do działania, emanowała radością wszędzie, gdzie się znalazła, i z nikim nie szukała zwady – wręcz przeciwnie, we wszystkim dopatrywała się szczęścia. Od dziecka czuła się nierozumiana przez swoją rodzinę, a w szkole nie potrafiła pojąć, dlaczego ludzie widzą wszystko w czarnych kolorach i wędną jak stokrotki, którym odcięto dostęp do słońca i które opluto, zamiast podlać. Nie zamierzała się zmieniać, widziała życie w innych barwach, wybierała uśmiech, próbowała szukać w ludziach dobra. Co w tym złego? Nie znosiła smutku, czuła się z nim niepewnie, to była druga strona życia, której czasem musiała stawić czoło, żeby odzyskać dobre samopoczucie.

Kate doszła do siebie i była w stanie zareagować na to, co usłyszała, dopiero po kilku minutach. Czuła się tak, jakby zaatakowano ją niespodziewanie od tyłu, z zaskoczenia. Joana nigdy nie dawała do zrozumienia, że przeszkadza jej charakter koleżanki, nigdy nie narzekała na uwagi Kate; wydawało się, że wszystko jest w porządku, do chwili kiedy na środku zepsutych schodów ruchomych zadała pytanie, które wywołało burzę.

„Zawsze taka jesteś?”

Nigdy się nie zastanawiała, jaka jest ani czy swoim zachowaniem może krzywdzić innych. Po prostu była i... tyle! Miała charakter i zazwyczaj mówiła wprost to, co myśli. Wprawdzie Gala często ją przed tym przestrzegała – była w końcu jej matką – ale Kate zawsze uważała, że to nieuzasadniona krytyka właściwa rodzicom, którzy muszą przypominać, kto ma

władzę. Ale żeby Joana? Nie mogła uwierzyć, że koleżanka zrobiła jej wykład pełen potępienia i goryczy. Aż tak dużą pogardę do niej czuje? Nagle, kiedy stała tak sama w sklepie, zagubiona, z dala od wsi, otoczona nieznanymi ludźmi, rozpaczliwie szukając prezentów, promocji i błyskotek do udekorowania choinki, poczuła się samotna. Przeraziło ją, że została odtrącona. Nie miała zamiaru nikogo krzywdzić ani wyrażać pogardy wobec życia w La Mudze. Wszystkie staruszki były bardzo miłe dla niej, dla Adele i dla ich matki; Joana okazała jej wspinałomyślność, Kate uważała ją i Aleiksa za towarzyszy przygód. Ale to nie był jej... świat! Nie chciała tu przebywać ani należeć do tej ziemi, ani mieć rodziców, którym grozi lada chwila rozwód, bo dawno przestali się kochać. Chciała innego życia, chciała być tak samo radosna jak Joana, chciała... po prostu być szczęśliwa. Może gardziła wszystkim, co pachniało szczęściem, właśnie dlatego, że sama nawet się o nie nie otarła.

Zeszła z przeklętych schodów, przeskakując po cztery stopnie. Brakowało jej powietrza, więc pobiegła szukać wyjścia i ukryła się za jakimś samochodem, ze wstydu, że ktoś mógłby zobaczyć, jak płacze. Nie jest łatwo być bogatą dziewczynką i wychowywać się w sztucznym świecie, gdzie pozory są ważniejsze niż to, co czujesz. W głębi duszy chciała być taka jak Joana, pragnęła żyć, nie osądzając innych, czuć się wolna, żeby biegać jak Adele i odkrywać nowe światy; pragnęła, żeby widziano w niej dziewczynkę, którą była: zbuntowaną, psotną, żądną przygód, kreatywną i pod każdym względem niekonwencjonalną. Jej rodzina wprost nurzała się w rutynie, którą ona odrzucała i której nienawidziła. Przyjazd do La Mugi otworzył przed nią nowy świat, gdzie mogła swobodniej wyrażać swoje emocje, ale ten świat nie był jej, bo za kilka dni miała wrócić do swojej rzeczywistości: do penthouse'u w Upper Side, do ojca będącego stale w rozjazdach, uciekającej matki i babci cierpiącej na różne obsesje.

Joana zobaczyła Kate, jak siedzi oparta plecami o koło terenówki i szlocha niczym czteroletnia dziewczynka. Usiadła obok i pogłaskała ją po włosach, bo przyjaciółka ze wstydu ukryła twarz między kolanami i zasłoniła głowę rękoma. Nikt nie powiedział, że gdy ma się trzynaście lat, życie jest proste, ani że dzieciństwo to jedno wielkie wesołe miasteczko. Kate bała się, że straci Joaną, że ta już nie będzie chciała być jej przyjaciółką. Nie licząc Jersey, była samotnym jeźdźcem, bardziej z przymusu niż z wyboru. Niezbyt pasowała do świata, nie znalazła rówieśników, którzy podzielaliby jej poglądy, albo przynajmniej ich nie osądzali, a w La Mudze spotkała kogoś, kto wydawał się ją rozumieć i z kim mogła żartować. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej miała pierwszy okres i czuła się trochę nieswojo z tym nowym doświadczeniem, ze świadomością, że chłopcy patrzą na nią inaczej, że urosły jej piersi, przez co zaczęła nosić stanik. Nie było jej łatwo, możliwe, że faktycznie za często się dąsa i zapominała, co to uśmiech. Dlatego Joana była tak ważna w jej życiu; ona i Aleix sprawiali, że uśmiechała się nawet wtedy, kiedy wcale nie miała na to ochoty.

– Założę się, że w twoim kraju pieńki nie srają prezentami.

Kate spojrzała na Joaną; nie zrozumiała, o co jej chodzi, ale nie mogła powstrzymać uśmiechu. Srające pieńki? Nigdy o niczym takim nie słyszała. W pierwszej chwili uznała, że to wymysł koleżanki, ale Joana zapewniła, że mówi poważnie. Tutaj Święty Mikołaj nie wchodzi przez komin ani nie przelatuje nad dachami na saniach zaprzężonych w skrzydlate renifery.

– My, którzy żyjemy z ziemi, wiemy, że to z niej biorą się prezenty.

Joana nie potrafiła dobrze wyjaśnić pochodzenia tradycji *Caga Tió*, ale była pewna, że Czerwona Nalda opowie o niej, zanim wieczorem uderzy kijem w drewniany klocek, żeby wydalił prezenty.

– Sztama?

Kate otarła łzy; obawiała się odpowiedzi Joany, ale ta nie kazała jej długo czekać.

– Sztama!

Kate potrafiła być nieznośna, miała jednak w sobie jakąś poruszającą słodycz, którą jej przyjaciółka dostrzegła już na początku ich znajomości. Amerykanka odznaczała się byстрыm umysłem, Joana zazdrościła jej inteligencji, ale wyczuwała też wrażliwość, której okazywanie sprawiało Kate problem. Kiedy była spontaniczna, kiedy zapominała o buncie i narzekaniach, stawała się równie prostoduszna jak Joana i wzruszała się byle szczegółem otaczającej ją przyrody.

Pospiesznie wróciły do Chińskiego Giganta, jak okoliczni mieszkańcy ochrztili ten niesamowity sklep. Dorośli mówili o inwazji Chińczyków, a niektórzy planowali nawet bojkot, jednak czasy były trudne, nie pozwalały na wydanie choćby jednego euro za dużo na bombki. Musiały kupić wiele ozdób, jeśli chciały, żeby ich choinka była najchętniej odwiedzana w okolicy. Gdyby nie pojechały do Chińskiego Giganta, za pięćdziesiąt euro dostałyby nie więcej niż pięć opakowań błyskotek. Na szczęście dzięki słynnym listom zakupów Joany połowę roboty miały już z głowy, szły na pewniaka, doskonale wiedziały, co mają kupić, żeby zamienić sosnę w amerykańską choinkę.

Adele wahała się, czy powinna ponownie wejść na teren gospodarstwa Tomasy. Marc nie mógł uwierzyć, że dziewczynka boi się Bogaczki. Staruszka była może trochę porywczą, ale miała dobre serce. Z okazji świąt sprezentowała wszystkim mieszkańcom wioski po dwa koszyki z najdorodniejszymi warzywami i owocami z własnego ogrodu. Co roku przygotowywała hojne zestawy wiktuałów, o których mówiło się w całej wsi i za które wszyscy byli jej wdzięczni. Kuzynka Tomasy, Francisca, odpowiadała z kolei za zrobienie szopki bożonarodzeniowej. Kupowała i odnawiała figurki przez cały rok, od miesięcy pracowała nad tym, żeby narodziny Dzieciątka Jezus były wyjątkowe. Chociaż największą czią otaczała kwiaty, po śmierci męża wzrosło jej zamiłowanie do szopek, aż w końcu stajenka betlejemska w La Mudze stała się najczęściej odwiedzana w okolicy.

– Wiesz, że ma ponad tysiąc figurek?

Adele, która wlokła się za Markiem, zaczęła słuchać z zainteresowaniem. Powiedział, że największa szopka świata znajduje się w Neapolu i że do powstania jej figurek przyczynili się nawet królowie. Adele już słyszała tę historię, bo w zeszłe Boże Narodzenie ojciec zabrał je do Metropolitan Museum, żeby zobaczyły szopkę neapolitańską.

– A ile ma figurek?

– Nie wiem, ale według mojego taty są tam te najbardziej cenne.

Marc i Adele puścili wodze fantazji i każde z dużą dawką przesady opisało swoją szopkę. Dzięki Francisce żłóbek w La Mudze rzeczywiście był najczęściej odwiedzany w okolicy, ale nie otaczał go tysiąc figurek; połowa spokojnie wystarczała, żeby stworzyć cieszące oczy widowisko. Od lat w tych dniach Tomasa oddawała Francisce do dyspozycji niewielką stodołę, gdzie Święta odtwarzała Boże narodziny i... całą ewangelię! Obok roślin była to druga pasja Franciski, jej szopki stanowiły powód do dumy dla wszystkich mieszkańców. Przez cały rok prosiła ich o różne przysługi, żeby udoskonalić swoje dzieło i zaskoczyć publiczność.

Tomasa powitała ich w fartuchu, z dwiema szklankami świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy. Adele weszła na teren jej gospodarstwa ze spuszczoną głową, na miękkich nogach, gotowa w każdej chwili rzucić się do ucieczki. Marca bawiło zachowanie przyjaciółki. Jednak gdy tylko weszli do stodoły i zobaczyli szopkę, dziewczynka zapomniała o strachu i dała upust swoim emocjom.

Nie jest znane pochodzenie wszystkich onomatopei; nie wiadomo, kim była ludzka istota, która olśniona widokiem czegoś wspaniałego, wydała z siebie pierwsze „oooch!”, ale tak jak psy czują nieodpartą potrzebę zakopania kości w ziemi, tak człowiek powtarza owo „oooch!”, kiedy wpada w uniesienie w obliczu tego, co piękne, niezwykle, wyjątkowe. Adele wyrwał się ten



okrzyk, gdy tylko przestąpiła próg stodoły i zobaczyła ukryty tam świat: całą cywilizację w miniaturze, ludzi oddających się codziennym zajęciom, domy, łąki, pola, strumyki, młyny, wieś, która przyjmowała nowo narodzonego Jezusa. Marc też wykrzyknął głośne, euforyczne „oooch!”, ujrzawszy, jaką niespodziankę kryje tegoroczna szopka. Święta postanowiła umieścić w niej ich wszystkich. Czy to możliwe? Były tu nawet... one! Adele, Kate i Gala znalazły się w szopce. Pierwszy raz Francisca postanowiła zrobić z miasteczka Betlejem miniaturową La Muge: z traktorami, kłaczami Jowa i Cecilli, świniami, krowami, dzwonnica i wszystkimi mieszkańcami zajętymi swoimi sprawami. Wzruszył się, rozpoznawszy rękę dziadka Vicentego, który wyrzeźbił w drewnie domki, drzewka, a nawet świnki.

Adele nie od razu to zauważyła. Miniaturowy świat zrobił na niej zbyt duże wrażenie, więc nie spostrzegła, że ona też jest w szopce, dopóki Marc nie pokazał palcem jej figurki. Podeszła najbliżej, jak mogła, żeby zobaczyć, o co chodzi, i z wrażenia... o mały włos nie zdeptała spichlerza! Marc wypatrzył, że w szopce znajduje się kolekcja bonsai Franciski, że Alfonso Forgas pożyczył jej swoją miniaturową makietę winnic, odgadł, że to na pewno Jacinto pomógł przy zakładaniu instalacji elektrycznej. Mąż Agnès uczył się kiedyś zawodu elektryka, więc zawsze go wzywano, kiedy we wsi dochodziło do awarii prądu.

Francisca ucieszyła się, widząc entuzjazm, z jakim dzieci zareagowały na odkrycie osobliwości szopki. W ubiegłym roku obiecała sobie, że choćby miała się narazić na krytykę, nadszedł moment, żeby złożyć hołd wsi, i że z pomocą wszystkich mieszkańców oraz dzięki drobnym datkom od każdego z nich uda jej się osiągnąć ten cel. Jak to bywa w przypadku wielu projektów, efekt znacznie przerósł pierwotny zamysł. Kiedy szopka była już prawie skończona, Francisca wiedziała, że zdołała wiernie odtworzyć La Muge i jej magię.

– Widzieliście to tylko wy i Tomasa. Dziś w nocy, po pasterce, zgodnie z tradycją otworzymy drzwi, żeby każdy, kto będzie chciał, mógł ją obejrzeć.

Adele i Marc mrugnęli do niej porozumiewawczo – widzieli szopkę pierwsi i musieli utrzymać wszystko w tajemnicy aż do nocy. Adele nie mogła się doczekać, żeby zobaczyć reakcję Kate i matki, kiedy odkryją swoje zminiaturyzowane podobizny...

– Úrsula na pewno zaprotestuje z powodu rozszłoszczonego wyrazu twarzy swojej figurki.

Marc i Adele pomogli Francisce w ostatnich pracach wykończeniowych. Poprzyklejali w parkach minikosze na śmieci, świeżo pomalowane miniławeczki, poidła dla zwierząt i anonimowe postacie, które dodawały całości realizmu. Czas płynął im zbyt szybko; spod kłosa, pod którym się zamknęli, wyciągnął ich dopiero wujek Marca.

Kiedy Tomasa weszła do stodoły i powiedziała, że woła je Amat, dzieci zaczęły prosić, żeby pozwoliła im zostać z Francisca, aż skończą szopkę. Święta też rzuciła kuzynce błagalne spojrzenie. Tomasa nie potrafiła ani nie chciała jej odmówić. Amat okazał zrozumienie dla entuzjazmu Adele i Marca i wrócił do domu bez nich. W końcu Bogaczka da im jeść, a przed nadejściem nocy trzeba jeszcze przygotować *tió*.

La Muga pachniała jedzeniem, zawartością kociołków stojących na największym ogniu, w których warzyła się strawa na Wigilię, Boże Narodzenie i Świętego Szczepana. Wieś czekały trzy dni świętowania w rodzinnym gronie i wielkiego ucztowania, a każdy z nich miał swoje specjalne menu i tradycje. Trudno było spotkać kogoś na ulicy, mało kto przystawał, żeby porozmawiać; nikt nie chciał tracić czasu, zostało zbyt wiele rzeczy do zrobienia przed przyjazdem bliskich: dzieci, ich partnerów, wnuków, krewnych, którzy na Boże Narodzenie zawsze ściągali do La Mugi.

Amat potrzebował trochę czasu dla siebie, postanowił się przespacerować parkiem w okolicy śluzy na Mudze. Kiedy czuł, że ciąży mu głowa, lubił chodzić nad rzekę i słuchać jej spokojnego szumu. Od dwóch dni wracał do wsi tylko na noc, unikał kontaktów z Galą, umawiał

się na obiady i kolacje ze znajomymi; szukał rozrywki, żeby odsunąć myśli o Amerykance. Nie udało mu się, ale przekonał sam siebie, że powinien stracić pamięć, popaść w amnezję, zapomnieć Galę. Pochodzili z dwóch różnych światów. On należał do tej ziemi i nawet gdyby Amerykanka odwzajemniła jego miłość, nie opuściłby La Mugi; już raz to zrobił i obiecał sobie, że nigdy więcej nie ulegnie. Jego matka ma rację, ta kobieta należy do innej rzeczywistości, jego zakochanie jest bardziej wymyślone niż realne; ona nic do niego nie czuje, a on uległ jedynie fascynacji. Pomyślał o Amelii Xatart, chciałby móc z nią porozmawiać, opowiedzieć jej, co się z nim dzieje, wysłuchać jej rad, a na koniec jak zawsze wybuchnąć razem z nią śmiechem, poddając się zwariowanemu charakterowi staruszki. Nie miał ochoty jeść wigilijnej kolacji w domu, wiedział, że matka zaprosiła Amerykanki, i nie chciał robić przedstawienia. Od miłości do złości niedaleka droga, a skoro nie kocha Gali, to musi być na nią wściekły. Co może zrobić, żeby zapobiec awanturze w domu?

– Béatrice!

Francuzka była świetna w obłaskawianiu bestii i gwarantowała, że spędzą cudowny wieczór wigilijny. Tak sądził, dlatego bez zastanowienia zaprosił ją do domu na kolację. Béatrice czekała na to zaproszenie od paru lat, więc gdy tylko je przyjęła i odłożyła słuchawkę, zaczęła się szykować na tę okazję. To, co dla jednych jest dobrą wróżbą, dla innych może okazać się zgubne. Rzeczywistość ma wiele twarzy, można ją interpretować na różne sposoby; niespodziewany gość na Wigilii dostaje dużo kuponów i ma większe szanse na wygraną w loterii fantowej.

– *Aquest any no anirem a la quina, em sents?*[44]

Nalda rozmawiała z Vicentem, pilnując wigilijnego rosołu, który gotował się na dużym ogniu. Dziadek Vicente był zapalonym graczem, uwielbiał karty, niedzielne bingo i oczywiście bożonarodzeniowe *quinto*, rodzaj bingo, w którym używa się zawsze tych samych plansz, wylosowane liczby zaznacza ziarnami kukurydzy, a zamiast pieniędzy wygrywa coś do jedzenia. Któregoś razu dostał dwie kury! Za to Czerwona nie znosiła żadnych gier – wydawały jej się prymitywne, zwłaszcza *quinto*, w którym rywalizowano o świnie i kury. Co pomyśla sobie o nas Amerykanki? Vicente i Nalda, szczęśliwa para z długim stażem małżeńskim, często kłócili się o tradycje; ona nienawidziła korridy, a Vicente marzył, żeby zobaczyć na żywo Sanfermin. Był prostym mężczyzną ze wsi, tradycjonalistą, ona zaś najbardziej postępową mieszkanką La Mugi: feministką od czasów młodości, bojowniczką, buntowniczką, wiedziała, co się dzieje na świecie, i... popierała prawo do aborcji!

– *Què tindrà a veure l'avortament amb anar a jugar a la quina?*[45]

Kiedy Nalda wpadała w złość, traciła poczucie proporcji, i choć to, co mówiła, nie miało sensu, upór nie pozwalał jej zmienić zdania. W końcu zawsze ustępował Vicente, ale tylko pozornie, bo potem i tak udawało mu się zrobić to, na co miał ochotę. Dla Naldy protestowanie było równie ważne, co niezabranianie; odkąd jako dziewczynka doświadczyła wojny, przyrzekła sobie, że wolność będzie dla niej świętością, i od tamtej pory starała się za wszelką cenę wypełniać swoją obietnicę.

Gala, która siedziała na dużej kanapie, słyszała sprzeczkę Naldy i Vicentego, ale niewiele z niej rozumiała. Pół godziny temu wrócili z zakupów – przynieśli dla wszystkich prezenty, które, jak wyjaśniła jej Nalda, schowają pod kocem przykrywającym pieniek z nóżkami oraz namalowanym uśmiechem i oczami.

– Kochana, mieszkańcy tej ziemi czczą nie postać, która wzięła się od napoju orzeźwiającego, ale pień drzewa, symbol uspionej w zimie przyrody. Kiedy uderzysz w niego patykiem albo laską, wydala, żeby na nowo użyźnić ziemię i zapoczątkować nowy cykl natury. W tej okolicy darzymy naszą ziemię dużym szacunkiem, pamiętamy, żeby oddawać jej cześć przy każdej sposobności.

Gala była tak zabiegana, że nie miała nawet czasu, żeby pomyśleć o telefonie do Fredericka czy do matki. Pan Bardziej-niż-Doskonały zostawił jej kilka wiadomości na poczcie głosowej, jak co roku naśladując Świętego Mikołaja. Kiedyś zakochała się w jego „ho, ho, ho!”, teraz przyprawiało ją o mdłości. Dziwne, że matka nie zadzwoniła, żeby wygłosić jej kazanie i kazać wsiąść w pierwszy samolot lecący do Miami albo do Nowego Jorku. Chociaż nie miała ochoty z nią rozmawiać, coś w środku kazało jej się zainteresować, co u niej słychać. Abstrahując od ich relacji, w końcu była jej matką i...

– Na miłość boską, przecież jest Wigilia!

Miała szczęście – telefon matki znajdował się poza zasięgiem. W Miami było dopiero wpół do ósmej rano, Julianne, która nie znosiła spać z włączonym telefonem, najprawdopodobniej o tej porze jeszcze śniła. Gala była przekonana, że za to Pan Bardziej-niż-Doskonały już nie śpi – wstawał codziennie za piętnaście szósta, żeby ćwiczyć i rzeźbić swoje wysportowane ciało. Nie miała pojęcia, gdzie może uprawiać swój poranny jogging, zresztą wcale nie musiała tego wiedzieć ani nie miała ochoty usłyszeć jego głosu w innej postaci niż nagranie, które można wykasować, nie wysłuchawszy do końca. Właśnie to chciała dostać pod choinkę: magiczny reset, żeby mogła odzyskać szacunek dla samej siebie i stawić czoło Frederickowi; żeby kiedy znowu przekroczy granicę, była w stanie wystawić mu za drzwi walizki, a nie tylko rzucić w niego kawałkiem pizzy; żeby potrafiła mu powiedzieć, aby jechał sobie do Disney Worldu ze swoimi przyjaciółkami, bo ona przestała być Kopciuszką i zamieniła się w Meridę Waleczną. Z tą samą wściekłością, z którą wypowiedziała w myślach imię swojego nowego wcielenia, rzuciła komórkę w kąt kanapy, żeby nie ulec pokusie zadzwonienia do Fredericka i żeby nie zaprzepaścić początku swojego zmartwychwstania.

Wyciągnęła z torebki dziennik babci i skorzystała z chwili spokoju i samotności, żeby wrócić do jego lektury.

20 lutego 1992

Dziś kończę sześćdziesiąt osiem lat i właśnie znalazłam w jednej ze skrzyń na strychu ten zeszyt, o którego istnieniu zapomniałam. Ciekawe, że życie kolejny raz wcisnęło mi go w ręce z powodu czyjejś śmierci. Babcia Adelaida zmarła ze starości ponad dziesięć lat temu. Do ostatniej chwili nie straciła nic ze swojego charakteru. Było mi smutno, bo ją kochałam, a ona na swój sposób chciała dla mnie tego, co najlepsze, próbowała być dla mnie matką i ojcem, których zabrała mi wojna. Nigdy nie mówiłam o swojej matce, nigdy nie wyznałam na głos, że o niej myślę, wolałam pogrzebać ją razem z ojcem, chociaż żyła dwadzieścia lat dłużej niż on, zamknięta w zakładzie leczniczym, gdzie praktycznie nikt jej nie odwiedzał. Babcia Adelaida wzięła na siebie cały ciężar utrzymania rodziny, tak jak wiele lat później, po śmierci mojej siostry i Damià, musiałam zrobić to ja. W rzeczywistości przypominam babcię bardziej, niż sądziłam: jestem silna jak ona, zdołałam utrzymać rodzinę, znieść śmierć rodziców, siostry, syna i zachować przytomność umysłu. Zanim umarła, nauczyłam się od niej, jak żyć w samotności, jak trzymać się życia, chociaż tyle razy wzywałam śmierć, żeby po mnie przyszła. Ona pomogła mi pogodzić się z tym, co spotkało Romana, przeboleć to, a nawet zapomnieć o Tobie i o tym dzienniku, który zaczęłam pisać ponad dwadzieścia lat temu.

Wrócił do mnie, kiedy przetrząsałam stare, zamknięte pudła w poszukiwaniu zdjęć Antoine'a, który zmarł dwa tygodnie temu. Chociaż nigdy nie żyliśmy ze sobą jako para, on najlepiej mnie rozumiał. Zawsze przy mnie był, na dobre i na złe; dzięki niemu jestem tym, kim jestem – panią swojego losu, mam własną firmę i klientów na całym świecie. Kilka lat po przekształceniu szopy w warsztat mogłam odkupić jego część i zostać jedyną właścicielką VellAntic; w naszym przypadku uczeń przerósł starego nauczyciela i wkrótce stałam się bardziej

znana niż on. W pracy nad meblami znalazłam coś uzdrawiającego, im więcej czasu poświęcałam ich konserwacji, tym wyraźniej czułam, że smutek znajduje właściwe miejsce w moim wnętrzu, przestaje swawolić samopas i uniemożliwiać mi życie. Odkryłam antidotum na ból. Nieustannie się uczyłam, żeby udoskonalić różne techniki renowacji, aż w końcu stałam się jedną z najbardziej znanych restauratorek antyków w okolicy. Odniosłam sukces z potrzeby, z desperacji, żeby spętać głęboki ból jak dziką bestię, którą musisz trzymać na uwięzi, jeśli nie chcesz, żeby cię pożarła.

Antoine widział, jak dorastam, walczę i trwam wbrew wszelkim rokowaniom; dał mi skrzydła, żebym mogła latać wysoko, dużo wyżej niż on. Byłam jego dumą i tak naprawdę kobietą, którą kochał najbardziej. Na szczęście miał wystarczająco duże doświadczenie, żeby zrozumieć, że nigdy nie zdobędzie mojego serca; dawno nauczyłam się odróżniać podziw od pełnej oddania miłości. Dopiero tuż przed śmiercią wyznał mi swoje prawdziwe uczucia i to, że między innymi dzięki mnie chciało mu się żyć.

Skończyłam sześćdziesiąt osiem lat i jestem sama na świecie. Antoine zostawił mi wszystko; mam pieniądze, prestiż, dojrzałość, siłę, ale nie mam rodziny ani miłości, która czyniłaby moje noce mniej mrocznymi. Kiedy Antoine zachorował, los zesłał mi pomocnika, ucznia, jakim ja byłam dla Antoine'a. Nie zgodziłabym się, gdyby nie chodziło o syna mojej najlepszej przyjaciółki, Naldy. Jej niewiele jestem w stanie odmówić. Nazywa się Amat, ma dwadzieścia sześć lat, kilka miesięcy temu wrócił z Londynu, nie odzywa się i nosi w sercu wyryte cierpienie. Nie muszę widzieć kółka wypalonego ogniem na skórze, żeby rozpoznać krowę z tej okolicy, tak samo rozpoznaję osobę okaleczoną przez miłość. Różne rodzaje cierpienia tworzą cały wachlarz, jeśli doświadczysz jednego, umiesz dostrzec wszystkie. Amat pojawił się w VellAntic zaledwie dwa miesiące temu. Był niczym duch, dopiero po dwóch dniach siedzenia nieruchomo na starym taborecie odważył się wypolerować stary stół. Kiedy zapadł zmrok, wiedziałam, że dzieje się z nim to samo co ze mną przed wieloma laty; każde pociągnięcie papierem ściernym sprawiało, że z jego rany wyciekała ropa, i przynosiło mu pocieszenie. Tak więc ze względu na Naldę i dlatego, że go rozumiałam, został u mnie w warsztacie. Kto wie? Może stanie się tym, kim ja byłam dla Antoine'a: wybitnym uczniem.

Ten zeszyt znów skłonił mnie do nedorzecznego pisania do wnuczki, której nigdy nie spotkam i która z pewnością nigdy tego wszystkiego nie przeczyta. Znajduję pociechę w tym szaleństwie: w mówieniu do Ciebie, w żalu, że nie mogłam Cię poznać i wiedzieć, jak wygląda Twoje życie, porozmawiać z Tobą, zaopiekować się Tobą, jak chciałby mój syn, jak ja chciałam opiekować się nim...

Wieś bardzo się zmieniła w ostatnich latach; zresztą jak cała Hiszpania. Zostaliśmy Europejczykami; choć wlecemy się w ogonie rozwoju, uważamy się za potęgę, którą nie jesteśmy. We wsi zabrakło krów; mleczarze zamienili bydło na kukurydzę, wielu z nich wołało to niż umrzeć z głodu. Takie są uzgodnienia wielkiej polityki, którą ledwo rozumiem, a o której bez przerwy opowiada mi Nalda. Ona mówi, ja milczę. Uzupełniamy się i rozumiemy dzięki ogromnemu szacunkowi, jakim się darzymy, i dzięki ogromnemu zrozumieniu, jakie mi okazała.

Nalda jest jedyną osobą we wsi, która zna prawdę o Romanie, dla pozostałych zawsze byłam tylko jego ciotką; jedyną osobą, która wie o Twoim istnieniu; jedyną, która zachęca mnie, żebym Cię odnalazła. Co za bzdura! Wyobrażam sobie Twoją minę, kiedy tak stoję przed Tobą i mówię: „Jestem Twoją babcią!”. Czas zadziałał na moją niekorzyść i choć staram się o tym przekonać Naldę, ona uważa, że nigdy nie jest za późno. Nie opuścił jej rewolucyjny duch, jednak mnie brakuje energii, żeby zmienić stan rzeczy, kiedy wszystko obraca się przeciwko mnie. Moja babcia klóciła się z Naldą, zawsze jej przypominała, że „kto płynie pod prąd, w końcu tonie”. Po tylu latach nie wiem, co o tym sądzić – ja zawsze płynęłam z prądem

i chociaż wciąż unoszę się na powierzchni, jakaś część mnie już dawno skończyła na dnie.

Jaki sens ma teraz moje życie? Kolejny raz muszę stanąć twardo na ziemi, żeby walczyć z duchami, które mi się ukazują. Moje życie zostało sprowadzone do nieustannego przewyciężania obaw, narastających wraz z wiekiem. A czy Ty się czegoś boisz, moje dziecko? Wszyscy walczymy ze strachem, ale większość robi to w milczeniu; wtedy męki są większe. Nie wiem, ile zostało mi jeszcze lat, w moim wieku zaczyna się odliczanie wstecz. Nie narzekam na życie, które miałam, nie przeklinam już nieba za nieszczęścia, które mnie spotkały; proszę jedynie o siły, żeby dalej wierzyć, żeby żyć jak rośliny, w zgodzie z harmonijnymi cyklami natury. Jakby to było takie proste, prawda? Francisca leczy mnie swoimi ziołami i specyfikami z kwiatów. Ufam jej bardziej niż doktorowi Garridze, lekarzowi od ciśnienia we wsi; to dobry człowiek, ale od jakiegoś czasu nie biorę tabletek. Maści i napary, które przygotowuje Francisca, koją mi nerwy.

Postanowiłam przestać podróżować. Jeśli Amat zostanie moim lojalnym pomocnikiem, to on będzie jeździł po Europie. Moim domem jest La Muga, mała wieś, która broni się przed nowoczesnością i ukrywa przed nowo przybyłymi. To skomplikowana społeczność, wszyscy znamy się tu od dziecka i wiele razem przeszliśmy. Czuję się częścią wielkiej rodziny. Oby było ci kiedyś dane poznać te, które – tak jak ja – stają się już babciami; kobiety tej ziemi potrafiące zachować i przekazać kolejnym pokoleniom to, co w niej najważniejsze. Każda ma inną osobowość, są między nami zadawnione urazy, ale zawsze tu byliśmy. Chciałabym móc Ci je kiedyś przedstawić, bo z biegiem lat zdałam sobie sprawę, że to one są moim prawdziwym skarbem, moimi sojuszniczkami, tak jak ja jestem sojuszniczką dla nich. Nigdy nie marzyłaś o tym, żeby mieć sekretny krąg przyjaciółek? W La Mudze jest on czymś, co kobiety tej ziemi dziedziczą, jest tradycją od stu lat, przekazywaną z pokolenia na pokolenie, szanowaną przez kobiety i mężczyzn. Spędziłam z nimi wiele nocy podczas pełni księżyca, w naszym Kręgu, zwoływanym przez którąś z nas albo przez wszystkie... Brzmi to niedorzecznie, prawda? Coś jak czarownice albo wiedźmy z bajek, ale tylko częściowo. Czym jesteśmy my, kobiety, jeśli nie czarodziejkami życia? Nie uważasz, że znamy się na magii? Długo nie przyjmowałam tego do wiadomości, bo społeczeństwo jest tak pomyślane, żeby negowało, ukrywało albo tłumilo władzę kobiet. Liczę na to, że któregoś dnia powróci równowaga między tym, co proste, a tym, co zakrzywione, i kobiecość zasiądzie na tronie, nieokaleczona i niezmaskulinizowana. Co też ja wygaduję? Nie chcę Cię urazić, nie chcę, żebyś pomyślała, że jestem wariatką, u której występują pierwsze oznaki starości. Może miałabyś rację, ale wyznam Ci, że aby żyć w harmonii, powinnaś pogodzić się z kobietą, którą jesteś; nie z tą, którą chcą, żebyś była, ani tą, którą sama stworzyłaś, żeby przypodobać się innym. Można to osiągnąć, jedynie słuchając rytmów przyrody.

Nalda, która od jakiegoś czasu spoglądała na Galę kątem oka, podeszła i podała jej miseczkę bulionu z kury i warzyw. Rozpoznała dziennik Amelii i poczuła się szczęśliwa, że los w końcu zesłał jej przyjaciółce błogosławieństwo i że tak, jak tego pragnęła, wnuczka czyta tę opowieść, jej opowieść.

– Weź, dobrze ci zrobi...

Obie kobiety pierwszy raz spojrzały na siebie jak spiskowcy, którzy posiadli pradawną mądrość. Czerwona czuła pokusę, żeby usiąść przy Gali i opowiedzieć jej o swojej przyjaciółce Amelii, była gotowa rozwiać jej wątpliwości albo zaspokoić ciekawość. Postanowiła jednak zachować milczenie. Jej spojrzenie powiedziało dużo więcej: jeżeli Gala będzie tego chciała, może się do niej z tym zwrócić w każdej chwili.

Vicente poszedł do krów; chociaż były święta, rytm zajęć wyznaczały zwierzęta, to nie był sklep, na którym można wywiesić tabliczkę „otwarte” czy „zamknięte”. Pod tym pretekstem

zaglądał do restauracji „La Muga”, żeby wypić małe piwo z Jacintem i życzyć mu wesołych świąt.

Nalda i Gala zostały same w domu. Z kuchni dobiegały ciche odgłosy krzątania; wszystko szło jak należy. Dziewczynki przyjdą wczesnym wieczorem, żeby zdążyć przygotować się do kolacji. Gala miała jeszcze trochę czasu dla siebie. Wypiła bulion, zamknęła zeszyt, przykryła się kocem z owczej wełny i nie zapytawszy o pozwolenie, nie wiedząc kiedy, zasnęła. Uśmiech na jej ustach świadczył, że czuje się bezpiecznie.

Marc i Adele biegali wokół dużego stołu udekorowanego na czerwono i biało. Świece, umieszczone w starych kandelabrach, oświetlały ozdoby z gwiazdek i suchych liści. Dziadek Vicente zapalił lampki na choince w ogrodzie, a Marc puścił tę samą co zawsze płytę z kolędami. Córki gospodarzy, Susana i Paquita, przyjechały już ze swoimi mężami, przywiozły butelki wina i prezenty dla wszystkich, które jak co roku ukryły w pomieszczeniu do prasowania. Gala i Kate siedziały na kanapie niemal bez ruchu, ogarnięte nagłym onieśmieleniem. Czuły się dziwnie – każda na swój sposób – bo nie były ze swoimi bliskimi, nie wiedziały, jak mają się zachować podczas uroczystości tak prywatnej jak kolacja wigilijna. Ojciec Marca, który zajął się napełnianiem kieliszków, podał Gali dobre wino, a Kate – napój orzeźwiający. Jak reszta rodziny był zachwycony, że mają gości tego wieczoru.

Nalda przygotowywała pieczoną rybę i owoce morza. W tym domu podczas Wigilii zawsze jadano rybę, w Boże Narodzenie zupełną *galets*, pieczone kurczaki i rumsztyki, a w drugi dzień świąt – katalońskie cannelloni nadziewane resztkami.

Adele nauczyła Marca kolędy po angielsku i niezamierzenie zainaugurowali chóralne śpiewanie tej nocy. Towarzyszył mu odpowiedni toast. Wspólne śpiewanie kolęd było w tym domu tradycją, niewinną zabawą, która zaczynała się od jednej osoby intonującej pastorałkę, a kończyła zbiorowym wybuchem śmiechu.

Punktualnie o dziewiątej pojawili się ostatni biesiadnicy: Amat w towarzystwie Béatrice, która ledwo przekroczyła próg domu, sprawiła, że ucichła nawet płyta z kolędami. Pierwszą osobą, która się rzuciła, żeby wylewnie ją uściskać, była Nalda; tylko ona знаła prawdę i cieszyła się z decyzji, jaką podjął jej syn. Pozostali poszli w ślady głowy rodziny i przywitali niespodziewanego gościa.

Gala, Kate i Adele przyjęły obojętnie tę zaskakującą wizytę, nie przypisując jej większego znaczenia: Amat po prostu podczas Wigilii przedstawił rodzinie swoją partnerkę. Czy nie tak działo się w ich kraju? Również Gala w podobny sposób, bez uprzedzenia przedstawiła matce Fredericka, nie w Boże Narodzenie, ale w Święto Dziękczynienia. Ze zdenerwowania Julianne najpierw niemal spaliła indyka w piekarniku, a potem niefortunne cięcie sprawiło, że o mały włos nie wyrzuciła go za okno. Tamten wieczór zakończyły słowa przepełnione hamowanymi emocjami i trzaśnięcie drzwi. W każdym miejscu na świecie nieoczekiwane wizyty zawsze powodują zmiany biegu rzeczy.

Pierwszą z tych zmian była konieczność poprzesuwania stołowników. Béatrice zajęła krzesło przeznaczone dla Amerykanki, obok Amata i dziewczynek.

– Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

Nie było powodu, żeby Gala miała cokolwiek przeciwko, chociaż jej się nie spodobała ta zamiana. Nic jednak nie powiedziała, bo nie istniało żadne uzasadnienie dla jej poirytowania. Tak czy inaczej, harmonia została zakłócona i po niespełna dziesięciu minutach Gala czuła się tak osaczona, że chętnie połamałaby płytę, żeby tylko przestały lecieć te przekłete kolędy.

Nowa znalazła się w centrum uwagi, bawiła zebranych rozmową, a do tego miała doskonałe maniery. Béatrice była typową superkobietą; kiedy taką spotkasz, chcesz się znaleźć daleko od niej, bo przyćmiewa wszystko i przyciąga spojrzenia innych. Gala piła szybciej niż

zazwyczaj, opychała się owocami morza i labraksem. Kate nigdy nie widziała, żeby matka tak chichotała ani żeby jadła rękami.

– Przestań walczyć z krewetką sztućcami, skorzystaj z palców!

Dziadek Vicente dał przykład i wszyscy, nawet Gala, postanowili jeść rękami; zdobyła tym samym nowe doświadczenie – oblizywała palce przy stole, nie narażając się na niczyją naganę czy wymowne spojrzenia.

W przeciwieństwie do Gali, Amat ledwo spróbował wina. Musiał być trzeźwy, żeby sprostać sytuacji; Béatrice była piękną kobietą, pochlebiali mu, że tak jej na nim zależy, mimo to czuł się niezręcznie za każdym razem, kiedy go całowała albo mizdrzyła się do niego na oczach wszystkich. Zwłaszcza w obecności Gali. Przez cały wieczór nie był w stanie na nią popatrzeć, nawet nie wiedział, w co jest ubrana ani czy ma upięte włosy. Podczas toastów spuszczał wzrok – nie chciał, żeby ich spojrzenia się skrzyżowały, wołał ją ignorować.

Vicente obserwował Naldę, po tylu spędzonych z nią latach umiał czytać w jej myślach, więc wiedział doskonale, że żona rozkoszuje się tym przedstawieniem.

– A ty, czym się zajmujesz?

Wszystkie spojrzenia padły na Galę, która po sporej dawce alkoholu i ssania palców nie od razu się zorientowała, że pytanie Béatrice jest skierowane do niej.

– Ja?

Nawet Kate, Marc i Adele, którzy siedzieli na kanapie i grali w tryktraka, zaciekawieni odwrócili głowy. Ssąc czubek krewetki, Gala udzieliła krótkiej odpowiedzi, której nikt nie zrozumiał.

– Słucham? – zapytała Béatrice i zaprezentowała najpiękniejszy ze swoich uśmiechów w oczekiwaniu na powtórny odpowiedź Gali, która ocierała serwetką sok z krewetki.

– Niczym.

Ponieważ nikt nie zareagował, Gala wpadła w... pasję?

– *Vas te faire enculer, chère Béatrice. Amat ne vous autorise pas à nous déshabiller en public*[46].

Wessała się ponownie w główkę krewetki, złapała kieliszek i nie odrywając wzroku od Francuzki, która jeszcze nie doszła do siebie po obeldze, zachęciła wszystkich do wzniesienia toastu za... rodzinę!

– Co powiedziała twoja mama po francusku?

Adele nie umiała wyjaśnić Marcowi, co oznajmiła jej matka, ale czuła, że było to coś niemilego, skoro ani Béatrice, ani nikt inny nie przetłumaczył jej słów. Nalda, choć nie rozumiała komentarza Gali, przypuszczała, że Amerykanka pokazała pazurki; tym samym sprawiła, że Amat spojrzał na nią pierwszy raz tego wieczoru.

W trakcie kolacji co raz zapadała cisza, odśpiewano chóralnie kolędy, wzniesiono więcej toastów niż zazwyczaj i szeptano w ogrodzie o tym, co działo się tej nocy. Napięcie seksualne między Galą a Amatem było tak widoczne, że nawet Francuzka zostawiła umizgi na inną okazję.

Zbliżała się pora pasterki; do drzwi zapukali Joana i Aleix, którzy mieli zjeść deser w domu Naldy. Kate uśmiechnęła się na widok ich strojów: Joana włożyła koktajlową sukienkę w kwiaty z lat pięćdziesiątych, kupioną w sklepie internetowym z ubraniami vintage z drugiej ręki, a Aleix – dzinsy, czarną marynarkę, muszkę i wyglansowane buty. Przyszli uśmiechnięci, bo w domu pozwolono im wznieść toast moscatelem, miejscowym słodkim winem, które trochę uderzyło im do głowy.

– Masz!

– To dla mnie?

– Dla ciebie. Wiesz, co to jest?

Zanim Kate zdołała odpowiedzieć, Joana wyrwała się niepytana:

– To bukiet szczęścia, wiesz się go na drzwiach domów, a kiedy pod nim staniesz, ten, który ci go podarował, musi cię pocałować.

Policzki Kate zalał rumieniec. Adele i Marc obserwowali całą scenę ze zdziwieniem i robiąc głupie miny, czekali na reakcję dziewczynki. Aleix próbował zmienić temat, ale zdołał z siebie wydobyć jedynie nieśmiały bełkot, który wszyscy skwitowali śmiechem.

– Musimy iść na tę mszę?

Joana rzuciła Kate gniewne spojrzenie; Amerykanka już zaczynała się rozkręcać, pewnie zaraz wyskoczy z jedną z tych swoich nieprzyjemnych uwag. Ona sama szanowała tradycje, a ta msza była oprócz odwiedzenia szopki najważniejszym wydarzeniem całej nocy wigilijnej. Aleix wzruszył ramionami; pochodził z sąsiedniej wsi, w tym roku rodzice pierwszy raz pozwolili mu pójść na pasterkę do La Mugi. Miał spędzić tę noc w Can Brugat, jak robił wiele razy wcześniej, jako że jego rodzina i Brugatowie byli dalekimi krewnymi i bliskimi przyjaciółmi.

– Ja mam ochotę pójść do kościoła, wiesz?

Adele tryskała entuzjazmem. Odkąd zobaczyła szopkę, nerwowo odliczała minuty do otwarcia drzwi stodoły i ujrzenia miny siostry na widok swojej miniaturowej podobizny. Na pewno Kate zaprotestuje, że nikt jej nie uprzedził i że została przedstawiona bez wrotek. Była Gotham Girl, więc skoro La Muga miała ją unieśmiertelnić, niech zapamięta ją jak generała Custera, tyle że nie w butach, a z wrotkami.

Desery! Słodczyce spowodowały odpływ emocji i przywróciły rozluźnioną, wolną od napięć atmosferę. Gala zdołała odzyskać samokontrolę, a Béatrice przestała zwracać na siebie ogólną uwagę, żeby uniknąć większych zgrzytów. Amat skorzystał z okazji, że jego siostra Susana opowiada, jak w któreś Boże Narodzenie choinka z placu we wsi niemal poraziła ich prądem, żeby zapytać Béatrice o komentarz, który Gala rzuciła po francusku. Francuzka, która doskonale wyczuła niepokój zakochanego mężczyzny, zamiast odpowiedzieć, obdarzyła go pocałunkiem z gatunku tych nie do odrzucenia. Amatowi wino poprawiło humor, a względy okazywane mu przez Béatrice sprawiły, że zmienił kurs i teraz nie widział już świata poza nią. Francuzka zerknęła ukradkiem na Galę, która przeszywała ją wzrokiem, i zadowolona utwierdziła się w przekonaniu, że zemsta najlepiej smakuje na zimno.

Gala wyszła do ogrodu, żeby zaczerpnąć powietrza i poczekać, aż trochę wytrzeźwieje, bo nie chciała podczas mszy zrobić przedstawienia przed całą wsią. Na schodkach siedziała Nalda, paliła papierosa. Od dwudziestu lat w każdą Wigilię w samotności wypalała jednego. Wszyscy wiedzieli, że to jej doroczna chwila intymności, dane było ją dzielić z nią tylko jednej osobie: jej przyjaciółce Amelii.

Ogród rozświetlały jedynie migające światełka na choince. Gali kręciło się w głowie, zamruwała, żeby przyzwyczaić oczy do ciemności, więc nie od razu dostrzegła w mroku sylwetkę Naldy. Podeszła nieśmiało, chwiejnym krokiem i bez słowa usiadła obok staruszki. Śmiechy dobiegające z domu i szum wiatru doskonale pasowały do nastroju kobiet, które wołały wypalić papierosa w milczeniu. Kiedy Nalda po pierwszym zaciągnięciu się dymem dostała ataku kaszlu, Gala spojrzała na nią z niedowierzaniem, próbując zrozumieć to, co właśnie odkryła.

– Nie wiem, dlaczego tak na mnie patrzysz... To jedyny sposób, żeby taka czerwona republikanka jak ja... postawiła stopę w kościele, wiesz? – odparła staruszka i zaciągnęła się ponownie.

Vicente rzadko kiedy ją o coś prosił, udział w pasterce był takim wyjątkiem; chociaż próbowała, nie mogła mu odmówić. Musiała przyznać, że z czasem zaakceptowała niektórych porządnych księży, ale nadal nie znosiła Świętego Kościoła...

– Chrześcijananie to jedno, a katolicy ze swoim Watykanem to drugie, wiesz?



Gala nigdy nie była w Watykanie, nawet we Włoszech, ale teraz miała ochotę zwiedzić Florencję; przez wzgląd na babcię i na ojca. Zaciągając się dymem, nagle zdała sobie sprawę, że kolejność jej priorytetów uległa zmianie i że wszystko to, co w życiu stałe, w końcu niszczeje.

Nalda chwyciła jej dłoń i mocno ją ścisnęła.

– Twoja bab... cia...

Nigdy dotąd o niej nie rozmawiały. Gala odkryła, że Amelia Xatart była jej babcią, czytając dziennik; dziennik, o którego istnieniu Nalda wiedziała i który kilka dni przed przyjazdem Amerykanki włożyła do pierwszej szuflady sekretarzyka, tak jak poleciła jej przyjaciółka.

– Każdy, kto przychodzi do jakiegoś domu, otwiera szuflady, wiesz?

Gala uśmiechnęła się szerzej niż zwykle, z powodu alkoholu, wspólnie palonego papierosa i ponieważ w głębi duszy cieszyła ją, że wszystko zaczyna nabierać sensu.

– Wszystko jest częścią jakiegoś planu, prawda?

Wypuszczając niewprawnie dym, Nalda spojrzała na nią rozbawiona zza swoich dużych okularów w grubej oprawce, które prawie zjechały jej z nosa. Zdała sobie sprawę, że Gala zaczyna tworzyć zmyśloną opowieść, legendę, wokół dziennika, Kręgu kobiet i obrazu.

– Dlaaaczegooo niikt mi nie pooowie, czyj jessst ten przeeekłety ooobraz, co? – zapytała Gala, przeciągając głoski, siedziała z zamkniętymi oczami, czekając, aż Czerwona wyzna jej wszystko, co wie. Osiągnęła jedynie tyle, że Nalda wyrwała jej to, co zostało z papierosa, i sama go skończyła.

– Nie powinnyśmy już więcej palić, nie sądzisz?

Gala wybuchnęła śmiechem i podniosła ręce ku rozgwieżdżonemu niebu, jakby chciała dotknąć którejs z gwiazd. Wszystko wokół niej wirowało, nie mogła opanować radości. Vicente pojawił się z dwiema szklankami wody z cukrem; od lat powtarzał ten rytuał – nie mógł o nim zapomnieć dla własnego dobra, bo nie chciał, żeby wieś miała ubaw przez resztę roku. Usiadł na wyższym stopniu, żeby Nalda oparła się o jego kolana, a on mógł ją pogłaskać po włosach jak w każdą Wigilię.

– Jestem z tą kobietą od sześćdziesięciu czterech lat, wiesz?

Vicente był szczęśliwym mężczyzną, zakochanym tak jak pierwszego dnia, choć od początku wiedział, że nie będzie miał nad Naldą władzy. Jego rodzina przyjęła ją niechętnie, bo w La Mudze kobiety powinny udawać, że robią to, co powie mężczyzna. Nalda nie miała takiego zamiaru, nie wysiłała się nawet, żeby stwarzać pozory. Vicente zakochał się w niej między innymi ze względu na jej krnąbrność, nieposkromiony charakter i pełne pasji, wybuchowe serce. Stali się obok Agnès i Jacinta najtrwalszą i mającą najdłuższy staż parą we wsi. Nie znał przed nią żadnej kobiety i nigdy nie odczuwał potrzeby bycia z inną.

– I umrę, nie poznawszy żadnej innej, wiesz?

– *Auuu, auuu vaaa... deixa d'explicar bestieses, em sents?*[47]

Nalda była kobietą powściągliwą, a jej Vicente, zawsze kiedy mieli gości i trochę za dużo wypił, wyskakiwał z tym samym. Ona nie należała do romantyczek, ale do osób praktycznych: podobasz mi się, bierzemy ślub, mieszkam z tobą, zakładamy rodzinę, opiekujemy się sobą i... tyle! Cała reszta to wymysły pogańskiej lub katolickiej literatury, które zdaniem Czerwonej wywoływały ten sam efekt – wszystko jedno, czy chodziło o indoktrynację, czy o motyle w brzuchu.

– Więc nie wierzysz w miłość?

Nalda wyprostowała się, urażona pytaniem Gali. Ależ oczywiście, że tak! Była jedną z wielkich obrończyń miłości, ale nieprzesłodzonej. Gardziła miłością wróżoną z płatków stokrotki: „kocha, nie kocha”, nie wierzyła w agonię Romea i Julii, w dziką namiętność ani nawet

w miłość od pierwszego wejrzenia.

– W takim razie?

– Miłość nie ma środków przekazu ani posłańców, po prostu jest, wiesz?

Gala ledwo rozumiała, co mówi Nalda, ale w takim stanie nie potrafiłaby nawet poprawnie zsumować dwóch prostych liczb. Wszystko wokół wirowało, musiała się przejść, zaczerpnąć powietrza...

Bicie dzwonów obwieściło, że do pasterki zostało już tylko pół godziny. Vicente, Nalda i Gala weszli do domu, żeby zwołać rodzinę i wyruszyć w stronę kościoła. Chociaż znajdował się jedynie pięć minut drogi piechotą, tej nocy ta trasa była tak uczęszczana, że dotarcie na miejsce mogło im zająć więcej niż pół godziny.

Zaraz po wyjściu z domu ujrzeli tłum ludzi. Panował gwar jak na jarmarku, każdy witał się z każdym i życzył mu wesołych świąt. Gala nigdy nie doświadczyła niczego podobnego, do tego dochodziły zawroty głowy i wbijające się w ziemię obcasy, była więc trochę skołowana. Adele i Kate pospiesznie chwyciły matkę za ręce; młodsza córka nie chciała się zgubić przy wejściu do kościoła, a starsza wolała nie dopuścić, żeby matka dotknęła kościelnej posadzki ustami zamiast stopą.

Amat został w tyle razem z Béatrice i innymi sąsiadami, którzy traktowali Francuzkę, jakby była jedną z nich. Pierwszy raz od piętnastu lat Amat przyprowadził na Wigilię kobietę, czym zaskoczył wszystkich mieszkańców. Aleix i Joana prowadzili Bostona; należał do rodziny i chociaż nie wejdzie do kościoła, stanowił doskonały pretekst, żeby co jakiś czas wymykać się z mszy. Na samym końcu szli Vicente i Nalda. Spotkali Jacinta, Agnès i ich bliskich; u nich w domu także zaliczono chóralne śpiewanie kolęd i niespodziewanego gościa – jedna z ich wnuczek przyjechała z przyjaciółką.

– *Una amiga, t'ho pots creure? I sa mare, imagina't la cara de sa mare*[48].

Nalda śmiała się z historii, którą opowiadała jej Agnès. Upływ lat, nowe pokolenia... Jej zdaniem za szybko się zestarzała, chciałaby być młoda, żeby w pełni korzystać z wolności dzisiejszych czasów. Boże Narodzenie na pozór było co roku takie samo, ale to, co najlepsze w życiu, tkwi w szczegółach, dlatego każde zjedzone jabłko wydaje się pierwszym. Podobnie jest z Bożym Narodzeniem, choć uważasz je za przewidywalne, zawsze czymś cię zaskakuje.

Kościół nie należał do największych, ale był starym, odrestaurowanym zabytkiem stylu romańskiego z XII wieku i powodem do dumy dla wszystkich mieszkańców. Okazało się, że prawie wszystkie ławki są już zajęte. Francisca pozdrowiła z daleka Adele i Marca, którzy uśmiechnęli się do niej porozumiewawczo, zdenerwowani, bo wkrótce szopka miała zostać otwarta dla całej wsi. Teresa przysłała jako ostatnia, w drogim futrze z norek i kolczykach zrobionych z kilograma złota; trzymała pod ramię męża, Alfonsa Forgasa, a kilka kroków za nimi szła trójka jej pasierbów. Úrsula jak co roku zajęła dla nich miejsce w trzecim rzędzie po lewej. Jow jako jedyny nie wszedł do kościoła; odprowadził Cecilie i czekał na nią na ławce na zewnątrz, głaszcząc Bostona. Chociaż opuścił ją mąż, wciąż była mężatką, więc przez wzgląd na stare wiejskie zwyczaje, Jow wolał nie przekraczać progu świątyni. Tomasa, która trzymała dla Cecylii miejsce obok siebie i Franciski, pozdrowiła Jowa z daleka na znak szacunku.

Cała wieś gromadziła się w kościele raz do roku, ale wraz z upływem lat te spotkania stawały się coraz częstsze z powodu licznych zgonów. Mało kto słuchał psalmów, resztę bardziej interesowało liczenie nieobecnych i lustrowanie strojów wybranych na tę okazję, najczęściej co roku tych samych: Úrsula była odziana w surową czerń, Cecilia w granatową odświętną sukienkę, Teresa wyróżniała się modnym fasonem stroju, Tomasa miała odsłonięte nogi, a Francisca, Agnès i Nalda zostały w płaszczach; z powodu zimna nie zdjęły ich przez całą mszę.

Kate i Aleix postanowili wymknąć się w połowie pasterki razem z Adele i Markiem,

którzy przed wyjściem wymienili porozumiewawcze spojrzenia z Franciszą. Wieczorem ustalili, że pod koniec mszy otworzą drzwi szopki, ale zaczekają z zapaleniem świateł, aż ściągną ludzi.

Dwoje najmłodszych razem z Joaną wysforowali się naprzód, Kate została z tyłu, bo jeszcze nie w pełni opanowała zwijanie papierosów w marszu. Aleix, który w życiu nie zapalił i należał raczej do obozu antynikotynowego, nie miał odwagi powiedzieć Kate, żeby przestała skręcać papierosa i się pospieszyła.

– Jeśli ci się nie podoba, możesz sobie iść!

Aleix spuścił głowę i w przypiływie złości mocno uderzył Kate w dłoń, wytrącając jej to, co w niej trzymała. Dziewczynka, dopóki starczyło jej tchu, wykrzykiwała pod jego adresem wszelakiego rodzaju obelgi, które Aleix dzielnie zniósł, licząc na to, że kiedyś Kate przestanie się wydzierać i zwróci uwagę na jego podniesioną rękę z bukietem szczęścia.

Zorientowała się dopiero po kilkunastu sekundach. Poczula wstyd, jak bohaterowie bajek.

Powinna go pocałować? Nigdy nie całowała żadnego chłopca i nie miała tego jeszcze w planach, niemniej jako urodzona hazardzistka musiała przyznać, że Aleix wygrał tę partię. Czekał z zaczerwienioną twarzą, zamkniętymi oczami i drżącymi ustami. Kate policzyła do pięciu, żeby zebrać się na odwagę, na pięć stanęła na palcach i złożyła na jego ustach pocałunek, który trwał tyle co westchnięcie, a mimo to przez całą noc zarówno Kate, jak i Aleix bez przerwy odtwarzali go w pamięci.

Dzieci siedziały na skrzynkach na owoce i zgodnie z poleceniem Franciski czekały z zapaleniem światła, aż zbiorą się ludzie ze wsi i sąsiedzi. Adele i Marc za nic nie chcieli zrezygnować z tej chwili, chociaż walczyli z sennością i marzyli tylko o tym, żeby wrócić do domu i położyć się spać; dopiero rano mieli zmusić *tió* do wydalenia prezentów. Na cześć Amerykanek zdecydowano, że w tym roku połączy się tradycję *tió* i Świętego Mikołaja i wręczy prezenty dwudziestego piątego grudnia. Cała wieś była ciekawa tegorocznej szopki; krążyły słuchy, że będzie co oglądać. Natychmiast po włączeniu lamp i światełek w miniaturowej La Mudze ze sceną Bożych narodzin, umieszczoną w jednej ze stajni Cecilii i Jowa, stało się jasne, dlaczego ta szopka przejdzie do historii. Niektórzy nie kryli niezadowolenia, inni z rozbawieniem szukali swoich miniaturowych sobowtórów. Kate otworzyła szeroko oczy, kiedy ujrzała swoją podobiznę obok podobizny matki, siostry i walizek stojących na ziemi; figurki były ubrane tak jak one w dniu, w którym przyjechały do La Mugi. W tym momencie zrozumiała, dlaczego mieszkańcy mówią, że ta wioska ma oczy i widzi wszystko w ciemności. Gala uśmiechnęła się na widok swojej babci Amelii, poszukała wzrokiem Naldy, która także zauważyła figurkę i patrzyła na Galę porozumiewawczo. Ciszę przerwała Piękna; wyszła ze stodoły, głośno krytykując dzieło bratowej, jej zdaniem świętokradcze i mało śmieszne.

Kilka minut później ludzie zaczęli się rozchodzić do domów. Czekają ich jeszcze dużo świętowania, a rano należało wcześniej wstać, żeby przyjąć kolejnych gości. Adele i Marc pożegnali się z Joaną, a Kate z Aleiksem. Całą grupą ruszyli niespiesznie w stronę domu.

Amat postanowił spędzić resztę nocy z Béatrice; obserwowany uważnie przez Galę, na do widzenia podał każdemu rękę. Tę samą, która chwilę później otoczyła talię Francuzki. Zazdrość? Może właśnie to poczuła Gala tamtej nocy, ale w tym momencie i w takim stanie nie chciała się nad tym zastanawiać. Pragnęła jedynie położyć się do łóżka w domu swojej babci. Adele ubłagała ją, żeby pozwoliła jej spać u Marca. W połowie drogi Kate i Gala pożegnały się więc ze wszystkimi ciepłym uściskiem i odłączyły od grupy.

Była jasna noc, zimno za bardzo nie przenikało do kości. Matka i córka znowu szły razem, jedna obok drugiej, połączone intymną bliskością, której istnienia wcześniej nawet nie podejrzewały. Kate dojrzała podczas tej podróży, zmieniła się, wyciszyła, interesowało ją, co przeżywa jej matka. Gala także była inna, nie odzywała się, jeśli nie zachodziła taka konieczność,

polubiła milczenie. Szły niemal w całkowitych ciemnościach, ale pewnym krokiem, znały już na pamięć drogę, którą kilka dni temu przemierzały tak niechętnie. To bynajmniej nie problem z orientacją w terenie sprawił, że Kate nagle się zatrzymała.

– Mamo! Zostawiłyśmy Bostona w kościele!

Obie wybuchnęły śmiechem i niespiesznie zawróciły po psa, ciesząc się nocą i wydłużonym wspólnym spacerem. Biedna Adele miała tej nocy tyle przeżyć, że zapomnienie o nieszczęsnym Bostonie przywiązany do latarni było najmniejszym złem, jakie mogło ją spotkać. Pies zaczął skakać z radości na ich widok, bez śladu pretensji za godziny spędzone pod gołym niebem; zwierzę różni się od człowieka tym, że nie grzęźnie w bagnie wyrzutów.

Boston był dla Gali niemal jak Marsjanin, przybysz z innej planety. Nigdy by nie przypuszczała, że wróci do Nowego Jorku z nowym członkiem rodziny, tym bardziej bez konsultacji z Panem Bardziej-niż-Doskonałym.

– Powiedziałaś tacie o psie?

Kate wiedziała, że jej pedantyczny ojciec jest przeciwny trzymaniu w domu „zapchleńców”, jak nazywał wszystkie psy. Jego regulamin dobrego współżycia zakazywał wstępu do domu psom i innym zwierzętom, bez względu na wielkość i pochodzenie. Gala nie poinformowała Fredericka o Bostonie, jak o większości rzeczy, które przydarzyły jej się w La Mudze. On zresztą nie okazał żadnego zainteresowania czy zaniepokojenia tym, że żona prawie o niczym mu nie mówi, prawdopodobnie z powodu opinii, jaką miał o Gali i o jej życiu: *Nothing is nothing*[49]. Ona też nie zapytała, co u niego, bardziej dlatego, że nie chciała, aby ją okłamywał, niż z braku zainteresowania. Kiedy nabierasz dystansu do spraw, tracą one znaczenie, ty zaś zyskujesz szerszą perspektywę. Frederick, widziany z tego ukrytego zakątka świata, wydawał się jednym z wielu, zarozumiałą, samolubną istotą, która jest szczęśliwa tylko wtedy, gdy znajduje się w centrum uwagi. Gala musiała się oddalić o tysiące kilometrów od swojego życia, żeby właściwie ocenić sytuację i zdołać poznać siebie. Nigdy by nie pomyślała, że kiedykolwiek spędzi Boże Narodzenie sama z córkami, niemal nie rozmawiając ze swoją rodziną. Jej matka nadal miała wyłączony telefon, Gala była pewna, że chce ją w ten sposób ukarać, a Frederick nie odbierał. Uważał, że swoim „ho, ho, ho” wypełnił już obowiązek wobec żony i córek.

– Kupiłaś prezenty dla wszystkich?

Pytanie Kate wynikało bardziej ze zdziwienia niż z ciekawości, bo kiedy była mała, w jej rodzinie prezenty zastąpiono przelewami bankowymi. W dzień Bożego Narodzenia zamiast otwierać pudełka czy rozrywać kolorowe papiery, pierwszą rzeczą, którą robiła po przebudzeniu, było sprawdzenie w internecie stanu konta. To Pan Bardziej-niż-Doskonały wpadł na taki pomysł, a Gala go zaakceptowała, żeby oszczędzić sobie nieprzyjemnych, krytycznych uwag na temat jej prezentów i wyśmiewania się z nich przez kolejne tygodnie podczas kolacji z przyjaciółmi i rodziną. W La Mudze była zmuszona wrócić do zwyczaju podarków i cieszyła się z ich kupowania jak lata temu.

– Bo ja tobie nic nie kupiłam.

Gala uśmiechnęła się i spojrzała na Kate z czułością. Najlepszym prezentem od córki były momenty takie jak ten, jej towarzystwo, zwierzenia, przywrócenie dobrych kontaktów, o ile w ogóle kiedykolwiek takowe między nimi istniały.

– Po powrocie do Nowego Jorku mogłybyśmy zarezerwować jedno popołudnie w miesiącu tylko dla nas dwóch. Co ty na to?

Galę zaskoczyły własne słowa. Kate spuściła głowę i kopnęła Bostonowi szyszkę, dając sobie czas na zastanowienie. Raz w miesiącu? Może to za rzadko, ale lepszy rydz niż nic. Zrobiły w milczeniu kilka kroków, wreszcie Kate przystanęła, spojrzała na matkę i wyciągnęła dłoń, żeby

przypieczętować umowę. Szczerze mówiąc, propozycja zaskoczyła ją tak samo jak Galę, ale podobał jej się ten pomysł.

Wąskie uliczki nadal pachniały jedzeniem i palonym drewnem, które z pewnością płonęło jeszcze w większości kominków, podczas gdy dobiegało końca pierwsze spotkanie w gronie rodziny. Rodzina! Jak ważne i trudne jest utrzymanie równowagi między tym, czego chcemy my, a tym, czego chce rodzina, albo tym, co jest dla niej najlepsze. Gala przypomniała sobie babcię, wybory, jakich dokonała dla Romana, dla niej, dla swojej babci Adelaidy, o tym, co stworzyła, i ile cierpień kosztowała ją każda decyzja. To były inne czasy i inne miejsce świata, jednak Gala czuła, że również jej życie albo ona sama zbliża się do rozdroża, że również musi podjąć decyzje, które zapadną jej w pamięć i nie zdoła ich wymazać nawet czas. Ona... jej córki... Frederick... jej życie w Nowym Jorku... Na samą myśl o tym wszystkim opanowywało ją drżenie od stóp po czubek głowy, od którego kręciło jej się w głowie; poczuła, że zaraz zemdleje. Zaniepokojona Kate chwyciła matkę za rękę. Gala, wciąż złana zimnym potem, spojrzała na córkę uspokajająco. Życie idzie naprzód, a kiedy wiadomo, że nie można zrobić kroku w tył, niektóre miejsca czy sytuacje działają niespodziewanie jak katalizatory. Czy takim katalizatorem była La Muga?

Zaczynał chwytać mróz, ich ciała domagały się ciepła w postaci grubego koca i rozpalonego kominka. Kate poczuła chłodną dłoń matki, powoli zimno wykrzywiło jej twarz, przy każdym oddechu z ust buchała para. Powrót po Bostona i głębokie wzruszenie wywołane tym, że znów mogą spędzić razem trochę czasu, sprawiły, że znacznie oddaliły się od domu. Przyspieszyły więc kroku, niemal nie rozmawiając, skoncentrowane na tym, żeby utrzymać ciepło i obronić się przed podmuchami lodowatego wichru. Kate rozmyślała, jak najszybciej napalić w kominku. Amat nauczył ją techniki kowboi: cztery polana ułożone w kwadrat, a pośrodku szyszki, do tego drobne gałązki i papier, od których rozpala się ogień. Nigdy nie próbowała zrobić tego sama, ale cieszyła się na to wyzwanie. Polubiła ogień, paleniska, trzaskanie drewna, zapach palonej dębiny. Miała ochotę posiedzieć z matką przy kominku, obserwować taniec płomieni, aż zmoży ją sen. To miejsce, choć wciąż dla niej obce, oferowało nowe doświadczenia, które zmieniały ją w inną Kate, mającą dużo więcej wolności, dużo bardziej dziką, dużo... szczęśliwszą?

Z daleka dostrzegły samochód z zapalonymi światłami awaryjnymi, zaparkowany na poboczu drogi, naprzeciwko domu Amelii. Kto mógł przyjechać o takiej porze? Nie znały tego auta, niewielu tutejszych mieszkańców miało luksusowe pojazdy, większość jeździła furgonetkami albo terenówkami... Gala niezbyt się tym przejęła, pomyślała, że to jakaś napalona pijana para nie mogła się powstrzymać i zaparkowała byle gdzie, żeby pofolgować namiętności. Kate miała na ten temat inną teorię niż jej matka. Szła z Bostonem w stronę samochodu z zapalonymi światłami, zaintrygowana, przekonana, że ktoś na nie czeka. Przez moment przemknęło jej przez głowę, że to ojciec, który postanowił zrobić im niespodziankę i przeleciał dziesięć tysięcy kilometrów, żeby spędzić z nimi dzień Bożego Narodzenia, ale to nie było w stylu Fredericka.

Teoria Kate okazała się bliższa prawdy, tyle że dziewczynka pomyliła osoby. Kiedy były niespełna dwadzieścia metrów od samochodu, szofer otworzył drzwi, przez które wysiadła postać przykryta czymś, co wyglądało na długie do ziemi futro.

– Bab...cia?

– Maaamaaa?

Zamiast podbiec do niespodziewanego gościa, który nie przestawał do nich machać, zatrzymały się gwałtownie, żeby ochłonąć ze zdumienia. Co, do diabła, robi tu Julianne? Oszałała? Kate podeszła do niej pierwsza, musiała się przekonać, czy ta postać z podniesioną ręką to rzeczywiście babcia z dwustoma walizkami. Gala modliła się, żeby ta kobieta była

kimkolwiek, tylko nie jej matką. Nie miała ochoty spędzać z nią świąt, nie chciała jej widzieć w La Mudze, żeby... Po co ona, do licha, przyjechała?

– *Meeerryyy Chriiistmas, ladies!!!*[50]

## VIII

Oglądały z szosy płaski krajobraz, kamienne zamki, częściowo w ruinie, wznoszące się na wzgórzach niczym strażnice, słoneczniki zimujące na polach i maki czekające na czas kwitnienia, łańcuch ośnieżonych gór na horyzoncie, skrywających wioski z zatrzęsieniem białych domków.

Cztery kobiety i szofer zagubieni gdzieś w Empordà; jechali drogami obsadzonymi drzewami, omijając naturalne przeszkody, takie jak zwierzęta wyskakujące nagle przed maskę samochodu. Spokój panował jedynie na zewnątrz, w środku iskrzyła nawet cisza. Kate i Adele siedziały z tyłu z Galą, oglądając tę ziemię przez opancerzone szyby luksusowego mercedesa, który miał niewiele wspólnego z tym miejscem, za to aż nazbyt dużo z życiem ich i babci. To Julianne zarządziła tę wycieczkę niespodziankę. Kolejnym punktem programu po jej niezapowiedzianym przylocie miało być spędzenie razem trzech dni: wspólna podróż i zwiedzanie ukrytych zakątków. Wszystko, byle nie pozostawać w tej wsi, La Mudze, która przywoływała tyle wspomnień. Nigdy nie sądziła, że kiedykolwiek będzie musiała ponownie postawić tu stopę.

Wyjechały zaraz po udanym *tió*; Julianne czekała na nie w mercedesie. Jedynie z daleka przywitała się z Naldą spojrzeniem; każda patrzyła ze swojego okna: Julianne zza szyby samochodu, Czerwona z balkonu swojego domu. Czas jest bezlitosny, postarza i chociaż niektóre osoby, takie jak Julianne, bronią się przed pokazywaniem zmarszczek, młodość wędnie, żeby ustąpić miejsca starości, nieważne, czy z pomarszczoną skórą, czy nie. Spojrzenia obu kobiet nie krzyżowały się od ponad czterdziestu lat i gdyby to od nich zależało, zostałyby tak aż do śmierci.

Gala nic nie powiedziała; ponieważ nie spała, miała zapadnięte, zaczerwienione oczy. Potrzebowała trochę czasu, aby oswoić się z myślą, że dzieli ją od matki niespełna dziesięć metrów. „Tylko ona jest zdolna zrobić coś takiego!” Czerwona umiała odczytać wiadomość zaszyfrowaną w spojrzeniu Gali, potrafiła przetłumaczyć myśli, które wypełniały jej umysł, a nawet uprzedzić fakty i przepowiedzieć wydarzenia, które spowoduje obecność Julianne. Potrzebowała teraz czasu, żeby przetrwać to, że kobieta, która zabroniła jej najlepszej przyjaciółce kontaktów z jedyną żyjącą krewną, wnuczką, zaraz po tym, jak Amelia straciła jedyne go syna, znów postawiła stopę w La Mudze, gotowa zniszczyć zasiew minionych dni, jak kruki wydziobujące ziarna. Była przekonana, że Julianne nie pokonała tysięcy kilometrów, żeby spędzić Boże Narodzenie z rodziną, tylko po to, żeby na zawsze wymazać to miejsce z życia córki i wnuczek.

„Co Román widział w tej kobiecie?” Tyle razy zadawała sobie to pytanie i słyszała je z ust Amelii. Tyle razy powtarzała przyjaciółce, żeby dała Julianne drugą szansę, żeby przełknęła dumę i jeszcze raz do niej zadzwoniła, żeby zrozumiała, że ona także straciła kogoś, kogo najbardziej kochała. Usprawiedliwiała Julianne, potrafiła wytłumaczyć jej zachowanie i w końcu przekonała Amelię, żeby z nią porozmawiała, zapewniając, że wszystko się ułoży. Xatart wybrała przy niej numer. Chociaż od śmierci Romana minęły dwa lata, spotkała się z tym samym okrucieństwem, spotęgowanym przez upływający czas. Julianne nie tylko postanowiła pogrzebać wszelkie ślady po mężu, lecz także żeby przyspieszyć proces zapominania i ułatwić sobie życie, zniechęciła wszystko, co jej o nim przypominało.

– Nie dzwoń do mnie więcej! Ty nie żyjesz, słyszysz? Babcia mojej córki zmarła dawno temu. W wypadku samochodowym... Mówi ci to coś?

Amelia trzymała słuchawkę jeszcze przez kilka sekund po tym, jak Julianne się rozłączyła, uznawszy rozmowę za zakończoną. Stała niczym posąg z lodu, skamieniała z bólu i poczucia winy. Natomiast Nalda, miotając obelgi pod adresem przeklętej Amerykanki, złapała

i rzuciła słuchawkę z taką wściekłością, że telefon spadł na podłogę. Bezladne krzyki Czerwonej obudziły na pół głuchą babcie Adelaidę, która uciniała sobie poobiednią drzemkę. Kobiety weszły na strych, żeby nikt ich nie słyszał i żeby babcia mogła znów zasnąć.

– Co Román widział w tej kobiecie?

Kiedy wchodzili po schodach, po raz pierwszy usłyszała od Amelii to pytanie, które z biegiem lat zamieniło się w bezsilną skargę. Nalda nigdy nie potrafiła jej odpowiedzieć, ale tak samo jak Amelia wiedziała, że za dużo wymagają od rozsądku, niezbyt biegłego w sprawach miłości.

– Miłość? To nie miłość... Z jej strony to nienawiść!

Tak nazywają się dwie strony monety, która z lekkim brzękiem może cię posłać albo do nieba, albo do piekła. Czerwona zdołała jedynie wymyślić jakieś marne pocieszenie, resztą miał się zająć czas. Vicente i Nalda pomogli Amelii przebudować szopę; wyłożyli pieniądze, żeby przystosować ją na potrzeby warsztatu, i okazali dużo miłości, żeby ich przyjaciółka nie zamieniła się w martwy głaz. Nigdy nie myślała, że VellAntic odziedziczą kiedyś jej syn Amat i Gala. Taki był cykl życia, które oddawało, kiedy je o to nie prosisz, tak jak obrywasz guza. Czerwona była już za stara, żeby stawić czoło Julianne, żeby nie narażając się na arytmie serca, powiedzieć jej wszystko, co nagromadziło się w niej przez te lata.

Kate i Adele były zachwycone prezentami. Dostały dużo książek o tej krainie, zestaw do gry w tryktraka zamykany w walizeczce, który mogły zabrać do domu, parę koni wyrzeźbionych przez dziadka Vicente w drzewie oliwnym, od Naldy – po szaliku z czapkami do kompletu, specjalnie w bardzo dużym rozmiarze i w paski, żeby o niej nie zapomniały. Żadnej z tych rzeczy nie kupiłyby sobie w Nowym Jorku, nawet nie przyszłoby im to do głowy. Ale przyjęły podarki z takim samym rozczuleniem, z jakim zostały one kupione czy zrobione. Kate i Adele ucałowały Vicente i Naldę z dawno zapomnianą serdecznością. Dziadek Vicente, który łatwo się wzruszał, otarł oczy i obiecał, że zanim Adele wyjedzie, wyrzeźbi dla niej Bostona. Gala zdała sobie sprawę, jak niedorzeczne było zaprzestanie dawania prezentów, zapomnienie o tym, co ważne, niezadawanie sobie trudu, żeby cokolwiek stworzyć, nietracenie czasu na tych, których kochasz. Na widok rozpromienionych twarzy córek, ich radości z tej chwili, zrozumiała, ile stracili. Obiecała sobie, że kiedy wrócą do Nowego Jorku, Święty Mikołaj znów będzie wkładać prezenty do skarpet.

Zanim wyszły z domu, Nalda zapytała, na jak długo wyjeżdżają. Gala nie miała pojęcia, nie przyszło jej nawet do głowy, żeby ustalić to z matką.

– Na jakieś dwa, trzy dni...

Czerwona policzyła na palcach; Gala musiała bezwzględnie być w La Mudze wieczorem dwudziestego ósmego grudnia. Kazała jej to obiecać, niczego nie tłumacząc, ale Gala rozumiała i bez wyjaśnień.

– Daję ci moje słowo.

Kobiety przywarły do siebie w długim uścisku, pierwszym w ciągu wszystkich tych dni i tak mocnym, że kiedy się rozdzieliły, starszka miała zaparowane okulary. Był to uścisk bez słów, ale pełen dobrych intencji i wdzięczności. Gala odwróciła się, żeby Nalda nie zauważyła łez, które nagle napłynęły jej do oczu. Zaczekała, aż obeschną, zanim wsiadła do samochodu Julianne, która obserwowała tę scenę w lusterku wstecznym.

Żadna z nich: ani Kate, ani Adele, ani Gala nie zapytała, dokąd jadą. Żadna nie miała ochoty na wycieczkę, nawet mała skautka, która się dąsała, że nie może pojechać z nimi Marc. Dokąd się wybierały?

Droga była kręta, toteż pasażerom wkrótce zaczęło się zbierać na mdłości. Gala nie potrafiła zrozumieć, dlaczego jej matka nie może zdradzić, jak spędzą dzień Bożego Narodzenia.



Julianne poleciła im jedynie włożyć wygodne ubrania i sportowe buty. Odkąd weszła w stadium menopauzy, została zagorzałą fanką sportu, ale rodzinne sporty w Boże Narodzenie? To brzmiało jak szaleństwo, niedorzeczność, choć tak naprawdę największą niedorzecznością była sama obecność matki w La Mudze.

– Może nam pan przynajmniej powiedzieć, dokąd wiezie mnie i moje córki?

Szofer wybełkotał kilka słów, spoglądając na Julianne, która zabroniła mu odpowiadać. Nie był upoważniony do zdradzenia sekretu, ani nawet do opowiadania zabawnych historyjek związanych z okolicą. Julianne niczego nie znosiła bardziej niż kierowców mylących bliskość fizyczną z zażyłością. Nie dopuszczała, żeby szoferzy z nią rozmawiali, a tym bardziej żeby wyskakiwali z wyświechtanymi, tanimi anegdotkami. Zważywszy na to, ile płaciła Gustawowi, najlepszą odpowiedzią było milczenie. Za pracę w tych dniach zażądał od niej dziesięć razy więcej, niż wynosiła zwykła stawka, a Amerykanka nawet nie próbowała się targować. Był przekonany, że jeśli będzie ściśle przestrzegał dekalogu warunków, które ta ekscentryczna kobieta wyszczególniła mu w e-mailu, otrzyma hojny napiwek. Nie chcąc ryzykować, że pozbawi swoje dzieci szczodrych Trzech Króli[51], zignorował litanie błagań Gali i dziewczynek.

– Już prawie jesteśmy! Proszę o ciszę – powiedziała po angielsku.

Gustavo, zgodnie z poleceniem Julianne, włączył płytę Marii Callas, mającą uspokoić bestie. Zaledwie cztery kilometry dzieliły ich od celu, a sądząc po krajobrazie, także od końca świata.

Gala była wściekła, czuła się bezsilna; wiedziała, że jest w rękach matki i że teraz to ona rządzi.

– Mogłabyś przynajmniej zadać sobie trochę trudu i mówić po hiszpańsku, żeby... twoje wnuczki skorzystały na tej wycieczce!

Julianne spojrzała na nią w lusterku wstecznym z grymasem napięcia i zakłopotania na twarzy, ale przystała na prośbę, choć wiedziała, że trudno jej będzie ją spełnić.

Samochód zatrzymał się na skalistym pustkowiu porośniętym dziką roślinnością, w pobliżu latarni morskiej stojącej na klifie. Kate i Adele musiały połączyć siły, żeby wysiąść z auta – tak mocno wiało w tym miejscu, gdzie nagle kończyła się ziemia.

– Gdzie jesteśmy?

– Na przylądku Creus, prawda, Gustavo?

Szofer przytaknął skinieniem głowy i pozwolił sobie dodać, że to jedyne miejsce w Hiszpanii, gdzie Pireneje dochodzą do morza. Doskonałe na spacer i odkrywanie ciekawostek przyrody.

Julianne wysiadła energicznie z samochodu, gotowa rozpocząć wycieczkę po okolicy – czytała, że to idealne miejsce na przechadzki, podziwianie ukrytych zatoczek i przepięknych widoków. Gala nie mogła uwierzyć, że jej matka wpadła na taki pomysł. Piesza wycieczka w Boże Narodzenie? Była w stanie wyobrazić sobie każde szaleństwo, ale nie to, że matka każe jej chodzić po skałach, żeby oglądać schowane pośród nich zatoczki i apokaliptyczny krajobraz krańca świata.

– Wiedziałaś, że nakręcono tu film *Latarnia na końcu świata*, oparty na powieści Juliusza Verne'a? Grali w nim Kirk Douglas i Yul Brynner.

– Co to za jedni?

Cztery Amerykanki i Gustavo szli trasą wyznaczoną czerwonymi strzałkami; zejście nie było niebezpieczne, ale należało uważać na ostre skały. Adele uznała to miejsce za magiczne, ona pierwsza zwróciła uwagę na tabliczkę z informacją o tym, co przed chwilą powiedziała im babcia. Skoro przyjechano z tak daleka, żeby nakręcić amerykański film, musiało tu być coś

wyjątkowego. Wraz z upływem czasu skały uległy erozji, przybrały osobliwe kształty i tworzyły dziki krajobraz, któremu sekundowały uderzenia fal i szum wiatru...

Kiedy zeszły na esplanadę, z której roztaczał się pierwszy panoramiczny widok, zobaczyły, że nie tylko one zaryzykowały przechadzkę w dzień Bożego Narodzenia. Julianne i Gala podeszły do klifu, żeby znaleźć się nad samą przepaścią i poczuć muśnięcie strachu przed utratą równowagi. Gala zerkała kątem oka na matkę, która zdawała się czerpać przyjemność z tej wycieczki. Gustavo stał kilka kroków za nimi i opowiadał dziewczynkom jedną z legend zainspirowanych tym miejscem.

– Niektórzy mówią, że ta ziemia powstała z miłości między rybakiem a syreną, że odwiedził ją sam Herkules, a nawet, że ukryty jest na niej Święty Graal.

Adele słuchała jak zahipnotyzowana. Widząc zainteresowanie dziewczynki, Gustavo zaczął się rozwodzić nad szczegółami.

– To miejsce jako pierwsze na całym Półwyspie Iberyjskim widzi słońce. Jest święte, bo posiada niesamowitą energię telluryczną, Etruskowie właśnie tu budowali swoje megality służące do komunikowania się z bogami.

Dziewczynki gubiły się w wyjaśnieniach coraz bardziej rozemocjonowanego szofera, który zaczął popadać w mistycyzm. Zamknęły oczy i pozwoliły, żeby zawładnął nimi wiatr, chciały poczuć, jak jego magnetyczna siła przenika do każdej ich myśli i zamienia je niespodziewanie w upragnioną wenę, której przyjechało tu szukać wielu artystów. Gustavo pokazał im surowe piękno gołych gór, różnych niuansów ochry, gry światła i cieni, zatoczek ukrytych pośród skał, których prywatność aż żal było zakłócać.

Gałę zaczynało pociągać to iście dantejskie miejsce. Upiorny krajobraz wywoływał dziwny, magiczny efekt, był kuszący, inspirujący i... wyjątkowy? Cztery kobiety ruszyły dalej szlakiem czerwonych strzałek, razem podziwiała osobliwości przyrody, pozwalając, żeby zawładnęła nimi ta ziemia i opowieści Gustava, który za przyzwoleniem Julianne udzielał im szczegółowych wyjaśnień. Kate i Adele szły uczipione jedna drugiej, żeby nie porwał ich wiatr. Gala wolała chwycić się skał, a nie matki, która nadal manifestowała udawaną radość z powodu wycieczki i tego, co dawno przestała praktykować – spędzania czasu z rodziną.

– Znany poeta urodzony na tej ziemi, Joan Maragall, nazwał ją Pałacem Wiatru. Wiedziałyście, że tramontana czasem osiąga tu prędkość stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę?

Kiedy zimno zaczęło im dokuczać, ruszyli z powrotem w stronę wielkiej latarni; omijali chwasty i krzaczki, ostrożnie stawiali stopy, żeby nie ześlizgnąć się w dół i nie najeść niepotrzebnie strachu. Chociaż Gala nie chciała tego przyznać na głos, spodobała jej się wycieczka w to miejsce. Zamieniła z Julianne zaledwie kilka słów; odkąd ubiegłej nocy zobaczyła z daleka matkę, miała ściśnięty żołądek i oddychała tylko połową płuc. Obserwowała ją ukradkiem, nic nie umykało jej uwadze, nie potrafiła jednak zrozumieć, jaką matka obrała strategię. Nie kierowała się bowiem solidarnością z bliźnimi czy rodziną, tylko własnymi korzyściami. Zachowywała się tak, jakby tego ranka po raz pierwszy postawiła stopę na tej ziemi, Gala była jednak przekonana, że to ojciec pokazał matce to magiczne miejsce. Nawet wykorzystując inteligencję czy świadomie kontrolując umysł, nie możemy wybierać rzeczy, które ma zachować nasza pamięć, więc Gala czuła, że matka nie zapomniała tej latarni ani tego wiatru, ani La Mugi. Trzeba jednak przyznać, że reagowała na wszystko z euforią, której żadna z nich nie znała; jakby najadła się na śniadanie guarany albo żeń-szenia i cierpiała na przejściowy zanik pamięci.

Adele miała wielką ochotę wejść do olbrzymiej latarni i spojrzeć z góry na potęgę rozszalałego morza i statki płynące w oddali.

– Świeci się od tysiąc osiemset pięćdziesiątego trzeciego roku, została wyłączona tylko podczas wojny domowej z obawy przed bombardowaniem.

Gustavo był zachwycony pytaniami Adele i jej nienasyconą ciekawością. Zostali w tyle za innymi, odkrywając tajemnice latarni morskich, takich jak ta, migających białym, oślepiającym światłem, które zainspirowały powstanie tylu dzieł literackich. Dziewczynka wyczuła magnetyczną aurę tego miejsca, z latarnią i klifami, przypominającego raczej jakąś zagubioną cywilizację z ksiązek niż jej świat.

Po spacerze zatrzymały się w jedynym lokalu gastronomicznym w okolicy – dawnych koszarach Gwardii Cywilnej, odnowionych przez Anglika, Chrisa Little’a, który zakochał się w tym miejscu i poświęcił bez reszty swojej restauracji. Istniała ona od ponad dwóch dekad i wiele osób przyjeżdżało tu specjalnie, żeby rozkoszować się smakiem owoców morza, świeżych ryb i innych miejscowych frykasów, ciesząc oczy widokiem Pirenejów i morza połączonych imponującym klifem.

Restauracja nie była luksusowa, wręcz przeciwnie, miała swojski wystrój i papierowe obrusy, a mimo to pękała w szwach od gości, którzy jak one wybrali to miejsce na bożonarodzeniowy obiad, spożywany w gronie rodzinnym, we dwoje albo w samotności. Kate zaczynała podejrzewać, że ta ziemia zmienia ludzi, gdy tylko na niej staną – ona także nie poznawała babci, która gdziekolwiek weszła, zawsze zaczynała od narzekań... Teraz z twarzy Julianne nie schodził uśmiech. Gala pomyślała, że matka musiała się czymś naszprycować, bo drżała jej górna warga, jakby cierpiała na zaburzenia nerwowe.

Gustavo poprosił o dwie godziny wolnego; chciał zjeść obiad z rodziną i zobaczyć się z córkami. Ku zaskoczeniu wszystkich Julianne dała mu trzy. W tym miejscu można było co najwyżej przesiąknąć zapachem smażonej ryby i napełnić brzuch, ale nie nadawało się na trzygodzinną biesiadę, tym bardziej że od przyjazdu babci praktycznie ze sobą nie rozmawiały. Okazało się, że Julianne pragnie, aby wnuczki opowiedziały jej o wszystkim, co robiły i co odkryły w La Mudze.

– Mamy psa, Bostona.

Adele położyła nacisk na imię Boston, bo wiedziała, że babcia nie lubi psów, więc nie ludziła się, że przyjmie tę informację bez szemrania.

– Ja palę – powiedziała Kate.

Julianne popatrzyła osłupiała na córkę, otwierając szeroko oczy i wstrzymując oddech, żeby nie wybuchnąć. Kate nie wiedziała, co innego mogłaby ujawnić, żeby babcia na powrót stała się sobą i przestała udawać, że jest zachwycona tym miejscem, papierowymi obrusami i jedzeniem palcami.

– To tak wychowujesz swoje córki?

Gala wolała nie odpowiadać; piła piwo i kontemlowała krajobraz. Wiedziała, że komentarz Kate miał sprowokować Julianne, nie zamierzała pierwsza rzucać kamieniem. Była przekonana, że wystarczy drobny prztyczek, aby matka wyrzuciła z siebie powstrzymywane obelgi, które gromadziła od chwili przyjazdu. Jednak najwyraźniej Julianne nie miała zamiaru robić scen, wolała poddać się świątecznej atmosferze i spędzić cudowne popołudnie w rodzinnym gronie, patrząc na morze. W tym celu postanowiła sama zrobić z siebie widowisko – śpiewała kolędy z gośćmi z sąsiedniego stolika, opowiadała zabawne anegdotki z dzieciństwa Gali, śmiała się z każdej uwagi swoich wnuczek, wychwalała jedzenie, obsługę... Wszystko było tak odrażająco i fałszywie idealne, że w końcu Gala nie wytrzymała.

– Nadal zamierzasz zachowywać się tak, jakby nic nie zaszło?

– Kochanie, są święta... Ciesz się!

Gala wstała od stołu tak gwałtownie, że przewróciła krzesło. Ciągnąc za sobą kurtkę,

wyszła z restauracji pod baczny spojrzeniem córek, które podejrzewały, że czarne chmury zakrywają nie tylko niebo. Julianne dokończyła pospiesznie *flan* z bitą śmietaną. Odłożyła łyżeczkę ze stuknięciem, które w Nowym Jorku czy Miami byłoby nie do pomyślenia. Kate i Adele patrzyły na nią, niezdolne przełknąć śliny. Wydawało się, że ktoś zaczarował ich babcie. Brakowało tylko, żeby wylizała z talerza bitą śmietaną!

Gala wyszła, żeby uniknąć publicznej awantury. Usiadła na ganku i podziwiała widoki. Jedna z kelnerek przyniosła jej koc dla ochrony przed polarnym zimmem i gorącą kawę z mlekiem, którą wcześniej zamówiła. Spojrzały na siebie porozumiewawczo. Musiały uszanować role, które odgrywały, ale gdyby kelnerka nie była w pracy, pogadałyby sobie o świętach, rodzinie i ich skutkach ubocznych. Gala zaczynała mieć dość Julianne; to ona pierwsza uczyniła z kłamstwa nałóg, a jej córka nie była dumna z tego, że go po niej odziedziczyła. Kim jest jej matka? Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz usiadły, żeby porozmawiać o życiu, tym, co w nim najistotniejsze. Mówiły o modzie, podróżach, doświadczeniach zmysłowych, ale nie o emocjach. Co czuje jej matka? Julianne tak zamknęła się w próżności, że pogrzebała swoje uczucia, aby uniknąć cierpienia. Co tu robi? Gala czuła, jak ogarnia ją złość, nie tylko dlatego, że jest Boże Narodzenie, a ona nie potrafi porozumieć się z matką, lecz także dlatego, że matka wtargnęła na jej teren, że musi dzielić odkrywanie tej ziemi z kobietą, która przez całe życie unikała jakiegokolwiek wzmianki o La Mudze, a gdyby mogła, sprawiłaby, żeby ta wieś zniknęła. Odetchnęła głęboko, czując zimno na ściankach płuc. Zamknęła oczy, szukała jakiegoś szczęśliwego wspomnienia z matką, jakiegoś momentu poufałości, który pomógłby się z nią pogodzić i znieść jej towarzystwo przez najbliższe dni.

Przypomniała sobie, że pewnego razu, kiedy miała zaledwie dziewięć lat, matka pojawiła się znienacka w ich rodzinnym domu w Bostonie i przyłapała ją, jak drugi raz w życiu próbuje sobie pomalować paznokcie. Matka i córka prawie się nie widywały; Julianne zawsze była w podróży, na jakiejś kolacji albo spotkaniu towarzyskim, więc nie miała czasu dla Gali, którą wspaniale opiekowali się Melvin i Dana, małżeństwo mieszkające w rezydencji babci, zajmujące się nie tylko dziewczynką, lecz także całym domem. Julianne nic nie powiedziała, tylko spojrzała na córkę leżącą na podłodze z płytek ceramicznych z XIX wieku na wprost kilkunastu buteleczek lakierów, z których cztery były otwarte. Gala postanowiła pomalować każdy paznokieć na inny kolor i zrobić ze swoich dłoni śliczny patchwork, żeby wyglądać najoryginalniej z całej klasy. Popatrzyła na matkę, bardziej zaniepokojona jej reakcją niż szczęśliwa, że ją widzi. Od śmierci Romana ich relacje stały się zimne i dalekie, Gala wypłakała już wszystkie łzy z powodu jej nieobecności i znalazła pocieszenie u Melvina i Dany. W głębi duszy cieszyła się, że matka wróciła do domu, ale nauczona doświadczeniem wołała na nic nie liczyć, żeby nie rozczarować się później brakiem ciepła, miłości czy czasu. Julianne zdjęła buty, nie spuszczać wzroku z córki, podeszła na palcach i położyła się przy niej. Bez słowa podniosła rączkę dziewczynki i zaczęła delikatnie malować jej paznokcie. Palec po palcu, każdy na inny kolor. Prawie nie rozmawiały, ale połączyły je porozumiewawcze spojrzenia i tłumione chichoty; Gala patrzyła z podziwem, z jaką wprawą matka nakłada lakier. Julianne poprawiła paznokietki, które nieudolnie pomalowała sobie córka. Zrobiła to niemal w milczeniu, konspiracyjnie, rozbawiona całą sytuacją. Operacja trwała zaledwie dwadzieścia minut, zakończyła się pocałunkiem w czoło i pogłaskaniem po włosach. Gala leżała nieruchomo z rozczapierzonymi dłońmi, radosna z powodu tego niespodziewanego pocałunku i tych paznokci pomalowanych przez matkę. Julianne zniknęła, nie przykładając zbyt wielkiej wagi do całego zdarzenia; Gala nie zmywała lakieru do chwili, aż zmusiła ją do tego babcia. Gorzko płakała, że musi usunąć tę pamiątkę po wspólnie spędzonym czasie, kiedy obie się uśmiechały.

Niełatwo jest wychowywać córki, kiedy własne dzieciństwo zostało naznaczone

nieobecnością rodziców. Gala nie szukała usprawiedliwienia, ale dotarło do niej, że jeśli sobie tego nie uświadomisz, powtarzasz odziedziczone wzorce, prowadzisz życie na wzór tego, co sama przeżyłaś, a nie zgodnie z tym, czego pragniesz. Trochę ją przerażało, że zaczyna się zastanawiać, kwestionować własne życie, życie swojej matki i swoich córek. Nie żeby chciała je zmienić, tak daleko jeszcze nie zaszła. Raczej pragnęła się dowiedzieć, ile jest w nim prawdy, a ile gotowych prefabrykatów. Kate i Adele były jeszcze małe, ale na pewno i one zaczęły już budować sobie sztuczne życie, stworzone dla wszystkich poza nimi samymi, na bazie tego, co zostało im narzucone. Kate nie była żadną Brearley Girl, mimo że się tam uczyła, tylko Gotham Girl, i chociaż Gala od początku o tym wiedziała, bez przerwy przypominała starszej córce, kim jest: dziewczyną z Brearley. Czy coś przez to osiągnęła? Na szczęście upór pozwolił Kate dzielnie znieść ten brak uznania ze strony bliskich, dziewczynka przyjmowała ciosy nieporuszona, nie zamierzała się dostosować do wymogów otoczenia i udawać, żeby ją zaakceptowano. Adele? Dopiero niedawno opuściła wymyślone planety, ale wyglądało na to, że świat, który się przed nią otwiera, pasuje do niej dużo bardziej niż do jej siostry. „Takie podobne, a jednocześnie takie różne...” Za to ona i matka pogubiły się pośród dętych imprez, ślubów i pogrzebów. Gala nigdy nie czuła potrzeby, żeby porozmawiać z matką, aż do dziś; musiała wiedzieć, kim jest, skąd pochodzi, jaki był jej ojciec. Poznawszy tę ziemię oraz miejsce, do którego należała Julianne, Gala zrozumiała, ile matka musiała mieć odwagi i jak wielką miłość żywić do Romana, skoro przeciwstawiła się Marlboroughom i przedłożyła uczucie nad wszystko inne. Trudno było się jej pogodzić z przedwczesną śmiercią męża nie tylko ze względu na ból, lecz także na rodzinę i na to, co ona powie.

Telefon musiał uparcie dzwonić przez dłuższą chwilę, żeby wyrwać Galę z zamyślenia i przywrócić do rzeczywistości. Frederick... Przez kilka sekund trzymała komórkę w dłoni, żeby wziąć głęboki oddech, zanim odbierze. Nie była pewna, czy... Niczego nie była pewna, a już najmniej tego, czy w takim stanie chce rozmawiać z mężem.

– Cześć!

Rozmowa nie zajęła im dużo czasu. Podteksty były ważniejsze od słów, bo te ostatnie wydawały się zbyt codzienne, nie pasowały do chwil Bożego Narodzenia, które spędzali oddaleni o tysiące kilometrów. Frederick wyczuwał, że coś się zmieniło; wzajemna fascynacja utknęła na mieliźnie, a kiedy to następuje, związek zaczyna się rozpadać. Całkowite podporządkowanie się jego woli przez Galę od lat uniemożliwiała im podejmowanie sensownych decyzji, mniej szkodliwych dla nich i dla dziewczynek. To nie był dobry moment na taką rozmowę, ale cieszyło go, że żona wzięła stery w swoje ręce i zdobyła się na odwagę, aby żyć zgodnie ze swoimi potrzebami, a nie potrzebami innych. Frederick nie miał złego charakteru, lecz był megalomanem niezdolnym oprzeć się kobietom i rozkoszom życia. Gala przekonała go do założenia rodziny i po cichu zaakceptowała, że będzie się nim dzielić. Oboje żyli jakby w bańce, która wcześniej czy później musiała pęknąć. Nadszedł czas refleksji, Frederick się domyślał, że milczenie jest lepsze niż słowa. Napięcie między nimi sięgnęło zenitu, wszystko, czego nie powiedzieli sobie przez te lata, mogło teraz spowodować wybuch. Rozmowa skończyła się jak każda, niczego nie zmieniła, nie padły żadne niestosowne słowa, ale oboje domyślili się, że bańka już pękła.

– Mamo, jesteś zła na babcię?

Adele stała nieruchomo obok matki, kiedy ta rozmawiała z Frederickiem. Jednak nie interesowała się ojcem, martwiła ją teraźniejszość, a ta wiązała się ze stosunkami między Galą a Julianne, które na razie nie były harmonijne.

Gala i Adele pozostały na ganku do chwili, aż pojawił się Gustavo, żeby uratować je przed zamarznięciem. We cztery wsiadły do mercedesa; Gala i Julianne niemal na siebie nie patrzyły, choć przez wzgląd na dziewczynki każda z nich była gotowa zakopać topór wojenny.

Od zbyt dawna nie spędziły razem kilku dni, żeby teraz psuć je zadawnionymi żałami. Gala złożyła córce obietnicę, że będzie się cieszyć teraźniejszością, i kiedy siedziała w samochodzie, nie wiedząc, dokąd jadą, postanowiła, że jej dotrzyma, choćby miała przełknąć dumę i przy niejednej okazji policzyć do stu.

Niebo nad polami i lasami zaczęło przybierać czerwonawy kolor, aż w końcu poddało się gwieździstej nocy. W zaledwie kilka minut jasność ustąpiła miejsca ciemności. Na tym polega życie: w okamgnieniu wyrywa cię z jednej rzeczywistości i przenosi do drugiej, a ty powinieneś iść naprzód, nie oglądając się wstecz. Czy Julianne to osiągnęła? Czterdzieści lat to nie jest jedna stronica czyjśgo życia, choć często można odnieść takie wrażenie. Czy czterdzieści lat wystarczy, żeby usunąć piętno miłości? Gala obserwowała matkę, która ukryta za okularami przeciwsłonecznymi, dała się opanować smutkowi, przekonana, że nikt na nią nie patrzy. Po wyjściu z restauracji zrezygnowała ze sztucznego uśmiechu mówiącego „nic mi nie jest”, teraz na jej twarzy malowały się zarówno odprężenie, jak i smutek. Adele zasnęła, oparta o siostrę, wyczerpana. Doświadczyła zbyt wielu wrażeń w krótkim czasie, jeszcze nie do końca doszła do siebie po omdleniu i od czasu do czasu kręciło jej się w głowie. Gala spoglądała na nią, zmartwiona, ale ufała doktorowi Garridze, ten zaś przypisywał stan jej córki nadmiernemu podekscytowaniu nowym życiem, w którym wszystko jest jeszcze do odkrycia.

– Czyż niemowlaki nie śpią przez cały czas?

Adele odkryła w końcu tę nową planetę, o której zawsze śniła, i od kilku dni niezmordowanie badała ją z Markiem.

Kate patrzyła na odbicie matki w ciemnej szybie samochodu. Gala spoglądała na nią, także odbitą w szybie, czuła łączące je porozumienie, jak kilka dni temu. Nie przestając wyglądać przez okno, poszukiwała dłoni córki i mocno ją ścisnęła, z nieznaną dotąd siłą. Była dumna z Kate: z jej talentu, inteligencji, wrażliwości i tego, że jest Gotham Girl, a nie Brearley Girl. Zaczynała wierzyć, że w tej rodzinie wszystkie kobiety mają w sobie dużo więcej z Gotham niż z Brearley. Ta myśl wywołała na jej twarzy szczerzy uśmiech, który Julianne wychwyciła w lusterku wstecznym. Obserwowała Galę z dystansu, wiedziała, że córka jest na nią zła. Ta niespodziewana podróż najwyraźniej wprawiła koło fortuny w ruch. Los spletał im figła i trzymał je obie w miejscu, do którego nie tylko obiecała sobie nie wracać, lecz także którego nazwy nie chciała nawet wymawiać.

Nie wiedziała, po co przyjechała. Odkąd Frederick poinformował ją o wyprawie Gali, nie mogła spać; zbyt wiele razy śniła o tej ziemi, która odbierała spokój jej duszy i czyniła jej życie nie do zniesienia. Próbowwała nakłonić Galę, żeby wróciła, przestała myszkować w przeszłości, która nie należy do niej, ale córka uparła się, żeby znaleźć wyjaśnienia wszystkich niedomówień, i wylądowała w La Mudze, żeby znów obrócić kołem. Julianne przyjechała więc przekonać córkę, żeby jak najszybciej opuściła tę ziemię, jednak kiedy znów na niej stanęła, poczuła, że ma głowę pełną wspomnień, które uważała za pogrzebane. Cierpiała, zamykając oczy, bo widziała się u boku mężczyzny, którego najbardziej kochała i najbardziej chciała zapomnieć: Romana. Zamknięta w samochodzie, chroniona przez okulary przeciwsłoneczne, pomyślała, że odbyła tę podróż nie po to, aby wyciągnąć stąd córkę, ale aby wyciągnąć samą siebie ze sztucznego, sprefabrykowanego świata, zrobionego na miarę innych, ale nie jej.

Julianne zarezerwowała pokoje w pięciogwiazdkowym „Wine Spa” w Pereladzie, gdzie mogły korzystać z leczniczych właściwości winorośli i zgodnie z bożonarodzeniowym zwyczajem zagrać razem w golfa. Kate lubiła ćwiczyć swój swing i patrzeć, jak z roku na rok staje się coraz lepszy, ale musiała przyznać, że gdyby nie babcia, nigdy nie uprawiałaby tego sportu. Adele posługiwała się kijami niezdarnie, nawet z pomocą instruktora nie potrafiła trafić w piłeczkę. Wrodziła się pod tym względem w matkę, chociaż w przypadku Gali chodziło nie

tyle o brak wprawy, ile o totalne znudzenie. Golf nie należał do jej ulubionych sportów i chociaż Julianne w każde Boże Narodzenie nalegała, żeby razem zagrały, ona nie chciała być częścią tego *rich woman club*. Julianne opracowała idealny plan: relaks, dobre jedzenie i sport. Po obudzeniu ustaliły, że każda może korzystać z dobrodziejstw ośrodka według własnego uznania, pod warunkiem że będą się spotykały na posiłki. Ku własnemu zdziwieniu wszystkie były tego samego zdania. To miejsce doskonale nadawało się na odpoczynek podczas sesji masażu – było idealne dla Gali, ale straszliwie nudne dla Adele i Kate, które gdy tylko się zorientowały, gdzie są, zaraz zadzwoniły do Joany, żeby przyjechała im na ratunek. Zdziwiło je, że w jej domu wciąż są święta.

– Święty Szczepan? Jest taki ważny?

Joana nie potrafiła odpowiedzieć na pytanie Kate, ale miała zaplanowany rodzinny obiad w domu kuzynów i nie mogła przyjechać po nie tego dnia. Świętowanie może być niezwykle stresujące, Joana wciąż była w biegu, a jej żołądek rozciągnął się po tak wielu rodzinnych uroczystościach.

Uzgodniły, że zadzwonią się następnego dnia. Joana pozazdrościła przyjaciółce, że zatrzymała się w jednym z okolicznych luksusowych hoteli. Uwielbiała spa, chłopców w szlafrokach i miętową herbatę po dobrym masażu. Kate nie należała do miłośniczek peelingów, kremów i kąpeli z bąbelkami, ale ponieważ nie miała za bardzo wyboru, a Adele chciała spróbować każdego z zabiegów, postanowiły zabawić się w odkrywczynie i przetestować razem z mamą i babcią wszystkie masaże, które im polecono.

Spędzenie dnia w szlafroku, przenoszenie się z jednej kozetki na drugą, pławienie w wannie czy basenie z hydromasażem było doskonałym programem, na który większość ludzi przystałaby z ochotą. Ale kiedy zostajesz przeniesiony do rajy gwałtownie, bez zapytania cię o zdanie, taka sielanka nie do końca ci odpowiada. Tak czuły Adele i Kate, które od dziesięciu dni biegały samopas po polu, nie martwiąc się o dobre maniery, odkrywając, że istnieje życie bez technologii. Kate ucieszyła się, że ma w hotelu darmowy internet bezprzewodowy i będzie mogła porozmawiać z Joaną, Jersey i... Aleksem? Od Wigilii praktycznie nie miała z nim kontaktu, ale uśmiechała się na myśl o jego nieporadności, którą uważała za bardzo zabawną.

Julianne postanowiła zagrać rano w golfa, a masaże zostawić na popołudnie. Gala przekonała matkę, że dziewczynkom najlepiej zrobi rozprostowanie nóg, i ruszyła z nimi na zwiedzanie okolic spa. Były bardzo blisko La Mugi – w sąsiedniej Pereladzie, gdzie został odczytany testament Amelii Xatart; gdzie poznała Amata, który pojawił się z brudnymi rękami, a potem odjechał konno, wprawiając ją w osłupienie.

Przespacerowały się we trzy uliczkami, wyłożonymi różową kostką, po nowym osiedlu na obrzeżach miasteczka, pełnym olbrzymich, kamiennych willi z ogrodami, basenami i zapewne także służbą, choć ta nie była wliczona w cenę domów. Adele niewiele spała ubiegłej nocy, myślała o Bostonie i tęskniła za Markiem. On na pewno potrafiłby im powiedzieć, jak nazywa się część miasteczka z domami tak podobnymi do tych, które podobały się jej babci w Miami, a którym zdaniem Adele brakowało osobowości. Polubiła stare kamienne mury wyglądające na zniszczone, a jednak odporne na upływ czasu, kryjące w sobie tyle życia. Kate zaczynała dzielić zdanie siostry, z niecierpliwością wypatrywała miejsca, w którym skończą się nowe wille, a zacznie stara część Perelady.

– Czy tu gdzieś nie znajduje się dom od win, w którym byliśmy pierwszego dnia?

Kate miała rację. Gala przypomniawszy sobie, że Teresa ją zaprosiła, aby zwiedziła winnice, kiedy będzie miała ochotę, i chociaż nie pamiętała dokładnie drogi, była pewna, że gdy zapyta o Forgasów, skierują ją we właściwe miejsce.

Błądziły po brukowanych uliczkach, na których niemal zatrzymał się czas i można było

cofnąć wskazówki zegara o kilka wieków. Adele wyobrażała sobie, że ubrana w strój księżniczki wychodzi o świcie na jeden z balkonów, a Kate, że ćwiczy szermierkę albo sztukę władania szpadą.

– Ja... nauczyłabym się walczyć!

Gala uśmiechała się, widząc, w jakim kierunku zmierza wyobrażenia każdej z córek. Co ona robiłaby w tamtych czasach? Doszła do wniosku, że jej sytuacja nie zmieniłaby się za bardzo: byłaby żoną mężczyzny, który by jej nie kochał i miał wiele kochanek. Ta myśl jej nie oburzyła, po prostu zdała sobie sprawę, jak średniowieczne jest jej położenie. Uważała się za kobietę nowoczesną, pod pewnymi względami było jej bliżej do Kate niż do Adele, a mimo to uwięziła samą siebie ze strachu przed zbudowaniem sobie życia poza granicami narzuconymi przez przynależność do rodu Marlboroughów.

Trąbienie klaksonu przywróciło je do teraźniejszości i gwałtownie przerwało podróż w czasie. Amat zatrzymał samochód, żeby się z nimi przywitać, zmuszony do tego przez bratanka; Gala nie chciała przykładać zbyt dużej wagi do tego spotkania, ale poczuła, jak skacze jej serce, prowokując nieznaczną arytmieję, która nie pomagała w ukojeniu nerwów. Z kolei Adele zareagowała entuzjastycznie na widok Bostona i Marca, siedzących w tylnej części auta typu kombi. Joana opowiedziała Marcowi, że zatrzymały się w „Wine Spa”, a wujek, który musiał kupić wino Forgas w Pereladzie, obiecał mu, że pokrąży trochę po miasteczku i może je spotkają. Myślał, że im się nie uda, ale ledwo minęli tablicę „Witamy w Pereladzie”, dostrzegli trzy postacie idące główną drogą.

Wkrótce miało się rozlec dwanaście uderzeń dzwonów obwieszczających południe. Amat postanowił zaparkować i przejść się z nimi po miasteczku, ku uciechu dzieci; dorośli mieli chwilę wahania. Kate, Adele, Marc i Boston pobiegli przodem, zostawiając Galę i Amata samych, bardziej zawstydzonych, niż wskazywałoby ich zgodne milczenie.

– A twoja matka?

– Gra w golfa.

Amat uśmiechnął się i wbił wzrok w ziemię. Gala odwróciła głowę, żeby skarcić go za kpiący grymas, ale w końcu sama się uśmiechnęła. Amat na pewno uważał golfa za sport uprawiany przez tych, którzy lubią się pławić w próżności.

– Ty na pewno wolisz walić w pień niż w piłeczkę...

Amat przystanął, żeby łatwiej przyjąć cios; to, że żyje na wsi, nie oznacza, że jest jaskiniowcem, ale Amerykanka zawsze widziała go i jego świat w krzywym zwierciadle.

– Myślę, że gram w golfa lepiej od ciebie, ale... fakt! Wolę rąbać drzewo.

Gala wychwyciła w jego głosie poważne brzmienie, które zbiło ją z tropu. Ton był ostry, surowy, a dotąd zawsze przemawiał do niej delikatnie, choć nie bez ironii. Jej komentarz nie miał zabrzmieć złośliwie, miał być przyjacielski, zabawny. Zamiany czasem rozmijają się z rzeczywistością. Gala z irytacją kopnęła przydrożny kamyk. Spuściła głowę, uznawszy rozmowę za zakończoną. Amat spojrział na nią kątem oka, musiał wziąć dwa głębokie oddechy, żeby powstrzymać się od przytulenia Amerykanki. Nie chciał, żeby jego uwaga zabrzmiała szorstko, ale kiedy postępuje się wbrew własnym uczuciom, dochodzi do bezsensownych spięć.

Szli w milczeniu, nie potrafili wybrnąć z tej krępującej sytuacji. Zatopieni każdy we własnym wnętrzu, słuchali swoich myśli i obserwowali dzieci bawiące się z Bostonem. Ulice były niemal wyludnione, Perelada jest miejscem, po którym przechadza się spokój, wypełniając atmosferę inspirującą ciszą.

– Mamo! Boston umie już siadać! Popatrz! Boston, *sit! SIT!*

Adele ucieszyło niespodziewane spotkanie. Jej siostra zdołała się skontaktować z Jersey; przyjaciółka poprosiła, żeby wysłała jej kilka zdjęć z miejsca, w którym przebywa, i była nimi



zachwycona. Kate oparła się o drewniany płot w punkcie, gdzie złapała zasięg i darmowy internet, i dalej konwersowała z Jersey. Pierwszy raz opowiedziała jej o swoich przygodach w La Mudze, o wyprawie po spadek odziedziczony przez matkę, o babciach i historii każdej z nich. Jersey nie nadążała z wysyłaniem emotikonów ilustrujących jej zaciekawienie. Zazdrościła Kate pochodzenia i pieniędzy. Chciałaby móc spędzić święta tak jak ona, w jakimś odległym miejscu, szukając skarbu i odkrywając, że istnieje życie poza jej krajem. Jersey od urodzenia ciągnęło do Europy, zawsze marzyła, żeby wyjechać na studia, zakochać się i spędzić tam młodość. Kate wciąż martwiło, że nie mogła i nadal nie może uczestniczyć z Gotham Girls w eliminacjach. Jersey nie rozumiała obsesji koleżanki na punkcie przynależności do Gotham – roller derby junior rzeczywiście kształtowało charakter, ale nie decydowało o całym życiu. Jednak dla Kate oznaczało możliwość bycia przez pewien czas taką, jaką chciała być. Jersey i Kate wywodzili się z całkowicie odmiennych światów. Były jak dwa oblicza Nowego Jorku, ale ku ich zaskoczeniu, czuły się niemal rodzonymi siostrami, chociaż różniły je kolor skóry i pochodzenie.

– Kaaate! Nie zostawaj w tyle...

Kate pożegnała przyjaciółkę serią różnokolorowych serduszek i puściła się biegiem, żeby dogonić pozostałych. Żałowała, że Adele nie zmierzyła jej czasu, była pewna, że z podekscytowania pobiła własny rekord.

Wkrótce Gala rozpoznała bramę Can Forgas, wielki ogród z drzewkami pomarańczowymi, kasztanowcami i sosnami, stojącymi po bokach drogi wiodącej do dużego domu w głębi, otoczonego gigantyczną połacią winnic.

Nalda zadzwoniła do Teresy i uprzedziła, że Amat przyjedzie po wino i specjalną świąteczną cavę. Rodzina Forgasów trzymała wyjątkowe wina zarezerwowane dla przyjaciół i bliskich, którymi ci dzielili się z nielicznymi szczęściarzami przy szczególnych okazjach. Był to najcenniejszy rarytas w okolicy, jego legenda rosła z biegiem lat za sprawą tych, którzy go skosztowali. Pozostałych ciekawiło, czy te wina w ogóle istnieją. Rodzina i wybrańcy strzegli sekretu, tylko oni wiedzieli o odkryciu Świętego Graala wypełnionego musującym winem. Amat nie podzielił się tą historią z Galą podczas spaceru; już niemal niczym się z nią nie dzielił.

Druga czekała na nich na ganku, z szerokim uśmiechem, wystrojona jak na przyjęcie ambasadorów. Amat odebrał dwie skrzynki butelek i podziękował jej porozumiewawczym spojrzeniem. Alfonso Forgas pokazywał winnice zwiedzającym, a ich dzieci szykowały się do obiadu. Teresa sumitowała się, że nie zaprasza gości do środka ani nie proponuje niczego do picia; była pochłonięta przygotowaniami.

– Widzimy się dwudziestego ósmego, prawda? – powiedziała do Gali na pożegnanie, puszczając do niej oko.

Amerykanka zrobiła zdziwioną minę. Teresa ją zaskoczyła, zupełnie zapomniała, że obiecała Naldzie wrócić do La Mugi przed nocą dwudziestego ósmego grudnia. Amat rzucił Drugiej konspiracyjne spojrzenie, wiedział, że po długiej przerwie Krąg znowu się otwiera, bo od kilku dni jego matka była tym przejęta bardziej niż świętami. Kate i Adele pożegnały się z Teresą z daleka; biegały za Bostonem, który od chwili wejścia na teren Can Forgas węszył po kątach, szukając kamieni i patyków do zabawy.

Gala i Amat wracali tym samym krokiem, w tym samym tempie, a mimo to czuli, że czas płynie teraz wolniej. Chcieli, żeby nadszedł wreszcie moment pożegnania, ale niepokój jest złym towarzyszem podróży, zamiast skracać czas, zamienia każdą sekundę w chwilę trwającą w nieskończoność. Gala była bliska wybuchu z powodu zażenowania i niemożności wybrnięcia z tej krępującej sytuacji.

– Przepraszam, jeśli wcześniej cię uraziłam.

– Czym?

– Tym, że dla ciebie golf...

Amat nie pozwolił jej dokończyć, zapewnił, że się nie obraził, że po prostu w jej obecności trudno mu dobrać właściwie słowa. Gala uśmiechnęła się nieśmiało, słysząc to niespodziewane pochlebstwo, i znów kopnęła kamyk. Chociaż oboje wiedzieli, że muszą rozwiązać kwestię VellAntic, żadne z nich nie otwierało ust, żeby zaproponować jakieś wyjście. Wreszcie Amat przyznał, że rozmawiał z Riudaneu i postanowił odkupić jej pięćdziesiąt procent za cenę ustaloną przez prawnika.

– Jeśli tego właśnie chcesz, po świętach możemy mieć gotowe dokumenty do podpisu.

– Dziękuję.

Gala nie miała pojęcia, co mogłaby dodać; chociaż przyjęła tę wiadomość z ulgą, jednocześnie ścisnęła jej się żołądek. W końcu przekonała tego uparciucha Amata, żeby odkupił jej część, ale to oznaczało zrzeczenie się jednego z miejsc i jednej z rzeczy najcenniejszych dla jej babci.

Resztę drogi pokonali pogrążeni w myślach, znów w towarzystwie ciszy, choć teraz byli sobie bliżsi.

Wszyscy wsiedli do samochodu i Amat podjechał pod „Wine Spa”. Dzieci wyskoczyły z auta, żeby ostatni raz przebiec się z Bostonem w okolicy hotelu, a dorośli zostali w środku. Siedzieli jak skamieniały, szukając naprędce jakiejś odpowiedzi czy odpowiedniego komentarza.

– Nie chcę, żebyś myślała, że pragnę wykupić twoją część. Dobrze mi z tym, co mam, ale jeśli tobie tak bardzo zależy...

Gala podniosła głowę i popatrzyła na niego z wdzięcznością. Amat poczuł, że oblewa się rumieńcem, któremu towarzyszyły kropelki potu. Spojrzeli na siebie, przez moment wytrzymali w bezruchu, a potem Gala, niczym spadająca gwiazda, rzuciła się niespodziewanie na Amata i pocałowała go w oba policzki, przez co zjeżyły mu się włoski na całym ciele. Nie był w stanie zareagować. Kiedy muskała ustami jego skórę, poczuła, że ten mężczyzna przyciąga ją jak magnes. Zbiło ją z tropu pożądanie, które wypełniło jej wnętrze i emanowało szybkimi uderzeniami ciepła. Wsiadła z samochodu, zdziwiona tym, co poczuła. Zanim zdążyła zamknąć drzwi, usłyszała cichy głos Amata:

– Zjesz ze mną dzisiaj kolację?

Skinęła potakująco głową, niezdolna odmówić zaproszeniu kogoś, kto kilka sekund wcześniej sprawił, że oczy zaszyły jej mgłą z powodu... niepohamowanego pożądania? Zapomniała o tym uczuciu dawno temu, ciężko jej było je rozpoznać. Zatrzasnęła drzwiczki; zanim ruszyła przed siebie, przez kilka sekund stała, jakby właśnie obudziła się ze snu, świadoma wszystkich konsekwencji obietnicy złożonej Amatowi. Zawołała dziewczynki, które pożegnały się wylewnie z Markiem i Bostonem i podbiegły podekscytowane, zadowolone z niespodziewanego spotkania, gotowe na rodzinne popołudnie z masażami i kąpielami termalnymi, w czasie którego wszystko mogło się zdarzyć.

Julianne była wielbicielką winoterapii, odkąd dziesięć lat wcześniej odkryła White Oaks w kanadyjskiej Niagarze. Co roku fundowała sobie tydzień peelingów, okładów i kąpeli w winie musującym, z nadzieją, że nasyci się przeciwutleniaczami i opóźni deprymujące ją pogłębianie się zmarszczek i obwisanie skóry. Nigdy nie zdołała namówić córki, żeby towarzyszyła jej w zabiegach i skorzystała ze zbawiennego wpływu wina na krążenie krwi albo jego zalet profilaktycznych. Gala niezbyt lubiła masaże, a jeszcze mniej spędzanie czasu z matką, w dodatku na luksusowych zabiegach *anti-aging*. Nigdy nie przypuszczała, że kiedyś wyląduje z nią w wannie wypełnionej merlotem podgrzany do temperatury trzydziestu siedmiu stopni, słuchając, jak z maseczką nawilżającą na twarzy opowiada o swoich sukcesach na polu golfowym. Kiedy Julianne postanowiła pokierować życiem córki i zaleciła jej pierwsze

poprawki, jeśli nie chce się przedwcześnie postarzyć jak większość kobiet, Gala uznała, że ma dosyć.

– My powinnyśmy i mamy możliwość zestarzeć się później, bo nas na to stać...

Nie znosiła matki, kiedy ta zaczynała opowiadać, jak w odróżnieniu od przeciętnych ludzi należą do wyższej sfery i dlatego powinny postępować w inny sposób. Nie znosiła snobistycznej retoryki „zachowuj się jak Marlborough!”, nie zamierzała jej wysłuchiwać, siedząc przez czterdzieści pięć minut w wannie, teoretycznie przeznaczonej do relaksu.

– Mamo, proszę! Zamknij się!

Julianne spojrzała na nią, zbита z tropu nie tylko sposobem, w jaki córka zwracała się do własnej matki, lecz także słowami, jakich użyła. Gala była inna, powoli zdobywała się na odwagę i odrzucała dobre maniery, ogładę i pozory. Nie ona powinna przypominać córce o jej życiu i wynikających z niego obowiązkach, ale przecież Gala zaczynała wyraźnie zapominać, kim jest i gdzie jest jej miejsce.

– Nie jesteś sama, wiesz? Ten cyrk musi się jak najszybciej skończyć.

Gala spojrzała na matkę wyzywająco, nie wiedziała, jak zareagować na to, co przed chwilą usłyszała. Julianne doskonale zdawała sobie sprawę, że ta podróż to nie do końca wycieczka do Disney Worldu, że nadal uparcie grzebie zmarłego męża, a wraz z nim cały jego świat. Nie chciała poruszać tego tematu, uwalniać demonów spętanych przez lata, ale wyciągnęła już trójząb, wywołując burzę.

– Rozmawiałaś z Frederickiem? Martwi go twoje zachowanie... Tak samo jak mnie...

– Gala pragnęła jak najszybciej skończyć tę kąpiel z bąbelkami, żeby uniknąć skandalu w tak luksusowym miejscu. Jednak Julianne uparcie dążyła do tego, żeby spłonęła Troja, nie przeszkadzało jej, że rozpętają wojnę światową pośród okładów z winogron, kremów i szlafroków. Czuła, że jest zamknięta w bańce, która zaraz pęknie, że nie zniesie siebie na tej ziemi ani dnia dłużej. Wspomnienia, które uważała za utracone, wracały w postaci koszmarów, wprowadzając do jej życia jeszcze więcej udręki. Nie potrafiła spojrzeć na swoje odbicie w szybie, nie chciała znaleźć w nim potwierdzenia upływającego czasu, tego, że doszła do takiego wieku, nie obejrzawszy się ani razu na swoją przeszłość, TĘ przeszłość. Tymczasem w tym miejscu w niespełna czterdzieści osiem godzin spadło na nią w postaci wartkiego wodospadu wszystko to, co pogrzebała, poczuła nawet obecność Romana i zaczęła myśleć, że może on żyje. Jej umysł popadał w taką paranoję, że odczuwała potrzebę zejścia na ziemię, a żeby to osiągnąć, musiała nawrzeszczeć na córkę, wyrzucić z siebie złość, która powstrzymałaby łzy i żal.

– Nie rozumiem, co ty wyprawiasz. Chcesz zniszczyć życie swoje i swoich córek?

– Mamo, proszę, przestań... Zrób to dla mnie i przestań... To nie jest dobry moment...

– Nie wychowałam cię tak, żebyś żyła w zgodzie z tym, co czujesz. Słyszysz?

Gala zamknęła oczy i cierpliwie czekała, aż matce znudzi się mówienie i prowokowanie niebios. Oczekiwała niemożliwego, bo dla Julianne to był dopiero początek. Cud nastąpił, kiedy pojawiła się jakaś dziewczyna i poinformowała, że czas kąpieli dobiegł końca. Gala wstała gwałtownie, rozchlapując wodę dookoła. Wytarła się byle jak, założyła szlafrok, frotowe kaptcie i szybko uciekła. Nie chciała stawiać czoła matce, bo jeszcze nie była pewna ani tego, co czuje, ani tego, co chce usłyszeć. Wiedziała, że wszystko wygląda inaczej niż wcześniej, że nie mogą dalej udawać, jakby nic się nie stało, że istnieje jakiś limit czasu na odbycie tej rozmowy; potrzebowała go jeszcze tylko trochę więcej. Na razie musiała nadal unikać tego tematu, bo wciąż nie potrafiła rozmawiać o swoim ojcu, swoim dzieciństwie, swojej babci, La Mudze...

Julianne wyszła z wanny i odszukała Galę wściekłym wzrokiem; była głową rodziny, nikt nie miał prawa przerywać jej w pół słowa, nawet córka. Nie spuszczać z niej oczu, przeszła do

drugiego pomieszczenia. Na szczęście miały zaplanowane inne zabiegi i nie musiały się widzieć przez najbliższe dwie godziny.

Adele zastała matkę popijającą herbatę w sali relaksacyjnej – siedziała na ławeczce, czekając na swoją kolej, żeby położyć się na kozetce. Kate i Adele wyszły spod natrysków, kolejnym punktem programu był kryty basen. Adele wszędzie się podobało: w sali relaksacyjnej wyobrażała sobie, że jest dorosła i że jak matka pije ciepłą herbatę w oczekiwaniu na nowy zabieg. Kate, która pierwszy raz w życiu zgodziła się przyjść do takiego miejsca, z ciężkim sercem musiała przyznać, że zaczyna rozumieć hedonistyczne zamiłowanie do przyjemności dla przyjemności. Myślała tylko o Joanie i o tym wszystkim, co jej opowie, kiedy się zobaczą; przyjaciółka na pewno jest znawczynią tematu i będzie umiała docenić takie drobiazgi jak świeże owoce czy jednorazowe ręczniki na każdym kroku.

– Wiedziałas, że Paul Newman codziennie mył twarz, zanurzając ją w kostkach lodu?

Kiedy Joana powiedziała jej o tym przez WhatsAppa, Kate postanowiła z ciekawości sama spróbować. I doszła do wniosku, że już nigdy nie będzie naśladowała żadnej gwiazdy filmowej ani słuchała rad koleżanki mającej bzika na punkcie kina. Adele dostała głupawki na wspomnienie siostry wynurzającej się ze skostniałą twarzą z basenu z lodowatą wodą i biegnącej do basenu z gorącą, żeby odzyskać życiowe parametry. Gala, która zaczęła słuchać opowieści dziewczynki z grymasem dezaprobaty, pod koniec śmiała się serdecznie z wyczynu starszej córki. Adele, choć miała palce pomarszczone od zbyt długiego przebywania w wodzie, była jak ryba – uwielbiała przesiadywać w basenie i nie chciała z niego wychodzić. Zanim córki znów zniknęły jej z oczu, Gala nakazała wzrokiem Kate, żeby trzymała siostrę w ryzach i zaciągnęła ją pod prysznic.

Potrzebowała chwili spokoju, aby uporządkować myśli i przestać się złościć na matkę. Nie przypuszczała, że półtorej godziny później spotkają się w łaźni tureckiej i wystawią na próbę nie tylko swoją odporność fizyczną na wysokie temperatury. Gala weszła do środka przekonana, że jest sama; miała ochotę się wyciągnąć, wypocić nawet myśli. Wkrótce wyczuła czyjąś obecność, ale jak to się często robi, udała, że jej nie zauważa.

– Czasami mam wątpliwości, czy jesteś moją córką!

Z zamkniętymi oczami rozpoznała głos matki. Jej słowa nie zrobiły na niej wrażenia, słyszała je nie pierwszy raz, zresztą sama myślała podobnie. Odwróciła się, żeby spojrzeć na Julianne; nie musiała nic mówić. Matka siedziała z pochyloną głową. Chociaż starała się ze wszystkich sił, nie tryskała już tą samą energią co wcześniej. Była jakby osłabiona, blada... Gala przyglądała się jej z niepokojem, to, że nie miała nic wspólnego z własną matką, nie oznaczało, że nie potrafiła rozpoznać, kiedy ją coś gryzie. Pierwszy raz widziała, żeby brakowało jej sił – wyrzucała swoje uwagi niczym umierający, który wydaje ostatnie tchnienie, zanim skona.

– Odwołałam ślub z Johnem.

Julianne zmęczyło wreszcie bycie kobietą, która kolekcjonuje kochanków i mężów. Która bawi się w korzystanie z życia, nawet własnym kosztem, i w udawanie, że nic jej nie obchodzi. Życia, upływających lat nie da się podpierać kłamstwem; można je wyprostować jedynie odpowiednią dawką zdrowego rozsądku, a jego kroplą było właśnie odwołanie piątego ślubu. Nie kochała Johna, jak nie kochała trzech poprzednich mężów. Ale jak przetrwać po utracie MIŁOŚCI, takiej, która nie tyle cię dopełnia, ile uwielokrotnia? Julianne starała się ze wszystkich sił przeżyć utratę Romana i uczucia, które ich łączyło, i choć już nigdy nie pokochała nikogo w ten sposób, zdołała odnaleźć w życiu przyjemność, a w końcu się od niej uzależniła – tylko ona ją absorbowała. Oddaliła się od córki, od siebie samej i od tego, czym była, korzystając maksymalnie z terażniejszości, nieświadoma, że przeszłość może wrócić z siłą gigantycznej fali, która unicestwi jej życie. Gala obserwowała matkę zatopioną w myślach, które zaćmiewały jej

umysł i wykrzywiały twarz. Cierpienie, kiedy wychodzi ci na spotkanie, jest jak diabeł, szuka drzwi do słabości, żeby przeniknąć do środka, a gdy już tam trafia, trudno się go pozbyć. Julianne postanowiła za wszelką cenę wymazać przeszłość z pamięci, ale nadal nurzała się w jej mętnych wodach.

– Nie wiem, co ci powiedzieć...

– Że się cieszysz, że nie wyjdę znowu za męż...

W środku zaczynał doskwierać upał, ale żadna nie wydawała się skłonna opuścić sauny. Ani kontynuować rozmowy.

– Dziś wieczorem jestem umówiona na kolację. Będziesz potrafiła robić za babcię?

Julianne wstała na tyle gwałtownie, na ile pozwalały warunki i jej stan. Spojrzała wyzywająco na córkę, ale postanowiła wyjść, zanim od tego gorąca zaleje ją żółć.

Nie widziały się przez następne dwie godziny. Gala skorzystała z okazji, żeby przejrzeć e-maile i nawiązać kontakt ze swoim życiem w Nowym Jorku. Trudno było uwierzyć, że minęło zaledwie dziesięć dni; w głowie miała mętlik. Tamto życie wydawało się odległe, nie chciało jej się nawet kontaktować z koleżankami. Nie miała wielu przyjaciół, budziła w ludziach zazdrość, z czym nie potrafiła sobie poradzić, toteż rzadko pokazywała się w towarzystwie i świadomie chroniła swoją prywatność, żeby ten balon zawiści nie wybuchł jej kiedyś prosto w twarz. Nauczyła się żyć w samotności, z popołudniowym kursem fotografii, zajęciami pilatesu, jałowymi spotkaniami z kobietami z wyższej sfery, prowadzącymi równie próżne i nudne życia jak ona. Wiele słów, a mało czynów. Dużo tchórzostwa i nadmierna wygoda. Nie miały prawa narzekać, bo wszystkie, nie wyłączając jej, z własnej woli żyły na pokaz. Nie musieć się martwić o pieniądze to zbyt duża pokusa, żeby ją odrzucić... Gala nigdy nie pracowała ani nie widziała, żeby pracowała jej matka, nie rozumiała, co znaczy wiązać koniec z końcem czy oszczędzać, żeby zaspokoić jakiś kaprys. Czy z tego powodu była pusta? Rozpieszczona? Pozbawiona wrażliwości, bo jej życie było łatwe pod względem finansowym? Nigdy o tym nie myślała ani nie odczuwała potrzeby oceniania się pod tym kątem, ale fakt, że czeka ją kolacja z kimś, kto tak właśnie ją postrzega, sprawił, że zaczęła się nad tym zastanawiać. Denerwowała się spotkaniem z Amatem, nie wiedziała, czy to wypada, czy powinna pójść. Oczywiście, pragnęła go zobaczyć, nawet zaryzykować rozmowę, która mogła się skończyć awanturą albo namiętym pocałunkiem. Amat był jak słodko-kwaśna potrawa albo moment, w którym przechodzisz z zimnej wody do gorącej. Już pierwszego dnia poczuła się przy nim niepewnie i nadal nie potrafiła go rozgryźć. Chociaż wydawał jej się zadufanym wieśniakiem, miała ochotę na kolację sam na sam w jego towarzystwie.

Kate, Adele i Julianne zamierzały zorganizować piżama party: zamówić do pokoju pizze i oglądać filmy, dopóki nie zmoży ich sen. Julianne potrafiła być bardzo wesoła, kiedy chciała, a tego wieczoru postanowiła, że dla siebie i dla swojej córki wspaniale odegra rolę babci.

Po wejściu do pokoju Gala zastała wszystkie trzy w trakcie sesji manikiuru i pedikiuru. Julianne, tak jak wtedy, gdy Gala była mała, z zaangażowaniem oddawała się zabawie z wnuczkami. Przekonała personel hotelu, żeby dostarczył im wszystkie dostępne lakiery do paznokci oraz potrzebne przybory, i zamieniła swój apartament w salon piękności. Kate pomalowała sobie paznokcie na czarno, a Adele – każdy na inny kolor, jak kiedyś Gala. Przyłączyła się do nich, pozwalając, żeby córki zrobiły jej manikiur.

– Zielony i pomarańczowy?

– Takie kolory są w modzie!

Gala dobrze się bawiła; wspomnienie chwili, którą przeżyła wiele lat temu ze swoją matką, wywołało uśmiech na jej twarzy. Znowu poczuła, jak ważne są takie drobiazgi, tęsknota za znajomymi zapachami, za rodziną. Julianne wybuchnęła śmiechem na widok tego, co wnuczki

zrobiły z jej stopami, spojrziała na córkę, żeby pokazać jej obrzydliwe paznokcie i zarazić ją radością. Trudno ocenić, jak długo się bawiły w *beauty salon roommate*; czasami krótka chwila może trwać całe życie, zamieniona w wieczne wspomnienie. Gala powoli zamknęła i otworzyła oczy, naśladując migawkę aparatu, by zwrócić uwagę swojej pamięci i poprosić ją, żeby nie zapomniła zachować tej sceny. Wiadomo jednak, jak kapryśna potrafi być pamięć...

Czas galopował tak szybko, że kiedy się zorientowała, brakowało zaledwie dwudziestu minut do przyjazdu Amata. Ogarnęły ją wątpliwości osiołka przy żłobie, pomyślała, że może lepiej zostać z dziewczynkami i matką. Na co liczyła? Zauważyła, że Julianne ją obserwuje, a z zimnego spojrzenia matki wywnioskowała, że ta odgadła jej myśli. To nie był dobry moment na rozmowę, nie zamierzała pozwolić, żeby matka wyraziła opinię o jej planach na wieczór, o Amacie i blasku świec przy kolacji. Zerwała się na nogi, ucałowała córki i wstrzymując oddech, opuściła apartament.

Prysznic był szybki, a decyzja – błyskawiczna: spośród kilku rzeczy, które ze sobą zabrała, w końcu wybrała džinsy, golf, trzewiki i kurtkę puchową. Przed wyjściem z pokoju przejrzała się w lustrze. W kilka dni ta ziemia zmieniła jej wygląd z *urban chic* w *rural chic*.

Amat przyjechał dwadzieścia minut przed czasem; wystarczająco wcześnie, żeby stoczyć kilka rund walki z własnym umysłem, który jeśli w ogóle cokolwiek mu podpowiadał, to żeby jak najszybciej stąd odjechał. Męczył go tik w lewym oku, nieustanne mruganie, uciążliwe, ale niedostrzegalne – tik, który pojawiał się zawsze, kiedy jego układ nerwowy tracił samokontrolę. Próbował głęboko oddychać, żeby się uspokoić; chodził tam i z powrotem po hotelowym holu, patrząc odruchowo na zegarek, jakby groziło im spóźnienie. Nie musieli się spieszyć, nawet na to ich spotkanie, do którego, jeśli dobrze pomyśleć, mogło nie dojść przez całą wieczność. Amat układał w głowie tematy do rozmowy, nie wiedział niemal niczego o życiu Gali, wydawało mu się, że mają ze sobą niewiele wspólnego. Nie należał do przesadnie rozmownych mężczyzn, wołał patrzeć, słuchać i nie przejmować się podtrzymywaniem wartkiej konwersacji.

Wsiedli do samochodu, wybakali do siebie zaledwie kilka zdań. Gala była bliska poproszenia, żeby zawrócił, ale przekonała samą siebie, że zjedzenie kolacji ze „wspólnikiem” nie grozi żadnymi skutkami ubocznymi. Amat nie potrafił znaleźć ani tematu do rozmowy, ani właściwych słów, mógł jedynie odchrząkiwać, z minuty na minutę rosła częstotliwość tiku. Niełatwo przewyciężyć nieśmiałość, pokonać skrępowanie i wygrać ze wstydem. Gala i Amat nie potrafili odszyfrować sensu tej randki, nie chcieli słuchać uderzeń serca, które niemal wysadzały w powietrze fundamenty... tego, co właściwe i niewłaściwe?

– Dokąd jedziemy?

– Do Cadaqués.

Miasteczko z białymi domkami, ukryte między górami i brzegami zatoki, które Dalí uwiecznił na kilku płótnach, ukazało im swoje labiryntowe uliczki oraz drzwi i okna pomalowane na intensywnie niebieski kolor; swoje światła, łódki kołyszące się spokojnie na wodzie, asfalt przeżarty saletrą oraz pozostałości licznych historii, takich jak legendy o piratach, korsarzach czy przelotnych romansach. Amat wybrał Cadaqués, żeby pokazać je osobie noszącej imię kobiety, która wraz z Dalim odkryła dla świata tę ziemię ubogich rybaków. Podczas jednej z ich pierwszych rozmów dowiedział się, że to jej zafascynowany Empordà ojciec nalegał, żeby tak ją ochrzcić. Galę niespecjalnie interesowała jej patronka; wiedziała jedynie, że była intelektualistką, która wyszła za Salvadora Dalego, że mieszkali w Nowym Jorku i że po kilku latach wrócili do Hiszpanii. Amat nie orientował się zbyt w sztukach plastycznych, ale wszyscy mieszkańcy tej ziemi słyszeli przekazywane z ust do ust opowieści o życiu i dziełach mistrza surrealizmu.

– Lubisz Dalego?

W momentach takiej chwilowej blokady Amat zawsze uciekał się do Dalego i wywodu,

który opanował na pamięć jako dziecko. Gala pozwoliła, żeby pokierował rozmową, czepiając się tego tematu, jakby od niego zależało jej życie; próbowała odeprzeć złe myśli i rozluźnić szczękę. Spacerowali po starym mieście, błądzili po jego uliczkach, spotykali nieznajome pary trzymające się za ręce. Unikali patrzenia na siebie i pilnowali, żeby dzieliło ich nie mniej niż pół metra. Amat pokazał jej zatokę, piękno tego miejsca, tak magnetycznego, że nawet wielki pirat Barbarossa nie mógł się powstrzymać, żeby nie osiąść tu na jakiś czas. Wybrał małą rodzinną restaurację „Es Baluard” – skromną, ale pachnącą dobrym ryżem i świeżą rybą, z widokiem na łódki i fragment oświetlonego morza – której mury mogłyby opowiedzieć historię wody i kamienia. Posadzono ich przy stoliku na tarasie, skąd mogli podziwiać morski horyzont; atmosferę dopełniały spokojna muzyka, rustykalny, koronkowy obrus i mała świeczka na środku. Gala wciągnęła słone, wilgotne powietrze, pozwalając, by po jej ciele przebiegł dreszcz, który zjeżył jej włoski i sprawił, że zaczęła mrugać oczami. Popatrzyli na siebie pierwszy raz tego wieczoru, przelotnie, niewinnie, a jednocześnie intensywnie. Oboje pragnęli pocałunku, krążącego niczym spadająca gwiazda wokół nowych par; par, które tworzą wokół siebie małą bańkę z wydychanego powietrza. Wino pomogło w rozmowie i zmniejszyło napięcie.

– Nadal chcesz to sprzedać?

Gala nie spodziewała się takiego pytania, ale była wdzięczna, że Amat poruszył ten temat. Od kilku dni śniła na jawie, niezdecydowana, jak ma postąpić. Dziennik babci... Jej rzeczywistość się zmieniła, nic już nie było jasne. Logika nakazywała trzymać się planu sprzedaży, ale serce zaczynało sygnalizować nieznaną wcześniej nostalgię.

– Tak.

Wymówiła to słowo głosem niemal pozbawionym życia, oschłym, bezdźwięcznym. Amat czekał na ciąg dalszy, który nadszedł w postaci ciszy. Spojrzała na morze i zapytała go o swoją babcię.

– Babcię?

Ze zdziwieniem odkryła, że Amat nie wie, że ona jest wnuczką Xatart. Amelia była kobietą zamkniętą, o swoim życiu opowiedziała jedynie jego matce, Agnès i Francisce. Amat poznał w końcu wielki sekret swojej mentorki i wybawicielki. Spojrzał na Galę i pojął powód ich ogromnego podobieństwa, ból obecny w spojrzeniu Amelii Xatart był dla niego teraz bardziej zrozumiały.

– Czyli... Román...

– Był jej synem...

Gala opowiedziała mu o dzienniku, o tym, jak zmienił jej podejście do tej podróży, o tym, że musi się dowiedzieć czegoś więcej i zbliżyć do swojej babci, swojego ojca, siebie samej, tu, w tym miejscu. Amat potrafił słuchać, pozwolił, żeby wyrzuciła z siebie wszystko, co leży jej na sercu, bez niedomówień, z obawą i pasją. Patrzył, jak Gala gestykuje, pije odruchowo, żeby dodać sobie odwagi; zatracił się w jej uśmiechu, w jej ustach, w jej spojrzeniu, w jej głosie. Ciężko mu było się skupić na rozmowie, pożądanie sprowadzało go na inne ścieżki. Gala mówiła z prędkością karabinu maszynowego, dała się ponieść potrzebie opowiedzenia mu o swoich drobnych udrękach, a nieświadomie nawet o życiu rodzinnym, o córkach, o sobie w roli matki, o sobie... w roli kochanki.

Gestykulowała tak przesadnie i tak nerwowo, że potrafiła kieliszek z winem, które wylało się na koszulę i spodnie Amata. Z zewnątrz wyglądało to jak klasyczna niezdarność typowa dla pierwszej randki. W powietrzu unosiły się feromony, powodując drobne incydenty, które każdy zinterpretowałby jako wezwania do tego, żeby nieśmiali kochankowie odważyli się na pierwszy pocałunek. Amat i Gala pozwolili sobie jedynie na wspólny śmiech i zaplątali się w całej serii „przepraszam” i „nic nie szkodzi”. Osoba obserwująca tę scenę obgryzłaby wszystkie paznokcie

w oczekiwaniu na odwlekany pocałunek.

– No dobrze... a ty?

Gala odbiła piłeczkę. Amat spojrział na nią, zdziwiony nagłą zmianą tematu.

– Ja?

– Tak.

Nie wiedział, jak zareagować ani co odpowiedzieć, nawet o czym miałby mówić. Ona nieświadomie rzuciła się w przepaść szczerych wyznań. Od dawna nie prowadził tak osobistej rozmowy z kobietą i zapomniał, jak to się robi, żeby nie czuć skrępowania. Mówić o sobie... Stracił wprawę; kiedy bełkotał jakieś słowa, uzmysłowił sobie, że od lat nie waliło mu tak serce. Spojrzął na nią, błagając o pomoc, ale Amerykankę pociągała ta nagła bezbronność nieokrzeseanego wieśniaka. Nie zauważyła, że on się męczy – była zbyt pochłonięta sprzecznymi uczuciami, które w niej budził. Pragnęła go, a przy tym nie miała żadnych wyrzutów sumienia, poczucia winy czy oskarżycielskich myśli z powodu tego, co czuje. Nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby zdradzić Fredericka; nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby być z innym mężczyzną, ale kiedy ogień pożądania ogarnia podbrzusze, trudno go ugasić inaczej, niż usuwając rozżarzone węgle. Gala nie chciała, żeby ta noc dobiegła końca, pragnęła dalej rozgarniać węgle, nawet jeśli musiałyby się to skończyć poparzeniami pierwszego stopnia. Nie miała ochoty być odpowiedzialną żoną, matką... Chciała być tylko kobietą, która pragnie i nie hamuje swoich pierwotnych instynktów, nakazujących jej kopulować, wybuchać namiętnością i omdlewać z rozkoszy.

Amat wciąż błądził w gąszczu „siebie i swoich okoliczności”[52], szukał jakiegoś punktu zaczepienia, który pozwoliłby kontynuować rozmowę. Zrobiło się zimno, szli nadal oddaleni od siebie o pół metra. Gali trudno było utrzymać linię prostą i nadążać za rozmową; wino uderzyło jej do głowy, znajdowała się w fazie, kiedy obsesyjna myśl o pocałunku przyćmiewa jakąkolwiek inną możliwość. Amat z kolei silił się, żeby podtrzymać konwersację i uniknąć niezręcznej ciszy. Ze zdenerwowania nieświadomie się rozpędził i przez dłuższą chwilę przemawiał do powietrza. Gala została w tyle, nie była w stanie utrzymać tempa narzuconego przez towarzysza wieczoru. Poczula duszności, stanęła i patrzyła, jak Amat się od niej oddala, nie zwracając na nią uwagi. Zrobiło jej się głupio z powodu lubieżnych myśli i pragnienia, żeby pocałował ją mężczyzna, który nie potrafi czytać między wierszami i dostrzec, kiedy kobieta ma ochotę.

– Dobrze się czujesz?

Amat wrócił do miejsca, w którym przystanęła. Z wyrazu jej twarzy wywnioskował, że może upadła albo kręci jej się w głowie z powodu nadmiaru wina.

– Odwiesz mnie do hotelu? Proszę.

Ta kobieta zachowywała się nieprzewidywalnie, może w jej kraju nikogo nie dziwiła taka huśtawka nastrojów, ale tutaj łatwiej było zrozumieć ludzi. Odwiozł ją do hotelu; jechali w milczeniu, z zemsty za tę ciszę i za zaskakująco złe maniery towarzyszkki Amat ostro brał zakręty, żeby zrobiło jej się niedobrze. Okazał jej czułość, oddanie, a ona, nie wiedząc czemu, odpłaciła mu pogardą. Gala nawet na niego nie spojrzała, wysiadła z samochodu bez pożegnania i zaczęła, aż odjechał z piskiem opon, żeby zwrócić w hotelowym ogrodzie całą kolację. Była pijana, zniesmaczona i oszołomiona tym, co zaszło. Życie bywa kapryśne, zawsze zaskoczy jakimś mistrzowskim zwrotem akcji, żeby przypomnieć, jak bardzo jest nieprzewidywalne. Weszła do hotelu, uginając się pod brzemieniem wstydu, miała nadzieję, że nikt nie zobaczy jej w tak oplakany stan, chciała tylko paść na łóżko i spać.

Zdjęła jedynie buty, nawet nie zmyła makijażu. Niczym nastolatka rzuciła się na pościel w ubraniu, jak za dawnych lat gotowa uciec przed rzeczywistością.



## IX

Nie była zdenerwowana, lecz niecierpliwie czekała na nadejście wieczoru. Julianne nie chciała nocować w La Mudze, postanowiła zostać w „Wine Spa” do czasu, aż córka spakuje walizki, żeby jak najszybciej stąd wyjechać. Gala uparła się jednak, żeby robić jej na złość, w dodatku nie ukrywając pogardy. Julianne nie pozostawała obojętna na impertynencje córki, potrzebowała jej bardziej, niż na to wyglądało, ale była świadoma, że zbiera plony tego, co sama posiała. Nie zaliczała się do czułych, wyrozumiałych, wielkodusznych matek. Czasami przychodziło jej do głowy, że po prostu nigdy nie była matką, bo ta bystra dziewczynka, która chciała wszystko wiedzieć, za bardzo przypominała jej o straszliwej tragedii. Nie czuła się dumna, że postanowiła odrzucić własną córkę, żeby być szczęśliwa, a jeszcze mniej, że nie udało jej się ani jedno, ani drugie, bo tkwienie pośrodku jest zawsze gorsze niż skrajne rozwiązania. Ciągłe niezadowolenie i trwanie w zawieszeniu uczyniły ją niewolnicą kompulsywnych zachowań, oszukiwała samą siebie, że może dopiąć celu, choć od początku wiedziała, że jest nieosiągalny. Julianne miała świadomość tego, że nigdy nie zdoła odtrącić córki i że szczęście to utopia. Mimo to żyła na przekór sobie, wzbraniała się przed pielęgnowaniem miłości do Gali, zapuściła korzenie w jałowej glebie permanentnego szczęścia. Czyżby się pomyliła? Nie należała do osób igrających z poczuciem winy, ale tego ranka uderzało w nią ono przy każdej odbitej piłeczce, którą posyłała na pole golfowe.

Teresa, która jak co piątek przyjechała na prywatną lekcję, obserwowała ją z oddali. Jej mąż był fanem golfa, ona zaś postanowiła, że będzie dzielić z nim tę pasję, chociaż nie lubiła sportu. Uczepiła się tej gry z powodu *socialité*, związanego z nią klubu, a poza tym bawiło ją beztrioskie szastanie pieniędzmi. Pełna dystynkcji Julianne przyciągała uwagę nawet z oddali; Teresa przyjrzała się jej technice, postawie i rozpoznała w niej pokrewną duszę. Pozdrowiły się z daleka. Druga nie chciała przeszkadzać Amerykance w grze, wolała skończyć swoją lekcję i odłożyć przyjemność rozmowy na potem. Była przekonana, że Julianne będzie odpowiadała jej obecność i towarzystwo dwóch przyjaciółek, właściolek połowy Perelady. Teresa nie gardziła nikim, ale musiała przyznać, że nawiązuje relacje tylko z tymi, którzy mają wysoką pozycję społeczną, tytuły lub pieniądze. Uroda, życzliwość czy kultura osobista były jej całkowicie obojętne.

Kate błagała matkę, żeby pozwoliła jej pojechać z Joaną do Barcelony i spędzić kilka dni w domu wujostwa przyjaciółki. Nęciła ją przygoda, chciała zwiedzić nowe miejsce, a przede wszystkim zasmakować niezależności i wolności, jakimi cieszą się dorośli. Gala odpowiedziała stanowczym i oschłym: „Nie!”. Kate była jeszcze dzieckiem, za krótko znała Joanę i jej rodzinę, żeby obarczać ich nadmierną odpowiedzialnością. Dziewczynka wbiegła po schodach z takim impetem, że od jej kroków zadrżały stare fundamenty domu, i rzuciła się na łóżko w swoim pokoju, aby wypłakać nagromadzoną złość. Nastolatki zazwyczaj wybuchają nienawiścią równie szybko, jak wspina się i opada kolejka górską; intensywność tego uczucia zależy od ich charakteru i uporu. Leżąc pod kołdrą, Kate na całe gardło protestowała przeciwko zakazowi wyjazdu do Barcelony. Czasami rzeczywistość chadza innymi ścieżkami niż sprawiedliwość, na którą większość z nas się powołuje, kiedy sprawy przyjmują niewłaściwy obrót.

Gala usiadła w fotelu z uszami; rozumiała niezadowolenie Kate, ale odpowiedzialność spoczywa nie na dzieciach, lecz na dorosłych, choć u niej nie była nigdy mocną stroną. Zaczynała odczuwać potrzebę wyznaczenia daty powrotu do domu, zreorganizowania swojego życia i przerwania stanu zawieszenia, w jakim trwała w tej wsi, która przyciągała ją niczym magnes i zniewalała, czyniąc niezdolną do podjęcia decyzji.

Nieszczęsny obraz, VellAntic, dom babki, Frederick, jej życie rodzinne, matka... Wszystko to zaprzętało jej myśli, czuła się przytłoczona sytuacją, problemami, które musiała udźwignąć bez niczyjej pomocy. Żałowała, że nie ma matki, która potrafiłaby rozwiać jej strach i otoczyłaby ją opieką. Poczwała pokusę, żeby zadzwonić do Julianne na komórkę, ale kiedy wybierała trzecią cyfrę jej numeru, zdała sobie sprawę, że ten impuls był jedynie małym, krótkotrwałym szaleństwem, nie tylko ze względu na pomysł, aby zatelefonować do matki – zapomniała, że w tym domu nie ma zasięgu.

Julianne nie zdołała zagrać osiemnastu dołków. Nie z powodu zmęczenia, to stan umysłu rozstroił jej ciało. Traciła rachubę uderzeń, jej golfowy partner musiał być poirytowany takim zachowaniem. *Caddie*, piętnastoletni chłopak, przeczuwał, że z Julianne jest coś nie tak, bo nawet *bogey* w ósmym dołku nie zmienił wyrazu jej twarzy. Belg z nadwagą i różową cerą zaczynał tracić cierpliwość i szanse na zwycięstwo, gdy wysłał swoją piłkę do bunkra. Wyglądał na wiecznego zwycięzcę, więc porażka z przeciwnikiem, który jest myślami daleko od pola, była tym bardziej upokarzająca. Julianne przerwała rozgrywkę, przeprosiła Belga i kazała swojemu caddiemu jak najszybciej zabrać ją z pola. Ani spokój, ani gra, ani widok *greens* nie zdołały uchronić jej przed nagłym przyływem smutku. Kiedy przejeżdżali w pobliżu dołka, gdzie grała Teresa, ta skorzystała z okazji, żeby przyspieszyć spotkanie i przywitać się z Amerykanką. Zanim Julianne zdążyła zaprotestować, Druga wsiadła do *buggy* i zaprosiła ją do Can Forgas, gdzie będą mogły lepiej się poznać. Marlborough, wielka miłośniczka wina, dała się przekonać; musiała zająć myśli czymś innym i odzyskać odwagę, jaką daje pycha.

Amat uciekł do swoich mebli, żeby zapomnieć o katastrofalnym spotkaniu z Galą i próbie zdania się na instynkt. Naldę martwiło milczenie syna, ale wołała nie mieszać w mętnych wodach, tylko pozwolić, żeby odpłynęły. Miała zresztą wystarczająco dużo roboty z przygotowaniami do Kręgu; nie celebrowały go od dwóch lat, taka okazja zasługiwała, żeby poświęcić jej całą uwagę. Francisca i Tomasa dyskutowały w dużym salonie Can Brugat, jak ustawić krzesła i ozdobić długi prostokątny stół, na którym miały stanąć potrawy przygotowane przez Agnès. Czarodziejka pichciła je w asyście Úrsuli, która nie tyle pomagała, ile raczej szukała sojuszniczek, żeby odwołać Krąg.

– *Vols dir que cal? Ella no és d'aquesta terra i ho saps!*[53]

Czarodziejka cierpliwie wysłuchiwała przesiąkniętych jadem słów Úrsuli, którą przepełniała zazdrość o Galę i jej córki. Cała wieś skakała wokół nich, a ona niemal ich nie widywała. Piękna zawsze musiała czuć się królową balu, a odkąd opuściła ją uroda, była tą, której nikt nie prosi do tańca. Zadzwoniła do Teresy, swojej największej sojuszniczki. Ponieważ Druga nie odbierała, poleciła synowi, żeby zajął się sklepem, a sama udała się prosto do Agnès, żeby zaprotestować przeciwko zaproszeniu Gali do Kręgu i zapobiec tej strasznej pomyłce. Czarodziejka zносиła impertynencje Pięknej, ale w którymś momencie jej cierpliwość się wyczerpała.

– *Si no t'agrada, ja saps el que pos fer... no venir!*[54]

Úrsula przyjęła cios z zaciśniętymi zębami i chwyciła laskę tak, jakby miała ją złamać. Wbiła w Agnès swoje lodowate niebieskie oczy, przeklęła ją w duchu, po czym z wysiłkiem i resztką godności bez pożegnania wyszła z kuchni. W podeszłym wieku musiała dawkować energię, wołała zachować ją na tę noc. Nie traciła czasu na przekonywanie Tomasy i własnej bratowej Franciski; odkąd umarł brat, straciła nad nimi całą władzę, wszyscy wiedzieli o wrogości, z jaką je traktuje. Postanowiła zaszyć się w sklepie i zająć nie tylko dzierganiem na szydełku, ale i układaniem strategii, która miała jej pozwolić na obrócenie energii Kręgu na własną korzyść. Wszystkie doskonale wiedziały, że obca nie jest mile widziana, nie powinny jej przyjmować przez wzgląd na szacunek wobec przodków i matek założycielek.

Ktoś zadzwonił do drzwi Can Xatart. To mały Marc przyszedł z Bostonem po Adele. Mieli pomóc Agnès w przygotowaniu uczyty – kolacji dla dorosłych i ich własnej. Wujek Amat obiecał im domowy wieczór filmowy z popcornem. Oboje cieszyli się, że znów będą spali w jednym pokoju, opowiedzą sobie o przygodach, jakie ostatnio ich spotkały. Nie widzieli się od spaceru w Pereladzie i choć od tamtego momentu minęły zaledwie dwa dni, dzieciom dłużyła się każda chwila, a czterdzieści osiem godzin to sporo czasu. Adele wzięła jedną z najdłuższych i najstaranniej przygotowanych kąpieeli w swoim życiu. Gała zajrzała do łazienki, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, bo dziewczynka od ponad pół godziny nie dawała znaków życia. Podśpiewywała i delikatnie szcztokowała włosy; w lustrze odbijał się uśmiech, który nie opuszczał jej twarzyczki. Gała zajrzała przez szparę w niedomkniętych drzwiach i postanowiła nie zakłócać tego momentu prywatności córki; wycofała się niemal na palcach. Schodząc na parter, przystanęła, żeby obejrzeć zdjęcia wiszące na ścianie, te same, których początkowo tak nie znosiła, ale które z biegiem czasu zaczęły w niej budzić ciekawość. Próbowwała odgadnąć, kto jest kim; przyglądała się fizjonomii każdej z osób, szukając podobieństw fizycznych – kształtów twarzy, uszu, dłoni, wyrazu oczu, rysów... Rozpoznała swoją babcię i ojca, reszty się domyśliła, rysując w wyobraźni drzewo genealogiczne rodziny, do której także należała. Zaledwie trzy pokolenia samotnych matek lub przedwcześnie owdowiałych kobiet; ona zerwała z tą tendencją, chociaż niewiele brakowało, żeby Frederick spadł z tego drzewa. Pomyślała o sile kobiet, które przeznaczenie zmusiło do samodzielnego utrzymywania rodziny w surowym świecie stworzonym dla mężczyzn. Wieśniaczki o szorstkich dłoniach i twardym sercu dźwigały swój los najlepiej, jak potrafiły. Wciągnęła powietrze, żeby poczuć ten pradawny heroizm; z jej gardła wydobył się jednak zaledwie cichy pomruk słabiotkiej odwagi, która zachęcała ją, żeby dalej grzebała w historii przodków, aż się w niej w pełni odnajdzie. W La Mudze zdała sobie sprawę, że przez te wszystkie lata chodziła na jednej nodze, szła przez życie, kulejąc, labirynt jej uczuć zdeformowały przemilczenia i mogiły prawdy, którą pogrzebała jej matka.

Zwalała się na fotel z uszami, chciała, żeby ją wchłonał. Nie miała pewności, czy w ogóle powinno być dojsz do tej podróży, tego obnażenia uczuć. Zbyt łatwo ulegała emocjom, oczy wilgotniały jej z byle powodu. Stała na rozdrożu, szukając własnych korzeni. Nie chciała być jedną z Marlboroughów, mimo to rozpoznawała ich we własnym zachowaniu i w zachowaniu swoich córek. A być jedną z Xatartów... W jakiej części nią jest? Miała wrażenie, że dźwiga cegłę na głowie nabrzmiałej od nierozstrzygniętych przemyśleń, które tłoczą się bez ładu i składu. Przypomniała sobie o dzienniku, o uspokajającym, łagodzącym działaniu, jakie wywierała na niej jego lektura, o chęci lepszego poznania siebie dzięki wspomnieniom z życia Amelii Xatart. Dziwiła ją ogromna potrzeba, żeby być blisko babci, choćby za pośrednictwem słów napisanych wiele lat temu.

31 marca 1992

Moją ulubioną porą roku jest wiosna. Kwiaty doładowują mi baterie, dają trochę radości, która tak rzadko gości w moim sercu. Nie jestem kobietą jowialną, która śmieje się z byle powodu. Nigdy taką nie byłam, a nawet jeśli, to już tego nie pamiętam. Życie przelatuje obok jak wiatr, czujesz je, ale nie jesteś w stanie go dogonić, dotknąć, zatrzymać, a tym bardziej kontrolować. Lubię wiosnę, odnawia się nie tylko energia, wszyscy wychodzimy z mroku zimy. Przygotowuję się do podróży; obiecałam sobie kiedyś, że już nie będę niczego odkrywać, ale teraz odczuwam potrzebę wyruszenia ponownie w drogę, cieszenia się tym, co nieznanne. La Muga czasami mnie przytłacza, wiesz? Mam za sobą zbyt wiele lat spokojnego życia, zwątpienia w jego sens i poddania się losowi, a w pewnym wieku nadchodzi taki moment, że jeśli nie smakujesz życia, czyni cię tak jałowym jak sucha ziemia pustyni. Nie chcę czuć się jeszcze

bardziej obumarła, wiesz? Czasami myślę, że w wieku sześćdziesięciu pięciu lat przytrafiło mi się małe odrodzenie, że nagle stanęło na mojej drodze. Znajomi Antoine'a zaprosili mnie na tydzień do Amsterdamu z okazji targów antyków. To pretekst, żeby się zobaczyć, powspominać to, co przeżyliśmy, i pogodzić się ze starością. Tak bardzo nalegali, aż w końcu udało im się mnie przekonać, a tuż przed wyjazdem nabrałam ochoty, żeby do Ciebie napisać. Poczułam paniczny strach, że nie wrócę z tej podróży, jak moja siostra Marta i Damià nie wrócili z Jerezu. Jak Román, który wyjechał do Bostonu, żeby już nie wrócić. Nigdy nie wiadomo, co przyniesie los, wolę więc wszystko tu podomykać, na wypadek gdybym nie wróciła, jak oni. Nalda wie, co ma robić, kiedy mnie zabraknie; już Ci pisałam, że zawsze była moją wielką sojuszniczką, choć tak naprawdę one wszystkie nimi były, zaakceptowały mój szalony pomysł, nawet mnie zachęcały, żebym nie rezygnowała z mebli, warsztatu, z tej podróży. O dzienniku i o Twoim istnieniu wie tylko Nalda, chociaż poprosiłam ją, żeby kiedy mnie już nie będzie, powiedziała pozostałym, aby wszystkie odpowiednio Cię przyjęły. One, tak jak ja, znają moc Kręgu, ochronną moc, która oznacza dla nas jedność, doskonałość, absolut, mimo dzielących nas różnic. Przez całe życie stanowiły niewidzialny pierścień mocy, magiczny pas, który mnie obejmował. I Ciebie któregoś dnia otoczy ten Krąg, powinnaś do niego wejść, poczuć jego energię, oddać mu się bez obawy. Czasami trzeba podążać za czymś irracjonalnym, nie próbując niczego zrozumieć. Poszukaj własnych kręgów, spójrz na króla gwiazd, wielkiego władcę, który rządzi nami swoim światłem, przypominając o sile jedności, o tym, co ludzkie, i o tym, co boskie, o rozkwitaniu nas wszystkich, o nieskończonej solidarności...

Gala oderwała wzrok od dziennika. Czowała się tak, jakby pędził w niej pociąg elektryczny naładowany energią, który zaraz wypadnie z torów. Miała wrażenie, że jej babcia wszystko dokładnie obliczyła, a teraz obserwuje ją z zaświetów i pisze swój dziennik w miarę, jak następują nowe wydarzenia. Tego wieczoru miał się odbyć ów słynny, tajemniczy Krąg. Gala była nieco oszołomiona, nie bardzo rozumiała potrzebę uczestniczenia w tym spotkaniu, bycia częścią tej dziwnej pradawnej wspólnoty. Wiedziała, że gdyby posłuchała zdrowego rozsądku, wybuchnęłyby śmiechem i nie poszła na zebranie. Jednak ciekawość wzięła górę nad logiką. Nie mogła się doczekać, kiedy wstąpi do Kręgu. Jej wyobraźnia zaczynała się rozpędzać, serce zamierało ze strachu przed tym, co zobaczy. To wszystko przypominało raczej niesmaczny żart, akcję jakiegoś filmu, ale nie jej życie. Wiedziała jednak, że tajemniczy Krąg babć istnieje naprawdę, a ona jest jedną z zaproszonych.

Ponownie spojrzała na dziennik; wołała oddać się jego lekturze niż własnym refleksjom.

Czasami nawiedzasz moje myśli; zamykam oczy i próbuję sobie wyobrazić, jak wyglądasz. Przypominasz Romana? Uśmiecham się z nadzieją, że może mam rację; nie jestem fizjonomistką i mało obchodzi mnie podobieństwa, ale świadomość, że przetrwała w Tobie część jego cech fizycznych, dodaje mi otuchy. Ale ze mnie wariatka! Nie miej mi tego za złe. Po prostu czasami znajduję pocieszenie w drobnych czynnościach czy takich obłąkańczych myślach. Nie zadreczam się, uciekam przed własnymi koszmarami, ale od czasu do czasu wygrywają bitwę i opanowują moje życie. Nie myślę o Tobie zbyt często, nauczyłam się żyć, nie oglądając się w przeszłość, żeby zachować zdrowy rozsądek i trwać w tym świecie. Lubię życie, wiesz? Fascynują mnie jego cykle, z każdym dniem coraz bardziej wzrusza mnie przyroda. Zwracasz na nią uwagę? Na drzewa, na ich rozkwit, gigantyczną paletę barw, zapach... Powinnaś! Powinnaś, moje dziecko, poddać się mocy ziemi, jej prawdziwej esencji, a nigdy nie dopadnie Cię samotność. Kiedy będzie Ci smutno, kiedy będziesz myślała, że nic nie ma sensu, przerwij to, co robisz, i poszukaj schronienia w najbliższym lesie, parku czy na łące. Jeśli możesz, zdejmij buty i skup się na własnym rozwoju, na cyklach swojego życia. Ty też jesteś częścią przyrody, powinnaś tak się czuć, a nie odwracać do niej plecami. To jedna z nauczycielek, z niej się

wywdzimy, chociaż naukowcy twierdzą coś innego.

Już późno, powinnam ruszać w drogę, ale trudno mi się pożegnać, trudno wyrazić, jak bardzo Cię kocham, choć jesteś tak daleko. Wiesz? Kiedyś Francisca powiedziała mi, że ludzie otrzymują miłość z daleka w postaci uzdrowienia albo tarczy chroniącej przed przeciwnościami losu. Ona jest świętą kobietą wielkiej wiary, odwrotnie niż ja, ale... Wtedy jednak przekonało mnie jej wyjaśnienie i od tamtej pory zawsze, kiedy o Tobie myślę, uśmiecham się, bo wyobrażam sobie, że cała moja miłość w taki czy inny sposób wychodzi Ci na dobre.

Moja ukochana Wnuczko Galu...

Jak to ładnie brzmi! Nawet nie wiesz, jaką radość by mi sprawiło, gdyby dane mi było nazwać Cię WNUCZKĄ, kiedy brałam w dłonie Twoją twarzyczkę i błogosławiłam Cię z oczami wilgotnymi od ogromnego wzruszenia.

Moja ukochana Wnuczko Galu... Bądź szczęśliwa, moje dziecko, koniec końców, wszyscy otrzymaliśmy tę samą zdolność do uśmiechania się. Nie sądzisz?

Gala zamknęła zeszyt, żeby nie zmoczyć go łzami, których nie musiała już powstrzymywać. Pragnęła, żeby płynęły, żeby wylewały się bez końca, czuła przyjemność wynikającą z gwałtownego płaczu, jaki powstaje w ściśniętym gardle, które nagle się rozluźnia. Płakała z powodu wszystkiego, czego doświadczyła dzięki Amelii, i z powodu dziwnej tęsknoty, która ją ogarnęła, choć ani razu nie przytuliła się do swojej babci. Z dziennikiem przyciśniętym do piersi, podziękowała jej za to, że go napisała, za te obłąkańcze myśli, dzięki którym dotarły do niej jej uzdrowicielskie słowa. Była szczęśliwa, chciała, żeby ten dziennik i związana z nim obecność babci, jej kojące pocieszenia nigdy się nie kończyły.

Zegar na ścianie wskazywał siedemnastą. Kate była z Joaną, a Adele ze swoim przyjacielem Markiem. Julianne nie dawała znaku życia, zapewne żeby kolejny raz zademonstrować swoją dumę, swój sprzeciw wobec La Mugi. Miała jeszcze trochę czasu, żeby wymknąć się z domu i spotkać z przyrodą. Pospiesznie narzuciła na plecy kurtkę i wyszła na zewnątrz, chciała skorzystać z ostatnich promieni słońca, poczuć cykl dnia i stać się jego częścią. Nie było dla niej nic ważniejszego ani pilniejszego niż dać się ponieść tej chwili pełnej szczęścia, zrobiła to, niemal skacząc po ulicach La Mugi. Natknęła się na Úrsulę, która niechętnie pozdrowiła ją ruchem laski, z kamiennym wyrazem twarzy. Szeroki uśmiech posłał jej za to Pau, który dopalał papierosa na schodkach sklepu w oczekiwaniu, aż matka wróci ze swojej osobliwej wycieczki, mającej na celu zebranie głosów przeciwko Gali. Nie poszczęściło jej się także z Cecilią. Zdaniem Úrsuli Ślepa zupełnie straciła rozum, kiedy porzucił ją mąż, uległa niskim instynktom i urokom młodego ciała, nie bacząc na swój wiek, na pozycję ani na opinię La Mugi. Úrsula nie była zbyt lubiana, jednak wszystkie babcie darzyły ją szacunkiem, bo bez opozycji nie ma równowagi, a brak tej ostatniej burzy harmonię dobrego Kręgu. Pau miał kiedyś mroczne myśli dotyczące matki, potem czuł się winny, że życzył jej śmierci, ale nie potrafił zrozumieć, skąd w niej tyle goryczy i skłonności do wyrządzania zła innym. Kusiło go, żeby opuścić La Muge, móc swobodnie wybrać partnera, ale był tchórzem, a poza tym kochał tę ziemię wiatrów, pomruków i szeptów.

Gala odkryła nową drogę i pozwoliła, aby ją poprowadziła, ufna, że to, co nieznanne, nie niesie niebezpieczeństwa, tylko jest źródłem nowych przeżyć. Wciągnęła głęboko powietrze, żeby poczuć zapach wydzielany przez ziemię o zmierzchu. Samotność na łonie natury jest kreatywna. Gala słyszała bicie własnego serca i swoje kroki na drobnym piasku. Żadnego innego dźwięku ani żywego ducha w zasięgu wzroku. Znowu głęboko odetchnęła, żeby zostawić za sobą krępujące ją lęki i móc się cieszyć spacerem. Na myśl o babci instynktownie przystanęła, żeby stopić się z krajobrazem. Przez jej twarz przemknął uśmiech: szybki, łagodny, miły, lekki. Miała wrażenie, że z podeszew jej stóp wyrastają korzenie na stałe łączące jej ciało z ziemią, która

emanowała wyjątkowym magnetyzmem. Rozłożyła ramiona, odchyliła plecy do tyłu i oddała się we władanie wielkiej, czuwającej matce. Nie było nic ważniejszego niż to, że czuła się w tym miejscu tak potrzebna i tak obecna, że wszystko w niej wibrowało, a wszystkie włoski na ciele się zjeżyły. Pożądanie rozeszło się po jej ciele, wypełniając je nową, nieznaną dotąd energią. Kiedy była już na granicy ekstazy, natarczywy dotyk czegoś wilgotnego na prawej dłoni gwałtownie wyrwał ją z transu, a szczekanie przywołało wszystkie dotychczasowe lęki.

Mały Boston przestraszył Galę serią liźnięć i wyrazów euforii ze spotkania na środku drogi. Adele i Marc szli za nim, a na widok Gali poczuli taką samą radość jak pies i puścili się biegiem, żeby w okamgnieniu znaleźć się przy niej.

– Adele, pamiętasz, co powiedział ci lekarz. Żadnego wysiłku.

Podobnie jak Boston, Adele z wywieszonym językiem dochodziła do siebie po szybkim biegu. Rzeczywiście była jeszcze osłabiona i czasami czuła, że zaraz zemdleje. Gala nie chciała się martwić na zapas, bo córka nigdy nie miała problemów ze zdrowiem, ale niepokoili ją omdlenia, które przytrafiły jej się już dwukrotnie.

– Szłaś na cmentarz?

Cmentarz? Gala nie miała pojęcia, że La Muga posiada własny cmentarz, nawet nie przyszło jej to do głowy. Marc czekał na odpowiedź z oczami przypominającymi księżyc w pełni, pragnął być przewodnikiem tej wyprawy. Znał wszystkie groby i historię każdej rodziny; babcia Nalda nauczyła go darzyć takim samym szacunkiem zarówno żywych, jak i zmarłych.

– *La seva història és la teva història, saps?*[55]

Za pierwszym razem nie zrozumiał nic poza samymi słowami, ale ponieważ babcia wielokrotnie mu je powtarzała przy okazji opowieści o życiu, losach jego przodków i mieszkańców wsi, w końcu pojął coś więcej, chociaż...

– *Encara ets jove, Marc, però no oblidis mai ni qui ets ni d'on vén*s[56].

Szeroki uśmiech Marca wyraźnie świadczył nie tylko o zadowoleniu, ale wręcz o dumie z tego, kim jest. Gala zazdrościła mu pewności siebie i przekonania o własnej wartości, poczucia, że jest mu dobrze ze sobą samym, z rodziną i z przodkami. Z nią tak nie było, wręcz przeciwnie, ona ich odrzuciła albo nie знаła. Postanowiła żyć wbrew temu, co zapisane i wymuszone. Spojrzała na Adele, dziewczynka jeszcze miała czas, żeby z radością zaakceptować swoich przodków, ale jakim przykładem, jakim lustrem dla swojej córki jest ona sama? Podczas gdy Nalda uczyła Marca kochać, ona pokazywała Adele, jak oderwać się od własnej rodziny.

– Zaprowadzisz nas na cmentarz?

Marc przytaknął, zachwycony tą prośbą jak pies gnatem. Babcia pokazała mu, jak wejść na cmentarz, nawet kiedy jest zamknięty, bo miejscowy grabarz Julià akurat je albo ucina sobie drzemkę. Z biegiem lat stróż wyłysiał, przytył i zleniwił, więc czas wizyt na cmentarzu znacznie się skurczył. Takie przynajmniej można było odnieść wrażenie, gdyby nie pewien sekret. Niemal nikt nie narzekał, bo mieszkańcy wiedzieli, jak dostać się do środka, nawet jeśli brama była zamknięta na łańcuch i kłódkę.

Przyspieszyli kroku, każde z innych powodów, ale wszyscy czuli jednakowe podekscytowanie wyprawą. Adele jeszcze nigdy w życiu nie odwiedziła cmentarza i choć była trochę wylękniona, miała ochotę przeżyć przygodę w towarzystwie Marca i matki. Zmarli budzili w niej lekki strach, a groby – szacunek. Nie widziała żadnego z bliska, ale kiedyś śniła, że jeden się otwiera i zombi wciąga ją do środka. Szła szybko, w milczeniu, przewyciężając własne lęki i z każdym krokiem ściskając coraz mocniej dłoń Marca. Chłopiec spoglądał na nią, zadowolony, że może być obrońcą i przewodnikiem obu kobiet. On nie bał się ani zmarłych, ani grobów, ani cmentarzy, mimo to potrafił zrozumieć, co czuje Adele. Kiedy pierwszy raz przyszedł tu z babcią, prawie zsiąkł się w majtki, bo gdy zawiął wiatr, wyobraził sobie, że to trup dotyka jego

pleców. Wtedy się bał, ale kolejne wizyty zdołały rozwiać strach i pobudzić ciekawość, żeby poznać życie zmarłych i ich tragiczne losy.

– Dużo jest grobów dzieci?

Marc spojrzął na Adele z rozbawieniem; zamierzał ją nastraszyć, ale jej twarzyczka błagająca o pocieszenie wzbudziła w nim litość.

– Tak, kilka... Część jest pochowana z matkami, które zmarły przy porodzie.

Gala nie odzywała się przez całą drogę. Nie lubiła cmentarzy, unikała ich zawsze, kiedy mogła. Ledwo pamiętała pogrzeb ojca, od tamtej pory nie odwiedziła ani tamtego cmentarza, ani jego grobu. Nie należała do osób, które oplakują zmarłych czy rozmawiają z nimi, stojąc przy ich mogile. Darzyła ich szacunkiem, ale uważała, że po śmierci nie leży się w grobie po to, żeby najbliżsi mogli do ciebie przemawiać. Ona nie chciała, żeby ją pogrzebano, była przewrażliwiona, czuła wstręt na samą myśl, że mogłaby gnić pod ziemią. W tej kwestii podzielała zdanie Fredericka, zwolennika kremacji; oboje już to załatwili i opłacili, na wypadek gdyby coś im się przytrafiło. Śmierć rzadko uprzedza o swoim nadejściu, a kiedy przychodzi, zawsze wywołuje zaskoczenie.

Zobaczyli żelazny parkan ogradzający cmentarz pełen krzyży, białych posągów, starych i nowych wnek świadczących o zamożności lub ubóstwie rodzin zmarłych. Idąc wzdłuż płotu, dotarli do głównej bramy, zamkniętej na łańcuch i dwie gigantyczne kłódki. Adele spojrzęła na żelazne ogrodzenie i uznała, że nie zdoła się wspiąć tak wysoko. Gala stała z założonymi rękami, pragnęła, żeby Marc nie znalazł sposobu dostania się do środka. Na znak szacunku zrobiła dwa kroki w tył, kusiło ją, żeby się odwrócić i puścić biegiem w stronę wsi. Córka szukała jej wzroku, oczekiwała od matki ochrony i otuchy. Gala znalazła w sobie odwagę, powstrzymała strach i udała opanowanie, mimo że czuła, jak mocno wali jej serce.

Marc wbił wzrok w ziemię, jakby wypatrywał czegoś, co zgubił. Adele i Gala obserwowały go, o nic nie pytając, niemal wstrzymywały oddech, bo w tym miejscu nawet wiatr cichł na znak szacunku. Wreszcie chłopiec ukucnął przed ogromnym kamieniem i bezskutecznie próbował ruszyć go z miejsca. Poprosił o pomoc. Razem z Galą udało im się przesunąć głaz, pod baczynym spojrzeniem Adele, która poczuła, że przygoda pośród zmarłych podnosi jej poziom adrenaliny. Pod kamieniem leżały dwa klucze, nawleczone na niebieski sznurek. Marc, zadowolony, podniósł je w górę, jakby znalazł skarb, i poszedł otworzyć kłódki, żeby powitać cudzoziemki na cmentarzu w La Mudze.

Otworzył żelazne wrota o grubych prętach najszerszej, jak mógł. Zrobił to pospiesznie i niezdarne, podekscytowany, bo pierwszy raz sam pokazywał komuś cmentarz. Gala i Adele stały nieruchomo kilka kroków za bramą, nie miały odwagi przez nią przejść; poruszały jedynie oczami, nie spuszczać wzroku z Marca. Cmentarz wydawał się za duży na tak małą wieś. Mnóstwo zmarłych na tak niewielu żywych – to świadczyło o chlubnej przeszłości wioski, która była często odwiedzanym ośrodkiem kultury, o czym tyle razy wspominała z dumą Nalda. Marc zrozumiał, że Gala i Adele przeżywają chwilę niezdecydowania i strachu, postanowił więc dyskretnie przejąć inicjatywę, wejść na cmentarz i pozwolić, żeby ciekawość zwyciężyła obawy.

Adele poszukała po omacku dłoni matki i delikatnie ją chwyciła. Gala, podobnie jak córka, trwała w stanie połowicznego paraliżu, kiedy to nie zdajesz sobie sprawy, że z kącika ust spływa ci ślina. Dziewczynka zrobiła pierwszy krok, ciągnąc za rękę matkę, która nie chciała iść dalej. To nie zmarli budzą nasz strach, lecz wszystko to, co sobą reprezentują. Przeszły przez bramę, pochylone z szacunku do tego miejsca i pełne wątpliwości, czy wypada bez pozwolenia wchodzić do domu zmarłych.

Szły między gigantycznymi głazami i budowlami z betonu, otoczone krzewami i cyprysami, które wyznaczały drogę pośród płyt nagrobnych, kolumbariów i marmurowych

krzyży z wyrytymi inicjałami. Adele nie puszczała ręki matki, szukała kontaktu, ochrony przed wszelkimi niespodziankami. Gala zachowała czujność; wstrzymywała oddech, wypatrując grobu babki, która musiała być gdzieś tu pochowana. Nie chciała o nią pytać, ale to miejsce okazało się dużo większe, niż myślała. Marc przystanął nagle przed czymś wyglądającym na małą kamienną grootę z zamykanym wejściem pośrodku.

– To panteon Brugatów, jeden z najstarszych we wsi, według mojej babci jest tu pochowanych najwięcej osób.

Brugatowie byli rodem pochodzącym z La Mugi, który żył i rządził we wsi od XVII wieku. Ich panteon należał do najczęściej odwiedzanych i jako jedyny został ograbiony. Według krążącej legendy obok Brugatów złożono dwadzieścia pięć monet z dawnych czasów. Parę lat temu poszukiwacze ukrytego skarbu sprofanowali kilka najstarszych grobów – otworzyli je i splądrowali ich wnętrza. Do tej pory wieś była podzielona co do tego, czy złodzieje rzeczywiście ukradli dwadzieścia pięć złotych monet; nigdy ich nie złapano, a Brugatowie nie zabrali głosu w tej sprawie.

– Tata mówi, że wszystko zorganizował kuzyn Tomasy, bękart, z zawiści i dlatego, że potrzebował pieniędzy.

Lawirując między grobami, Marc opowiadał im o życiu niektórych zmarłych, na przykład Gustavy Arreneu i Jaumeta Llaudó. Ich losy przypominały historię Romea i Julii, tyle że bohaterami byli zakonnica i mieszkaniec La Mugi. Powiadają, że Gustava popadła w obłąd, kiedy zmuszono jej Jaumeta do ożenku z inną i opuszczenia wsi. Kochankowie postanowili zakończyć swoje nieszczęśliwe życie przedwczesną śmiercią, która miała na wieki przypieczętować ich miłość. Rzucili się z urwistego brzegu przyładka Creus.

– A kto pochował ich we wspólnym grobie?

Gala z zaciekawieniem słuchała wyjaśnień Marca, który zadowolony oprowadzał wycieczkę.

– Ojciec Jaumeta, zgodnie z życzeniem syna, które ten wyraził w pożegnalnym liście.

Przystanęli przed płytą nagrobną kochanków; byli pod wrażeniem ich historii i innych przypadków nieszczęśliwej miłości, trudnej lub wręcz niemożliwej, które tak często zdarzają się na świecie. Adele ogarnął niezrozumiały smutek, może z powodu zbyt dużej liczby zmarłych, zbyt wielu tragedii pogrzebanych na tym małym kawałku ziemi.

Szli dalej, mijając niszę i marmurowe figury Matki Boskiej, zdobiące ścieżkę i niektóre groby. Dotarli do trawiastego placu, gdzie pochowano nieznaną ofiarę wojny oraz miejscowych bohaterów. W tej części cmentarza trawnik był zawsze świeżo przycięty i nie brakowało kwiatów. La Muga szanowała swoich zmarłych, ale jeszcze bardziej tych bezimiennych. Obawiano się, że nie zaznawszy upragnionego spokoju, ich dusze ściągną na wieś nieszczęścia.

Adele zaczynała odczuwać dyskomfort, wyglądało na to, że nie bawi jej przebywanie pośród zmarłych, a przygoda na cmentarzu budzi w niej obiekcje. Dopiero niedawno zaczęła myśleć o śmierci, jeszcze nie oswoiła się z nią na tyle, żeby spacerować wśród zmarłych. Stała i bez słowa wyjaśnienia szybko zawróciła z Bostonem w stronę bramy. Wkrótce miało się ściemnić – nie chciała umierać ze strachu, kiedy zabraknie światła i rozlegną się nocne hałasy. Marc i Gala zrozumieli, że dziewczynka przeżyła już wystarczająco dużo – gdy weszli na cmentarz, z jej słodkiej twarzyczki zniknął uśmiech. Oboje uznali wycieczkę za zakończoną. Przed wyjściem Marc pokazał jeszcze palcem grób Amelii Xatart.

– Na końcu ścieżki, tam gdzie widać ostatni grób z małym krzyżem, zaczynają się mogiły Xatartów.

Serce Gali przestało bić, kiedy Marc opisywał jej wszystkie szczegółowo, żeby mogła odnaleźć grób babci. Znał je na pamięć, bo Nalda zawsze mu pokazywała, gdzie leżą



zaprzyjaźnione rodziny i gdzie ona zostanie pochowana – przy Xatartach. Kiedy skończył, odwrócił się szybko, zostawiając oniemiałą Galę, żeby pospieszyć na ratunek przyjaciółce, która chciała wreszcie opuścić to miejsce. Amerykanka zapragnęła podejść do grobu babci, zobaczyć go z bliska i zrobić coś, czego nigdy nie robiła: porozmawiać ze zmarłą osobą. Chociaż nie brakowało jej odwagi, postanowiła wrócić tu kiedy indziej; ściemniało się, a młodsza córka potrzebowała jej obecności. Lepiej przyjdzie tu sama, kiedy będzie miała wystarczająco dużo czasu, żeby pobyć z babcią i, kto wie, może pożegnać się przed wylotem do Nowego Jorku.

Martwi są martwi, ale nie zawsze spoczywają w spokoju, przynajmniej tak myślała Julianne o swoim zmarłym mężu Romanie. Z każdą godziną spędzoną na tej ziemi nabierała coraz większego przekonania, że jego duch jest gdzieś w pobliżu, i chociaż stale coś robiła, nie była w stanie pozbyć się obłąkańczego wrażenia.

– Lubisz tę ziemię?

Teresę zamurowało, gdy usłyszała pytanie Amerykanki. Spędziły razem cały dzień i wypity trochę za dużo wina. Niewiele ze sobą rozmawiały, przez większość czasu gawędziły o błahostkach z koleżankami Drugiej. Julianne zadała to pytanie, nie patrząc na Teresę, kiedy siedziały na jednym z ganków ogromnego domu Forgasów, spoglądały na winnice i korzystały z ostatnich promieni słońca, okrywających czerwonawym tiulem niebo, na którym toczył się bój między dniem a nocą. Druga spojrzała na Amerykankę i postanowiła dać sobie chwilę na zastanowienie. Doskonale знаła historię Amelii Xatart, a przede wszystkim Romana, więc wiedziała, że jej odpowiedź będzie punktem wyjścia do bardzo niebezpiecznej rozmowy. Nie ona powinna poruszyć ten temat z Julianne, a tym bardziej grzebać w tak głębokiej, bolesnej ranie. Úrsula na pewno rozkoszowałaby się tą chwilą, ale Teresa wolą rozmawiać o Tiffanym i aukcjach u Christie'ego niż o niefortunnej przeszłości.

– Nauczyłam się ją kochać i szanować, wiesz? – odpowiedziała, nie odwracając głowy, cicho, niemal bez wahania.

Odkąd pojawiła się w La Mudze, uważali ją za „drugą”. Na początku przeszkadzało jej to przezwisko, ale teraz była z niego dumna. Z tego, że znalazła się wśród tych, których ta ziemia zaszczyca drugą szansą, żeby stali się tym, kim chcą. Nie lubiła mówić o swojej przeszłości, tak naprawdę nie wiedziano, kim była, zanim wyszła za Forgasę, i wołała, żeby tak pozostało. Kochała luksus, życie w otoczeniu jedwabi i drogich kremów, ale nie wynikało to z próżności, po prostu cieszyła się, że ma to, czego tak pragnęła: bogatego księcia z bajki, który mieszka w zamku i który przybył wyrwać ją z nędzy. Był nim Alfonso, który naraził się na potępienie ze strony połowy wsi, porzucając pierwszą żonę, matkę trojga ich dzieci. Nie miało to dla niego znaczenia, nie miało to dla nich znaczenia...

Julianne oczekiwała, że Teresa przerwie milczenie i wyjaśni, na czym polegają cuda tej ziemi, które sama zawzięcie negowała. Wiedziała, że Druga nie pochodzi stąd, nie pamiętała, żeby Román je sobie przedstawił, ale jej wspomnienia mogły być niedokładne. Teresa nie była skrojona według tutejszego szablonu, jednak Julianne przeczuwała, że w rzeczywistości jest taka jak inne, niezdolna do słów krytyki pod adresem tej ziemi, którymi by ją podbudowała. Wypiła za dużo wina, wołała się pożegnać, nim straci nad sobą kontrolę i wyzna, że nawiedza ją duch Romana. To był długi dzień, jałowe lenistwo miało wypełnić jej czas i pozwolić zapomnieć o milczeniu wnuczek i córki. Powstrzymała się przed zadzwonieniem do Gali, daniem znaku życia, błaganiem, żeby stąd wyjechały, jeśli nie chce stracić matki.

Teresa wezwała szofera, żeby odwiózł Julianne do hotelu, gdzie będzie mogła odpocząć. Chciała się uwolnić od tej rozmowy, skwapliwie wykorzystwała więc chwilę słabości Amerykanki, żeby pozbyć się gościa łagodnie, ale stanowczo. Julianne bez trudu rozszyfrowała pośpiech rozrywkowej towarzyszkii; wiedziała, że jest późno, a za parę godzin miało się zacząć spotkanie,

na które ona nie została zaproszona, za to jej córka owszem. Román wspominał jej parę razy o Kręgu, ale zawsze uważała to za jakąś głupotę.

Ciekawe, że z powodu tej głupoty w nocy nawet nie zmrużyła oka.

Po całym dniu oczekiwania, narastającego stresu, szybkiego zerkania setki razy na zegarek wreszcie wybiła dziewiąta wieczorem. Nadeszła pora, żeby poznać słynny Krąg, pozbyć się wątpliwości i oddać jego mocy. Gala zamknęła bramę Can Xatart i w milczeniu ruszyła w stronę wielkiego domu Brugatów. Jedynie bicie dzwonów witało noc rozjaśnioną wielką kulą, która siłą światła rozpraszała ciemność, demonstrując swoją potęgę. Gala rozkoszowała się tym zjawiskiem przyrody, pierwszy raz od lat poświęciła więcej niż minutę na oglądanie księżyca w pełni. Promieniował grozą, jak w opowiadaniach Edgara Allana Poe o morderstwach popełnianych podczas pełni, które ciągle musiała czytać, jako że pochodził z Bostonu, był światowej sławy autorem i dumą narodową.

Szła szybko. Wydawało się, że tej nocy ktoś postanowił zaoszczędzić na prądzie i zostawić ją na łasce światła księżyca, bo nie paliła się żadna z nielicznych latarni. Psy zarażały się nawzajem szczekaniem, warczały niezbyt przyjaźnie, błagały o wypuszczenie na ulicę, żeby mogły pobiec na poszukiwanie łatwych, soczystych zdobyczy. Z każdym krokiem wyobrażnia podsuwała Gali coraz to nowe obrazy: czuła towarzystwo niewidzialnych zwierząt i nocnych istot, które szpiegowały ją dla zabawy lub powodowane jakimiś mrocznymi pragnieniami. Nagle zobaczyła w oddali cień, który zmierzał w jej kierunku, zbyt wyprostowany jak na którąś ze staruszek. To mógł być ktokolwiek: rolnik, sąsiad, ciekawski przyjezdny, który wybrał się na przechadzkę po okolicy. Gala poczuła się tak, jakby ta ciemna postać, która z każdą sekundą nabierała coraz większych rozmiarów, na czymś ją nakryła, w czymś jej przeszkodziła. Cieszyła się tym spacerem, tajemniczą atmosferą, a ta obecność psuła całą magię. „Amat?” Była pewna, że to on, ale nie mogła przekonać się na własne oczy. Kiedy dzieliło ich niespełna sto metrów, postać nagle się zatrzymała. Gala zrobiła do samo, wyostrzając wzrok, żeby się upewnić, że to jego dojrzała z daleka w ciemnościach. On też rozpoznał ją po sylwetce. Od czasu tamtej kolacji więcej się nie widzieli ani do siebie nie dzwonili. Z reakcji Amata, który skręcił w boczną drogę, Gala wywnioskowała, że mężczyzna nie chce zmieniać tego stanu rzeczy. Bezradnie patrzyła, jak się od niej oddala, kusiło ją, żeby go zawołać, rozwścieczyły ją jego pogarda i lekceważenie. „Tchórz!” Zacisnęła pięści i ruszyła dalej, starając się zapomnieć o tym spotkaniu i odzyskać normalny rytm serca.

Z głową wciąż zaprzątniętą myślami o Amacie i wypełnioną obelgami pod jego adresem dotarła do wielkiego domu. Brama była otwarta, w ogrodzie, w którym królowały palmy, zapalono światła, kamienie na ziemi wytyczały drogę do głównego budynku. Dwukrotnie wcisnęła dzwonek i starając się powściągnąć swoją nadmierną impulsywność, cierpliwie czekała, aż ktoś jej otworzy. Joana zbiegła po schodach, żeby powitać gościa honorowego; jej babcia siedziała już w salonie razem z innymi kobietami, dziewczynka miała przyjąć Galę i ją do nich zaprowadzić. Po wypełnieniu misji mogła iść do domu Naldy na seans filmowy z Kate i spółką. Wybrała klasykę kina, *Śniadanie u Tiffany'ego*, jeden ze swoich ulubionych filmów. Potrafiła recytować z pamięci jego dialogi i była gotowa to udowodnić.

– Dobry wieczór... „Słyszałam, że w Nowym Jorku nikt nie zna swoich sąsiadów”.

Amerykanka patrzyła na nią, zaskoczona, nie wiedziała, jak zareagować na to powitanie. Joana nie doczekała się odpowiedzi, bo Gala nie miała głowy do rozpoznawania cytatów z filmów, wszystkie jej zmysły były skoncentrowane na tym kamiennym zamku, równie imponującym w środku, co z zewnątrz. Szła za dziewczyną, jakby ta prowadziła ją labiryntem, jej uwadze nie umykał żaden szczegół. Miała ochotę przystanąć, żeby dokładnie wszystko obejrzeć, ale wyglądało na to, że Joanie się spieszy i zamierza oprowadzać gościa po domu.

Przeszły przez dwie niesamowite sale z gigantycznymi kominkami, bibliotekę z regałami z drewna orzechowego, zakrywającymi wszystkie ściany, przecięły kilka korytarzy i dwukrotnie wspięły się po schodach, aż dotarły do drzwi, zamkniętych i oświetlonych małą lampką oliwną.

– Przyjemnej nocy w Kręgu, już za rok... i mnie spotka ta przyjemność!

Joana ruszyła schodami w dół i w końcu zniknęła, a w powietrzu wciąż unosiło się wspomnienie jej uśmiechu. Przez kilka sekund Gala stała przed drewnianymi drzwiami. Spojrzała na swoje stopy, przerażona własnym wyglądem. Poproszono ją, żeby ubrała się na białe, a w tym kolorze miała jedynie długą koszulę nocną i znoszone adidas. Zanim zapukała, zdjęła kurtkę, poprawiła koszulę i biały golf. Cieszyła się, że to prywatne spotkanie w domu, a nie w restauracji, bo już i tak wystarczająco wstydziła się swojego niezbyt sztywnego wyglądu.

Wyprostowała się, wzięła głęboki oddech i... „Otworzyć drzwi czy zapukać?” W ostatniej chwili uświadomiła sobie, że Joana nie przekazała jej żadnych instrukcji. Wahała się, które z rozwiązań będzie bardziej odpowiednie. Uznała, że jednak lepiej zapukać i zostać zaproszoną do środka niż wtargnąć samowolnie na nieznany teren. Zastukała kilkakrotnie, ale na próżno czekała na odpowiedź. Przez kilka chwil trwała w zawieszeniu, po czym wybrała drugie rozwiązanie i nieśmiało otworzyła drzwi, zdecydowana cieszyć się tym, co mogło jej zaferować zebranie kobiet.

Jej oczom ukazała się duża sala z belkami pod sufitem; na środku stał żelazny kominek z długą rurą, wychodzącą pionowo przez dach. Na potrzeby spotkania tej nocy ustawiono wokół niego krzesła tworzące święty Krąg. Od razu zobaczyła wszystkie kobiety, ale prawie ich nie poznała. Wyglądały inaczej, nigdy wcześniej nie widziała ich razem w jednym pomieszczeniu. Podczas pasterki były rozproszone wśród innych mieszkańców, nie ze wszystkimi się przywitała. Ze strachem ruszyła w stronę krzesel, szukając jakiejś przyjaznej twarzy.

Najpierw rozpoznała Úrsulę i jej laskę. Staruszka miała na sobie białą tunikę do ziemi, na ramionach biały szal, zaplecione w warkocz włosy zebrała w spięty nisko kok. Spojrzała na Galę znad okularów i pozdrowiła ją w milczeniu, podnosząc laskę. Niespodziewanie zza pleców Pięknej wychyliła się Nalda, żeby powitać Galę mocnym uściskiem. Miała na sobie biały czepek, białą lnianą koszulę i plisowaną spódnicę. To był jej mundurek na Kręgi, nie zmieniła go od czasów młodości. Pozostałe uczestniczki także zachowały te same stroje przez lata. Tomasa podeszła i przywitała się z Galą, obdarzając ją uśmiechem. Agnès i Francisca pomachały do niej z rogu sali, gdzie czekały jedzenie, zioła i napoje przygotowane na tę noc. Wszystko wyglądało bardzo swojsko, nic nadzwyczajnego, ot grono przyjaciółek, które się spotkały, żeby pogadać, pojeść i popić w dość wyrafinowanej i... bardzo tajemniczej atmosferze!

Teresa podeszła do Gali i podała jej kieliszek wina, który ta chętnie przyjęła. Chociaż kobiety dobrze się znały i na pozór wszystko wyglądało bardzo zwyczajnie, w powietrzu czuło się coś, co utrudniało Gali przelknięcie śliny. Minęło trochę czasu, zanim dostrzegła wszystkie szczegóły. Wokół kominka, w którym płonął wysoki ogień, stały przypominające ołtarzyki srebrne tace z różnymi rekwizytami: kamieniami szlachetnymi, liśćmi, gałązkami jemioli, drewnianą rzeźbą kobiety, rondelkiem z wodą, bukietem irysów i białych stokrotek oraz doniczką z ziemią pełną monet.

Cecilia podeszła do Gali jako ostatnia, w towarzystwie kobiety, której Amerykanka nigdy wcześniej nie widziała.

– Przedstawiam ci Catalinę. Od lat mieszka w Barcelonie.

– Bardzo mi miło.

Catalina miała w sobie jakąś nadprzyrodzoną elegancję, która sprawiała, że zamiast stąpać po ziemi, płynęła nad nią, a każdy najdrobniejszy ruch jej ciała zasługiwał na podziw.

Wyglądała na jakieś sześćdziesiąt pięć lat, chociaż równie dobrze mogła mieć skończone osiemdziesiąt albo i więcej. Dobrze się trzymała, jej skóra, mniej pomarszczona niż twarze reszty kobiet, wskazywała, że podobnie jak Teresa poddaje się zabiegom odmładzającym, żeby zachować gładką cerę. Catalina była antykwariuszką, opowiedziała Gali, że została pierwszą klientką VellAntic. Cecilia, dużo mniej oszczędna w słowach, zdradziła jej później na ucho, że bez Cataliny Rogans Amelia nie mogłaby utrzymać swojego warsztatu. Ona i jej mąż byli znanymi antykwariuszami z Barcelony, dzięki ich mecenatowi Amelia mogła rozwinąć działalność i zdobyć poważnych klientów w dużym mieście.

– Już nie bywa w La Mudze, wiesz? Za dużo minęło lat, za dużo rzeczy tu pogrzebała...

Gala spojrzała na Cecilię, nie rozumiejąc tej aury tajemnicy otaczającej Catalinę, jakby jej wyjazd z La Mugi nie był przypadkowy, tylko został wymuszony przez okoliczności. Próbowwała dowiedzieć się o niej czegoś więcej, ale Ślepa nagle zamknęła usta i zmieniła temat, widząc, że podchodzi do nich Nalda. Czerwona nie była głupia, w lot się zorientowała, o czym rozmawiają; domyśliła się tego z wyrazu twarzy Gali, która wpatrywała się w Catalinę jak zahipnotyzowana.

– Bardzo kochała twoją babcię; jako dziewczynki były nierozłączne, ale czasem popełniamy błędy, za które płacimy przez całe życie.

– Nigdy mi o niej nie mówiłaś, dziennik też...

Amelia Xatart nigdy się nie dowiedziała, że jej głównym klientem i dobroczyńcą w Barcelonie była dawna przyjaciółka. Catalina wołała, żeby Amelia nie poznała prawdy, nie chciała się z nią zobaczyć ani porozmawiać. Ale towarzyszyła jej z daleka w niedoli i pomogła wyjść z tarapatów. Nalda dopiero po latach odkryła, że za wszystkim stoi Catalina, obiecała jej jednak, że nigdy nie wyjawia tego Amelii.

– Twoja babcia miała dużo zalet, ale była bardzo dumna i nigdy by się na to nie zgodziła.

Co takiego mogło zająć, że przyjaciółki rozstały się na całe życie? Gala zapragnęła poznać tę historię, ale Nalda nie chciała się wdawać w szczegóły. Catalina zerknęła na Amerykankę, rozmawiając z Cecilią o niesamowitym podobieństwie Gali do Amelii. Były jak dwie krople wody: to samo spojrzenie, identyczny kształt twarzy, takie same rysy, nawet widziane z daleka. Catalina nadal opłakiwała śmierć przyjaciółki, żałowała, że nie odważyła się skontaktować z osobą, którą kochała najbardziej w życiu miłością tak czystą, że nie przypuszczała, że może w niej być cokolwiek grzesznego. Były dwiema nastolatkami, dwiema dziewczynkami, które razem się wychowały i wspólnie doświadczyły niewinnego przebudzenia własnej seksualności. Żadna z nich nie mówiła o uczuciach, żadna nie potrafiła nazwać tego, co się z nią działo. Wojna jednak wszystko przerwała, a potem przytrafiło się to nieszczęście. Catalina była pierwszą osobą, która się dowiedziała o ciąży Amelii. Któregoś dnia, kiedy zakradła się niezauważona do Can Xatart, żeby porozmawiać z przyjaciółką, ze zdumieniem odkryła oszustwo. Nie potrafiła przełknąć tej wiadomości, nie umiała zapanować nad bólem, który pochodził z jej wnętrza. Znalazła schronienie przed cierpieniem w niewłaściwych ramionach, zapewne celowo chcąc się skazać na wygnanie. Pójście do łóżka z księdzem z La Mugi oznaczało hańbę i ryzyko, na które niewielu mogło sobie pozwolić. Żeby uniknąć skandalu, ojciec Cataliny wysłał ją do brata do Barcelony. Amelia dowiedziała się o wszystkim dopiero kilka tygodni po porodzie; rozpytywała o przyjaciółkę, opłakiwała jej odejście, próbowała ją odnaleźć w Barcelonie, ale ta jakby zapadła się pod ziemię. Catalina obiecała sobie, że nigdy więcej się nie zobaczą, jednak nie potrafiła nie czuwać nad przyjaciółką na odległość. Podobnie jak Antoine, chciała ją mieć dla siebie, ale była to miłość nieodwzajemniona. Cataliny nie zobaczono więcej w La Mudze; wszyscy wiedzieli, że przespała się z księdzem. Amelia odczuła jej zdradę w postaci przenikliwego bólu, który przeszywał jej ciało; postanowiła zapomnieć o przyjaciółce, zrezygnowała z poszukiwań... Musiała zacząć nowy rozdział życia, zostawić ją

w przeszłości. Nigdy nie umiała wyrazić słowami tego, co czuła do Cataliny, co czułaby, gdyby nie przeszkadzały jej w tym własne przesady i obawy. Czy może istnieć cielesne pożądanie między dwiema kobietami? Z biegiem lat i w miarę jak zdobywała większe doświadczenie, uzmysłowiła sobie, że jest to możliwe. Zawsze w głębi ducha wspominała Catalinę. Czy można pragnąć tylko jednej kobiety? Amelia nigdy nie poczuła niczego do żadnej innej, za to przez całe życie pamiętała o Catalinie, a co jakiś czas chciała ją odszukać i wyznać, jak bardzo jest dla niej ważna. Czasami za wcześnie spotykamy miłość, zniewoleni strachem, postanawiamy się przed nią ukryć, a potem przez całe życie ciągniemy za sobą wspomnienie miłości stłamszonej przez nasze tchórzostwo. Catalina kochała kobiety, ale postanowiła wyjść za mąż. Potrzebowała stabilizacji, nie miała wystarczająco dużo odwagi, żeby znieść ciężar osądających spojrzeń ani żyć na marginesie społeczeństwa tylko dlatego, że kochała w sposób zabroniony czy niedozwolony. Salvador Rogans, szanowany antykwariusz, zakochał się w niej w momencie, w którym weszła do jego sklepu w poszukiwaniu pracy. Zadowolił się połowiczną miłością; przyjął ją ze smutkiem typowym dla pokonanych i obiecał sobie, że uczyni z Cataliny najszczęśliwszą kobietę na świecie. Mieli syna, Martina, nie szczędząc wysiłków i dzięki ogromnej wielkoduszności zdołali przewyciężyć przeszłość i cieszyć się ponad czterdziestoma latami wspólnej terażniejszości.

– Miłość jest naszą wielką nauczycielką, wiesz? Nigdy z niej nie rezygnuj, choćbyś umierała ze strachu.

Catalina wyrzekła się prawdziwej miłości z tchórzostwa, ze strachu przed wytykaniem jej palcami i osądzaniem, nie chciała wieść cichego życia na uboczu. Teraz zapragnęła znów być młoda, żeby móc żyć w świecie, który z wielkim trudem stopniowo otwierał się na inne sposoby kochania.

Nalda nie opowiedziała Gali historii Cataliny; wytłumaczyła jedynie krótko powód jej długiej nieobecności. Nie obchodziło jej, że w głowie Gali kłębią się pytania – będzie musiała z nimi żyć albo zadać je dawnej przyjaciółce swojej babki.

Catalina wróciła dopiero po śmierci Amelii, ponad pięćdziesiąt lat po wyjeździe ze wsi. Pojednała się z La Mugą i z nimi wszystkimi i przez dwa dni i dwie noce opłakiwała stratę przyjaciółki. Nalda próbowała ją pocieszyć, ale niewiele mogła zrobić, w sumie nic. Catalina nie zdążyła się pożegnać z Amelią, nie była przy niej, kiedy ona umierała, ale dane jej było objąć jeszcze ciepłe zwłoki.

Agnès i Francisca oglądały przez jedno z dużych okien księżyc w pełni, pierwszy po zimowym przesileniu. To była szczególna noc, wreszcie zebrały się w magicznej liczbie – dziewięciu. Liczbie mądrości, uważanej za boską, kojarzonej z uniwersalną miłością i ewolucją człowieka. Francisca chwyciła Agnès za rękę, zabrała jej skręta z bylicy, którego paliły na spółkę, i zaciągnęła się dwa razy z satysfakcją, szczęśliwa na samą myśl, że czeka je biała noc oczyszczenia i odnowy. Czarodziejka spojrzała na przyjaciółkę z uśmiechem – od lat czekały, aż będzie ich dziewięć i w końcu dopełni się Krąg. Amelia nadal była z nimi, wnuczka na pewno godnie ją zastąpi, musiały tylko ją uświadomić i wskazać jej drogę, żeby ponownie połączyła się z własną mocą, tą pradawną siłą, którą ma w sobie każda kobieta.

Usiadły w kręgu zgodnie z wyćwiczoną choreografią, przerwały rozmowy, żeby w ciszy oddać hołd księżycowi, nocy i świętemu życiu. Od zawsze ceremonii przewodniczyła Xatart, Nalda robiła to pierwszy raz, więc czuła się bardzo niepewnie. Nie zwoływały Kręgu od dwóch lat, wspólnie zdecydowały, żeby odłożyć to do czasu, aż Amelia wróci do zdrowia, co nigdy nie nastąpiło. Starsuszki patrzyły na ogień, wyciągnęły ręce, żeby spleść je z dłońmi sąsiadek, aż zamknęły krąg. Siedziały w takiej samej odległości od ognia, respektując uświęcone zasady symetrii. Nie obowiązywała tu żadna hierarchia, ich serca bijące w równym rytmie były

jednakowo gotowe, żeby poddać się kuracji, która miała uleczyć stare rany i skostniałe urazy. Gala trzymała za ręce Tomasę i Úrsulę. Sama by ich nie wybrała, może właśnie dlatego siedziała między nimi, czując ciepło ich dłoni i współczucie w ich oczach. Zdziwiło ją jasne spojrzenie Úrsuli, wydawała się inna, wolna od nienawiści i złości. Pięknej trudno było zaakceptować swoje miejsce tej nocy, jednak знаła świętą moc Kręgu i w milczeniu się jej podporządkowała.

Dziewięć kobiet utworzyło piękną, potężną mandalę światła i żeńskiej energii. Oddychały razem, w ciszy kontemplowały swoje zjednoczenie, świadome tego, co dzieje się w ich wnętrzu, i gotowe poddać się przemianie, która mogła w nich zająć. Gala spoglądała na nie z szacunkiem, robiąc wszystko, żeby jej własne myśli nie sabotowały magii tej chwili. Trudno jej było nie oceniać tego spotkania, a łatwo ulec przesądom: osiem babć i ona, ubrane na biało, trzymają się za ręce w blasku ognia, świeczek i księżyca w pełni. Czy to nie szaleństwo? Nalda spojrzała na Galę, rozumiała jej wewnętrzną walkę i doceniała wysiłek, jaki wkłada, żeby być z nimi mimo pokusy autosabotażu. Serdecznie ją zachęciła, żeby zamknęła oczy i poczuła własne wnętrze. Wszystkie zrobiły to samo, prosiły, żeby przebudziła się ich mądra wewnętrzna doradczyni. Święta zaczęła śpiewać, z jej ust wydobywała się uzdrawiająca melodia bez słów, którą witała wszystkie zgromadzone kobiety i wprowadzała pomiędzy nie harmonię. Jej głos był dla ucha cudem, dawał ukojenie i zachęcał, żeby przerwać walkę i poddać się jego jasnemu, aksamitnemu brzmieniu. Galę przeszedł dreszcz, kiedy słuchała tej melodii, anielskiego głosu, który wibrował w piersiach, domagając się spokoju i wytnienia dla duszy każdej z nich. Nie potrafiła ocenić, jak długo sączył się ten osamotniony boski głos ani kiedy cała grupa zjednoczyła się, żeby śpiewać wspólnie. Nawet ona wydała z siebie gardłowy dźwięk i wniosła go do Kręgu. Na początku słaby, stopniowo torował sobie drogę, żeby już bez lęku zawibrować na równi z innymi. Na krótką chwilę albo na całą wieczność ich głosy i dłonie stworzyły potężną, niewidzialną kulę energii, jasnego światła zawieszoną na złotej nici połączonej prosto z księżycem w pełni i jego przemożną siłą płodności.

Nalda pierwsza otworzyła oczy. Pozostałe jak na komendę jedna po drugiej zrobiły to samo, jakby były trybami doskonale działającego mechanizmu. Święta podniosła powieki jako ostatnia, przerywając śpiew. Gala uważnie się jej przyglądała. Zdziwiłoby ją, gdyby ten boski głos wydobył się z ust Úrsuli albo Teresy, ale do Franciski bardzo pasował. Było jej głupio, że tak pomyślała, jednak mimowolnie się uśmiechnęła. Piękna lekko odwróciła głowę i popatrzyła na nią, jakby przejrzała ją na wylot. Zanim puściła dłoń Gali, nie ruszając się, mocno ją ścisnęła na znak reprimendy. Pozostałe kobiety także uwolniły ręce i trwały w ciszy. Catalina czuła się równie zagubiona, jak Gala. Spojrzała na Amerykankę i ze wstydem wyobraziła sobie, że znów jest młoda; naszła ją szaleńcza myśl, że może czas wcale nie upłynął, że dalej mieszka w La Mudze, że Amelia siedzi naprzeciwko niej. Potarła oczy, szukając w sobie odwagi, żeby wytrwać w pozycji siedzącej, chciała zamknąć ranę, która jąrzyła się od pół wieku. Agnès delikatnie pogłaskała ją po dłoni, wzruszona, że są razem po tak długiej przerwie. Popatrzyły na siebie szklanym wzrokiem, rozczulone, i stopiły się w uścisku.

– Witaj, Cato.

Nalda wrzuciła do ognia gałązkę jemioli, pozostałe zrobiły to samo, bez pośpiechu. Teresa wstała i przyniosła tacę z dziewięcioma kieliszkami wina. To była święta noc, pełna podniosłych momentów. Czerwona założyła okulary, żeby lepiej widzieć błyszczące oczy przyjaciółek. Tomasa poprawiała białą opaskę na włosach i ukradkiem ocierała łzy. Poruszyła ją obecność Cataliny; od jej wyjazdu widziały się tylko raz, w Barcelonie, przeprosiła ją wtedy, że zbyt surowo ją osądziła, że była tak bezwzględna w kwestii zasad moralnych i tak niepojęta w kwestii uczuć. Catalina niewiele jej wtedy powiedziała, nie chciała pójść na kawę, zamieniły zaledwie kilka grzecznościowych zdań. Poprosiła Tomasę, żeby nie mówiła nic sąsiadom, nie

opowiadała o ich spotkaniu, zostawiła ją w przeszłości...

– *Sempre seràs benvinguda...*[57]

Tomasa pożegnała się z Cataliną, zaciskając powieki, żeby nie popłynęły jej łzy. Nie miała odwagi jej przytulić, choć zalewała ją czułość. Odeszła, czując się jakaś taka mała, mikroskopijna, i obiecując sobie, że utrzyma spotkanie w tajemnicy.

Nalda uznała, że nadeszła pora, aby przemówić i uruchomić koło. Pomyślała o Amelii, poprosiła, żeby zmarła była jej przewodniczką podczas tego, co mogło się wydarzyć. Miały tyle do oczyszczenia, do uzdrowienia... Długa przerwa, śmierć, ponowne spotkanie i nowo przybyła.

– *Qui vol començar? Kto chce zacząć?*

Trudno jej było mówić po hiszpańsku, ale uzgodniły, że będą używały tego języka, aby Gala nie czuła się wykluczona. Przeczuwały, że dzisiejsza noc będzie ważna, więc chciały uniknąć jakichkolwiek zakłóceń. Czerwona popatrzyła na przyjaciółki; wszystkie spojrzały po sobie, a Gala czekała niecierpliwie na to, co miało nastąpić...

– Chciałabym porozmawiać tej nocy o przebaczeniu. Po tylu latach nieobecności czuję potrzebę, żeby być tą, która zacznie. Chcę podzielić się ze wszystkimi moimi zmaganiem z przebaczeniem. Wydaje mi się, że będę potrzebowała kilku żyć, żeby je rozumieć nie jako poniżenie, ale jako uzdrowienie dla duszy. Zaznałyście pokoju? Wybaczyleście sobie? Ja przyznam, że mi ciężko...

Catalina zainaugurowała Krąg słowami, które wstrząsnęły grupą. Od zawsze żyły razem, na tej samej ziemi, radziły sobie z własną podłością najlepiej, jak mogły. Catalina ciągnęła swój wywód o tajemnicy przebaczenia; wszystkie uważnie jej słuchały, poza Úrsulą, która z pogardą na twarzy poprosiła o głos. Niecierpliwie zaczekała, aż Cata skończy, po czym ryknęła jak lwica:

– Ja nie przebaczam, wiesz? Ani nie potrzebuję, żeby inni mi cokolwiek wybacжали.

– A powinnaś...

Święta nie mogła się powstrzymać, żeby nie wejść w słowo pyszałkowatej szwagierce. Już i tak zbyt długo tolerowała jej grymasy i urazy.

– Nie chcę waszego przebaczenia. La Muga nie jest już tym, czym była, a wy stałyście się pobłażliwe. Byle kto nie może należeć do Kręgu, nawet jeśli to wnuczka Amelii Xatart. Wszystkie jesteśmy równe i jej głos nie liczy się bardziej niż nasz.

Gala przełknęła ślinę i spuściła głowę. Nie miała pojęcia, że celem tego spotkania jest między innymi decyzja, czy należy przyjąć ją do grupy. Poczuli się oszukana przez Czerwoną, chciała opuścić salę i przerwać Krąg, ale Tomasa chwyciła ją mocno za rękę, żeby jej w tym przeszkodzić. Bogaczka od początku budziła w Gali duży respekt, nie potrafiła się jej sprzeciwić. Postanowiła więc nie odpierać ataku, pozwolić, żeby inne sprzeczały się o nią, sama nie zabierać głosu w tej sprawie. Nie rozumiała, dlaczego Piękna ją zaatakowała. Chodziło bezpośrednio o nią czy też o jej babcię?

– Wystarczy! Gala jest tutaj, bo pragnie tego reszta, bo zgadza się na nią Matka Ziemia i chce, żeby była częścią nas. Jako członkinie Kręgu La Mugi powinnyśmy akceptować cykle życia, a są w nim nowe soki, nowe pokolenia, nieważne, skąd pochodzą. Od nich będzie zależało zachowanie tradycji, oddanie się pod opiekę Gai, odnalezienie się w jej kobiecości, poprzez uwielbienie przyrody, praktykowanie uzdrowicielskiej miłości i poszukiwanie równowagi na tej sponiewieranej planecie. Jesteśmy posłanniczkami naszych przodków; a te, które nas zastąpią, przekażą naszą wiedzę dalej... Dzisiejszej nocy życia i śmierci musimy uzdrawiać i zamykać rany, które wciąż się jętrzą. Świętujemy powrót Cataliny, ale i przyjęcie Gali jako nowej czarodziejki... Úrsulo, zostaw walkę za drzwiami, przypominam ci, że Krąg cię przyjął, mimo że kilkakrotnie zdradziłaś jego istotę.

Piękna spojrzała na nią, powstrzymując chęć, żeby postukać laską w podłogę na znak

protestu, ale znała zasady i w głębi duszy wiedziała, że Czerwona ma rację – już dawno temu powinny były ją wyrzucić, a mimo to głosowały, żeby z nimi została... Ten dowód dobrej woli dręczył ją, budząc w niej raczej zawiść niż współczucie i chęć przebaczenia. Przebaczenie? Próbowwała przebaczyć swojemu zmarłemu bratu Josepowi, ale nie potrafiła pokonać wściekłości z powodu dźwiganego przez całe życie krzyża, jakim było posiadanie w rodzinie zbrojnego. Nigdy nie umiała rozmawiać o tym z Franciską, zmuszoną wyjść za mężczyznę, który pragnął innych mężczyzn. Ubolewała, że zakończyło się to tragedią i że biedny Josep w desperacji odebrał sobie życie. Piękna odpokutowała za grzech, jakim było wypełnianie życiorysu brata błotem i kłamstwami. Wszystkie miały świadomość, przez co przeszła, chociaż nigdy szczerze z nimi o tym nie porozmawiała. Pau był homoseksualistą, wiedziała o tym cała wieś, ale ona nie chciała tego przyznać ani publicznie, ani przed samą sobą. Pogardliwe spojrzenie własnego syna niszczyło ją jednak od środka, bała się, że z powodu jej milczącego potępienia Pau skończy tak jak Josep. Siedziała nieruchomo, wściekłość zaprawiona głębokim cierpieniem ścisnęła ją za gardło, drżała jej broda. Wszystkie oczekiwały w milczeniu, że nadejdzie uzdrawiający deszcz, że Úrsula wyrzuci z siebie cały ból powstrzymywany przez lata. Łzy nie od razu popłynęły, ale wkrótce miała skapaną w nich całą twarz, lały się strumieniami, jakby opróżniała studnię żalu. Święta wstała, żeby przytulić Úrsulę, ale została napomniana przez Naldę. Musiały utrzymać krąg, nie wolno było zmarnować energii grupy. Piękna płakała w ciszy, jakby miała zaraz umrzeć i chciała odejść w zaświaty z lżejszym bagażem. Jęknęła i niczym wulkan wybuchnęła starczym szlochem, uwolnionym po tylu latach uwięzienia. Wszystkie poczuły ból Úrsuli, mocno chwyciły się za ręce i poprosiły o wybaczenie Krąg, wszechświat i Matkę Ziemię. Żadna nie miała prawa wydawać osądów, łzy jednej były łzami wszystkich. Gała przyłączyła się do innych, nie potrafiła temu zapobiec. Płakała jak pozostałe, w ciszy, z szacunkiem, żeby nie przerwać szlochu Pięknej. Kiedy ronila łzy, trzymana za ręce przez inne dłonie, pojawiały jej się przed oczami obrazy: jej samej jako małej dziewczynki, z ojcem, z matką, jako córki, jako matki, jako żony, jako kobiety. Płakała, próbując odkryć sens swoich łez, szukając przyczyny tego, co wypływało z jej wnętrza. Wystraszyła się własnym szlochem, nagłą potrzebą osuszenia bajora emocji, których nie potrafiła odszyfrować.

Nalda obserwowała Krąg, zaskoczona szybkością wydarzeń. Detonatorem była Catalina, Gała zaczynała się budzić; zupełnie jakby Amelia Xatart poruszała z góry sznurkami. Rana przestała ropieć, zatrzuwać atmosferę starymi żałami. Czerwona spojrzała na Franciskę, która z wdzięcznością spuściła wzrok, po czym wstała i poszła pocałować szwagierkę, wkładając w to całą miłość, jaką do niej czuła. Piękna pogłaskała ją po dłoni i oparła głowę na jej piersi; wszystkie zrozumiały uzdrowicielską moc wybaczenia.

– Jow poprosił, żebym za niego wyszła.

Teresa niemal zachłystnęła się winem, słysząc słowa Cecylii. Było tajemnicą poliszynela, że Ślepa ma romans ze stajennym, ale nigdy głośno się do tego nie przyznała ani na forum Kręgu, ani w węższym gronie. Wszystkie spoglądały na Cecylię, oniemiałe, nie wiedząc, jak zareagować.

– Zaspokaja mnie jak nikt inny. Kocham go, on kocha mnie, więc powiedziałam mu „tak!”.

Po tych słowach Tomasa gwałtownie wstała z krzesła. Pozostałe zaniemówiły, spodziewały się, że Bogaczka zrugą Ślepą za decyzję o małżeństwie z Johnem Winterem, cudzoziemcem młodszym od niej o dwadzieścia lat. Tomasa jednak wcale nie miała takiego zamiaru, podeszła do Cecylii i wyciągnęła drżącą rękę z kieliszkiem na znak szacunku i żeby jej pogratulować. Teresa uniosła swój z takim impetem, że oblała Franciskę, czym pobudziła do śmiechu pozostałe kobiety. Cała grupa przyłączyła się do toastu, do uczczenia miłości, bez wydawania sądów i wygłaszania jałowych kazań.



Wino i radość z zapowiedzianego ślubu we wsi sprawiły, że rozmowa zesłała na lżejsze tematy, nieco wstydlive dla Amerykanki, nienawykłej do swobodnego rozprawiania o seksie, tym bardziej w gronie babć. Bogaczka wyznała otwarcie, że swoje orgazmy zawdzięcza Kręgowi i samozaspokajaniu...

– *Si hagués estat pel pobre Jaume...*[58]

Cecilia przyznała, że bywa strasznie napalona i że nawet kupiła przez internet zabawki erotyczne. Francisca wołała się pohamować i nie opowiadać o swoich wyczynach łóżkowych, nigdy o nich nie mówiła, większość myślała, że skoro nie straciła cnoty z Josepem... pozostała dziewicą... Agnès, Gala i Nalda śmiały się gromko z każdej opowiedzianej historii. Teresa nie wierzyła własnym uszom, ona niemal zawsze robiła to w pozycji na misjonarza i myślała, że niczego więcej nie potrzebuje.

– Jeśli ciało nie prosi cię o więcej...

Gala nigdy by nie przypuszczała, że te staruszki w ogóle mogą mieć jakiegokolwiek życie seksualne. Kiedy się im do tego przyznała, zareagowały różnie, dominowało powszechne oburzenie i bezładne protesty. Naturalnie seks był teraz mniej intensywny, ale nie zrezygnowały z rozkoszy. Dzieliły się w Kręgu swoimi doświadczeniami, dzięki temu rozumiały, że pożądanie muszą odczuwać obie strony. Tutejsi wieśniacy mieli w sobie mało z mężczyzn, a dużo ze zwierząt. Nie bardzo wiedzieli, co robić, poza tym, żeby włożyć go, kiedy jest sztywny, i wyciągnąć, kiedy już sobie pofolgują. Dlatego musiały coś wymyślić, żeby zaradzić nagminnemu niezaspokojeniu kobiet we wsi. Postanowiły się zbuntować i zacząć rządzić w łóżku, choć groziło to rozwodem. Wielu mężczyzn nie chciało, żeby dyrygowały nimi żony, woleli obejść się bez seksu i spali w stajni, dopóki wszystkiego sobie nie przemyśleli. To był początek wielkich zmian we wsi, zarówno dla mężczyzn, jak i dla kobiet. Okoliczni mieszkańcy im zazdrościli, zastanawiając się, jaki jest sekret długowieczności w La Mudze.

– Dobrze zdrowie seksualne!

Wszystkie jednocześnie wybuchnęły śmiechem, przypominając sobie doświadczenia, którymi się kiedyś dzieliły. Gala od dawna nie śmiała się tak szczerze i spontanicznie. Od śmiechu bolała ją szczeka. Te staruszki potrafiły zaskakiwać, czerpały z życia pełnymi garściami w każdej jego dziedzinie. Stale się uczyły, jak budzić w sobie radość. Patrzyła na nie z rozczuleniem, pierwszy raz miała wrażenie, że jest częścią tej grupy, pragnęła ze wszystkich sił, żeby dalej dzieliły się z nią swoją mądrością życiową, zgromadzonymi doświadczeniami. Poczula, że są jakby jej matkami, wspianiałymi doradczyniami w sprawach życiowych. Zawsze chciała mieć kogoś takiego.

Za przyzwoleniem Czerwonej Agnès oznajmiła, że czas odzyskać siły i napełnić żołądki. Czarodziejka, z pomocą Marca i Adele, przygotowała ogromne ilości miejscowych specjałów, mających zasilić nie tylko ciała.

Dziewięć kobiet jadło wokół ognia, nadal wymieniając przemyślenia i oczyszczając stare rany. Catalina podeszła do Amerykanki, żeby się czegoś więcej o niej dowiedzieć i zapytać, ile dni zostanie jeszcze w La Mudze. Gala czuła, że zbliża się moment wyjazdu, ale wciąż nie rozwiązała problemu spadku... i tego przekłętego obrazu!

– Jakiego obrazu?

Gala opowiedziała o fortelu babci, jakby recytowała wyuczony wiersz. Podejrzewała, że niektóre z tych kobiet – jeśli nie wszystkie – znają autora obrazu. Kiedy opisywała płótno, Catalina zbladła, poczuła nagle, że brakuje jej powietrza, i nie mogła opanować drżenia rąk, bo była pewna, że chodzi o obraz, który sama namalowała i podarowała Amelii jako nastolatka. Jej pierwsze płótno! Nie porzuciła swojej pasji, z biegiem lat udoskonaliła warsztat i nawet kilkakrotnie wystawiała swoje obrazy, choć przez skromność raczej tego unikała.

Niespodziewanie Krąg ponownie umilkł, żeby posłuchać, o co chodzi. Gala zaniemówiła, kiedy dotarło do niej, że w końcu odnalazła autorkę obrazu i rozwiązała wielką zagadkę. Zrozumiała, że wszystkie starszki знаły tożsamość malarki, ale wołały zachować milczenie, żeby ona sama wyznała jej prawdę.

Bez słowa spojrziała na Catalinę, która nie ukrywała wzruszenia. Zapomniała o swojej marnej kopii *Kobiety w oknie*, a teraz rozczuliła ją wiadomość, że Amelia zachowała jej obraz przez wszystkie te lata, strzegła go, a nawet poleciła, aby, gdy umrze, odnaleziono autorkę, żeby mógł do niej wrócić. Koło życia! Bumerang, przed którym nikt nie ucieknie, który zaskakuje odlotami i powrotami, a także niespodziewanymi ciosami.

Catalina objęła Galę z wdzięczności, że ta ją odnalazła, że przekaże jej obraz i że reprezentowała Amelię podczas tego Kręgu. Wzniosła za nią toast, do którego przyłączyły się pozostałe.

– Droga Galu, zawsze będziesz mile widziana na tej ziemi i w tym Kręgu. Łączymy się z tobą, biorąc garść tej ziemi. Czujemy, że jesteś jedną z nas.

Wszystkie nabrały trochę ziemi z białej doniczki i wrzuciły ją do ognia, na szczęście. Spotkanie trwało do świtu; niektóre zostały, żeby przespać się w wielkim domu. Gala wołała wrócić do siebie. Wreszcie rozwiązała tajemnicę, w końcu była jedyną dziedziczką! Teraz musiała się już tylko zastanowić, co zrobić z całym spadkiem, i jak najszybciej załatwić formalności.

Noc była długa i pełna wrażeń. Gala wracała do domu chwiejnym krokiem, mrużyła oczy przed pierwszymi promieniami słońca, zadowolona, że ma na sobie adidasy, a nie zabójcze szpilki. Potrzebowała przetrwać to, co przeżyła, miała mętlik w głowie, czuła się słaba i pijana. Okropna mieszanka dla kogoś, kto ma podejmować decyzje.

## X

Znacznie częściej, niżbyśmy tego chcieli, o naszym losie decydują ci, którzy uznają, że pokonali nas w bitwie...

To nie był jej pomysł, nie miała nawet czasu, żeby zastanowić się nad odmową, a już jechała do Barcelony z córkami, matką i Joaną. Kate, sprytna strateżka, znalazła sposób, żeby zrealizować swoje plany. Jej sojuszniczką stała się babcia Julianne, która w niespełna dwie godziny zorganizowała wycieczkę do stolicy Katalonii, z pomocą Gustava, komórki i złotej karty American Express. Pieniądze to potężny czarodziej, który w kilka sekund przemienia niemożliwe w łatwe. Julianne miała w tej kwestii duże doświadczenie, nic nie oparło się dotąd jej książeczce czekowej. Wszyscy uprawiamy tego rodzaju prostytutkę, ale niewielu się do niej przyznaje i akceptuje ją bez kompleksów. Ona bez oporów przewodziła mniejszości, która wycenia wszystko bez zmrżenia oka.

Kate wyglądała przez szybę, szczęśliwa, że dopięła swego i zwiedzą z Joaną Barcelonę. Nie przeszkadzało jej towarzystwo: przyjemniej było się zatrzymać w luksusowym hotelu niż w domu krewnych przyjaciółki. Kate wołała zapraszać niż być zapraszaną, nie czuła się swobodnie w roli gościa, z trudem przychodziło jej prosić o przysługę czy pomoc, dużo wygodniej było, kiedy to ona sprawowała kontrolę.

Adele z kolei wyglądała na nieobecną, milczała, wciąż chciało jej się spać. Tym razem Marc nie mógł jej towarzyszyć, dwa dni poza domem to zbyt dużo, jego rodzice woleli, żeby spędził ten czas z rodziną. Odkąd Adele przyjechała do La Mugi, chłopiec rzadko przebywał u siebie, a jeśli już, to planował nowe przygody albo spał.

Gala wsiadła do samochodu, pogodzona z tym, że nie ma innego wyjścia, ale też gotowa cieszyć się towarzystwem córek i matki. Od minionej nocy czuła się inaczej, nie umiała jeszcze przetworzyć tego, co przeżyła, nie wiedziała, jak ogłosić, że nadszedł moment powrotu do domu i że powinny ustalić jakąś datę. Matka na pewno podskoczy z radości, ale jak zareagują córki? Adele siedziała z głową opartą o szybę samochodu, Kate grała z Joaną w Angry Words. Obie odnalazły dziwny spokój na tej ziemi, nie zdawały sobie sprawy, jak dobrze się do niej dostosowały. Gala chciała znaleźć jakiś pretekst, żeby odłożyć wyjazd, ale po wyjaśnieniu tajemniczy obrazu nic już ich nie trzymało w La Mudze. Prawnik Robert Riudaneu mógł załatwić za nią wszystkie formalności. Niebo wreszcie się przejaśniło, podróż dobiegła końca, zbliżał się moment, żeby wziąć odpowiedzialność za własne czyny i powrócić do dawnego życia albo... No właśnie, co? Przez ułamek sekundy wyobraziła sobie, jak wchodzi do swojego mieszkania, jak całuje Fredericka, udając, że nic się nie zmieniło, rozpakowuje walizki, śpi przy nim, wstaje rano, robi kawę, żegna się z dziewczynkami, dzwoni do którejś z koleżanek, wraca na pilates, spaceruje po Central Parku, je bajgla z łososiem i twarożkiem... Ogarnęły ją straszne mdłości, kazała Gustawowi zaparkować byle jak na poboczu, żeby mogła „wyprowadzić na spacer swoje wnętrzości”. Wysiadła, powstrzymując torsje, ale gdy tylko stanęła na asfalcie, na oczach wszystkich chlusnął z niej wielki, obrzydliwy strumień wymiocin.

Julianne obserwowała tę scenę, próbując zrozumieć, co się stało. Jej córka nie cierpiała na chorobę lokomocyjną, nawet jako dziecko. Torsje budziły w Gali wstręt, jeśli mogła, połykała wymiociny, byle uniknąć nieprzyjemnego widoku. Jedynie podczas obu ciąży przekroczyła własne granice. „Cięża? Niemożliwe!” To nie wchodziło w rachubę, po ostatnim porodzie podwiązali jej jajowody. Nie z powodu wskazań medycznych, lecz na jej życzenie. Julianne nie pochwałała tej decyzji. Nie była zwolenniczką eliminowania płodności, tym bardziej operacyjnie. Jednak córka się uparła, zrobiła to, żeby uniknąć kolejnej ciąży i oszczędzić sobie kłopotliwej antykoncepcji.

Frederick jak wielu mężczyzn nie chciał używać prezerwatywy, zawsze zrzucił odpowiedzialność na żonę. Nie miał zresztą nic przeciwko większej liczbie dzieci – nie on się nimi zajmował i nie on je rodził. Ciąża i powrót do formy także go nie dotyczyły. Operacja była mądrą decyzją. Gala podrobiła podpis męża i poddała się podwiązaniu jajowodów; Frederick do tej pory o niczym nie miał pojęcia, a Julianne dowiedziała się zaledwie kilka miesięcy temu, podczas jednej z gwałtownych kłótni z córką.

Gala stała zgięta wół, zmieniona na twarzy, gardło paliło ją od soków trawiennych. Nie czuła się na siłach, żeby wyprostować plecy. Myśl, że ma wrócić do Nowego Jorku i swojego dawnego życia, wywołała u niej atak paniki i nagle skurcze żołądka. Krew napłynęła jej do głowy, kiedy patrzyła na swoje wymiociny, kolejny raz zdała sobie sprawę, że z gówna wychodzi się silniejszym. Tego ranka zrozumiała, że koło się obróciło i że nic już nie jest ani nigdy nie będzie takie jak dawniej. Wnętrznosci ponownie podeszły jej do gardła, uwolniły ją od żółci, wyrzuciły nagromadzone w niej lęki. Julianne wysiadła z samochodu; rozpoznała rodzaj wymiotów nękających jej córkę: należały do tych, które niczym fusy kawy ujawniają prawdę, nie pozwalając, żebyś obrała niewłaściwy kierunek. Doświadczyla tego, kiedy postanowiła umieścić Galę w internacie, głucha na prośby córki błagającej, żeby jej nie porzucała. Julianne powstrzymała torsje do momentu, w którym zamknęła drzwi za Galą. Nie zdążyła na czas do łazienki, drogę do sedesu oznaczyła śladami wymiocin. Pochyliła się nad muszlą i dała zawładnąć sobą mdłościom, do chwili aż poczuła, że już nic nie zostało jej w środku. Z zaczerwienionymi oczami spojrzała na własne rzygowiny i zrozumiała, że jeśli nie pobiegnie teraz za córką, straci ją na zawsze. Te odrażające resztki soków trawiennych i rozdrobnionego jedzenia wskazały jej właściwą drogę, ale postanowiła je zignorować, spuścić wodę, wyplukać usta i nalać sobie pierwszą podwójną whisky tego ranka. Przez całe życie żałowała tej decyzji i dlatego doskonale wiedziała, że wymioty Gali to nie są zwykłe torsje, tylko ohydny zwiastun opamiętania.

– Lepiej się czujesz, skarbie?

Gala nie chciała patrzeć na matkę ani odpowiadać jej słowami. Musiała zaczerpnąć trochę powietrza, wbić sobie do głowy to, że jej życie właśnie znalazło się na rozstajach i powinna wybrać jakąś drogę, jakąkolwiek, byle nie iść dalej dotychczasową. Julianne pogłaskała córkę po włosach, pokropiła jej kark wodą, żeby szybciej doszła do siebie. Zabroniła wnuczkom wysiadać, zaczęła oparta o samochód, aż Gala się wyprostuje i uzna, że może kontynuować podróż. Nie spieszyło im się, nie było nic ważniejszego od tego nagłego objawienia, którego tak rzadko doznajemy. Julianne wiedziała o tym i przez szacunek zachowała milczenie. W miarę jak zbliżała się do starości, coraz bardziej pragnęła przestać udawać, zrezygnować z pustego życia stanowiącego osłonę przed bólem, i chociaż się przed tym broniła, musiała w tym celu znów dotrzeć do córki, nawiązać z nią zażyłe relacje, które nigdy ich nie łączyły. Dotąd traktowała ją z pewnym lekceważeniem, bo nie miała pojęcia, jak zbudować czy choćby zaprojektować bliskie więzi z Galą. Ją też zmieniła ta przeklęta wyprawa. Tak naprawdę od dawna czekała na jakiś cios poniżej pasa, żeby przestać żyć w kłamstwie, które ciągnęło ją na dno i zżerało. Pierwszym krokiem było odwołanie ślubu, drugim – podróż samolotem, żeby ratować córkę. Nieświadomie pomyliła jednak dopełnienia, postanowiła ocalić nie córkę, tylko samą siebie. Nie wiedziała, od czego zacząć... Pobocze szosy to na ogół niebezpieczne miejsce na postój, ale czasami okazuje się, że taka przerwa w podróży może uratować komuś życie.

Odczekali pół godziny, zanim wrócili na autostradę. Nikt się nie odzywał, żeby uszanować złe samopoczucie Gali. Kate i Adele wołały milczeć i obserwować matkę, licząc, że na razie skończy się na wymiotach. Wyglądały przez okno, Gustavo pozwolił sobie włączyć płytę Callas i rozkoszował się jej znakomitą partią z *Madame Butterfly* Pucciniego. Słowa pieśni nie

stanowiły może najlepszego akompaniamentu do tej podróży, ale głos artystki był zdolny zamienić najgorszy dramat czy żal w westchnienie nadziei. Julianne i Gala znalazły w nim ukojenie. Porozumiały się na odległość ukradkowymi spojrzeniami. Spokój towarzyszył im aż do końca podróży.

Gustavo zatrzymał samochód przed budynkiem przypominającym gigantyczne „D” lub szklany żagiel. Był to hotel przy plaży wybrany przez Julianne na dwie noce, które miały spędzić w Barcelonie.

– Witamy panią w hotelu „W”.

Julianne wysiadła z samochodu pierwsza, żeby zobaczyć miny swoich wnuczek. Zarezerwowała wspaniałe pokoje na piętnastym piętrze, z widokiem na morze. Hotel prawie nie miał zwykłych ścian, wszystko wykonano ze szkła; słyszała, że śpi się tu jakby w zawieszeniu między ziemią, niebem i morzem. Nie było w tym przesady, ta opinia wiernie oddawała doświadczenie przebywania pośród szklanych ścian, przez które widać horyzont i urzekające Morze Śródziemne. Joana nie wierzyła własnym oczom, niemal zwichnęła sobie szczękę, tak szeroko otworzyła usta. To miejsce było oszałamiające, magiczne, czytała w internecie, że w tym hotelu zatrzymywały się znane gwiazdy. Cieszyło ją, że może towarzyszyć przyjaciółce, wyznała jej w zaufaniu, że chce doświadczyć wszelkich możliwych luksusów i na dwa dni zamienić się w młodą celebrytkę, jak Paris Hilton czy bliźniaczki Olsen. Kate uśmiechnęła się, rozbawiona; była szczęśliwa, że może spełnić marzenia przyjaciółki, oczywiście z pomocą babci. Ją luksusy nigdy nie bawiły, dopóki nie poznała Joany, która potrafiła zamienić każdy z nich w filmową scenę. Adele nadal chodziła naburmuszona, nie okazywała radości, na nic nie miała ochoty, na wszelkie propozycje reagowała wzruszeniem ramion i przygryzieniem warg. Chociaż wszyscy znali przyczynę jej dziwnego zachowania, postanowili nie zwracać uwagi na dziewczynkę i zaczekać, aż coś zmieni jej negatywne nastawienie, żeby mogła się cieszyć wycieczką do Barcelony.

Zostawiły walizki, przebrały się i ruszyły na zwiedzanie miasta, które zyskało popularność dzięki igrzyskom olimpijskim w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku.

– Baaarrcelooooaaa!!!

Joana wyszła z hotelu, naśladując Montserrat Caballé i Freddiego Mercury’ego w słynnej piosence, która z czasem stała się hymnem Barcelony. Żeby nie zanudzić się na śmierć, Gustavo zaproponował, że za kilka dodatkowych euro może oprowadzić je po mieście. Julianne przystała na jego ofertę, pod warunkiem że nie będzie ich bombardował informacjami i pozwoli im odwiedzać sklepy, lodziarnie i zaspokajać inne kaprysy, na które przyjdzie im ochota.

– Dwa dni to niewiele, więc... wybierz i pokaż nam to, co najładniejsze!

Niełatwo było dokonać selekcji, a tym bardziej sprostać tym życzeniom: mało chodzenia, czas wolny, rozrywka, a przede wszystkim... zakupy! Julianne była zachwycona, że wreszcie jest w miejscu, gdzie może dać upust swojej kompulsywności. Gala jednak nie zamierzała pozwolić, żeby te dni wypełniły się mało ważnymi rzeczami.

– Żadnych zakupów, słyszysz? Albo zabiorę dziewczynki ze sobą...

Julianne spojrzała na córkę, próbując odnaleźć w niej szczyptę własnych genów; z każdym dniem była coraz bardziej przekonana, że tych kilka, które po niej odziedziczyła, rozpadło się z upływem lat. Niechętnie, ale przystała na jej warunki; nie chciała zaczynać zwiedzania w bojowym nastroju, liczyła jednak na jakiś kompromis, satysfakcjonujący wszystkich. Nie znosiła zwiedzania zabytków, wielogodzinnego chodzenia w słońcu, oglądania ruin czy starych obrazów. Nie podobała jej się ta kultura, nie rozumiała jej, wyznawała kult tego, co nowe i dostępne dzięki prostemu przesunięciu karty bankowej.

Gustavo wybrał drogę pośrednią: postanowił pokazać im gotycką część miasta i starą dzielnicę La Ribera, znaną jako Borne, miejsce pełne magicznych zakątków owianych legendami, idealne na spacer, poznanie miejscowej kultury i zaspokojenie potrzeb konsumpcjonistycznych.

Zaczęli zwiedzanie od starej hali targowej Borne, żelaznego kolosa w opłakanym stanie, tylko częściowo odrestaurowanego, bo władze miasta nie mogły się zdecydować, co zrobić, po tym jak pod ziemią odkryto wspaniałe rzymskie ruiny.

– Rzymianie nazwali to miasto Barcino, wiecie?

Joana urozmaicała zwiedzanie informacjami o dawnej stolicy Hrabstwa Barcelony, którą przyjezdni ochrztili Can Fanga. Adele rozśmieszyło, że tak nowoczesne miasto nazywa się „domem z błota”. Joana nie wiedziała, skąd wzięło się to określenie, wyjaśnił im to dopiero Gustavo.

– Pod koniec dziewiętnastego wieku w Eixample, znanej dzielnicy Barcelony, zaczął się proces urbanizacji. Roboty prowadzono na tak ogromną skalę, że po deszczu place budowy zamieniały się w prawdziwe grzęzawiska. Kiedy mieszkańcy wsi, którzy przyjeżdżali do miasta w sprawach urzędowych, wracali do domów z zabłoconymi butami, wszyscy wiedzieli, że byli w Barcelonie. Can Fanga!

Wszystkie słuchały z uwagą ciekawostek i anegdotek, które Gustavo opowiadał im w wąskich brukowanych uliczkach, w tym zakątku miasta doskonale łączącym historię z nowoczesnością. Julianne podobały się małe sklepiki, perełki ukryte między murami, pełne skarbów od nowych, nieznanych projektantów. W piątkę usiadły na jednej z kamiennych ławek przy deptaku Borne, a Gustavo przeniósł je do czasów średniowiecza, kiedy w tym miejscu odbywały się turnieje rycerskie, a zaledwie dwa wieki później – egzekucje Świętej Inkwizycji. Kate i Adele nie mogły wyjść ze zdumienia, kiedy zrozumiały, czym była inkwizycja.

– Coś jak Ku-Klux-Klan, tyle że występowali nie przeciwko czarnym, tylko wszystkim tym, którzy nie przestrzegali zasad chrześcijańskich.

Kate szybko przyswajała sobie nowe informacje, za to jej siostra gubiła się w labiryntach własnego umysłu, który skupiał uwagę na szczegółach, a dopiero później zgłębiał całą myśl. To miasto przypominało jej bajkę, straszną albo o książętach i księżniczkach – w zależności od uliczki. Gustavo opowiedział im o dwojakiej naturze tych ulic: były sceną zarówno wielkich historii miłosnych, jak i pojedynków na śmierć i życie oraz zdradzieckich morderstw. Pokazał kamienną głowę, coś w rodzaju maskarona, umieszczoną w górze na rogu jednej z ulic.

– Widzicie ją? Nazywają je Carrassas, były zawieszane na ulicach, na których uprawiano prostytucję, żeby ludzie, w większości analfabeci, potrafili je odnaleźć.

Julianne skarciła Gustava za opowiadanie dziewczynkom o takich nieprzyzwoitych, wulgarnych rzeczach. Wszystkie, nawet Gala, zareagowały śmiechem na ten nagły przypływ pruderii. Julianne nigdy nie była wzorem dobrego zachowania, chociaż kryła się z tym przed światem, jak przystało na jedną z Marlboroughów. Tak naprawdę protestowała dlatego, że zmęczyło ją oglądanie kamieni, a nie pozwalało jej nacieszyć się ofertą cudownych sklepów, które mijali po drodze. Próbowwała się odłączyć od grupy, jednak jej córka obstawała, żeby spędzić ten dzień w gronie rodzinnym. „Niech to diabli!” Nigdy dotychczas tego nie robiły, ale teraz Julianne postanowiła, że zostaną idealną rodziną ze zdjęcia. Bolały ją stopy od chodzenia po brukowanych uliczkach. Jej obcasy nie były niebotyczne, ale wystarczająco wysokie, żeby się potknąć i rąbnąć w głowę.

– W takim razie... kup sobie adidas!

Nie zdołała przekonać córki, żeby zrobiły sobie przerwę i przekąsiły coś w uroczym ogródku przed Muzeum Picassa, mieszczącym się w dawnym pałacyku. Gala chciała dalej

zwiedzać i najwyraźniej zamierzała to robić za wszelką cenę. Julianne nie miała wyjścia, musiała zmienić buty i wbrew własnej woli kupiła sobie te przeklęte adidas. Kate i Joana wybrały sklep i z rozbawieniem patrzyły, jak babcia sięga po najbardziej odblaskowy model. Julianne zawsze decydowała się na skrajne rozwiązania – kupno najjaskrawszych adidasów oznaczało dostosowanie się do najnowszych trendów mody. Wołała to niż nijakość.

Gali brakowało tej pełnej odwagi wyniosłości, dzięki której zwracanie na siebie ogólnej uwagi sprawia przyjemność, a na pewno nie jest powodem do bezustannego uczucia wstydu. Podziwiała postawę matki, to, że nie stosuje się do przyjętych konwenansów. Ona nie posiadała tego daru, zawsze wołała pozostawać niezauważona niż ściągać na siebie uwagę, ocierając się o śmieszność. Ale zaczynała ją ciekawić, jak to jest być po drugiej stronie i mieć świadomość, że wszyscy na ciebie patrzą.

– Odważysz się?

Julianne, rozbawiona, zachęcała córkę, żeby kupiła sobie takie same buty. Gala spojrzała na nią, marszcząc czoło, gotowa podjąć wyzwanie i spacerować po Barcelonie w odblaskowych adidasach, niepasujących do jej stroju ani stylu. Córki z niedowierzaniem patrzyły, jak matka kupuje buty i zakłada je bez zmrużenia oka. Julianne i Gala wyglądały teraz jak duet komików, jednak nie z powodu adidasów, tylko sposobu chodzenia: stawiały stopy tak, żeby wszyscy zobaczyli ich nowe nabytki.

Kontynuowali zwiedzanie, aż dotarli do kościoła Santa María del Mar. Gustavo opowiedział im historię tego pięknego gotyckiego zabytku, świątyni mieszkańców Barcelony, którzy ogromnym wysiłkiem wznosili ją przez kilkadziesiąt lat. Legenda mówi, że wielu ochotników transportowało pieszo ze wzgórza Montjuic ciężkie kamienne bloki, z których wybudowano kościół.

– To mój ulubiony kościół w tym mieście, katedra ludu, wiesz?

Galę interesowała Sagrada Familia, Julianne chciała pochodzić po sklepach przy Paseo de Gracia, a dziewczynki wsiąść w porcie na jeden ze stateczków, które opływały piękne barcelońskie wybrzeże. Joana uwielbiała tę trasę, od dziecka na pożegnanie starego roku odbywała taką wycieczkę. Były ostatnie dni roku dwa tysiące dwunastego, niedługo miała skończyć osiemnaście lat, będzie dorosła i jej marzenie o zamieszkaniu w Nowym Jorku stanie się bliższe realizacji. Kate, która chciała towarzyszyć przyjaciółce podczas tej tradycyjnej wyprawy, poprosiła matkę, żeby zgodziła się na rejs stateczkiem. Julianne nie zносиła takich atrakcji turystycznych, ale nie miała innego wyjścia jak przystać na osobliwą propozycję.

Miasto wydzielało zapach starej soli, który czynił je jeszcze bardziej vintage. Chociaż nie wszystkie ulice były wystarczająco czyste, miały swój urok i aż nadto zakątków, w których można się ukryć nawet przed upływem czasu. Wszystkie zdawały sobie sprawę, że ledwo musnęły naskórek miasta, w dwa dni mogły je poznać bardzo powierzchownie, ale Gala ustaliła już plan działania i trzydziesty pierwszy grudnia miały spędzić w La Mudze. Julianne nie podobało się to rozwiązanie i przy każdej okazji wysuwała alternatywne, bardzo kuszące propozycje, które Gala odrzucała jedna po drugiej.

Uznały, że czas zjeść obiad, spróbować słynnej paelli i pysznych świeżych ryb w jakimś lokalu z widokiem na morze. Gustavo zarezerwował stolik w „El Merendero de la Mari”, restauracji w Port Vell, o skromnej nazwie, ale wybornej kuchni. Ponieważ znajdowała się zaledwie dziesięć minut piechotą od miejsca, w którym teraz byli, mieli czas, żeby zrobić po drodze parę zdjęć i zobaczyć kilka monumentalnych zabytków, takich jak Lonja de Mar, jeden z najbardziej charakterystycznych budynków miasta, symbol postępu społecznego i gospodarczego Barcelony. Jest wspaniały, jeśli chodzi o architekturę, oryginalny z powodu połączenia kwintesencji gotyku z majestatem neoklasycystycznego stylu dodanych później

elementów i skrzydeł. Gustavo okazał się niewyczerpanym źródłem informacji, studnią bez dna pełną wiedzy, co uprzyjemniało spacer i jednoczyło grupę, mimo ciągłego narzekania Julianne. Adele zaczynała się podobać ta wycieczka, czuła, że jej wyobraźnia pracuje na pełnych obrotach dzięki dużej dawce historii zakłętej w starych ścianach budynków, nieobrobionych kamieniach, zniszczonych upływem czasu albo kulami którejs z wojen. Z uwagą słuchała wyjaśnień Gustava, legend o mieście, które podobno przed epoką rzymską należało do Greków i zostało założone przez samego Herkulesa.

Gala skorzystała z okazji, że dziewczynki idą zasłuchane w opowieści szofera, żeby wrócić myślami do ostatniej nocy. Odetchnęła morskim powietrzem, przystanąła, kiedy poczuła muśnięcie bryzy. Rozejrzała się wokoło, była otoczona dziesiątkami turystów, którzy jak one z każdym krokiem coraz bardziej zakochiwali się w tym mieście. Musiała przyznać, że wycieczka okazała się dobrym pomysłem, a także że ich podróż dobiegła końca. Julianne przyglądała się córce, odpoczywając od historycznych dygresji Gustava. Czekwała w milczeniu, aż Gala zacznie mówić o tym, co już rozumiała i co jeszcze zostało jej do przemyślenia.

– Pierwszego stycznia wracamy do domu. Masz to, czego chciałaś!

Gala wyrzuciła to z siebie jednym tchem, nie szukając w oczach matki aprobaty dla podjętej decyzji. Julianne zastanawiała się, czy powinna odpowiedzieć, czy lepiej będzie zachować milczenie. Miała dziwne wrażenie, że wbrew pozorom nie wyszła zwycięsko z tej bitwy. Jej córka ustaliła termin powrotu, jednak Julianne czuła, że to dopiero pierwsza z wielu decyzji, które Gala podejmie.

– Załatwiłaś sprawę spadku?

Nie mogła się powstrzymać przed zadaniem tego pytania, choć nie wiedziała, co chce przez to osiągnąć. Nie znosiła tego miejsca z wielu powodów, ale coś kazało jej żądać sprawiedliwości dla córki, żeby mogła zatrzymać spuściznę po babce i ojcu. Zadrzała, słysząc własne słowa, a jednocześnie poczuła nieznaną dotąd ulgę. Świadomość, że musi to kiedyś zrobić, przez lata zatruwała jej życie.

– Tak, mam, jestem jedyną spadkobierczynią.

Obie kobiety ruszyły dalej, pewnie stąpały po kostce brukowej, obserwując kurz podnoszony przez wiatr, szukały czegoś, na czym mogłyby skupić myśli, żeby dać odpocząć umysłowi. Gala pomyślała o córkach; Julianne szybko zrezygnowała ze starań: jej umysł od dawna nie zaznawał spokoju bez pomocy tabletek.

Cała szóstka patrzyła, jak stateczek oddala się od portu na półtoragodzinną wycieczkę wzdłuż barcelońskiego wybrzeża i śródziemnomorskich plaż. Był wypełniony turystami albo zwykłymi ciekawskimi, którzy jak one zapragnęli opuścić ląd i poczuć kołysanie dziewiczo czystej wody. Gustavo nadal zabawiał dziewczynki swoimi opowieściami; właściwie odczytał kod dorosłych, rozumiał, że matka i córka potrzebują trochę czasu, żeby rozproszyć ciemne chmury, które od dawna wisiały nad ich głowami. Gala i Julianne siedziały na dolnym pokładzie, napawając się widokiem konturów miasta na tle nieba, podczas gdy reszta grupy spacerowała po górnym pokładzie statku. Gala zacisnęła zęby, mocno chwyciła torebkę, żeby poczuć dziennik babci. Odkąd zaczęła go czytać, nie rozstawała się z nim ani na chwilę, ryzykując, że go zgubi albo że jakieś inne wydarzenie uniemożliwi jej dalszą lekturę. Nie mogła przestać myśleć o ojcu, o babci i o tym, jak egoistycznie postąpiła jej matka.

– Nadal nie wiem, po co przyjechałaś.

Julianne dała sobie kilka minut na zastanowienie, zanim odpowiedziała. Miała świadomość, że nadszedł moment, którego przez tyle lat starała się uniknąć. Złość niczym kwas siarkowy rozpuściła usprawiedliwienia, demaskując nieobecności i pretensje. Gala zaczęła bezwiednie wyrzucać z siebie całą nienawiść, całe nagromadzone niezrozumienie dla wybryków



matki, dla braku miłości i czułości z jej strony, dla zadowolenia z porażek córki. Przez ponad dwadzieścia minut wylewała żółć, otwarcie sączyła jad, nie bojąc się, że rozjątrzy stare rany. Dotąd okazywała zrozumienie dla nieszczęść innych, nawet jeśli oznaczało to, że ochlapią ją swoim gównem. Teraz czuła, że doszła do ściany. Nie pamiętała takiego momentu, w którym matka postanowiłaby ją chronić, zamiast ratować własny tyłek. Życzyła jej śmierci tyle samo razy, ile modliła się o jej miłość. Była sfrustrowana, bo nie osiągnęła ani jednego, ani drugiego.

– Mam dość twojej pogardy w imię tego przeklętego nazwiska.

Wyznała, że wstydzi się być jej córką, przynależać do tej rodziny. Marlboroughowie! Chowają głowy w piasek i nie biorą za nic odpowiedzialności. Julianne praktykowała to przez całe życie, unikając mówienia o swojej drugiej połowie, o ojcu Gali, który po prostu pokochał kobietę niezasługującą na jego miłość i którego ta kobieta postanowiła na zawsze pogrzebać. Gala nie przestawała mówić, wyrzucała z siebie oskarżenia, prawie nie wpuszczając do płuc tlenu. Julianne odbierała ciosy jak statek lekkie uderzenia fal, nie protestowała, nawet nie sprzeciwiała się wzrokiem. Próbowwała wszystko przyjąć, stłumić, przełknąć, żeby zdusić tę rozmowę, ale jedynie podsycala pasję, która opanowała jej córkę.

– Jak mogłaś przede mną ukrywać, że mam babcię? Jak mogłaś być tak okrutna?

Gala poczuła, że z jej oczu tryskają łzy wściekłości, i próbowała jak najszybciej je osuszyć. Czasami płacz przychodzi nieproszony, towarzysząc poczuciu bezbronności, jakby po to, żeby odrobiną wody rozcieńczyć nadmiar gniewu. Chociaż ze wszystkich sił starała się dalej bombardować Julianne wymówkami, chociaż usiłowała pohamować łkanie, musiała przerwać, powstrzymać wyrzuty, przełknąć ślinę i zaakceptować fakt, że płacze w obecności matki, łamiąc tym samym złożoną sobie obietnicę, że nigdy nie uroni przy niej łzy. Dopiero szloch Gali przebił się przez nieprzepuszczalny pancerz Julianne; powoli odwróciła głowę w stronę córki, jak ktoś, kto dźwiga zbyt duży ciężar winy. W zwolnionym tempie spuściła wzrok i nabrała powietrza. Wolą unikać kontaktu fizycznego, dotyk mógł wywołać odwrotny skutek. Kiedy trzeba było być matką, Julianne traciła całą wyuczoną pewność siebie, nad którą pracowała od dziecka. Westchnęła; nie wiedziała, jak zmierzyć się z tą sytuacją i nie odsłaniać starych ran, które zaogniły się w tych dniach, przypominając o trudnym do zniesienia bólu sprzed lat. Podniosła wzrok i wsłuchana w szloch Gali, wyjrzała przez szybę; pragnęła stąd uciec, ale musiała się pogodzić z myślą, że nie umknie bez rozmowy.

– Zrobiłam to. Odebrałam ci życie, wybór, miejsce, połówkę ciebie samej. Zrobiłam to nie dlatego, że tak chciałam, ale żeby przeżyć, powodowana dumą i żalem. Masz prawo mnie za to nienawidzić, radzę sobie z tym, jak umiem. Straciłam to, co najbardziej kochałam. Moją podporę, mojego sprzymierzeńca, moje plany na życie. Ociekałam żalem, chciałam umrzeć. Minęło prawie trzydzieści pięć lat, a przez cały ten czas każdego wieczoru życzyłam mu dobrej nocy. To takie proste, a zarazem takie trudne. Postanowiłam zapomnieć o twoim ojcu, o moim Romanie, jak gdyby nigdy nie istniał; uznałam, że to jedyny sposób, żebym mogła dalej żyć, ale byłaś jeszcze ty i przypominałaś mi, że to wszystko wydarzyło się naprawdę. Przez lata cię unikałam, naszprycowana tabletkami i alkoholem, odsunęłam się od ciebie, chciałam nawet zapomnieć, że jestem twoją matką. To była największa pomyłka w moim życiu! Co mam ci powiedzieć... W dniu, kiedy umarł Roman, straciłam dwie osoby, które najbardziej kochałam: twojego ojca i ciebie.

Gala przestała płakać, w osłupieniu patrzyła na matkę, która ze wzrokiem zagubionym za szybą, spowiadała się jej z własnych demonów i upiorów. Pierwszy raz poczuła, że Julianne jest szczerą, odarta z próżności, otwarta na wyznania, które niczym sztylety wbijały się wprost w jej wnętrzności. Niełatwo było przyjąć do wiadomości potwierdzenie, że matka próbowała o niej zapomnieć, niełatwo było dalej tam siedzieć, kiedy duma i gniew domagały się, żeby wstała,

przerwała jej w pół słowa, zostawiła ją samą. Chciała to zrobić, ale musiała do końca wysłuchać Julianne, żeby poznać jej historię, historię swojego ojca i swojej babci...

– Twój ojciec był najcudowniejszą istotą, jaką kiedykolwiek poznałam. Zakochał się we mnie, w jednej z Marlboroughów! – a ja – do szaleństwa – w nim... On podróżował po Europie, ja spędzałam z trzema koleżankami wakacje w Paryżu. Tamtego deszczowego popołudnia, kiedy schroniliśmy się w kawiarni na Montmartrze, moje życie zmieniło się na zawsze. Mimo tego, co przeżyłam, co zrobiłam, żeby o nim zapomnieć, nawet mimo tego, że próbowałam wyrzec się własnej córki... nigdy nie byłam w stanie żałować tamtego popołudnia, nigdy nie chciałam wymazać pierwszego razu, kiedy go zobaczyłam, jak wszedł przemoczony do kawiarni, w okularach, które zjechały mu na czubek nosa, ze szklami pokrytymi kroplami wody. Poczulałam wówczas, jak po moim ciele przechodzi dreszcz, od czubka głowy aż do podbrzusza, które zapłonęło, kiedy niechcący skrzyżowały się nasze spojrzenia. Nigdy nie byłam niczego tak pewna. Po tej pierwszej wymianie spojrzeń czułam, że u boku tego mężczyzny chcę spędzić resztę życia. Nic o nim nie wiedziałam, nawet nie słyszałam jego głosu, ale byłam przekonana, że te iskry sypiące się z moich wnętrzności całkowicie odmienią moje życie. Wszystko zaczęło się w tamtym barze, zaczęliśmy rozmawiać, nie mogliśmy oderwać od siebie oczu. Liczyło się tylko to, żeby być razem. Ta podróż okazała się przebudzeniem, początkiem naszego wspólnego życia. Już się nie rozstaliśmy; musiałam być z twoim ojcem. Nikt tego nie rozumiał. Pierwszy cios zadały mi moje koleżanki, drugi – jego rodzina, a dobiła mnie moja. Postanowiliśmy kusić los i choć wszyscy byli przeciwko nam, daliśmy się porwać naszej miłości. Nie pamiętam, jak powiedziałam twojej babci, mojej matce, że jej plan wydania mnie za adwokata z prawniczej rodziny nie wypali, bo moje serce należy do wieśniaka z zapadłej, ubogiej wioski, którą ledwo potrafiłam wskazać na mapie. To, co wydarzyło się później, było nam pisane. Cudowna historia miłosna. On wyrzekł się swojej ziemi, ja bycia Marlborough. Bez trudu stawiliśmy czoło naszym rodzinom, przekonani, że liczy się wyłącznie bycie razem. Nigdy nie byłam niczego bardziej pewna! Stale błędziliśmy w chmurach, naszych planów starczyłoby na siedem wspólnych żyć... Dzień twoich narodzin był najpiękniejszym w całym naszym życiu. Twój ojciec niczego bardziej nie pragnął, niż mieć córkę. Uwielbiał cię, od twojego pierwszego oddechu na tym świecie. Gdy tylko się urodziłaś, wziął cię na ręce i patrząc na mnie jak pijany, z tego nadmiaru szczęścia, wyszeptał twoje imię... „Moja mała Gala”. Jak mogłam przypuszczać, że w wieku trzydziestu pięciu lat umrze, powalony przez zawał serca?

Julianne drżącymi palcami bawiła się chustką, którą trzymała w dłoniach. Wciąż wpatrywała się w jakiś punkt za szybą, grzebiąc w najboleśniejszych wspomnieniach swojego życia, zawstydzona, że powierza je córce. Nie była dumna z decyzji, które podjęła po śmierci Romana, musiało minąć pięć lat, zanim przyjęła do wiadomości to, co się stało. Ale wtedy było już za późno. Gala mieszkała w internacie, a ona nie czuła się zdolna do przezwyciężenia bólu spowodowanego porzuceniem własnej córki. Problem rósł niczym śnieżna kula, a Julianne znów odwróciła się do niego plecami. Zamiast stawić mu czoło, rzuciła się w wir próżności, udawała, że zależy jej wyłącznie na kolekcjonowaniu kochanków, jeśli nie mężów, oraz na otaczaniu się luksusem i uciechami.

– Przykro mi, córciu. Nie byłam szczęśliwa. Nie uszczęśliwiłam ciebie. Nie stanęłam na wysokości zadania. Wiesz, że jesteś strasznie podobna do matki Romana? Twojej babci...

Pierwszy raz odważyła się spojrzeć na córkę. Miała zaczerwienione oczy i zaciśnięte usta, drżała jej broda. Gala, zbita z tropu, popatrzyła na nią z pewnym dystansem. Rzecz dziwna, wyznanie matki jej nie poruszyło, wytrzymała spojrzenie sparaliżowane smutkiem i wyrzutami sumienia. Milczenie bywa czasem dużo bardziej wymowne niż setki słów. Zachowały je przez dłuższą chwilę, w końcu cisza stała się krępująca, ale żadna z nich nie miała odwagi albo nie była

w stanie znaleźć odpowiednich słów, żeby ją przerwać. Co można odpowiedzieć na takie wyznanie! Gala nie potrafiła wybaczyć matce, nie współczuła jej, nie miała potrzeby, żeby ją przytulić i ofiarować jej pojednawcze „kocham cię”. Była małą dziewczynką! Nie wybrała dorastania bez ojca i matki, która ją odtrącała, ani bycia kobietą, która wyczuwa pogardę dla każdej podejmowanej przez siebie decyzji, ani – gdy zdobyła się na odwagę, żeby zostać matką – życia z piętnem braku miłości i przeświadczenia, że nie zasługuje na własne córki.

Milczenie między dwiema kobietami przerwała dopiero Adele, która przytuliła Galę. Dziewczynka rzuciła się na matkę z rozpędu, podekscytowana emocjonującym rejssem. Julianne skorzystała z okazji, żeby ponownie skierować wzrok na morze, Gala zaś chwyciła mocno rączki córki i rozkoszowała się ciepłem jej główki opartej o swoją szyję.

– Wiesz, co to jest *chiringuito*?

– Chiri-co?

– Chi-rin-gui-to.

Dzieci mają dar wyczuwania nieprzyjemnej atmosfery i rozładowania jej w ciągu kilku sekund, wprowadzając radość i niewinność. Gala uśmiechała się z rozczuleniem wywołanym nie tylko niespodziewanym wtargnięciem córki, lecz także jej dziwnym pytaniem. *Chiringuito*? Nigdy nie słyszała tego słowa, ale brzmiało bardzo śmiesznie. Adele wyjaśniła jej, że to bary stojące na plaży. Nazwa wzięła się od *chiringo*, filtrowanej przez skarpetkę kawy, którą na początku XIX wieku dla orzeźwienia zamawiali Kubańczycy. Gustavo sumiennie wypełniał swoje zadanie, opowiedział małej odkrywczynie tysiąc historii, żeby jej wyobraźnia mogła je do woli przetwarzać i wyolbrzymiać.

– Idziesz zobaczyć zachód słońca? Gustavo mówi, że nie możecie go przegapić.

Adele przyszła, żeby zabrać je na odkryty pokład, skąd można było podziwiać słońce chowające się za horyzont morza i nieba. Julianne postanowiła zostać na dole, ale zachęciła córkę, żeby zaczerpnęła słonego powietrza. Adele i Gala wyszły bez zastanowienia, zostawiając babcię w czerwonych przeblyskach światła, żeby mogła dojść do siebie.

Kate powitała je szerokim uśmiechem, czuła się szczęśliwa w towarzystwie siostry, przyjaciółki i matki. Nieobecność babci i spojrzenie Gali mówiły wyraźnie, że na dole nie poszło im zbyt dobrze. Postanowiła o nic nie pytać, zignorowała sytuację i objęła matkę, żeby ukryć się przed zimnem i przenikliwą wilgocią oraz przekazać jej, jak bardzo ją kocha. Wszystkie cztery zbiły się w stadko, tworząc coś na kształt indiańskiego szałas, i podziwiały zachód słońca. Gustavo dalej sypał ciekawostkami o magicznym mieście, które rysowało się na tle nieba. Wskazał palcem wierzchołki kościoła Sagrada Familia, wyrastające ponad sąsiednie budynki. Gala, podekscytowana, słuchała opowieści przewodnika o osobliwościach tej niedokończonej budowli, zaprojektowanej przez geniusza Antonia Gaudiego. Joana zatonęła w myślach, wrzucała do morza życzenia, swoje marzenia na nowy dwa tysiące trzynasty rok, który za chwilę miał nadejść, i z końcem starego pozbywała się wszystkiego, czego nie chciała drugi raz przeżyć. Kate objęła przyjaciółkę i spoglądała na nią w milczeniu, szanując tę chwilę prywatności. Lubiła Joannę, jej silną osobowość i jej własny świat. Ona także czuła się wyjątkowa, a przy Joannie nauczyła się szacunku do samej siebie i radości z bycia inną niż wszyscy.

Rejs stateczkiem wprowadził je wszystkie – oprócz babci – w stan uniesienia. Gustavo został bohaterem tej przygody, były mu wdzięczne, że podzielił się z nimi tajemnicami Barcelony. Gala zaproponowała, żeby razem zjedli kolację, ale on odrzucił zaproszenie; wołał przemocować w pensjonacie i porozmawiać przez telefon z rodziną. Zostawił je w hotelu „W”, miały zaledwie dziesięć minut, żeby przygotować się do zabiegów upiększających. Adele i Gala wybrały spa, a Julianne, Kate i Joana – manikiur i pedikiur. Były gotowe, żeby kontynuować przygodę i pofolgować własnym zmysłom.

Zjadły kolację w imponującej restauracji hotelowej z widokiem na morze. Gala zamieniła z matką zaledwie kilka słów. Julianne prawie się nie uśmiechała. Zaproponowała jednak, żeby rano pospacerowały po Paseo de Gracia i oddały się szaleństwu zakupów. Dziewczynki były zachwycone tym planem, a Gala zapytała tylko, czy może w tym czasie zwiedzić kościół Sagrada Familia. Julianne zgodziła się zająć dziewczynkami, z pomocą Gustava. Gala rzuciła jej pełne wdzięczności spojrzenie, pierwsze od wielu godzin, z którego emanowała czułość.

Wcześniej wróciły do swoich pokoi, aby wypocząć i dobrze wykorzystać następny dzień. Dla Julianne i Gali był to tylko pretekst. Miały do przemyślenia to, co zostało powiedziane, ale też to, czego nie dało się wyrazić słowami. Każda z nich musiała zmierzyć się z własnymi demonami, nawet tocząc pianę z ust, jeśli miałyby to jej pomóc w odzyskaniu równowagi.

Julianne od razu poszła do łóżka. Przez ponad dwadzieścia minut leżała zwinięta w kłębek. Upływ czasu daje wprawdzie doświadczenie i pozwala spojrzeć na wszystko z odpowiedniej perspektywy, ale to za mało, żeby stawić czoło demonom przeszłości. Jej ciałem zaczęły wstrząsać lekkie drgawki, które pod wpływem nagromadzonego bólu szybko zamieniły się w konwulsje. Krzyknęła, wydała z siebie ryk, ten, który trzydzieści pięć lat temu stłumiła ze wstydu, złości i dumy. Nie wybaczyła sobie tego, nie wybaczyła Romanowi, że tak wcześniej ją zostawił. Nie taki był plan, pogodzenie się z tym zajęło jej całe życie. Rozkleiła się; leżąc na łóżku w luksusowym hotelu, dogorywała przytłoczona wyrzutami sumienia, że na tak długo zamknęła oczy i serce.

Poczuła obecność Romana. Płacz ustąpił miejsca obłąkańczemu uśmiechowi, jaki wzbudziła w niej myśl, że oto wierzy we własne majaki, że oszalała, bo widzi zmarłego męża. Odważyła się na niego spojrzeć, siedział uśmiechnięty w hotelowym fotelu. Był tak samo młody jak wtedy, gdy odszedł, miał w oczach ten sam błysk co zawsze, gdy na nią patrzył. Spróbowała opanować dreszcze wstrząsające ciałem, postanowiła z nim porozmawiać i tonąc w oceanie łez, błagać go o wybaczenie, że nie sprostała wyzwaniu. Że uczyniła z egoizmu swój sztandar, nawet w relacjach z własną córką. Przeprosiła go, że opuściła tyle wydarzeń w życiu Gali, za nieobecność fizyczną i duchową; za to, że jej zazdrościła, że odsunęła ją od Amelii, że nie opowiadała o ojcu, że ignorowała La Mugę, wreszcie że opuściła córkę i osądzała każdy jej krok. Łzy nie ukoili Julianne, zasnęła ze ściśniętym sercem, nie mogąc powstrzymać szaleńczej kanonady wyrzutów sumienia.

Kilka metrów dalej jej córka wyobrażała sobie, jak by to było, gdyby miała inne dzieciństwo. Bezsukutecznie próbowała usprawiedliwić matkę i szukała dla niej wybaczenia. Zasnęła, sfrustrowana, że nie może znaleźć pocieszenia, nie może wracać do wspomnień bez poczucia, że została porzucona. Zasnęła, przyrzekając sobie, że wreszcie zrobi z tym porządek, przynębiona, bo nie znalazła w swoim sercu nic poza dobrymi intencjami i obietnicami wybaczenia.

Dawno nie zrobiła sobie wolnego od obowiązków i dziewczynek. Była lekko oszołomiona, bo wydarzenia ostatnich dni nieuchronnie prowadziły do wydobywania na powierzchnię najbardziej zabagnionych spraw. W życiu każdego człowieka są takie błotniste tereny, na których nie chcemy więcej postawić stopy i o których wolimy zapomnieć; ale tak jak pamięć, również zapomnienie bywa zdradzieckie, może nam przypomnieć o pewnych sprawach, kiedy najmniej się tego spodziewamy.

Gala była zbyt zamyślona i otępiła z braku snu, żeby oglądać miasto przez szybę taksówki. Takiego samego koloru jak nowojorskie, czarno-żółtej. Podobnej do taksówek w jej mieście. Nie tęskniła za Nowym Jorkiem, za jego gwarem, za szalonym tempem życia, za restauracjami... Zdała sobie sprawę, że nie potrafi tęsknić ani pragnąć, że przestała doświadczać emocji, była w stanie jedynie oddychać i gubić się w myślach. Wiedziała, że powinna zadzwonić

do Fredericka, ale postanowiła zrobić to później, chciała jeszcze doświadczyć wolności, pobyc wśród obcych ludzi, dopóki nie poczuje, że jest maleńką cząsteczką ludzkości. Dopiero wtedy będzie w stanie spojrzeć na wszystko spokojnie i oczyścić głowę pełną zasupłanych myśli.

Wysiadła z taksówki tuż przed imponującym kościołem Sagrada Familia. Popatrzyła w niebo, na wybujałą świątynię i jej osiem wież, wskazujących drogę do Boga. Nie była wierząca, ale ta niedokończona majestatyczność, ta perła architektury rozjaśniła jej umysł. Piękno może przyćmić wszystko w ułamku sekundy, nie zostawiając miejsca na złe myśli. Zrozumiała, dlaczego świątynia ma w nazwie słowo „sagrada” – święta, i obiecała sobie, że da się porwać energii płynącej z tej bazyliki, potężnej, choć niedokończonej. Przed wejściem stała długa kolejka zapowiadająca ponad dwie godziny czekania. Postanowiła poszukać schronienia w pobliskim parku i tam zdecydować, czy zwiedzi świątynię, czy też tylko będzie podziwiać ją z zewnątrz. Nie zwykła odwiedzać kościołów ani oddawać nikomu czci. Nie wiedziała też, czy czuje się na siłach, żeby niemal ocierać się o turystów, pstrykających automatycznie zdjęcia, ani czy jej umysł będzie w stanie skupić się na historii symbolu tego miasta.

Nie chciała się spieszyć, trudno jej było zebrać myśli. W takim stanie wolała być na świeżym powietrzu, postanowiła pospacerować, aż trafi na miejsce, z którego będzie mogła podziwiać świętą budowlę, wznoszącą się wysoko nad ziemię. Zajął jej to sporo czasu, bo w parku także było wielu turystów, przelotnych kochanków i samotnych staruszków. Usiadła naprzeciwko niewielkiego stawu pełnego swawolących kaczek, przywykłych do towarzystwa ludzi szukających odpoczynku. Dzień był zimny, ale bezchmurny, oślepiające słońce hojnie i sprawiedliwie dzieliło się swoim ciepłem. Gala usiadła obok dwudziestolatki z kolczykiem w nosie i słuchawkami na uszach, która żuła gumę i rytmicznie poruszała prawą stopą. Dziewczyna patrzyła przed siebie, nie miała nic przeciwko temu, żeby dzielić z kimś ławkę, ale wyraźnie sygnalizowała, że nie chce, aby jej przeszkadzano. Gala przyglądała się nieznajomej dłużej, niż wypadało; jej mózg pracował wolniej niż zwykle, a poza tym przez moment zapragnęła mieć też dwadzieścia lat. Dziewczyna zmieniła pozycję i cicho westchnęła, dając do zrozumienia, że zaczyna ją krępować rentgenowski wzrok Gali. Chwilę później zapaliła papierosa, żeby powstrzymać się przed posłaniem do diabła towarzyszy z parku. Zaciągnęła się trzy razy, a ponieważ wciąż czuła na sobie wzrok Gali, zareagowała najbardziej brutalnie, jak potrafiła, i czar prysł.

– Masz jakiś problem? No co? Mogłabyś przestać się na mnie gapić? Co jest?

Gala natychmiast się zaczerwieniła. Nie zdawała sobie sprawy, że narusza czyjąś prywatność, od dłuższej chwili błądziła myślami gdzie indziej, choć jej spojrzenie nadal spoczywało na dziewczynie. Oczy nie widziały, po prostu świdrowały obiekt, będąc w stanie śpiączki – patrzyły, nie widząc. Zawstydzona uwagą nieznajomej, wróciła do rzeczywistości, skrzyżowała ręce, skuliła ramiona i zaczęła obserwować kaczki. Przypomniała sobie o dzienniku, uznała, że to doskonały pomysł, dać się porwać słowom babci, kolejny raz poszukać w nich schronienia. Ostrożnie go otworzyła i ze smutkiem odkryła, że niedługo skończy go czytać. Przycisnęła do siebie zeszyt, pragnąc, żeby zapisane stronicie się rozmnożyły, żeby zamienił się w magiczny dziennik bez końca, z długimi opowieściami o babci i całej rodzinie ojca. Miała mnóstwo pytań, zbyt mocno pragnęła wszystko o nich wiedzieć i wciąż odkrywać nowe sprawy, żeby miała tak szybko się z nim rozstać. Zawahała się, czy wrócić do lektury, czy też odłożyć tę przyjemność w czasie, ale pragnienie azylu i towarzystwa słów babci okazało się silniejsze niż obawa przed przedwczesną stratą. Niestety, właśnie do tego ostatniego uczucia była najbardziej przyzwyczajona.

Moja kochana Galu,

czas płynie szybko, rzadko wychodzi nam to na dobre. Nadal staram się nie zapomnieć

ani o Tobie, ani o pisaniu tego nieszczęsnego dziennika, którego, przyznam Ci się, postanowiłam nie czytać, żeby nie czuć się jeszcze większą wariatką, gorszą niż ta, którą, jak sądzę, zrobiły ze mnie życie i upływający czas. Mój biznes, moje źródło utrzymania, moje życie, czyli VellAntic, z dnia na dzień coraz bardziej się rozrasta. Syn Naldy, Amat, stał się pierwszorzędnym pomocnikiem, z biegiem lat awansował na mojego współnika. W zeszłym miesiącu zaproponowałam mu, żebyśmy razem prowadzili interes; koniec końców jestem sama i muszę komuś zostawić ten spadek. A Ty... Zrozum mnie, to nie jest tak, że mniej Cię kocham, ale każdy dzień, który zbliża człowieka do śmierci, czyni go bardziej przyziemnym. Nie żebym nie miała ochoty dotknąć nieba (jakkolwiek miałyoby to nastąpić), ale nie chcę, żeby przepadło to, co zbudowałam za życia, jak VellAntic. Amat to dobry chłopak, jak ja kocha stare graty; samotne i milczące z nas dusze, wolimy się komunikować ze zniszczonym meblem niż z ludźmi. Oboje wiemy, czym są bezsenne noce, pragnienie, by wczesne słońce weszło wyżej. Rzadko nawiedzała nas radość, ale niczym dobre drewno znieśliśmy ciosy życia. Oboje nauczyliśmy się doceniać wartość odcisków na dłoniach, rozcięć, małych pęknięć i drzazg, które wbijają się w skórę... To wspaniały człowiek, który troszczy się o innych, więc niemal nie zostaje mu czasu dla siebie. Jego życie, tak jak moje, jest pozbawione tego, co na ziemi najcenniejsze: miłości. Straciliśmy ją z różnych powodów i choć nasze drogi bardzo się od siebie różnią, oboje postanowiliśmy przestać kochać, bo nie byliśmy kochani. Oboje pomyliliśmy się w obliczeniach, bo nikt nie jest w stanie kontrolować uczuć innych. Od roku spotyka się z dziewczyną z okolicy, Susaną, która jak on ceni tę ziemię i nie cierpi miasta. Ona pragnie wziąć ślub i założyć rodzinę, ale Amatowi nie w głowie ani miłość, ani dzieci. Chociaż moim zdaniem to dobra dziewczyna, nie mogę na niego naciskać – samotność nie jest wyborem, ale potrzebą. Czy jesteśmy zmuszeni, żeby prowadzić życie rodzinne?

Zaczynam się robić stara albo może postrzegam obecny świat jako mniej plemienny, a bardziej indywidualny. Zanika wspólnota, wy, młodzi, rzadko używacie czasownika „współpracować”, wybieracie natychmiastowe, nietrwałe przyjemności. To nie jest zarzut; gdybym była dzieckiem tych czasów, pewnie cieszyłabym się nimi jak wy.

W La Mudze zaczyna brakować młodych ludzi, wiesz? Jest ich mało, jeszcze mniej dzieci, za to wielu dziadków. Młodzi nie mają obowiązku tu zostawać, ale muszą szanować tę ziemię, która ich przyjęła, nie powinni mówić o niej czy wspominać ją z pogardą. Nowoczesność do nas nie dotarła, mam nadzieję, że minie dużo czasu, zanim się tu pojawi. Nie zrozum mnie źle, po prostu myślę, że któregoś dnia La Muga stanie się schronieniem dla ludzi pragnących żyć bez absorbującej technologii, która coraz bardziej mąci nasze umysły.

Możliwe, że zostałam informatyczką albo całymi dniami pracujesz przy komputerze... Nie zamierzam tego krytykować, ale boję się, że te stworki (tak nazywam komputery) zawładną duszami ludzi. To pewnie zwykle wymysły staruszki o oczach zmęczonych obserwowaniem, jak radykalnie zmieniło się życie w tak krótkim czasie.

Nalda jest tym zachwycona i widzi w rozwoju technologii same zalety. Moja głowa za nią nie nadaża i wyznam Ci, że nawet się nie stara. Uwierzysz, że któregoś dnia oznajmiła mi, że może zlokalizować Cię przez internet? Na pewno wiesz, jak to zrobiła. Powiedziała, że wyszłaś za chirurga plastycznego, Fredericka Donovana. Piszę to, bo zanotowałam jego nazwisko, żeby nie zapomnieć. W pewnym wieku głowa zaczyna pracować w swoim własnym rytmie, nie takim, jak byś chciała.

Moja kochana Wnusi... Wyszłaś za męża! Ucieszyłam się na tę wiadomość, choć nadal nie ufam informacjom, które Nalda wydobywa z tych stworków. Powiedziała mi, że spróbuje znaleźć Twoje zdjęcie. Uda jej się? Nie przeczę, że bardzo bym chciała, żeby je zdobyła; byłabym wzruszona, gdybym mogła Cię zobaczyć jako dorosłą kobietę; patrząc na to zdjęcie,

będę Ci życzyć tyle szczęścia, ile może dać Ci świat.

Robiłam to przez wszystkie te lata, mając w głowie obraz pięcioletniej dziewczynki, którą widziałam po pogrzebie jej ojca. Chciałabym zobaczyć, jak wyrosłaś i kim się stałaś. Twoja matka... jestem przekonana, że była dobrą matką, przynajmniej na tyle, na ile mogła. Ja nie będę jej osądzać... Na pewno jest z Ciebie dumna, tak jak ja, choć nie wiem nic o Twoim życiu. Czasami, kiedy o Tobie mówię, Nalda spogląda na mnie, jakby chciała się upewnić, że nie opuścił mnie rozum. Na szczęście albo na nieszczęście więcej we mnie zdrowego rozsądku niż szaleństwa, choć są takie chwile, że trochę obłędu dobrze by mi zrobiło.

Zatem wyszłaś za mąż? Jesteś szczęśliwa? Jesteś zakochana w tym chirurgu? Czasami śni mi się, że zadaję Ci te pytania, a Ty mi na nie odpowiadasz. Możliwość rozmowy z Tobą jest jedną z rzeczy, o które najbardziej błagałam tego z góry, ale najwyraźniej woli spełniać życzenia innych. Nie winię go za to, dalej proszę, żeby pozwolił mi kiedyś z Tobą porozmawiać, a nuż któregoś dnia ustąpi i się zgodzi.

Wyobrażam sobie, że jesteś szczęśliwa. Nie wiem, czy pragniesz założyć rodzinę, to bardzo osobista decyzja, przed którą ja nigdy nie stanęłam. Urodziłam Twojego ojca w zbyt młodym wieku, żeby marzyć o rodzinie. Gdybym mogła z Tobą porozmawiać, poradziłabym Ci jedynie, żebyś podchodziła do życia ze spokojem i przemyśliwała każdą ważną decyzję. Dziecko to zobowiązanie na całe życie, kiedyś był nim też ślub, ale obecne czasy swobodniej podchodzą do kwestii małżeństwa. Na pewno nie powinnaś niczego robić wbrew sobie, na koniec będziesz musiała odpowiedzieć wyłącznie przed samą sobą i uwierz mi, jeśli pozostaniesz sobie wierna, ta rozmowa będzie dużo przyjemniejsza.

Gala siedziała, poruszona słowami babci. Rozczulona, uśmiechnęła się do zeszytu, obserwowana ukradkiem przez towarzyszkę z ławki, która próbowała odgadnąć, co czyta. Spędziła cały rano na lekturze dziennika, wygrzewaniu się w promieniach słońca i oglądaniu kościoła Sagrada Familia. Ostatecznie zrezygnowała ze stania w kolejce i zwiedzania jego wnętrza – na pewno by ją poruszyło, ale w ostatnich dniach i tak miała za dużo wrażeń.

Kilka kilometrów od miejsca, w którym siedziała Gala, Kate patrzyła, jak babcia mierzy okulary przeciwsłoneczne od Prady, a Joana zakochuje się w turkusowej marynarce, która wysyłała jej z wieszaka sygnały: „gdybyś tak mnie kupiła... razem tworzyłybyśmy cudowny tandem”. Wszyscy byli tego zdania, poza etykietką z ceną „cudownego tandemu”. Widząc, jak bardzo jest nieosiągalna, Joana niemal zemdląła; Kate przytuliła przyjaciółkę i szepnęła jej do ucha, że kiedyś będzie mogła kupić sobie trzydzieści takich marynarek. Ale chęć zaspokojenia kaprysu była tak wielka, że słowa te nie dały Joanie pocieszenia. Chociaż wierzyła, że stanie się tak, jak mówi Kate, w tym momencie czuła złość, że nie odniosła sukcesu wcześniej, żeby teraz móc sobie kupić to turkusowe чудо. Adele też założyła okulary, ale o trzy rozmiary za duże, i przedrzeźniała babcię, robiąc do niej dziubki w lustrze. Julianne była w tym mistrzynią, Adele zaś śmieszyło bycie czy raczej udawanie bycia sexy. Ekspedientki nie miały nic przeciwko temu, żeby dziewczynka bawiła się okularami, miały wprawę w odróżnianiu na kilometr KLIENTÓW od klientów, a za Julianne Marlborough w każdym miejscu świata unosił się doskonale wyczuwalny zapach KLIENTKI. Dziewczynki obeszyły sklep, oglądając ze wszystkich stron każdą perełkę kolekcji, ale na tym się skończyło – dużo oglądania, żadnych zakupów. Wyszły od Prady, żeby wejść do następnego ekskluzywnego sklepu, jednego z wielu, jakie zdobią Paseo de Gracia, Złotą Miłą Barcelony, gdzie bogacze wyciągają kartę i realizują swoje marzenia.

Julianne siliła się, żeby udawać, że jest sobą, ale tego ranka nie miała ochoty na śmiech, bez troskę ani zakupy. Była wdzięczna Gustawowi, że wyręcza ją podczas spaceru swoimi opowieściami o magicznej Barcelonie, które jej ani trochę nie obchodziły, za to bardzo interesowały dziewczynki. Nie mogła przezwyciężyć szalonego uczucia, że na każdym rogu

widzi Romana. Szła, złana zimnym potem, przyspieszył jej puls na myśl, że obudziła ducha swojego męża. Nigdy wcześniej niczego takiego nie doświadczyła, nigdy nie wierzyła w zjawiska paranormalne, jej umysł nie był przygotowany na objawienia maryjne ani żadne inne. Czyżby w końcu rozum postanowił ją opuścić? Zaczynało jej brakować pewności siebie, znajdowała się w stanie podobnym do delirium, oderwana od rzeczywistości na nieokreślonej długości chwile. Kate, podobnie jak Gustavo, od jakiegoś czasu wyczuwała, że z babcią jest coś nie tak, ale wolała ją poobserwować, zamiast zapytać wprost. Julianne potrafiła pokazać pazurki, zwłaszcza gdy chodziło o sprawy związane z utratą sił i starzeniem.

– Chyba nie jest przyzwyczajona do chodzenia, prawda?

Wyjaśnienie przyjaciółki nie przekonało Kate, dalej obserwowała babcię i jej dziwne zachowanie. Adele jako jedyna szła z zadartą głową, podziwiając osobliwe budynki przy Paseo de Gracia. W kółko powtarzała w myślach słowo „modernizm”, określające styl, który sprawiał, że domy ze swoimi zaokrąglonymi ścianami i balkonami o żelaznych balustradach naśladujących gałęzie, liście i kwiaty przypominały przyrodę.

Julianne usiadła na jednej ze słynnych latarni-ławek, wystraszona, przekonana, że obok niej jest Román. Zaczynała źle się czuć, dalsze ignorowanie ducha, który chodzi za nią jak cień, było nie do zniesienia. Nie miała odwagi uważnie mu się przyjrzeć, ani nawet zdjąć okularów, żeby pokazać mu oczy opuchnięte od płaczu. Nie była w stanie zrobić ani kroku dalej, zaczynało brakować jej tchu. Od lat nie przytrafiały jej się napady lęku, zapomniała, jak stawić im czoło. Chwyciła się mocno białej ławki wyłożonej fragmentami płytek ceramicznych, szukając w sobie resztek sił, żeby nie stracić nad sobą panowania, i to przy ludziach, jednak nerwy ją zawiodły i zanosła się niepohamowanym szlochem.

Kate pierwsza zauważyła, że nie ma przy nich babci. Wszyscy byli wystraszeni jej zniknięciem. Otaczały ich dziesiątki przechodniów, każdy poruszał się inaczej, miał własne myśli, własne upiory z przeszłości i własną teraźniejszość. Gustavo pierwszy dostrzegł plecy Julianne, siedziała przygarbiona, kryjąc twarz w dłoniach. Wskazał ją dziewczynkom, ale sam nie miał odwagi podejść, czuł, że przyłapał ją podczas chwili słabości, której nie powinno się zakłócać. Adele chciała podbiec do babci ze swoim promiennym uśmiechem na ustach, ale odwiodły ją od tego powaga i niepokój malujące się na twarzy siostry. We czwórkę w milczeniu obserwowali kruchą, drżącą postać, która jeszcze kilka minut wcześniej jawiła im się jako potężna bogini.

Julianne uległa własnym lękom z przeszłości, które spotęgowane przeżywaną udręką, wróciły teraz z jeszcze większą siłą. Zapomniała o dobrych manierach, wykorzystwała swoją anonimowość, żeby bez skrępowania się wypłakać. Nie miała odwagi odsunąć dłoni od twarzy, bała się, że znów zobaczy Romana albo jego ducha. Nie miała odwagi odsunąć dłoni od twarzy, żeby się przekonać, że to były jedynie halucynacje starej kobiety dręczonej wyrzutami sumienia. Jedną dłoń oderwała się bezwiednie od twarzy i opadła na kamienną ławkę. Lekko postukując palcami, przesunęła się w poszukiwaniu innej dłoni – dłoni ukochanego, żeby znowu móc poczuć jego dotyk, nawet jeśli miałyby to być tylko jej urojenia. Nie otworzyła oczu, pozwoliła, żeby wszystkim zajęła się jej wyobraźnia... Pamiętała te ławki, to miejsce, gdzie Román poprosił, żeby za niego wyszła, i obiecał jej wieczną miłość. Przypomniała sobie, roniąc łzy, jak siedzieli tu, aż zapadła noc, jak całowali się w świetle tych latarni. Wspomnienie odżyło, znów poczuła to samo łaskotanie co wtedy, kiedy Román odszukał jej dłoń i wsunął na palec obrączkę: najcenniejszy pierścienek Julianne, który trzymała w swoim sejfie w Miami. Jubiler wyceniłby go zaledwie na dwadzieścia dolarów, jednak ona bez zastanowienia oddałaby za niego życie. Wydawało jej się, że te wspomnienia trwają całą wieczność, podczas gdy dla reszty minęło niespełna pół godziny.



Kate zdecydowała, że sama pospieszy na ratunek Julianne, a później razem odszukają resztę. Jako starsza wnuczka powinna wspierać babcię w tym, co przeżywa, cokolwiek to było. Podeszła cicho do ławki. Widok pogrążonej w bólu Julianne początkowo ją wystraszył, ale postanowiła jej nie przeszkadzać, nawet nie zdradziła swojej obecności. Usiadła przy babci i w milczeniu dotrzymywała jej towarzystwa, obserwowała, jak nieznacznie przesuwając palce prawej dłoni i płacze, korzystając z intymności, jaką zapewniały jej zamknięte oczy. Kate nie mogła zrozumieć, co takiego przytrafiło się babci, pierwszy raz widziała, żeby okazywała jakieś uczucie inne niż brak uczuć. Nie osądzała jej jednak, patrzyła na nią, próbowała odkryć tajemniczy powód jej strapienia, zastanawiała się, czy dorastanie polega na kumulowaniu łez i udawaniu szczęścia. Kate była zbyt młoda, żeby pojąć ogrom katuszy, jakie przeżywa Julianne, nie rozumiała świata, na razie buntowała się przeciwko wszystkiemu, co mogło sprawić jej ból albo zmącić jasność umysłu. Czuła się bezpiecznie w otoczeniu dobra, a sprzeciwiała temu wszystkiemu, co nie zostało pomyślane, żeby je czynić.

Dobro i zło są połączone cienką nicią, tą samą, która utrzymuje nas przy życiu, a mimo to staramy się za wszelką cenę nie zauważać jego ciemnej strony, bo budzi w nas strach, stopniowo rozrywa na strzępy i nie ma z niej żadnych korzyści. Społeczeństwo stworzone do czerpania z życia przyjemności nie akceptuje cierpienia, czuje się zażenowane takimi scenami jak ta z udziałem Julianne. Przechodnie na ich widok odwracali głowy, próbując pojąć ten dramat pełen negacji, nieobecności, strat, win, wyrzutów sumienia... ujemnie naładowanych jonów, które ludzie odrzucają i których nie rozumieją, dopóki nie poczują ich działania na własnej skórze. Kate z wyzywającą miną wytrzymała spojrzenie kilku osób, starając się chronić intymność babci i wziąć na siebie milczące oceny nieznanymi. Okrucieństwo nie zna granic ani różnic kulturowych, jak każde uczucie szuka miejsca, w którym mogłoby się zagnieździć.

Nie chciała przeszkodzić babci, ale nie miała też ochoty zostawić jej samej z nieznanym cierpieniem. Oparła plecy o ławkę i czekała cierpliwie, jak wierna strażniczka, aż powróci spokój.

Julianne nie spieszyła się z powrotem z tej podróży zmysłów w przeszłość, dała sobie tyle czasu, ile potrzebowała, żeby otworzyć oczy; musiała zebrać wystarczająco dużo siły, żeby nie oślepiło jej światło. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła, była dłoń spoczywająca tuż przy jej dłoni. Zerknęła w bok, żeby zobaczyć, do kogo ona należy, i niemal podskoczyła na widok starszej wnuczki. Kate nadal śledziła przechodniów nieobecny wzrokiem, jakby rozpięła między nimi a babcią przezroczysty ekran, aby nikt nie ważył się zakłócać jej spokoju. Julianne uśmiechnęła się z wdzięcznością i drżącą ręką musnęła dłoń dziewczynki, żeby przyciągnąć jej uwagę. Kate zrobiła to samo, też dotknęła palców babci, splotła je ze swoimi, wreszcie mocno je połączyły. Dziewczynka objęła Julianne, która wydała jej się kruchą kobietą o spojrzeniu budzącym litość. Przytuliły się jak nigdy wcześniej, bez słowa, nie musiały rozmawiać, żeby przeżywać to, co nie zostało powiedziane.

– *Are you OK, grandma?*[59]

Julianne poczuła ogromne wzruszenie, serce waliło jej w piersi jak młot. Starsza wnuczka już od lat nie nazywała jej „grandma”.

– *Yes, sweetie... It's just... I've missed your grandpa*[60].

Kate spojrzała na babcię, skonsternowana, bo ta pierwszy raz wspomniała o dziadku. Do tej pory nigdy o nim nie mówiła, a tym bardziej się nie przyznawała, że za nim tęskni.

Obie postanowiły uszanować to wyznanie i zostawić szczegóły na później. Kate nie zadawała pytań, słuchała, jak Julianne opowiada, że dziadek poprosił ją o rękę pod jedną z tych latarni i jak po niemal czterdziestu latach wciąż za nim tęskni. Tego dnia Kate zrozumiała wielką moc nieobecności i to, że zapomnienie bywa równie kapryśne jak pamięć. Babcia Julianne

udowodniła jej to tego samego popołudnia, kiedy postanowiła pokazać światu i rodzinie własne duchy, lęki i niepewność. Słabość w pierwszej chwili zaskakuje, ale potem może stać się sojuszniczką nieodzowną, żeby móc znosić ciosy zadawane przez życie.

Ostatnia kolacja przed powrotem do La Mugi przypominała Ostatnią Wieczerzę, tyle że w pobliżu nie kręcił się żaden Judasz, a przy stole siedziało mniej osób.

Gustavo zgodził się zjeść z nimi. Był wdzięczny za to, jak go potraktowały i jak hojnie wynagrodziły. Julianne kupiła prezenty dla jego córek i żony w podziękowaniu za to, że pracował w dni, które zwykle poświęca się rodzinie.

– Mam obowiązek przyjmować pracę, kiedy się trafia, wie pani?

Julianne nigdy w życiu nie pracowała, niewiele wiedziała o obowiązkach, za to dużo o nieobecnościach, zresztą tak jak jej córka Gala. Spędziły osobno zbyt wiele świąt Bożego Narodzenia, w otoczeniu obcych ludzi, daleko od siebie i od reszty rodziny.

Najstarsza z pań Marlborough zarezerwowała po konsultacji z Gustavem stół w restauracji hotelu „Catalunya”, mogącej się poszczycić wspaniałym widokiem na panoramę miasta i dobrą kuchnią. Ani Julianne, ani Gala nie miały ochoty na kolację daleko od hotelu i gdyby nie dziewczynki i Gustavo, ich honorowy gość, przekąsiłyby cokolwiek w pokoju, żeby nie musieć rozmawiać. Obie wyruszyły do restauracji w kiepskich nastrojach, ale piękny widok miasta, rysującego się na tle nieba, przywrócił je do życia. Czasami najgorsze spotkania zamieniają się w wartę zapamiętania perełki. Ten wieczór był jedną z nich. Gustavo i Joana uprzyjemniali go, prześcigając się w opowiadaniu zabawnych historyjek z własnego życia. Joana niemal zemdląła z wrażenia, kiedy Gala zaproponowała jej wspólne wakacje z dziewczynkami na archipelagu Florida Keys. Julianne popatrzyła na córkę, zastanawiając się, czy to rozsądny pomysł. Wymieniły porozumiewawcze spojrzenia, obie wiedziały, że w najbliższych miesiącach wszystko się zmieni i każda złożona teraz obietnica może się okazać tylko zdawkową uwagą, rzuconą dawno temu podczas kolacji.

– A jeśli nie na Florida Keys, to może... spędzicie lato ze mną w Miami, miałabys ochotę?

Joana niemal biegiem okrążyła restaurację, żeby uspokoić emocje rozszalałe z wrażenia. Kate i Adele klaskały z radości, a Gala spojrzała na matkę, wdzięczna, że pomogła jej wybrnąć z trudnej sytuacji, w razie gdyby nie była w stanie dotrzymać obietnicy złożonej dziewczynie.

Zjedli kolację ze smakiem, uśmiechnięci, podziwiając cudowne widoki Barcelony nocą. Gala zdawała sobie sprawę, że powinna powiedzieć, że wracają do domu, poinformować o tym córki, ale nie chciała psuć atmosfery. Drugiego stycznia skończy się ich przygoda i wyruszą do Nowego Jorku. Zostały tylko trzy dni, ledwo wystarczy im czasu na pożegnania... Spojrzała na dziewczynki i podniosła kieliszek, żeby wzniesić toast, zachęcając pozostałych, żeby zrobili to samo.

Adele natychmiast się do niej przyłączyła, reszta poszła w ślady dziewczynki. Wszyscy czekali na toast Gali.

– Chcę podziękować moim córkom, że towarzyszyły mi podczas tej szczególnej podróży. Wiele przeżyliśmy, bawiłyśmy się jak nigdy, ale nadeszła pora, żeby wrócić do domu i do naszego życia. Mamy już bilety, wylatujemy drugiego stycznia.

Zapadła cisza. Nie rozległ się brzdęk szkła. Wszystkie kieliszki trwały nieruchomo w powietrzu, podtrzymując ogólne zdumienie. Julianne jako jedyna stuknęła się z Galą, żeby nie zostawiać córki samej w tej trudnej chwili – jej słowa podziały na zgromadzonych jak kubek zimnej wody. Adele opuściła swój kieliszek, uderzając nim o blat, i ze złością wstała od stołu. Kate bez zastanowienia ruszyła za nią. Joana jako ostatnia odstawiła kieliszek, zaniemówiła, gdy usłyszała tę wiadomość. Tylko Gustavo wypił bez stuknięcia się z Galą, jednym haustem wlał

w siebie przepyszne wino po czterdzieści euro za butelkę. Julianne nie pozwoliła córce pobiec za dziewczynkami, lepiej było zostawić je same, dać im czas na przyswojenie tego, o czym od początku wiedziały – że nadejdzie moment powrotu do domu.

Adele tarzała się po wykładzinie przy windach, ku zdumieniu nowo przybyłych gości. Kate usiadła obok niej i pogłaskała szlochającą dziewczynkę po włosach. Wiedziała, co oznacza dla siostry opuszczenie tego miejsca, porzucenie La Mugi, przyjaciela Marca i prawdopodobnie Bostona; łąk, zabaw z kłaczami, świniami i kurami, domku na drzewie, nocnych seansów filmowych i kominka. Adele nie chciała wyjeżdżać, bo czuła się szczęśliwa na tej ziemi, która pozwalała jej korzystać z upragnionej wolności. Była jeszcze za mała, żeby zrozumieć zobowiązania dorosłych, kierowała się pragnieniami i impulsami, nie mieściło jej się w głowie, że musi wyjechać, chociaż chce zostać; tym bardziej że wiedziała, że może już nigdy tu nie wróci.

Kate wysłuchiwała lamentów siostry. Adele czuła się bezsilna, bo wiedziała, że nie jest panią swojego świata ani swoich decyzji, że musi słuchać dorosłych. Zapragnęła być dorosłą i móc zaprotestować, podrzeć swój bilet, zostać z Markiem i Bostonem w La Mudze. Kate pozwoliła, żeby jej siostrzyczka uwolniła swoje demony, a nawet żeby pomarzyła przez chwilę, że może zbuntować się przeciwko całej sytuacji. Zaczekała, aż się uspokoi, żeby przemówić jej do rozsądku. Przytuliły się, świadome, że mają siebie i że bez względu na wszystko zawsze będą się sobą opiekować.

– Mama sprzeda dom, prawda?

– Myślę, że tak...

– A... Boston?

– Nie wiem...

Z oczu Adele płynęły ciurkiem łzy. W kilka minut zawalił się jej świat, nie rozumiała, jak dorośli mogą na zawsze opuszczać miejsca, bez cienia wątpliwości czy smutku. Ona czuła się zdruzgotana, nie miała pojęcia, jak powiedzieć o tym Marcowi, była pewna, że zrobi mu się bardzo przykro... Nie chciała go zostawiać... A Boston?

– Jeśli Boston tu zostanie, to ja też.

Kate rozumiała siostrę, nie zamierzała się z nią sprzeczać. W tej chwili powinna ją wspierać, dodawać jej sił i smucić się razem z nią z powodu konieczności opuszczenia La Mugi. Była zdziwiona, lekko zaskoczona tym, że sama nie skacze z radości, że nie poczuła się poruszona wiadomością o wyjeździe. Przez większość pobytu chciała wynieść się z tej wiochy, a kiedy nadszedł moment powrotu, czuła, jakby miała porzucić coś, na czym jej bardzo zależy. Minęły zaledwie dwa tygodnie, a wydawało się, że zmieniła nie tylko zdanie, ale nawet sposób myślenia. Pomyślała o Joanie i... Aleksie? Byli jej towarzyszami przygód, jej przyjaciółmi, jedynymi poza Jersey, którzy zaakceptowali ją taką, jaka jest: buntowniczkę o błyskotliwym umyśle na wagę złota. Siedząc obok Adele, Kate zdała sobie sprawę, że ta wiadomość zabolęła także i ją. Była wystarczająco duża, aby zrozumieć, że ten powrót jest ostateczny i że jej matka, choć przez ostatnie dni zachowywała się dziwnie, nie będzie chciała znów przeżywać takiej huśtawki emocjonalnej. Przytuliła siostrę i ukradkiem zaczęła płakać razem z nią. Koniec końców, Kate także odkryła moc przyjaźni w tym zapomnianym zakątku ziemi.

Julianne nie odezwała się słowem przez resztę kolacji. Obserwowała córkę, jej chłód i zdecydowanie, nie tyle nieufnie, ile z rezerwą. Umiała na odległość rozpoznać, kiedy ktoś buduje sobie pancerz, żeby uciec przed tym, co dyktuje mu życie. Nie była do końca przekonana, czy Gala chce na zawsze opuścić tę ziemię, ale wiedziała na pewno, że podjęła tę decyzję, żeby móc się zmierzyć ze swoim życiem. Julianne nie czuła się upoważniona do udzielania córce rad, tym bardziej że ta ją odtrącała i ledwo zaszczycała spojrzeniem. Nie zdała egzaminu jako matka,

kiedy Gala była małą dziewczynką, nikt nie oczekiwał, że stanie się nią, kiedy jej córka będzie miała czterdzieści lat. Dlatego wołała zachować milczenie, nie komentować tej decyzji, pozostać na uboczu, wczuć się w sytuację i poczekać jakiś czas z reakcją.

Powinna zareagować? Nie była tego pewna, ale nie zamierzała pozwolić, żeby jej córka popełniła ten sam błąd co ona, wybierając chowanie głowy w piasek i ucieczkę w zapomnienie.

Kolacja skończyła się wcześniej. Żadna nie miała ochoty na długie siedzenie przy stole, a tym bardziej na seans filmowy w piżamach w pokoju babci, który wcześniej zaplanowały. Gala nie nalegała, choć poświęciłaby się dla córek, jednak ostatecznie to one postanowiły zrezygnować z planów, bo... chciały pójść spać?

Wszystkie zasnęły tej nocy ze ściśniętym sercem, a Julianne na dodatek z Romanem – duchem albo wytworem jej wyobraźni – siedzącym w fotelu i niespuszczającym z niej wzroku. Zmęczenie wzięło jednak w końcu górę nad koszmarem i strachem wywołanym nieustanną obecnością ducha. Noc wchłonęła je i ich błagania o lepsze jutro: gdzie sny spełniają się po pstryknięciu palcami.

Sny... Te słodkie, przyjemne... sny...

## XI

Są takie chwile, miejsca, wiek i dni, kiedy mamy większą świadomość ulotności czasu; kiedy z całą pewnością wiemy, że życie to tylko lekkie westchnienie, podróż bez powrotu, droga prowadząca w jednym kierunku. Zaskakujące jest jednak to, że chociaż zdajemy sobie sprawę z jego przemijalności, przez większość czasu żyjemy z nadzieją, że nic nigdy się nie kończy i że towarzyszy nam wieczność.

Czerwona należała do osób, które nie oglądają się za siebie nawet po to, żeby zaczerpnąć powietrza, ale ostatni dzień roku przeżywała z rzadko odczuwaną nostalgią. Siedziała na bujanym fotelu na ganku swojego domu, spoglądając na horyzont, w za dużej o dwa numery czapce w paski, olbrzymich okularach przeciwsłonecznych i pasującej do całości kurtce puchowej. Wstała z pianiem koguta; Vicente i reszta pracowali w gospodarstwie, a ona bujała się w dyskretnej ciszy, czując na skórze pierwsze promienie słońca ostatniego dnia... dwa tysiące dwunastego roku! Roku, który nadszedł wypełniony apokaliptycznymi zapowiedziami końca ludzkości, świata, a gdyby to było możliwe, także Drogi Mlecznej, i odchodził, nie wypełniwszy katastroficznych przepowiedni. Nalda śmiała się z tych wróżb i gratulowała sobie, że kolejny raz to ona żegna mijający rok, a nie na odwrót. Od dawna była przygotowana na odejście, ale cieszyła się, że może jeszcze przez jakiś czas pobyc na tej ziemi. Lubiała zapach wilgoci, zwierzęcych odchodów, bezwonnej czystości, która usuwa każdy brud z ciała i duszy. Wzięła kilka głębokich oddechów, aż poczuła, że zimne powietrze pali ją od środka; potem dla zabawy wypuszczała z ust parę. Podziękowała za swoje życie, za to, że jej pamięć pozostała nienaruszona, a głowa wciąż jest na swoim miejscu. Na szczęście los obdarzył ją cudowną pamięcią, wydawało się, że z biegiem lat przypomina sobie coraz więcej szczegółów. Pomyślała o swojej przyjaciółce Amelii Xatart, o tym, jak czas niekiedy nagradza, przywracając rzeczom ich właściwe miejsce. Catalina i jej powrót do La Mugi po wygnaniu... Zastanawiała się nad przyjaźnią obu kobiet, nad tym, jak niezdolność wyrażania uczuć powoduje pęknięcia trudne do naprawienia. Nad ludzkimi uprzedzeniami i cierpieniem tych, których one dotyczą. Z biegiem lat Nalda jak inni straciła siły, ale ani krzty z wojowniczką, którą miała w sobie, kobiety walczącej z niesprawiedliwością i oddającej się całym sercem każdej sprawie, z którą choć trochę się identyfikowała. Amelia Xatart należała niemal do rodziny, była jej adoptowaną siostrą, jej najlepszą przyjaciółką. Na samą myśl o niej oczy wciąż zachodziły jej mgłą. Vicente miał rację, mówiąc, że z wiekiem wiotczeją mu nawet gruczoły łzowe. Z nią działo się to samo, cierpiała na nietrzymanie łez. Nieważne, czy z błahego, czy z poważnego powodu, wybuchała płaczem i nie mogła, ani nawet nie chciała go powstrzymać.

Koniec dwa tysiące dwunastego roku był równie pamiętny, co lata, które wspomina się ze względu na dobre wino. La Muga zamknęła krąg rozerwany przez strach, nieporozumienia, urazy, zazdrość i ludzkie zaślepienie. Xatart byłaby zadowolona ze swoich pośmiertnych sukcesów: wróciła Catalina, a Gala otrzymała błogosławieństwo kobiet tej ziemi, nieprzyjaznej dla nieznanomych i tajemniczej. Zgodnie z życzeniem Amelii stała się w końcu jej jedyną spadkobierczynią. Przyjaciółka wyznała Czerwonej, że nie obchodzi jej, co wnuczka postanowi zrobić z odziedziczonym majątkiem; to jest jej życie. Rozumiała, że nic nie wiąże Gali z tą zapadłą wioską o niedomkniętych oknach, w której jest mnóstwo kamieni i pól, za to mało mieszkańców. Nalda pamiętała rozmowę, jaką przeprowadziły zaledwie cztery miesiące wcześniej, zanim Amelia straciła przytomność. Xatart wybrała ją na swoją spowiedniczkę, nie chciała księdza ani innych odwiedzin. Tylko ONE, babcie z Kręgu, nawet Piękna, mogły pożegnać ją z sercem pękającym z żalu. Starość wszystko łągodzi, także cierpienie po czyjejs

śmierci staje się bardziej znośne... Czy dlatego, że samemu stoi się u jej wrót? Przez kilka miesięcy dzień w dzień Czerwona odwiedzała przyjaciółkę, żeby się nią opiekować. Godzinami dokonywały przeglądu własnego życia, wspominały minione lata, bliskich zmarłych oraz żywych, których osierocą. Amelia korzystała z ostatnich dni, żeby dalej śnić i tworzyć idealny scenariusz świata, w którym wnuczka przyjeżdża na jej pogrzeb, zakochuje się w tej ziemi i uznaje ją za swoją. Przyjaciółki lubiły wyobrażać sobie szczęśliwe zakończenie, choć zawsze podejrzewały, że rzeczywistość okaże się dużo bardziej brutalna, bo zawsze taka była dla Amelii. Tymczasem Gala... Gala otworzyła się na nie bardziej, niż oczekiwały, na to miejsce, na staruszki, na ziemię, która wzrusza, bo nigdy nie grzebie do końca swoich zmarłych: tramontana unosi prochy, żeby przypomnieć żywym, skąd pochodzą i do kogo należą.

Telefon bez przerwy dzwonił, Nalda wiedziała, że to Agnès chce z nią porozmawiać o sylwestrowej kolacji; jak co roku, jakby czas stanął w miejscu. Rzykując, że wystraszy Czarodziejkę, postanowiła nie odbierać i jeszcze chwilę się pobujać, nacieszyć wspomnianiem odchodzącego roku. Składała mu skromny hołd, siedząc samotnie na ganku z widokiem na rzekę i dzwonnice, jak zawsze trzydziestego pierwszego grudnia, zanim zacznie się przygotowywać do hucznego świętowania – z wielką ucztą, winogronami i fajerwerkami. Rok dwa tysiące dwunasty miał być inny nawet na odchodnym – czekało ją ogólne żegnanie Amerykanek: Gali, Kate i małej Adele. Nie miała od nich żadnych wiadomości, odkąd wyjechały do Barcelony, spodziewała się ich tego ranka, razem z Julianne.

– Julianne...

Nieoczekiwanie ze strachem wymówiła jej imię. Nigdy nie rozumiała tej kobiety, nawet teraz, kiedy ta zdecydowała się na tę błyskawiczną potajemną podróż. Pojawiła się w La Mudze tylko na chwilę, nie chciała nawet wejść do Can Xatart, postanowiła poszukać schronienia w „Wine Spa” w Pereladzie, jakby okłady z winogron były sposobem na odstraszenie duchów. Cierpkość życia posiada moc przeobrażania ludzi, Nalda o tym wiedziała, ale przewracały jej się wnętrzności na myśl, że mimo upływu lat ta kobieta nadal gardzi tą ziemią, jakby była przeklęta. Co złego oni jej zrobili? Tego ranka obiecała sobie, przez wzgląd na Amelię i na siebie, że przerwie milczenie i powie kilka mocnych słów tej paniusi z Bostonu. Nie miała pojęcia, jak wypadnie ich spotkanie, ale postanowiła wypowiedzieć Julianne wojnę, a kiedy w Czerwonej budziła się wojowniczką, nic nie mogło jej powstrzymać, dopóki nie dopięła swego.

Gala siedziała w salonie z dużym kominkiem, wiekowym dębowym stołem, który zdawał się nie mieć końca, zdjęciami zmarłych i starymi narzędziami rolniczymi zdobitymi ściany. Jej odczucia bardzo różniły się od tych, których doświadczyła w dniu, gdy przyjechała na odczytanie testamentu; wtedy wszystko pachniało jej starzyzną, wyczuwała kurz nagromadzony w kątach. Teraz spoglądała na zmarłych z fotografii i żegnała się z nimi z pewnym żalem. Czekala na Roberta Riudaneu, zaniepokojona tak samo jak pierwszego dnia, choć tym razem z innych powodów. Postanowiła sprzedać własność, pozbyć się tej ziemi, zabrać tylko kilka pamiątek upchniętych w cztery pudła. Riudaneu miał się wszystkim zająć, musiała tylko podpisać umowę, uzgodnić prowizję od sprzedaży i dopełnić biurokratycznych formalności, żeby ściągnąć gotówkę zdeponowaną na kontach bankowych Amelii Xatart. Zegar wskazywał dwunastą dwie. Riudaneu się spóźniał, a Gala czuła, jak zaczynają nią targać wątpliwości. Podjęła decyzję pod wpływem impulsu, bez zastanowienia, obojętnie, z przyczyn praktycznych, przemożnej potrzeby powrotu do domu i zarzucenia marzeń o lepszej przyszłości czy odwadze, która dotąd wstępowała w nią rzadko, a właściwie prawie nigdy. W Barcelonie jeszcze bardziej skurczyła się w sobie; rozmowa z matką jakby stłamsiła jej duszę, straciła resztki odwagi, pokonały ją własne decyzje, od których nie było już odwrotu. A przecież to miejsce stało się dla niej oazą spokoju, schronieniem, które pozwalało marzyć, że życie może być inne. Cennym napędem wyobraźni, kiedy myślała, że nie

ma dla niej miejsca na świecie. „Chyba że na starość...”, powtarzała sobie od kilku godzin, odkąd podjęła decyzję, że nie weźmie na siebie ciężaru zostania spadkobierczynią Amelii Xatart w La Mudze, odkąd odsłuchiwała wiadomości od Fredericka, w których groził, że wszystko jej zabierze, łącznie z córkami, jeśli dalej będzie unikała odpowiedzialności za swoje czyny. Nie winiła go, miał rację, ale ona nie zasługiwała ani na takie traktowanie, ani na wszystko, na co skazywał ją przez lata ich małżeństwa. Powinna wrócić do domu i uporządkować swoje życie... La Muga nie wchodziła w zakres jej realnych planów, była cudowną mrzonką, utopijną nadzieją na zmiany, na życie innym życiem, w zgodzie z ziemią, z naturą, na wsi. Nie chciała się nad tym za bardzo zastanawiać, żeby nie zrobić kroku w tył; musiała jak najszybciej oderwać się od tego miejsca, żeby przestało ją kusić.

Julianne siedziała na ganku, patrząc na winnice Forgasów. Czekala na Teresę, myśląc o córce i o tym, jak ją powstrzymać. Pozbycie się wszystkiego nie wyprostuje jej życia ani nie sprawi, że zapomni o ojcu, babci i potomkach tej ziemi omiatanej wiatrem i błogosławionej przez góry. Wstała gwałtownie, gotowa nie dopuścić do podpisania dokumentów, choćby miała użyć siły... Zanim zdążyła wejść do domu, dostrzegła prawnika, Roberta Riudaneu, który pospiesznie wysiadał z samochodu. Nie знаła go, ale wszyscy prawnicy otoczeni są taką samą aurą.

– Pan Riudaneu?

– Tak, to ja.

Prawnik spojrział na zegarek na lewym nadgarstku, ryzykując, że wypadną mu dziesiątki teczek, które taszczył. Julianne wykorzystała swój urok osobisty zarezerwowany na specjalne okazje, żeby zatrzymać go na dziesięć minut i przekonać, by dał się wciągnąć w spisek. Trzeba chyba cudu, żeby w kilka minut omamić człowieka prawa. Jak przystało na Marlborough, miała doświadczenie w szybkich negocjacjach i odgadywaniu w rekordowym czasie pokus każdej duszy. Przedstawiła się elegancko, po czym odegrała rolę zdesperowanej matki, byłej synowej nieboszczki, zakochanej w tych ziemiach i świadomej, jak bardzo kochała je zmarła. Najpierw odwołała się do uczuć prawnika i jego miłości do tego miejsca, potem, nie zwlekając, zapukała do jego ojcowskiego serduszka, które chce dla swoich dzieci tego, co najlepsze, a na końcu otworzyła książeczkę czekową i ustaliła cenę sześciomiesięcznej zwłoki, w czasie której ani gram tej ziemi nie zostanie wystawiony na sprzedaż, nie mówiąc już o pokazywaniu Can Xatart obcym.

– Przecież nie takie było życzenie pani córki.

Robert Riudaneu wypowiedział to banalne zdanie prawie szeptem, nie odrywając oczu od czeku wystawionego na okaziciela, na którym Julianne wpisała smakowite dla niego zera. Wręczyła mu go, żeby przypieczętować umowę. Prawnik spoglądał na Amerykankę przez kilka sekund, próbując zwalczyć pokusę, ale chwilę później przyjął czek i uściśnął jej dłoń.

– Ma pani sześć miesięcy, ani dnia więcej, pani... Marlborough.

Poprawił okulary i niezdarnie otarł pot z czoła. Schował czek do kieszeni marynarki i pospiesznie ruszył w stronę domu, nie oglądając się za siebie.

Julianne wróciła na ganek. Lekkie drzenie dłoni wskazywało, że nie popełniła błędu, zapobiegając sprzedaży, okłamując córkę i przekupując prawnika nieboszczki. Z uśmiechem popatrzyła na winnice i pozdrowiła z daleka Teresę, zmierzającą w jej stronę. Kolejny raz się przekonała, że za pieniądze można kupić moralność i czystość niemal każdej duszy. Nie była dumna z tego, co zrobiła, ale czasami nie ma innego sposobu, żeby uniknąć nieszczęścia – popełnienia przez Galę największego błędu w jej życiu. Julianne nie była jedną z Xatartów, ale jako Marlborough także doskonale wiedziała, że należy dbać o korzenie, bronić ich i nigdy się ich nie wyrzekać. Gala została mianowana jedyną dziedziczką rodu, starej rodziny wywodzącej się z tej ziemi. Z szacunku do zmarłych i do swojego ojca powinna zachować to, co w niej

najważniejsze.

Kiedy oślepiąca południowym słońcem patrzyła pod światło na zbliżającą się Drugą, dostrzegła w oddali, pośród winnic, sylwetkę Romana, który spoglądał na nią z uśmiechem. Zrobiła daszek z lewej dłoni, żeby lepiej odczytać wyraz jego twarzy, ale nie pozwoliło jej na to ostre światło, a może charakterystyczna dla duchów przezroczystość.

Rankiem trzydziestego pierwszego grudnia, podczas gdy dorośli załatwiali sprawy urzędowe, dzieci zorganizowały spotkanie w domku na drzewie. Kate i Adele musiały poinformować przyjaciół o swoim wyjeździe. Mała wciąż była wściekła, że wracają tak szybko. Joana, milcząca od czasu kolacji, nie wiedziała, czy powoduje ją smutek, czy zazdrość, że przyjaciółka leci do jej ukochanego miasta.

– Znasz historię Sahrawi?

Kate pokręciła głową – nigdy nie słyszała tej dziwnej nazwy. Joana opowiedziała jej o losach zapomnianego ludu, porzuconego w samym sercu Sahary. Wyjaśniła, że ludzie ci żyją w obozach dla uchodźców, nie mogą ich opuścić, podróżować.

– Nie mają paszportu jak ty czy ja, wiesz? Nie mogą wyjechać...

Kate słuchała, jak przyjaciółka opowiada jej szczegółowo o tych biedakach zostawionych na pastwę losu. Nie rozumiała, dlaczego ni stąd, ni zowąd Joana zaczęła jej opisywać nieszczęścia Sahrawi i ich smutną dolę do chwili, aż...

– Wiedziałaś, że Javier Bardem jest bardzo zaangażowany w tę sprawę? Kiedy zostanie sławna, też będą ich broniła... Jak on!

Przyjaciółki szły z Adele w stronę placu przy kościele, miejsca spotkania. Kate uśmiechała się pod nosem, słuchając płomiennej przemowy Joany o ludzie, któremu nie pozwalają opuścić pustyni. Szybko zrozumiała porównanie z Saharą, znaczenie, jakie miała dla tej dziewczyny La Muga, i uczucia w związku z bliskim powrotem Kate do Wielkiego Jabłka, zdaniem Joany – miejsca ogromnych możliwości. W sumie miała rację, gdyby sama spędziła całe życie w tej wiosce, byłaby jak jej przyjaciółka: wolnym duchem, który głośno prosi, żeby pozwolono mu wzbić się w górę. La Muga przestała przyprawiać ją o mdłości i nie uważała już, że to miejsce dla umarłych z nudów, ale była bardzo przywiązana do asfaltu, zgiełku, manifestacji, niedziel w Central Parku, swoich Gotham Girls, a nawet przywilejów płynących z bycia Brearley Girl. Joana wiedziała, o czym mówi Kate, bo wyobrażała sobie to wszystko na sto różnych sposobów, ale zawsze z Manhattanem w tle.

– Talent to szczęście. Ważną rzeczą w życiu jest odwaga.

Joana zatrzymała się gwałtownie, słysząc sentencję Kate. Spojrzała na nią przenikliwie, jakby chodziło o jakąś sztuczkę, której nie rozumiała. Adele stanęła przy nich i wykrzywiając usta, poprosiła, żeby szły prędzej, chciała jak najszybciej dotrzeć na miejsce, żeby spotkać się z Markiem. Dziewczynki spojrzały na siebie prowokacyjnie, Joana zrozumiała, że chodzi o cytat z filmu, którego nie potrafiła rozpoznać. Kate bawiło, że po tylu dniach wreszcie zagięła mistrzynię.

– Jakaś podpowiedź?

Joana w niespełną sekundę zidentyfikowała film, po tym jak Kate zdradziła, że zrobił go Woody Allen, ulubiony reżyser jej matki.

– MANHATTAN!!!

Obie podskoczyły z radości i sprintem dogoniły Adele, która postanowiła ruszyć dalej bez nich. Dziewczynka musiała się zobaczyć z Markiem i z Bostonem, żeby wyznać im z żalem, że za dwa dni opuszcza wieś. Nie umiała sobie z tym poradzić, czuła się dziwnie, było jej smutno i miała ogromną chęć wybuchnąć płaczem. Liźnięcia Bostona przywróciły ją do życia, a na widok Marca stojącego niecałe dwa metry od niej, na jej twarz wrócił uśmiech. Chłopiec obciął



włosy i miał na sobie sweter, który Adele i Kate podarowały mu na Gwiazdkę. Bez zastanowienia ucałowała go w oba policzki i chwyciła za prawą dłoń, doprowadzając do tego, że chłopiec, zaskoczony takim powitaniem, natychmiast zarumienił się ze wstydu.

Aleix zjawił się ostatni. Postanowił przyjechać rowerem, ale w połowie drogi dopadła go tramontana i mało brakowało, a musiałby zrezygnować z wyprawy do La Mugi, bo nie był w stanie pedałowac pod wiatr. Na szczęście spotkał po drodze Amata, który na widok zmagań chłopaka z wichrem zatrzymał samochód, załadował do środka rower i podwiózł Aleiksa na plac we wsi, gdzie ten umówił się z przyjaciółmi. Gdyby nie nalegania Kate, ci dawno by sobie poszli. Trzydzieści pięć minut spóźnienia to aż nadto czasu, żeby przestać na kogoś czekać, chyba że ten ktoś ma dobre usprawiedliwienie i jest dla ciebie ważny – wtedy można mu wybaczyć. Taką teorię wysunęła Joana, a Kate w zupełności się z nią zgadzała. Aleix miał dobre usprawiedliwienie i był dla niej ważny.

Koniec i kropka!

Joana wybuchnęła śmiechem na widok zakłopotanej miny przyjaciółki podczas przesłuchania dotyczącego pocziwego Aleiksa. Lubiła, kiedy wokół niej iskrzyło od uczuć; ona jednak obiecała sobie, że nie będzie ulegać miłości, żeby przypadkiem nie przeszkodziła jej w odniesieniu sukcesu na Broadwayu.

– To znaczy, że nie miałaś dotąd żadnego chłopaka?

– Miałam dwóch, ale ich rzuciłam, bo mówili, że zwariowałam, kiedy opowiadałam, że zostanę gwiazdą musicali.

Wszyscy się roześmieli, słuchając o doświadczeniach Joany z chłopakami i jej marzeniach zostania królową Broadwayu. Droga do domku na drzewie minęła im szybko, umilana historiami opowiadanymi przez dziewczynę. Pozostali wymieniali w parach porozumiewawcze spojrzenia. Marc i Adele zostali w tyle, nie potrafili przełamać lodów po tylu dniach rozłąki i opowiedzieć sobie, jak je spędzili. Marc przeczuwał, że z jego przyjaciółką dzieje się coś złego, bo cały czas patrzyła w ziemię i kopiała kamyczki. To był zły znak, zawsze kiedy tak robiła, coś ją martwiło.

– Wszystko w porządku?

Adele gwałtownie się zatrzymała i wyrecytowała, że jej mama kupiła bilety na drugiego stycznia, że wyjeżdżają, żeby tu już nigdy nie wrócić, bo ona chce wszystko sprzedać, i już się więcej tu nie pojawią, nie zobaczą babć ani dzwonnicy, ani słoneczników, ani łąk, ani gór, ani jego, ani wujka Amata... Adele wyrzucała z siebie skargi jak z karabinu maszynowego, czuła, że serce podeszło jej do gardła, drżała od stóp do głów, a całe jej ciało wypełniał żal. Marc wystraszył się, widząc rozpacz przyjaciółki; jemu też było smutno, ale zacisnął pięści, żeby powstrzymać łzy i zachować spokój. Oboje wiedzieli, że ten moment nadejdzie, ale nie spodziewali się, że tak nagle i że zakończy się słowami „żegnaj na zawsze”. Adele szlochała i lamentowała, a Marc stał naprzeciwko niej, sztywny i zimny jak szpada. Nagle dziewczynka bezradnie rzuciła się w jego ramiona, szukając pocieszenia; Marc przytulił ją, początkowo nieśmiało, a po chwili z całą siłą, na jaką go było stać. Kiedy już niemal udusił przyjaciółkę, gwałtownie się rozdzielili i zaczęli śmiać przez łzy.

Weszli do domku i spędzili tam w piątkę cały ranek, zwierając się sobie ze swoich sekretów i marzeń, żeby dorosnąć i zostać panami własnego życia. Aleix wyznał, że chce być architektem i budować katedry, równie piękne jak ta w jego miasteczku, albo drewniane domy na środku pola; coś w rodzaju chałup, tyle że dużo większe. Kate nie potrafiła powiedzieć, kim będzie, kiedy dorośnie, Adele zamierzała zostać odkrywczynią, a Marc – weterynarzem, będzie leczył zwierzęta we wsi. To przypomniało im, że klacz Cecilii i Jowa powinna niedługo się ożrebić; Jow powiedział Marcowi, że oczekuje rozwiązania w sylwestra, więc jeśli wszystko

dobrze pójdzie, poród rozpocznie się jeszcze tej nocy. Dzieci zapragnęły, żeby tak się stało, żeby ta noc była niezapomniana. Żadne z nich nie wspomniało głośno o rozstaniu i wyjeździe Kate i Adele; postanowili cieszyć się chwilą i zostawić łązy na moment pożegnania.

– Spędzisz dziś noc w La Mudze?

Aleix kiwnął potakująco głową i nieśmiało spojrzął na Kate uśmiechniętymi oczami. On i Joana postarali się, żeby jego rodzice pozwolili mu znowu spędzić świąteczny dzień w domu Brugatów. Obie rodziny były podekscytowane, bo myślały, że tych dwoje ma się ku sobie, więc zgodnie przystawały na ich prośby. Aleix i Joana śmiali się z nedorzecznych podejrzeń dorosłych, Kate też zdobyła się na wymuszony śmiech, aby ukryć lekką zazdrość, którą poczuła na samą myśl, że to mogłaby być prawda. Joana, która obserwowała przyjaciółkę, natychmiast wyznała jej na ucho:

– Mnie on się nie podoba, ale tobie tak, prawda?

Puściły do siebie oko, a Kate przez dłuższą chwilę nie podnosiła głowy, nagle zawstydzona. Czuła się nieswojo z tymi nowymi doznaniem, tymi nagłymi motylami w brzuchu i falami gorąca, które sprawiały, że brakowało jej tchu.

Ostatni dzień roku upływał pośród takiej samej wrzawy jak w poprzednich latach. Ozdabiano na tę okazję plac w wiosce, rodziny robiły ostatnie zakupy przed uroczystą kolacją, bo wszystkie sklepy zamykano wczesnym popołudniem. La Muga wyglądała na pozór spokojnie, ulice były niemal wyludnione, okna puchyłane, nawet psy nie szczekały... Wieś dyskretnie przygotowywała się do świętowania; do pożegnania i do powitania; do śmierci i do życia. Do nocy szczególnej zwłaszcza dla dzwonów z kościelnej wieży, które czekały, żeby wybić pełną godzinę wyznaczającą upływ lat.

Kochana Wnusi, uświadomiłam sobie, że minęło ponad trzydzieści lat, odkąd zaczęłam pisać ten dziennik, odkąd postanowiłam wyładować całą moją wściekłość spowodowaną utratą syna i szansy, żeby patrzeć, jak rośnie moja wnuczka.

Czas mija dla wszystkich i ma moc odmieniania naszych dusz. Nie jestem tą samą kobietą, która zaczęła tę zwariowaną przygodę polegającą na nawiązaniu rozmowy z iluzją, ze złudzeniem; przez te wszystkie lata tym właśnie dla mnie byłaś.

W dniu, w którym Nalda przyniosła mi Twoje zdjęcie, przeżyłam wstrząs, a jednocześnie kusiło mnie, żeby się z Tobą skontaktować, żebyśmy wbrew woli Twojej matki opowiedziały sobie o naszym życiu, Twoim i moim. Przez kilka miesięcy chodziłam podminowana, chciałam to zrobić, porzucić iluzję i stawić czoło prawdziwej Tobie, a nie tej, którą tworzyłam przez wszystkie te lata w mojej głowie i którą urzeczywistniłam w tym dzienniku. Ale nagle wstrząsy ani silne emocje nie są dla starych ludzi. Potrzeba mnóstwa energii, żeby chcieć i móc nad nimi zapanować... A ja jestem już stara i zbyt często ogarnia mnie strach, żebym odważyła się stanąć przed Tobą, ryzykując, że zostanę odrzucona albo zobaczę wnuczkę całkiem niepodobną do tej, którą sobie wymyśliłam. Nie chcę, żebyś miała mi to za złe, jeśli któregoś dnia przeczytasz ten dziennik. Świadomie podjęłam decyzję, że jednak do Ciebie nie pojedę, że nie będę Cię szukać. Postanowiłam oszczędzić sobie wstrząsów, odrzucenia czy spotkania wnuczki innej niż ta, którą sobie wyobraziłam. Mam już swoje lata, życie nauczyło mnie szacunku do jego rytmów, a zgodnie z nimi w moim wieku powinnam skupić się na sobie i na tym, czego potrzebuję. Droga Wnusi, moje serce nie jest wystarczająco silne, żeby znieść cios, jakim byłoby odrzucenie, a nieobecność, między innymi Twoja, towarzyszy mi przez całe życie. Chociaż to wszystko zakrawa na szaleństwo, nie postradałam zmysłów, jestem w pełni świadoma tego, że stworzyłam Cię według własnych wyobrażeń. Czuję się winna, że Cię wykorzystałam, że byłaś dla mnie kimś w rodzaju niewidzialnej przyjaciółki, katalizatorem emocji, dzięki któremu odnalazłam spokój i pozbyłam się demonów.

Nie chcę Cię oszukiwać ani mieszać Ci w głowie. Na pewno zawsze będę pragnęła Cię przytulić, poznać, poczuć, że jesteś w jakimś stopniu moja. Ale może pokona mnie strach przed rozczarowaniem jednocześnie Tobą i sobą. Wiem, że w ostatnich latach zrobiłaś ze mnie prababcie; powiedziała mi o tym Nalda, która zamieniła się w znakomitego detektywa i o wszystkim mi donosi... Od jakiegoś czasu nęka mnie pewna wątpliwość: nie wiem, czy moje życie byłoby lepsze, gdybym Cię poznała i mogła się Tobą nacieszyć, nie wiem, czy nasze stosunki byłyby tak dobre, jak zawsze sobie wyobrażałam, czy stałabym się dla Ciebie babcią mentorką i powierniczką, jaką chciałabym być. Nie miej mi za złe, ale muszę Ci powiedzieć, że od jakiegoś czasu nie żałuję, że nigdy Cię nie poznałam – przekonałam samą siebie, że może tak jest lepiej dla nas i dla naszego życia. Ty nie doświadczyłaś tak mojej nieobecności jak ja Twojej, ale wiedz, że tęsknota za Tobą pomogła mi pokonać żal i zyskać ukryty powód, żeby dalej walczyć o życie.

Ta staruszka, którą się stałam, z drżącymi dłońmi i oczami zawsze mokrymi od łez, jeszcze raz prosi Cię o wybaczenie i równie nieskładnie dziękuje Ci za pośrednictwem tego dziennika. Jestem starą kobietą, pewną, że zostało mi już niewiele czasu na tej ziemi. Uświadomiłam sobie, że życie upłynęło mi na pragnieniu i odczuwaniu braku tego, co mi wyrwano albo czego mnie pozbawiono. I wiesz co? Po tak długim czasie zmęczyły mnie tęsknota i przeklinanie własnego losu. Postanowiłam w pełni przeżyć swoje ostatnie dni, dziękując za dobro, które mnie spotkało.

Święta Francisca pomogła mi dostrzec pozytywne strony życia i wyciszyć się, żeby zaznać spokoju. Przez całe życie byłam udręczoną, wyniszczoną tymi wszystkimi żałami kobietą, która przedwcześnie dorobiła się zmarszczek na czole. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie czerpałam przyjemności z tego, co robiłam, chociaż podczas każdego łyku życia czułam daleki gorzki posmak, który mimo wszystko mi je osładzał. Ci, którzy mnie kochali, uporczywie mi o tym przypominali, dbali, żebym nie popadła w zbyt wielką melancholię; zmuszali mnie, żebym każdego dnia wypatrywała słońca i skoncentrowała się na cyklach przyrody. Byłam dobrą uczennicą, umiałam słuchać tych nauk i wcielać je w życie, ale moja dusza nie chciała pozwolić odejść bliskim mi osobom. Teraz wreszcie zrozumiałam, że aby godziwie odpocząć, musimy odwiązać liny, przeciąć niewidzialne nici, które wiążą nas z życiem i z innymi; uwolnić własne duchy. Każdy ma swoje duchy! Radzę Ci, żebyś im się nie sprzeciwiała i pozwoliła odejść bez konfrontacji, oporu, współczucia i smutku. One tak jak my muszą pójść swoją drogą...

Nie żegnaj się z Tobą, nie zamierzam Cię zostawić ani przestać do Ciebie pisać, będę to robiła, dopóki staruszka, którą jestem, nie opuści tej ziemi. Muszę Ci jednak wyznać, że jestem zadowolona z tej naszej nie-relacji, ze stworzenia „Twojego drugiego ja”, które rekompensowało mi Twoją nieobecność, z uwolnienia się od smutku. Umysł to cudowna rzecz, potrafi budować wymaginowane światy, które – chociaż graniczą z szaleństwem – służą temu, żeby zdjąć nieco odpowiedzialności ze zdrowego rozsądku. W tym życiu niewiele spraw dzieje się zgodnie z tak zwaną logiką. Nie czułaś nigdy, że pomyliłaś się co do świata, innych ludzi, a nawet samej siebie?

Nie popadaj w malkontenctwo – jeśli zajdzie taka potrzeba, buduj sobie wymaginowane światy, zamiast się przesadnie obwiniać. Jeśli dożyjesz starości – czego Ci życzę – zrozumiesz, że nie chodzi o to, żeby się umartwiać, ale o to, żeby nauczyć się dźwigać plecak wyładowany do pełna. Uświadomienie sobie tego zabrało mi wiele lat, ale zamierzam cieszyć się tymi, które mi zostały, nie sumując braków i nie pragnąc dla siebie innego życia niż to, które miałam. Nie wiem, czy nasze losy są gdzieś zapisane, czy jesteśmy w stanie zapobiec naszym niedolom, ale mogę Ci zapewnić, że do nas należy decyzja, w jaki sposób będziemy je dźwigać, a to albo zmieni Twoje życie, albo sprawi, że na zawsze utkniesz w martwym punkcie.

Moja droga Wnusi, jesteśmy tylko jednymi z wielu ziarenek ziemi, małymi istotami pragnącymi zostać gigantami, które współistnieją na tej planecie z innymi gatunkami, chociaż wydaje nam się, że mamy nad nimi władzę. Świat idzie naprzód, ale ziemia zawsze pozostanie naszą wielką matką, o której życiodajnej mocy, ważniejszej od Ciebie i ode mnie, nie powinnaś nigdy zapominać. Nadal będzie budowała, rodziła życie...

Gala zaczęła przerzucać poźółkłe kartki, nie mogła uwierzyć w to niespodziewane zakończenie, czuła się tak, jakby bez uprzedzenia zepchnięto ją w przepaść pozbawioną ochronnej siatki. Czy po tym wszystkim dziennik mógł się tak po prostu urwać? Przejrzała go dokładnie strona po stronie z nadzieją, że gdzieś na marginesie znajdzie jakieś zaszyfrowane pożegnanie. Nie mogła sobie wyobrazić, żeby babcia, która przez całe życie czuwała nad nią z daleka, nie pomyślała o niej na łożu śmierci; nie zostawiła jej żadnego listu, ostatniego słowa, duchowego testamentu, pośmiertnej rady jak żyć, kiedy zdała sobie sprawę, że ulatuje ku innym światom.

Wstała wściekła, powstrzymując łzy, cała się trzęsła, nie mogła zrozumieć tego kolejnego, nieusprawiedliwionego porzucenia... Ze złości z całej siły cisnęła dziennik na podłogę, wyrzucając sobie, że go w ogóle przeczytała, że uwierzyła, że ktoś przez całe życie myślał o niej jak nikt inny. Poczuli się nabita w butelkę, kolejny raz oszukana, zdruzgotana, że znów ją tak bezwzględnie zignorowano.

Wbiegła po schodach, żeby w pudłach na strychu poszukać listu zawieruszonego pośród dokumentów gromadzonych przez babcie. Przerzucała rozpaczliwie papiery, zdjęcia i notatki, pragnąc znaleźć w tym pożegnaniu pocieszenie, nie mogła uwierzyć, że życie zawsze będzie jej odpłacać tą samą monetą. Siedziała tam godzinę, zapłakana, ze spoconym czołem, bezsilna wobec kolejnego, niezasłużonego zlekceważenia. Choć nie znalazła upragnionej nagrody, w jej głowie kołatała się uparta myśl, że musi istnieć jakieś wyjaśnienie, bo milczenie nie może być ukoronowaniem wszystkiego. Z rozmazanym tuszem i wykrzywioną bólem twarzą wyruszyła na poszukiwanie Czerwonej, powierniczki babci; ona na pewno wie, jak odnaleźć pożegnalny list.

Przemierzyła wieś niczym pokutująca dusza, nie zauważając Tomasy i Franciski, które akurat wychodziły ze sklepu Pięknej i pozdrowiły ją bez słów. Nie usłyszała okrzyków Jowa, który razem z dziećmi doglądał żrebnej klaczy. Kate odwróciła głowę, ale nie widziała twarzy matki, jedynie jej sylwetkę pędzącą jak wicher w stronę domu Naldy. Nie przejęła się tym, a wciąż obrażona Adele nawet na nią nie spojrzała, zła, że musi opuścić miejsce, które uwielbia. Uznała, że ukarze matkę, jeśli zamiast z daleka się z nią przywitać, zostanie przy klaczy.

Drogi ludzkie krzyżują się przypadkowo, niekiedy to, czy dojdzie do spotkania dwóch osób, jest wyłącznie kwestią sekund. Samochód Amata przeciął drogę tuż po tym, kiedy Gala skręciła w uliczkę, z której chwilę wcześniej Julianne zjechała na nieutwardzoną drogę. Tamtego trzydziestego pierwszego grudnia dwa tysiące dwunastego roku nieświadomie utworzyli niewidoczny trójkąt. Kapryśne przeznaczenie jednym pstryknięciem palców zdecydowało, że te trzy dusze nie wpadły na siebie w tamtym momencie.

Amat obudził się tego ranka z poczuciem, że powinien spędzić dzień, polerując meble. Musiał się zająć tym, co sprawiało mu największą przyjemność, żeby odpędzić smutek spowodowany decyzją Gali o sprzedaży wszystkiego, co odziedziczyła po babci. Prawnik Robert Riudaneu zadzwonił do niego z informacją, że uzyskał pełnomocnictwo do dysponowania jej częścią VellAntic i że powinni się spotkać, żeby podpisać umowę. Ku zdziwieniu Amata nie był jednak w stanie podać terminu, zaproponował, że zadzwoni później. Riudaneu czuł się w obowiązku powiadomić mężczyznę o całej sprawie, ale też musiał dotrzymać obietnicy złożonej Julianne – wstrzymać się ze sprzedażą przez najbliższe pół roku. Amatowi nie przeszkadzało, że nie umówił się z prawnikiem na konkretny dzień, chciał wcześniej przetrwać

informację, że majątek Amelii Xatart został wystawiony na sprzedaż. Gala nie traciła czasu i bardzo zaskoczyła go swoją nagłą decyzją o pozbyciu się całego spadku po babci. To zabolowało Amata nie tylko przez wzgląd na Amelię, w głębi duszy cierpiał, bo za niespełna dwa dni miał się pożegnać z kobietą, która zdołała obudzić jego uspięte serce. Był zdezorientowany własnymi reakcjami; wyszedł z domu, krzycząc i desperacko pohukując na własną matkę, przeklinając dzień, w którym Amerykanka postawiła stopę w La Mudze. Wiedział, że nie ma odwrotu. Umiał rozpoznać ten rodzaj ukłucia w żołądku. Do szaleństwa zakochał się w kobiecie, która zwróciła na niego uwagę jedynie po to, żeby mu uzmysłwić, jak bardzo się różnią i do siebie nie pasują. Waliby głową w beton, gdyby to mogło sprawić, że o niej zapomni i przestanie cierpieć. Nie chciał iść na sylwestrową kolację, świętować w jej towarzystwie nadejścia Nowego Roku, być blisko tej, która sprawiła, że tracił równowagę zdobytą dzięki wielu latom polerowania mebli.

Z kolei Julianne była pochłonięta niemal schizofrenicznym ściganiem ducha. Gala chciała być sama, ona zaś wołała nie zaglądać do Can Xatart, więc postanowiła się przejść po La Mudze. Wszystko było dobrze, dopóki siedząc na ławce przy głównej drodze, nie dostrzegła sylwetki Romana. Podjęła kilka nieudanych prób przerwania halucynacji: przetarła oczy, zmieniła ławkę, patrzyła w inną stronę, ale duch Romana wracał, wyraźny i wyczuwalny, gotów zamienić spacer po La Mudze w koszmar.

Tomasa i Francisca nie podeszły do Julianne. Od tak dawna nie pojawiała się we wsi, więc z szacunku do zmarłej przyjaciółki postanowiły zignorować jej obecność i oszczędzić sobie porannego spięcia. Ostatnia noc roku zapowiadała się obiecująco, lepiej było nie ściągać złych duchów i nie karmić demonów. Oddaliły się więc ukradkiem, niezauważone przez udręczoną Amerykankę, która w tym stanie nie zorientowałaby się nawet, gdyby przed jej nosem przeszedł słoń. Julianne dusiła się, wyczerpana walką między rzeczywistością a ułudą. W przypiływie szaleństwa, a może zdrowego rozsądku, w pewnym momencie postanowiła opuścić pole bitwy i oddać się w ręce wroga, spojrzeć mu w oczy i bezwzględnie ulec jego woli.

– Czeeeeego ode mnie chcesz, co? *What the hell do you want?*[61]

W ogromnej desperacji zwróciła się wreszcie wprost do niego, błagając, żeby przerwał ten koszmar. Zaklinała go, żeby odszedł na zawsze, zniknął jej z oczu, pozwolił żyć nędznym życiem, byle tylko ustało jej cierpienie. Duch Romana podszedł, usiadł przy Julianne i zaczekał, aż skończy się ten szaleńczy atak. Kiedy wreszcie zabrakło jej pretensji, słów i skarg, za którymi mogła się ukrywać, ukradkiem spojrzała na Romana, wbiła w niego hipnotyzujący wzrok i... zaniemówiła! Oniemiała jak zaczarowana, bo w przypiływie szaleństwa przeżyła znów to, co na zawsze straciła. Kochankowie zatrzymali czas i połączyli rzeczywistość z iluzją, żeby odgrzebać miłość, czyste uczucie, którego nie umniejszył upływ lat. Gdyby w tym momencie ktoś zobaczył Julianne, zauważyłby, że jej ciało znajduje się prawie w stanie nieważkości. Przez chwilę, która w jej świecie trwała wieczność, unosiła się nad ziemią. Ruszyła śladem Romana bez cienia wątpliwości czy żalu. Przekroczyła granice umysłu. Przeszli ulicami wsi i skręcili w gruntową drogę, oniemiała i szczęśliwi tym niemożliwym spotkaniem. Dokąd zmierzali? W tej chwili nikt nie ośmieliłby się zatrzymać Julianne, utrudnić jej dotarcia do nieznanego celu; nawet Julià, który zgodnie ze zwyczajem otwierał tego dnia cmentarz, żeby żyjący mogli spotkać się ze zmarłymi w ostatni dzień roku. Zobaczył ją idącą z potarganymi włosami i nieruchomym wzrokiem, jakim patrzą obłąkani. Wahał się, czy ją zatrzymać i zapytać, kogo tak oplakuje, ale zrezygnował, bo chociaż wskutek nadużywania alkoholu pamięć mu się pogorszyła, nie zapomniał, że zagubionym duszom nie wolno przerywać ich wędrówki. Julià przez całe życie strzegł tej ziemi dzielonej przez żywych i zmarłych i dobrze wiedział, jak traktować jednych i drugich. Od razu dostrzegł, że Julianne nie idzie sama, lecz że prowadzi ją jeden z jego klientów, i chociaż było to tylko wrażenie, którego nie mógłby udowodnić, ani nawet nikomu wyjawić, nos podpowiadał

mu, że oba światy są w stałym kontakcie. Mało kto we wsi traktował poważnie dar Julià, mało kto chciał słuchać jego opowieści o zmarłych, którzy wracają na ziemię, żeby uleczyć rany z przeszłości. Dlatego któregoś dnia przestał rozmawiać z żywymi i zaczął się wsłuchiwać w skargi i błagania umarłych. Nigdy nie widział żadnego na własne oczy, ale wyczuwał ich z odległości kilku kilometrów. Zawsze, kiedy do jego nozdrzy dolatywał ten szczególny zapach, jeżyły mu się wszystkie włoski na skórze. Okazywał pełen szacunek zarówno zmarłemu, jak i żywemu, który za nim podążał. Kiedy ujrzał Julianne, zdziwił się, że jeden z jego umarłaków przyprowadził na cmentarz nieznaną osobę; pomyślał nawet, że może roztrzepany zmarły pomylił miejsce... Czemu umarli mieliby mieć lepszy zmysł orientacji niż żywi? Wątpliwości oraz chęć odkrycia personaliów nieboszczyka i rozwiązania zagadki sprawiły, że postanowił ukradkiem śledzić nieznaną.

Julianne nawet nie zauważyła, że weszła na teren cmentarza w La Mudze. Jej świadomość wciąż była zaburzona, ścigała ducha albo złudzenie, kompletnie poddana jego woli. Pokonała sporą część cmentarza, będąc w stanie obłędu; nie zdając sobie sprawy, że przebywa pośród zmarłych, szła ze wzrokiem wbitym w swoją zjawę, żeby nie stracić jej z oczu. Stała dopiero, kiedy ujrzała, jak duch Romana niespodziewanie zaczyna się rozplýwać. Odwróciła głowę, z desperacją szukając go spojrzeniem, ale on zgasł niczym iskra, brutalnie przywracając ją do rzeczywistości, zdeorientowaną i zagubioną.

Rozejrzała się dookoła i wystraszyła na widok otaczających ją krzyży, nisz, rzeźb i płyt nagrobnych różnych rozmiarów i jakości. Przez chwilę myślała, że umarła i jest w trakcie gorączkowego zrywania z ziemskim życiem. Kiedy zobaczyła grób, przed którym stoi, jej serce zamarło z przerażenia.

– Román Xatart.

Jak to możliwe? Pochowała go przecież w Bostonie, obok Marlboroughów. Co robi na tym cmentarzu? Uklękała przed grobem, bliska omdlenia, przytłoczona żalem i poczuciem winy. Ogarnął ją głęboki smutek, załżała się łzami, wywołanymi ogromem wyrzutów sumienia i tęsknotą pełną rozpacz, pod bacznym spojrzeniem Julià, który nie mógł uwierzyć własnym oczom. „Ktoś płacze nad grobem młodego Romana, niedługo po śmierci Amelii Xatart!” Postanowił zostawić ją samą i wrócić do swoich zajęć; lata pracy na cmentarzu nauczyły go, że zmarli posiadają dużo większą wiedzę niż żywi. Skoro Román Xatart przyprowadził tę kobietę do swojego grobu, to znaczy, że istnieją jakieś zadawnione rany, które trzeba wyleczyć, a on nie zamierzał burzyć spokoju między martwymi a żywymi.

Julianne klęczała przy grobie, drżała na całym ciele, skruszona, odbywała podróż w przeszłość, komunikując się z Romanem lekkimi westchnieniami. Jej wspomnienia pozostały nienaruszone, mimo że poświęciła tyle czasu i wysiłku, żeby zapomnieć. Oplakała je przy grobie męża, ponownie przeżyła jego śmierć, wróciła dawna pokusa, żeby umrzeć. Słowa skargi stopniowo łagodziły cierpienie skumulowane przez lata, przebaczenie było jak balsam, aż w końcu poczuła się pusta, ogarnął ją nieznaną spójność. Obejmowała grób Romana z twarzą skąpaną we łzach, ale i z uśmiechem. Przestała lamentować, pragnęła znów słyszeć bicie serca ukochanego. W tym momencie Julianne pogodziła się z własnym życiem, ze skrywanymi emocjami; odzyskała swoją tożsamość, pozbyła się pancerza chroniącego ją przed bólem, który uniemożliwiał jej także odczuwanie radości życia.

Przylgnęła do grobu, znów miała dwadzieścia lat; wyznała Romanowi swoje lęki, swoje błędy. Rozgadała się za cały ten stracony czas, w którym postanowiła o nim zapomnieć, aż nagle zdała sobie sprawę, że jest w stanie zapanować nad działaniem niepamięci. Rozmawiali w wieczności zawieszona między życiem a śmiercią. Ich dusze połączyły się, żeby zawrzeć rozejm i odpokutować wszystkie błędy gromadzone przez lata. Julianne czuła ogromny spokój,

aż z wyczerpania straciła świadomość.

Po krótkim, a może długim czasie obudziła się na grobie Romana; nie była w stanie przypomnieć sobie ostatniej myśli, która przysła jej do głowy, zanim zapadła w głęboki sen. Gdy się zorientowała, gdzie jest, przeżyła wstrząs, ogarnął ją paniczny strach, na szczęście tylko na chwilę, bo zaraz wróciły wspomnienia. Uśmiechała się, delikatnie i z czułością głaszcząc grób ukochanego. Wstała, wciągając czyste powietrze, świadoma, że rana w jej sercu nareszcie się zagoiła, była gotowa posmakować życiowego spokoju. Romanowi nie jest potrzebny większy grób, a ona nie musi się oddalać od tego miejsca i od szczęścia, jakim było zaznanie wielkiej wiecznej miłości. Pożegnała się z ukochanym. Miała lodowate ciało, ale w jej sercu wrzało, wypowiadała się nad grobem Romana, rozumiała swoją znękaną duszę i to, że aby tak się stało, musiał ją doścignąć jego duch. Dzięki tym egzorcyzmom Julianne przeobraziła się, przepędziła swoje demony, zjawy, które nie pozwalały jej w nocy spać, karmiły tabletkami, żeby mogła funkcjonować; poczuła w sobie odwagę, żeby stawić czoło rzeczywistości z pokorą osoby, która wie, że wiele przegrała, ale chce znów podziwiać stare, wieczne piękno. Podniosła ręce ku niebu, rozciągnęła zdrętwiałe mięśnie, spragniona słonecznego światła i ciepła.

Przeszła pośród mogił zmarłych, dziękując im, że w tajemnicy przed rozumem czuwają nad żywymi. Wymieniła spojrzenia z Julią, który na starym bujanym fotelu czekał na nią w bramie cmentarza, z dwoma kieliszkami wina. Julianne zatrzymała się tuż przy nim i wzięła jeden z nich. Zrozumiała, skąd ten toast, gdy rzucił jej głębokie, porozumiewawcze spojrzenie. Wypili za to, co się wydarzyło, uczcili to w milczeniu; w taki sam sposób się pożegnali, bez słów, które zepsułyby to, czego doświadczyli.

Ruszyła w drogę powrotną na wciąż drżących nogach, podziwiała krajobraz, cieszyła ją myśl, że zaraz spotka się z córką i przytuli ją, tym razem nie szukając pocieszenia. Była gotowa walczyć o nią, o jej czułość i o miłość wnuczek, odzyskać to, co było jej prawdziwą naturą – buntowniczość nieznoszącą kanonów, tego, co narzucone. Przyspieszyła kroku, mimo że brakowało jej sił, a ścieżka była nierówna, co wymagało uważnego stawiania kroków. Gdyby mogła, poleciałaby na skrzydłach do Can Xatart, żeby podzielić się z córką tym, co przeżyła, ryzykując, że ta nazwie ją wariatką.

Kate, stojąc na ganku domku na drzewie, dostrzegła rozentuzjzmowaną babcie. Krzyknęła z nadzieją, że ta ją usłyszy; pozostali przyłączyli się do niej rozbawieni, gotowi podjąć wyzwanie i sprawić, żeby Julianne pomachała im z daleka. Cała piątka zrywała sobie płuca, wydając wojenny okrzyk.

– *Graaannndmmmaa!!!!*[62]

Julianne zwolniła kroku, czując w uszach łaskotanie wywołane trudnym do rozszyfrowania dźwiękiem. Rozejrzała się, próbując dostrzec jakiś znak czy znajomy widok. Dzieci wciąż wołały chórem, zdzierały sobie gardła, wierząc, że dopną swego. Tak się jednak nie stało, Julianne wprawdzie rozumiała wiadomość, ale starcza ślepotą uniemożliwiła jej zlokalizowanie posłańców, którzy rozczarowani i zmęczeni, przestali wreszcie krzyczeć.

– Nie mogę uwierzyć, że babcia o mnie zapomniała i nie zostawiła mi pożegnalnego listu!

Nalda siedziała przy stole w kuchni i patrzyła na Galę, dąsając się, że nie dostała od babci niczego poza tym, co już przeczytała. Czerwona nie potrafiła zrozumieć tej złości; dla Amelii wnuczka była złudzeniem, a nie rzeczywistością. Naldę martwił stan Amerykanki i jej nagła decyzja, żeby jak najszybciej wszystkiego się pozbyć. Rozmawiała z Riudaneu, który powiedział jej o pośpiechu Gali, ale także o sześciomiesięcznej zwłoce w sprzedaży. Czerwoną, która znała go jak własnego syna, zdziwiło, że postanowił zaczekać kilka tygodni z zamieszczeniem ogłoszenia w internecie. Podobnie jak jego ojciec, Alfonso Riudaneu, Robert uchodził za człowieka zachłannego, nigdy nie przepuściłby okazji do szybkiego zarobku.

Zdziwiona opieszałością, z jaką prawnik podchodzi do zlecenia, zarzuciła go pytaniami; przyciśnięty do ściany wyznał, że wymusiła to na nim Julianne i że przyjął od niej łapówkę. Czerwoną ucieszyło, że sprzedaż się odwlecze; chociaż nie pochwałała metody, postanowiła dochować sekretu i potraktować wykroczenie jako element strategii. Nie pierwszy raz prawnicy grali nieczysto, ale pomyślała, że w tym przypadku to konieczne, żeby uniknąć transakcji katastrofalnej nie tylko dla La Mugi, ale i dla jej przyjaciółki Amelii.

Gala domagała się wyjaśnienia braku listu, nie było żadnego powodu, dla którego jej babcia miałaby go nie napisać... Amelia wiedziała, że jest ciężko chora, starczyło jej czasu, żeby wszystko pozamykać, dlaczego więc postanowiła się z nią nie pożegnać? Słyszając ostre słowa pod adresem przyjaciółki, Nalda straciła cierpliwość. Zarzuciła Gali, że ma źle w głowie, żądając od zmarłej, o której istnieniu do niedawna nawet nie wiedziała, żeby dała jej więcej niż to, co podarowała jej już za życia: swoją ogromną tęsknotę, a po śmierci wszystkie dobra, które Gala bez wahania i bez wyrzutów sumienia postanowiła sprzedać.

– Nie uważam, żeby to, co robisz, było sprawiedliwe: ani wobec twojej babci, ani wobec mnie, ani wobec La Mugi.

Gala spojrzała na nią, zdumiona tak gniewną reakcją. Pierwszy raz, odkąd się poznały, Nalda była dla niej nieprzyjemna, nie spodziewała się po niej braku zrozumienia, tym bardziej że rozpacziała po utracie kolejnej osoby, która odeszła bez pożegnania. Uniosła się dumą, nie rozumiała pouczających słów staruszki; wzięły w niej górę zraniona próżność i poczucie wyższości Marlboroughów nad Xatartami. Czerwoną niewiele to wszystko obchodziło...

– Droga Galu, wojny o nazwiska i rody były dobre w średniowieczu...

Miotając z oczu błyskawice, Gala wybiegła z domu, trzaskając drzwiami; nie chciała, żeby Nalda zobaczyła jej łzy, spowodowane urażoną dumą. Czuła się pokonana przez Czerwoną, przez wydarzenia, przez własną reakcję. Biegła uliczkami, tak żeby nikt jej nie zauważył, zwłaszcza matka, którą dostrzegła z daleka, opartą o bramę Can Xatart. Nie miała ochoty jej widzieć ani z nią rozmawiać, nie chciała, żeby zobaczyła ją w tak oplakany stan emocjonalnym. Ulegając nagłemu impulsowi, postanowiła schronić się w VellAntic. Drzwi były uchylone, bez wahania wślizgnęła się do środka, cichutko, żeby nie przeszkadzać Amatowi, który w maseczce na twarzy właśnie smarował klejem drewnianą ławkę. Usłyszawszy szelest, podniósł głowę. Na widok Gali niemal stracił oddech, zaskoczony jej wizytą. Wstał i podszedł do niej, z wrażenia zapomniał jednak, że na twarzy ma wciąż maseczkę, a z pędzla kapie klej. Oprzytomniawszy, rzucił go byle gdzie. Przywitał Galę bez słowa, a ona rzuciła mu się w ramiona, szukając w nich schronienia, pocieszenia i zrozumienia. Minęło kilka sekund, zanim położył dłonie na jej plecach, potrzebował trochę czasu, żeby właściwie odczytać to, co się działo. Nie była to łatwa lektura, a on, człowiek ze wsi, nie przywykł do nagłych zmian i nieprzewidzianych zwrotów. Wiedział, że wiatry i chmury to doskonałe zwiastuny burzy, że przyroda przemawia do ludzi za pośrednictwem kolorów, ale kobieta, a w szczególności Gala... jak ją zrozumieć? Nie potrafił znaleźć słów, żeby ją pocieszyć, nawet żeby cokolwiek powiedzieć, ale instynkt kazał mu pogłaskać ją po włosach i pocałować. Oddychał nierównomiernie, spiął się w sobie, by wbrew własnej woli nie odważyć się na żadną niewłaściwą pieszczotę, która mogłaby zamienić tę intymną chwilę w lodowaty prysznic obelg. Chociaż nie znał się na kobietach, wiedział, że w takim stanie rozchwiania emocjonalnego mogą sprawić, że ucierpią wszyscy wokół. Gala przez długą chwilę trwała w ramionach Amata, czuła ciepło jego skóry; wypłakiwała swoją samotność i pragnęła czułości. Mężczyzna stał w milczeniu, prawie nie oddychał, trzymając w ryzach swoje emocje. Chwila słabości Gali nie powinna go zmylić, ta kobieta o kruchym wyglądzie, która cichutko weszła do stodoły, jest tą samą osobą, która bez najmniejszych skrupułów i odrobiny smutku wystawiła na sprzedaż



majątek Amelii. Zamknął oczy, obiecując sobie, że nawet na nią nie spojrzy, żeby nie ulec jej urokowi, nie dać się rozbroić, nie pozwolić, by skłoniła go do zrobienia jakiejś głupoty, która mogłaby go przyprawić o niejednego rumieniec wstydu. Kilkakrotnie czuł pokusę, żeby odsunąć się od Gali, ale ona trzymała go mocno w rozpaczliwym uścisku. Oba ciała pragnęły być jak najbliżej siebie, płynąca z nich energia łączyła się, ale nic nie było w rzeczywistości tym, czym wydawało się być. Amat postanowił nie otwierać oczu, nie zdejmować maseczki; zaczął odliczać w myślach, żeby nabrać dystansu do tej krępującej sytuacji. „Czterdzieści pięć, czterdzieści sześć, czterdzieści siedem...” Liczył z nadzieją, że Gala pierwsza się odsunie i uwolni go od tortury, jaką był dla niego jej oddech pieszczący mu szyję. „Siedemdziesiąt osiem, siedemdziesiąt dziewięć, osiemdziesiąt...” Jego bliska eksplozji męskość zadawała mu męki. „Sto jeden, sto dwa, sto trzy...” Zaciskał oczy i z niekontrolowaną siłą wbijał palce w plecy Gali, żeby tylko jej nie pieścić. „Sto trzydzieści siedem, sto trzydzieści osiem, sto trzydzieści dziewięć...” Zaczął się modlić do tego w górze, żeby położył kres katuszom, zachował okrucieństwo dla innych. W połowie modlitwy Gala odsunęła się na pół metra, stała teraz z pochyloną głową, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Przez kilka oddechów trwali w milczeniu, po czym czar prysł, bo Gala nagle usiadła na ławce, którą Amat dopiero co wysmarował klejem; zorientowali się dopiero chwilę później.

– Chyba załatwiłaś spodnie... – westchnął.

Gala uśmiechnęła się promiennie. Opierała łokcie na kolanach, głowę trzymała w dłoniach. Wyglądała jak nastolatka, która właśnie odkryła, że świat nie zawsze kręci się wokół jej pragnień. To, że poplamiała klejem dzinsy, stanowiło najmniejszy problem.

– Przepraszam, że zniszczyłam twoją pracę.

– Nie przejmuj się, jeśli chcesz, możesz mi teraz pomóc naprawić szkody.

Gala znów odpowiedziała uśmiechem. Wciąż nie podnosiła głowy, ukrywając połowę twarzy w dłoniach. Oboje uznali, że najlepiej będzie, jeżeli zerwie się gwałtownie i jednym szarpnięciem odklei od ławki. Zaparła się nogami i z pomocą Amata wstała, zostawiając na drewnie kawałek tkaniny. Oboje upadli na podłogę jak dzieci, skręcając się ze śmiechu.

Amat nie mógł się powstrzymać, żeby na nią nie patrzeć, znów pozwolił jej rzucić na siebie urok, zapragnął zatrzymać ją przy sobie, choćby przyklejoną do ławki. Gala zgodziła się zostać jego pomocnicą, postanowiła wziąć się do roboty, żeby usunąć ślady dzinsów z mebla, a z serca wszystkie żale. Miała ochotę spędzić tu kilka godzin, bo chociaż wypięła się na to miejsce, zawsze przyciągało ją jak potężny magnes. Amat, jak mógł, przedłużał naprawę, puścił wodze fantazji, wymyślając nowe sposoby malowania i fakturowania powierzchni, za wszelką cenę chciał przeciągnąć to spotkanie, żeby mieć ją blisko jak najdłużej, nawet gdyby miała na tym ucierpieć niewłaściwie odnowiona ławka. Miło spędzali czas w ciszy, wymieniając milczące uśmiechy i ukradkowe spojrzenia. Dzieląc ten moment intymności, bardziej niż mebel restaurowali tę swoistą chemię, która istniała między nimi od pierwszego spotkania, choć nigdy nie zrobili z niej użytku. Przez chwilę Amat miał ochotę wyznać Gali swoje uczucia, kusiło go, żeby o nią zawalczyć. Siedząc na piętach z pędzlem w dłoni, wyobrażał sobie, jak odważnie wygłasza mowę o miłości, najblęskotliwszą, jaką kiedykolwiek słyszano. Gala, przyjąwszy tę samą pozycję, przyglądała się, jak pogrążony w myślach błądzi zagubionym wzrokiem. Przylapała się na tym, że zjeżdża spojrzeniem w stronę kącika jego warg; dała się ponieść niepoohamowanemu pożądaniu i skradła mu całusa, po czym jak mała dziewczynka udała, że wraca do klejenia.

Amata zamurowało, zapragnął przeżyć ten ulotny pocałunek jeszcze wiele razy. Ocknął się dopiero wtedy, kiedy zobaczył przed oczami pędzel, którym Gala poruszała jak wahadłem, żeby sprawdzić, czy mężczyzna żyje.

– Przepraszam, zamyśliłem się...

Gala z uśmiechem wróciła do pracy, zdziwiona, że nie zareagował na nieśmiały pocałunek, i zawstydzona swoim szczeniackim wybrykiem.

– Czy... ty mnie pocałowałaś? – rzucił rozbawiony.

Gala potaknęła głową; miała ochotę stopić się z drewnem. Amat poszukał jej spojrzenia, tak bardzo chciał upolować kolejny pocałunek, mniej ukradkowy i dużo dłuższy.

– Chyba w twojej wyobraźni, nie sądzisz?

Rozweselona zasłoniła pędzlem twarz, żeby uniknąć kolejnego kontaktu. Ciągnęła głupie igranie z hormonami, zwłaszcza testosteronem, które zaczynały swój magiczny taniec. Amat nie mógł powstrzymać westchnienia typowego dla osoby zakochanej; ryzykując, że wyląduje w bajrze, gdzie na ustach może poczuć najwyższy smak błota, postanowił w ten ostatni dzień roku odstawić na bok rozsądek i zagrać z losem w pokera, świadom, że grozi mu przegrana.

Oboje cieszyli się tą intymnością, sprawiało im przyjemność brudzenie rąk, przypadkowe muśnięcia skóry, rodzące się podniecenie, które w końcu zamieniło się w jedno wielkie pożądanie. Nie rozmawiali, ledwo wydukali kilka słów, woleli porozumiewać się dzięki mowie ciała, oddać się zabawie w przyciąganie. Chociaż nie wyszli poza ten niewinny pocałunek, podsycali swoją namiętność przed nocą, która zapowiadała niezły pokaz fajerwerków, nie tylko dlatego, że była ostatnią w roku.

Dominowały czerwień i złoto. Adele i Marc pomogli Francisce starannie udekorować duży stół kwiatami odpowiednimi na tę okazję. Święta zdecydowała się na czerwone i białe amarylisy, żeby podczas ostatniej kolacji roku królowało piękno, a na środku umieściła olbrzymi bukiet rozmarynu, obsypanego liliowymi kwiatkami, żeby zachęcić do wspomnień, zaprosić gnomy, które czynią je niezapomnianymi. Dzieci z radością uczestniczyły w prywatnej lekcji poświęconej kwiatom i ich znaczeniu. Adele dowiedziała się, że każdy rodzaj jest przeznaczony na inną okazję i że od starożytności kochankowie porozumiewali się za pomocą kwiatów, które sobie przesyłali.

Agnès spędziła prawie cały dzień w kuchni, żeby móc ugościć w restauracji połowę wsi. W La Mudze tradycyjnie świętowano ostatnią noc roku wspólnie, jakby chodziło o jedną wielką rodzinę. Okres poprzedzający przygotowania był zawsze stresujący, bo każdy chciał czuć się ważny i mieć ładnie przystrojony stolik. To zadanie przypadło Francisce, która jako znawczyni owoców ziemi robiła dekoracje ze skarbów przyrody: ożywionej i nieożywionej. Jej stroiki były słynne w całej okolicy. Podobnie jak w przypadku szopki, wszyscy chcieli znać tegoroczny motyw przewodni. Święta na pożegnanie roku dwa tysiące dwunastego wybrała drewno, rozmaryn i zasuszone słoneczniki pomalowane na złoto. Goście zachwycali się pięknem jej ozdób, ale dla niej ważniejsze były ukryte w nich dobre wróżby i życzenia na nadchodzący rok.

– Ten stroik wypełni nas radością i kreatywnością na dwa tysiące trzynasty rok.

Adele i Marc spędzili całe popołudnie, krążąc między Świętą a Czarodziejką, a raczej między stołem a kuchnią. Agnès rządziła tam według własnych zasad i tak jak Francisca kwiaty, ona wybierała na tę noc specjalne przyprawy.

– Dużo cynamonu i mało ostrości!

– I czekolada, prawda?

Wszystkie trzy uśmiechnęły się, słysząc uwagę Marca, niepoprawnego łakomczucha. Smuciło go niewiele rzeczy, jedną z nich byłoby przegapienie kolacji uświetnionej tortem czekoladowym.

Kate i Joana szykowały się na ten wieczór w Can Brugat. Joana obiecała przyjaciółce, że pomoże jej... zrobić makijaż! Nie licząc incydentu na lotnisku podczas próby ucieczki, dziewczynka nigdy nie pudrowała sobie twarzy ani nie malowała rzęs, nie miała na to ochoty, ale

Joana potrafiła być bardzo przekonująca. Kate wreszcie pozwoliła, żeby się nią zajęła i zrobiła z niej porcelanową lalkę. Joana nie była specjalistką od makijażu, ale nauczyła się kilku sztuczek polegających na naśladowaniu stylizacji amerykańskich gwiazd z lat pięćdziesiątych.

Kate patrzyła w lustrze na swoje falujące włosy i dorobione rzęsy, próbując odnaleźć siebie pośród całej tej sztuczności. Nie wiedziała, co robić, była gotowa nawrzeszczyć na przyjaciółkę i rzucić się na nią za to, że zrobiła z niej pajaca, ale kiedy zobaczyła odbicie Joany, która wyglądała podobnie albo jeszcze gorzej, wybuchnęła śmiechem i zgodziła się podczas tego sylwestra tworzyć z nią komiczny duet.

Joana zrobiła sobie makijaż à la Marilyn Monroe, włożyła złotą perukę i domalowała pieprzyk nad karminowanymi ustami. Jej podobieństwo do najbardziej pożądanej blondynki Hollywoodu było dalekie, niemal niedostrzegalne, ale własne przekonanie zazwyczaj liczy się bardziej niż innych. Kate ubóstwiała przyjaciółkę właśnie za tę jedną z jej złotych zasad: kiedy świat zmusza cię do odliczania wstecz, ważne, żebyś nie ulegała, tylko szła naprzód. To inni w końcu zmieniają zdanie!

Joana nie była doskonała ani się za taką nie uważała, ale wierzyła w siebie, choćby na świecie nie było ani jednego człowieka, który podzielałby jej opinię. Kate bardzo się podobała ta zniewalająca pewność siebie, którą jej przyjaciółka okazywała w naturalny sposób, z szerokim uśmiechem i uwagami wywołującymi w słuchaczach dziwne milczenie. Zwykle unikamy krępujących sytuacji, a Joana lubiła się w nich pławić i cieszyć nielicznym towarzystwem osób gotowych zrobić to samo.

Wszyscy mieli się stawić w restauracji o dziewiątej, ale niektórzy przybyli pół godziny przed czasem. Piękna przyszła sama; parskała niezadowolona, bo jej syn postanowił przyprowadzić na kolację osobę towarzyszącą: przyjaciela, mężczyznę, o którym niewiele wiedziała i którego rzadko widywała. Agnès uśmiechnęła się, kiedy usłyszała o tym przyplwywie odwagi biednego Paua, który wreszcie postanowił nie uciekać przed własnym życiem. Teresa i Alfonso zjawili się wystrojeni, jakby szli na kolację w kasynie w Pereladzie: ona w futrze i naszyjniku z pereł, on w smokingu. Ciekawe, że podczas tej kolacji, żegnając rok, wszyscy pokazywali się takimi, jakimi byli naprawdę, a Forgasowie jak zwykle musieli wyeksponować swoją pozycję finansową i społeczną. Chociaż Brugatowie byli najstarszym rodem we wsi, Tomasa stanowiła kompletne przeciwieństwo Forgasów, jeśli chodzi o zbytek – ubierała się i zachowywała skromnie, wręcz ascetycznie. W powietrzu czuło się zazdrość, więc Święta umieściła w każdym rogu poinsecje, słynne gwiazdy betlejemskie mające hamować wszystkie niskie instynkty.

Amat przyszedł sam. Tuż przed kolacją, świadom, że marnuje swoją ostatnią szansę, zadzwonił do Francuzki Béatrice i z nią zerwał. Nie był jedyną osobą, która postanowiła przypieczętować rozstanie kilka godzin przed sylwestrem, ani jedyną, która przyszła sama na imprezę. Ze zdenerwowania wystroił się jak bożonarodzeniowa choinka, niewłaściwie łącząc kolory i tkaniny. Na jego widok goście odruchowo mrużyli oczy. Naldzie nie podobała się decyzja syna o wystawieniu Béatrice do wiatru w ostatniej chwili – nie żeby szczególnie lubiła Francuzkę, ale domyślała się powodów tej niespodziewanej zmiany planów.

Powoli nadchodzili pozostali goście, kładli paczuski pod choinką, która tej nocy pełniła rolę drzewka życzeń. Zgodnie z tradycją każdy musiał zostawić zawiniątko zawierające jakieś życzenie na nadchodzący rok. Po wybiciu dwunastej, połknięciu winogron i wzniesieniu toastu cavą, do której trzeba było wrzucić złoty przedmiot, rozdzielano prezenty. Miały wskazać, co zaoferuje każdemu nowy rok. Wielu uważało ten dawny zwyczaj, w sumie wesołą zabawę, za wiarygodną zapowiedź swojej najbliższej przyszłości. Czerwona uwielbiała drzewko życzeń i wierzyła w mądrość jego wyborów.

Kate i Joana przyszły z poczciwym Aleiksem, który postanowił wystroić się na tę okazję w białą koszulę z czerwoną muszką. Bardzo lubił muszki i chociaż wywoływały śmiech wśród jego koleżanek, cieszył się, że może pierwszy raz wystąpić w tej, którą dostał od rodziców na urodziny. Kate uśmiechała się, szczęśliwa, że ma przy sobie tych dwoje ufoludków, których bawi odmienność i nie krępują zdumione spojrzenia innych. Podobała jej się czerwona muszka Aleiksa i jego wypolerowane buty; ogarnął ją wstyd, kiedy przypomniła sobie o swoich lokach i sztucznych rzęsach w stylu lat osiemdziesiątych i filmu *Rozpaczliwie poszukując Susan*.

Marc i Adele chodzili z drabiną i wieszali na wszystkich drzwiach wiązki jemioty, jak nakazywała tradycja i jak poleciła im Święta.

– Pocałunki są nieodzowne podczas takiej nocy jak ta, wiecie?

Przytaknęli ruchem głowy, nagle zawstydzeni. Nie byli dorosłymi, ale dzieci, podobnie jak starszankowie, na własny sposób przeżywają seksualność. Marc i Adele w swojej dziecięcej niewinności także doświadczali przyjemności płynącej z pożądania i bycia pożądanymi.

Gala ledwo się powstrzymywała, żeby nie nawrzeszczyć na matkę, która od półtorej godziny siedziała w łazience, biorąc prysznic. Zegarek wskazywał za dziesięć dziewiątą, więc jeśli jej nie popędzi, nie zdąży nawet przed północą. Obiecała wcześniej Julianne, że na nią zaczeka, ale nie zamierzała się spóźnić z powodu przesadnej kokieterii matki. Sama była gotowa w dziesięć minut, nie miała ochoty za bardzo się stroić, a tym bardziej robić z siebie pośmiewisko. Powstrzymała się, żeby nie wrzasnąć na całe gardło, i z wściekłością wczepiła palce w poręcz starego fotela z uszami. Wiedziała, że nie jest do końca sprawiedliwa wobec matki, która od pobytu w Barcelonie starała się z nią normalnie rozmawiać i okazywać jej zrozumienie. Galę zdziwiło nawet, że postanowiła spędzić ostatnie dni w domu, z nią i dziewczynkami, że wzruszyła się na widok ścian Can Xatart i że patrzy na nią z miłością i współczuciem, rozumiejąc i szanując jej obojętność. Gardziła sobą, że odrzuciła matkę; strach przed miłością i odrzuceniem był jednak silniejszy. Bolało ją, że tłumi chęć objęcia Julianne i wyplakania przed nią wszystkiego, za czym tak bardzo przez lata tęskniła. Nie była już małą dziewczynką, ale od kilku dni właśnie tak się zachowywała; nie potrafiła rozmawiać z matką, otworzyć serca i zrozumieć jej wyborów. Pragnęła spojrzeć w przyszłość, nie umiała jednak zapanować nad skurczami żołądka i napadami szału, że została pozbawiona upragnionej miłości i czułości. Julianne zaś postanowiła zapłacić za swoje decyzje, ale nie zamierzała oglądać się za siebie nawet po to, żeby złapać oddech. Wiedziała, że zbłądziła, że zgubiła po drodze wiele rzeczy, wierzyła jednak, że nadszedł moment, by zacząć żyć zgodnie ze swoimi uczuciami, bez skaz, bez próżności i zasłony nonszalancji.

– Idziemy?

Gala spojrzała na Julianne z podziwem, jaki budzą w nas osoby, które przyszły na świat obdarzone dobrym smakiem i wrodzoną elegancją. Zanim zdążyła wstać, matka przytuliła ją i szepnęła na ucho, że jest z niej dumna. Te słowa uderzyły Galę niczym młot; zasnuły wilgocią jej oczy i odjęły jej mowę, bo dotąd nie zaznała takiej czułości. Uścisk trwał zaledwie chwilę, wystarczająco krótką, żeby nie krępować Gali i nie zmuszać jej do odpowiedzi. Julianne dała się ponieść impulsowi, powiedziała córce, że ją kocha, i zakończyła scenę nieśmiałym, ale mocnym objęciem. Wyszła na patio popatrzeć w gwiazdy i odetchnąć powietrzem, za którym w głębi duszy tak bardzo tęskniła. Przypomniła sobie, jak Román powtarzał jej, że taki zapach wydziela ziemia, kiedy cieszy się dobrym zdrowiem, a ona robiła wtedy niezadowolone miny, jednocześnie się uśmiechając.

Gala siedziała, patrząc przed siebie zagubionym wzrokiem, ciało jej ciążyło, nie mogła się podnieść, nie do końca docierało do niej to, co przed chwilą zaszło. Była zbyt krucha, żeby przyjąć bez wzruszenia spełnienie marzenia z dzieciństwa – aby matka ją przytuliła i szepnęła jej

do ucha, że ją kocha. Chwila szczerości wystarczyła, żeby zniknęła cała sztuczność tego wieczoru. Gala poczuła, że odsłoniła się przed nią prawdziwa miłość, taka, która czuwa, choć czasami krzywdzi, która jest obecna nawet wtedy, gdy niby jej nie ma, która wraca, bo nigdy zbyt daleko się nie oddaliła. Minęło trochę czasu, zanim doszła do siebie i zebrała siły, żeby wstać z fotela. Julianne czekała na zewnątrz, nie spieszyło jej się, upajała się wspomnieniami, które ożyły, kiedy znów weszła do Can Xatart. Po uzdrawiających egzorcyzmach na cmentarzu uznała, że nadszedł moment, aby przekroczyć próg domu, który teraz będzie należał do jej córki, jeśli tylko zdoła ją przekonać, żeby zrezygnowała ze sprzedaży. Samotnie obeszła wszystkie pomieszczenia, uświadamiając sobie, że w La Mudze czas płynie w innym tempie. Chętnie obejrzała zdjęcia zmarłych.

Jak co roku Agnès i Francisca wrzuciły do szklanego słoika karteczki z imionami, żeby każdy wylosował sąsiada przy stole. Tradycyjnie u szczytu zasiadała najstarsza osoba, a o rozmieszczeniu pozostałych, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, decydowały wyciągane bileciki. Zaczekano, aż pojawią się Gala i Julianne i minie pierwsze wrażenie po spotkaniu z Marlborough po tylu latach. Amat przerwał ciszę, proponując nowo przybyłym po kieliszku wina. Czerwona szybko zarządziła losowanie, żeby zapobiec większemu zbliżeniu syna i Gali. Piękna pierwsza zajęła miejsce przy stole i wyciągnęła karteczkę.

– Tomasa!

Agnès i Jacinto z rozbawieniem obserwowali, jak zmienia się wyraz twarzy biesiadników, kiedy los usadza ich przy kimś, do kogo w ciągu mijającego roku niemal się nie odzywali. Tak było w przypadku Bogaczki i Pięknej, które choć nie pały do siebie sympatią, żyły w pokojowych stosunkach i darzyły się szacunkiem.

Julianne wylosowała miejsce obok Amata; była gotowa zamienić się z córką, ale Czerwona zaprotestowała, bo nie chciała, żeby syn i Gala jeszcze bardziej zbliżyli się do siebie podczas kolacji. Kate, Adele, Marc, Joana i Aleix mieli własny stół, który dzielili z innymi dziećmi. Wina było równie dużo, co śmiechu i głośnych rozmów. Powściągliwy spokój...

Zbliżała się północ, włączyli przenośny telewizor, który Vicente zawsze przynosił, żeby mogli posłuchać bicia zegara. Podzielili winogrona<sup>[63]</sup> – woleli być przygotowani – i dalej opowiadali różne historyjki. Gala i Amat wodzili za sobą wzrokiem, ale nie odważyli się wstać od stołu, choć podano już desery. Gala wciąż spoglądała na Amata, uważnie obserwowana przez matkę, dla której, ku jej zaskoczeniu, wszyscy byli wyjątkowo grzeczni. Wszyscy oprócz Naldy, która mimo lekkich kopniaków, jakie wymierzał jej pod stołem Vicente, przez cały wieczór nie zaszczyciła jej nawet jednym miłym słowem. Wołała zrezygnować z uprzejmości, żeby nie wymknęła jej się jakaś obelga, która zepsułaby dobrą atmosferę.

– Nie zmieści mi się w buzi dwanaście winogron...

Adele martwiła się, że nie zdoła połknąć po jednym winogronie przy każdym uderzeniu zegara. Marc próbował dodać jej otuchy, ale była przybita, bo wiedziała, że jeśli wraz z dwunastym uderzeniem nie włoży do ust ostatniego owocu, nie spełni się jej życzenie. Ze zdenerwowania prawie nic nie zjadła. Nękało ją poczucie bezradności – po południu zrobili kilka prób i ani razu nie udało jej się ten wyczyn. Miała zbyt małe usta i nie żuła wystarczająco szybko, żeby pomieścić tyle winogron. Joana bawiła smutna mina Adele; nie знаła nikogo, kto by tak poważnie podchodził do noworocznych życzeń o północy. Darzyła jednak dziewczynkę szacunkiem, bo każde marzenie jest jedyne w swoim rodzaju i nikt nie ma prawa osądzać innych, choć często ulegamy pokusie i gorliwie się temu oddajemy.

– A gdybyśmy ci wybrali mniejsze winogrona? Może wtedy...

Adele nadal siedziała ze skrzyżowanymi rękami, ale podniosła wzrok, żeby wysłuchać teorii Joany; może problem tkwił w wielkości owoców, a nie w jej zdolności połykania.

Z pomocą Kate, Aleiksa i Marca Joana zdołała przekonać dziewczynkę, że podoła wyzwaniu. Niełatwo sprawić, żeby ktoś uwierzył w magię, ale jeśli się to uda, sprawia ogromną przyjemność. Adele znów się uśmiechnęła i skupiła na swoim noworocznym życzeniu; mocno zamknęła oczy, zacisnęła usta, pięści... i poprosiła, wierząc, że nie ma rzeczy niemożliwych. Pozostali poszli w jej ślady, pozwolili, żeby otoczyła ich magia. Aleix ujął pod stołem dłoń Kate, która przez kilka minut nie miała odwagi otworzyć oczu, czym wywołała chichot całej grupy. Chłopak spojrzał na nią i z uśmiechem wyznał jej na ucho:

– Kiedyś zbuduję dla ciebie chatę...

Kate zaskoczyła ta deklaracja, spadła na nią niespodziewanie. Nie wiedziała, jak zareagować, ze strachu puściła dłoń Aleiksa i zawstydzona odwróciła głowę, nie potrafiąc znaleźć odpowiedzi.

– *Cinc minuts!*[64]

Vicente wstał, żeby zacząć odliczanie. Wszyscy skorzystali z okazji, żeby wznieść toast i pożegnać dwa tysiące dwunasty rok. Czerwona podniosła swój kieliszek, żeby przypomnieć dobre chwile odchodzącego roku.

– *Vull brindar per la meva amiga Amelia!!!*[65]

Wbiła wzrok w Julianne, pozostali znieruchomieli i umilkli. Nie wiedzieli, jak się zachować w tej krępującej sytuacji. Nikt jednak nie musiał spieszyć na ratunek Amerykance, bo pod wpływem impulsu Julianne także wstała i bez zmużenia oka stuknęła się kieliszkiem z Naldą, nie spuszczać z niej wzroku. W jadalni zapanowała cisza, sztucce zawisły w powietrzu, żeby nie musnąć talerzy; wielu gości wstrzymało oddech, inni przełknęli ślinę, spodziewając się katastrofy.

– Za... Amelię i... za Romana Xatarta.

Jej głos był drżący, niepewny, ale zdołała dokończyć toast i sprawić, że kilka sekund później wszyscy przyłączyli się do niego na stojąco, powstrzymując wzruszenie.

– *Un minut! Neeens, el raïm!*[66]

Skończył się dwa tysiące dwunasty rok, który jak poprzednie lata przyniósł i nieszczęścia, i niedole, i błogosławione podarki z nieba. Wszyscy stłoczyli się z dwunastoma winogronami w dłoniach przed małym telewizorem, który Kate ochrzciła mianem paleolitycznego vintage'u. Gala skorzystała z okazji, żeby podejść do Amata, a Julianne, żeby znaleźć się blisko Gali. Pau podszedł ze swoim przyjacielem do Úrsuli, którą mimo wszystko nadal uwielbiał. Goście zbili się w kupę w oczekiwaniu na cztery uderzenia zegara tuż przed dwunastą, które niektórzy wzięli za wybijanie północy. Amat chwycił Galę za rękę i pociągnął ją w dół schodami. Wyszli na ganek.

– Przegapimy...

– Nasze dzwony brzmią ładniej...

Zaczekali, aż rozlegnie się bicie dzwonów we wsi. Przy pierwszym z czterech uderzeń poprzedzających północ Gala prawie włożyła winogrono do ust, ale Amat delikatnie ją powstrzymał. Marc spojrzał na Adele, przekazując jej swoją siłę; przed czasem pomyślał życzenie: „Niech Adele zdoła połknąć winogrona”. Nie było dla niego nic ważniejszego niż widok przyjaciółki wkładającej do ust ostatni owoc wraz z dwunastym uderzeniem zegara. Zapanował magiczny nastrój, pełen uśmiechów, niepokoju, a nawet ataków kolki.

Zapadła cisza. Bam! Pierwsze uderzenie! Przez kolejnych dwanaście sekund wszyscy skupiali się wyłącznie na połykaniu, na tym, żeby na koniec zostać z pustymi rękami i pełnymi ustami. Bam! Siódme! Joana zawsze oszukiwała i w miarę możliwości połykała dwa winogrona naraz, aby mieć pewność, że zdąży. Kate ciekła z kącika ust strużka soku, bo pochłanianie owoców doprowadzało ją do śmiechu. Bam! Jedenaste! Amat spojrzał na Galę, zanim przełknął ostatnie winogrono, jakby chciał podzielić się z nią swoim życzeniem, ale ponieważ miał pełne

usta, zawisło niewypowiedziane. Gala poradziła sobie z dwunastoma winogronami, podobnie jak Adele, jak Julianne... Jak wszyscy, oprócz Kate, która niemal udusiła się z powodu nagłego ataku śmiechu, jakiego dostała, kiedy zobaczyła, jak pozostali, wpatrzeni w telewizor, pożerają winogrona niczym gremliny.

Wszyscy się rzucili, żeby wznieść toast poprzedzający pocałunki. Wszyscy oprócz Gali i Amata, którzy ukryci przed resztą, pozwolili wybuchnąć ogniowi ciał i pospieszyli się z powitaniem Nowego Roku. Gala uległa dziwnemu pożądaniu, które budził w niej ten mężczyzna; czuła pierwotną potrzebę dotyku, nieświadomego przypieczętowania nadejścia nowego roku niesfornym, niezdarnym i pospiesznym igraniem języków, gdy zetknęły się pierwszy raz i uwolniły powstrzymywaną napiętność. Pozwoliłaby, żeby tu i teraz podniósł jej spódnicę, wszedł w nią bez gry wstępnej, bo pożądanie zawsze ma zaledwie kilkanaście lat i więcej w nim instynktu niż rozumu. Amat chciał dać się ponieść żądzy i dotknąć piersi Gali, rozebrać ją, ulec na chwilę ekstazie, ale w przebłysku opamiętania odsunął się, czując jeszcze w ustach jej smak. Gala błagała go wzrokiem, żeby nie słuchał głosu rozsądku, ale Amat postanowił ugasić ten niebezpieczny płomień.

– Lepiej, żebyśmy wrócili...

Odszedł, poprawiając koszulę, ze spuszczoną głową, żeby nie patrzeć na Galę, która przez dłuższą chwilę stała oparta o ścianę, zdezorientowana tym, co się wydarzyło. „Może mu się nie podobam?” Kolejny raz zdezerterował w ostatniej chwili, uciekł, zostawiając ją z pulsującym podbrzuszem. Potrzebowała kilku minut, żeby dojść do siebie, żeby z jej twarzy zniknął rumieniec i rozplynał się zapach seksu i uwolnionych feromonów. Wyciszyła, jak mogła, niezaspokojone pragnienie, żeby stopić się z Amatem w jakiejś stajni, żeby ich ciała pulsowały jedynym w swoim rodzaju rytmem napiętności. Co się z nią dzieje? A z nim?

Kiedy weszła na górę, napotkała surowe spojrzenie Czerwonej, która odkąd zobaczyła syna, czekała na powrót Gali, żeby potwierdzić swoje podejrzenia. Już wiedziała, że doszło między nimi do spotkania, do zespolenia dusz, którego tak bardzo się obawiała. Doświadczenie życiowe mówiło jej, że oto się na siebie otworzyli. Julianne podała Gali kieliszek wina, ona także wiedziała, co zaszło. Wzniosła toast, ryzykując, że córka nie zechce się do niego przyłączyć.

– *Happy New Year, darling!*[67]

Gala spojrzała na matkę, wypięła, nie wzniosłszy toastu, i spontanicznie rzuciła jej się w ramiona. Wytrąciła przy tym z ręki Julianne kieliszek, który spadł na podłogę, jednak nikt nie zwrócił na to uwagi. Matka i córka stopiły się na kilka minut w uścisku, który wyrażał więcej niż słowa. Kate podbiegła, żeby utworzyć z nimi młyn niczym w rugby, rozemocjonowana sceną i dwoma kieliszkami cavy, które zdążyła już ukradkiem wypić. Adele poszła w ślady siostry i zachęciła Marca, żeby się do nich przyłączył. Potem przyszła kolej na Joaną i pozostałych, którzy niczym żywe ogniwa utworzyli gigantyczny łańcuch miłości, przebaczenia i życia. Święta pomyślała o tym uścisku i o swoim stroiku z rozmarynu, który ma moc przywoływania wspomnień, zamykania w szufladzie wieczności momentu, w którym zblizniają się rany i padają wyznania dodające skrzydeł. Ta chwila trwałaby dłużej, gdyby nie nagłe omdlenie Adele. Dziewczynka padła na podłogę jak długa, wywołując atak paniki Gali, kiedy uświadomiła sobie, że córka jest nieprzytomna.

Amat wziął klucze do auta dziadka Vicentego i bez zastanowienia zapakował do niego Galę, Julianne i Adele. Nie mieli czasu do stracenia, najlepiej było jechać prosto do szpitala w Figueres, niecałe dziesięć minut drogi samochodem.

Gala płakała. Słyszała słaby oddech córki i czuła się bezsilna, bo w żaden sposób nie mogła jej ocucić. „Zapadła w śpiączkę? Co się z nią dzieje?” Głowa pękała jej z poczucia winy, że zaniedbała Adele, nie przykładając zbytnej wagi do omdleń i osłabienia dziewczynki. Jeśli coś

jej się stanie, nigdy sobie tego nie wybaczy. Julianne próbowała uspokoić córkę, ale ponieważ nie znała się na medycynie, nie miała odwagi przekonywać, że z małą nie dzieje się nic poważnego.

Kilka minut później w kierunku szpitala ruszył inny samochód, z Joaną i Kate. Kate zaniemówiła, niemal nie mrugała powiekami, jakby paniczny strach zamienił ją w sopel lodu. Joana przytulała przyjaciółkę i głaskała ją po włosach, ale nie ośmieliła się zrobić nic więcej.

Kiedy ktoś zupełnie nie reaguje... nie wróży to niczego dobrego...



## XII

Trzymała dłoń Adele, która spała spokojnie w szpitalnym łóżku podłączona do kroplówki. Zagrożenie minęło. Gala miała zaczerwienione oczy z powodu braku snu i strachu, który płynął w jej żyłach. Wystarczyła sama tylko myśl, że mogła stracić córeczkę, żeby znów długo nie mogła dojść do siebie. Tej nocy po raz pierwszy poczuła nieznane jej dotąd przerażenie, które jednym dotknięciem zmienia twarz w maskę bez wyrazu i ogranicza życie do oddychania. Wszystko sprowadza się do krótkiej chwili, pstryknięcia palcami, spadającego na ciebie niczym tsunami, które bezlitośnie cię zalewa. Obserwowała córkę: malujący się na jej twarzyczce uśmiech, głęboki oddech, skłębioną pościel i nóżkę wystającą spod kołdry. To był tylko głupi wybryk, bezmyślna zabawa dzieciaków, które nieświadome niebezpieczeństwa, dały się ponieść pragnieniom, nie bacząc na konsekwencje. Omdlenie prowadzące do stanu zapaści, spowodowanej hipoglikemią wskutek przedawkowania tabletek dla cukrzyków. Bardzo proste, a jednocześnie bardzo skomplikowane wytłumaczenie. Trudno zrozumieć szaleństwa innych i nie domagać się od nich wyjaśnień. Żeby postawić diagnozę, wystarczyło zrobić zwykłe badanie krwi i skłonić do wyznań współnika córki, Marca, który zdruzgotany pokazał lekarce pastylki. „Pożyczył” je od dziadka. Któregoś dnia babcia pomyliła je ze swoimi lekami na ciśnienie i zakreśliło jej się w głowie. Doskonały plan! Adele i Marc nie chcieli, żeby pobyt dziewczynki w La Mudze się skończył, więc aby go przedłużyć, postanowili, że Adele musi zachorować. U dzieci cel zawsze uświęca środki, ostatnią rzeczą, o jakiej myślą, są konsekwencje, bo przecież tak niewiele jeszcze wiedzą na temat niebezpieczeństw.

Czy mamy prawo osądzać kogoś, kto walczy o swoje marzenia? W szpitalnej poczekalni każdy na swój sposób zareagował na ten dziecięcy wybryk. Gala poczuła skurcz w żołądku. Julianne, mitygowana przez Amata, siłą się powstrzymała, żeby nie trzasnąć chłopca w twarz, bo nie znajdowała usprawiedliwienia dla głupiego smarkacza. Marc załamał się pod ciężarem wyrzutów sumienia, poczucia winy i rozpaczy, że Adele mogło spotkać coś bardzo złego. Schronił się w ramionach Amata, który pocieszał, jak potrafił, bratanka owładniętego lękiem i niepokojem. Przerażliwy strach na szczęście nie trwał długo, ale tej nocy wszystkim na moment przestało bić serce. Dzięki wstawiennictwu któregoś ze świętych skończyło się na kroplówce z glukozy i całonocnej obserwacji w szpitalu. Nikt nie chciał wracać do domu, nikt nie chciał wychodzić z pokoju, nikt nie chciał opuszczać Adele, ale jedyną osobą, która została do końca, była matka dziewczynki, ta, która darzyła ją największą miłością i która nawet z zaświatów będzie dalej nad nią czuwała.

Amat odwiózł pozostałych do La Mugi i natychmiast ogłosił dobre nowiny mieszkańcom, żeby mogli spokojnie pójść spać. Kolacja dobiegła końca, wszyscy powoli się zbierali. Marc został ukarany, Kate i Joannę wykończył przeżyty strach, a reszta była zbyt pijana albo zmęczona, żeby dalej świętować. Wszyscy chcieli wrócić do swoich domów, żeby po burzy i panice nastąpiła błoga cisza.

Amat też poszedł do siebie, potrzebował czasu, żeby ułożyć sobie w głowie to, co zaszło w ostatnich godzinach. Nie mógł zmrużyć oka. Towarzyszyły mu jedynie trzask i migotanie ognia w kominku, ale nie potrzebował innych kompanów. Zostały zaledwie dwadzieścia cztery godziny do wyjazdu Gali z La Mugi do Nowego Jorku, nie miał innego wyboru, jak przyjąć do wiadomości, że znów zatracił się w niemożliwej, skazanej na niepowodzenie miłości, która pozbawia duszę niezbędnego pocieszenia. Trzask palącego się drewna przynosił ulgę udęczonemu umysłowi, który wprowadził już w ruch koło niedoli, bo nie potrafił jej zaradzić.

Nalda próbowała zasnąć, zamiast baranów licząc chrapnięcia Vicentego, który pod

wpływem lekkiego nadużycia alkoholu w niespełna pół minuty pogrążył się w głębokim śnie. Czerwona zawsze podziwiała jego zdolność odłączania się od świata. Sama próbowała różnych metod i po wielu eksperymentach została przy sumowaniu baranów, chrapnięć czy czegokolwiek innego, byle coś liczyć. Tej nocy jednak to nie poskutkowało, wiedziała, że sen jej nie zmoży, nawet jeśli doliczy do nieskończoności. Była już za stara, żeby nie rozpoznać czasu czuwania, a ta noc właśnie do takich należała. Ze szczytu schodów ukradkiem przyjrzała się synowi, nie zdziwiło jej, że on także nie śpi. Zawahała się, czy powinna zejść i z nim posiedzieć, w końcu jednak zrezygnowała, wiedząc, że nie zdoła zachować milczenia. Bycie matką to od zawsze doświadczanie dotykania nieba i piekła; żadne z nich nie ma końca ani miary. Egzystencja kobiety to nieodłączne godzenie ról: żony, matki, a niekiedy także kochanki. Ona należała do innej epoki i chociaż nauczyła się poruszać w nowoczesnym świecie, doskonale wiedziała, jak ważna jest świadomość własnych ograniczeń, a ją i wnuki dzieliły nie tylko pokolenia, lecz także przekonania i wyznawane wartości.

Amat urodził się z umiejętnością kochania, ale zupełnie pozbawiony wiedzy, jak radzić sobie z miłosnymi ranami. Z wyglądu był gigantem o olbrzymiej sile, ale wewnątrz miał zrobione ze szkła, które łatwo zarysować. Był delikatną istotą w pancerzu dzikusa, którą trzeba nauczyć się czytać, na pewno jednak nie na podstawie tego, co wyraża słowami. Nalda kochała go najbardziej ze wszystkich swoich dzieci. Przyznawała się do tego tylko przed sobą, nigdy też nie ubrała tego w słowa, ale jej serce potwierdzało, że nie można identycznie kochać dwóch osób; podobnie wyglądały jej uczucia do Marca i pozostałych wnuków, których zresztą rzadko widywała, a niewielka potrzeba bycia babcią oszczędzała jej poczucia winy za to... niestosowne faworyzowanie?

Amata i Marca dzieliło całe pokolenie, ale wujek i bratanek byli jakby ulepieni z tej samej gliny: w różny sposób i z innymi doświadczeniem oddawali się w niewolę miłości, nie bacząc na zagrożenia. Czerwona cierpiała z tego powodu, a tej pierwszej nocy dwa tysiące trzynastego roku szczególnie, bo oto obu wbito nóż w serce. Chłopiec zasnął zapłakany, nie mógł nic poradzić na to, że rozdzielono go z Adele, że nie pozwolono mu zostać w szpitalu przy przyjaciółce. Ten rozdzierający serce płacz był typowy dla osoby zakochanej, którą zmuszono do opuszczenia wybranki albo która boi się, że ją straci.

– *Em trombo malament, àvia...*[68]

Nalda nie chciała go pocieszać wiedzą, która przychodzi wraz z doświadczeniem. Nie skarciła go nawet za głupotę, której się dopuścili. Nie lubiła teoretyzować, była zwolenniczką szkoły życia, uważała, że nie należy za wszelką cenę zapobiegać złu, które ma cię spotkać. Marc był wystarczająco wrażliwy, żeby zrozumieć poważne konsekwencje swojego wybryku. Głaskała wnuka po głowie, oferując mu jedyne pocieszenie, jakie znała – swoją miłość – dopóki Morfeusz nie zabrał go do swojego świata. Ku jej radości bóg okazał się litościwy i szybko wziął chłopca w ramiona, żeby ten wreszcie mógł odpocząć.

Z Amatem sprawy miały się inaczej. Nalda wolała w milczeniu obserwować go z daleka. Był bezradny, postanowił zająć myśli rozwiązywaniem sudoku, łamigłówki, którą jakiś japoński spryciarz wymyślił dla uspokojenia coraz bardziej zestresowanych umysłów. Ją liczby usypiały. Wystarczyło, że policzyła do dziewięciu, a zasnęła w jednym z foteli z uszami, stojących w korytarzu.

Trochę dalej, w Can Xatart, w podobnym fotelu czuwała Julianne, sprawdzwszy wcześniej, że Kate już śpi. Zapaliła kilka świeczek i spędziła resztę nocy w towarzystwie wspomnień i życzeń na przyszłość. Z łatwością utkała ze swoich pragnień niewidoczny szal, którym otuliła się tej pierwszej nocy dwa tysiące trzynastego roku. Myślała o córce, o wnuczce Adele, która płaciła za swój wybryk. Znalazła schronienie pośród ścian, które przyjęły ją przed

laty; darzyła je szacunkiem, ale też czuła strach, bo wywiozła daleko część tej ziemi – Romana. W tamtych czasach była zarozumiałą, zakochaną dziewczyną, która myślała, że o życiu wie wszystko, tymczasem żyła w szklanej wieży. Tamta Julianne nie potrafiła odczytać smutku miejscowych ludzi, tęsknoty ukochanego za jego ziemią, za rodziną, polami i niebami tej Empordà, która kryje się przed obcymi i wzywa tramontanę, żeby przepędziła niedole.

Siedząc w starym fotelu, Julianne doznała olśnienia, jednego z tych przeblysków świadomości, którym nie sposób się sprzeciwić... Jak wtedy, gdy pozwoliła Gali wyjechać do internatu, a potem zwymiotowała... Spłynęło na nią przeświadczenie, pewność, kiedy wyobraziła sobie siebie mieszkającą na tej ziemi. Poczowała się dziwnie szczęśliwa, że jest w... La Mudze? W tym momencie szaleństwa i jednocześnie trzeźwości umysłu uznała, że może, koniec końców, jej miejsce jest właśnie tu. Odrzucając coś z tak ogromnym zapamiętaniem, zwykle udaje się ludziom zagrzebać największe lęki; Julianne musiała robić to systematycznie i z wyjątkową determinacją, żeby utrzymać to miejsce w zapomnieniu. Jednak po tylu latach, pragnąc ratować córkę i uniknąć nieszczęścia, znów przyjechała do La Mugi, i chociaż konsekwentnie omijała wieś, Román wskazał jej powrotną drogę. Dlaczego więc miałyby ją opuścić?

Przetarła oczy, spróbowała myśleć rozsądnie, z rozważą, na jaką zasługiwała ta decyzja. Opuścić Miami i zamieszkać w La Mudze? To musiała być tylko szalona zachcianka, owoc bezsennej nocy i nadmiaru wrażeń. Powinna zamknąć oczy, odpocząć, przerwać chaotyczne dywagacje. Umościła się w fotelu, ale gdy mrużyła powieki, aby zapaść w sen, wydało jej się, że w mroku dostrzega jakąś postać siedzącą pod ścianą w dole schodów. Wystraszyła się, że to Román ponownie ją nawiedził. Nic podobnego! To nie był duch, tylko jej wnuczka Kate, która drżąc z zimna, spoglądała na nią w milczeniu, zdziwiona, że babcia nie śpi o tej porze.

– *Is everything all right, grandma?*[69]

Julianne wstała z trudem i podeszła do dziewczynki, żeby okryć ją ogromnym wełnianym szalem. Wokół panował pozorny spokój; jednak rzeczywistość każdej z nich czterech uległa przeobrażeniu i nie dało się zrobić kroku wstecz. Żadna z nich nie była już taka sama; ta ziemia ociosała je za pomocą niezapomnianych przeżyć i chociaż *everything is all right*[70], tak naprawdę wszystko wyglądało inaczej. Kate martwiła się o Adele, obudził ją jakiś koszmar, wystraszyła się, kiedy zobaczyła, że siostra nie śpi w sąsiednim łóżku. Przypomniała sobie, że mała została z matką w szpitalu na obserwacji; pamiętała, że niebezpieczeństwo minęło, ale na widok babci, która zamiast leżeć w łóżku, siedziała w starym fotelu, nabrała podejrzeń, że dorośli nie mówią dzieciom całej prawdy.

– Gdyby działo się coś złego, powiedziałaś mi, prawda?

Julianne skinęła potakująco; zdobyła się tylko na ruch głowy. Nie miała odwagi pokazywać wnuczce rzeczywistości odartej z pozorów – byłoby to nieludzko okrutne. Kate z wyczerpania ciążyło własne ciało, wciąż miała zjeżone włosy po ulotnym koszmarze. Nie chciała być sama ani spać, bała się złych snów i że zamarznie. Julianne zaproponowała, żeby wnuczka towarzyszyła jej podczas tej nocy czuwania, napływu szalonych myśli i najrozmaitszych przywidzeń.

– Chcę wracać do domu, babciu.

Kate rzuciła te słowa, układając drwa, żeby rozpaść w kominku. Lubiła to miejsce, ale wolała wrócić do swojego domu i do wygod. Chciała się spotkać z koleżankami, z Gotham Girls, zobaczyć ojca i jeździć w piątkowe popołudnia na wrotkach po Central Parku. Nie chciała wyjść na niewdzięcznicę, ale należała do innego świata – świata samochodów, neonów, kawiarni pełnych ludzi, niebotycznie wysokich budynków, mieszanki ras, kolorów, muzyki i burzliwego życia. Podobało jej się w La Mudze, jednak jej krew wrzała w innym otoczeniu. Potrzebowała miasta, lubiła czuć, jak zanieczyszczenia z powietrza osiadają na jej twarzy, lubiła

niebezpieczeństwa wiążące się z zabawami na ulicy. Wiedziała, że będzie tęskniła za przyjaciółmi, Joaną i Aleiksem, jednak była z Nowego Jorku, kochała to miasto, które nigdy nie śpi, nie miała ochoty stracić szansy na doświadczanie go jako osoba dorosła. Marzyła o imprezach, wolności i szaleństwach, o których wiele starszych Gotham Girls tyle razy opowiadało, kiedy popołudniami ukradkiem piły piwo i paliły papierosy. Ta ziemia wiele jej dała, pozwoliła nawet poczuć, że wystarczy czyjaś obecność, aby dostać gęszej skórki. A także że przejawem uczuć może być tęsknota za drugą osobą. Kate doświadczyła słodkiego smaku przyciągania, podobania się sobie i komuś innemu. Aleix był jej pierwszą miłością, choć odkryje to pewnie dopiero po wielu latach, bo na razie jej dusza była jeszcze zbyt dzika, zbyt wolna, żeby się poddać temu uczuciu.

Julianne wysłuchiwała zwierzeń Kate, mowy obronnej na rzecz powrotu do domu, która była niczym innym jak odrzuceniem sprzeciwu jej siostry. Kate nie pojmowała, jak Adele mogła narazić własne zdrowie, byle zostać w La Mudze. Żaden z argumentów, które przychodziły jej do głowy, nie wystarczał, żeby zrozumieć szaleństwo siostry. To miejsce, choć pełne tajemnic, piękna i uroku, było tylko wsią z kamiennymi domami, które z daleka wyglądały jak ruiny, mało nowoczesnymi, oryginalnymi i bardzo vintage. Kate miała wyrzuty sumienia, że nie zauważyła, co jej siostra knuje; czuła się przez nią zdradzona. „Byłaby zdolna umrzeć, o niczym mi nie mówiąc?” Adele nie zastanowiła się nad niebezpieczeństwem, widziała jedynie cel, który reszcie wydawał się szaleństwem. Julianne zdała sobie sprawę, że Marc i Adele sprzymierzyli się, żeby dłużej pobyć razem, nacieszyć się swoim towarzystwem i światem, który budowali dla siebie w tajemnicy przed innymi.

– Kiedy spotykasz miłość albo ona spotyka ciebie... życie nie jest już takie samo.

Kate spojrzała na babcię, próbując zrozumieć jej słowa, szukała w nich pocieszenia, ale nie wiedziała, jak to jest, kiedy miłość przenika głęboko przez skórę. Ta wiedza nie zależy od wieku, ale od intensywności uczucia i od tego, w jakim stopniu jest się gotowym na jego przyjęcie. Adele, w odróżnieniu od siostry, poddała mu się bez wahania, szczęśliwa, że odkryła miłość u boku pierwszego towarzysza przygód. O Kate miłość ledwie się otarła, dziewczynka była zbyt zamknięta, żeby przeniknęło ją coś więcej niż przyjemność płynąca ze świadomości, że jest pożądana i sama pragnie. Miłość nie zawładnęła jej duszą, za to duszą jej siostry owszem, i Julianne nagle to rozumiała. Kolejne pokolenia dziedziczą po przodkach emocje – Adele czuła łączność z tą ziemią, podobnie jak Gala, choć nie zdawała sobie z tego sprawy. Julianne przez całe życie była taka jak Kate. Mieszkała w dużej metropolii, otoczona wszelkimi wygodami, polami golfowymi, salonami masażu i sprefabrykowanym światem Miami, który jeśli masz pieniądze, oferuje ci egzystencję, jakiej pragniesz. Przez pół życia wznosiła sztuczne dekoracje, żeby zatuszować swój smutek, swoją słabość, swoją bezgraniczną rozpacz z powodu utraty miłości i tego, że znalazła tylko tę jedną.

Kate dalej wymieniała niezliczone zalety życia w Nowym Jorku, odkryła, że jest patriotką jak jej ojciec, że uwielbia Brada Pitta i że po powrocie do domu obejrzy film *Urodzony 4 lipca* na cześć Toma Cruise'a i wszystkich Amerykanów. Julianne reagowała uśmiechem na każdy przykład przytaczany przez wnuczkę. Potwierdzała się jej teoria, że patriotyzm zawsze wyrasta z desperacji. Rzecz dziwna, ona doświadczała czegoś zupełnie odwrotnego – potrafiłaby odeprzeć każdy argument Kate przemawiający za powrotem do domu. Przestała słuchać wnuczki i oddała się szalonym myślom o remoncie domu Xatartów i uczynieniu z tego kawałka ziemi swojego miejsca na świecie. Będzie potrzeba trochę pieniędzy, żeby wyposażyć go w kilka udogodnień, ale bawiło ją, że mogłaby zdobyć się na takie szaleństwo dla swojej córki, a dla siebie zamknąć koło losu. Nic nie trzymało jej w Miami, jedynie mieszkania, ziemie i konta bankowe, którymi dzięki dobrym pośrednikom z łatwością mogła zarządzać na odległość.

Czyżby traciła głowę? Pomysł, żeby tu zostać, wydawał jej się wariactwem, takim samym jak to sprzed lat, kiedy zakochała się w Romanie i przeciwstawiła rodzinie, wychodząc za niego za mąż, choć mało kto wierzył w tę miłość. Julianne wróciła do sedna sprawy, do postępowania i odczuwania wbrew przyjętym normom, wbrew temu, co ustalili i czego oczekują inni. Była precedensem w rodzinie Marlboroughów, która szczyciła się poprawnością i dobrymi manierami. Czuła zmęczenie życiem w fałszu, próżności i luksusie, zbyt dużym nawet dla kogoś z tym nazwiskiem. Owszem, pragnęła komfortu, ale potrzebowała też prostoty, żeby żyć w zgodzie z samą sobą i ze wszechświatem. Była jeszcze młoda, potrzebowała zmiany; chciała się nauczyć prawdziwie żyć, zapuścić korzenie w tej ziemi, chłonąć jej zapachy, owoce i wartości. Musiała się uwolnić od gorsetu damulki i zostać... bizneswoman!

– Zajmę się VellAntic!

Kate przerwała swój pean na cześć Nowego Jorku i zaniemówiła, powtarzając w myślach to, co – jak jej się wydawało – właśnie powiedziała babcia. Spojrzała na nią zdziwiona, szukając jakiegoś logicznego wytłumaczenia. Julianne zatkała usta dłońmi i patrzyła na wnuczkę niczym nastolatka, która niechcący zdradziła jakiś sekret. Kate nie widziała w tym nic śmiesznego ani sensownego. VellAntic?

– Zastanawiam się, czy nie zamieszkać w La Mudze.

Tym razem to Kate podniosła dłonie do ust, otwierając oczy najszerszej, jak mogła. Na początku pomyślała, że babcia jest pijana i nie wie, co plecie, ale zdała sobie sprawę, że nie o to chodzi. Czyżby mówiła poważnie? Kate zatkało, czekała na ciąg dalszy, na jakieś wyjaśnienie tej bomby, którą zrzuciła Julianne. Znała babcię i nie mogła uwierzyć w jej słowa. To wszystko musiało być tylko chwilowym szalonym pomysłem.

– Nie myśl sobie, że to kolejne wariactwo twojej babki. Mówię poważnie, ale nie zdradzaj niczego matce.

Kate miała już pewność, że babcia mówi prawdę i że – oszalała czy nie – rzeczywiście zastanawia się nad porzuceniem Miami dla... La Mugi? Nie mogła powstrzymać ironicznego uśmiechu na myśl, że Julianne wytrzyma tylko kilka dni i wróci do swojego Miami, ale nie chciała ani nie potrafiła skomentować planów, którymi babcia właśnie się z nią podzieliła. W końcu miała prawo podejmować różne decyzje, a jej pozostanie w La Mudze mogło być dobre dla obu wnuczek.

Czekały, aż z ognia w kominku zostanie tylko żar, a uczynione wyznania osiadą w ich świadomości. Kate owinęła się szalem i bez walki stopiła z kanapą, podczas gdy babcia szczegółowo opisywała jej swoją wizję nowego życia.

Julianne, Gala, Amat i Nalda nie mogli zasnąć tej nocy pełnej potajemnych spotkań, figli zakochanych i wyjawionych marzeń. Koniec, tak jak początek, zawsze jest blisko. Pozostało jedynie przygotować się do pożegnania.

Nie mogła się powstrzymać, musiała pójść na jej grób. Wybuchnęła przed nim płaczem, targana tęsknotą i wyrzutami sumienia po samolubnym, kapryśnym wybuchu złości z poprzedniego dnia. Uśmiechnięty Julià z ukrycia obserwował, jak Gala wyciąga klucz spod kamienia i niczym jedna z miejscowych otwiera bramę cmentarza, żeby odwiedzić bliskich. Nie chciał, żeby go zobaczyła, a tym bardziej nie chciał przerywać jej wizyty – Xatartowie zdawali się wzywać swoich zmarłych sumienniejsi niż inni.

Gala czuła potrzebę, żeby się pożegnać, szukała u babci aprobaty dla opuszczenia tej ziemi i sił, żeby budować swoje życie, nie zważając na to, czego oczekują inni. Nie osądzała siebie, szeptała pojedyncze słowa, które powoli układały się w zdania, aż zamieniły się w szczery monolog skierowany do babci – ostatnie pożegnanie pełne wdzięczności za jej odwagę, zapiski, sukcesy... i dumy z tego, że jest jej wnuczką.

– Babciu... Podobnie jak ty przed laty, dziwnie się czuję, kiedy tak do ciebie przemawiam. Bardzo bym chciała, żebyś żyła, pragnę poczuć, jak twoja siła pomaga mi być bardziej sobą, dodaje wiary, żeby walczyć o własne marzenia. Jeśli mam być szczerą, potrzebowałabym dłuższej chwili wyciszenia; bez córek i bez obowiązków, żeby zastanowić się nad przyszłością. Jestem taka zagubiona... Nigdy nie byłam niczego pewna... Teraz wiem jedynie, że wszystko się zmieniło. Ta podróż odmieniła życie nas wszystkich i już nic nie jest takie samo. Na pewno zachęcałabyś mnie, żebym zostawiła Fredericka, żebym żyła... czuła się żywa... porzuciła obawy... Babciu... jestem taka zagubiona!

Gala zamarła, słysząc własne słowa, pełne strachu przed powrotem, kontynuowaniem dawnego życia, przed rozmową z Frederickiem, z córkami i o nich, przed zbudowaniem sobie życia według własnego uznania, przed rozwinięciem skrzydeł i odzyskaniem spontaniczności. Stała przy grobie dłuższą chwilę, jakby czekała na odpowiedź babci, pragnęła, żeby Amelia wskazała jej drogę, żeby zachęciła ją do budowania życia nawet na krawędzi przepaści, do czucia, że żyje, choćby miało jej się kręcić w głowie. Nabierała ziemi w dłonie i z oczami zaczerwienionymi od płaczu garściami pokrywała nią grób, szepcząc niekończące się podziękowania, czując, że to miejsce należy także do niej i że przepelnia ją dumą. Podziękowała też własnej matce za szalony pomysł zamieszkania w La Mudze, wyremontowania domu i zostania współniczką Amata w VellAntic. Nie była w stanie przewidzieć, czy to się dobrze skończy, ale wyjaśnienia Julianne brzmiały przekonująco, a dzięki jej decyzji Gala nie będzie zmuszona na zawsze oderwać się od korzeni. U stóp grobu przyznała, że chwila szaleństwa przynosi jedynie szkody i że przypieczętowała z Riudaneu sprzedaż warsztatu w jakimś przypływie obłędu. Cieszyła się, że miała przy sobie matkę, która temu zapobiegła, a teraz pragnie zbudować własne życie na ziemi ukochanego męża, że zamierza zostać strażniczką tego ustronia... W pierwszej chwili Galę zaskoczyła ta decyzja, ale szybko przyjęła ją jako zrządzenie losu, który zawsze jest panem sytuacji i czasem przedstawia bieg zdarzeń na inne tory. Nie była jeszcze gotowa, żeby żyć na tej ziemi; nie mogła zostawić Nowego Jorku, nie wyobrażała sobie dziewczynek w tym miejscu, chociaż miała pewność, że dostosowałyby się i znalazły tu szczęście. Jednak najpierw musi się zmierzyć z dotychczasową rzeczywistością, żeby potem na spokojnie zacząć budować nową, swoją i córek. Musi porozmawiać z Frederickiem, muszą dojść do porozumienia dla dobra dziewczynek... Należy wszystko poprzestawiać, tak jak w kostce Rubika, gdzie każda ścianka powinna być w innym kolorze.

Amat siedział na wielkim kamieniu przed cmentarzem; gdyby mógł, zapaliłby papierosa, żeby uspokoić nerwy i zapanować nad chęcią ucieczki. Julianne mu powiedziała, że Gala poszła się pożegnać z Amelią, a ponieważ nie chciał jej przeszkadzać, został przed bramą, czekając niecierpliwie, aż wyjdzie. Przywiodło go w to miejsce nagłe zaślepienie, drżały mu dłonie, przyspieszone bicie serca utrudniało oddychanie. Nie wiedział, co powie, zapomniał wszystko, co przygotował, ale przed laty obiecał sobie, że nie stchórzy w obliczu miłości i że przyzna się do niej, nawet gdyby miał niewielkie szanse powodzenia. Julià, stary mędrzec, ekspert od wyznań miłosnych na cmentarzu, zobaczył go i wyszedł doń z dwoma kieliszkami wina. Cieszył się sławą pijaka, ale niewielu odmówiło wypicia z nim kieliszka, i słusznie. Amat wychylił swój jednym haustem, bez toastów ani porozumiewawczych spojrzeń – tak po prostu!

Zanim Gala opuściła cmentarz, Julià zniknął między grobami, żeby nie przeszkadzać w jednym z momentów intymności – tym razem z udziałem żywych – które tak lubił z daleka podglądać. Gala zobaczyła Amata, dopiero gdy znalazła się niespełna metr od niego. Wyszła z cmentarza ze spuszczoną głową, pogrążona w rozmyślaniach o przyszłości, o swoim życiu i... o Amacie? Biedak zerwał się na jej widok, wsadził ręce w kieszenie, podniósł ramiona, żeby się w nich schować, i zdobył się na wymuszony uśmiech. Galę oblał rumieniec, zdała sobie sprawę,

że czeka na nią, jakby byli parą, jakby pragnął jej wyznać, że ją kocha i nie chce jej stracić. Patrzyła na niego zaczerwienionymi oczami, błagając wzrokiem, żeby nie wyznawał jej miłości, żeby pozwolił jej wytrwać w decyzji, że najpierw musi „zmierzyć się z rzeczywistością, żeby potem na spokojnie zacząć budować nową”. Nie była silną kobietą, tym bardziej kiedy nie wiedziała, czego tak naprawdę chce. Miała w głowie mętlik; nie potrafiła opisać, co czuje do tego mężczyzny. Spojrzeli na siebie z obawą, że nie zdobędą się na odwagę, że każde z nich zapragnie zaraz uciec, że pozwolą, aby czas płynął i zabrał ze sobą ich drżące pożądanie. Amat obiecał sobie, że wykaże siłę w obliczu miłości i będzie walczył, choćby wojna była z góry przegrana. Kopnął kamyczek i zebrał się na odwagę, żeby wyjąć ręce z kieszeni, spojrzeć na Galę i... zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, Amerykanka rzuciła się na niego i pocałowała go, uwalniając namiętność gromadzoną od chwili, kiedy się poznali. Zaskoczony Amat pozwalał, żeby go całowała, czuł drżenie w całym ciele, postawił w stan gotowości niemal wszystkie zmysły. Tracąc równowagę, objął Galę, żeby nie upaść, a chcąc przedłużyć tę chwilę, zaczął oddawać pocałunki. Robili to długo i żarliwie ku zadowoleniu Julià, który z daleka pił za miłość zdolną obudzić martwych.

Amat i Gala niczym nastolatki dali się ponieść ogromnej namiętności. Miłości, która żeby nabrać kształtów, przyjmuje postać pocałunków i bezładnych pieszczot. Spojrzeli sobie w oczy i zobaczyli w nich wielkie pożądanie, które nie potrzebuje słów, pragnienie, żeby się kochać, żeby połączyć dwa nagie ciała, dotknąć każdego pora skóry, zamykając się przed niepotrzebnymi myślami. Amat spojrział na Galę, która – bojąc się, żeby jej znowu nie uciekł – chwyciła go za rękę i położyła ją na swojej piersi teatralnym gestem.

– Nawet nie próbuj mnie teraz zostawić...

Amat wpadł w sidła pożądania i w żaden sposób nie mógł już nad nim zapanować. Zamknął oczy; nie był w stanie się oprzeć, trzeci raz zatonął w ramionach Gali, które stały się dla niego całym światem. Szybko wybrał schronienie, w którym mogliby dać upust namiętności.

– Dalej! Chodź za mną!

Ku zaskoczeniu Gali puścił się biegiem. Ruszyła za nim bez wahania. Tym razem nie przeszkodzi jej ani alkohol, ani wyrzuty sumienia, ani to, że jest mężatką. Była pewna, że teraz jej życiem rządzi ciało; rozum może robić, co chce, został wyłączony eksplozją hamowanego pożądania, chaotycznych uczuć, które budził w niej ten mężczyzna i na które nic nie mogła poradzić. Być może było jej to potrzebne, aby „zmierzyć się z rzeczywistością, żeby potem na spokojnie zacząć budować nową”. Zdenerwowani, niecierpliwi, radośni niczym para nastolatków, dotarli do celu, niemal bez tchu, dodatkowo podnieceni myślą, że wreszcie spełni się pragnienie i ich ciała spleją się w miłosnym uścisku.

Weszli na górę i nie myśląc, że dzieci mogą odwiedzić swoją kryjówkę, stopili się w gorącym pocałunku. Połączyły ich westchnienia, usta układające się w znaki nieskończoności i upajające ukradkową przyjemnością. Gala przyciągnęła głowę Amata do swoich piersi, które aż błagały, żeby się nimi zajął, gotowe na bezmierną rozkosz. Śmiejąc się, trochę nieudolnie zerwali z siebie ubrania; obojgu było spieszo, żeby się ze sobą zjednoczyć. Nadszedł moment, gdy dwa ciała łączą się w rytmicznym ruchu prowadzącym do ekstazy. Angażując wszystkie zmysły, Amat podróżował po mapie, jaką było ciało Gali; ona oferowała mu w zamian rozkosz, gotowa przedłużać bezmierną przyjemność, erotyczną grę, pieszczoty, szaleńcze pocałunki... Amat pragnął tego samego. Kochankowie oddawali się miłosnej grze bez psychicznych ograniczeń i hamulców, odbywali erotyczną podróż, poddając się nieposkromionemu pożądaniu. Ciągnęła ich do siebie pierwotna siła, w końcu dotarli w głąb swoich dusz, dosięgnęli bezkresnego nieba, żeby narysować na nim kolejną gwiazdę, będącą iskierką nadziei na osiągnięcie samej esencji miłości. Stopili się w płomieniu, w ogniu kochanków, którzy pierwszy raz dzielą łożo. Odsuwali

ekstazę tak długo, jak długo pozwoliły im na to ich rozpalone ciała, eksplodowali jednocześnie, na kilka sekund tracąc kontakt ze światem, żeby otrzeć się o odległe galaktyki.

Wrócili na ziemię, onieśmieleni, świadomi tego, co się wydarzyło. Gala zwinęta w kłębek odwróciła się tyłem do Amata, próbując dojść do siebie po tym, co wspólnie przeżyli. Amat głaskał ją po plecach, szukając w sobie odwagi, by jeszcze bardziej uwiecznić tę chwilę.

– Nie mogę cię prosić, żebyś nie wyjeżdżała... Nie mogę i nie powinienem... Nie wiem...

Gala bała się odwrócić, a Amat zdołał wybełkotać zaledwie kilka nieporadnych słów. Musiał to z siebie wyrzucić. Jego palce niczym pędzle malowały niewidzialne wzory na plecach ukochanej, kiedy szukał słów pełnych magii.

– Ja cię... kocham... Tylko tyle... Wiem tylko tyle.

Wymawiał te słowa, jednocześnie wypisując je palcem na skórze Gali, czym wywołał uśmiech na jej twarzy. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz, którego nie potrafiła powstrzymać. Nie odpowiedziała, nie musiała... Amat zresztą wcale o to nie prosił. Leżeli w milczeniu, nadzy, przytuleni, czując pulsowanie własnych ciał, mierzyli się z przeznaczeniem, które na razie pozwoliło im przynajmniej doświadczyć przyjemności dzielenia łoża, ekstazy i namiętności.

– Jak się czujesz?

Marcowi nadal było wstyd z powodu głupiego wybryku, który niemal zagroził życiu Adele. Dziewczynka siedziała na patio Can Xatart, przepełniona strachem i żalem. Przytuliła się do Marca i bez powodu wybuchnęła płaczem. Chciała odreagować to, co przeżyła w ostatnich godzinach, w ramionach kogoś, kto nie zażąda od niej, żeby wyjaśniła powód tych łez. Musiała rozładować napięcie, pozwolić, żeby złość odpłynęła niczym rzeka skarg, i ponownie wypełnić się radością, którą zawsze nosiła w sercu. Marc zeszywniał, podtrzymywał przyjaciółkę, przeżywał w milczeniu bezsilny smutek, jaki czuł, widząc jej cierpienie. Julianne wycofała się pospiesznie, ukryła w domu, żeby nie przeszkadzać dzieciom w tym momencie intymności. Niemal wpadła na Naldę, którą zaprosiła z wnuczkiem do Can Xatart na herbatę.

Postanowiły zostać w środku i tam pogadać; ta rozmowa wisiała nad nimi od wielu lat. Obie ukrywały piekące rany, które wcześniej czy później musiały odsłonić.

– Zostaję w La Mudze, wiesz?

– Ty?

Czerwona nie mogła się powstrzymać, żeby nie spojrzeć na Julianne ze zdziwieniem pełnym pogardy. Decyzja Amerykanki wprawiła ją w osłupienie. Była już za stara, aby wierzyć, że ludzie się zmieniają, a na myśl, że Julianne zostanie w La Mudze i zamieszka w domu przyjaciółki, zamiast zadowolenia poczuła mdłości. Nie miała ochoty ciągnąć tej rozmowy, próbowała dopić herbatę jednym haustem, ale jedynie poparzyła sobie wargi. Złorzeczyła w duchu, że musi znosić tę ciężką atmosferę. Obie siedziały w milczeniu, ze spuszczonego wzrokiem, jakby czekały, aż herbata ostygnie wystarczająco, żeby mogły uznać spotkanie za zakończone. Czerwona nie tylko miała poparzony język, czuła także gorąco promieniujące z dolnej części brzucha, które niczym błyskawica wznosiło się ku przetykowi i domagało zrobienia miejsca krzykom, obelgom i wymówkom. Ryzykując zawał serca, tłamsiła to w sobie, stukając jedynie palcami w filiżankę. Julianne obserwowała ją kątem oka. Była w stanie zrozumieć, że Czerwona jej nie akceptuje, że jest na nią wściekła, że pragnie stąd uciec i na zawsze zatrzaskać za sobą drzwi. Ona też czuła niepokój związany z konsekwencjami pozostania na tej ziemi, spacerowania po łąkach, wystawiania się na huraganowe wiatry, słuchania dzwonów, dotykania glinianych ścian, poruszania się po równinie otoczonej górami. Nie potrafiła podać logicznego wyjaśnienia swojej decyzji. Czasami trafnymi argumentami są te najmniej rozsądne i niedające się wyrazić słowami. Julianne czuła ucisk w żołądku, wiedziała, że będzie



miała przeciwko sobie całą wieś, ale musiała pożyć na tej ziemi. Jej wcześniejsze decyzje bez wątpienia sprawiły cierpienie mieszkańcom tego domu, najpierw Amelii, a potem Gali, gdy odkryła, że jej babcia zmarła dopiero niedawno i że z winy matki nigdy jej nie poznała. To prawda, że Julianne chciała się odgrodzić od bólu, dlatego zapieczętowała swoje serce i przez lata walczyła z pamięcią. Pragnęła zapomnieć o tym, co się wydarzyło, o tym, że pewnego dnia spotkała miłość swojego życia i że ktoś w jednej chwili jej ją odebrał. Pomyliła się: powinna była walczyć nie z pamięcią, tylko z samą sobą, z poczuciem winy wywołanym przedwczesną śmiercią Romana. To ona wyrwała go z tej ziemi, to ona zaciągnęła go do świata próżności, w którym pozory i dobre maniere są ważniejsze od piękna duszy. Chciała, żeby był przy niej, w jej życiu, z jej rodziną... Román zrobił to bez wahania, ale pękło mu serce. Może żądała od miłości zbyt wiele?

Nalda nagle odkryła, że kobieta, z którą pije herbatę, cichutko płacze ze wzrokiem wbitym w podłogę, zatopiona w myślach. Poruszyły ją te milczące łzy. Były gorzkie, ciężkie od poczucia winy. Czerwona pierwszy raz dostrzegła piękno Julianne ukryte w jej kruchości, malującym się na twarzy grymasie cierpienia, jakie zadało jej wybrane, wyśnione życie, przerwane nagle, bez uprzedzenia. Pomyślała, że nikt nie ma prawa osądzać bliźniego i jego decyzji, nawet jeśli ich nie podziela i uważa je za błędne. Nikt nie przychodzi na świat ze znajomością planu własnego życia, dopiero w czasie jego trwania uczy się go rysować, cienką, grubą albo przerywaną kreską. Julianne zrobiła, co uważała za najlepsze, postanowiła zmierzyć się z zapomnieniem. Tymczasem nikomu nie wolno decydować, o czym powinien zapomnieć, o ile nie chce zapłacić za to utratą rozumu. Przez jakiś czas pragnęła popaść w obłąd, przez kilka lat żyła bardziej w chmurach niż na ziemi, ale mimo wszystko zachowała zdrowy rozsądek, a przeżywane w milczeniu cierpienie i próby wyparcia prawdy podpowiadały, że Román na zawsze pozostanie w jej wspomnieniach.

– Muszę tu być, Naldo... Wiem tylko tyle, że muszę tu być...

Czerwona zrozumiała prawdę tych słów. Kolejny raz zdała sobie sprawę, że życie jest wielką tajemnicą, uświadomiła sobie znaczenie, jakie mają dla nas zmarli, potrzebę wsłuchania się we własne obawy. Podeszła do Julianne, usiadła przy niej i przytrzymała jej dłoń w swoich rękach. Zamknęła przeszłość i była gotowa żyć teraźniejszością, żeby móc towarzyszyć Amerykance w jej nowej podróży. Patrzyła na nią z podziwem za odwagę, z jaką stawiała czoło nowym okolicznościom i potrzebom. Obie kobiety przeprowadziły pierwszą od lat rozmowę, przerywaną łzami, śmiechem i chwilami milczenia, pozwoliły, żeby ostygła im herbata, ale także ochota do zarzucania się nawzajem wymówkami. Nalda zrozumiała, że im człowiek starszy, tym szybciej wszystko mija, nawet zadawnione urazy. Kiedy czujesz, że zbliża się śmierć, nie warto żyć z brzemieniem żalów w sercu.

– Nie chcę nigdzie jechać...

Z buzią wykrzywioną jak do płaczu Adele dzieliła się z Markiem swoim smutkiem. Chłopiec nie wiedział, jak ją pocieszyć; stał ze skrzyżowanymi rękoma i przestępował z nogi na nogę. On też nie chciał, żeby Adele wyjeżdżała z La Mugi, ale był przekonany, że jeszcze kiedyś się zobaczą.

– Trzymaj!

– Co to jest?

– Prezent...

Adele otworzyła szeroko oczy, zdziwiona podarunkiem. Co to może być? Uwielbiała niespodzianki zawinięte w kolorowy papier. Nie spieszyła się z rozwiązaniem sznurka. Pacuszka nie była zbyt duża i niewiele ważyła... Adele tak się wzruszyła, że prawie zapomniała o swoich smutkach. Dzieci mają ogromną łatwość zmieniania nastroju i wpadania w skrajne

uczucia. Dziewczynka zużyła całą cierpliwość na rozwiązywanie sznurka, więc bez skrupołów porwała papier i ujrzała prezent: kamyk w kształcie serca.

Milcząc, trzymała go w dłoniach, nie była w stanie unieść głowy ani zamknąć buzi. Marc zaczerwienił się, zakłopotanie objawiło się w postaci rumieńców.

– Żebyś pamiętała o mnie i o La Mudze...

Adele nie potrafiła zapanować nad radością, jaką sprawił jej podarunek, to, że Marc o niej pamięta, że dał jej serce z kamyka i że kocha ją tak, jak ona kocha jego. Bez słowa wstała z krzesła i wybiegła z ogrodu. Weszła do domu, szybko pokonała schody i dotarła do swojego pokoju. W zaciśniętej piątce trzymała drogocenny kamyk. Poszukała dla niego odpowiedniego miejsca, gdzie mógłby bezpiecznie leżeć. Postanowiła włożyć go do walizki między ubrania. Zaczęła w niej grzebać, aż znalazła *Opowieści z Narnii*. Zdecydowanym ruchem chwyciła książki i jak na skrzydłach zbiegła po schodach.

Marc czekał, nieco zbity z tropu, ale miał nadzieję, że Adele szybko wróci. Z wyrazu jej oczu odgadł, że po coś poszła i że wkrótce się pojawi. Weszła do ogrodu z wyciągniętymi rękoma, na jej otwartych dłoniach, niczym jakiś skarb albo korona z kamieni szlachetnych, leżały książki. Marc uśmiechnął się na widok przyjaciółki: posuwała się wolnym, majestatycznym krokiem, z uniesioną bródką, cała aż promieniała. Nie odrywał od niej wzroku. Podeszła do niego i głosem herolda z dworu królewskiego oznajmiła:

– Daję ci swój największy skarb, żebyś o mnie nie zapomniał.

*Opowieści z Narnii!* Wiedział, jak ważne są te książki dla Adele, wiedział też, że za słabo zna angielski, żeby je przeczytać, ale nie miało to dla niego znaczenia. Najważniejsze, że przyjaciółka zostawia mu coś, co najbardziej ukochała. Wziął od niej książki tak delikatnie, jakby były ze szkła.

– Dziękuję, Adele!

Dziewczynka zaklaskała kilka razy, podskakując i jednocześnie obracając się dookoła. Oboje cieszyli się swoimi prezentami – przypieczętowali przyjaźń, wierząc, że miłość jest wieczna, a pamięć nie umiera. Nagle pojawił się Boston, gotów skakać razem z nimi i lizać ich twarze mokrym językiem.

– A Boston...?

Marc patrzył na Adele, z niecierpliwością oczekując odpowiedzi.

– Zostaje z babcią. Ktoś musi się nią opiekować...

Dziewczynka powiedziała to łamiącym się głosem, z nieobecnyim spojrzeniem. Podjęła decyzję, kiedy się dowiedziała, że babcia zostaje w La Mudze. Boston na pewno będzie szczęśliwszy, biegając po tej ziemi, niż byłby w Nowym Jorku...

– Adeeele!!! Klacz rodzi! Szybko!

Kate i Joana były niezmiernie podekscytowane nowiną, którą przyniosły. Klacz w końcu zaczęła rodzić, a w domu Jowa i Cecilii przygotowywano się do fiesty. Narodziny stanowiły ważne wydarzenie dla całej wsi. Początek nowego życia zawsze zasługiwał na świętowanie. Nalda i Julianne wybiegły na podwórze, zaalarmowane przez Kate i Adele, szybko włożyły kurtki i wszyscy ruszyli w stronę stajni, żeby nie przegapić chwili porodu. Po drodze spotkali Czarodziejkę jadącą z Jacintem furgonetką wyładowaną słodkościami na piknik.

– *La Teresa està arribant amb el vi*[71].

Forgasowie byli już w drodze. Wieś potrzebowała kilkudziesięciu sekund, żeby się porozumieć, były nawet dzwony, ogłaszając narodziny. W La Mudze do tradycji należało uroczyste witanie nowego życia, niezależnie od tego, czy chodziło o człowieka, czy o zwierzę – każde zasługiwało na świętowanie. Gala i Amat też usłyszeli dzwony. Gala nawet nie drgnęła, ale Amat rozpoznał po dźwięku, że zwiastują pojawienie się nowego żrebaka.

– Szybko! Klacz zaczęła rodzić...

Zdążyli jeszcze raz się pocałować, zewrzeć w bezgranicznie namiętnym uścisku, zetknąć ciałami, które znów były gotowe do szturm. Gala wtuliła się w ramiona Amata, nie chciała wracać do rzeczywistości po chwilach rozkoszy. Przedłużyli więc teraźniejszość i odłożyli pożegnanie na później, na nowo ulegając pierwotnym i dzikim instynktom.

Francisca w kaloszach była już w stajni razem z Jowem i Cecilią, gotowa pomóc w podawaniu ogrzanych ręczników lub w czymkolwiek innym, o co poprosi weterynarz Alfonso. Pau ze swoim partnerem i z matką wyładowywali z furgonetki stół i składane krzeselka. Piękna ograniczała się do wydawania poleceń; miała skwaszoną minę, bo musiała znosić obecność „kolegi” syna. Oboje postanowili o tym nie rozmawiać i nie zmieniać sposobu postępowania: on pokazywał się w towarzystwie swojego chłopaka, ona zaś chodziła z wypisaną na twarzy dezaprobatą, że jej syn żyje z homoseksualistą i obnosi się z nim po wsi. Kate i Joana pomagały Pauowi; Julianne i Nalda – Agnès w przygotowywaniu jedzenia. Wreszcie pojawiła się Druga ze swoim Alfonso. Żrebak już pchał się na świat, do narodzin brakowało kilku minut. Tomasa zaparkowała traktor na środku podwórza – wiadomość zaskoczyła ją na polu. Czerwona szukała syna, ale nie chciała o niego pytać, żeby nie zwracać uwagi pozostałych na nieobecność jego i Gali. Wszyscy inni już przyszli; Nalda kilka razy dzwoniła do Amata na komórkę, ale nie odbierał. Julianne także nie mogła się skontaktować z córką. Obie matki postanowiły nie rozmawiać nawet ze sobą o tym, co było oczywiste, udawać, że o niczym nie wiedzą, świętować z innymi i delektować się dobrym winem.

Adele, Marc, Joana i Kate poszli do stajni, żeby nie przegapić najważniejszego momentu. Marc uwielbiał asystować przy narodzinach. Kate ogarnęły mdłości, musiała wyjść, żeby nie runąć jak długa na ziemię. Adele przyglądała się wszystkiemu ze zmarszczonym czołem. Joana otworzyła szeroko oczy i usta, osłupiała z podziwu dla cudu, jakim jest życie. Klacz leżała rozciągnięta na ziemi, wstrząsana lekkimi skurczami. Najpierw pojawiła się głowa żrebaczka, potem z trudem wyszła reszta, a na końcu łożysko. Joana stała ze złożonymi dłońmi, wstrzymywała oddech z wrażenia, jakie zrobił na niej ostatni wysiłek klaczy. Wszyscy stłoczyli się w stajni, żeby nie przegapić momentu, kiedy żrebak pierwszy raz stanie na nogach. Zbiorowe oklaski powitały nowe życie, każdy wysunął kieliszek w stronę nowo narodzonego i wypił za niego i jego dzielną, wyczerpaną wysiłkiem matkę. Święta wytarła żrebaka do sucha i pobłogosławiła go wodą święconą. Jow i Cecilia z podniesionymi kieliszkami podziękowali wszystkim za to, że narodziny stały się świętem życia i miłości, która nigdy nie zawodzi. Gala i Amat, zdyszani i bez kieliszków w dłoniach, przyłączyli się do gości, choć myślami byli gdzie indziej. Zabawa przedłużyła się do późnej nocy, zamieniając się ze świętowania w pożegnanie. Wszyscy chcieli ucisnąć Amerykanki na do widzenia. Tomasa miała tego wieczoru wilgotne oczy. Święta podarowała Gali kilka buteleczek olejku z orchidei, bzu i rozmarynu. Dziewczynki skakały przez ognisko, wypowiadając życzenia i krzycząc do rozgwieżdżonego nieba. Gala i Amat szukali ustronnych miejsc, żeby całować się z dala od spojrzeń, fiesty i wina. Nie mogli, nie chcieli przerwać szaleństwa, jakim było ciągle podsycanie pożądania. Gala niczym pensjonarka nie wiedziała, jak ma się zachować; wznosiła ze wszystkimi toasty, ale jej błyszczące oczy nie dostrzegały nikogo poza Amatem. Nigdy wcześniej nie czuła się tak lekka, uwolniona od myśli i spragniona, żeby ją ciągle przytulano. Julianne dała jej święty spokój, ale nie spuszczała z córki wzroku. Ani z niej, ani z Amata. Oboje tańczyli tej nocy, gotowi dotrwać do świtu...

Wszystko było już zapięte na ostatni guzik, za chwilę miały opuścić tę ziemię... Gala nie patrzyła na zegarek, nie miała ochoty być przezorna ani rozsądna. Nie interesowała się nawet córkami, które patrzyły na nią, jakby ktoś podmienił im matkę. Kate wiedziała, co się dzieje;

babcia musiała ją powstrzymać, żeby nie nakrzyczała na Galę. Nie rozumiała jej zachowania, nie pojmowała, dlaczego całuje się z Amatem ani co chce osiągnąć, udając małą dziewczynkę.

– W miłości nie ma czegoś takiego jak maniery, kochanie...

Kate spojrzała na babcię, nie rozumiejąc, co ta próbuje powiedzieć. Nie zamierzała okazywać matce szacunku, akceptować tego, że całuje się z Amatem na oczach wszystkich. Zresztą nawet gdyby robili to po kryjomu, pocałunki i tak zostawiają po sobie ślad i demaskują sprawców.

– *Where's your respect, grandma?*[72]

Julianne pogładziła Kate po twarzy. Widziała jej brak zrozumienia dla matki, ale miała też świadomość, że życie ma się nijak do norm, przekonań i wartości obowiązujących w grupie, bo jednostka wykracza poza to, co narzucone, wymagane czy właściwe.

– *Some day you will understand your mother. Now let her live without judging her*[73].

Kate nie odpowiedziała, nie rozumiała słów babci. Julianne przecież zawsze osądzała innych i sprzeciwiała się nieprzyzwoitym zachowaniom, zwłaszcza publicznym. Co im się wszystkim stało? To miejsce wywoływało jakieś zdziwienie, wskazywało drogi, na których do głosu dochodziło w człowieku to, co pierwotne i zwierzęce. To, co prawdziwe? Nie wiedziała, co się dzieje, wszystko wokół niej ulegało przeobrażeniu, nie rozpoznawała nawet własnej siostry, która z małej księżniczki przekształciła się w małą dzikuskę. Joana odnalazła przyjaciółkę, zanim ta zdążyła zepsuć zabawę jednym ze swoich kąśliwych komentarzy. Kate siedziała oparta o płot i drżącymi palcami skręcała papierosa, wściekła, bo nie mogła zrozumieć tych wszystkich zmian. Joana pomogła jej zrobić skręta, informując jednocześnie, że rodzice zgodzili się, żeby odwiedziła przyjaciółkę na Wielkanoc.

– W końcu poznam Nowy Jork, wiesz?

Kate ucieszyła się z tej wiadomości, choć musiało minąć trochę czasu, zanim się uśmiechnęła. Joana snuła plany dotyczące monologu, który zamierzała wygłosić w Central Parku, żeby ją zobaczono i rozpoznano w niej przyszłą gwiazdę.

– Dam z siebie wszystko, wiesz? Drżyj, Nowy Jorku...

Kate nie mogła powstrzymać wybuchu śmiechu na widok przyjaciółki wykonującej piruety z rozłożonymi ramionami i śpiewającej ile sił w płucach *New York, New York*.

*Start spreading the news*

*I'm leaving today*

*I want to be a part of it*

*New York, New York*[74]

Kate nie przestawała się śmiać. Joannę ogarnęło wzruszenie, uległa magii słów piosenki, którą tyle razy nuciła w swoim pokoju, marząc o chwili, kiedy znajdzie się w Nowym Jorku. Adele i Marc podeszli, rozbawieni widokiem tańczącej Joany, która wciąż śpiewała, przeżywając każde słowo. Kate przyłączyła się do niej, wzięła ją za ręce i pozwoliła nogom poruszać się w rytm niesłyszalnej muzyki.

*I want to wake up in a city*

*That doesn't sleep*

*And find I'm king of the hill*

*Top of the heap.*

*These little town blues*

*Are melting away*

*I'll make a brand new start of it*

*In old New York*

*If I can make it there*

*I'll make it anywhere  
It's up to you  
New York, New York*[75]

Rozbawieni Marc i Adele dołączyli do tańczących dziewczynek. Głośno powtarzali słowa *New York, New York*, przyciągając uwagę pozostałych, którzy odwracali głowy, żeby zobaczyć występ. Gala patrzyła tęsknie na Amata, świadoma, że czeka ich rozłąka. Amat spuścił wzrok, chciał zapomnieć, że nie będzie jej miał przy sobie i nawet nie powinien marzyć, że kiedykolwiek znów jej dotknie. Wszyscy ulegli czarowi piosenki, który niewidzialną, srebrną nitką połączył La Mugę z Nowym Jorkiem; podczas ulotnej eksplozji pragnień, marzeń i uskrzydłych myśli, czekały ich pożegnania, krótkie albo nieskończenie długie...

Joana rozstała się z Kate, obiecując, że zobaczą się *in the top of the hill*[76]. Padły sobie w ramiona jak dwie przyjaciółki, bratnie dusze, które spotkały się, mimo że pochodziły z przeciwnych biegunów. Marc i Adele zaliczyli swój drugi pocałunek; zawstydzili się, widząc, że nie są sami. Ona ścisnęła jego dłoń i odkryła w niej drugi kamyk w kształcie serca, prawie taki sam jak jej. Popatrzyła na chłopca przekonana, że to jakaś magia. „Jak to możliwe? Kamień taki sam jak mój!” Objęli się, czując, że ich serca biją w tym samym rytmie. To było ich niewinne „kocham cię”, które nie wymagało słów. Wszyscy po kolei pożegnali się, zdmuchnęli świeczki i odeszli. Dzień dobiegł końca, koło życia toczyło się dalej, choć wielu pragnęło, żeby ta chwila trwała wiecznie.

Nalda uściskała Galę, mocno, drżącymi rękoma. Była już stara, niewiele pozostało jej na tym świecie poza westchnieniami, radosnymi albo smutnymi. Nie chciała traktować tej sceny jak pożegnania, było to raczej powitanie na ziemi, która Galę uwielbiła, która będzie nad nią czuwać nawet na odległość. Wyjęła z kieszeni słoiczek z piaskiem i niemal wbiła go Amerykance w brzuch.

– Żebyś nie zapomniała, o nas, o La Mudze, o twojej rodzinie... Jesteś częścią tego wszystkiego, jesteś nasza, tak jak my jesteśmy twoi. Na dobre i na złe, kochana Galu. Ta ziemia doprowadzana do obłędu przez tutejszy wiatr odpędzi twoje obawy, kiedy będziesz tego najbardziej potrzebować. Nie wyrzucaj jej, poczuć jej siłę, jej płodność, jej wieczną zdolność do dawania życia pomimo surowego klimatu...

Czerwona z trudem wymawiała słowa, walczyła ze łzami z determinacją, która przychodzi wraz z wiekiem.

– Twoja babcia byłaby z ciebie dumna. Jesteś wspaniałą kobietą, daj się prowadzić dzikiej stronie swojej natury. Podążaj za instynktami, a zostaniesz nagrodzona. Mówi ci to stara bojowniczką, na podstawie własnego doświadczenia...

Gala raz jeszcze objęła Czerwoną, obiecała, że nie zapomni, że ta ziemia zawsze będzie dla niej czymś najcenniejszym, jak własne życie, jak własna krew, częścią jej samej i częścią tajemnicy życia. Obie kobiety popatrzyły na siebie porozumiewawczo, wiedziały, że już czas. Gala zerknęła na Amata, który trzymał się z boku.

– Droga Galu, może będę żałować tych słów przez czas, jaki mi jeszcze pozostał do przeżycia, ale żeby kochać, trzeba być odważnym. Tchórzostwo pozbawia wszelkich uczuć!

Gala popatrzyła na Amata, spuściła głowę i w milczeniu pożegnała Czerwoną uściskiem dłoni.

Zanim Julianne zabrała dziewczynki do domu, Kate odprowadziła wzrokiem matkę odchodzącą z Amatem. Była jeszcze dzieckiem i nie chciała o wszystkim wiedzieć, życie jednak uparło się, żeby zawsze stawiać ją w pierwszym rzędzie, aby nie przeoczyła żadnego szczegółu. Adele szła zgarbiona, szurając nogami. Nie miała pojęcia, co począć z cierpieniem, które przeniknęło ją tak głęboko, że zapierało dech. Kate spojrzała w oczy siostry i uściskiem dodała

jej sił i odwagi. Uściskiem, jakim tylko starsza siostra może obdarzyć młodszą, widząc jej ogromną bezradność.

Obie zapadły w potrzebny im sen. Czekala je długa podróż do domu, powinny odpocząć – nawet jeśli miałyby to być tylko niespokojna drzemka – żeby ją jakoś znieść. Julianne zdołała zasnąć zaledwie na godzinę. Musiała jeszcze raz przemyśleć powziętą decyzję, umocnić się w swoim postanowieniu, żeby w ostatniej chwili nie zmienić zdania.

Tej nocy zastanawiała się, jak zorganizować swój pobyt w La Mudze, sporządziła w myślach listę rzeczy do załatwienia, dziesiątek rozmów telefonicznych, które musiała przeprowadzić, żeby rozliczyć i zamknąć swoje życie w Miami i rozpocząć nowe na tej ziemi. Wiedziała, że kiedyś będzie musiała odbyć podróż, wrócić do Miami, ale teraz była przekonana, że powinna z tym poczekać... Najpierw musi zadomowić się w La Mudze, wydobrzczyć psychicznie, odnaleźć się, zapuścić korzenie, a dopiero potem polecieć, żeby zamknąć dawne życie. Spędziła kilka godzin, a to dygocąc z zimna, a to znów oblewając się potem; doznawała zupełnie nowych wrażeń, czekało ją przebudzenie, jednak nie czuła strachu, tylko przyływ odwagi, żeby wytrwać przy swojej decyzji, pragnieniu pozostania na jakiś czas w La Mudze, ziemi jej ukochanego Romana...

Gala i Amat spędzili tę noc na pocałunkach, nie nazywając słowami tego, co się z nimi działo. Woleli, żeby połączyły ich ciała pożądanie i bezmierna rozkosz, pragnęli jedynie seksu. Pożegnali się o świcie, w pośpiechu, nie składając żadnych obietnic i nie komentując tego, co między nimi zaszło. Zjednoczyli się w ostatnim pocałunku, po czym rozeszli w przeciwnych kierunkach. Gala liczyła kroki, żeby się tylko nie obejrzeć, liczyła kamienie, żeby nie wrócić po jeszcze jeden pocałunek, liczyła cokolwiek po drodze, żeby ich spojrzenia już się nie spotkały. Amat stał nieruchomo, jakby czekał na śmiertelny strzał. Nie mógł się powstrzymać, odwrócił głowę i patrzył, jak ona odchodzi, jak się rozmywa, aż stracił ją z pola widzenia i kontemplował już tylko jej zapach, jej smak. Uczestniczył w narodzinach nowego dnia, czuł ciepło słońca grzejącego z coraz większą siłą. Odetchnął głęboko, żeby zaczerpnąć trochę jego energii potrzebnej, aby wrócić do domu, do bliskich, do swojego świata, do własnej rzeczywistości.

Światło pierwszych promieni słońca powoli ukazywało paletę kolorów porośniętych trawą równin tej ziemi, która poddawała się jego misterium. Z surową opiekuńczością spokojnie czuwała nad zasiewem minionych dni. Kogut ociągał się z paniem. Nie chciał budzić dnia, przyspieszać wyjazdu. Gala i Julianne odczekały trochę, zanim ściągnęły z łóżek dziewczynki. Musiały pobyć ze sobą, jak matka z córką, połączone cichym porozumieniem dzięki temu, co przeżyły, co sobie powiedziały. W intymnej atmosferze poranka wypity herbatę z odrobiną mleka, jaką lubiła Gala, a jakiej Julianne nigdy wcześniej nie przygotowywała, choć wiedziała, że córka taką pije.

– Jesteś pewna?

To pytanie mogło być skierowane do każdej z nich, obie musiały podjąć decyzję. Ale odpowiedziała Gala:

– Nie, nie jestem...

Obie zrozumiały, patrząc na siebie z czułością, że na tym częściowo polega tajemnica życia. Gala wracała do domu, matka zostawała w La Mudze. Zmarli przemówili, żywi dalej pchali koło życia z siłą i odwagą, na jaką zasługiwało. Krąg został zamknięty, ziemia znowu była gotowa na przyjęcie zasiewu.

Kate, Adele i Gala wsiadły do samochodu Gustava, gotowe do opuszczenia La Mugi. Każda z nich zaplątana w pajęczynę własnych myśli, skrytych wrażeń, które na zawsze połączyły je z tą zagubioną w świecie krainą. Miejscem zamieszkanym przez prostych ludzi, pełnym osobliwości, stromych gór i dolin. Wszystko było zbyt świeże, jeszcze nie zdawały sobie w pełni

sprawy, że postawiwszy nogę na tej ziemi, na zawsze odmieniły swój los. Dla Gali, Kate i Adele Boże Narodzenie w La Mudze było początkiem wielu marzeń, bo ta ziemia otworzyła je na moc zmysłów i na miłość silniejszą niż rozum, nauczyła, że czasem warto skoczyć w przepaść, nie zastanawiając się, jak bardzo jest ona głęboka. Gala zaczynała nowy etap oszołomiona niepewnością, ale przekonana, że chce zerwać z dotychczasowym życiem. Adele nigdy nie opuści tej ziemi, bo choć wyjedzie daleko, będzie z nią połączona srebrną nitką, która wiąże nas z tym, co kochamy. A Kate... tej małej buntownicze nigdy nie przyszłoby do głowy, że to ona odziedziczy członkostwo w Kręgu kobiet razem ze swoją wielką przyjaciółką Joaną. Będą jednak musiały roztrwonić wiele lat życia, zanim staną się mądrymi staruszkami, strażniczkami tradycji. Ta podróż, to przebudzenie w La Mudze obróciły koło fortuny trzech kobiet, które wyjeżdżały, błogosławiąc każda na swój sposób tajemnicę życia.

Wszystkie trzy odwróciły głowy i patrzyły na Julianne stojącą z uniesioną ręką, z Bostonem przy nodze, dopóki oboje w ciągu zaledwie pół minuty nie zamienili się w maleńki punkcik na horyzoncie. To był początek wspomnień i jednocześnie nowego życia. Rzeczywistość, którą zawsze postrzegamy jako płaską, jest tak naprawdę wielowymiarowa; w niej wszystko jest możliwe.

[1] *Biegąca z wilkami. Archetyp Dzikiej Kobiety w mitach i legendach*, wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2001, przeł. Agnieszka Cioch, s. 277 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczy).

[2] Co ja tu, do diabła, robię? (ang.)

[3] Bądź gotowa, mamó. (ang.)

[4] Potrzebujesz czegoś, dziewczynko? (kataloński)

[5] Zaczęliście już, prawda? Nic się nie stało. Powiedziałem Vicentemu, żebyście zrobili, żebyście zrobili... (kat.)

[6] Zawsze, zawsze bądź gotowy! (ang.)

[7] Dzieeeewczyyynki, dzieeeewczyyynki... Uciekajcie stąd, no już!!! (kat.)

[8] Co robisz? (kat.)

[9] Podoba ci się? (kat.)

[10] Dokąd jedziemy, babciu?

Na przejażdżkę, pokażemy dziewczynkom La Mugę. (kat.)

[11] Chcecie zobaczyć konie? (kat.)

[12] Ja to zaraz załatwię, Amelio. Nie przejmuj się! (kat.)

[13] Nie ma sprawy, jak wolisz! (ang.)

[14] Baaabciuuu! Teleeefoon! (kat.)

[15] Tak? Czego chcesz o tej porze? (kat.)

[16] To nie jest oficjalne spotkanie! Agnès zaprosiła kilka osób na obiad, wiesz? (kat.)

[17] Nie, nie, jeśli o mnie chodzi, nie bardzo mogę tam pojechać. O czwartej mam oczyszczanie twarzy w Figueres. (kat.)

[18] Nie wiem... W niczym nie przypomina Amelii. (kat.)

[19] Nie mamy dużo czasu. Wyjeżdżają chyba za tydzień? (kat.)

[20] Szanuj życie, dziecko! (kat.)

[21] Czyje ono jest? (kat.)

[22] Od kiedy? Kto to jest? Znam go? Raczysz odpowiedzieć, diabolicznie? (kat.)



[23] Ciii... zamknij się, wariatko, chcesz, żeby nas ktoś usłyszał? (kat.)

[24] Nikt się nie może o tym dowiedzieć, słyszysz? Nikt! Musimy znaleźć jakieś wyjście z tego ambarasu! (kat.)

[25] Już się dosyć nacierpiałam w tej rodzinie, słyszysz? (kat.)

[26] Wiem, że próbowałaś zająć w ciążę. Mnie nikt nie nabierze. Wiem nawet, że poroniłaś. (kat.)

[27] Co mam zrobić, babciu? (kat.)

[28] Kłamstwo ma krótkie nogi, wiesz? Możemy o tym wiedzieć tylko my trzy: twoja siostra, ty i ja. (kat.)

[29] Masz teraz niezły ubaw, widząc, jak robi ze mnie wariata, prawda? (kat.)

[30] Jestem już za stara, żeby się zmienić; a Niemcowi... nawet szklanki wody nie podam! (kat.)

[31] Co myślisz o Schilderze?  
O kim? Chodzi ci o Schindlera?  
Tak, właśnie o tego... Nie był przypadkiem Niemcem i nie walczył przeciwko Hitlerowi? (kat.)

[32] HO, HO, HO! Przyjechał do miasta...! (ang.)

[33] Wyjechali. Będą mieszkać w Jerez. (kat.)

[34] Powinnaś wyjść za mąż i mieć własne dzieci, już najwyższy czas. (kat.)

[35] Do mnie mówisz? (ang.)

[36] Tradycyjne potrawy katalońskie: gotowana fasola i smażona surowa kiełbasa z siekanej wieprzowiny.

[37] Nie ma pojęcia, jak czerpać przyjemność, wiesz?  
Jesteś pewna? (kat.)

[38] Moim zdaniem jest bardzo krucha, wiesz? (kat.)

[39] Gdzie jesteś, Kate?! Gdzie ty, do diabła, jesteś?! (ang.)

[40] Mamooo?  
Kate... Już jadę; proszę cię, nie ruszaj się stamtąd, dobrze? Nie ruszaj się! (ang.)

[41] Naldo, jeśli znów straci przytomność... zadzwoń do mnie! Bez względu na porę,

zgoda?

Nie martw się, tak zrobię. (kat.)

[42] Mamo, pójdiesz ze mną do kuchni po deser? (kat.)

[43] Do diabła, co się z tobą dzieje? Przestań się nią interesować, zrozumiałeś? Ani nie jest odpowiednią kobietą dla ciebie, ani nie zwraca na ciebie uwagi, ani nie jest wolna, słyszysz? (kat.)

[44] W tym roku nie idziemy na *quinto*, słyszysz? (kat.)

[45] Co ma aborcja do grania w *quinto*? (kat.)

[46] Pocałuj się w dupę, droga Béatrice. Amat nie upoważnia cię do publicznego obnażania nas przed innymi. (franc.)

[47] Nooo cooo tyyy... przestań opowiadać głupoty, słyszysz? (kat.)

[48] Przyjaciółką, możesz w to uwierzyć? A jej matka, wyobraź sobie minę jej matki. (kat.)

[49] Nic to nic. (ang.)

[50] Weesołyyych Świąąąt, drogie panie! (ang.)

[51] W Hiszpanii prezenty wręczone są tradycyjnie na Trzech Króli.

[52] Nawiązanie do słynnej tezy hiszpańskiego filozofa José Ortegi y Gasseta: „Ja to ja i moje okoliczności, jeśli ich nie ocalę, nie ocalę również siebie”.

[53] Chcesz powiedzieć, że to konieczne? Ona nie należy do tej ziemi, dobrze o tym wiesz! (kat.)

[54] Jeśli ci się nie podoba, wiesz, co możesz zrobić... nie przychodzić! (kat.)

[55] Ich historia jest twoją historią, wiesz? (kat.)

[56] Jesteś jeszcze młody, Marcu, ale nigdy nie zapominaj, kim jesteś ani skąd pochodzisz. (kat.)

[57] Zawsze będziesz mile widziana... (kat.)

[58] Gdybym miała się zdać na biednego Jaumego... (kat.)

[59] Wszystko w porządku, babciu? (ang.)

[60] Tak, kochanie... Po prostu... Zatęskniłam za twoim dziadkiem. (ang.)

[61] Czego, do diabła, chcesz? (ang.)

[62] Baaabciuuu!!!! (ang.)

[63] W sylwestra Hiszpanie połykają o północy po jednym winogronie przy każdym uderzeniu zegara. Wybijanie północy przez zegar na placu Puerta del Sol w Madrycie jest transmitowane przez telewizję. Pierwsze z dwunastu uderzeń poprzedzają tzw. *cuartos* – cztery uderzenia odmierzające cztery sekundy poprzedzające północ.

[64] Pięć minut! (kat.)

[65] Chcę wnieść toast za moją przyjaciółkę Amelię!!! (kat.)

[66] Minuta! Dzieeeeci, winogrona!!! (kat.)

[67] Szczęśliwego Nowego Roku, kochanie! (ang.)

[68] Źle mi z tym, babciu... (kat.)

[69] Wszystko w porządku, babciu? (ang.)

[70] Wszystko jest w porządku. (ang.)

[71] Teresa jedzie z winem. (kat.)

[72] Gdzie się podziało twoje poczucie godności, babciu? (ang.)

[73] Kiedyś zrozumiesz swoją mamę. Teraz pozwól jej żyć i nie osądzaj. (ang.)

[74] Ogłaszam wiadomość / dzisiaj wyjeżdżam / chcę być częścią tego / Nowego Jorku, Nowego Jorku (ang.)

[75] Chcę się budzić w mieście / które nigdy nie zasypia / i stać się królem / osiągnąć szczyt / Prowincjonalne smutki / znikną / zacznę na nowo / w starym Nowym Jorku / Jeśli uda mi się tam / uda mi się wszędzie / to zależy od ciebie / Nowy Jorku, Nowy Jorku (ang.)

[76] Na samym szczycie. (ang.)

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Wersja elektroniczna: MAGRAF s.c., Bydgoszcz

